

Nowa powieść autora bestsellera
Slumdog. Milioner z ulicy



Vikas Swarup

Sześcioro
podejrzanych

Przełożył: S. S. S.

Vikas Swarup

**Sześćcioro
podejrzanych**

przełożył
Ludwik Stawowy

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału SIX SUSPECTS

Copyright © Vikas Swarup 2008

All rights reserved

Projekt okładki

Przemysław Dębowski www.octario.pl

Redaktor prowadzący

Renata Smolińska

Redakcja

Magdalena Koziej

Korekta

Mariola Będkowska

Łamanie

Jacek Kucharski

ISBN 978-83-7648-259-0

Warszawa 2009

Wydawca

Prószyński Media Sp, z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa

Drukarnia Naukowo-Techniczna Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA

03-828 Warszawa,

ul. Mińska 65

Aparnie

Vikas Swarup, autor tej książki, jest zatrudniony przez rząd Indii, lecz zawartych w niej poglądów w żadnym wypadku nie należy uważać za opinie tego rządu ani opinie autora wyrażone z tytułu oficjalnie pełnionej funkcji.

Ta książka to utwór literacki. Zawarte w niej nazwiska, przedstawione postacie, miejsca i wydarzenia są wytworem fantazji autora lub zostały użyte w fikcyjnym kontekście. Wszelkie podobieństwo do jakichkolwiek rzeczywistych osób, żyjących lub nieżyjących, jakichkolwiek wydarzeń lub miejsc jest całkowicie przypadkowe.

MORDERSTWO

*Morderstwo, jak każde dzieło sztuki,
wywołuje komentarze i jest trudne do wytłumaczenia.*

Michele de Kretser, „The Hamilton Case”

1.

NAGA PRAWDA

Rubryka Aruna Advaniego, 25 marca

Sześć pistoletów i morderstwo

Śmierć śmierci nierówna. System kastowy obejmuje nawet morderstwa. Zadżganie nożem ubogiego riksarza to tylko statystyka, wzmianka gdzieś w środku gazety. Ale zamordowanie znanej osobistości od razu trafia na czołówki, bowiem bogaci i sławni są mordowani rzadko. Życie mają pięciogwiazdkowe i jeśli nie przesadzą z kokainą albo nie zginą w jakimś nieprawdopodobnym wypadku, śmierć zwykle też mają pięciogwiazdkową, w pięknym, sędziwym wieku, gdy już dołożą swoje do drzewa genealogicznego i rodzinnej kasy.

Dlatego doniesienia o morderstwie Viveka „Vicky'ego” Rai, trzydziestodwuletniego właściciela Rai Group of Industries, przez ostatnie dwa dni nie schodziły z pierwszych stron gazet.

W swojej długiej i burzliwej karierze dziennikarza śledczego ujawniłem wiele afer, od przekupstwa na najwyższych stanowiskach po pestycydy w butelkach z colą. Z powodu moich odkryć upadały rządy i międzynarodowe korporacje. Widziałem z bliska ludzką chciwość, złą wolę i zepsucie. Nic jednak nie poruszyło mnie bardziej niż historia Vicky'ego Rai. Był symbolem korupcji w tym kraju. Jak ćma, którą wabi płomień, przez kilkanaście lat śledziłem jego życie i jego zbrodnie. To

była niezdrowa fascynacja, niczym przy oglądaniu filmu grozy. Wiesz, że stanie się coś strasznego, i siedzisz skamieniały, wstrzymując oddech i czekając na to, co się nieuchronnie wydarzy. Dostawałem złowieszcze ostrzeżenia, grożono mi śmiercią. Próbowano spowodować, żebym stracił pracę w tej gazecie. Przetrwiałem. Vicky Rai nie.

Teraz szczegóły związane z jego morderstwem są już tak znane jak ostatnie wydarzenia w popularnych telenowelach. Został zastrzelony przez nieznanego napastnika w ubiegłą niedzielę pięć minut po północy w swym domu na terenie posiadłości w Mehrauli na peryferiach Delhi. Obdukcja zwłok wykazała, że zmarł wskutek oddanego z bliska strzału. Pocisk przeszył pierś, przebił serce, wyszedł przez plecy i utkwił w drewnianym barze. Śmierć przypuszczalnie nastąpiła natychmiast.

Vicky Rai miał wrogów, to pewne. Wielu ludzi nie cierpiało jego arogancji, stylu życia playboya, całkowitego lekceważenia prawa. Stworzył od zera imperium przemysłowe, a w Indiach nie da się tego zrobić, nie idąc na skróty. Czytelnicy tej kolumny pamiętają zapewne moje szczegółowe relacje o tym, jak Vicky Rai prowadził nielegalne operacje na giełdzie, defraudował dywidendy inwestorów, przekupywał urzędników i oszukiwał przy rozliczeniach podatkowych. Nigdy jednak nie został aresztowany, bo zawsze potrafił znaleźć jakiś sposób, żeby się wymknąć prawu.

Sztukę tę poznał już w bardzo młodym wieku. Pierwszy raz był sądzony, mając zaledwie siedemnaście lat. W prezencie urodzinowym jego ojciec dostał od przyjaciela nowy model bajeranckiego BMW z serii piątej, więc Vicky wybrał się z trzema kolesiami na przejażdżkę i do modnego pubu. Wracając po hucznym balowaniu do domu, przejechał o trzeciej nad ranem w gęstej mgle sześciu bezdomnych żebraków, którzy spali na chodniku. Kiedy go zatrzymała policja, był kompletnie pijany. Został oskarżony o nieostrożną jazdę. Zanim stanął przed sądem, przekupiono wszystkie rodziny zmarłych. Żaden świadek nie przypominał sobie, by widział tamtej nocy BMW. Pamiętali tylko ciężarówkę z gudzaraką rejestracją. Sędzia udzielił Vicky'emu pouczenia na temat

niebezpieczeństw związanych z prowadzeniem samochodu po pijanemu i go uniewinnił.

Trzy lata później znów stanął przed sądem, tym razem pod zarzutem polowania w rezerwacie przyrody w Radżasthanie i zastrzelenia dwóch garn. Udawał, że nie wie, iż są pod ochroną, i twierdził, że to śmieszne, by państwo, które nie potrafi uchronić młodych żon przed podpalaniem dla wymuszenia posagu, a dziewcząt przed prostytutką, ścigało kogoś za zabicie antylopy. Jednak prawo jest prawem, więc go aresztowano i zanim wyszedł za kaucją, musiał spędzić w areszcie dwa tygodnie. Wszyscy wiemy, co się zdarzyło potem. Kishore, strażnik rezerwatu, jedyny naoczny świadek, zginął pół roku później w tajemniczych okolicznościach. Sprawa ciągnęła się przez kilka lat i zakończyła, co się łatwo dało przewidzieć, uniewinnieniem.

Niedługo trzeba było czekać, żeby człowiek z taką przeszłością dorósł do popełnienia morderstwa. Zdarzyło się to pewnej gorącej letniej nocy przed siedmiu laty przy autostradzie łączącej Delhi z Dżajpurem, w modnej restauracji Mango, gdzie odbywała się wielka balanga z okazji jego dwudziestych piątych urodzin. Przyjęcie zaczęło się o dziewiątej wieczorem. Wynajęty zespół grał najnowsze przeboje, zagraniczne trunki lały się strumieniem, goście Vicky'ego Rai - urzędnicy rządowi, znane osobistości, aktualne i były przyjaciółki, kilka osób ze świata filmu i paru sportowców - bawili się świetnie. Vicky wypił jednego drinka za dużo. Około drugiej nad ranem, zataczając się, podszedł do baru i poprosił o kolejny kieliszek tequili. Barmanka, Ruby Gill, młoda, ładna kobieta w białym T-shircie i džinsach, była doktorantką na Uniwersytecie Delhijskim, a w Mango pracowała na część etatu, żeby pomóc rodzinie.

- Bardzo pana przepraszam, ale bar jest już nieczynny - powiedziała.

- Wiem, złotko - posłał jej promienny uśmiech - ale chcę tylko jeszcze jednego drinka i potem wszyscy pójdziemy do domu.

- Przykro mi, proszę pana, ale bar jest zamknięty. Musimy przestrzegać przepisów. - Tym razem mówiła bardziej stanowczym głosem.

- Mam w dupie twoje przepisy! Wiesz, kim jestem?
- Nie, proszę pana, i nic mnie to nie obchodzi. Przepisy są jednako-
we dla wszystkich. Nie dostanie pan więcej drinków.

Vicky Rai wpadł we wściekłość.

- Ty dziwko! To cię nauczy rozumu! - wrzasnął, z kieszeni garnitu-
ru wyciągnął rewolwer i przy co najmniej pięćdziesięciu gościach
strzelił jej w twarz i szyję. Ruby Gill upadła martwa, a w Mango zapa-
nował nieopisany harmider. Podobno jeden z przyjaciół Vicky'ego złapał
go wtedy za rękę, zaprowadził do mercedesa i gdzieś wywiózł. Piętna-
ście dni później Vicky Rai został aresztowany w Lucknow, stanął przed
sędzią i znów udało mu się uzyskać zwolnienie za kaucją.

Zabójstwo za odmowę podania drinka wstrząsnęło krajem. Zła sława
Vicky'ego Rai i uroda Ruby Gill spowodowały, że relacje ze sprawy
przez kilka tygodni pojawiały się na pierwszych stronach gazet. Lato
minęło, przyszła jesień i zajęliśmy się nowymi historiami. Gdy w końcu
zaczął się proces, okazało się, że, jak wynika z badań balistycznych,
każdy pocisk był wystrzelony z innej broni, a ta, za pomocą której po-
pełniono morderstwo, w tajemniczy sposób „zniknęła” z policyjnej szafy
pancernej. Sześcioro świadków, którzy twierdzili, że widzieli, jak Vicky
wyciągnął rewolwer, odwołało zeznania. Piętnastego lutego, czyli nieco
ponad miesiąc temu, po pięciu latach procesu Vicky Rai został unie-
winniony. Z tej okazji wydał przyjęcie w domu w Mehrauli. I tam nad-
szedł jego koniec.

Niektórzy powiedzą, że sprawiedliwości stało się zadość. Dla policji
jest to jednak przestępstwo z paragrafu trzysta dwa indyjskiego kodeksu
karnego - zabójstwo karalne - dlatego wszczęła w całym kraju poszu-
kiwania winnego. Śledztwo osobiście nadzoruje komendant policji, bez
wątpienia powodowany niepokojem, że gdyby ta sprawa nie została
rozwiązana, obiecane mu ciepłe stanowisko wicegubernatora Delhi (o
czym pisałem przed sześcioma tygodniami) przesłoby mu koło nosa.

Zaangażowanie komendanta przyniosło wyniki. Moi informatorzy
donoszą, że zatrzymano sześcioro podejrzanych. Gdy Vicky Rai został
zamordowany, w jego domu był podobno podinspektor Vijay Yadav,

służbowo, w związku z kontrolą ruchu drogowego. Natychmiast nakazał zamknięcie posesji i przeszukanie wszystkich obecnych tam wówczas trzystu gości, kelnerów, intruzów i fagasów. Sześć osób, u których znaleziono broń, zostało zatrzymanych. Jestem pewien, że protestowali, bo przecież noszenie broni, jeśli się ma pozwolenie, nie jest przestępstwem. Jednak gdy się zabiera broń na przyjęcie, którego gospodarz zostaje zastrzelony, automatycznie jest się podejrzany.

Podejrzani to urozmaicone towarzystwo, osobliwy melanż zła, urody i brzydoty. Jest wśród nich Mohan Kumar, były główny sekretarz, czyli szef służby cywilnej stanu Uttar Pradeś, największy kobieciarz i najbardziej przekupny urzędnik w całej indyjskiej administracji. Drugi to tępawy Amerykanin, który podaje się za hollywoodzkiego producenta. Ubarwia ową mieszkankę znana aktorka Shabnam Saxena, w której, jeśli wierzyć plotkarskim czasopismom filmowym, Vicky Rai durzył się na zabój. Jest nawet czarny jak smoła półtorametrowy autochton z zabitej deskami wsi w Dźharkhandzie, przesłuchiwany z zachowaniem szczególnej ostrożności, w obawie, że może być jednym z groźnych naksalitów¹, którzy opanowali ten stan. Podejrzany numer pięć, imieniem Munna, to nigdzie niezatrudniony posiadacz dyplomu wyższej uczelni nieźle żyjący z kradzieży telefonów komórkowych. Listę zamyka sam pan Jagannath Rai, minister spraw wewnętrznych Uttar Pradeś. Tatus Vicky'ego Rai. Czy ojciec może upaść niżej?

¹ Naksalici są to członkowie indyjskiego ruchu rewolucyjnego nazywani tak od nazwy wsi Naxalbari na himalajskim pogórzcu w Bengalu Zachodnim, gdzie ten ruch się zrodził. Dążą do obalenia demokratycznej władzy i wprowadzenia rządu komunistycznego kierującego się maoizmem. W kilku indyjskich stanach, przede wszystkim w Andhra Pradeś, Chattisgarhu i Dźharkhandzie, prowadzą kampanię terrorystyczną. [Przypisy, których autorstwa nie podano, sporządził Vikas Swarup].

Znaleziona broń jest równie różnorodna: brytyjski webley & scott, austriacki glock, niemiecki Walther PPK, włoska beretta, chiński pistolet Black Star i lokalna prowizorka - rewolwer zwany *katta*. Policja, widocznie przekonana, że morderstwo popełniono czymś z tej kolekcji, czeka na wyniki badań balistycznych, żeby dopasować pocisk do broni i wskazać winnego.

Wczoraj w swoim programie telewizyjnym przeprowadziła ze mną wywiad Barkha Das.

- Większość kariery zawodowej poświęcił pan ujawnianiu nieprawości Vicky'ego Rai i piętnowaniu go w swojej rubryce. Co pan zamierza teraz, po jego śmierci?

- Znaleźć mordercę.

- Po co? Nie wystarczy, że Vicky Rai nie żyje?

- Nie, ponieważ nigdy nie prowadziłem krucjaty przeciw Vicky'emu Rai, lecz przeciw systemowi, który pozwala ludziom mającym pieniądze i władzę uważać, że są ponad prawem. Vicky Rai był tylko wyraźnym objawem choroby toczącej nasze społeczeństwo. Jeśli sprawiedliwość jest faktycznie ślepa, to jego mordercę warto rozliczyć tak samo jak Vicky'ego.

Powtarzam to również swoim czytelnikom. Zamierzam wytropić mordercę Vicky'ego Rai. Prawdziwy dziennikarz śledczy nie może się poddawać uprzedzeniom. Musi się do końca kierować chłodną logiką, bez względu na to, dokąd i do kogo w ten sposób dotrze. Musi pozostać bezstronnym profesjonalistą szukającym jedynie nagiej prawdy.

Morderstwo to rzecz skomplikowana, ale prawda jeszcze bardziej. Wyjaśnić wszystkie szczegóły będzie trudno, wiem o tym. Trzeba przeanalizować historię życia sześciorga podejrzanych. Ustalić motyw. Zebrać dowody. Dopiero wtedy znajdziemy winnego.

Kto z tej szóstki nim będzie? Urzędnik czy kociak? Cudzoziemiec czy autochton? Gruba ryba czy płotka?

Proszę śledzić tę rubrykę - tylko tyle mogę w tej chwili powiedzieć swym czytelnikom.

PODEJRZANI

Oskarżeni są właśnie najpiękniejsi.

Franz Kafka, „Proces”,
przełożył Bruno Schulz

2.

URZĘDNIK

Mohan Kumar spogląda na zegarek, uwalnia się z ramion kochanki i wstaje.

- Już trzecia, muszę iść - mówi, szukając bielizny w kłębie ubrań w nogach łóżka.

Za jego plecami włącza się klimatyzator i wyrzuca w mrok pokoju podmuch letniego powietrza. Rita Sethi patrzy na urządzenie ze złością.

- Czy ten rupieć kiedykolwiek dobrze działa? Mówiłam ci, żebyś kupił white-westinghouse'a. Indyjskie nie wytrzymują nawet jednego sezonu.

Żaluzje na oknach są opuszczone, ale dokuczliwy upał i tak wciska się do sypialni i sprawia, że prześcieradła wydają się kocami.

- Klimatyzatory z importu nie są przystosowane do warunków tropikalnych - odpowiada Mohan Kumar. Sięga po butelkę chivas regala stojącą na stoliku pod ścianą, ale cofa rękę. - Lepiej już pójdę. O czwartej jest posiedzenie zarządu.

- Dlaczego ciągle się tak przejmujesz pracą? Pan Mohan Kumar zapomniał, że już nie jest ważnym szefem? - Rita się przeciąga, ziewa i ciężko opada na poduszkę.

Mohan Kumar się krzywi, jakby Rita rozdrapała mu świeżą ranę. Wciąż jeszcze nie pogodził się z tym, że jest na emeryturze.

Przez trzydzieści siedem lat był w rządzie - manipulował politykami, podporządkowywał sobie kolegów i robił interesy. W tym czasie został posiadaczem domów w siedmiu miastach, mallu w Noidzie² i konta w szwajcarskim banku w Zurychu. Rozkoszował się pozycją człowieka

wpływowego. Jednym telefonem mógł wprawić w ruch maszynię władzy całego stanu, jego przyjaźń otwierała zamknięte drzwi, a gniew niszczył kariery i firmy, jego podpis umożliwiał przedsięwzięcia przynoszące miliony rupii. Jego nieprzerwana wspinaczka po szczeblach urzędniczej hierarchii sprawiła, że popadł w samozadowolenie. Myślał, że tak będzie zawsze. Przegrał jednak z czasem, z nieubłaganie tykającym zegarem, który wybił sześćdziesiątkę³ i w jednej chwili odebrał mu wszelką władzę.

² Noida - akronim nazwy New Okhla Industrial Development Authority. Jest to nowo powstałe kipiące życiem miasto w Uttar Pradeś, graniczące z New Delhi.

³ W Indiach pracownicy rządowi przechodzą na emeryturę w wieku sześćdziesięciu lat.

Zdaniem kolegów poradził sobie z odejściem z rządu całkiem dobrze. Teraz zasiada w zarządach pół tuzina prywatnych firm wchodzących w skład Rai Group of Industries, które razem płacą mu dziesięć razy więcej, niż wynosiła jego pensja. Od firmy ma willę w Lutyens' Delhi⁴ i samochód. Te korzyści nie mogą jednak zrekompensować utraty wpływów. Utraty władzy. Bez towarzyszącej jej atmosfery czuje się człowiekiem mniejszego formatu, królem bez królestwa. Przez kilka pierwszych miesięcy po przejściu na emeryturę budził się czasem w nocy, zlany potem i niespokojny, i sięgał po omacku po telefon, żeby sprawdzić, czy gdy spał, nie dzwonił premier. W dzień bezwiednie błędził oczami po podjeździe, szukając krzepiącego widoku białego ambasadora⁵ z niebieskim kogutem na dachu. Niekiedy utratę władzy odczuwał jak fizyczny brak czegoś; jak to, co człowiek po amputacji czuje zakończeniami przeciętych nerwów w kikutach, gdzie kiedyś miał nogę. Doszło do tego, że musiał poprosić pracodawcę o gabinet. Vicky Rai wyświadczył mu grzeczność - dal pokój w siedzibie Rai Group of Industries w Bhikaji Cama Place⁶. Teraz Mohan Kumar siedzi tam codziennie od dziewiątej do piątej, czyta kilka sprawozdań, lecz przeważnie gra na laptopie w sudoku albo ogląda strony pornograficzne. Dzięki temu może udawać, że nadal pracuje zarobkowo, i ma pretekst, by być poza domem, z dala od żony. No i może się niepostrzeżenie wymykać na schadzki z kochanką.

⁴ Lutyens' Delhi - ekskluzywna dzielnica w New Delhi zaprojektowana przez architekta Edwina Lutyensa w latach dwudziestych XX wieku. Tam znajduje się oficjalna rezydencja prezydenta, pomnik Brama Delhi i rezydencje kilku ministrów.

⁵ Ambassador - samochód produkowany od 1957 roku przez indyjską firmę Hindustan Motors, wzorowany na Morrisie Oxford. Jest to oficjalny samochód służbowy urzędników rządowych wyższej rangi i ministrów.

⁶ Bhikaji Cama Place - duży kompleks handlowy w południowym Delhi.

Przynajmniej wciąż mam Ritę, myśli, zawiązując krawat i patrząc na jej nagie ciało i czarne włosy rozrzucone na poduszce.

Rita jest bezdzietną rozwódką z dobrze płatną posadą, która wymaga obecności w biurze tylko trzy razy w tygodniu. Różnica wieku między nimi wynosi dwadzieścia siedem lat, ale nie różnią się upodobaniami ani temperamentem. Mohanowi wydaje się czasem, że Rita jest jego lustrzanym odbiciem, że są pokrewnymi duszami, które dzieli tylko płeć. Pewnych rzeczy jednak w niej nie lubi. Jest zbyt wymagająca, bezustannie wymusza na nim prezenty z diamentów i złota. Na wszystko narzeka, od domu, w którym mieszka, po pogodę. I ma porywcze usposobienie, z którego słynie, od kiedy dała w twarz byłemu szefowi, gdy próbował się do niej dobrać. Wszystkie te braki rekompensuje jednak z nawiązką wyczynami w łóżku. On lubi myśleć, że jej nie ustępuje. Dobiegł sześćdziesiątki, lecz wciąż jest pełen wigoru. Wie, że ze swym wzrostem, jasną skórą, bujną czupryną, którą co dwa tygodnie starannie farbuję, może być nadal atrakcyjny dla kobiet. Zastanawia się jednak, jak długo Rita z nim będzie, jak długo dawane jej od czasu do czasu prezenty wystarczą, by nie straciła głowy dla kogoś młodszego, bogatszego, mającego więcej władzy. Zanim to nastąpi, cieszy się spędzaniem z nią dwoma popołudniami w tygodniu.

Rita wyjmuje spod poduszki paczkę virginia slims i zapalniczkę. Zapala papierosa, zaciąga się i wypuszcza pierścień dymu, który natychmiast znika w klimatyzatorze.

- Zdobyłeś bilety na pokaz we wtorek? - pyta.
- Jaki pokaz?
- Ten w dniu urodzin Mahatmy Gandhiego, kiedy będą nawiązywać kontakt z jego duchem.

Mohan patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Od kiedy wierzysz w te bzdury?
- Seanse spirytystyczne to nie bzdury.
- Dla mnie tak. Nie wierzę w duchy.
- W Boga też nie wierzysz.
- Owszem, jestem ateistą. Od trzydziestu lat nie byłem w świątyni.
- Ja też nie, ale w Boga wierzę. A Baba Aghori to podobno świetne medium. Naprawdę potrafi rozmawiać z duchami.

- Hm., - Mohan Kumar uśmiecha się kpiąco. - To nie medium, tylko prymitywny tantrysta⁷, który pewnie żywi się ludzkim mięsem. A Gandhi to nie gwiazda popu, tylko Ojciec Narodu. Zasługuje na więcej szacunku.

⁷ Tantrysta - człowiek stosujący rytuały i praktyki medytacyjne, magiczne i seksualne związane z tantryzmem.

- A co jest obraźliwego w obcowaniu z jego duchem? Cieszę się, że robi to indyjska firma, zanim jakaś zagraniczna zarejestruje nazwisko Gandhi jako znak towarowy, niczym ryż basmati. Pójdźmy tam we wtorek, kochanie.

Mohan patrzy jej w oczy.

- Jak by to wyglądało, gdyby były główny sekretarz pokazywał się na seansie spirytystycznym? Muszę dbać o reputację.

Rita posyła ku sufitowi następny pierścień dymu i uśmiecha się złośliwie.

- Jeśli nie widzisz nic złego w schadzkach ze mną, chociaż masz żonę i dorosłego syna, nie wiem, czemu nie możesz pójść na ten pokaz.

Mówi to lekkim tonem, ale on czuje się dotknięty. Wie, że pół roku temu, kiedy jeszcze był głównym sekretarzem, by tego nie powiedziała.

I uświadamia sobie, że jego kochanka też się zmieniła. Nawet seks był teraz inny, jakby Rita coś ukrywała, wiedząc, że jego możliwości działania na jej korzyść zmaleły, jeśli nie zniknęły.

- Na pewno nie pójde, Rita - mówi z poczuciem urażonej dumy i wkłada marynarkę. - Ale jeśli koniecznie chcesz ten seans zobaczyć, załatwię ci bilet.

- Dlaczego nazywasz to seansem? Pomyśl o tym jak o jeszcze jednym widowisku. Albo o premierze filmu. Mówią, że to będzie wydarzenie na trzecią stronę⁸. Specjalnie na tę okazję kupiłam nawet nowe szyfonowe sari. Nie bądź taki, kochanie - mówi nadąsana.

⁸ W Indiach „trzecia strona” oznacza rubrykę towarzyską w gazetach i czasopismach, w której są zamieszczane informacje z życia ludzi bogatych i sławnych.

On wie, że Rita potrafi być uparta. Jak czegoś zapagnie, trudno jej to wyperswadować. Kosztownym dowodem jej uporu był ostatnio wisiołek z tanzanitu, którego zażądała na trzydzieste drugie urodziny.

- No, dobrze - daje za wygraną. - Załatwię dwa bilety. Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli Baba Aghori przyprawi cię o mdłości.

- Nie ma obawy! - Rita wyskakuje z łóżka i całuje go w policzek.

Tak więc drugiego października o siódmej dwadzieścia pięć Mohan Kumar niechętnie wysiada pod Siri Fort Auditorium z hyundaia sonaty z szoferem za kierownicą.

Miejsce, gdzie ma się odbyć seans, przypomina oblężoną twierdzę. Duży oddział policji z wyposażeniem do rozpraszania zamieszek stara się zapanować nad tłumem manifestantów wydających gniewne okrzyki i niosących transparenty z napisami: OJCIEC NARODU NIE JEST NA SPRZEDAŻ, BABA AGHORI TO OSZUST, BOJKOTUJCIE UNITED ENTERTAINMENT, GLOBALIZACJA TO ZŁO. Po przeciwnej stronie ulicy stoi rzędem bateria kamer telewizyjnych filmujących ponurych spikerów, którzy przekazują zapierające dech relacje na żywo.

Mohan Kumar przepycha się przez tłum, jedną ręką chroniąc portfel schowany w wewnętrznej kieszeni lnianej marynarki w kolorze złamanej

bieli. Rita, której czarne szyfonowe sari i bluzka z gorsetem dodają smukłości, podąża za nim na wysokich szpilkach.

Tuż przed bramą z kutego żelaza stoi Barkha Das, znana indyjska dziennikarka telewizyjna.

- Ciesząca się największym szacunkiem postać w panteonie indyjskich przywódców to Mohandas Karamchand Gandhi, czyli Bapu, jak go z czułością nazywają miliony Hindusów - mówi do trzymanego w ręku mikrofonu. - Zamiar United Entertainment, by z okazji jego urodzin nawiązać kontakt z jego duchem, wzburzył cały kraj. Rodzina Mahatmy Gandhiego nazwała to narodową hańbą. Ponieważ jednak Sąd Najwyższy odmówił interwencji, okazuje się, że nawet to najświętsze z nazwisk zostanie dziś złożone na ołtarzu komercji. Ów oburzający seans mimo wszystko się odbędzie. - Barkha Das wydyma usta i robi minę, którą dobrze zna jej widownia zasiadająca przed telewizorami w czasie największej oglądalności.

Mohan Kumar kiwa potakująco głową, energicznie wchodzi do środka i dołącza do długiej kolejki posiadaczy biletów wijącej się przez bramkę wykrywacza metalu.

Patrząc na podekscytowane twarze wokół siebie, czuje dziwne przygnębienie. Zawsze go zdumiewała niezmierna łatwość oszukiwania naiwnych. Jest wściekły, że się tak wolno posuwa do przodu - nie stał w kolejce od trzydziestu siedmiu lat.

Po niekończącym się czekaniu, gdy jego bilet obejrzało już trzech bileterów, gdy sprawdzono, czy nie ma przy sobie broni albo metalowych przedmiotów, gdy kazano mu oddać na przechowanie telefon komórkowy - Mohan Kumar zostaje wreszcie wpuszczony do jasno oświetlonego foyer. Kelnerzy w liberiach roznoszą napoje i wegetariańskie kanapki. W rogu, na podwyższeniu, siedzą ze skrzyżowanymi nogami śpiewacy i przy akompaniamencie tabli i fisharmonii śpiewają „Vaishnav Janato”, ulubiony *bhajan*⁹ Mahatmy Gandhiego. Mohan rozpogadza się, dostrzegłszy w tłumie znane osobistości - naczelnego audytora, zastępcę komendanta policji, słynnego gracza w krykieta, prezesa klubu golfowego - i licznych dziennikarzy, biznesmenów i

urzędników. Rita go zostawia i przyłącza się do grupy znajomych bywalców salonów, którzy się witają okrzykami fałszywej radości i udawanego zdziwienia.

⁹ *Bhajan* - pieśń religijna.

Obok przechodzi, starannie unikając jego wzroku, właściciel zakładów włókienniczych, od którego wyciągnął kiedyś ogromną łapówkę. Pół roku temu ten człowiek by się do mnie łąsił - myśli Mohan z goryczą.

Mija kolejny kwadrans i drzwi sali widowiskowej się otwierają. Bi-leter kieruje go do pierwszego rzędu. Dzięki firmie informatycznej, w której zarządzie zasiada, dostał najlepsze miejsca, pośrodku. Rita jest pod wrażeniem.

Sala szybko się zapełnia delhijską śmietanką towarzyską. Mohan zerka na ludzi wokół. Wyondulowane kobiety w ozdobionych brokatem jedwabiach wyglądają wulgarnie, mężczyźni w *kurta*¹⁰ z Fabindii i *jutis nagra*¹¹ - nieco śmiesznie

¹⁰ *Kurta* - luźna koszula noszona przez mężczyzn i kobiety. Fabindia to sieć sklepów z odzieżą etniczną.

¹¹ *Jutis* - buty. *Jutis nagra* to zwykle mokasyny na płaskim obcasie zrobione z miękkiej skóry dobrej jakości i ozdobione haftem.

- Widzisz, kochanie? Mówiłam ci, że będą wszyscy, którzy coś znaczą. - Rita mruga do Mohana.

Publiczność kaszle i wierci się w oczekiwaniu na rozpoczęcie spektaklu, ale aksamitna kurtyna zasłaniająca scenę ani drgnie.

O dwudziestej trzydzieści, z godzinnym opóźnieniem, światła zaczynają przygasać i po chwili salę spowijają upiorne ciemności. Rozlegają się dźwięki sitaru i kurtyna powoli idzie w górę. Scenę, na której leży słomiana mata, oświetla pojedynczy reflektor. Przed matą ułożono kilka przedmiotów - kołowrotek, okulary, laskę i plik listów. W głębi sceny wisi skromny banner z niebiesko-białym logo United Entertainment.

Z wielkich czarnych głośników po bokach sceny rozlega się znany baryton:

- Witam państwa. Jestem Veer Bedi, gospodarz tego wieczoru. Tak, ten sam Veer Bedi, który spotyka się z państwem na srebrnym ekranie. Nie widać mnie, ale wiedzą państwo, że tu jestem, za kulisami. Podobnie jak duchy. Nie można ich zobaczyć, ale są wokół nas.

Za kilka minut nawiążemy kontakt z najślawniejszym z duchów, z duchem człowieka, który zmienił bieg historii w dwudziestym wieku. Człowieka, o którym Einstein powiedział: „Przyszłym pokoleniom trudno będzie uwierzyć, że ktoś taki chodził po tej ziemi”. Tak, mówię o Mohandasie Karamchandzie Gandhim, naszym ukochanym Bapu, który urodził się właśnie tego dnia, w 1869 roku.

Prawie sześćdziesiąt lat temu Bapu zginął zaledwie kilka kilometrów stąd, lecz dziś ożyje. Na własne uszy usłyszycie, jak Mahatma Gandhi mówi ustami Baby Aghonego Prasada Mishry, który jest słynnym na całym świecie medium. Baba Aghori ma *siddhi*¹², boską energię zdobytą dzięki jodze, umożliwiającą jej posiadaczowi przeniknięcie za zasłonę, która oddziela ten świat od tamtego, i rozmawianie z duchami.

¹² *Siddhi* - nadzwyczajna moc duchowa zdobyta dzięki stałej medytacji i specjalnym wyczerpującym ćwiczeniom jogi.

Wiem, że są na widowni sceptycy, którzy uważają, że spotkania z duchami to oszustwo. Też tak kiedyś myślałem. Ale to się zmieniło. Podzielę się z państwem osobistym wspomnieniem. - Veer Bedi mówi teraz konspiracyjnym tonem. - Pięć lat temu moja siostra zginęła w wypadku samochodowym. Byliśmy sobie bardzo bliscy, więc ogromnie mi jej brakowało. Przed dwoma miesiącami Baba Aghori Prasad Mishra nawiązał z nią kontakt. Za jego pośrednictwem rozmawiałem z siostrą, poznałem jej drogę do tamtego świata. To było najbardziej zadziwiające, przeobrażające doświadczenie w moim życiu. Dlatego jestem tutaj - żeby osobiście ręczyć za Babę Aghoriego. Gwarantuję, że to, czego państwo będą świadkami, to niezwykle przeżycie, coś, co was odmieni na zawsze.

Na widowni słyhać pomruk aprobaty.

- Jak państwo wiedzą, bardzo chcieliśmy, żeby byli tu dziś z nami członkowie rodziny Mahatmy Gandhiego, lecz oni woleli zdystansować się od tego doniosłego wydarzenia. Uzyskaliśmy jednak bezinteresowną pomoc od wpływowych ludzi, którzy blisko znali Mahatmę. Wypożyczyli nam oni należące do niego przedmioty, które widzą państwo na scenie. Jest wśród nich drewniana *charkha*, czyli kołowrotek, za pomocą którego przadł bawełnianą nić na *khadi*, tkaninę, w którą się ubierał. Obok leży jego ulubiona laska. Są jego charakterystyczne okrągłe okulary i plik listów, które osobiście napisał wielki Mahatma.

Zanim poproszę na scenę Babę Aghoriego Prasada Mishrę, pozwolę sobie przypomnieć państwu zasady obowiązujące podczas seansu spirytystycznego. W krytycznym momencie duch wchodzi w medium. Nie dopuszczalne są wtedy żadne hałasy, musi panować absolutny spokój. Dlatego nie wolno tu mieć telefonów komórkowych. Proszę o zachowanie w czasie pokazu całkowitej ciszy. W imieniu United Entertainment pragnę podziękować naszym sponsorom: Solid Toothpaste - za solidne białe zęby - i Yamachi Motorcycles - tak trzymać! - a także partnerowi medialnemu: City Television, która przekazuje relację z tego wydarzenia milionom widzów w Indiach i na cały świecie. Teraz nastąpi przerwa na reklamę, ale proszę nie wychodzić, bo będzie bardzo krótka, a po niej na scenie pojawi się już Baba Aghori Prasad Mishra.

W sali slychać szmer. Ktoś głośno mówi „Widzę umarłych”, co wywołuje falę chichotów. Rozbawienie trwa jakiś czas, lecz ustępuje atmosferze nerwowego oczekiwania.

Po pięciu minutach znów rozlega się głos Veera Bediego.

- Witam ponownie na spotkaniu z Bapu zorganizowanym przez United Entertainment. Nadszedł moment, na który wszyscy czekaliśmy z zapartym tchem. Zaraz będziemy świadkami najbardziej zadziwiającego widowiska w historii ludzkości. Zapraszam na scenę Babę Aghoriego Prasada Mishrę.

Scenę zasnuwa sztuczny dym, potęgując atmosferę niesamowitości. Z oparu wylania się niewyraźna postać w białym *dhoti*¹³ i szafranowej *kurta*. Baba Aghori Prasad Mishra jest szczupły i przeciętnego wzrostu.

Wygląda na niecałe pięćdziesiąt lat, ma ciemne włosy związane w kok na czubku głowy, gęstą czarną brodę i przenikliwe spojrzenie. Sprawia wrażenie człowieka, który zna świat, który już się niczego nie boi.

¹³ *Dhoti* - element męskiego stroju mający postać dużego prostokątnego kawałka materiału; owija się go wokół nóg i wiąże na węzeł w pasie.

Baba podchodzi do krawędzi sceny i kłania się publiczności, złożony dłonie w powitalnym geście.

- *Namaste*¹⁴ - mówi. Głos ma cichy, kojący. - Nazywam się Aghori Prasad Mishra. Zabiorę was w podróż. W drogę ku duchowemu odkryciu. Zaczniemy od tego, co mówi Gita, nasza najświętsza księga. Na tym świecie istnieją byty dwóch rodzajów: niszczone i niezniszczalne. Wszystkie ciała fizyczne są niszczone, natomiast *atma*, dusza, jest niezniszczalna. Ostrze bramy nie może jej przeszyć, ogień się jej nie ima, woda jej nie zmoczy, wiatr nie wysuszy. Dusza jest wieczna, wszechobecna, niezmienna i nieśmiertelna.

¹⁴ *Namaste* - pełne szacunku pozdrowienie; wymawiając je, składa się dłonie na wysokości piersi.

- Jednak - tu znów się powołam na „Bhagawadgitę” - najważniejsze jest w duszy to, że jak powietrze bierze aromat z kwiatu, tak ona bierze sześć zmysłów z ciała, które opuszcza w chwili śmierci. Innymi słowy, ma zmysł słuchu, dotyku, wzroku, smaku, zapachu i może myśleć. Dzięki temu można się z duszą porozumiewać.

Z łaski Wszchemocnego miałem zaszczyt kontaktować się dotychczas z kilkoma duchami, żaden jednak nie wywarł na mnie takiego wrażenia, jak duch Mahatmy Gandhiego. Już samo słowo „mahatma” znaczy „wielka dusza”. Przez ostatnich pięć lat Bapu kierował moją ewolucją duchową. Do tej pory był to dialog między nim i mną. Dziś podzielę się owym błogosławieństwem z całym światem. Wyruszymy w tę podróż razem. Będzie to podróż duchowa, podróż nadziei, ponieważ przekonamy się u jej kresu, że śmierć nie jest końcem życia, lecz początkiem życia następnego. Ze jesteśmy wieczni i nieśmiertelni.

Teraz rozpocznę medytację. Niebawem duch Bapu wejdzie we mnie i przeze mnie przemówi. Proszę wszystkich, żeby z uwagą wsłuchali się w

to, co Bapu ma nam dziś do powiedzenia. Pamiętajcie jednak, że jeśli kontakt zostanie przedwcześnie przerwany, bardzo to zaszkodzi i duchowi, i mnie. Proszę więc, jak już to zrobił sahib Veer Bedi, żeby w sali panowała cisza jak makiem zasiał.

Maszyna wytwarzająca sztuczny dym zaczyna znowu działać i scenę na chwilę przesłania gęsta chmura. Kiedy się rozprasza, Baba siedzi ze skrzyżowanymi nogami na macie i wyśpiewuje zaklęcia w języku przypominającym sanskryt. Światło reflektora zmienia się z białego na czerwone. Śpiew powoli cichnie i mężczyzna zamyka oczy. Na jego twarzy pojawia się wyraz błęgiego spokoju. Zastyga w bezruchu, jakby zapadł w trans.

Nagle scena się rozjaśnia i na widownięć wpada słup białego dymu. Publiczność wstrzymuje oddech.

- Proch do petard! - parska Mohan Kumar.

Niespodziewanie zaczyna furkotać wrzeciono. Samo z siebie - Baba siedzi kilka metrów dalej. Publiczność patrzy w osłupieniu, jak wiruje coraz prędeej.

- Zdalnie sterowane, pilota trzyma Veer Bedi - mruczy Mohan Kumar, lecz Rita nie zwraca na niego uwagi. W napięciu pochyla się do przodu i kurczowo ściska poręcz fotela.

Gdy wrzeciono wciąż się kręci, zaczynają się poruszać i unoszą z podłogi laska i okulary. W nadnaturalnym duecie wędrują wyżej i wyżej, jakby nie istniała siła ciężkości. Na widowni słychać pomruki niedowierzania.

Mohan Kumar czuje w dłoniach mrowienie.

- Niewidoczne druty przymocowane do sufitu - orzeka, lecz już nie tak pewnym głosem. Rita patrzy z otwartymi ustami.

Tak samo nagle, jak zaczęło wirować, wrzeciono zamiera w bezruchu. Laska spada z łomotem. Okulary uderzają w podłogę i tłuką się na kawałki.

Przez długą chwilę nic się nie dzieje i Mohan myśli, że Baba zasnął. Wtem jego ciało zaczyna dygotać jak w gorączce.

- O Boże, nie widzę tego - lamentuje Rita. W tym momencie rozlega się głos, jakiego Mohan Kumar nigdy nie słyszał.

- Pokornie przepraszam, że dotarłem tu z takim opóźnieniem - mówi głos. - Łatwo przyjmiecie moje przeprosiny, kiedy powiem, że opóźnieniu nie jestem winien ani ja, ani żadne ludzkie działanie.

Głos jest zgrzytliwy, lecz dziwnie poruszający; wyraźny i donośny, i tak androginiczny, że nie wiadomo, czy należy do mężczyzny, czy do kobiety. Wydobywa się z ust Baby, ale nie wydaje się, żeby był jego.

Na widowni zapada martwa cisza. Publiczność czuje obecność jakiejś szczególnej siły, której nie sposób zobaczyć ani pojąć.

- Nie patrzcie na mnie jak na zwierzę w zoo - ciągnie głos. - Jestem jednym z was. I chcę dziś rozmawiać z wami o niesprawiedliwości. Tak, o niesprawiedliwości. Zawsze mówiłem, że wyrzeczenie się przemocy i prawda to jak moje dwa płuca. Wyrzeczenie się przemocy nie powinno jednak kamuflować tchórzostwa. To jest broń odważnych. A gdy niesprawiedliwość i ucisk zaczynają brać górę, obowiązkiem odważnych jest...

W tym momencie gwałtownie otwierają się drzwi z tyłu sali i na widownię wpada brodaty mężczyzna w luźnej białej *kurta*. Długie czarne włosy ma potargane, oczy mu nienaturalnie błyszczą. Pędzi w kierunku sceny, za nim biegnie kilku policjantów z pałkami. Baba Aghori milknie.

- To perwersja! - wrzeszczy brodac, stając na brzegu sceny na wprost Mohana Kumara. - Jak śmiecie szargać jego pamięć tym komercyjnym spektaklem? Bapu jest naszym dziedzictwem, a wy go traktujecie, jakby był marką pasty do zębów albo szamponu - krzyczy do Baby Aghoriego.

- Proszę się uspokoić. Niech się pan nie denerwuje. – Veer Bedi pojawia się na scenie niczym królik wyciągnięty z cylindra przez maga. - Zaraz się z tym uporamy, a tymczasem ogłaszam krótką przerwę na reklamę.

Brodacz nie zwraca na niego uwagi. Sięga pod *kurta* i wyjmuje czarny rewolwer. Ściskając go mocno, celuje w Babę Aghoriego. Veer Bedi z trudem przetyka ślinę i pośpiesznie wycofuje się za kulisy. Policjanci zamierają w bezruchu. Publiczność drętwieje.

- Jesteś gorszy niż Nathuram Godse¹⁵ - mówi brodaczu do Baby Aghoriego, który wciąż ma zamknięte oczy i ciężko oddycha. - Godse zabił tylko ciało Bapu. Ty bezceńszisz jego duszę. - Bez dalszych ceregieli pakuje w *sadhu* trzy pociski.

¹⁵ Nathuram Godse zamordował Mahatmę Gandhiego.

Huk strzałów niesie się echem po sali. Na scenie jeszcze raz rozbłyska światło. Głowa Baby Aghoriego opada mu na pierś, szafranowa *kurta* robi się purpurowa.

Widownię ogarnia chaos. Wszędzie słychać krzyki, publiczność gorączkowo przepycha się ku wyjściu. „Mohan, ratunku!”, piszczy Rita, zepchnięta z fotela przez kłębiących się ludzi. Próbuje odzyskać torebkę, lecz zostaje wessana przez tłum, który jak wzburzona rzeka przebiega w kierunku drzwi.

Oszołomiony Mohan Kumar wciąż siedzi na swoim miejscu. Na twarzy czuje coś miękkiego jak kłębek waty, a jednocześnie śliskiego jak brzuch węża. „Chodźmy”, mówi do Rity, której już nie ma obok. Nim zdąży zamknąć usta, dziwny obiekt błyskawicznie wślizguje mu się do gardła. Mohan łapie powietrze i czuje na języku gorzki, jak nieprzyjemny posmak, gdy się połknie owada. Spluwa kilkakrotnie, chcąc się jej pozbyć. W sercu odczuwa drżenie, dreszcz protestu i nagle jego ciało zaczyna płonąć. Fala pulsującej, tętniącej energii biegnie od mózgu do stóp. Mohan nie wie, czy pochodzi z zewnątrz, czy z jego wnętrza. Nie ma źródła, zagarnia wszystko, wiruje, draży głębiej i głębiej, aż do jądra jestestwa. Ciałem Mohana wstrząsają gwałtowne drgawki i wtedy zaczyna się ból: potężny cios w głowę, tępa igła wbita w serce, wielkie dłonie gniotące pierś, rozrywające wnętrzności. Ból jest tak straszny, że Mohan myśli, że zaraz umrze. Krzyczy przeraźliwie, ale jego głos ginie w hałasie panującym w sali.

Ludzie się przewracają, potykają, ale on widzi tylko poruszające się zamglone plamy. Wreszcie traci świadomość.

Gdy otwiera oczy, w sali jest pusto i cicho. Leżący na macie trup Baby Aghoriego wygląda jak wyspa w morzu krwi. Podłoga na widowni jest zasłana tenisówkami, sandałami, pantofelkami na szpilkach. Ktoś klepie go w ramię. Odwraca się i widzi policjanta z pałką, który mu się uważnie przygląda i pyta ze złością:

- Hej, co pan tu robi? Nie widzi pan, co się stało?

Mohan patrzy na niego tępym wzrokiem.

- Czy pan jest głuchy? Kim pan jest? Jak się pan nazywa?

Mohan otwiera usta, lecz mówienie sprawia mu trudność.

- Nazywam... nazywam...

- Właśnie, jak się pan nazywa? - powtarza policjant niecierpliwie.

Mohan chce powiedzieć „Mohan Kumar”, lecz słowa więzną mu w gardle. Czuje palce ściskające krtań, struny głosowe, tamujące mowę. Słowa się przekręcają, mieszają, stają nie jego.

- Nazywam się Mohan... Mohandas Karamchand Gandhi - słyszy sam siebie.

Policjant unosi pałkę.

- Wygląda pan na porządnego człowieka. Nie czas na żarty. Pytam jeszcze raz. Jak się pan nazywa?

- Już powiedziałem. Jestem Mohandas Karamchand Gandhi. - Tym razem mówi to łatwiej, z większą pewnością w głosie.

- Skurwysyn. Udajesz wariata? Taki z ciebie Mahatma Gandhi, jak ze mnie ojciec Hitlera - warczy policjant. Pałka opada, Mohan Kumar czuje w plecach przeszywający ból. Nim znowu straci przytomność, zdąży jeszcze usłyszeć wycie policyjnej syreny.

3.

AKTORKA

26 marca

Trudne jest życie celuloidowej bogini. Przede wszystkim musisz być bez przerwy wspaniała. Nie możesz pierdnąć, nie możesz splunąć. Ziewnąć też się nie odważysz, bo inaczej zobaczysz swoją wielką, tłustą, rozdziawioną gębę na błyszczących stronicach „Maxima” albo „Stardusta”. Po drugie, nigdzie się nie ruszysz bez depczącej ci po piętach hordy. Najgorsze w życiu sławnej aktorki jest jednak to, że musi odpowiadać na niewiarygodnie dziwne pytania.

Weźmy na przykład wczorajszy lot Air India z Londynu. Właśnie weszłam do kabiny pierwszej klasy boeinga 777. Miałam na sobie ciemnozielony żakiet od Versacego, dżinsy z nabijanym ćwiekami paskiem i okulary słoneczne od Diora. Usadowiłam się na swoim miejscu, jak zwykle 1A, i położyłam torebkę - z krokodylowej skóry, od Louisa Vuittona - na miejscu obok, 1B, jak zwykle pustym. Od czasu tamtego incydentu podczas lotu do Dubaju, kiedy pijany pasażer próbował mnie obmacywać, zawsze każę producentom kupować dwa miejsca w pierwszej klasie - jedno dla mnie, drugie dla świętego spokoju. Zsunęłam z nóg bląhniki¹⁶, wyjęłam ipoda, włożyłam do uszu słuchawki i się odprężyłam. Zauważyłam, że siedzenie ze słuchawkami w uszach to najlepszy sposób, żeby nieznośni wielbiciele i łowcy autografów wśród pilotów i stewardes trzymali się z daleka. Dzięki słuchawkom mogę obserwować otoczenie, nie musząc na nic reagować.

¹⁶ Bląhniki - buty zaprojektowane przez Manola Bląhnika.

Siedzę więc tak sobie w swym osobistym cyfrowym ekosystemie, a tu pojawia się stewardesa z kobietą w towarzystwie małego chłopca.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Shabnamji¹⁷ - zaczyna tonem, jakiego one zwykle używają, kiedy chcą, żeby pasażer poszedł im na rękę, na przykład przeniósł się na inne miejsce. - Pani Daruwala ma pani coś bardzo ważnego do powiedzenia.

¹⁷ Dodanie „ji” do imienia jest wyrazem szacunku. Dlatego kobieta zwraca się do Shabnam per Shabnamji.

Spojrzałam na panią Daruwala. Wyglądała dokładnie tak jak kobieta pars¹⁸ w filmach - była potężna, o jasnej, rumianej cerze. Miała na sobie cyklamenowe sari i pachniała talkowym pudrem. Zdecydowanie klasa ekonomiczna.

¹⁸ Pars - członek społeczności zaratusztriańskiej żyjącej głównie w Indiach. Parsowie są potomkami perskich zaratusztrian, którzy około tysiąca lat temu przywędrowali na subkontynent indyjski.

- Och, Shabnamji, co to za zaszczyt dla nas spotkać panią - powiedziała pełnym zachwyty śpiewnym głosem.

Zrobiłam uprzejmą, lecz chłodną minę, tę, która mówi „Toleruję cię, ale mnie nie interesujesz, więc się pośpiesz”.

- To Sohrab, mój syn. - Wskazała chłopca w za dużym niebieskim garniturku i muszce. - Sohrab jest pani największym wielbicielem na świecie. Widział wszystkie filmy z panią.

Uniosłam brwi. Połowa moich filmów jest tylko dla dorosłych, więc albo matka kłamała, albo syn był karłem. Twarz pani Doruwala spoważniała.

- Niestety, mój kochany Sohrab ma białaczkę. Raka krwi. Leczyliśmy go w centrum Sloana-Ketteringa¹⁹, ale lekarze już nie dają nam nadziei. Mówią, że zostało mu tylko kilka miesięcy życia.

¹⁹ Memoriał Sloan-Kettering Cancer Center - najstarszy i największy na świecie prywatny ośrodek leczenia raka.

Głos jej się załamał, po policzkach popłynęły łzy. Uświadomiłam sobie, że scenariusz się zmienił, więc natychmiast zrobiłam minę pełną

troski, tę, której używam, kiedy dla reklamy odwiedzam hospicja dla chorych na raka i AIDS.

- Och, jak mi przykro. - Ścisnęłam dłoń pani Durawala i uśmiechnęłam się pocieszająco do chłopca. - Sohrab, chcesz ze mną porozmawiać? Może usiądziesz koło mnie? - Zabrałam torebkę z sąsiedniego miejsca i położyłam na podłodze.

Sohrab od razu przyjął propozycję i rozsiadł się na 1B, jakby całe życie podróżował pierwszą klasą.

- Mamusiu, możesz nas zostawić na chwilę samych? - powiedział stanowczym tonem, jak szef odprawiający sekretarkę.

- Oczywiście, synku. Ale nie męcz Shabnamji. - Piani Daruwala otarła łzy i posłała mi promienny uśmiech. - To dla niego jak sen na jawie. Proszę mu poświęcić kilka chwil pani cennego czasu. Jeszcze raz przepraszam - dodała i poczłapała na swoje miejsce.

Spojrzałam na Sohraba. Gapił się na mnie niczym zazdrosny kochanek. Jego przenikliwy wzrok był trochę niepokojący. Ciekawe, w co ja się pakuję, pomyślałam.

- Ile masz lat, Sohrab?

- Dwanaście.

- To fajny wiek. Człowiek dużo się uczy i dużo rzeczy go czeka, prawda?

- Mnie już nic nie czeka. Nie dożyję przyszłego roku. Najdalej za trzy miesiące będę martwy - odpowiedział beznamiętnie, bez śladu emocji na twarzy. Frankenstein by tego nie zrobił lepiej.

- Och, nie mów tak. Jestem pewna, że wyzdrowiejesz. - Delikatnie poklepałam go po ramieniu.

- Nie wyzdrowieję. Ale to nieważne. Dla mnie jest ważne, żebyśmy się przed śmiercią czegoś dowiedzieli.

- A co chcesz wiedzieć?

- Proszę obiecać, że pani odpowie.

- Obiecuję - uśmiechnęłam się nieszczercze. Teraz już będzie łatwiej, pomyślałam. Z małymi fanami potrafię sobie świetnie radzić.

Interesuje ich tylko, jaki jest mój ulubiony film, jakie mam plany i czy zamierzam zagrać razem z ich ulubionym aktorem. - Proszę bardzo, Sohrab. - Strzeliłam palcami. - Pytaj.

Pochylił się w moją stronę.

- Czy pani jest dziewczicą? - szepnął.

Lepszego dowodu na to, że siedzi koło mnie mały świr, nie potrzebowałam.

To był oczywiście koniec mojej rozmowy z tym pacanem - od razu kazałam mu się wynosić. Stewardesa też dostała za swoje, dzięki czemu aż do końca lotu żaden śmiertelnie chory pasażer nie zwracał mi głowy.

Później, kiedy już ochłonęłam, zastanowiłam się nad pytaniem Sohraba. Było prostackie i niegrzeczne, ale z pewnością tych dwadzieścia milionów Hindusów, którzy twierdzą, że się we mnie kochają, też by chciało znać na nie odpowiedź.

Hindusi dzielą kobiety na dwie kategorie - dostępne i niedostępne. Matki i siostry to świętość. Cała reszta jest pożywką dla ich chorych marzeń i onanistycznych fantazji. Każdą dziewczynę w T-shircie uważają za dziwkę. Mnie najczęściej widzą w dopasowanych strojach, z biustem wypiętym do kamery, z biodrami podrygującymi w rytm jakiejś wpadającej w ucho melodii. Nic dziwnego, że któryś mnie nazwał pierwszorzędnym obiektem snów erotycznych. A im bardziej wydaję się niedostępna, tym bardziej jestem pożądana. Piszą do mnie listy własną krwią, grożą, że jak nie dostaną mojego zdjęcia z autografem, to się zabiją. Niektórzy przysyłają bibułki poplamione spermą. Otrzymuję tysiące ofert małżeńskich - od wsiowych półgłówków, samotnych kierowników telefonicznych centrów obsługi klienta. Pewne czasopismo dla panów złożyło mi zawsze aktualną propozycję sesji zdjęciowej nago i przysłało czek in blanco. Nawet kobiety ślą mi *rakhi*²⁰ i ogłaszają mnie siostrą, w nadziei że pomogę uchronić ich mężczyzn przed zejściem na manowce. Dziewczynki piszą do mnie listy z pochlebstwami i proszą, żebym się za nie modliła o podobną urodę.

²⁰ *Rakhi* - ozdobna święta plecionka. Siostra zawiązuje *rakhi* na przegubie brata jako symbol łączącej ich więzi uczuciowej.

96-66-91 - oto moje magiczne liczby. W dobie silikonu jestem przykładem naturalnego piękna i niefałszowanej obfitości. Nic oprócz anatomii, choć mój urok to więcej niż centymetry. Promieniuję organiczną słodyczą, która pobudza i rozpala mężczyzn. Oni nie widzą mnie. Widzą tylko moje piersi, zatracają się w nich, zapominają języka w gębie, godzą się na każdą moją zachciankę, każdy kaprys. Ktoś powie, że to cyniczne wykorzystywanie czyjś sfumionego id albo niesprawiedliwy przywilej znanej osobistości, ale dzięki temu mam wszystko, czego chcę od życia, a nawet więcej.

Wygląd człowieka się zmienia, ale życie jest niezmiennie wspaniałe i przyjemne. Tak powiedział Friedrich Wilhelm Nietzsche, mój mistrz. Przez ostatnie trzy lata czerpałam z życia tyle przyjemności, ile się tylko dało, ale czy to rekompensuje nędzę poprzednich dziewiętnastu lat?

31 marca

Dziś byłam najważniejszym gościem wśród uczestników ceremonii dla uczczenia pamięci Meeny Kumari, „królowej tragedii”, która zmarła trzydzieści pięć lat temu. Program był strasznie nudny, przeplatany takimi samymi obłudnymi przemówieniami, jakie się słyszy podczas każdej uroczystości wręczenia nagród, i zrodził we mnie pytanie: Czy wizerunek aktora to tylko to, co widać na ekranie? Kino jest takie jednowymiarowe, po prostu strumień światła, który Jean-Paul Sartre nazywał „wszystkim, niczym i wszystkim sprowadzonym do niczego”. Gdybym miała być oceniana wyłącznie na podstawie moich filmów, zostałabym zapamiętana jako pusta, atrakcyjna lalka. Jestem jednak czymś znacznie więcej niż błahym celuloidowym marzeniem, a kiedy zostanie wydany mój dziennik (oczywiście po stosownym zredagowaniu), świat też się o tym przekona. Już nawet wymyśliłam doskonały tytuł: „Kobieta nieprzeciętna. Dziennik Shabnam”.

19 kwietnia

Aishwarya Rai²¹ wyszła dziś za mąż. Chwała Bogu! Teraz rzuci film. Jedna konkurentka mniej. Zeszłoroczny „Trade Guide” umieścił mnie na swojej liście dziesięciu czołowych bohaterek indyjskich filmów na czwartej pozycji, za Aishwaryą, Kareeną i Priyanką. Teraz jestem numerem trzy.

Dla moich fanów i tak jestem pierwsza. Oni wiedzą, że zaszłam w filmie tak daleko własnym wysiłkiem, nie dzięki tytułowi Miss Świata ani pochodzeniu z rodziny, która jest od pokoleń *filmi*²².

W każdym razie mój plan na ten rok jest jasny:

Zostać numerem jeden.

Zostać numerem jeden.

Zostać numerem jeden.

²¹ Aishwarya Rai - czołowa aktorka hollywoodzka. W 1994 roku zdobyła tytuł Miss Świata.

²² *Filmi* - związany z indyjskim przemysłem filmowym.

20 maja

W domu od rana rozgardiasz. Sześciu robotników w niebieskich kombinezonach wtargnęło do sypialni i łazienki i zakłóca mi spokój. Kieruje nimi Bhola. Wykrzykuje polecenia, jakby był inżynierem z Departamentu Robót Publicznych. To Bhola wpadł na pomysł, żeby w łazience założyć nowe oświetlenie, takie schowane, że nie widać żarówek. Wygląda naprawdę ładnie, zwłaszcza kiedy się przyćmi światło - jak gwiazdy na niebie. W sypialni wymieniają stary żyrandol z Firozabada²³ na nowiuteńki kryształowy od Swarovsky'ego i jeszcze coś tam reperują.

²³ Firozabad - miasto w północnych Indiach słynące z fabryki szkła.

Muszę powiedzieć, że Bhola mnie przyjemnie zaskoczył. Kiedy się zostaje gwiazdą, odnajdują się dawno zapomniani wujowie i ciotki, dalecy kuzyni i nigdy niewidziani siostrzeńcy. Bhola był jednym z takich

dalekich krewnych. Zjawił się pewnego słonecznego poranka, oznajmił, że jest synem mojej ciotki Jaishree z Mainpuri²⁴, i poprosił, żebym mu załatwiła rolę w filmie. Rzuciłam na niego okiem i wybuchnęłam śmiechem. Ze swoimi przylizanymi tłustymi włosami, sterczącym brzuchem i wsiowymi manierami bardziej się nadawał na pole niż na ekran. Ale ujął mnie swoją niezdarnością, więc go zatrudniłam jako pomocnika sekretarza i służącego w jednej osobie i obiecałam mu rolę, jeśli będę z niego zadowolona. Od tamtej pory minęły dwa lata. Myślę, że nawet jeśli porzucił marzenie o aktorstwie, to naprawdę zabłysnął jako pomocnik. Nie tylko jest użyteczny, kiedy trzeba się pozbyć natrętnych fanów i zbieraczy autografów, ale zna się na elektronice i komputerach (ciągle jeszcze się ich boję). W dodatku okazało się, że ma głowę do finansów, więc zaczęłam mu stopniowo powierzać rachunki. Terminami nadal jednak zajmuje się moja sekretarka Rakeshji, którą mam razem z Rani²⁵.

²⁴ Mainpuri - miasteczko w stanie Uttar Pradeś.

²⁵ W Bollywood jest przyjęte, że aktorzy mają wspólne sekretarki. Rani to Rani Mukherjee, znana aktorka hollywoodzka.

Bhola nie ma szczególnych uzdolnień, prawdziwego talentu. Jest przeciętny. Ale świat składa się przecież z takich ludzi. Całkiem zwyczajnych, których jedynym zajęciem jest służenie niezwykłym, wyjątkowym, sławnym...

31 maja

Bolą mnie palce. Właśnie skończyłam podpisywanie blisko dzieściuset listów. Jest to rytuał, który muszę wykonywać cztery razy w roku; jeszcze jedna niewysoka cena gwiazdorstwa.

Owe listy to odpowiedzi na listy fanów, którzy piszą do mnie ze wszystkich stron świata, od Agry po Zanzibar. Pięć tysięcy listów tygodniowo, dwadzieścia tysięcy na miesiąc. Spośród nich moja rzeczniczka prasowa Rosie Mascarenhas wybiera mniej więcej tysiąc, na które odpisujemy. Odpowiedź to formułka mówiąca o tym, jak mnie

cieszy korespondowanie z wielbicielami, coś tam o najbliższych planach i na koniec życzenia zdrowia, szczęścia, pomyślności. Do każdego listu dołączamy moją błyszczącą fotografię - sliczną, skromną dla kobiet i dzieci, umiarkowanie pikantną dla mężczyzn. Rosie proponowała, żeby listy podpisywało za mnie specjalne urządzenie, ale się nie zgodziłam. Żyję w nierealnym świecie filmów, gdzie wszystko jest podrabiane, więc niech chociaż mój podpis będzie prawdziwy. Wyobrażam sobie radość na twarzach fanów, gdy otworzą list i zobaczą moje zdjęcie, te okrzyki zaskoczenia i zadowolenia. Potem list zostanie pokazany rodzinie i znajomym. W jego blasku będzie się przez jakiś czas pławić całe sąsiedztwo. Przez wiele dni będzie się o nim mówiło, dyskutowało, ludzie będą go całowali i ronili nad nim łzy. Może go skopiują, zafolują, oprawią w ramki, nawet zaczną czcić.

Palce przestają mnie boleć.

Rosie z zasady nie otwiera listów z napisem „Osobisty” i „Poufny”. Trafiają od razu do mnie i dostarczają mi rozrywki na całe godziny. Żaden nardal na świecie nie jest tak zafascynowany gwiazdami filmowymi jak Hindusi. Co drugi chce zostać aktorem, przyjechać do Bombaju i zrobić karierę w Bollywood. Tacy marzyciele piszą do mnie z zapadłych wiosek, sklepików z betelem, malarycznych bagien i osad rybackich. W hindi z błędami i łamaną angielszczyzną, niezgrabnymi zdaniem o kulawej składni dzielą się ze mną marzeniami, proszą o radę, pomoc, czasem o pieniądze. Większości listów towarzyszą fotografie, na których są wystrojeni, nadęci, z głupawym uśmiechem, z zaciętą miną, próbując w jednej klatce zawrzeć całe swe pragnienie, zaangażowanie, desperację, w nadziei, że to zmiękczy serce producenta. Jednak choć bardzo się starają, bezlitosny obiektyw aparatu ujawnia nieokrzesanie. O ich absolutnym prostactwie i wulgarności świadczą pozy, które są również oznaką głupoty i skrajnej nieporadności.

Szczególnie poruszające są dla mnie listy od dziewcząt. Czasem piszą nawet trzynastolatki. Dla kwadransa sławy gotowe są uciec z domu, porzucić rodzinę. Nie mają pojęcia, z czym to się w Bombaju łączy, ile

kosztuje. Zanim się w ogóle dostaną na casting, zwabi je do podejrzanego salonu masażu albo obscurnego burdelu jakiś brudny fotograf czy elokwentny agent i w zetknięciu z koszmarną rzeczywistością seksualnej niewoli ich kruche marzenie o karierze gwiazdy rozpadnie się w proch.

Jednak na podstawie własnego doświadczenia postanowiłam na takie listy nie odpisywać. Nie mam ochoty wtrącać się w niczyje nędzne życie ani władzy, by zmienić czekający kogoś marny los. Obowiązuje prawo dzungli. Przetwarzają tylko najlepiej przystosowani. Reszta trafi na śmietnik historii. Albo na śmietnik społeczeństwa.

16 czerwca

Dzisiaj znowu zadzwonił Vicky Rai. Prześladowuje mnie od dwóch lat. Utrapienie. Ale Rakeshji mówi, że nie powinnam być taka uparta, bo przecież on jest kimś w rodzaju producenta i ma wpływy.

- Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? - spytał.
- Bo nie ma o czym. Skąd znasz mój nowy numer?
- Wiem, że zmieniasz numer co trzy miesiące, ale mam swoje sposoby. Nigdy mnie nie doceniałaś, Shabnam. Dużo mógłbym dla ciebie zrobić.

- Na przykład?
- Na przykład załatwić ci nagrodę państwową. Mój ojciec mógłby pociągnąć za kilka sznurków w rządzie. Tylko mi nie mów, że nie chcesz nagrody państwowej. Filmfare i Hero Honda są w porządku, ale w końcu każdy dobry aktor pragnie nagrody państwowej. To największe osiągnięcie.

- W tej chwili nie interesują mnie nagrody.
- A jakbym ci zaproponował rolę w swoim następnym filmie? Ma tytuł „Plan B”. Już zaangażowałem do niego Akshay. Zaczynamy kręcić w czerwcu.

- Nie mam w czerwcu żadnych wolnych terminów. Będę na zdjęciach w Szwajcarii, z panem Dhawanem.

- Jeśli nie masz wolnego miesiąca, to chociaż wolny wieczór? Jeden wieczór.

- Po co?

- Mam ci to teraz przeliterować? Spotkajmy się w Delhi, ja się już wszystkim zajmę. A może wolisz, żebym przyjechał do Bombaju?

- Wolę, żeby pan już skończył tę rozmowę i więcej nie zawracał mi głowy, panie Vicky Rai - powiedziałam stanowczo i wyłączyłam komórkę.

Co ten drań sobie myśli? Że jestem na sprzedaż? Mam nadzieję, że go skażą za zamordowanie Ruby Gill i zgnije w więzieniu.

30 lipca

Jaj Chatterjee tak mnie wyprowadził z równowagi, że miałam ochotę drzeć sobie włosy z głowy. To chyba najzdolniejszy ze wszystkich reżyserów, ale jednocześnie najbardziej ekscentryczny. Spotkał mnie dzisiaj w RK Studios i powiedział, że postanowił mnie obsadzić w swoim nowym filmie.

Dostałam dreszczy z podniecenia. Każdy jego film to nie tylko wielki hit, ale także mnóstwo nagród. Jaj jest Stevenem Spielbergiem Bollywood.

- O czym to będzie? - zapytałam, starając się powstrzymać trzęsionkę.

- O dziewczynie i chłopaku.

- Co to za dziewczyna?

- Bardzo piękna, z bardzo bogatej rodziny - powiedział właściwym sobie marzycielskim tonem, przebijając w powietrzu palcami, jakby grał na fortepianie. - Nazwijmy ją Chandni. Jej rodzice chcą, żeby wyszła za syna przemysłowca, ale trzeba trafu, że Chandni zakochuje się w tajemniczym włóczędze, nazwijmy go K.

- Wspaniale!

- K jest nie całkiem z tego świata. Ma hipnotyczną siłę przyciągania, która ścina Chandni z nóg. Jest nim zauroczona, staje się jego

niewolnicą i dopiero wtedy sobie uświadamia, że K jest księciem ciemności.

- Jej! Czyli diabłem?

- *Exactement!* Mam zamiar opowiedzieć tę historię na dwa glosy, Chandni i K. Przenikanie się tych opowieści, napięcie dramatyczne między nimi, doda siły narracji. Co ty na to?

Głęboko odetchnęłam.

- Myślę, że to coś nadzwyczajnego. Coś, czego w indyjskim kinie jeszcze nie widziano. Szykuje się następne arcydzieło Jaja Chatterjeego.

- Więc zgoda? Będziesz moją Chandni?

- Jasne! Kiedy początek zdjęć? Od razu zarezerwuję dla ciebie terminy.

- Gdy tylko znajdę kogoś do roli K.

- Jak to?

Chatterjee dotknął zwichrzonej brody.

- Chcę stworzyć nowy model gniewnego młodego mężczyzny - ciągnął po chwili. - Dla K. Pomyślałem, że dość już chyba pokazywania publiczności wciąż takich samych umiędzionych przystojniaków udających bohaterów kina akcji czy gamoniów o czekoladowych twarzach, którzy udają królów romansu. Ludzie pragną zmiany, są złąknieni czegoś nowego. Chcę, żeby K tę zmianę zwiastował. On będzie superquasi-bohaterem, o cechach zarówno bohatera, jak i czarnego charakteru. Twardym, a jednak miękkim. Brutalnym, lecz czułym. Kimś, czyj wygląd sprawia, że mięknie ci serce, a gniew mrozi krew w żyłach.

- Myślę, że do tej roli świetnie by się nadawał Salim Ilyasi.

- Jestem tego samego zdania. Kłopot polega na tym, że on nie chce ze mną pracować. - Chatterjee zrobił ponurą minę.

- Dlaczego?

- Popęniłem błąd - w pewnym wywiadzie wypowiedziałem się niepochlebnie o jego mistrzu Ramie Mohammadzie Thomasie.

- Co w takim razie masz zamiar zrobić?

- Spróbuję znaleźć innego Salima Ilyasiego. Dopóki mi się to nie uda, film będzie musiał poczekać.

Czy ktoś kiedyś słyszał coś równie idiotycznego? Film czeka, lecz nie z braku scenariusza czy kierownika finansowego, tylko aktora, który może nawet w ogóle nie istnieje. Ale cóż, to jest Jaj Chatterjee. A kiedy mówi czekaj, to się czeka. No więc poczekam.

2 sierpnia

Ten list przyszedł dzisiaj, z dopiskiem na kopercie „Prywatny”.

Szanowna *Didi*²⁶ Shabnam,
mam nadzieję, że z łaski Boga masz się dobrze. Ram Dulari pada do Twoich stóp. Jestem braminką maithil²⁷, mam dziewiętnaście lat, mieszkam w Gaurai w powiecie Sonebarsa w dystrykcie Sitamarhi i jako jedyna dziewczyna w wiosce zdałam do szóstej klasy. Teraz mam straszny kłopot. Do wsi przyszła wielka powódź i wszystko zatopiła. Woda zabrała nam dom i bydło, szanowni ojciec i matka utonęli. Mnie uratowała łódź wojskowa. Najpierw byłam w bardzo złym obozie z podartych namiotów w Sitamarhi, ale teraz mieszkam w domu najlepszej przyjaciółki Neelam w Patnie.

²⁶ *Didi* - starsza siostra.

²⁷ Bramini maithil - grupa najwyższych kast bramińskich, które nadal starają się przestrzegać zasad starego hinduizmu. Większość braminów maithil żyje w stanie Bihar, który niegdyś nazywał się Mithila.

Nic o Tobie nie wiedziałam, bo w wiosce nie ma wielkiego kina jak w Patnie. Ale Neelam obejrzała mnóstwo Twoich filmów i nazywa mnie Twoją młodszą siostrą. Zrobiła mi zdjęcia swoim aparatem i mówi, żebym Ci wysłała.

Jestem bardzo dobrą kucharką i znam dużo przepisów, *nagulab jamun*²⁸ i *sooji ka halwa*²⁹ też. Ładnie szyję, a sweter robię na drutach w dwa dni. Jako braminka maithil gotuję ściśle według zasad, wszystko wegetariańskie, i pamiętam o świętach i postach.

²⁸ *Gulab jamun* - indyjski deser: ciasto smażone w głębokim tłuszczu, podawane w syropie z wodą różaną.

²⁹ *Sooji ka halwa* - indyjski deser z kaszy manny.

Uprzejmie proszę, napisz do mnie na podany adres i pomóż, zabierz do Bombaju, daj schronienie i pracę. Niech Cię Bóg obsypie błogosławieństwami.

Padam do nóg wszystkim starszym w Twojej rodzinie i pozdrawiam dzieci.

Twoja młodsza siostra, Ram Dulari

Nie ma w tym liście niczego nadzwyczajnego. Dostaję dziesiątki propozycji od dziewcząt i chłopców gotowych pracować jako moi słuźący tylko za sam honor mieszkania ze mną pod jednym dachem. W liście Ram Dulari zaintrygowały mnie jednak słowa o młodszej siostrze. Od razu pomyślałam o mojej prawdziwej siostrze, Sapnie, też dziewiętnastolatce, która prawdopodobnie wciąż jest w Azamgarhu³⁰ z rodzicami, chociaż nie jestem pewna, bo ani z nią, ani z nimi nie miałam kontaktu od trzech lat. Wykreślili mnie ze swojego życia, ale ja nie potrafię ich wykreślić z pamięci.

³⁰ Azamgarh - małe miasto w stanie Uttar Pradeś.

No więc wyjęłam te zdjęcia z koperty. Zwyczajne - dziesięć na piętnaście, błyszczące. Spojrzałam na pierwsze i omal nie spadłam z krzesła. Zobaczyłam własną twarz. Te same duże, ciemne oczy, mały nos, pełne wargi, zaokrąglona broda.

Szybko popatrzyłam na drugie. Przedstawiało Ram w tanim zielonym sari opartą o drzewo. Miała nie tylko moją twarz, ale i figurę. Jedyna widoczna różnica to były włosy. Jej - długie, czarne, błyszczące sploty, moje - ostrzyżone na pazia, asymetrycznie, według najnowszej mody. Poza tym mało istotnym szczegółem podobieństwo po prostu rzucało się w oczy. Ram Dulari była moim sobowtórem.

Uderzyło mnie w tych zdjęciach również to, że Ram wyglądała na nich tak naturalnie, bez śladu sztuczności, udawania, chęci upodobnienia się do mnie. Po prostu taka była. Nie zdawała sobie sprawy z własnej

urody. Poczulałam łączącą mnie z nią więź. Mnie, mieszkającą w najlepszym mieście w Indiach, w luksusowym apartamencie z pięcioma sypialniami, z nią, nieszczęsną sierotą, która ledwie uszła z życiem z powodzi i mieszka w środku stanu Bihar, gdzie swobodnie grasują bandy. Od razu postanowiłam, że jej pomogę, że już jutro rano wyślę do Patny Bholę, żeby przywiózł Ram Dulari do Bombaju.

Nie wiem, co z nią zrobię. Mam już wystarczająco dużo służących, nawet braminów. Ale wiem, że nie mogę zostawić tej biednej dziewczyny na pastwę losu, nie mogę być obojętna wobec jej cierpienia. Dlatego wpłynę na bieg jej życia, zmienię jej dolę.

Ale czy w ten sposób zmienię też własną?

4.

AUTOCHTON

Płacz dochodził z chaty na środku polany. Przeciągłe zawodzenie przerywane szlochaniem, jak na pogrzebie. Ból w głosie narastał, słabł, znów się wzmagał, w rytm fal, którymi ocean walił z impetem w pobliski pomost. Był początek października. Wściekły monsun Kwalakangne z południowego zachodu złagodniał i dni znów zaczęły się robić upalne. Wyjście w południe pod palące słońce wymagało samozaparcia.

Przed chatą stali i patrzyli na siebie Melarne i Pemba.

- To już trzecia śmierć w tym sezonie - powiedział starszy z mężczyzn drżącym głosem. - Zastępy *eeka*³¹ rosną.

³¹ *Eeka* - w języku onge duch.

Pemba ponuro pokiwał głową.

- Gdy mnożą się złe duchy, może być tylko gorzej. Jak tak dalej pójdzie, nasze plemię wkrótce wymrze niczym diugon³².

³² Diugon - niemal wymarły duży ssak morski żyjący w Oceanie Indyjskim. Pod nazwą „krowa morska” występuje w Biblii.

- Ach, diugon! Już prawie zapomniałem, jak smakuje - odparł Melarne tęsknym głosem i mlasnął spierzchniętymi wargami.

- Pemba wciąż pamięta. Upolowałem jednego na swoją inicjację - powiedział Pemba.

- Byłeś wielkim myśliwym, jednym z naszych najlepszych - pochwalił go Melarne. - Nie to, co dzisiejsi młodzi, którzy świętują *tana-giru*³³, pijąc piwo i colę, w dodatku zrobione przez obcych!

³³ *Tanagiru* - ceremonia inicjacyjna związana z przyjęciem chłopca do grona mężczyzn.

- Masz rację, wodzu. Cóż tu można powiedzieć? Mój Eketi nie jest lepszy. Ciągłe się szwenda po urzędzie opieki społecznej, w nadziei że coś mu kapnie. Mówią, że za papierosy sprzedaje pracownikom miód i ambre³⁴. Kilka razy przyłapałem go na paleniu. Co za wstyd. - Pemba zwiesił głowę.

³⁴ Ambra - przypominająca wosk szarawa substancja powstająca we wnętrzościach kaszalotów. Znajduje się ją na powierzchni morza lub na brzegu. Dodana do perfum, zmniejsza szybkość ich parowania.

- Myślę, że przyszedł już czas, żeby się zwrócić do szamana - powiedział Melarne. - Dziś będziemy zajęci pogrzebem Talai, więc niech się rada zbierze jutro rano. Powiadom wszystkich dyskretnie. Spotkamy się w lesie, w chacie Nokai, z dala od wścibskich oczu ludzi z urzędu. Zwłaszcza jeden lubi węszyć, chyba ma na imię Ashok.

- Święta prawda, wodzu. Coś za bardzo się interesuje naszym plemieniem. Dzieciaki nadały mu przywisko Gwalen, Podglądacz - zaśmiał się Pemba.

- Jest niebezpieczniejszy od węża. Dopilnuj, żeby nie wyniuchał czegoś o naszych planach.

- Tak jest, wodzu. - Pemba skłonił głowę.

Las był w różnych odcieniach zieleni, gdzieniegdzie muśnięty różem i bielą. Po gałęziach pięły się orchidee, tu i ówdzie sterczały niczym mrowiska kępy lilii. Na tle nieba rysowały się trójkątne sylwetki stojących jak na warcie cedrów himalajskich. Zewsząd dochodziły odgłosy toczącego się życia. Monotonnym brzęczeniem dawały o sobie znać chmary komarów. Zza zasłony liści krzyczały niewidoczne papugi. W zaroślach dzwoniły cykady. Przez podszycie prześlizgiwały się jaszczurki i węże.

Melarne stał na polance w cieniu wyniosłego drzewa *garjan* przed chatą szamana i obserwował swoje stadko. Kobiety były jak zwykle zajęte robieniem wisiorków z orzechów i muszelek, zbieraniem chrustu, splataniem włosów. Mężczyźni specjalnymi toporami ciosali z bala łódź.

Głęboko odetchnął powietrzem jeszcze pachnącym poranną rosą i spojrzał smutnym wzrokiem na las. Ten niewielki obszar był jedynym skrawkiem zieleni, jaki jeszcze pozostał na wyspie. Osadę Dugong Creek szpeciły pniaki. Drogą biegnącą brzegiem Małego Andamanu codziennie toczyły się z łoskotem rozklekotane ciężarówki wylądowane po brzegi drewnem, powoli ogoławając wyspę z okrywy leśnej. Niemal wszędzie były teraz pola ryżowe i plantacje palm kokosowych. Tylko tutaj mieszkańcy wyspy mogli nadal słyszeć śpiew ptaków i być sobą, nadzy, wolni i pełni życia.

- Przyjęta gotowa? - spytał wódz. Pemba kiwnął głową i wskazał duży gliniany garnek stojący u jego stóp. Melarne z zadowoloną miną zastukał w drzwi stożkowej chaty Nokai. Okap krytego strzechą dachu sięgał tak nisko, że aby się do niej dostać, trzeba się było czołgać.

- Odejdź - krzyknął *torale* z wnętrza chaty. - Nokai miał złe sny. Nie może wyjść.

Melarne westchnął. Szaman był milczkowatym samotnikiem, który chyba nigdy się nie odważył opuścić lasu i któremu zawsze trudno było dogodzić. Jednak bez jego umiejętności leczenia i czynienia czarów plemieniu trudno by było żyć. Potrafił powstrzymać sztorm, wkładając zmiążdżone liście pod kamień na brzegu morza; potrafił na podstawie zmarszczek na twarzy wywróżyć nadchodzącą chorobę; wystarczyło, że poklepał ciężarną po brzuchu, i już mógł jej powiedzieć, czy urodzi chłopca, czy dziewczynkę. Tylko *torale* wiedział, jak się ustrzec złych duchów, a jak sobie zjednać dobre; jak chronić plemię podczas zaćmienia księżyca i co trzeba zrobić, żeby nie podziałała klątwa. Melarne był przekonany, że z wyjątkiem wskrzeszenia zmarłego, Nokai potrafi uczynić każdy cud. Nie dawał więc za wygraną.

- Zobacz, mądry starcze, cośmy przynieśli. - Podniósł garnek z ziemi. - To mięso zółwia, świeżutkie. Pemba złapał go wczoraj. - Zdjął z garnka pokrywkę, wokół rozszedł się smakowity zapach.

Nokai miał słabość do zółwiny.

Przynęta podziałała. Drzwi się otworzyły, wysunęła się pokryta pomarszczoną skórą ręka, chwyciła garnek i zabrała go do środka. Po dłuższym czasie drzwi znowu się otworzyły i *forale* pozwolił im wejść. Melarne i Pemba prześliznęli się przez ciasne wejście.

Wnętrze chaty było przestronne. Pośrodku na podwyższeniu znajdowało się posłanie. Pod sufitem wisały przeróżne rzeczy

- czaszki zwierząt, muszle łodzików, łuki i strzały, różnokolorowe szmatki. Na ziemi stała drewniana misa pełna skrawków suszonego węzowego i niedźwiedziego mięsa. W kącie w kamiennym naczyniu płonął z trzaskiem ogień. Szaman siedział na wspaniałej skórze tygrysa, którą podobno dostał od króla Belgii za wyleczenie go z pewnej odmiany malarii zwykle powodującej śmierć. U stóp miał pusty garnek, wylizany do czysta.

Przyglądał im się zapadniętymi oczami lśnącymi w półmroku niczym kałuże.

- Co was sprowadza? Dlaczego mnie niepokoiacie? - spytał szorstko.

- Nasz lud ma kłopoty, mądry starcze - odpowiedział Melarne.

- Dzikie świnie zniknęły, zółwie są równie rzadkie jak diugon, członkowie plemienia mrą jak muchy - Talai odszedł trzeci. Czemu duchy są na nas rozgniewane?

- Wszystko dlatego, że utraciliście *ingetayi*³⁵ - odparł Nokai ostro. - To był dar od naszego najślawniejszego przodka Timitiego.

³⁵ *Ingetayi* - kamień z morza.

Znaki na kamieniu wyrzył Tawamoda, pierwszy człowiek. Dopóki ten święty kamień znajdował się w naszych rękach, byliśmy bezpieczni. Nawet niosące śmierć tsunami nie wyrządziło nam nic złego. Przeciwnie, zostaliśmy obdarzeni dziewczynką. Ciężkie czasy nadeszły, gdy

ingetayi zniknął. Jak mogliście do tego dopuścić, że ktoś nam ukradł największą świętość?

- Naprawdę nie wiem, jak to się stało, mądry starcze - odpowiedział zmieszany Melarne. - Trzymaliśmy kamień ukryty głęboko w Czarnej Jaskini na drugim brzegu potoku. Żaden *inene* nigdy się tak daleko nie zapuszcza. Ta kradzież to zagadka.

Nokai czknął i zaczął po omacku szperać w rozrzuconych na skórze tygrysa kościach, grzechotkach i muszlach.

- Spójrzcie. - Podniósł do góry dużą muszlę perłopława. - Kiedyś to było żywe stworzenie, teraz została pusta, martwa muszla. Dlaczego? Bo duch, który w niej mieszkał, odszedł. W *ingetayi* mieszkał Puluga. Kiedy *ingetayi* opuścił Gaubolambe³⁶, Puluga też ją opuścił. Zostaliśmy bez ochrony. Dobre duchy są na nas złe, bo pozwoliliśmy Bogu odejść. One powodują spustoszenie, za ich sprawą ludzie umierają. To jest klątwa *onkobowkwe*³⁷. Oczywiście człowiek, który ukradł święty kamień, też zostanie przeklęty, duchy go nie oszczędzą. Ale nie oszczędzą i nas, bo pozwoliliśmy ukraść *ingetayi*.

³⁶ Gaubolambe - tak członkowie plemienia Oge nazywają swą wyspę, Mały Andaman.

³⁷ *Onkobowkwe* - dobre duchy.

- Więc co mamy robić? Jak się ratować? - spytał Pemba.

- Jest tylko jeden sposób. Ktoś musi odzyskać święty kamień - odparł Nokai.

- Ale najpierw musimy wiedzieć, kto go zabrał i gdzie on teraz jest - powiedział Melarne. - Tylko ty możesz nam pomóc go odnaleźć.

- Tak. I Nokai wam pomoże - skinął głową szaman. - Lecz w zamian za to chcę tyle żółwiowego mięsa, żeby mi wystarczyło na całą porę deszczową, wielki garnek miodu i przynajmniej pięć ładnych świńskich czaszek.

- Zgoda, mądry starcze. Teraz powiedz, kto ukradł święty kamień.

Nokai przysunął naczynie z ogniem bliżej siebie. Spośród rzeczy leżących na skórze wyjął bryłkę czerwonej gliny i trochę brązowych

nasion. Wrzuci! nasiona do ognia, gdzie popękały z trzaskiem. Czerwoną gliną posmarował sobie ciało. Podszedł do posłania, podniósł cienki materac i wyjął spod niego cztery kości.

- To najcenniejsze, co posiadam. Kości samego wielkiego Tomitiego.

Przez szacunek dla sławnego przodka Melarne i Pemba uklękli. Nokai wrócił na tygrysią skórę, rozłożył kości wokół siebie i zwiesił głowę między kolana. Wyglądał, jakby zasnął. Melarne i Pemba usiedli i czekali. Znali szamańskie rytuały. Nokai przygotowywał się do odwiedzenia świata duchów. Brązowe nasiona i czerwona glina odpędzały złe duchy, kości przodka - przyciągały dobre. Dobre duchy wniosą ze sobą do chaty strumień zimnego powietrza. Nie mają wzroku, ale wyczują trzęsące się z zimna ciało *torale*. Zwiążą go jak prosiaka, zarzucą sobie na plecy i pofruną z nim do nieba.

Przez blisko osiem godzin Melarne i Pemba czuwali przy Nokai, bezwładnym jak żółw w bezruchu. Cienie wokół chaty coraz bardziej się wydłużały. Był już późny wieczór, gdy *torale* się nagle przebudził, oszołomiony i zdezorientowany. Oczy miał zamglone, całe ciało pokryte drobnymi skaleczeniami i siniakami.

- Wody, szybko dajcie mi wody! - krzyknął. Pemba miał już przygotowany pełny dzbanek. *Torale* pił łapczywie, woda lała mu się po brodzie. Złapał oddech i oznajmił dramatycznym głosem: - *Ingetayi a-ti-iebe!* - Nokai widział kamień!

Wyczerpany ciężkimi przeżyciami, opowiadał nieskładnie. Pemba i Melarne musieli wyciągać z niego szczegóły. Była to, powiedział, najdłuższa podróż w jego życiu. Przebył cztery oceany i dotarł do kraju *inene*. Unosząc się wysoko, widział po drodze pokryte śniegiem szczyty i kręte rzeki, piaszczyste pustynie i kipiące zielenią doliny, metalowe ptaki fruujące nad chmurami i pełzające po ziemi żelazne węże, które wypuszczały z głów kłęby dymu. Do *ingetayi* zaprowadził go duch samego Tomitiego - przez porośnięte namorzynami bagna do wielkiego,

tętniącego życiem miasta, gdzie betonowe budynki były wyższe niż najwyższe góry, a noc rozjaśniało światło tysiąca słońc, a tam do małego, stojącego nad stawem domu o zielonym dachu. W tym domu, w niewielkim pokoju, leżał na podwyższeniu *ingetayi*, w otoczeniu wizerunków bogów *inene*.

- Powiedz nam, kto tam mieszka, mądry starcze. To musi być ten, kto ukradł kamień - niecierpliwie poprosił Melarne.

- Widziałem w tym domu tylko dwoje ludzi. Starą kobietę w białej sukni i niskiego, łysego mężczyznę o krzaczastych brwiach, wąskich wargach i bulwiastym nosie - powiedział Nokai. - W okularach - dodał.

- Banerjee! - wykrzyknęli jednocześnie Melarne i Pemba, rozpoznawszy w opisanym człowieku urzędnika pomocy społecznej, który w niesłychanym pośpiechu opuścił wyspę dwa miesiące wcześniej.

- Chwała Puludze. Skończą się nasze kłopoty - oznajmił Nokai. - Jak tylko kamień wróci, duchy dadzą się przebłagać. Będziemy mieć dość miodu i świń, i cykad, i żółwi. Nikt nie umrze i nie zostanie *eeke*.

Cała trójka wyszła z chaty i Melarne ogłosił nowinę członkom rady starszych, którzy cierpliwie czekali od rana.

- Teraz tylko pozostaje pytanie, kto się podejmie tego zadania, kto się uda do kraju *inene* i odzyska kamień - rzucił Pemba.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i spuścili oczy. Zapadła cisza. Wiatr ustał. Nawet dzieci biegające ze swoimi małymi łukami i strzałami przerwały zabawę i stały niespokojne i zdezorientowane. Słysząc tylko dobiegający z oddali szum fal rozbijających się na rafach. Atmosfera stała się ciężka.

Nagle z nieba spadła butelka po piwie Kingfisher i rozbiła się u stóp Melamego. Niewiele brakowało, a uderzyłaby Turni, która właśnie karmiła piersią niemowlę. Wszyscy z niepokojem spojrzeli w górę, zastanawiając się, jakie jeszcze kary mają dla nich duchy mieszkające w niebie. Skrzywili się, ujrawszy Eketiego, który się rozsiadł wygodnie na drzewie *garjan* i teraz machał do nich z góry.

- Ty kurza nogo! Złaz natychmiast! - wrzasnął Pemba. - Bo jak nie,

to będę pierwszym ojcem, który poprosi Nokai, żeby mu zamienił własnego syna w psa.

Eketi niechętnie posłuchał. Schodził po wysokim pniu szybko i zwinnie jak małpa. Zeskoczył na ziemię i z potulnym wyrazem twarzy stanął przed ojcem. Jak na członka swojego plemienia był wysoki - miał ponad półtora metra wzrostu - i muskularny. Jego ciało okrywały czerwone szorty z licznymi dziurami i biały T-shirt z logo Dallas Cowboys. Na szyi wisiała mu plastikowa buteleczka z tytoniem do żucia.

- Nikt z was nie odpowiedział na najważniejsze pytanie - Melarne zwrócił się jeszcze raz do starszych. - Kto się podejmie odzyskania świętego kamienia?

Znów zapanowała martwa cisza.

- Co się dzieje z twoim ludem, wodzu? - z przyganą w głosie odezwał się Nokai. - Czyżby nikt nie był gotów bronić honoru plemienia?

Melarne bez słowa spuścił głowę. W końcu ciszę przerwał Eketi.

- Eketi pójdzie - oznajmił spokojnie.

Melarne spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Sądzisz, że sobie poradzisz z tym zadaniem? Widzę cię tylko, jak całymi dniami wałęsas się po plaży, pijesz piwo i colę, próbujesz wyłudzać od cudzoziemców pieniądze.

- Chwała Puludze - przerwał mu Nokai. - Eketi jest bystrzejszy, niż przypuszczasz. Przez trzy sezony uczyłem go swoich sekretów, ale on nie ma ochoty zostać *torale*. Chce podbić świat. Nokai mówi daj mu szansę.

- Jesteś jego ojcem - Melarne zwrócił się do Pemby. - Co o tym myślisz?

Pemba z namysłem pokiwał głową.

- Zgadzam się z Nokai. Jeśli Eketi nie wyjedzie, ci z biura pomocy zrobią z niego niewolnika. Zostanie popychadłem *inene* na całe życie. Niech to będzie jego inicjacja.

- Tak jest - przytakną! Nokai. - Wielka *tanagiru*. Ona tchnie nowe życie w całe plemię. A kiedy Eketi wróci ze świętym kamieniem, powitamy go jak bohatera, tak jak nasi przodkowie witali Tomitiego, gdy przywiózł kamień z wyspy Baratang.

- Wiesz, że to będzie niebezpieczna podróż? - spyta! Melarne Eketiego.

- Eketi jest na to przygotowany - odpowiedział! Eketi poważnym głosem, jakby nagle przybyło mu lat. - Plemię powinno być przygotowane. Od tego zależy nasza przyszłość.

- Nie martw się, Nokai się tobą zajmie - powiedział uspokajająco szaman. - Dam ci jadalne bulwy, które są pod ochroną duchów, i pigułki, które leczą wszelkie dolegliwości. - Wszedł do chaty i wrócił z zuchwą na czarnym sznurku. - Kiedy sobie zawieszysz tę kość na szyi, twoim obrońcą stanie się sam Puluga. Nie spotka cię żadna krzywda.

Eketi klęknął przed szamanem i przyjął jego dar. Potem zdjął T-shirt, zerwał z szyi buteleczkę z tytoniem i zamiast niej założył sobie zuchwę, która na jego czarnej jak węgiel skórze zdawała się fosforyzować.

- A jak ci od pomocy go złapią? - Pemba jednak czuł niepokój. - Wicie przecież, jakie sprawili cięgi Korze, kiedy próbował wejść na ślizgacz bez ich zgody. Ten Ashok to spryciarz. Nawet mówi po naszymu.

Eketi lekceważąco machnął ręką.

- I co z tego? Po angielsku mówię lepiej niż on. To są głupcy, ojcz. Interesują ich tylko pieniądze. Ja ich nie obchodzę. Ale jak się dostanę do Indii? Eketi to nie Nokai, nie potrafi fruwać.

- Przygotujemy dla ciebie łódź - powiedział Melarne. - Najlepszą, jaką kiedykolwiek zrobiliśmy. Wyruszysz, kiedy księżyc będzie niewidoczny. Nikt cię nie zauważy. Jestem pewien, że w ciągu kilku dni zdołasz dotrzeć do kraju *inene*. Wtedy tylko musisz znaleźć to śmierdzące jajo Banerjee i odzyskać skradziony kamień.

- A jak właściwie Eketi odnajdzie Banerjeego?

- Musi znaleźć dom z zielonym dachem.

- Czy wy wiecie, jak wielkie są Indie? - krzyknął Eketi. - Większe niż niebo. Szukanie tego jednego domu z zielonym dachem byłoby jak szukanie ziarenka soli w piasku. Potrzebne mi jest coś, co się nazywa adres. W Indiach każdy to ma. Tego nas uczył w szkole pan Murthy. Kto zna adres Banerjeego?

- Ach, o tym nie pomyśleliśmy. - Melarne podrapał się w głowę. Znowu zapadła cisza.

- Chwała Puludze. Przypuszczam, że będę mógł pomóc - rozległ się czyjś głos. Spośród drzew wynurzyła się ciemna sylwetka.

Mieszkańcy wyspy cofnęli się, zaskoczeni. To był Ashok, jeden z niższych rangą urzędników z biura pomocy społecznej.

- *Kujelli!* - wykrzyknął Pemba, co w języku onge jest odpowiednikiem „O, cholera”, a dosłownie znaczy „Świnia nasikała”.

- Przychodzę jako przyjaciel - oznajmił Ashok płynnym onge i zbliżył się do zebranych. Był to szczupły, gładko ogolony, nieco ponad trzydziestoletni mężczyzna średniego wzrostu, o krótko ostrzyżonych czarnych włosach. - Zabiorę Eketiego do Indii - powiedział. - Znam adres Banerjeego w Kalkucie. Pomogę wam odzyskać święty kamień. Możecie mi go opisać?

Wyjął z kieszeni koszuli długopis i otworzył cienki czarny notatnik.

5.

ZŁODZIEJ

Za mniej więcej sześć minut będę martwy.

Wypiłem całą butelkę Ratkilla 30. Ta silna trucizna właśnie się dostaje do mojego krwiobiegu. Szczura zabija w trzy minuty, człowieka dwa razy wolniej. Moje ciało najpierw zostanie sparaliżowane, później zacznie powoli sinieć. Serce będzie biło coraz bardziej nieregularnie, wreszcie stanie. Moje dwudziestojednoletnie życie nagle dobiegnie końca.

Pora sobie przypomnieć o Bogu, powiedziałaaby matka. Żałować za grzechy. Tylko po co? Sziwa nie zejdzie z góry Kajlasz³⁸, żeby mnie wyciągnąć z tarapatów. Nam biedakom on nigdy nie pomaga. Jest tylko dla bogatych. Dlatego, chociaż mieszkam w świątyni, nie wierzę w Boga.

³⁸ Góra Kajlasz jest uważana za siedzibę Sziwy.

Mój nieżyjący przyjaciel Lallan pewnie by podejrzewał, że udaję samobójstwo, bo chcę zrobić wrażenie na jakiejś lasce. Ale to nie jest farsa. Ani nawet samobójstwo. To jest morderstwo.

Stoi przede mną i celuje mi w brzuch z rewolweru, z drogiej zagranicznej spluwy, pan Dinesh Pratap Bhusiya. To on kazał mi wypić truciznę na szczury. Mając do wyboru śmierć od kuli i śmierć od trucizny, wybrałem to drugie. Przynajmniej nie będzie bolało, chociaż ta wodnista brązowa ciecz miała okropny smak, jakby się łykało błoto.

W oczach pana Bhusiyi, jak tak się przygląda mojemu umieraniu, widać błysk szaleństwa. Ze wszystkich braci Bhusiyów ten jest najmniej-bezpieczniejszy. Któregoś dnia widziałem, jak męczył swojego psa, dźgając go ostrym patykiem w oko. Prawdę mówiąc, skłonności do obłędu można się dopatrzeć u całej tej rodziny. Starszy brat Dinesha, Ramesh, to niepoprawny cudzołożnik, który nie przepuści żadnej dziewczynie w okolicy, czy to sprzątaczką, czy praczką, gdy jego gruba żona spędza czas w salonie piękności. Młodszy, Suresh, jest z kolei niepoprawnym fałszerzem żywności sprzedającym zanieczyszczone produkty niczego niepodejrzewającym klientom. W jego sklepie spożyjemy przy Andheria Modh³⁹ wszystko jest sfalszowane. Do grochu dosypuje żwir, do ryżu piasek, do przypraw sztuczne barwniki, do mąki kredę. Sprzedaje sfalszowane mleko, sfalszowany cukier, sfalszowaną colę, nawet sfalszowaną butelkowaną wodę. Jak się zastanowić, to właściwie trudno powiedzieć, który brat jest najgorszy. Trochę dlatego, że każdy jest wypisz, wymaluj jak pozostali dwaj. Czasem nawet ja nie wiedziałem, z którym rozmawiam. Ich ojciec, pan Jai Pratap Bhusiya, też jest dokładnie taki jak synowie, tyle że starszy model. Kobiety Bhusiyów mają chyba jakiś szablon, dzięki któremu kolejne pokolenia wyglądają jednakowo. Gdyby ktoś był umówiony z jakimś członkiem rodu na ulicy, od razu mógłby powiedzieć „Idzie Bhusiya”, tak jakby rozpoznał czarnego bawołu w stadzie krów.

³⁹ *Modh* oznacza skrzyżowanie. *Andheria Modh* to duże skrzyżowanie w Mehrauli, w New Delhi.

Gdyby jeszcze kobiety z ich rodu były równie brzydkie jak mężczyźni, nie znalazłbym się w mojej obecnej sytuacji. Zaczęłem pracować w tym domu głównie z powodu Pinky Bhusiya, jedynej siostry trzech braci. Pinky ma skórę jak miód, a ciało jak bmw. Elegancka linia z wierzchu, gładka tapicerka w środku. Któregoś dnia zobaczyłem ją w świątyni i jak ten głupek założyłem się z kwiaciarem Jaggu, że nim upłyną dwa miesiące, będę z nią miał romans.

Posada służącego była dużo poniżej godności absolwenta uniwersytetu, ale inaczej nie miałbym wstępu do ich domu. Na szczęście Bhusiyowie potrzebowali służącego. Prawdę mówiąc, służącego szuka każda bogata rodzina w mieście, bo w dzisiejszych czasach znaleźć dobrego jest równie trudno, jak dostać część zamienną do daewoo matiza⁴⁰. Ponieważ mieszkałem na terenie świątyni, Bhusiyowie byli przekonani, że jestem uczciwy i bogobojny. Pensji dali mi trzy tysiące.

⁴⁰ Matizów już się w Indiach nie produkuje, stąd brak części.

Teraz widzę, że to był mój największy błąd. Wybitnie zdolnemu byłemu złodziejowi telefonów komórkowych, mającemu do tej pory do czynienia z nokiami i samsungami, przyszło się użerać ze zmywarką Pril i proszkiem Rin.

Sami Bhusiyowie też mi nie ułatwiali życia. Wcześniej mi się wydawało, że należą do praworzędnych i religijnych, tych, co to każdego poniedziałku⁴¹ idą do świątyni i ofiarowują duże sumy Sziwie. Dopiero jak zacząłem u nich pracować, przekonałem się, że byli pierwszej klasy złodziejami i oszustami. Pozbawieni uczuć nieokrzesani barbarzyńcy, wciąż mnie za coś łajali.

⁴¹ Poniedziałek jest uważany za dzień poświęcony Sziwie, dlatego najczęściej wiernych przychodzi do świątyni w poniedziałki.

Prostactwo jeszcze jakoś bym zniósł, ale buty ich kobiet wytrzymać nie mogłem. Zachowywały się, jakbym był ich własnością. Żona pana R.P. Bhusiyi posyłała mnie do wypożyczalni po DVD, żona pana S.P. Bhusiyi wymagała, żebym w tym samym czasie odbierał jej rzeczy z pralni. A najgorsze było to, że Pinky Bhusiya pozostała zupełnie obojętna na moje wdzięki. Myślałem, że taką dziewczynę będzie łatwo skusić. Z tego, jak się ubierała, można było wysnuć wniosek, że nie jest ani za bardzo rozrywkowa, ani zbyt stateczna. Ani zbyt obyta w świecie i pewna siebie, ani bardzo nieśmiała. Żeby zwróciła na mnie uwagę, odegrałem kilka ról, od wrażliwego zakochanego po pełnego godności służącego o złotym sercu. Próbowałem jej zaimponować wiedzą na temat telefonów komórkowych i polityki, ale nic nie działało. Traktowała

mnie po prostu jak służącego, jednego dnia była niemiła, innego przyjazna, ale nigdy nie widziała we mnie mężczyzny. Interesowały ją tylko jej głupie koleżanki i odtwarzacz CD. Nawet łazienki mieli tak zbudowane, że nie można było podglądać. Po miesiącu doszedłem do wniosku, że to strata czasu.

Rzuciłbym tę pracę, dał Jaggu tysiąc rupii i chętnie przyznał się do porażki, gdyby nie pewne wydarzenie, które kazało mi zostać. Asha, czyli pani Dineshova Pratapowa Bhusiya, bardzo się na mnie napaliła. Kiedy pewnego parnego popołudnia wszedłem do jej sypialni, żeby zostawić przybory toaletowe, które kazała mi kupić, złapała mnie za koszulę, zamknęła drzwi i zaczęła mnie całować, gdzie popadło. Tak się zaczęła nasz romans.

Służący to najbardziej niedoceniana grupa ludzi na świecie. Nie wymagają od pracodawców uczucia czy współczucia. Chcą tylko szacunku. Nie za to, co robią, lecz za to, co wiedzą. Wystarczy przyłączyć się o szóstej rano do gromady służących, którzy stoją przed budką Mother Dairy⁴², a człowiek usłyszy więcej najświeższych plotek i wiadomości z pierwszej ręki niż w dzienniku telewizyjnym. Jest tak dlatego, że służący wszystko widzą i wszystko słyszą, choć mogą udawać, że nic do nich nie dociera. Ich własne życie jest takie nudne, że rajcują się, wścibiając nos w życie swoich państwa. Kiedy rodzina ogląda serial, służący obserwują rodzinę. Dostrzegają drobne gesty i subtelności, które umykają uwagi jej członków. Oni pierwsi wiedzą, że szef jest na progu bankructwa albo że córce szefa będzie potrzebna aborcja. Oni znają całą prawdę o rodzinie: kto komu obrabia tyłek, kto przeciw komu knuje.

⁴² Mother Dairy - firma, która w swoich budkach sprzedaje w Delhi mleko.

A nie dał Boże narazić się na zemstę służącego. Niejednemu staremu małżeństwu w Delhi podciął gardła kucharz Biharczyk albo ochroniarz Nepalczyk. Dlaczego? Bo pracodawcy doprowadzili służących do ostateczności. Ja też się mściłem na Bhusiyach. Pan S.P. Bhusiya, na

przykład, ten fałszerz, nie ma pojęcia, że curry z kurczaka, które jadał na kolację, też było „urozmaicone” dodatkami. Plułem w nie obficie, zanim postawiłem na stole. A starszy pan Bhusiya, mający osłabiony zmysł smaku i powonienia, z przyjemnością jadł zupełną warzywną, którą przyprawiałem ptasimi odchodami. Nawet prosił o dokładkę!

Jednak najbardziej mnie kręciło granie na nosie panu D.P. Bhusiyi. Udawał twardego jak buldog, ale jego żona mi wyznała, że w łóżku był bezużyteczny niczym aparat bez filmu. *Bole toh*⁴³, kompletny impotent. Mój romans z nią trwał dwa miesiące. Najlepsze było to, że za każdy „występ” mi płaciła. Tak więc gdy pan D.P. Bhusiya był w swojej cegielni w Ghitorni, ja byłem w jego łóżku z Ashą, pracując na dodatkową setkę.

⁴³ *Bole toh* - wyrażenie slangowe rozpowszechnione pod wpływem filmów z Bombaju, które dosłownie znaczy „że tak powiem”, ale jest też używane jako „wiesz”, „tak jakby” czy po prostu „jakby”. Amerykański nastolatek mógłby powiedzieć: „*Bole toh*, poszedłem do mallu, a tam już byli wszyscy”.

Dziś po południu też byłem w jego łóżku, a on niespodziewanie zjawił się w domu. Wszystko się działo dokładnie tak, jak to pokazują w filmach. Mąż wraca, otwiera drzwi sypialni i szczęka mu opada, bo widzi żonę z innym - co gorsza, z własnym służącym.

- Ty kurwo! - ryknął, a ja wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem do łazienki, bo tam zostawiłem ubranie. Z sypialni było słychać szamotaninę i odgłos policzków wymierzanych Ashy przez męża. Dwie minuty później pan D.P. Bhusiya otworzył kopniakiem drzwi łazienki i wszedł z rewolwerem w jednej ręce i butelką w drugiej.

- Teraz się policzę z tobą, skurwysynu - syknął, skierował ku mnie rewolwer i kazał wychodzić.

Zabrał mnie do garażu na parterze, zapędził do rogu i zmusił do wypicia butelki Ratkilla 30. To właśnie tutaj teraz stoję i liczę sekundy, jakie mi pozostały do śmierci. Popelniono morderstwo, które zostanie przedstawione jako samobójstwo.

Rozglądam się po garażu, patrzę na puste miejsce z plamami po smarze, gdzie wieczorem pan R.P. Bhusiya zostawi srebrną toyotę

corollę, na stos pudeł z przyprawami i grochem, które czekają, aż je pan S.P. Bhusiya sfalszuje, na stalową drabinę, na w połowie puste butelki z płynem do chłodnicy i olejem silnikowym stojące na drewnianej półce. Staram się nie myśleć o matce ani o Champi.

Pan D.P. Bhusiya spogląda niecierpliwie na zegarek. Minęło dwadzieścia minut, od kiedy opróżniłem butelkę. Trucizna już powinna zrobić swoje. Jednak zamiast postępującego paraliżu czuję bulgot w brzuchu, jak po wypiciu coca-coli, a po chwili zawartość żołądka podchodzi mi do gardła i z ust tryska strumień wymiocin, prosto na białą koszulę pana D.P. Bhusiyi.

Tak go to denerwuje, że rewolwer wymyka mu się z ręki. Lepszej okazji nie potrzebuję. Kopnięciem posyłam broń na drugi koniec garażu i wypadam na ulicę.

To zadziwiające, co strach potrafi zrobić z ludzkim ciałem. Biegnę jak mistrz olimpijski, od czasu do czasu patrząc przez ramię, czy pan D.P. Bhusiya mnie nie goni.

Świątynia już blisko. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że mam takie nadzwyczajne szczęście. Patrzyłem śmierci w twarz i śmierć puściła do mnie oko. A może za bardzo dramatyzuję? Bo teraz rozumiem, że moja śmierć byłaby fałszywa. Tak samo fałszywa, jak trucizna na szczury, którą pan D.P. Bhusiya z pewnością kupił w sklepie brata!

Za to nie ma ani odrobiny fałszu w uśmiechu na mojej twarzy, gdy wpadam w bramę świątyni, widzę Champi na jej zwykłym miejscu na ławce pod drzewem *gulmohar*⁴⁴ w ogrodzie z tyłu i miażdżę ją w niedźwiedzim uścisku.

⁴⁴ *Gulmohar* - wianowłostka królewska (*Delonix regia*). Ma jaskrawe czerwone lub pomarańczowe kwiaty. Znana jest też pod nazwą płomień Afryki.

- *Arrey*, o co chodzi? Zachowujesz się, jakbyś wygrał na loterii - śmieje się.

- Można tak powiedzieć. Podjąłem dzisiaj dwie decyzje, Champi.
- Jakie?

- Pierwsza, to że nigdy już nie będę pracował jako służący.
- A druga?
- Że wracam do starego fachu. Kradzieży telefonów. Tylko nie mów matce.

Kiedyś nawet lubiłem swoje przezwisko. Zachwycaly się nim dziewczyny w okolicy. Mówiły, że jest urocze. No i było znacznie lepsze niż samo imię Munna, które natychmiast przywodzi na myśl jakiegoś prostego chłopaka z herbaciarni albo borykającego się z losem mecha-nika samochodowego. Munna Mobile⁴⁵ miało swoje brzmienie, swój urok. To było wtedy, gdy telefonów komórkowych używała tylko śmietanka towarzyska. Teraz komórkę ma byle pomywacz. Który szanujący się młody człowiek chciałby dziś, żeby mówiono na niego Munna Mobile? Równie dobrze mogliby mówić Vodafone albo Ericsson.

⁴⁵ *Mobile* znaczy po angielsku telefon komórkowy (przyp. tłum.).

Przezvisko zdobyłem cztery lata temu, po tym jak zwędziłem swoją pierwszą komórkę. Zabrałem ją pewnej bardzo grubej damie, która przyjechała do świątyni białym oplem astrą. Na schodach strasznie się zasapała, bo bardzo się śpieszyła, jakby miała tego dnia do załatwienia pięćdziesiąt spraw. To się zdarza. Człowiek chce złożyć krótką wizytę Bogu i w tym pośpiechu zapomina o drobiazgach, jak na przykład zamknięcie samochodu. I zostawia na siedzeniu nowiuteńką sony ericsson t100.

To była pierwsza komórka, jaką miałem w rękę. Przedtem zwykle kradłem buty i kapcie głupich wiernych, którzy je zostawiali u stóp schodów, zamiast oddawać na przechowanie staruszce biorącej jedynie pięćdziesiąt pajs⁴⁶ za parę.

⁴⁶ Pajsa - jedna setna rupii. Jeden dolar amerykański kosztuje czterdzieści rupii.

Prawdę mówiąc, jako złodziej obuwia nie miałem się czym chwalić. Łup był mizerny, choć zdarzyło się kilka par prawie nowych reeboków i nike'i. Gdyby to nie były dziewiątki i dziesiątki, nie sprzedałbym ich

za jedną dziesiątą ceny szewcowi, tylko zatrzymał dla siebie.

Komórkę grubaski zaniósłem do Delite Mobile Mart, sklepu z telefonami, który jest tuż obok świątyni. Madan, właściciel, dał mi dwieście rupii, dziesięć razy więcej, niżbym dostał za parę używanych kapci. Ta pierwsza komórka wprowadziła mnie w świat kart SIM i numerów PIN. Buty od Baty, sandały Action ustąpiły miejsca nokiom i motorolom. Wszedłem wtedy w spółkę z moim najlepszym przyjacielem Lallanem, bo okazało się, że kradzież komórek wymaga znacznie więcej koordynacji i planowania niż kradzież butów. Naszym ulubionym celem były samochody stojące na czerwonym świetle, z opuszczonymi szybami i komórkami połyskującymi na deskach rozdzielczych. Lallan odwracał uwagę kierowcy, ja się podkradałem z drugiej strony, łapałem komórkę i pędziłem jak szalony krętymi zaułkami i bocznymi uliczkami, które znaleźliśmy jak własną kieszeń.

Zapisywałem wszystkie komórki, któreśmy przez trzy lata ukradli. Było ich dziewięćdziesiąt dziewięć. Nie wyszedłem na tym źle. Wystarczyło na skromne życie, trochę porządných ciuchów, przelotne flirty. Ciekawa rzecz, że nie musiałem wciskać dziewczynom kitu na przykład, że jestem przedstawicielem handlowym firmy produkującej sprzęt medyczny. Kręciły je opowieści o wyczynach złodzieja komórek. No i taki telefon to bardzo ceniony prezent. Za motorolę c650 dziewczyna pozwoli dotknąć piersi, za nokię n93 może nawet rozłożyć nogi.

Nie żeby mi na tym jakoś specjalnie zależało. Miejscowe dziewczyny pracujące jako pokojówki i opiekunki do dzieci to po prostu tanie dupy. Ciemne i wulgarne, nadają się tylko do zaspokojenia potrzeby fizycznej. A ja tak naprawdę mam wielką ochotę na bogate laski, te panienki w dżinsach odslaniających pępek mówiące z angielskim akcentem. Uwielbiam ich gładką cerę i jasną skórę. Gapię się jak zaczarowany na eleganckie krągłości i delikatne, umalowane twarze. Wdycham zapach drogich perfum, obserwuję kołyszące się ponętnie biodra i w głowie mi się kręci. Cóż, wiem, że mogę o nich tylko pomarzyć. Dla kogoś takiego jak ja są niedostępne niczym Shabnam Saxena. Miałem jednak nadzieję,

że przynajmniej uda mi się usidlić dziewczynę z klasy średniej, córkę pewnego naczelnego inżyniera, który stale przychodził do świątyni. Niestety, moją karierę złodzieja telefonów komórkowych nagle przerwała tragedia.

Koło Qutub Minar zwinęliśmy z mercedesa samsunga. Mnie całkiem gładko udało się uciec z telefonem, ale Lallan nie zniknął dostatecznie szybko. Kierowca go dogonił, złapał i zaciągnął na komisariat, gdzie go przesłuchał sam podinspektor Vijay Singh Yadav, zwany w tej okolicy Rzeźnikiem z Mehrauli.

Lallan i ja wychowywaliśmy się razem. Mieszkałem z matką na terenie świątyni, on z rodziną tuż obok, w ciągnącej się kilometrami dzielnicy slumsów Sanjay Gandhi. Graliśmy na ulicy w piłkę i krykieta, chodziliśmy do tej samej szkoły, którą Lallan rzucił w szóstej klasie, a ja skończyłem. Był moim współnikiem we wszystkim, od podwędzania butów ze świątyni do dokuczania dziewczynom z sąsiedztwa. Nazwałem go najlepszym przyjacielem, ale w gruncie rzeczy był mi bliższy niż brat. Ktoś mniejszego formatu wygadałby Rzeźnikowi z Mehrauli prawdę, lecz Lallan pozostał wierny swemu poczuciu lojalności i twardo odmówił zeznań.

To, co się potem stało w policyjnym areszcie, wciąż śni mi się jako koszmar. Lallana rozebrali do naga, związali sznurem i przez trzy noce z rzędu kopali, bili, chłostali, a w tym czasie jego stary ojciec prosił, błagał, żebrał, płakał i czołgał się przed komisariatem. Lallan mnie nie wsypał.

Czwartego dnia zniknął. Policja twierdziła, że został wypuszczony. Szukaliśmy go wszędzie, nawet w AIIMS⁴⁷ i w Sakecie, ale nic to nie dało.

⁴⁷ AIIMS - Ali India Institute of Medical Sciences - Ogólnoindyjski Instytut Nauk Medycznych.

Trzy dni później znaleźliśmy opuchnięte, zmalretowane ciało Lallana w płytkim rowie w pobliżu Andheria Bagh. Na jego poranionych piersiach siedziały stada much, z zaropiałych oczu wypełzały larwy - jakby był zwyczajnym biedakiem ze slumsów.

Śmierć Lallana była dla mnie ostrzeżeniem. Uświadomiła mi okrutną prawdę, że mogę w każdej chwili skończyć jak on. Zrezygnowałem więc z kradzieży telefonów i postanowiłem coś ze sobą zrobić. Lecz to, co człowiek robi ze swoim życiem, zależy od tego, kim jest. Gdybym pochodził z ustawionej rodziny i miał koneksje wśród polityków, dyplom uniwersytetu zapewniłby mi ciepłą posadkę w jakimś klimatyzowanym biurze, a przynajmniej stanowisko gońca w ministerstwie. Kiedy jednak jest się synem zamiataczki z pensją tysiąc dwieście rupii miesięcznie i byłym złodziejem, możliwości są ograniczone. Przez krótki czas pracowałem jako buchalter w sklepie spożywczym, później jako dyspozytor w firmie transportowej, a na koniec jako służący u Bhusiyów. Nigdzie mi się nie powiodło. Łatwe życie złodzieja telefonów komórkowych mnie zepsuło. Nie odpowiadało mi zarabianie na utrzymanie liczeniem pudełek, wdychaniem spalin czy podawaniem herbaty.

Postanowiłem wrócić do jedyne go zajęcia, jakie wykonywałem dobrze - do kradzieży komórek.

Ukraść komórkę nie jest tak łatwo, jak by się mogło wydawać. To naprawdę sztuka. Złodziej komórek znika z telefonem jak kieszonkowiec z portfelem. Taka operacja to nie żadne prymitywne „złapać i w nogi”, lecz raczej sprytny trik wymagający zręczności. Jest telefon i za moment go nie ma. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Jest to również umiejętność, której się nigdy nie traci. Gracz w krykieta może wyjść z formy, złodziej nie. Wiem, że znowu świsnę komórkę i zarobię setkę. To tylko kwestia czasu.

Dwudziestego szóstego stycznia, w dzień Republiki, stoję ukryty za stacją benzynową HP przy Mehrauli-Badarpur Road i ciężko dyszę. Właśnie ukradłem pierwszą komórkę od roku.

Po wizycie u znajomego, który mieszka w kamienicy za multipleksem Star, wracałem na przystanek autobusowy. Był późny wieczór, światło

latarni tłumiała mgła. Zatrzymałem się przed przejściem dla pieszych, bo stał na nim czerwony maruti esteem. Prowadził go kędzierzawy mięśniak z kwadratową szczęką. Uderzyło mnie to, że ścisnął kierownicę, jakby miała za chwilę odpaść, i że mimo zimy był spocony jak mysz. Buchał napięciem niczym rura wydechowa gorącym. Na desce rozdzielczej leżała komórka, okno było do połowy otwarte. Działalem jak automat - kiedy światła się zmieniły, moja ręka wystrzeliła z szybkością pocisku. Kierowca nadal patrzył przed siebie, kostki dłoni mu zbieleły. Wrzucił bieg i samochód gwałtownie ruszył, a ja zostałem na chodniku, z bardzo elegancką komórką w ręku. To była nowa nokia e61, tak nowa, że na wyświetlaczu wciąż jeszcze miała folię. Wiedziałem, że na czarnym rynku pójdzie za dużo pieniędzy.

Myślę, że kobieta w fordzie, który nadjechał za maruti, widziała, że ukradłem telefon, bo rzuciła mi groźne spojrzenie. Spodziejając się, że podniesie alarm, ulotniłem się stamtąd szybko. Kluczyłem ulicami przez jakieś dwa kilometry, w końcu się ukryłem za stacją benzynową.

Stoję pod szarą markizą, serce mi wali, ukradzioną komórką dzwoni. Spoglądam na wyświetlacz - „Numer zastrzeżony” - i mechanicznie naciskam klawisz „Rozmowa”.

- Halo, Brijesh? Zaraz ci podam miejsce odbioru. Słyszysz?

Głos jest ostry, gardłowy, władczy. Należy do kogoś, kogo nie można zlekceważyć, komu trzeba udzielić odpowiedzi.

- Tak - odpowiadam równie gardłowo. Lakonicznie, w sposób, który nic o mnie nie mówi.

- Jedź na uliczkę odchodzącą od Ramoji Road przy Goenka Public School. *Maal*⁴⁸ jest w czarnej teczce w kubie na śmieci. Masz ją zabrać najdalej za pół godziny. OK?

⁴⁸ *Maal* - towar.

- Tak - mówię jeszcze raz.

- Dobrze. Odezwę się, jak zabierzesz. Cześć.

Maal. To słowo dźwięczy mi w uszach jak dzwonek alarmowy. Może oznaczać różne rzeczy. Dosłownie znaczy „towar”. W starych indyjskich filmach gangsterzy mówili *maal* na przemycane narkotyki i sztabki złota wyladowywane w Bombaju przy Versova Beach. *Maal* to także ładna dziewczyna, lecz mało prawdopodobne, żeby ktoś taką zapakował do teczki. *Maal* mogą być rzeczy ze sklepu spożywczego. Ale co to jest ten *maal*, który mam odebrać?

Chwilę się zastanowiłem i już wiem, gdzie jest Ramoji Road. Samochodem to stąd tylko pięć minut, piechotą dwadzieścia. Idę piechotą.

Goenka Public School należy do najlepszych prywatnych szkół w Mehrauli. Rano, gdy zaczynają się lekcje, i po południu, kiedy się kończą, w okolicy robią się korki. Powodują je samochody bogatych biznesmenów, których dzieci się tu uczą. O ósmej wieczorem w szkole nie ma jednak żywej duszy, tylko obok imponującej bramy grzeją sobie ręce przy ogniu dwaj ochroniarze. Mijam szkołę i skręcam w uliczkę. Jest pusta. Kubeł znajduję prawie natychmiast, choć nie rzuca się w oczy. Stoi w głębi, w żółtym świetle latarni. Obok śpi pies. „Uciekaj!”, mówię, i pies tuli uszy i chyłkiem umyka w cień. Podnoszę pokrywę - kubeł jest pełny po brzegi. Grzebię w śmieciach, lecz czuję tylko wypchane plastikowe torby, butelki, puszki. Zaczynam więc opróżniać kubeł. Wyjmuję torby i kładę na ziemi. Od smrodu gnijącej żywności robi mi się niedobrze. Zatęchłe wnętrze kubła kryje różne rzeczy, nawet brudne pieluchy i zepsute radio. A na samym dnie leży owinięta folią teczka. Żeby ją wyciągnąć, muszę wsadzić głowę do kubła. To jest droga dyplomatka VIP⁴⁹. Zdieram plastik i naciskam guziki zamków. Teczka się z trzaskiem otwiera, a mnie oczy wychodzą na wierzch, bo widzę pliki tysiącrupiówek. Wygląda to niczym reklama loterii. Jak mogłem zapomnieć, że najlepszym *maal* jest gotówka? Pospiesznie zamykam teczkę. Bez liczenia banknotów wiem, że w życiu nie widziałem tyle pieniędzy.

⁴⁹ VIP - znana indyjska firma produkująca walizki, torby podróżne, teczki.

Rozglądam się uważnie. W pobliżu nikogo nie widać. Wkładam śmiecie z powrotem do kubła. Kiedy już mam odchodzić, odzywa się skradziona komórka. Jej uparte dzwonienie prawie mnie paraliżuje. Drżącymi palcami ją wyłączam i wpycham głęboko do kubła. Serce mi wali jak oszalałe. Chwytam teczkę i szybko idę do Ramoji Road.

6.

POLITYK

- Halo, czy to Centrum Medytacji Duchowej w Mathurze⁵⁰?
 - Tak.
 - Czy jest Swami Haridas? Chce z nim rozmawiać Bhaiyyaji .
 - Bhaiyyaji? Kto to jest Bhaiyyaji?
 - Jesteś tam nowy? Nie wiesz, że w Uttar Pradeś jest tylko jeden przywódca, do którego się mówi Bhaiyyaji, i że to jest minister spraw wewnętrznych Jagannath Rai?
 - Ach! Sahib minister spraw wewnętrznych? Ale Guruji właśnie dyskutuje. Nie możemy mu przeszkadzać.
 - Powiedz mu, że to pilne. On nigdy nie odmawia rozmowy z Bhaiyyaji.
 - Dobrze. Proszę czekać. Idę do sali wykładowej.
(*Chwila przerwy*)
 - Będzie mówi! Guruji. Proszę go połączyć z sahibem ministrem spraw wewnętrznych.
(*Biip, biip, biip!*)
 - *Namaskar, Guruji. Tu Jagannath.*
- ⁵⁰ Mathura - małe miasto w Uttar Pradeś, sławne jako miejsce urodzenia boga hinduistów Kryszny.
- ⁵¹ Bhaiyyaji znaczy dosłownie starszy brat. Tu jest to przydomek Jagannatha Rai.

- *Jai Shambhu*⁵²! Cóż to za nagłą potrzeba, Jagannath, że aż mnie zmusiłeś do przerwania dyskusji?

⁵² *Jai Shambhu* znaczy dosłownie „Niech będzie pozdrowiony Sziwa”. Shambhu to inne imię Sziwy.

- Zaszło niepokojące wydarzenie. Muszę niezwłocznie zasięgnąć twojej opinii.

- Chodzi o Vicky'ego? Niedługo wyrok, prawda?

- Nie, Guruji. Z tym sobie radzę. Bardziej mnie niepokoi sprawa wytoczona mnie.

- Tyle masz procesów. O który ci chodzi?

- To stare oskarżenie o morderstwo, aż z 2002 roku.

- Kogo zabiłeś?

- Mohammada Mustaqeema, nic niewartego łajdaka, który się odważył mnie zaatakować. Argumenty oskarżyciela były bardzo słabe, oparte wyłącznie na poszlakach. Teraz nagle pojawił się nowy świadek, Pradeep Dubey, który twierdzi, że widział, jak zastrzeliłem Mustaqeema. Rozprawa ma być w przyszłym miesiącu, piątego. Jeśli sędzia uzna mnie za winnego, to może być kres mojej kariery politycznej. Jak wiesz, Guruji, premier już i tak jest do mnie źle nastawiony.

- Twój horoskop mówi, że to wszystko z powodu Saturna w piątym domu. Zły okres potrwa jeszcze cztery miesiące. Później wszystkie kłopoty znikną.

- Co mam więc przez ten czas robić, Guruji?

- (*Śmiech*) Wiesz co. Przecież podlega ci cała policja. Ale zacznij nosić szafir. On zneutralizuje wpływ szkodliwego Saturna.

- Kiedy z tobą rozmawiam, Guruji, czuję spokój. Naprawdę wierzę, że wszystkie moje kłopoty znikną.

- Po to są guru. A czy mogę ja cię prosić o pewien drobiazg?

- Mów, Guruji. Osobiście się tym zajmę.

- Kupiłem w Kanpurze małą parcelę, około ośmiu hektarów. Teraz się dowiedziałem, że na jej części zbudowali sobie chaty ludzie z pobliskich slumsów. Niebawem wyruszam w międzynarodową trasę.

Gdyby udało się ich eksmitować, zanim wyjadę, to by było...

- Nic więcej nie mów, Guruji. Jutro każę tam wysłać buldożery-
- Świetnie. Przekaż ode mnie pozdrowienia Vicky'emu. Mam nadzieję, że nosi pierścionek z koralem, ten zrobiony na moje zamówienie specjalnie dla niego.
- Oczywiście, Guruji. Póki jego sprawa się nie zakończy, nie odważy się nie posłuchać twojej rady.
- Dobrze, Jagannath. Muszę iść. Richard Gere czeka. Chce mnie poznać.
- Kto taki, Guruji? Jakiś producent samochodów?
- (*Śmiech*) Nie, amerykański aktor. To na razie. *Jai Shambhu*.
- *Jai Shambhu*, Guruji.

*

- Niech mi pan powie, panie Sharan, czy to pan jest moim najważniejszym pomocnikiem, czy może ja pańskim?

- Skąd to dziwne pytanie, Bhaiyyaji? Czyżbym zrobił coś złe?
- Pewnie, że tak. Od ósmej czekam cierpliwie, aż pan zadzwoni i powie, czy udało się panu porozmawiać ze świadkiem, a pan nic. Więc ja dzwonię do pana.

- Miałem zamiar zrobić to dziś rano, Bhaiyyaji. Nie chciałem panu zakłócać snu.

- A więc złe wieści, tak? Co się stało? Nie mógł pan dotrzeć do Pradeepa Dubeya?

- Spotkałem się z nim. To młody człowiek sprawiający wrażenie idealisty. Zaproponowałem mu dużo pieniędzy, jeśli będzie trzymał język za zębami, doszedłem aż do miliona rupii, ale się nie ugiął. Powiedział, że będzie na pewno zeznawał przeciwko panu. Czuję, że go przekupił Lakhan Thakur.

- Hm... Więc Lakhan znowu knuje. Nie przejął się moim ostrzeżeniem.

- A dlaczego miałby się przejąć? On sobie wyobraża, że jest następcą Jagannatha Rai. I pomyśleć, że pięć lat temu był tylko zwykłym gangsterem. Od kiedy wygrał w wyborach do zgromadzenia⁵³, jego gwiazda świeci coraz jaśniej. Mówią, że należy do niego połowa zakładów drzewnych w Saharanpurze. Teraz pragnie być ministrem, tak jak pan.

⁵³ Chodzi o Zgromadzenie Ustawodawcze Uttar Pradeś.

- Dopóki żyję, temu sukinsynowi się to nie uda. W stosownym czasie się nim zajmiemy. Na razie niech mi pan powie, co mamy zrobić z tym całym Dubeyem.

- Jeśli Dubey będzie gadał, jest pan ugotowany, Bhaiyyaji. Za wszelką cenę trzeba coś zrobić, żeby nie zeznawał.

- Dopilnujemy tego. Niech pan powie Mukhtarowi, żeby do mnie przyszedł.

- To pan nie wie? Mukhara przymknęła policja, wczoraj w Ghaziabadzie.

- Co takiego? Jak mogli aresztować Mukhara?

- Chyba chodzi o jakiś gwałt. Zna pan Mukhara, Bhaiyyaji. Nie zapina rozporka. Wciąż się ugania za dziewczynami.

- Który policjant odważył się go aresztować?

- W Ghaziabadzie jest nowy inspektor, młody facet. Nazywa się Navneet Brar. Trochę nadgorliwy. Chce wyplenić przestępczość. Więc to pewnie jego robota.

- Właściwie to robota gwiazd. Pechowo się ustawiły. Tak mi powiedział Guruji. Ale dopóki mam jego błogosławieństwo, ze wszystkim sobie poradzę. Nie udało się panu ze świadkiem, no to niech pan teraz słucha, jak ustawię tego policjanta. Potrzebuję numer jego komórki, natychmiast.

*

- Halo, tu Navneet Brar.
- Mówi minister spraw wewnętrznych Jagannath Rai.
- Słucham, panie ministrze.
- Podobno aresztował pan mojego człowieka. Nazywa się Mukhtar Ansari.
- Tak jest. Został aresztowany za zgwałcenie nieletniej. Nie można go zwolnić za kaucją. Paragraf trzysta siedemdziesiąt sześć⁵⁴ w związku z trzysta sześćdziesiąt sześć. Pobłażliwość nie wchodzi w grę.
- ⁵⁴ Chodzi o paragrafy indyjskiego kodeksu karnego.
- Nie proszę o okazanie mu pobłażliwości. Nakazuję panu natychmiast go zwolnić.
- Nie wolno panu wydawać takich poleceń, panie ministrze. Sprawa została skierowana do sądu. Teraz można go zwolnić tylko na polecenie sądu.
- Jak pan śmie się przeciwstawiać ministrowi spraw wewnętrznych!
- Przykro mi, panie ministrze, ale pana zadaniem jest ochrona prawa.
- Wydaje mi się, że panu nie zależy na pracy.
- Bardziej mi zależy na jej właściwym wykonywaniu, panie ministrze.
- To niech pan właściwie postąpi - wykona polecenie przełożonego.
- Niestety, nie mogę wykonać polecenia niezgodnego z prawem, panie ministrze.
- Więc pan odmawia wykonania mojego polecenia?
- Odmawiam pomocy w przestępstwie.
- Jest pan młodym policjantem, Brar, i brak panu rozwagi. Robi pan największy błąd w życiu.
- Nie boję się konsekwencji.

*

- *JaiHind*⁵⁵. Rezydencja dyrektora generalnego, posterunkowy Ram Avtar.

- Czy jest DGP⁵⁶?

⁵⁵ *Jai Hind* - pozdrowienie używane w przemówieniach i oficjalnych rozmowach. Znaczy „niech żyją Indie” (przyp. tłum.).

⁵⁶ DGP - dyrektor generalny policji.

- Tak. A kto mówi?

- Chce z nim rozmawiać pan minister spraw wewnętrznych. - Już po północy. Pan DGP śpi.

- Obudź go, durniu, bo inaczej obaj straciecie robotę.

- Ale pan DGP stanowczo zakazał...

- Coś mi się zdaje, że ty nie wiesz, co to znaczy rozgniewać Bhaiyyaji. Jeśli mnie w dziesięć sekund nie połączysz z DGP, od jutra sprzedajesz banany na Hazratganj⁵⁷, kapujesz?

⁵⁷ Hazratganj - największe targowisko w Lucknow, stolicy Uttar Pradeś.

- Tak jest. Przepraszam pana. Natychmiast łączę z sypialnią pana DG.

- Okej.

Biip, biip, biip.

- Co za skurwysyn budzi mnie o tej porze?

- Będzie z panem rozmawiał Jagannath Rai, minister spraw wewnętrznych. Łączę.

Biip, biip, biip.

- Halo, Maurya?

- Dobry wieczór panu, dobry wieczór. Niepotrzebnie pan się fatyguje, dzwoniąc o tej porze. Przyjechałbym do pana do domu.

- Powiedz mi, Maurya, jak długo jesteś dyrektorem generalnym policji?

- Osiem miesięcy, proszę pana.

- A kto ci dał to stanowisko?

- Pan, proszę pana.

- To czemu robisz takie rzeczy, że muszę żałować swojej decyzji?
- Co... co... co się stało, proszę pana?
- Twoja policja zamknęła Mukhtara Ansariego z Ghaziabadu. Myślę, że doskonale wiesz, że Mukhtar to moja prawa ręka. Jak mogłeś na to pozwolić?

- Pierwszy raz o tym słyszę, proszę pana. To musiała być jakaś lokalna operacja.

- Zrobił to twój inspektor z Ghaziabadu, nazywa się Navneet Brar. Teraz słuchaj: rano Mukhtar ma być wolny, a przeciw Brarowi wszczynacie wewnętrzne postępowanie za obrazę ministra spraw wewnętrznych.

- Eee... Jeśli wolno mi coś zaproponować, proszę pana, to może go po prostu przenieść?

- Dobrze. Przenieś go do... do Bahraichu⁵⁸. Od wygodnego życia w Ghaziabadzie przewróciło mu się w głowie. Niech posiedzi na tym zadupiu.

⁵⁸ Bahraich - zaniedbane miasteczko w Uttar Pradeś, przy granicy z Nepalem.

- Pana polecenia zostaną natychmiast wykonane, proszę pana.
- Świetnie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, Maurya.
- Pozwolę sobie przy okazji przypomnieć, że obiecał pan porozmawiać z górą o umieszczeniu mojej żony Nirmali na liście wyborczej w Badaunie⁵⁹.

⁵⁹ Badaun - małe miasto w Uttar Pradeś.

- Pamiętam o tym. Ale do wyborów do Zgromadzenia Ustawodawczego zostały jeszcze dwa lata.

- Jednak przygotowania trzeba zacząć dużo wcześniej. Zapewniam pana, że Nirmala będzie lojalnie pracować dla partii. Tak zresztą jak ja, proszę pana, chociaż ze względu na mundur nie mogę tego mówić otwarcie.

- Wiem, Maurya. A teraz śpij dalej.

- Dobranoc panu.

*

- Mukhtar?
 - Szef? Saleem alejkum. Dziękuję, że mnie pan tak szybko wyciągnął. Teraz się zajmę tym skurwielem inspektorem.
 - Nic z tych rzeczy. Już załatwiłem, że go przeniosą do Bahraichu.
 - Skurwysyn! Ma szczęście, że żyje.
 - Co to za dziewczyna?
 - Nie zna pan, szefie. Taka mała z sąsiedztwa.
 - Kiedy ty zmądrzejesz, Mukhtar? Jeśli każda, którą zgwałciłeś, urodzi, połowa ludności Ultra Pradeś to będą twoje nieślubne dzieci.
 - Przepraszam, szefie. Następnym razem będę ostrożniejszy.
 - A teraz słuchaj, Mukhtar.
 - Tak jest, szefie.
 - Pewien człowiek, nazywa się Pradeep Dubey, grozi, że będzie zeznawał przeciwko mnie w sprawie o zamordowanie Mustaqeema. Trzeba go zneutralizować. A jak już się z Dubeyem uporasz, zajmiesz się Lakhanem Thakurem, który nim kieruje.
 - Lakhan Thakur? Ten poseł z Saharanpuru?
 - Tak. A co? Za trudna robota dla ciebie?
 - Nie, szefie. Żadna robota nie jest dla mnie za trudna. Tyle że pozbycie się Thakura może być trochę bardziej skomplikowane. Nie rusza się bez pięciu ochroniarzy.
 - To załatw ich wszystkich. Przyjdź jutro do domu. Tripurari da ci pieniądze.
 - Tak jest, szefie. *Khuda hafiz*⁶⁰.
 - *Khuda hafiz*.
- ⁶⁰ *Khuda hafiz* - zwrot pożegnalny używany przez muzułmanów. Znaczy „Niech cię Bóg chroni”.

*

- Halo.
 - Halo, czy mogę rozmawiać z Premem Kalrą?
 - Tu Prem Kalra.
 - Słuchaj uważnie, skurwysynu. Mówi Jagannath Rai. Ostrzegam cię po raz ostatni. Jeśli jeszcze raz napiszesz w „Daily News” coś przeciwko mnie, będziesz skończony razem ze swoim szmatławcem.
 - Taki język nie przystoi ministrowi spraw wewnętrznych naszego stanu.
 - A ty myślisz, że ubliżać mogą tylko dziennikarze? Tolerowałem twoje bzdury przez długi czas, ale już dość tego.
 - Chociaż powiedz, co cię tak rozgniewało.
 - Twój ostatni kawałek, w którym piszesz, jakobym to ja załatwił Pradeepa Dubeya. Skoro policja stwierdziła, że to był wypadek samochodowy, jak możesz stawiać takie bezpodstawne zarzuty? Mogę ci wytoczyć sprawę o zniesławienie.
 - Przecież z tym zarzutem wystąpiłem nie ja, Jagannathji, tylko Lakham Thakur, na forum zgromadzenia. Ja tylko to powtórzyłem.
 - I w ten sposób stałeś się tubą opozycji. Ile Lakham Thakur ci płaci?
 - Nie robię tego dla pieniędzy. Służę społeczeństwu.
 - Nikt nie służy społeczeństwu lepiej niż my, politycy. Oczekujemy za to chociaż trochę uznania mediów.
 - Nie obiecuję uznania, Jagannathji, ale mogę obiecać umiar.
- Do widzenia.

*

- Rezydencja ministra spraw wewnętrznych? Pan premier chce rozmawiać z panem ministrem.
- To łącz.
- Nie, to ty łącz. Premier stoi wyżej niż minister.

- Okej, okej, po co się zaraz złościć. Już łączę z Bhaiyyaji.

{Muzyka}

- Halo.

- Halo, Jagannath?

- *Namaskar*⁶¹, panie premierze.

⁶¹ *Namaskar* - odmiana pozdrowienia *namaste*.

- Strasznie na mnie naciskają, Jagannath.

- Co się znowu stało? Powództwo przeciwko mnie zostało oddalone.

- Chodzi o twojego syna. Góra mówi, że ponieważ Vicky jest wpłątany w sprawę morderstwa Ruby Gill, chyba powinienesz ustąpić ze stanowiska. Jeśli wyrok będzie dla niego niekorzystny, wizerunek partii bardzo ucierpi.

- Dlaczego? Wizerunek partii nie ucierpiał, kiedy góra zrobiła mnie ministrem spraw wewnętrznych, chociaż toczyły się przeciwko mnie trzydzieści dwa procesy. Ale czy choć w jednym zostałem skazany? Nie, prawda? Więc czemu robicie taki wielki problem z tego, że mój syn jest wpłątany w zaledwie jedną sprawę, jeśli nawet nie ma jeszcze orzeczenia?

- To nie jest zwyczajna sprawa, Jagannath, tylko najbardziej nagłośnione morderstwo w kraju. Wszystkie media tylko o tym mówią.

- Więc teraz będą nas sądzić media? Jest pan prawnikiem, panie premierze. A podstawowa reguła prawa mówi, że oskarżony jest niewinny, dopóki nie zostanie uznany za winnego. Jeśliby ministrowie mieli ustępować ze stanowiska tylko dlatego, że są oskarżeni, dwie trzecie pana rządu to by były wakaty. W sprawie mojego syna poczekajmy na wyrok, a potem zobaczymy.

- Udało mi się przekonać górę, żeby wstrzymali wszelkie działania do lokalnych wyborów. Ale ten dziennikarz, Arun Advani, wciąż rozrabia. Czytałeś, co ostatnio napisał? Twierdzi, że próbujesz przekupić sędziego. To nam bardzo psuje opinię.

- Niech sobie pisze, co chce. I tak nikt z naszych wyborców nie zna angielskiego. Mówiłem ministrowi edukacji, że powinniśmy zakazać nauki po angielsku w szkołach w stanie. Niech uczą dzieci tylko w hindi. Jak nie będzie bambusu, to nie będzie fletu⁶².

(Śmiech)

⁶² Tłumaczenie hinduskiego powiedzenia „*Na rahega baans, na bajegi bansuri*”.

- I w urdu. Nie zapominaj o naszych wyborcach muzułmanach.

- Tak, oczywiście, panie premierze. Urdu jest równie ważny. Zresztą ostatnio sam szlifuję ten język. Iqbal Mian uczy mnie poezji Ghaliba⁶³. Chce pan posłuchać paru dwuwierszy?

⁶³ Mirza Ghalib był jednym z najslawniejszych poetów piszących w urdu; słynął z dwuwierszy.

- Nie, nie... Muszę jechać na otwarcie nowej szkoły. Pamiętaj, Jagannath, że na razie cię uratowałem, ale jeśli Vicky zostanie skazany, nawet ja nie zdołam nic dla ciebie zrobić.

- Proszę się nie martwić. Taka ewentualność nie wchodzi w grę.

- Do zobaczenia jutro na posiedzeniu rządu.

- Do zobaczenia, panie premierze.

*

- Halo, Rukhsana?

- Nie rozmawiam z tobą, *janaab*⁶⁴. Wysłałam ci pięć tysięcy SMS-ów, a ty nie odpowiedziałeś nawet na jeden.

- *Arrey*⁶⁵, po prostu nie mogłem. Cały dzień spędziłem na okropnym posiedzeniu Stanowej Rady Rozwoju, która jest oczkiem w głowie premiera.

⁶⁴ *Janaab* albo *janab* - słowo z języka urdu pochodzące od tureckiego lub perskiego *jan*, które znaczy „drogi”. Obecnie używane również jako odpowiednik słowa „pan”.

⁶⁵ *Arrey* - bardzo powszechny wykrzyknik w hindi. Może mieć różne znaczenie, na przykład „och” albo „hej”.

- Jak posiedzenie może trwać cały dzień?
- Może, jeśli sala jest pełna urzędników półgłówek i każdy głądzi godzinami o drogach, mostach, szkołach, sierocińcach. Czasem myślę, że popełniłem błąd, wchodząc do polityki. Gdy tak muszę codziennie przejeżdżać setki kilometrów przez zapadłe wsie, cierpliwie wysłuchiwać rolników, którzy chcą, żebym im obiecał, że monsun nie zawiedzie, wciąż podpisywać pliki dokumentów dotyczących spraw, które mnie ani trochę nie obchodzą - widzę, jaką się płaci cenę za zajmowanie się polityką.

- To czemu nie zrezygnujesz?
- Łatwo powiedzieć. Polityka to mordęga, ale jest jak rząd. Człowiek na niego narzeka, ale nie może się bez niego obejść.
- A co ze mną? Beze mnie możesz się obejść?
- *Arrey*, ty jesteś moja *nasha*, mój nałóg. Posłuchaj dwuwiersza, który ułożyłem na twoją cześć:

Miłość śmiertelnie rani czasem, nie ma na to sposobu

Lecz bez miłości serce też boli - z braku do bólu powodu

- *Wah, wah*⁶⁶. Zrobił się z ciebie poeta. Wygląda na to, że przez moją miłość stałeś się prawdziwym Majnu⁶⁷.

⁶⁶ *Wah, wah* znaczy w urdu „jej”, „wspaniale”, „świetnie”.

⁶⁷ Chodzi o bohatera znanej opowieści o Laili i Majnu. Naprawdę miał na imię Qays, lecz z powodu jego obsesyjnego uczucia do Laili zaczęto go nazywać Majnu, co znaczy opętany.

- Faktycznie...
Z miłości stałem się nic niewart
Choć byłem pożyteczny
- Coś takiego, *janaab*, ty dziś po prostu strzelasz wierszami.
- Nie mów o strzelaniu, kochanie. To jest historia mojego życia. Jak tylko staram się być romantyczny, ktoś porusza temat broni i psuje nastrój.

- Przepraszam.
- Nieważne. Jak ci minął dzień?

- Dobrze. Byłam w salonie kosmetycznym. Pełna depilacja woskiem, oczyszczanie twarzy. Moje ciało jest teraz jak jedwab. Przekonasz się, kiedy mnie dotkniesz.

- Nie mogę się doczekać. W piątek Sumitra wyjeżdża do Farrukhabadu⁶⁸. Przyjdę do ciebie w sobotę i zostanę na noc.

⁶⁸ Farrukhabad - kolejne małe miasto w Uttar Pradeś.

- Dlaczego się nie rozwiedziesz? Ona cię tylko irytuje.

- Moje dzieci są nie lepsze. Mam syna, który od dziecka wykazuje szczególne zamiłowanie do pakowania się w kłopoty, i córkę, która stanowczo odmawia wyjścia za mąż. Z wielkim trudem udało mi się doprowadzić do jej zaręczyn ze wspaniałym chłopakiem z naszej kasty, thakurem z królewskiego rodu Pratapgarhów, ale ona wciąż odkłada zamążpójście. Jej ulubiona rozrywka to pogaduszki z synami i córkami zamiataczy i praczy mieszkających za naszym domem. Najbardziej się boję, że pewnego dnia postanowi uciec z jakimś obibokiem i narazi całą rodzinę na wstyd.

- Nie martw się na zapas.

- Guruji mówi to samo. Tylko ty i Guruji mnie rozumiecie.

- Za to ty mnie nie rozumiesz. Od miesiący cię proszę, żebyś mnie zabrał w podróż zagraniczną, a ty nic.

- *Arrey*, jeśli jest tyle bieżących problemów do rozwiązania na miejscu, to jak można myśleć o wyjeździe za granicę? Na tym polega kłopot z tobą. Nigdy nie jesteś zadowolona z tego, co masz.

(Szloch)

- *Jaaneman*⁶⁹, zdenerwowałem cię? Posłuchaj, posyłam ci całusa.

(Odgłos pocałunku)

⁶⁹ *Jaaneman* - kochanie.

*

- Tato?

- Tak, Vicky.

- Załatwione?
- Tak. Poprosiłem jednak o odłożenie ogłoszenia wyroku do piętnastego lutego. Guruji mówi, że wtedy skończy się niepomyślny okres.
- Więc nie muszę się martwić?
- Dopóki żyję, nie. Ale pomyślałeś kiedyś, ile mam przez ciebie zmartwień? Jak długo jeszcze będę cię musiał wyciągać z tarapatów?
- Od tego są tatusiowie.
- Ale z ciebie skur...

7.

AMERYKANIN

Dziś jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Nawet szczęśliwszy, niż kiedy Vince Young w ostatnich minutach meczu⁷⁰ z USC dał tekszańskim Longhornsom ich najwspanialsze zwycięstwo na stadionie Rose Bowl.

⁷⁰ Chodzi o mecz futbolu amerykańskiego rozegrany w 2006 roku podczas mistrzostw college'ów.

Nareszcie jadę do Indii. Do kraju maharadzów i curry z baraniny. Ojczyzny słoni i kangurów. I do najpiękniejszej dziewczyny na całym świecie. Do Sapny Singh, która za dwa tygodnie zostanie moją żoną.

Podobają mi się hinduskie wesela. Niedawno wypożyczyłem „Monsunowe wesele”⁷¹. Uwielbiam, jak hinduskie dziewczęta tańczą, a ta dzika muzyka doprowadza mnie do szaleństwa.

⁷¹ „Monsunowe wesele” - znany indyjski film w reżyserii Miry Nair.

Moja matka bardzo wierzy w małżeństwo. Wychodziła za mąż już cztery razy. Jednak nie była specjalnie zadowolona, kiedy się dowiedziała o moich planach. „Oni są brudni, śmierdzą i źle mówią po angielsku!”. Taki był jej werdykt, dopóki nie zobaczyła zdjęć Sapny. Od tamtej pory rozpowiada po całym mieście, że jej syn żeni się z miss świata.

Ja i mama jesteśmy sobie bardzo bliscy. Tak jest od czasu, gdy tatuś uciekł i zostawił nas samych i smutnych, i tak biednych, że nie mieliśmy nawet nocnika. Kiedy zniknął, musieliśmy sprzedać ranczo i całe bydło

i przenieść się do zapuszczonej starej przyczepy, gdzie mieszkaliśmy sześć lat, aż mama wyszła za tego miłego człowieka z opieki społecznej i wprowadziliśmy się do jego domu w Cedar Drive. Prawdę mówiąc, rzadko myślę o tatusiu. Jakby się palił, nawet bym na niego nie nasikał. Ale nie ma sensu się denerwować. Nie w dniu, kiedy wreszcie spotkam się z Sapną.

Nasze poznanie się to cała historia. Jestem pewien, że małżeństwa są planowane w niebie. Że to Bóg decyduje, kto wyjdzie za kogo i kiedy. I to on tworzy facetów, jak mój stary kumpel ze szkoły, Randy Earl, którzy zawsze mają powodzenie u dziewczyn, i takich jak ja, którzy, no trudno, muszą się starać trochę dłużej, bo są nieśmiali i w ogóle. Nie żebym był brzydki, jak Johnny Blizna, mój brygadzysta. Jego mama chyba musiała mu wieszać na szyi kawałek wieprzowiny, żeby pies się z nim bawił. Ja jestem zwyczajny. Pan Joe Przeciętniak. Mam metr siedemdziesiąt, a Sandy, moja dziesięcioletnia bratanica, mówi, że gdybym miał trochę okrągłą twarz, nieco mniejszy nos, odrobinę ciemniejsze włosy i ważył dziesięć kilo mniej, to bym wyglądał jak Michael J. Fox! Spokojnie, pracuję nad wzrostem i wagą. Stosuję KIMI, opracowane naukową metodą urządzenie doktora Kawaty do powiększania wzrostu, które ma mi dodać osiem centymetrów w pół roku, i regularnie zażywam chiński proszek odchudzający, Miracle Slimming Powder, który kupiłem w Home Shopping Network.

W każdym razie kiedy skończyłem dwadzieścia osiem lat i ciągle byłem kawalerem, mama zaczęła się poważnie martwić i zastanawiać, czy nie jestem gejem. I wtedy problem się rozwiązał dzięki International PenPals. Za symboliczną opłatę członkowską w wysokości 39,99 dolara (płatną w czterech ratach po 9,99) dali mi adresy siedmiu pięknych dziewcząt, które chciały się ze mną zaprzyjaźnić. Za dużo tego dobrego, jak to się mówi. No bo niech ktoś spróbuje kręcić z siedmioma dziewczynami naraz. Były z całego świata, nawet z takich miejsc, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Alfabetycznie: Alifa z Afganistanu, Florese

z Timoru Wschodniego, Jennifer z Fidżi, Laila z Iranu, Lolita z Łotwy, Raghad z Kosowa i Sapna z Indii. Napisałem do wszystkich: przedstawiłem się i poprosiłem o odpowiedź. I odpisały, wszystkie co do jednej. Był tylko jeden problem - trzy nie znały dobrze angielskiego, a trochę trudno prowadzić korespondencję z prawdziwego zdarzenia, kiedy się dostaje taki list: „Drogi Larry, braenbooking i cześć ci tesz. Mares fioggicku chceci tłumaczy. Amerika dobrze miesce do rzyć. Koham ci”. Niektóre listy były, jak by to powiedzieć, zbyt kłopotliwe. Dziewczyny z Afganistanu, Timoru Wschodniego i Iranu pisały o problemach politycznych w ich krajach. Ta z Fidżi już w pierwszym liście poprosiła o numer mojej karty kredytowej. Teraz myślę, że przesadziła z otwartością. Dziewczyna z Łotwy była bardziej powściągliwa. „Cześć, Larry - napisała. - Mam szesnaście lat i chcę się z tobą zaprzyjaźnić. Zadzwoń do mnie, mój numer: 011-371-7521111”. Pomyślałem, że jest dla mnie odrobinę za młoda, ale nie dowiesz się, jak głęboka jest studnia, mierząc rączkę pompy. Więc zadzwoniłem do Lolity. Myślę, że cierpi na ciężką astmę, bo przez jakieś pięć minut słyszałem tylko głośne dyszenie. Kiedy dostałem billing, złapałem się za głowę - okazało się, że ta rozmowa kosztowała mnie 57 dolarów i 49 centów. Na tym moja przyjaźń z Lolitą się skończyła. Wreszcie została mi tylko dziewczyna z Indii, Sapna Singh. We wspaniałym liście opisała, jak dzielnie walczy z okrucieństwem i uciskiem. Była tak biedna, że nawet nie miała telefonu. Łzy mi się zakręciły w oczach i przypomniałem sobie, ile wysiłku mnie kosztowało, żeby zostać najlepszym operatorem wózka widłowego w Teksasie. Odpisałem, ona odpisała. Po dwóch miesiącach wymieniliśmy się zdjęciami. Do tej pory za najładniejszą dziewczynę uważałem Tinę Gabaldon, Miss Hooters International 2003, ale wystarczył rzut oka na zdjęcie Sapny i wiedziałem, że się myliłem. Sapna była najpiękniejszą dziewczyną na świecie i zakochałem się w niej po uszy.

W czerwcu tego roku zebrałem się na odwagę i się oświadczyłem. To niesamowite, ale się zgodziła. Byłem szczęśliwy jak kogut w kurniku.

Zacząłem się uczyć hindi. Ona zaczęła się uczyć, jak się piecze czekoladowe ciasteczka, mój ulubiony deser. Ustaliliśmy datę ślubu w Indiach. Poprosiła o pięć kawałków na przygotowania. Byłem splukany do nitki, ale zebrząc, odejmując sobie od ust, oszczędzając, uskładałem te pieniądze i jej telegraficznie wysłałem. Trzy tygodnie temu przysłała mi nasze zawiadomienie o ślubie. No i teraz wyjeżdżam do New Delhi, żeby się ożenić z kobietą moich marzeń.

- Cześć wszystkim! Siemacie! - pozdrowiłem dwie śliczne stewardesy witające mnie w samolocie United Airlines odlatującym do Indii. Samolot był ogromny, prawie tak wielki jak kino Starplex w Waco. Trzecia stewardessa pokazała mi moje miejsce, 116B. To było jedno z najlepszych miejsc w samolocie, na samym końcu i w dodatku zaraz obok kibla.

Położyłem torbę na podłodze i się usadowiłem. To był naprawdę mój szczęśliwy dzień, bo miałem miejsce pośrodku, między blondynką siedzącą przy oknie i śniadym, wyglądającym na Hindusa gościem w czerwonym T-shircie od Hilfigera i baseballówce Dodgersów.

Blondynka czytała czasopismo pod tytułem „Time”.

- Przepraszam panią - uchyliłem kapelusza i klepnąłem ją w rękę. - Dokąd pani leci?

Odsunęła się, jakbym miał ospę, i posłała mi takie spojrzenie, że jeżozwierz wydałby się przy niej milutki. Odwróciłem się do młodego człowieka po lewej, który wyglądał na bardziej przystępnego.

- Jak tam mama i reszta?⁷² - zapytałem.

⁷² Tekszański odpowiednik „Jak się masz?”.

Spojrzał na mnie jak wół na malowane wrota.

- Przepraszam, co pan powiedział?

Facet wyraźnie nie był z Teksasu.

- *Aap kehse hain?*⁷³ - spytałem swoim najlepszym hindi.

⁷³ *Aap kehse hain?* - „Jak się masz?” w hindi.

- W porządku - odpowiedział po angielsku.

- *Kya aap bhi India jaa rahe hain?*⁷⁴

⁷⁴ *Kya aap bhi India jaa rahe hain?* - „Czy pan też leci do Indii?” w hindi.

- Człowieku, dlaczego mówisz do mnie tym dziwnym językiem?

- Przecież jesteś Hindusem! - palnąłem.

- Mylisz się, facet. Jestem Amerykaninem - powiedział i wyciągnął paszport. - Widzisz tego orła na okładce? Amerykański.

- Ech! - powiedziałem i zamilkłem.

Zanim samolot wystartował, stewardesa zrobiła parę ćwiczeń rękami i kazała nam oglądać wideo o bezpieczeństwie. Bardzo się starałem zapamiętać instrukcje z folderu, który był w kieszeni na oparciu przede mną, ale reszty pasażerów chyba nie obchodziło, co się z nimi stanie, kiedy samolot wpadnie do wody. Nim się zorientowałem, już lecieliśmy.

Niedługo stewardesa wróciła, pchając metalowy wózek pełen butelek i puszek.

- Czego ma się pan ochotę napić? - spytała słodko.

- Poproszę kokę.

- Przepraszam pana, ale coca-cola się skończyła. Czy może być pepsi?

- Tak - kiwnąłem głową. - To też koka⁷⁵. Ile?

⁷⁵ Teksasńczycy mówią koka (*coke*) na wszystkie napoje bezalkoholowe.

- Jest bezpłatna, proszę pana - powiedziała i się uśmiechnęła. Hindus spojrział na mnie z zaciekawieniem.

- Lecisz pierwszy raz? - spytał.

- Tak - odpowiedziałem i wyciągnąłem rękę. - Było siemasz, ale jeszcześmy się nie poznali. Cześć, jestem Larry Page.

- Larry Page? - Wyglądał na zaskoczonego. - Wiesz, że tak samo się nazywa twórca Google'a?

- Tak, wszyscy ciągle mi to mówią. Google ma chyba coś wspólnego z komputerami?

- Zgadza się. To jest wyszukiwarka internetowa.

- Mój brygadzysta Johnny Blizna ciągle siedzi przy komputerze, ale ja znam się na internecie jak kura na pieprzu.

- Nie przejmuj się - powiedział i uściśnął mi rękę. - Cieszę się, że cię poznałem. Nazywam się Lalatendu Bidyadhar Prasad Mohapatra, krótko - Biddy.

- Czym się zajmujesz, Biddy? Wyglądasz na studenta.

- Tak. Jestem na drugim roku na University of Illinois. Mam zamiar się specjalizować w mikroelektronice i nanotechnologii. A ty co robisz?

- Jestem twoim życzliwym operatorem wózka widłowego w supercentrum Walmartu w Round Rock w Teksasie. Z1-35 zjazd 251. Jak będziesz w pobliżu, wpadnij i mnie zawołaj. Będzie mi miło. Mogę ci nawet załatwić pięć procent zniżki.

Pierwsze lody zostały przełamane. Dziesięć sekund później gadaliśmy jak starzy kumple na zjeździe koleżeńskim. Biddy opowiedział mi o jakimś projekcie związanym z czymś, co się nazywa przewodniki superchłodzone. Nim się obejrzałem, już mu mówiłem wszystko o mojej podróży do Indii i o Sapnie.

- Wygląda na to, że twoja narzeczona to naprawdę miła hinduska dziewczyna.

- Chciałbyś zobaczyć kilka fotek?

- Jasne.

Otworzyłem torbę i ostrożnie wyjąłem z niej brązową kartonową teczkę pełną kolorowych błyszczących zdjęć Sapny. Patrzyłem na twarz Biddy'ego, kiedy je przeglądał. Jak się spodziewałem, oczy o mało mu nie wyszły na wierzch.

- Powiedziałaś, że to jest Sapna Singh? - zapytał po dłuższej chwili.

- Tak.

- A spotkaliście się kiedyś?

- Nie, ale będzie na mnie czekała na lotnisku w New Delhi.

- Wzięła od ciebie pięć tysięcy dolarów na ślub?

- Tak. To było konieczne. Nie jest z bogatej rodziny.

- I myślisz, że się z nią ożenisz?
- Oczywiście. Od dziś za dwa tygodnie, piętnastego października.

Wszystko już załatwione, nawet biały koń. Mówię ci, Biddy, sam nie wierzę w swoje szczęście.

Skrzywił się.

- Przykro mi stary, ale dałeś się nabrać.
- Jak to?
- Dziewczyna na zdjęciach, które mi pokazałeś, to nie Sapna Singh. Ona nie może być Sapną Singh.

- Ale dlaczego? - spytałem, zdezorientowany. - Znasz ją?

- Każdy Hindus ją zna. To są zdjęcia sławnej aktorki Shabnam Saxeny. Nawet mam ją w akademiku na plakacie.

- Nie, nie. To moja narzeczona. Ta Shabnam pewnie jest podobna do Sapny.

Biddy spojrział na mnie tak, jak patrzy Johnny Blizna, kiedy proszę o podwyżkę.

- To... to musi być jakaś pomyłka - spróbowałem jeszcze raz.
- Żadna pomyłka - powiedział stanowczo. - To są zdjęcia Shabnam

Saxeny. Nawet jestem pewien, że jedno to fotos z filmu „International Moll”, wielkiego hitu z Shabnam w roli głównej. Jak mówi hinduskie przysłowie: *nać na dekhunu langala*. Nie należy się szykować do kąpieli, zanim się nie zobaczy rzeki.

Nagle wydało mi się, że samolot leci prosto w dół. Zakręciło mi się w głowie. Ścisnąłem poręcz siedzenia.

- To, co mi powiedziałeś, to kupa bzdur. - Wyrwałem Biddy'emu teczkę. - Pieprzysz od rzeczy! - oświadczyłem i już do końca lotu z nim nie rozmawiałem.

Gdzieś głęboko w środku miałem ochotę płakać.

MOTYWY

Nigdy nie oceniaj ludzkich czynów, dopóki nie poznasz motywów.

Anonim

8.

OPĘTANIE MOHANA KUMARA

Jest jedenasta w nocy. W drzwiach Siri Fort Auditorium pojawia się Mohan Kumar. Głowa mu pęka, boli go ramię. Wchodzi na dziedziniec i nie wierzy własnym oczom. Miejsce spotkania z duchem Gandhiego wygląda tak, jakby się tu niedawno toczyły działania wojenne. Drewniane ławki i krzesła połamane w drzazgi. Ziemia zasłana odzieżą, butami, torebkami, zwojami przewodów. Panuje upiorna cisza. Miejsce kamer telewizyjnych i protestujących tłumów zajęły policyjne zapory. Przez otwór po wyrwanej z zawiasów żelaznej bramie widzi machających do niego policjantów o groźnych twarzach.

Chwiejnym krokiem idzie w stronę parkingu, gdzie otoczony policyjnymi dzipami z czerwonymi i niebieskimi kogutami na dachach stoi jedyny prywatny samochód, jego srebrny hyundai sonata.

Przez parking biegnie chudy, mizerny mężczyzna z cienkimi wąsami.

- Jest pan! - krzyczy z widoczną ulgą. - Powiedzieli, że w środku doszło do morderstwa. Gdyby pan widział, jak ludzie uciekali! Dwie osoby zostały zdeptane. A pan dobrze się czuje?

- Oczywiście, Brijlal - mówi Mohan Kumar lakonicznie. - Gdzie jest pani Rita?

- Widziałem, jak odjeżdżała z inną panią czarnym mercedesem.

- To dziwne. - Mohan zaciska usta. - Powinna była na mnie czekać.

No, ale jedziemy.

Szofer pospiesznie otwiera tylne drzwi z lewej strony samochodu. Mohan Kumar już ma wsiąść, lecz zauważa coś tuż poniżej klamki.

- Co to jest, Brijlal? - pyta. - Skąd się tu wzięła ta wielka rysa?

Brijlal patrzy na drzwi zdziwionym wzrokiem.

- Jakiś policjant musiał przejechać pałąką. Przepraszam. Zostawiłem samochód, żeby pana szukać. Proszę mi wybaczyć. - Spuszcza oczy.

- Ile razy mam ci jeszcze wybaczać, Brijlal? - pyta Mohan Kumar ostro. - Coraz bardziej zaniedbujesz swoje obowiązki. Powinienem ci potrącić koszt naprawy drzwi z pensji, wtedy miałbyś nauczkę.

Brijlal milczy. Dobrze zna przykre usposobienie swego pana, z którego ten słynie w całym Uttar Pradeś.

Jest z Mohanem Kumarem od dwudziestu siedmiu lat i traktuje go z takim samym szacunkiem i oddaniem, jakim darzy Hanumana. W świecie Brijlala Mohan Kumar jest równym Bogu potężnym opiekunem, który dzierży klucz do jego szczęścia i pomyślności. To przecież on, sahib, załatwił mu pierwsze zajęcie w State Electricity Board, a później stałą pracę w State Sugarcane Cooperative. I nie kto inny, tylko sahib zachęcił go do nauki prowadzenia samochodu, dzięki czemu został zatrudniony jako kierowca w Sekretariacie w Lucknow, gdzie miał nie tylko lepszą pensję, ale nawet płatne godziny nadliczbowe. Dwadzieścia lat jeździł białym ambasadorem Mohana Kumara. Kiedy sześć miesięcy temu Kumar został emerytem, Brijlal mógł jeszcze mieć swą państwową posadę przez trzy lata, ale przeszedł dobrowolnie na emeryturę i dołączył do Kumara jako jego prywatny szofer, w akcie całkowitego oddania sahibowi.

Brijlal uważa swą wcześniejszą emeryturę za posunięcie taktyczne. Wierzy, że Sahib wciąż jeszcze może dużo zrobić - i dla niego, i dla jego rodziny. Najważniejsza przysługa, jakiej się spodziewa, to rządowa posada dla syna, Rupesha. Jest święcie przekonany, że bezpieczne zatrudnienie w służbie państwowej to panaceum na problemy ludzi

ubogich. Marzy o tym, żeby Rupesh dostał państwowe stanowisko kierowcy w Delhi. Mohan Kumar mu to obiecał, ale najpierw Rupesh musi zdobyć prawo jazdy. Państwowa praca dla Rupesha i odpowiedni mąż dla Ranno, dziewiętnastoletniej córki - niczego więcej nie pragnie. Dążąc do tego, chętnie się zgodzi na obelgi i złe traktowanie.

- Masz tak zamiar tu stać i czekać nie wiadomo na co, czy mnie zawieziesz do domu? - pyta Mohan Kumar, sadowiąc się na tylnym siedzeniu.

Brijlal zamyka za nim drzwi i zajmuje miejsce za kierownicą. Rusza, wyłączwszy najpierw telefon. Wie, jak się złości sahib, gdy słyszy dzwonek w czasie jazdy.

Sylwetka Siri Fort Auditorium maleje w lusterku wstecznym. Mohan Kumar patrzy twardym wzrokiem przez okno. W oddali widać wielki księżyc, w jego widmowym świetle blade połyskują dachy budynków. Ruch uliczny już prawie zamarł, nawet autobusy jeżdżą coraz rzadziej. Po dwudziestu minutach hyundai dociera na miejsce. Kiedy przyjeżdżają przez kutą żelazną bramę przy Aurangzeb Road 54C, serce Brijlala przepelnia duma.

Rezydencja Mohana Kumara to okazała piętrowa willa w stylu neokolonialnym, z fasadą obłożoną białym marmurem, portykiem ukrytym za kratą i wspaniałym trawnikiem z altaną. Z tyłu ma przybudówkę z trzema mieszkaniami dla służby, które zajmuje Brijal z rodziną, kucharz Gopi i ogrodnik Bishnu. Najbardziej jednak podnieca Brijlala czynsz, który, jak fama głosi, wynosi około czterystu tysięcy rupii miesięcznie. Na samą myśl o tym dostaje gęsiej skórki. Dla niego jest to szczyt spełnienia, podstawa udzielanych synowi pouczeń. „Pracuj pilnie, synu, a może pewnego dnia staniesz się jak sahib. Wtedy też będziesz mógł mieć dom, za który miesięcznie trzeba zapłacić tyle, ile twój ojciec zarabia przez osiem lat”.

W portyku czeka żona Mohana Kumara Shanti ubrana w czerwone bawełniane sari. Jest to drobna kobieta w średnim wieku, o siwiejących włosach, które ją postarzają. Jej miła twarz jest pełna niepokoju.

- Dzięki Bogu jesteś! - krzyczy, gdy samochód się zatrzymuje. - O mało się nie zamartwiłam na śmierć, kiedy Brijlal zadzwonił i powiedział, że byłeś w tej sali.

Kumar rzuca szoferowi gniewne spojrzenie.

- Tyle razy ci mówiłem, Brijlal, żebyś nie rozgłaszał wszystkim mojego rozkładu dnia. Czemu dzwoniłeś do Shanti?

- Przepraszam pana. - Brijlal spuszcza oczy. - Bardzo się o pana martwiłem. Pomyślałem, że powinienem zawiadomić Bibiji.

- Zrób tak jeszcze raz, a obedrę cię ze skóry. - Kumar z traskiem zamyka drzwi samochodu i wielkimi krokami wchodzi do domu. Shanti pospiesznie idzie za nim.

- Dlaczego poszedłeś na ten okropny seans? - pyta.

- Nie twój interes.

- To wszystko sprawa tej wiedźmy. Nie wiem, jak jej się udało tak cię omotać.

- Posłuchaj, Shanti. - Kumar podnosi palec. - Rozmawialiśmy na ten temat już wiele razy. Zadręczanie się nic ci nie da. Czy Gopi zaniósł do mojej sypialni lód i wodę sodową?

- Tak. - Shanti wzdycha z rezygnacją. - Jeśli postanowiłeś zniszczyć sobie wątrobę do reszty, to proszę bardzo - pij, ile chcesz.

- Zaraz to zrobię. - Kumar wchodzi na schody prowadzące na piętro.

Minęły trzy tygodnie. Wydarzenie w Siri Fort Auditorium powoli zaciera się Kumarowi w pamięci. Pochłaniają go codzienne zajęcia: udział w posiedzeniach, analizowanie projektów, doradzanie klientom. Obejmuje jeszcze jedno stanowisko konsultanta, w niedziele gra w golfa w klubie w Delhi, dwa popołudnia w tygodniu spędza u kochanki. Chciałby wierzyć, że wszystko dzieje się normalnie, ale nie może się pozbyć tkwiącej gdzieś głęboko dokuczliwej niepewności. To jest jak zamglony obraz, który próbuje nabrać konkretnego kształtu, jak wspomnienie usiłujące wcisnąć się do świadomości. Mohan Kumar źle śpi, w nocy rzuca się i kręci. Któregoś ranka budzi się na podłodze, kiedy indziej w łazience, w ogóle nie pamiętając, jak się tam znalazł. W czasie

posiedzeń zarządu nie może znaleźć właściwych słów, choć czuje, że je ma na końcu języka; irytuje wypowiedziami przerywanymi w środku zdania. Leży w łóżku z Ritą i nagle wydaje mu się, że jest starym, wielkim zwierzęciem, i przestaje czuć pożądanie. Wie, że dzieje się coś złego, ale nie potrafi tego sprecyzować.

Idzie na badania kontrolne do lekarza rodzinnego, doktora Soni, lecz ten nie znajduje nic niepokojącego.

- Wszystkie wyniki są dobre, Mohan. Rezonans magnetyczny niczego nie wykrył. Przypuszczam, że to jest po prostu zespół stresu pourazowego.

- Na czym on polega?

- Kiedy ktoś ma traumatyczne przeżycie, na przykład jest świadkiem morderstwa, jego umysł stara się jakoś sobie poradzić ze stresem. To może się objawiać koszmarami sennymi, powracaniem obrazów z przeszłości, bezsennością. Zapiszę ci pigułki nasenne. Za tydzień powinien się już czuć dobrze.

Cztery dni później, gdy Mohan Kumar je śniadanie, Brijlal wchodzi do kuchni, gdzie Shanti ubija jogurt. Dotyka jej stóp.

- Potrzebuję twojego błogosławieństwa, Bibiji. Wczoraj przyszedł do nas chłopak, żeby poznać moją córkę.

- Ach, więc Ranno wychodzi za mąż? - pyta mile zaskoczona Shanti.

- Tak, Bibiji. Chłopak też jest z Delhi, należy do naszej kasty, a co najważniejsze, jest pracownikiem państwowym czwartej klasy, gońcem w Ministerstwie Kolei. Jego ojciec też jest gońcem. Mam nadzieję, że nie zażądatają zbyt wysokiego posagu. Zaproponowałem, ile tylko mogłem. Zobaczymy, co powiedzą.

- Na pewno wszystko się dobrze ułoży - mówi Shanti. Szybko zerka, czy Mohan nadal siedzi przy stole w jadalni, i szepcze do Brijlala: - Dziś twój sahib będzie u tej wiedźmy Rity, prawda?

- Tak, Bibiji - odpowiada Brijlal z nerwowym grymasem na twarzy. Czuje się trochę winny.

- Uważaj na niego. Pilnuj, żeby jadł i pił, jak należy. Martwię się o jego zdrowie. On ostatnio nie jest sobą.

- Tak, Bibiji. - Brijlal potakująco kiwa głową. - Ja też widzę, że czasem zachowuje się dziwnie.

- Że też on musiał ją spotkać - mówi Shanti z goryczą. - Czasem mam chęć iść do niej i spytać, czemu jej tak zależy, żeby zniszczyć moją rodzinę.

- Nie niżaj się do rozmowy z nią, Bibiji - radzi Brijlal. - Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy. W końcu zostanie ukarana, przekonasz się.

- Obyś miał rację, Brijlal. - Shanti spogląda przez chwilę na sufit i wraca do ubijania jogurtu.

Gabinet Kumara mieści się w przygnębiająco szarym budynku w Bhikaji Cama Place, chaotycznym zbiorowisku biur i sklepów. Brijlal zawsze ma tu kłopot ze znalezieniem miejsca do zaparkowania. Dziś jest zmuszony stanąć w wąskim zaułku za biurem paszportowym. Po zamknięciu samochodu zabija czas, gawędząc z innymi kierowcami, grając w remika, narzekając na drożyznę i upadek obyczajów. W porze lunchu dzwoni jego komórka. To ojciec chłopaka. Mówi, że zgadza się na Ranno, i żąda dodatkowo dwudziestu pięciu tysięcy rupii. „Zgoda” mówi Brijlal i pędzi do najbliższej świątyni.

Punktualnie o trzeciej Kumar wychodzi z biura, żeby się udać na popołudniową schadzkę z kochanką. Kiedy wsiada do samochodu, Brijlal daje mu pudełko cukierków.

- A to za co, Brijlal? - pyta z uśmiechem.

- Dzięki pana błogosławieństwu udało mi się znaleźć wspianiałego chłopaka dla mojej córki Ranno.

- To dobrze. Shanti mi mówiła, że szukałeś.

- Ma rządową posadę, proszę pana. Ale jest jeden kłopot.

- Tak? - mówi Kumar nieufnie.

- Oni chcą dodatkowo trzydzieści tysięcy posagu. Pomyślałem sobie, że może mógłby mi pan te pieniądze pożyczyć.

- Brijlal - Kumar kręci głową - już ci dałem piętnaście tysięcy zaliczki. Nie mogę więcej, nie ma mowy.

- Bóg był dla pana taki hojny, a ja proszę o tak niewiele.

- Dając więcej, wyrządziłbym ci szkodę. A w ogóle, to czy wy ludzie musicie tracić tyle pieniędzy na wesela? W domu nie ma co jeść, ale jak córka wychodzi za męża, trzeba udawać bogaczy. A teraz mi nie przeszkadzaj. Muszę przeczytać sprawozdanie. - Otwiera teczkę i wyjmuje brązowy skoroszyt. Twarz Brijlala smutnieje.

W pobliżu Vasant Vihar samochód musi się zatrzymać, bo przez ulicę przechodzi orszak weselny. Na czele kroczy zbieranina grajków, trąbki ryczą nieskładnie jakąś melodię *filmi*. Goście, około dwudziestu, są ubrani byle jak, niektórzy nawet mają na nogach kaptcie. Anemiczny pan młody w jaskrawym *sherwani*⁷⁶ siedzi na równie anemicznym konia Brijlal patrzy na orszak z tą szczególną pogardą, jaką biedacy czują wobec biedaków. Wesele jego córki będzie wystawne, myśli. Jakoś uzbiera te dwadzieścia pięć tysięcy, a potem namówi sahiba, żeby na lokal weselny wynajął klub oficerski przy Curzon Road. Będzie orkiestra dęta z prawdziwego zdarzenia i śpiewaczka. Mrok rozświetli rząd chłopców niosących lampy naftowe. Hol rozbłyśnie jak pałac. W noc popłyną melodyjne dźwięki *shehnai*⁷⁷. Dalej - elegancki pawilon udekorowany słodko pachnącym jaśminem i aksamitkami. Goście wchodzą, rozglądają się i są zdumieni jego wytwornością i strojnością. Ojciec pana młodego kręci głową: „Gdzieś ty nas przyprowadził, Brijlal? Czy to na pewno ten adres?”. „Tak”, odpowiada. „To dobry adres. Tu się odbywa wesele mojej córki Ranno i twojego syna. A wszystko dzięki błogosławieństwu mojego sahiba. Oto on”. Wskazuje Mohana Kumara, który w kremowym *sherwani* i różowym turbanie wygląda niczym król. Jak na zawołanie zaczyna grać orkiestra, lecz sahib z jakiegoś powodu krzyczy: „Patrz, gdzie jedziesz, idioto... Stóóój!” i wielka mosiężna trąba ryczy Brijlalowi prosto w twarz, ogłusza go i zwała z nóg.

⁷⁶ *Sherwani* - długi ubiór przypominający płaszcz, noszony na specjalne okazje, podobny do surduta.

⁷⁷ *Shehnai* - flet dwustroikowy (jak obój) uważany za przynoszący szczęście i z tego powodu powszechnie używany w północnych Indiach na weselach.

Kiedy się budzi ze snu na jawie, jest już za późno. Siedzi z głową na kierownicy, a samochód opiera się o latarnię, która jest zgięta pod nieprawdopodobnym kątem. W lewym rogu przedniej szyby spostrzega małe rozgałęzione pęknięcie. Podnosi głowę, patrzy w lusterko i widzi, że z rozciętej wargi sączy mu się krew. Energicznie potrząsa głową, jakby chciał odzyskać jasność myśli, i wysiada z samochodu, żeby obejrzeć uszkodzenia. Impet kolizji przyjął na siebie przód hyundaia. W zderzaku jest głębokie wgniecenie. Brijlal przypuszcza, że ucierpiała też chłodnica.

Czuje dreszcze. Od kiedy ma prawo jazdy, taki błąd zrobił po raz pierwszy. Teraz jest skończony. Sahib obedrze go ze skóry. Nie ma co marzyć o dalszej karierze kierowcy, o małżeństwie Ranno, o rządowej posadzie dla Rupesha.

Patrzy na tylne siedzenie. Mohan Kumar ma zamknięte oczy, siedzi nieruchomo, jakby był martwy. W pierwszym odruchu Brijlal myśli: uciec, zabrać żonę, Rupesha i Ranno i popędzić na stację kolejową. Wsiąść do pociągu Lucknow Mail, wysiąść w rodzinnej wiosce, ukryć się na kilka tygodni, aż się wszystko uspokoi. Potem osiedlić się w jakimś innym mieście, znaleźć inną pracę, poszukać innego pana młodego.

Teraz już wokół stoi cały orszak weselny. Trębacz dotyka ramienia Brijlala. „Co się stało?”. Pan młody zsiada z konia i zaczyna oglądać samochód. Zjawia się spocony policjant, robi sobie przejście pałką i krzyczy: „Odsunąć się! Odsunąć się!”.

Brijlal zmierza ku skrajowi tłumu, lecz nie może oderwać oczu od Mohana Kumara. Widzi, jak pan młody otwiera tylne drzwi i pryska mu w twarz kilkoma kroplami wody z butelki. Sahib otwiera oczy i krzywi się z bólu.

- Gdzie ja jestem? - pyta słabym głosem.
- Jest pan w swoim samochodzie, niedaleko komisariatu przy Vasant Vihar - informuje go policjant. - Pana samochód miał wypadek. Czy chce pan, żebym wezwał karetkę?

- Wypadek? - pyta Kumar. Podnosi się z miejsca i slaniając się, wysiada. Brijlal nie wytrzymuje. Przedziera się przez tłum i pada Kumarowi do stóp.

- Bardzo pana przepraszam. Wyrządziłem panu wielką szkodę. - Szlocha jak dziecko.

Kumar bierze go za ramię i podnosi z ziemi. Brijlal spodziewa się siarczystego policzka, więc zaciska powieki, ale Kumar delikatnie wyciera mu palcem łzy.

- A kto ty jesteś? - pyta.

- Jestem Brijlal, proszę pana. Pański kierowca.

- Czyżby ten facet stracił pamięć? - policjant zwraca się do pana młodego.

- Nie, moja pamięć jest w doskonałym stanie - odpowiada Kumar, przyglądając się uważnie policjantowi. - Czy to nie ty uderzyłeś mnie pałką?

- Ja uderzyłem? Pana? Czy pan zwariował? Pierwszy raz widzę pana na oczy.

- Stosowanie siły, zwłaszcza przez obrońcę prawa, jest rzeczą niewłaściwą.

- Czy twój szef kompletnie zbzikował? - Policjant patrzy kpiąco na Brijlala.

- To wszystko moja wina - zawodzi Brijlal.

- To nie twoja wina - mówi Kumar. - Za każdym fizycznym nie-szczęśliwym wydarzeniem kryje się boski zamysł. Mógłbyś teraz sprawdzić, czy samochód nadaje się do jazdy, czy musimy poszukać taksówki?

Brijlal nie wie, czy się śmiać, czy płakać.

- Tak, oczywiście, proszę pana - mówi między kolejnymi atakami płaczu i siada za kierownicą. Drżącymi rękami przekręca kluczyk w stacyjce i dziwi się, słysząc miarowy warkot silnika. Cofa, hamuje i wyskakuje na ulicę.

- Działa, proszę pana! - krzyczy, a gapie, których zainteresowanie samochodem jest proporcjonalne do stopnia jego zniszczenia, zaczynają się rozchodzić.

Brijlal otwiera tylne drzwi i Kumar wsiada.

- Czy byłbyś łaskaw mi powiedzieć, dokąd jechaliśmy? - pyta.
- Do pani Rity.
- A kto to jest?
- Wszystko się panu przypomni, kiedy ją pan zobaczy.

Mohan Kumar wysiada z samochodu koło domu, w którym mieszka Rita, na twarzy ma wyraz kompletnego zagubienia. Brijlal prowadzi go do mieszkania na piętrze i naciska dzwonek. Jest zakłopotany, wraca do samochodu.

Rita otwiera drzwi, ma na sobie różowy szlafrok. Mohan czuje odurzający zapach perfum.

- Spóźniłeś się, kochanie - mówi Rita, przeciągając słowa, i próbuje go pocałować w usta.

Mohan Kumar cofa się, jakby go użądliła pszczoła.

- Nie... nie... Proszę mnie nie dotykać.

- Co ci się stało? - Rita unosi brwi.

- Kim pani jest?

- Cha, cha. Teraz udajesz, że nawet mnie nie znasz.

- Naprawdę nie znam. Przywiózł mnie tutaj kierowca.

- Rozumiem - mówi Rita przesadnie uprzejmym tonem. - No dobrze, panie Kumar. Nazywam się Rita Sethi. Tak się składa, że jestem pana kochanką. Przyjeżdża pan do mnie dwa razy w tygodniu, żeby uprawić ze mną seks.

- Seks z kobietą! O Boże!

- To się robi męczące, Mohan. Już przestań.

- Widzi pani... widzi pani, pani Sethi, ślubowałem *brahmacharya*⁷⁸, a to wymaga całkowitej abstynencji seksualnej. Nie mogę uprawiać seksu z żadną kobietą.

- Przyłączyłeś się do jakiejś trupy teatralnej? - pyta Rita gniewnie. - Dlaczego się zgrywasz na Mahatmę Gandhiego?

⁷⁸ *Brahmacharya* - życie poświęcone dążeniu do Boga. Tradycyjnie wymaga ścisłej abstynencji seksualnej.

- Ja jestem Gandhi.

- Gandhi? - Rita wybucha śmiechem. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby mnie nazywano kochanką Gandhiego.

- No cóż, w takim razie powinienem być pani już dawno powiedzieć, że jest siedem grzechów społecznych, Ritaji - mówi, lekko się czerwieniąc. - Polityka bez zasad, bogactwo bez pracy, wiedza bez charakteru, handel bez moralności, nauka bez humanizmu, modlitwa bez ofiary i przyjemność bez sumienia - wylicza na palcach. - Ostatni odnosi się do relacji między mężczyzną i jego kochanką. Mam nadzieję, że rozumie pani znaczenie tego, o czym mówię.

- Tak, rozumiem bardzo dobrze. To oznacza seks bez miłości. Po prostu przez cały ten czas mnie wykorzystywałaś, a nie kochałaś. Teraz ci się znudziłam i chcesz odejść, stąd to przedstawienie - mówi Rita z goryczą. - Świetnie. Zostaw mnie. Zawsze byłeś skupionym na sobie samolubnym draniem. Nie wiem, czemu marnowałam czas z takim dupkiem. Wynoś się! - Pokazuje otwarte drzwi.

- Pozwoli pani, że zanim odejdę, udzielę jeszcze jednej rady. Czystość to jedna z największych cnót. Bez niej rozum nie może osiągnąć koniecznej jasności. Czy mogę prosić, by zachowała pani czystość?

Rita patrzy na niego z otwartymi ustami, twarz jej ciemnieje z gniewu.

- Ty świnió - syczy i wymierza mu wściekłe uderzenie w policzek.

Mohan Kumar się cofa, zatacza i uderza ramieniem we framugę drzwi.

- To było całkiem niepotrzebne - mamrocze, dotykając twarzy. - Jeśli jednak ma pani ochotę, proszę wyładować swe gwałtowne instynkty również na moim drugim policzku. - Przekręca głowę.

Rita wypycha go na schody.

- Wolna droga, panie Mohanie Kumarze! - krzyczy i zatrząskuje drzwiami. - „Pomyłka, szanowna pani. Jestem Mohandas Karamchand Gandhi” - słyszy jeszcze jego słowa i ciężkie kroki na schodach.

- Co się stało, proszę pana? - pyta Brijlal. - Bardzo szybko dziś pan wyszedł.

- Więcej tu nie wracamy.
- Bibiji bardzo się ucieszy.
- Kto to jest Bibiji?
- Pana żona.
- Żona? Ja mam żonę?

Mohan Kumar błądzi po domu jak człowiek cierpiący na amnezję, który próbuje zrekonstruować przeszłość. Pierwszą osobą, jaką napotyka, jest Shanti, promieniejąca radością niczym panna młoda.

- Brijlal mówi, że właśnie zerwałeś z tą wiedźmą Ritą. Czy to prawda?

- Tak. Już do panny Rity Sethi nie pojedę.
- Więc poczekaj minutę. - Shanti znika w małym pokoju obok kuchni, w którym urządzono świątynię. Wraca ze stalowym talerzykiem w rękę. - To będzie tylko krótka modlitwa - mówi i zgiętym środkowym palcem robi mu na czole znak z cynobrowej papki.

Mohan jest zaskoczony.

- W jakiej intencji?

Shanti się czerwieni.

- Za nasze pożycie małżeńskie, które zaczyna się dziś od nowa.

Mohan się odsuwa.

- Musisz wiedzieć, Shanti, że ślubowałem całkowitą wstrzeźliwość. Proszę więc, żebyś nie oczekiwała ode mnie tego, czego żona oczekuje od męża.

- Śpij w swoim pokoju - mówi Shanti spokojnie. - Dla mnie wystarczającym dobrodziejstwem jest to, że już nie będziemy żyć w cieniu tej wiedźmy. W bożym sądzie można jednak znaleźć sprawiedliwość.

Mohan podnosi palec gestem nauczyciela.

- Poświęcę się teraz walce z niesprawiedliwością - mówi. - Prawda będzie moim kowadłem, a brak przemocy młotem.

- *Arrey*, co w ciebie wstąpiło? Mówisz zupełnie jak Gandhiji.
- Czy w takim razie mogę cię nazywać Ba⁷⁹?
- Nazywaj mnie, jak chcesz, bylebyś tylko zapomniał już o tej wiedzy.

Mohan Kumar zaczyna rygorystycznie przestrzegać nowych zwyczajów. Co rano razem z Shanti modli się i śpiewa *bhajan*. Zamiast garniturów i koszul nosi zwykle bawełniane *kurta* i nabiera upodobania do czapek w stylu Gandhiego. Przestaje farbować włosy, je wyłącznie żywność wegetariańską, nie pije alkoholu, zwykły cukier zastępuje palmowym i stara się codziennie wypijać litr koziego mleka.

Rezygnuje z telefonu komórkowego, nie chodzi do biura, czas spędza na czytaniu „Bhagawadgity” i innych książek o tematyce religijnej oraz pisaniu do gazet, na przykład o korupcji czy upadku moralności. Ponieważ listy podpisuje „Mohandas Karamchand Gandhi”, nie są one nigdy publikowane. Każdą wolną chwilę poświęca na zbieranie informacji o zamordowaniu Ruby Gill, wycinki na ten temat skrupulatnie wkleja do albumu.

- Skąd to nagle zainteresowanie Ruby Gill? - pyta Shanti.
- Była moją najlepszą uczennicą. Zanim jej życie zostało tragicznie przerwane, pisała pracę doktorską o moim nauczaniu.

- Cała okolica rozprawia o przemianie sahiba - mówi do Gopiego Brijlal. - Niektórzy twierdzą, że zwariował. Zaczął sobie wyobrażać, że jest Mahatmą Gandhim. Czemu Bibiji nie zabierze go do jakiegoś dobrego psychiatry?

- Wszyscy bogaci mają trochę bzika, Brijlal. A poza tym Bibiji woli go takiego - odpowiada kucharz.

- Ale obłęd to poważna choroba, Gopi. Dziś sahib mówi, że jest Mahatma Gandhim, jutro powie, że cesarzem Akbarem.

⁷⁹ Mahatma Gandhi tak zwracał się do swej żony Kasturby.

- *Arrey*, a co za różnica, za kogo on się ma, Brijlal? Ważne, że robi to, co uważamy za dobre. A najważniejsze, że już nam nie sprawia kłopotu.

- Tak, to prawda. Więc co mam robić?

- Udawaj, że jesteś kierowcą Gandhiji, tak jak Bibiji udaje, że jest żoną.

Trwa Diwali, Święto Świąteł. Dom Mohana Kumara jest przybrany sznurami mrugających żarówek. Nocne niebo rozbłyska feerią barw, raz po raz zakwita eksplodującymi różowymi i zielonymi kwiatami. Co kilka sekund z wizgiem leci w górę rakiet. Wybuchy petard niosą się echem jak grzmot.

Ogród okupuje gromada dzieci, które klaszczą i krzyczą z radości.

Siedmioletni Bounty, syn zmiataacza z sąsiedztwa, i jego o rok starszy kolega Ajj, syn szewca, zabierają się do wystrzelenia rakiet. Rakiet jest umieszczona w butelce po coca-coli.

- Hej, Ajj, chodź, zobaczymy, co się stanie, jak będziemy trzymać butelkę ukośnie, a nie prosto - proponuje Bounty.

- *Arrey*, rakiet polecie w bok, a nie do góry - mówi Ajj.

- No to wystrzelmy ją w bramę. Ja przechylę butelkę, a ty zapalaj.

- Dobra.

Bounty kieruje butelkę w stronę wejścia, Ajj zapala zapalając i przytykając do lontu. Po kilku błyskach butelka napęla się dymem i rakiet leci do bramy, ale w połowie drogi skręca w kierunku domu. Chłopcy patrzą z przerażeniem, jak trafia prosto w otwarte okno na piętrze.

- O Boże, Bounty, co myśmy zrobili! - krzyczy Ajj i zatyka sobie dłońią usta.

- Cii - szepcze Bounty. - Nie mów nikomu. Zabieramy parę paczek krakersów i zwiewamy, bo nas złapią.

Nieco później do ogrodu przychodzi Shanti w towarzystwie Gopiego. Niesie tacę z zapalonymi glinianymi *diya*⁸⁰ i pudełko cukierków. Bierze jedną *diya* i stawia pośrodku ozdobnego motywu, który specjalnie w tym celu narysowała na betonowej podłodze altany.

⁸⁰ *Diya* - tradycyjna lampka z knotem pływającym w roztopionym maśle lub w oleju. Korpus lampki może być gliniany bądź metalowy.

W jednym z rogów ogrodu wybucha z ogłuszającym hukiem petarda. Kucharz z niezadowolaniem patrzy na tłum dzieci tańczących na trawie.

- To wariactwo, Bibiji - mówi do Shanti. - Marnowanie pieniędzy, naszych pieniędzy. Huknie jedna petarda i sto rupii idzie na marne.

- Wolę fajerwerki, Gopi. - Shanti trze oczy i pokasłuje od dymu. - Te hałaśliwe petardy są nie dla mnie.

- Nie wiem, czemu Sahib wpuścił tu tych uliczników i dał im petardy warte pięć tysięcy. Spójrz tylko, jak zaśmiecili ogród. Jutro będę musiał sprzątać - narzeka.

- *Arrey*, Gopi, nie bądź bez serca. Te biedne dzieci pewnie jeszcze nigdy nie strzelały z petard. Cieszę się, że Mohan je zaprosił z okazji Diwali. To pierwszy dobry uczynek twojego sahiba od trzydziestu lat.

- Tak, to prawda - przyznaje Gopi. - W zeszłym roku sahib spędził całe Diwali w kasynie. A dzisiaj był z tobą w świątyni, odprawił *Laxmi puja*⁸¹, a nawet pierwszy raz w życiu pościł. Aż trudno uwierzyć, że to ten sam człowiek.

- Mam nadzieję, że już taki zostanie - mówi Shanti i zaczyna rozdawać cukierki dzieciom. - Chodźcie, chodźcie, macie tu *prasach*⁸² - woła.

⁸¹ *Laxmi puja* - modły do Lakszmi, bogini bogactwa.

⁸² *Prasad* - jedzenie złożone w ofierze, a potem zjedzone, w przekonaniu że bogini je pobłogosławiła.

W ogrodzie są też Brijlal i jego syn Rupesh.

- Jak tam wesele Ranno? - pyta Shanti kierowcę.

- Z twoim błogosławieństwem, Bibiji, ustaliliśmy termin na niedzielę, drugiego grudnia. - Brijlal promienieje. - Mam nadzieję, że oświetnicie je z sahibem swoją obecnością.

- Oczywiście, Brijlal - mówi Shanti. - Ranno jest dla nas jak własna córka.

- A to co, Bibiji? - pyta z przestachem Rupesh, pokazując palcem okno, z którego wałą kłęby czarnego dymu.

Shanti spogląda w górę i pudełko z cukierkami wypada jej z rąk.

- O Boże, chyba się pali w sypialni Mohana. A on tam śpi. Ratujcie sahiba! - krzyczy przeraźliwie i biegnie w stronę domu.

Gopi, Brijlal, Rupesh i Shanti pędzą po schodach. Sypialnia jest zamknięta od środka.

- Niech pan otworzy! - wrzeszczy Brijlal i wali w drzwi, ale nic się nie dzieje.

- Boże, musiał zemdleć od dymu. - Głos Shanti drży.

- Trzeba wyłamać drzwi - mówi Gopi.

- Odsuńcie się! - krzyczy Rupesh. Cofa się i już ma uderzyć ramieniem w drzwi, kiedy te się nagle otwierają, wypuszczając falę gorąca. Na progu staje ślaniający się Mohan Kumar. Twarz ma czerwoną, ubranie i ręce w czarnym popiele.

Gopi, Brijlal i Rupesh wbiegają do pokoju i starają się ugasić pożar, Shanti zajmuje się mężem, który się krztusi i rzeźi.

- Aach... aach - otwiera usta i łapie powietrze.

W drzwiach staje Rupesh z twarzą czarną od sadzy.

- Udało nam się ugasić ogień, Bibiji - oznajmia. - Na szczęście zajęły się tylko zasłony.

- Chwała Bogu, obudziłeś się w porę - mówi Shanti do Mohana, który nerwowo mruga.

- Co się dzieje? - pyta.

- W twoim pokoju wybuchł pożar.

- Pożar? Kto mógłby to zrobić? - Rozgląda się podejrzliwie.

- To musi być sprawka kóregoś z tych małych uliczników z ogrodu - mówi z przekonaniem Gopi.

- Ulicznicy? Co, u diabła, robią ulicznicy w moim domu? - pyta złym głosem Kumar.

Gopi i Brijlal patrzą na siebie pytająco.

Trochę później Kumar, w świeżym ubraniu, schodzi do jadalni.

- Jestem głodny. Gdzie moja kolacja? - pyta kucharza.
- Już przygotowana, proszę pana. Dokładnie według pana instrukcji - mówi Gopi i stawia na stole potrawę i talerz ze świeżo upieczonymi *roti*⁸³.

⁸³ *Roti* - placek z ciasta bez drożdży, jedzony z innymi potrawami.

Kumar bierze do ust kęs i natychmiast wypluwa.

- To nie są klopsiki z curry - mówi i krzywi się z niesmakiem. - Cóż to za dziwaczne jedzenie?

- Tykwa z curry, specjalnie bez cebuli i czosnku.
- To jakiś głupi żart? Przecież wiesz, że nienawidzę tykwy.
- Ale teraz je pan tylko potrawy wegetariańskie.
- Zawsze byłeś kretynem, Gopi, ale okazuje się, że masz jeszcze kłopoty ze słuchem. Czy ja bym kiedykolwiek kazał ci zrobić coś tak okropnego? Albo dostanę swoje klopsiki czy coś z kurczaka, albo wylatujesz z pracy.

Gopi wychodzi, drapiąc się w głowę, i wraca z Shanti.

- Więc już nie jesteś wegetarianinem? - pyta Shanti nieśmiało.
- A czy kiedyś przestałem być niewegetarianinem?
- Dwa tygodnie temu. Powiedziałeś, że nie będziesz więcej jadł mięsa ani pił alkoholu.
- Ha, ha, ha! Tylko wariat mógłby podjąć taką decyzję.
- Nietrudno zwariować, żyjąc w tym domu - mruczy pod nosem Gopi i zaczyna sprzątać ze stołu.

Mohan nagle patrzy na Shanti i marszczy czoło.

- Co ty mówiłaś o picciu? Mam nadzieję, że nie tknęłaś mojej kolekcji whisky.
- Dwa tygodnie temu sam kazałeś zniszczyć wszystkie butelki - mówi Shanti spokojnie.

Mohan się zrywa od stołu, jakby go osa ukąsiła, i wpada do spiżarni, pełniacej również funkcję piwnicy. Wychodzi śmiertelnie błady i zaczyna gorączkowo przetrząsać kuchnię. Otwiera wszystkie szafki,

przeszukuje półki, zagląda nawet do piekarnika. W końcu ciężko opada na krzesło.

- Nie ma ani jednej butelki. Jak mogłaś to zrobić? Zdobywałem je z trudem przez ponad dwadzieścia lat. Masz pojęcie, ile były warte?

- Cóż, to ty wydałaś polecenie.

- Teraz mnie naprawdę zdenerwowałaś - syczy, patrząc wściekłym wzrokiem. - Czy to ja je zniszczyłem, czy ty za moimi plecami? No, przyznaj się, kobieto.

- Dlaczego miałabym je niszczyć? Znosiłam je przez trzydzieści lat. To byłeś ty - mówi Shanti ze skurczoną twarzą. - To ty dziś rano powiedziałeś, że kto ma choćby odrobinę rozumu, nie tknie alkoholu ani żadnych innych środków odurzających.

- Oszalałaś, kobieto? Nikt, kto ma odrobinę rozumu, nie zniszczyłby tylu butelek dobrej zagranicznej whisky. Kto je stamtąd wyniósł?

- Brijlal.

- Zawołaj mi tu tę świnię.

Przychodzi Brijlal i zostaje szczegółowo przepytany. Uparcie trzyma się wersji, którą ćwiczył przez dwa tygodnie: że o zniszczenie butelek poprosiła go Bibiji, że je zaniósł do miejskiej studzienki ściekowej i wszystkie co do jednej rozbił o beton, że szkło wrzucił do torby na śmieci, że torbę zabrała śmieciarka.

- Nie pomyślałaś, żeby najpierw mnie zapytać o zdanie?

- Bibiji powiedziała, że to pana polecenie. Jak mógłbym nie wierzyć Bibiji?

- Wszystkie kłopoty w tym domu zaczynają się od Bibiji. - Kumar zgrzyta zębami. - Muszę się napić.

- Dlaczego zmieniasz mądrą decyzję, że będziesz abstynentem? - pyta Shanti błagalnym tonem. - Co roku pościłam specjalnie po to, żebyś się uwolnił od nałogu. Kiedy powiedziałeś, że przestajesz pić, pomyślałam, że Bóg ci wreszcie otworzył oczy, przywrócił rozsądek.

- To tobie brakuje rozsądku, kobieto! - krzyczy Kumar i odwraca

się do Brijlala. - Zawieź mnie natychmiast na Khan Market. Nie usnę bez drinka.

- Dziś Diwali, proszę pana. Sklepy są nieczynne.
- To idź i ukradnij gdzieś butelkę - warczy Kumar, sięga po talerz i rzuca nim o ścianę. Talerz rozpryskuje się na kawałki.
- Zabierz go, Brijlal! - krzyczy Shanti. - Zawieź do jakiegoś baru, bo inaczej wszystko zniszczy.
- W tym domu nie można wytrzymać - oznajmia Kumar i ciężkim krokiem wychodzi z kuchni.

Na drugi dzień rano Kumar każe się wieźć Brijlalowi na Khan Market do sklepu Modern Liquors. Właściciel, pan Aggarwal, wita go serdecznie.

- Dzień dobry, panie Kumar. Ma pan dla nas więcej butelek?
 - O co panu chodzi?
 - Kilka tygodni temu sprzedał nam pan swoją świetną kolekcję. Pomyślałem, że może ma pan coś jeszcze. Damy najlepszą cenę.
 - Myli się pan. Wszystkie moje butelki zostały zniszczone.
 - W takim razie ktoś pana oszukał. Zapłaciłem za pana zbiór dwadzieścia pięć tysięcy rupii.
 - Aha. - Kumar gładzi się po policzku i wzywa do sklepu Brijlala. - Czy to ten człowiek sprzedał panu moją kolekcję? - pyta.
 - Tak, proszę pana, właśnie ten.
 - Chyba już pora, żebyś mi powiedział, jak rzeczywiście było z butelkami, Brijlal - mówi Kumar ostro.
- Trzęsąc się ze strachu, kierowca wyznaje prawdę.
- Co zrobiłeś z pieniędzmi?
 - Przeznaczyłem na posag dla Ranno.

Kumar wpada we wściekłość. Podnosi rękę i uderza kierowcę w twarz.

- Ty niewdzięczny psie! Jesz moją sól, a potem wbijasz mi nóż w plecy? Teraz idź i wracaj z pieniędzmi, co do pajsy. Jeśli mi nie oddasz tych dwudziestu pięciu tysięcy, ja cię oddam w ręce policji.

Brijlal przypada Kumarowi do stóp, z oczu płyną mu łzy.

- To zniszczy przyszłość Ranno, proszę pana. Niech pan co miesiąc zabiera część mojej pensji, ale proszę mi nie kazać, żebym złamał córce serce.

- Trzeba było myśleć o konsekwencjach, zanim się zdecydowałeś na tę świetną transakcję. Najpóźniej o dwunastej mam mieć pieniądze z powrotem. W przeciwnym razie spędzisz noc w areszcie.

W południe Brijlal wchodzi do gabinetu Kumara i wręcza mu brązową kopertę.

Kumar liczy banknoty i chrząka z zadowoleniem.

- Zgadza się. Dwadzieścia pięć tysięcy. Naprawiłeś szkodę, Brijlal. Niech to będzie dla ciebie nauczka. Jeszcze jeden taki idiotyczny błąd i bez skrupulów cię wyrzucę. A wtedy zostaniesz nawet bez dachu nad głową.

Brijlal w milczeniu wychodzi. Jest błądy jak trup.

Mija tydzień. Mohan Kumar z takim zapałem wraca do mięsa i alkoholu, że domownicy dochodzą do wniosku, iż krótki okres abstynencji w jego życiu był skutkiem jakiejś nienormalnej decyzji, zresztą pewnie podjętej pod wpływem alkoholu. Przestaje się odzywać do Shanti i patrzy na nią z taką odrazą, że Shanti stara się nie wchodzić mu w drogę. Zabrania Gopiemu przynoszenia do domu tykwy, o przyrządzaniu z niej czegokolwiek nie wspominając.

Znów chodzi do pracy i próbuje się dodzwonić do Rity Sethi, lecz ona nie odbiera jego telefonów, co go wprawia w konsternację. Kiedy bank mu przysłała wyciąg z konta, Mohan Kumar omal nie dostaje apopleksji.

Twarz siostry Kamali tężeje, co jej nadaje wygląd surowej nauczycielki.

- Jeśli dobrze rozumiem, panie Kumar, twierdzi pan, że bezprawnie podjęliśmy z pana konta w banku HSBC dwa miliony rupii. Czy tak?

- Jak cholera - mruczy Mohan Kumar i niebieską chusteczką ociera sobie pot z czoła. - Ten wyciąg dostałem w dzisiejszej poczcie. Proszę spojrzeć. - Podsuwa jej pod nos arkusz papieru. - Czarno na białym: czek numer 00765432 uznający rachunek Misjonarek Miłości⁸⁴ kwotą dwa miliony rupii. Tyle że ja wam nigdy tego czeku nie dałem, więc oczywiście wiąże się z tym jakieś oszustwo.

⁸⁴ Misjonarki Miłości to katolickie zgromadzenie zakonne założone w 1950 roku przez Matkę Teresę z Kalkuty.

Siostra Kamala z wystudiowaną nonszalancją poprawia błękitną szarfę na swym białym sari.

- W takim razie będziemy zmuszone odświeżyć panu pamięć.
- Spogląda na podobnie ubraną kobietę w okularach, która stoi obok jej krzesła. - Siostrzo Vimlo, czy mogę prosić o dokumenty?

Siostra Vimla poprawia okulary i kładzie na stole zielony skoroszyt.

- Zechce pan z łaski swojej zerknąć tutaj, panie Kumar. - Siostra Kamala otwiera skoroszyt. - Oto fotokopia czeku, który dał nam pan dziesięć dni temu, siódmego listopada. Czy to pana podpis?

Mohan Kumar patrzy z podejrzliwą miną specjalisty od prawa spadkowego, który analizuje testament. Długo milczy, w końcu wykrztusza:

- Rzeczywiście wygląda jak mój podpis. Trzeba przyznać, że bardzo dobrze sfalszowany. To poważna sprawa - dźga palcem powietrze - za to można iść do więzienia.

- Więc twierdzi pan, że podpis został sfalszowany. Świetnie.
- Przewraca kartkę w skoroszytcie. - A może pan spojrzeć na tę fotografię? To pan, czy ona też jest sfalszowana?

Mohan Kumar patrzy na błyszczącą kolorową fotografię w przezroczystej koszulce. Znowu długo milczy.

- On... on wygląda jak ja - mówi cichym głosem.
- To pan, panie Kumar. Przyszedł pan do nas w środę. Siedział pan w tym pokoju, na tym samym krześle i dał nam pan czek. Powiedział pan, że podziwia Matkę Teresę i jej dzieło i że posiadanie nadmiernego majątku to zbrodnia przeciw ludzkości, a potem wypisał nam pan czek

na dwa miliony. Siostra Vimla zrobiła to zdjęcie dla naszego biuletynu, żeby upamiętnić największą darowiznę, jaką kiedykolwiek otrzymałyśmy.

- Ale... ale ja nie pamiętam, że bym tu kiedykolwiek był.

- Za to my świetnie pamiętamy i mamy dowód - mówi siostra Ramala triumfalnie.

- Czy jest jakiś sposób, że bym mógł odzyskać pieniądze? - pyta Kumar błagalnym tonem.

- Już zrealizowałyśmy ten czek. Pieniądze od pana ułatwią nam prowadzenie hospicjum dla śmiertelnie chorych, umożliwią rozbudowę sierocińca i otwarcie niewielkiej szkoły z klasami od pierwszej do szóstej. Proszę tylko pomyśleć, ile zyska pan dobre imię, jak będą pana błogosławić ci, których ta darowizna wspomże.

- Co mi tam dobre imię, chcę swoich pieniędzy. Jestem bardzo wysokim urzędnikiem Indyjskiej Służby Administracyjnej.

- I bardzo sprzedajnym. Siostra Vimla dokładnie sprawdziła pana przeszłość. Czy to nie pan jest tym głównym sekretarzem, którego Stowarzyszenie Pracowników Służby Cywilnej stanu Uttar Prades uznało za najbardziej skorumpowanego urzędnika?

- A to dobre! Zabrałyście mi pieniądze i jeszcze mnie obrażacie! Oddajecie czy mam iść na policję?

- Panu nie jest potrzebna policja, panie Kumar. Pan potrzebuje lekarza. A teraz przepraszamy, ale nadeszła pora modlitwy.

- Ale... - próbuje jeszcze się odezwać Kumar.

Siostra Kamala zatrząskuje drzwiami i zwraca się do asystentki:

- Bzik. - Palcem wskazującym zatacza kółka wokół ucha. - Kompletny bzik.

Gabinet doktora M.K. Diwana w Defence Colony, z błękitną kozetką, kilkoma wygodnymi fotelami, abstrakcyjnymi obrazami na alabastrowych ścianach i sztucznym drzewkiem figowym wyglądającym jak prawdziwe, sprawia miłe wrażenie. Wystrojem bardziej przypomina salon niż miejsce pracy psychologa. Doktor Diwan to dobiegający

pięćdziesiątki wysoki mężczyzna o szorstkim sposobie bycia mówiący z brytyjskim akcentem.

- Może pan zdejmie buty i położy się na kozetce? - radzi Mohanowi Kumarowi, który stoi onieśmielony przy drzwiach.

Kumar kładzie się niechętnie i opiera głowę na podglówku. Doktor Diwan przysuwa fotel bliżej kozetki i siada, z notatnikiem oprawionym w czarną skórę w jednej ręce i srebrnym piórem w drugiej.

- Dobrze, teraz posłuchajmy, co pana trapi.

- W moim ciele zagnieżdżyła się jakaś nieznana siła, panie doktorze. Zacząłem chodzić, mówić i postępować jak inna osoba.

- Czyli kto?

Mohan Kumar milczy przez chwilę.

- Nie uwierzy pan.

- Zobaczymy. - Doktor uśmiecha się oschle.

- Gandhi... Mahatma Gandhi.

Kumar myśli, że doktor Diwan się roześmieje, ale najbardziej znany psycholog kliniczny w Delhi przyjmuje to bez mrugnienia okiem.

- Hm, a z kim rozmawiam teraz? - pyta, bawiąc się piórem.

- Teraz jestem Mohanem Kumarem, byłem głównym sekretarzem w Uttar Pradeś, ale w każdej chwili mogę zacząć mówić jak Mohandas Karamchand Gandhi. - Przekręca głowę w stronę Diwana. - To wszystko zaczęło się od seansu spirytystycznego z Gandhim. Żałuję, że tam poszedłem. Nie sądzi pan, że to może być opętanie przez demona?

- Demony istnieją tylko w filmach. A filmy to nie rzeczywistość, panie Kumar.

- Więc tracę rozum?

- Wcale nie. Nawet ludzie najzupełniej zdrowi na umyśle mogą od czasu do czasu zachowywać się nieco odmiennie.

- Pan nie rozumie, doktorze. To jest nadzwyczaj poważna dolegliwość. Robię przez nią szalone rzeczy, na przykład noszę *khadi* i tę dziwną czapkę Gandhiego. Albo niszczę całą swoją kolekcję

whisky. Albo zostaję wegetarianinem i przepuszczam dwa miliony z moich ciężko zarobionych pieniędzy na Misjonarki Miłości.

- Rozumiem. A kiedy to się dzieje?

- Prawdę mówiąc, nie wiem. To... to znaczy teraz jestem sobą, a za moment tym drugim, i zaczynam pleść jakieś bzdury o Bogu i religii.

- A kiedy znów jest pan sobą, pamięta pan, co pan robił jako ten drugi?

- Początkowo nie pamiętałem, po prostu miałem lukę w pamięci. Ale teraz zaczynam sobie powoli przypominać te idiotyzmy, które robię jako Gandhi.

Doktor Diwan przepytuje go jeszcze przez pół godziny, po czym stawia diagnozę.

- Uważam, że cierpi pan na dysocjacyjne zaburzenie osobowości. W filmach nazywają to rozdwojeniem jaźni.

- To znaczy, że moja osobowość jest podzielona między Mohana Kumara i Mohandasa Karamchanda Gandhiego?

- Mniej więcej. W przypadku tej choroby integralność osobowości ulega zniszczeniu i powstają co najmniej dwie osobowości niezależne. Chory jest świadomy jednej strony swojego ja, a całkowicie nie zdaje sobie sprawy z innych. Czy zechce się pan poddać hipnozie?

- W jakim celu?

- Zbadamy panu podświadomość, żeby sprawdzić, czy z obecnym problemem nie mają związku dawne wydarzenia i przeżycia.

- Pytania byłyby bardzo osobiste? - Na twarzy Kumara maluje się niepokój.

- Muszą być osobiste. Istotą hipnozy jest ominięcie cenzury, jaką sprawuje świadomy umysł.

- Nie, nie poddam się hipnozie - mówi Kumar stanowczo.

Doktor Diwan wzdycha.

- Jeśli mam pana leczyć, musi pan być wobec mnie szczery, panie Kumar. Czy jako dziecko był pan wykorzystywany seksualnie?

Mohan Kumar siada i patrzy na doktora Diwana ze złością.

- Skończmy z tymi freudowskimi bzdurami. Niech mi pan po prostu powie, co mam zrobić, żeby się nie zamieniać w Mahatmę Gandhiego.

Doktor Diwan się uśmiecha.

- Wielu ludzi na świecie zrobiłoby wszystko, żeby się zamienić w Mahatmę Gandhiego.

- W takim razie to są głupcy, doktorze. Musi pan zrozumieć, że ludzie nie lubili Gandhiego, oni się go bali. Gandhi mówił o sprawach, które chcieli pozostawić w ukryciu. Odradzał seks, picie, bogacenie się. A co warte jest życie, jeśli nie można mieć nic z tych rzeczy?

- Są w życiu ważniejsze sprawy, panie Kumar.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby dyskutować o filozofii Gandhiego. - Kumar zaczyna wiązać sznurowadła. - Ale zarobi pan swoje honorarium, jeśli mi pan potrafi powiedzieć, co wywołuje moje nagłe przemiany w tę postać.

- No cóż, nie ma podstaw, by twierdzić, że dysocjacyjne zaburzenie osobowości ma przyczyny biologiczne. Prawie we wszystkich znanych mi przypadkach przejście od jednej osobowości do drugiej było wywołane przez jakieś stresujące wydarzenie.

- Więc jeśli się będę wystrzegał stresu, mogę uniknąć tych przemian?

- Teoretycznie tak, lecz muszę pana ostrzec, że inna osobowość może się uaktywnić w każdej chwili. A co ważniejsze, z czasem jedna osobowość może zacząć brać przewagę nad pozostałymi.

- Zapewniam pana, doktorze, że nie pozwolę Mahatmie Gandhiewi uzyskać nade mną przewagi. - Mohan Kumar wstaje. - Dziękuję za poświęcony mi czas.

- To było interesujące spotkanie, panie Kumar - odpowiada doktor Diwan. - Wprawdzie niezupełnie takie, jak oko w oko podczas leczenia, ale mam nadzieję, że teraz lepiej pan rozumie swą chorobę.

- Oko za oko kończy się ślepotą całego świata, doktorze - mówi poważnie Kumar i delikatnie klepie Diwana po ramieniu.

- O, mój Boże! - wykrzykuje doktor Diwan.

Kumar chichocze.

- Żartuję. Ale właśnie takie rzeczy mówię, jak się zamieniam w Gandhiego. To się już nie zdarzy. Do widzenia, doktorze - mówi i wolnym krokiem wychodzi z kliniki.

Doktor Diwan patrzy za nim z wyrazem zdziwienia na twarzy.

Po powrocie do domu Mohan Kumar zaczyna się zachowywać ostrożniej niż księgowy, który się spodziewa kontroli podatkowej. Chodzi na palcach, jakby był baletnicą, płynnie i lekko, unikając zderzeń z drzwiami i ścianami i omijając szerokim łukiem domową świątynię. Zakazuje trzymania w domu petard i instruuje Brijlala, że ma jeździć nie szybciej niż czterdzieści kilometrów na godzinę i łagodnie hamować. Sprawdza wszystkie książki w bibliotece i pali te, które mogą w jakikolwiek sposób kojarzyć się z Gandhim, w tym taką rzadkość jak pierwsze wydanie „India of My Dreams” i biografię Martina Luthera Kinga ze słowami „American Gandhi” na obwolucie. Zwiększa swoją dawkę alkoholu do trzech szklaneczek co wieczór, a żeby mieć pewność, że Gandhi nie zakłóci mu snu, zaczyna tuż przed zaśnięciem łykać walium.

Shanti z hartem męczennicy akceptuje powrót Mohana do starej, trudnej osobowości. Gopi jak dawniej gotuje mięsne potrawy i wieczorami zanosi do sypialni Sahiba lód i wodę sodową.

Mohan Kumar popija w sypialni drugą whisky i przegląda dokumenty związane z Rai Textile Mill. Za oknem szaleje niespotykana o tej porze roku burza. Z nieba spada ściana wody, dachem domu wstrząsają grzmoty. Słyszy dzwonek telefonu, podnosi słuchawkę.

- Halo.

- Halo, Kumar?

Zawsze czuje się lekko urażony, gdy Vicky Rai zwraca się do niego po nazwisku, lecz jako pragmatyczny urzędnik potrafi schować dumę do kieszeni.

- Tak, proszę pana - odpowiada.

- Dzwonię, żeby ci przypomnieć o jutrzejszym posiedzeniu zarządu.

- Dostałem dzisiaj sprawozdanie Rahy i właśnie je czytam.
- Liczymy na to, że jutro przepchniesz te propozycje redukcji. Żeby zrestrukturyzować zakłady tekstylne, konieczne są cięcia w zatrudnieniu.

- Bez wątpienia, proszę pana. Musimy zlikwidować co najmniej sto pięćdziesiąt stanowisk. Proszę się nie martwić, postaram się, żeby propozycja restrukturyzacji przeszła bez kłopotu. Na jednomyślność oczywiście nie można liczyć. Związki zawodowe będą walczyły do upadłego. Dutta jak zwykle zrobi przedstawienie, ale co może wskórać jeden związkowiec przeciw pięciu członkom kierownictwa? Zmusimy go do uległości.

- Jestem pewien, że dasz sobie z tym skurwysynem radę. Dobranoc, Kumar.

Gdy Mohan Kumar odkłada słuchawkę, ktoś puka do drzwi. Deszcz szumi tak głośno, że początkowo tego nie słyszy, jednak pukanie nie ustaje. Zirytowany marszczy czoło i wstaje z łóżka. Wkłada kapcie i otwiera drzwi.

Przed nim stoi Brijlal, z przekrwionymi oczami, przemoczony do suchej nitki.

- Co ty tu robisz? - ostro pyta Kumar.
- Wszystko skończone... wszystko skończone... - mamrocze Brijlal, lekko dygocząc.

Kumar się krzywi.

- Śmierdzisz jak świnia. Upiłeś się?
- Tak, jestem pijany, proszę pana. - Brijlal śmieje się głucho. - Czego się można spodziewać po wsiowym samogonie? Śmierdzi. Ale daje lepszego kopa niż ta pańska zagraniczna whisky. - Chwiejnym krokiem wchodzi do pokoju.

- Wynocha! - Kumar robi gest, jakby napominał psa. - Niszczysz dywan.

Brijlal nie słucha, idzie w stronę łóżka.

- Ja tylko niszczę dywan, a pan mi zniszczył życie. Czy pan wie, jaki dziś jest dzień? - Mówi niewyraźnie, piskliwym głosem.

- Niedziela, drugiego grudnia. A co?
- Dzisiaj moja Ranno miała wyjść za mąż. Dzisiaj powinienem słuchać dźwięku *shehnai*. Mój dom powinien rozbrzmiewać szczęśliwym śmiechem, ale ja słyszałem szlochanie żony i córki. Wszystko przez pana.

- Przeze mnie? A co ja zrobiłem?
- To pan mnie potraktował jak zwykłego złodzieja i skompromitował przed całym Khan Market. To pan zażądał zwrotu pieniędzy. Dlatego musiałem odebrać posag rodzinie pana młodego. Jeszcze nigdy nie czułem się taki upokorzony. A czym zawiniłem? Butelki i tak miały być zniszczone. Jeśli coś na nich zarobiłem, to czy wyrządziłem w ten sposób komuś krzywdę? Wy wielcy sahibowie oszukujecie żony, macie inne kobiety. Chłacie i gracie, nawet nie płacicie podatków. Ale poniża się i aresztuje biedaków jak ja.

- Dość już tego, Brijlal. Straciłeś rozum - upomina go Kumar surowym tonem.

Brijlal mówi dalej, jakby go nie słyszał.

- Związek między panem i służą to bardzo delikatna sprawa. Przekroczył pan granicę. Rodzina pana młodego całkiem odwołała ślub. I co mam teraz zrobić? Pozwolić Ranno zostać starą panną? Jak mam spojrzeć w oczy żonie, która harowała dzień i noc, żeby przygotować wesele?

- Ostrzegam cię, Brijlal. Naprawdę za dużo sobie pozwalasz.
- Wiem, ale pan przekroczył wszelkie zasady przyzwoitości. Zasłużył pan na to, żeby pana powiesić nago głową w dół i dotąd chłostać, aż pan poczuje mój ból.

- Dość! - ryczy Kumar. - Masz stąd natychmiast wyjść!
- Wyjdę, proszę pana, ale dopiero jak wyrównamy rachunki. Pan ma pieniądze i władzę, ale ja mam to. - Wkłada rękę pod *kurta* i wyciąga stary nóż. Jego ciemne ostrze nie odbija światła zyrandola.

Mohan Kumar na widok noża traci oddech. Brijlal robi krok w jego stronę, Kumar kurczy się i cofa, aż dotyka plecami okna, które wychodzi na ogród. Niebo przecina błyskawica, szyby drżą.

- Jesteś pijany, Brijlal - tłumaczy. - Jeśli zrobisz teraz coś głupiego, później możesz żałować.

- Jestem zrozpaczony, proszę pana. A człowiek zrozpaczony nie liczy się z konsekwencjami. Żona i córka i tak popełnią samobójstwo. Syn znajdzie gdzieś pracę. A ja zabiję pana, a potem siebie.

Kumar zaczyna sobie powoli zdawać sprawę z Brijlalowej desperacji.

- Już dobrze, Brijlal, już dobrze. Sam dopilnuję, żeby ślub Ranno się odbył - mamrocze. - Możesz wykorzystać mój dom albo wynajmę wam salę balową w Sheratonie. I osobiście poprowadzę Ranno do ołtarza. Przecież jest dla mnie jak córka. - Słowa płyną mu z ust potokiem.

- Ha! - parska Brijlal. - Gdy człowiekowi grozi śmierć, może nawet uznać osła za ojca. Nie, proszę pana, nie dam się znowu nabrać. Umrę, ale najpierw pan. - Ścisła nóż i podnosi rękę. Kumar zaciska powieki.

Nóż przecina powietrze i zbliża się do jego piersi, łamiąc odwieczne bariery, rwąc pajęczyny różnic społecznych, lecz kiedy już ma się wbić w ciało, Brijlal się załamuje. Nie potrafi przekroczyć granicy lojalności. Wypuszcza nóż, ręce mu opadają bezwładnie, osuwa się na dywan, odrzuca głowę i zanoszą się przeraźliwym szlochem. Płacze z żalu, że buntował się daremnie.

W Mohanie Kumarze zachodzi tymczasem powolna zmiana. Napięcie na jego twarzy znika. Otwiera oczy i widzi u swych stóp Brijlala.

- *Arrey*, Brijlal, co ty tu robisz? - Mówi powoli, z trudem. Nagle klepie się w czoło, jakby sobie coś przypomniał. - No tak, na pewno przyszedłeś, żeby mnie zaprosić na ślub córki. Ach, i Ba jest tutaj.

Do pokoju wpada Shanti.

- Co się stało? - pyta zasapana. - Chyba słyszałam krzyk.

- Krzyk? Jaki krzyk? Tylko ci się tak zdawało, Ba. Właśnie rozmawiałem z Brijlalem o ślubie jego córki. To chyba miało być dzisiaj?

Shanti patrzy na Brijlala, który wciąż leży na dywanie i co chwila łka. Załamuje ręce.

- Ja już nie wiem, co się z tobą dzieje. Jednego dnia zachowujesz się jak święty, następnego jak diabeł, potem znów jak święty. Wiesz chociaż, że Brijlal musiał odwołać ślub córki?

- Naprawdę? Jak to możliwe, Brijlal? Jeśli to ja popełniłem jakiś błąd, proszę cię o przebaczenie. - Składa dłonie.

Brijlal przypada mu do stóp.

- Proszę tak nie mówić. To ja powinienem błagać o przebaczenie. Przyszedłem, żeby panu zrobić krzywdę, a pan mi przebaczył. Pan nie jest człowiekiem, pan jest Bogiem.

Kumar podnosi go z podłogi.

- Nie, Brijlal. Bóg jest ogromny, bez granic, jak ocean, a ja to tylko kropelka. A o co chodzi z tą krzywdą? Tobie też wyobraźnia płata figle? Ach! Skąd tu się wziął nóż?

Posiedzenie zarządu rozpoczyna się punktualnie o czwartej, na terenie Rai Textile Mill w Mehrauli.

W sali czuć metaliczny zapach świeżej pasty. Na środku stoi wielki owalny stół z drewna tekowego, z filcowymi podkładkami pod szklanki, ściany są ozdobione obrazami w stylu *corporate art*.

Wchodzi Mohan Kumar. Ma na sobie białą *dhoti kurta* i białą czapkę à la Gandhi. Przy drzwiach wita go Vicky Rai w błękitnym garniturze w prążki.

- Bardzo sprytnie, Kumar - szepcze. - Ten strój kompletnie ogłupi związki.

- Gdzie ja siedzę? - pyta Kumar.

- Jesteś moją prawą ręką, więc po mojej prawej stronie - puszcza oko Vicky Rai. - A obok ciebie posadziłem Duttę.

Za stołem zajmuje miejsca pięciu mężczyzn i kobieta. Vicky Rai siedzi u szczytu, przed ekranem projektora.

- Witam członków zarządu. W programie dzisiejszego posiedzenia

jest tylko jeden punkt, restrukturyzacja Rai Textile Mill - rozpoczyna energicznie. - Jak państwo wiedzą, kiedy dwa lata temu kupiliśmy tę fabrykę od rządu, była w opłakanym stanie. Dla jej całkowitego uzdrowienia konieczne są drastyczne posunięcia. - Wskazuje siedzącego po lewej stronie niskiego mężczyznę w okularach w stalowej oprawce. - Proszę prezesa Pravena Rahe o zaprezentowanie zarządowi nowej strategii firmy, do zatwierdzenia.

Raha poprawia okulary i naciska klawisze laptopa. Na białym ekranie pojawiają się kolorowe wykresy.

- Szanowni członkowie zarządu, zacznę od przykrego faktu: w ubiegłym roku firma poniosła stratę w wysokości trzydziestu pięciu milionów rupii.

- Wierutne kłamstwo - odzywa się szorstkim głosem siedzący obok Kumara szczupły mężczyzna w spodniach *kurta* i grubych okularach w czarnej oprawce. - Z danych na temat produkcji zebranych przez związek zawodowy wynika, że firma powinna osiągnąć zysk w wysokości dwudziestu milionów rupii.

Raha patrzy na niego z niechęcią i naciska klawisz. Na ekranie widać nowy wykres.

- Sprawozdanie z audytu przeprowadzonego przez R.R. Haldarów tego nie potwierdza, panie Dutta.

- To tacy sami oszuści jak pan - uśmiecha się szyderczo Dutta.

Raha postanawia nie reagować.

- W każdym razie, jak już powiedziałem, nasza sytuacja wciąż jest trudna. Z powodu nielegalnego strajku w maju utraciliśmy trzydzieści pięć roboczodniówek.

- Proszę nie zrzucać winy za strajk na pracowników - przerywa mu znów Dutta. - Cała odpowiedzialność spada na kierownictwo, które bez uprzedzenia zlikwidowało dodatek transportowy.

Raha mówi dalej, jakby go nie słyszał.

- Pan Rai marzy o tym, żeby ten zakład był jednym z najlepszych w całej indyjskiej branży tekstylnej. Naszym ostatecznym celem jest dwuetapowa modernizacja połączona z zainstalowaniem najnowocześniejszych

maszyn. Żeby plan restrukturyzacji się powiódł, musimy ograniczyć środki nieprodukcyjne i oprocentowane zadłużenie. Trzeba będzie do maksimum wykorzystać kapitałochłonne urządzenia, a co za tym idzie, ee... zoptymalizować niektóre inne parametry.

- A co to są te inne parametry, panie Raha? - pyta Dutta.

- Znajdzie konieczność odpowiedniego zmniejszenia liczby zatrudnionych.

- Ach, czyli wyleje się ludzi, a postawi więcej maszyn?

- Ja bym tego tak ostro nie określił, panie Dutta. W planie restrukturyzacji przewidziano również stosowne do kompetencji dodatki motywacyjne i premie za wydajność, a także inne bodźce...

- Dość już tej farsy, Raha. - Dutta odsuwa się od stołu i wstaje. - Jako przedstawiciel związków zawodowych nie akceptuję tego planu.

W sali zapada cisza. Wszystkie oczy są utkwione w Vickym Rai, który z kamienną twarzą bębni palcami w stół.

- W takim razie uważam, że powinniśmy poddać propozycję pod głosowanie. Kto jest za, proszę powiedzieć „tak”. - Patrzy na długonosego mężczyznę w średnim wieku siedzącego z lewej strony. - Pan Arora?

- Tak.

- Pani Islamia?

- Tak.

- Pan Singh?

- Tak.

- Pan Billmoria?

- Tak.

- Pan Dutta?

- Stanowczo nie.

- Pan Kumar?

Mohan Kumar ma na twarzy szelmowski uśmiech.

- Muszę przyznać, że to była fascynująca dyskusja, zmuszająca do myślenia. Mam tylko trzy uwagi. Pierwsza, że zasada większości nie odnosi się do sytuacji, w której wchodzi w grę różnica w kwestiach

fundamentalnych. - Spogląda na Vicky'ego Rai, który nieco unosi brwi. - Druga, że każdy z państwa powinien mieć na względzie dobro naszych towarzyszy pracy i nie być samolubem - mówi dobitnie. - Skoro jest tyle milionów miejsc jałowej pracy, nie ma co myśleć o urządzeniach, które pracę usprawniają. Ta firma nie może się kierować wyłącznie chciwością. Musi służyć wyższemu celowi. I tu dochodzimy do mojej trzeciej uwagi.

Vicky Rai ma twarz pełną niepokoju.

- O co mu, kurwa, chodzi? - szepcze do Rahy.
- Moja trzecia uwaga - mówi Mohan Kumar, schyla się i wyjmując spod stołu dużą paczkę w brązowym papierze - to to. - Rozrywa papier, ukazuje się drewniany kołowrotek. - Proszę państwa - robi efektowną pauzę - oto *charkha*.

W sali słychać tłumione okrzyki zdziwienia.

- Kołowrotek, czyli urządzenie do przędzenia nici z włókien, wynaleziono w Indiach, ale poszedł w zapomnienie - ciągnie Mohan Kumar. - Żeby kupić ten, obszedłem w Chandni Chowk prawie pięćdziesiąt sklepów. Twierdzą, że bez kołowrotka jesteśmy jak bez lewego płuca. Wierzę, że nic uprzedziona za pomocą tego urządzenia może naprawić wątek i osnowę naszego życia. *Charkha* to panaceum na wszelkie dolegliwości trapiące tę firmę, mało tego, ten kraj. Wołanie o kołowrotek to wołanie o szacunek dla pracy. Jestem pewien, że nasz przyjaciel ze związków zawodowych przyzna mi rację. - Patrzy znacząco na Dutę, który przygląda mu się z otwartymi ustami.

- Tak... tak, oczywiście - mamrocze Dutta. - Proszę o wybaczenie, Mohanie Kumarji. Zawsze mieliśmy pana za węża, a pan jest w rzeczywistości naszym zbawcą.

W sali podnosi się gwar. Odbywają się pospieszne konsultacje. W końcu wstaje z miejsca Vicky Rai.

- Okazuje się, że nie ma jednomyślności co do planu restrukturyzacji. Poproszę pana Rahę, by udoskonalił propozycję. O dacie następnego posiedzenia zostaną państwo powiadomieni. Dziękuję.

Rzuca Mohanowi Kumarowi mordercze spojrzenie i trzasnąwszy drzwiami, wychodzi z sali.

Przez następny tydzień Mohan Kumar zajmuje się różnymi sprawami. Uczestniczy w wiecach w ramach kampanii Sprawiedliwość dla Ruby, przylączy się do demonstrantów siedzących przed Sądem Najwyższym w proteście przeciw zwiększeniu wysokości tamy Sardar Sarovar⁸⁵, bierze udział w czuwaniu ze świecami przy India Gate w intencji pokoju między Indiami i Pakistanem i przewodzi grupie kobiet pikietujących wiejskie sklepy z alkoholem. Do czytania używa okrągłych okularów w drucianej oprawce á la Gandhi, więc media natychmiast nadają mu przydomek Baba Gandhi.

⁸⁵ Tama Sardar Sarovar na rzece Narmada to wzbudzająca najwięcej kontrowersji tama w Indiach. Jej koszt i wpływ na środowisko, korzyści, jakie ma przynieść, są szeroko dyskutowane.

W niedzielę jedzie samochodem, żeby wziąć udział w marszu protestacyjnym przeciw tworzeniu specjalnych stref ekonomicznych⁸⁶, i przy Connaught Place trafia na korek. Gdy w żółtim tempie posuwa się ku czerwonym światłom, jego wzrok przyciągają plakaty na mijanym kinie. Pełne krzykliwych wizerunków półnagich kobiet, wabią tytułami „Przez całą noc”, „Kłopoty dziewicy”, „Piękna ludożerczym”. Każdy plakat przecina ukośny pasek, który głosi: „Miłość i seks. Na seans poranny o godz. 10 specjalne ceny”, a pod spodem biegnie rzucający się w oczy slogan „Seks nie wymaga słów”.

⁸⁶ W kwietniu 2000 roku rząd Indii ogłosił wprowadzenie w kraju specjalnych stref ekonomicznych uważanych za obce terytorium, w celu dokonywania operacji handlowych według szczególnych przepisów podatkowych i celnych. Ostatnio strefy budzą ostre kontrowersje, a w niektórych stanach są nazywane „ziemią zagrabioną przez nieuczciwych biznesmenów”.

- Ram, Ram⁸⁷ - mruczy pod nosem Kumar. - Jak rząd może pozwalać na takie plugastwo w publicznym miejscu?

Brijlal wzdycha ze zrozumieniem.

⁸⁷ Ram oznacza tu boga Ramę z „Ramajany”. Słowa „Ram, Ram” mogą być pozdrowieniem albo wyrażać ubolewanie.

- Mój syn Rupesh też chodzi na te poranne seanse. Plakaty to jeszcze nic. W filmach podobno pokazują całkiem nagie kobiety.

- Naprawdę? W takim razie zatrzymaj samochód.

- Co? Tutaj, proszę pana?

- Tak, tutaj.

Brijlal podejżdza do krawężnika i Mohan Kumar wysiada.

Kino mieści się w starym, szarym budynku o dusznej, zatęchłej atmosferze. Farba na ścianach się łuszczy, posadzka jest mocno zniszczona, ale freski na suficie i korynckie kolumny atrium świadczące o dawnej świetności tego wnętrza są wciąż w dobrym stanie. Poranny seans ma się zaraz zacząć, przed kasą stoi niewielki tłumek. Jest to publiczność we władzy hormonów, wyłącznie męska, szukająca natychmiastowego zaspokojenia. W kolejce są nawet dwunasto- i trzynastoletni chłopcy. Kręcą się nerwowo, wypinają piersi, rozpaczliwie starając się wyglądać na starszych. Mohan Kumar kroczy prosto do okienka, nie zważając na protesty czekających. Kasjer, mężczyzna w średnim wieku, z cieniutkim wąsikiem, siedzi w ciasnym pomieszczeniu bez powietrza, przed sobą ma zwitki różowych, jasnozielonych i białych biletów.

- Pierwszy balkon sto, drugi siedemdziesiąt pięć, parter pięćdziesiąt. Jaki bilet pan chce? - pyta znudzonym głosem, nawet nie patrząc.

- Chcę wszystkie, jakie pan ma.

- Wszystkie? - Kasjer podnosi głowę.

- Tak.

- Specjalne ceny dla grup nie dotyczą porannych seansów. Przyprorowadził pan chłopców z jakiegoś przytułku?

- Nie, chcę kupić wszystkie bilety tylko po to, żeby je zniszczyć.

- Co?

- To, co pan słyszał. Chcę zniszczyć bilety. Nie wstyd wam pokazywać takie filmy, demoralizować indyjską młodzież?

- Szkoda pańskich słów. Niech pan idzie do kierownika. Następny.

- Proszę do niego zadzwonić. Nie odejdę, dopóki z nim nie porozmawiam - mówi Kumar twardo.

Kasjer patrzy spođe łba, ale podnosi się ze stoika i znika za zielonymi drzwiami. Za chwilę pojawia się niski, otyły mężczyzna. - Jestem kierownikiem. O co chodzi?

- Chcę z panem porozmawiać.

- To proszę przyjść do mojego pokoju. Pierwszy po prawej na piętrze.

Pokój kierownika jest duży, stoi w nim wyblakła zielona sofa i drewniane biurko. Na biurku nie ma nic oprócz telefonu. Na ścianach wiszą stare plakaty oprawione w ramy.

Kierownik słucha cierpliwie, a potem pyta:

- Czy pan wie, kto jest właścicielem tego kina?

- Nie - mówi Kumar.

- Jagdamba Pal, tutejszy poseł do Zgromadzenia Ustawodawczego. Z pewnością nie chce pan z nim zadzierać.

- A wie pan, kto jestem ja?

- Nie.

- Mohandas Karamchand Gandhi.

Kierownik wybucha histerycznym śmiechem.

- Człowieku, o „Munnabhai”⁸⁸, tym filmie z Gandhim, już wszyscy zapomnieli. Spóźnił się pan o rok.

⁸⁸ Chodzi o film „Lagę Raho Munnabhai” z 2006 roku, w którym duch Gandhiego odwiedza głównego bohatera i nakłania go do samodoskonalenia.

- Może się pan śmiać, ale chciałbym widzieć pana minę, kiedy zobaczy pan na widowni własnego syna. Uważam, że lekkomyślne uleganie namiętnościom propagowanym przez filmy, które tu są wyświetlane, sprzyja nieokiełznanej rozwiązłości i zepsuciu wśród naszej młodzieży. Nie mogę przymykać oczu na nieszczęście, którego można uniknąć.

Kierownik wzdycha.

- Jest pan porządnym człowiekiem, ale i niemądrym. Jeśli się pan uprze przy swoim proteście, musi się pan liczyć z konsekwencjami. Sam

pan sobie będzie winien, jak ten ze Zgromadzenia naśle na pana swoich bandziorów.

- Prawdziwy *satyagrahai*⁸⁹ nie obawia się niebezpieczeństwa. Jutro siadam na dole i poszczę, dopóki nie przestaniecie wyświetlać tych plugawych filmów.

⁸⁹ *Satyagrahai* - ten, kto praktykuje gandystowską zasadę stosowania *satyagraha*, czyli siły prawdy.

- Proszę bardzo - mówi kierownik i podnosi słuchawkę.

Następnego dnia Mohan Kumar zjawia się w kinie ubrany w strój Gandhiego - białe *dhoti*, *kurta* i czapkę. Wybiera miejsce na wprost okienka kasy i siada na ziemi. Trzyma plakat z napisem „Oglądanie tego filmu to grzech”.

Mężczyźni stojący przed okienkiem patrzą na niego z ciekawością. Niektórzy składają mu ukłon, inni rzucają do stóp monety, lecz żaden nie opuszcza kolejki. Za dziesięć dziesiąta kasa zostaje zamknięta i w okienku pojawia się tabliczka z napisem „Bilety wyprzedane”.

Trochę później przychodzą Shanti i Brijlal.

- Może teraz wrócisz do domu? - pyta Shanti z niepokojem w głosie. - Film się już zaczął.

Kumar uśmiecha się sarkastycznie.

- Wkrótce zaczniesz się następny. Jestem pewien, że ktoś mnie posłucha. Jeśli mi się uda przekonać choćby jednego człowieka, że robi źle, uznaj swoje zadanie za wykonane.

- Może gdyby ludzie wiedzieli, że pościsz...

- Post to sprawa między Bogiem i mną, Ba. Nie martw się. Jestem pewien, że z czasem przyłączą się do mnie inni.

- To chociaż napij się soku. - Shanti podaje mu butelkę.

- Kiedy człowiek pości, sił dodają mu nie wypijane litry wody, lecz Bóg, Ba. Idź już do domu.

Shanti posyła mu smutne spojrzenie i oboje z Brijlalem odchodzą. Kumar dalej siedzi na ziemi, obserwując ludzką falę na Connaught

Place: przygnębionych biuralistów w marynarkach i krawatach, zadowolone młode kobiety w szale zakupów, handlarzy sprzedających paski, okulary i pirackie wydania książek. Strumień samochodów huczy ogłuszająco.

Gdy dwie godziny później wraca Shanti, nie może wyjść ze zdumienia. Jej mąż siedzi na drewnianym podium z jakimś innym mężczyzną, obaj opierają się o piankowe poduszki. Wokół stoi blisko dwustuosobowy tłum wymachujący transparentami i wykrzykujący wypisane na nich hasła: PORNOGRAFIA TO PLUGASTWO, ZINDABAD⁹⁰ BABA GANDHI, PRECZ Z JAGDAMBĄ PALEM.

⁹⁰ *Zindabad* - niech żyje.

Mohan Kumar wygląda na zadowolonego.

- Jak to się stało? - chce wiedzieć Shanti.

Mohan wskazuje siedzącego obok mężczyznę w średnim wieku, w białych spodniach *kurta*. Mężczyzna ma owalną twarz, wąski nos, wydatną szczękę i przebiegłe spojrzenie. Shanti od razu czuje do niego niechęć.

- To jest pan Awadhesh Bihari. Zobaczył mnie przypadkiem godzinę temu i od razu postanowił wesprzeć. To on zorganizował tę grupę i postarał się o transparenty.

- Witam panią, Bhabhiji - mówi Bihari z gładkością naciągacza. - To zaszczyt poznać kogoś tak wspaniałego jak pani mąż. Powiedziałem mu, jakim złym człowiekiem jest ten Jagdamba Pal. On ma nie tylko o obskurne kino, ale również kilka domów publicznych.

- A pan czym się zajmuje? - pyta Shanti.

- Jestem politykiem, należę do Partii Odnowy Moralnej. W ostatnich wyborach byłem kontrkandydatem Jagdamby Pała. Ludzie opowiadali się za mną, wygrał on dzięki fałszerstwu - krzywi się Bihari.

- Więc jest pan tu po prostu po to, żeby wyrównać polityczne rachunki?

- Co też pani mówi, Bhabhiji? - Bihari wygląda na wstrząśniętego.
- Ochrona dzieci przed zepsuciem to nasz święty obowiązek. My w POM

uważamy się za strażników indyjskiej kultury. Być może pamięta pani nasz protest sprzed kilku lat przeciwko lesbijskiemu filmowi „Girl-friends”. Choć sąd nam tego zakazał, zerwaliśmy wszystkie plakaty i zapobiegliśmy jego wyświetleniu. Takie filmy to obraza dla naszej kultury. Teraz jesteśmy z pani mężem, bez względu na wszystko. On pości, my zapewniamy wsparcie.

- A jeśli właściciel kina nie zareaguje?

- Jak to nie zareaguje? My go do tego zmusimy. Najpierw jednak trzeba uświadomić ludzi. Zadzwońm do kilku stacji telewizyjnych, żeby pokazywały nasz protest.

Shanti przykłada dłoń do czoła Mohana, żeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.

- Naprawdę się o ciebie martwię. Jak długo można wytrwać bez jedzenia?

- Zobaczmy - uśmiecha się Mohan. - Awadhesh o mnie zadba.

W takim nastroju, podtrzymywany na duchu przez troskliwą żonę i pewnego siebie Biharię, Mohan Kumar pości dwa dni. Trzeciego dnia jego stan się znacznie pogarsza. Doktor Sani mierzy mu tętno i ciśnienie i nie ukrywa niepokoju. Shanti się zamartwia. Właściciel kina wciąż nie daje znaku życia.

Po południu pod kino podjeżdża mikrobus i wysiada z niego kobieta w dżinsach. Ma stanowczą minę i zimne, wyrachowane spojrzenie. Za nią podąża mężczyzna z ciężką kamerą wideo.

Awadhesh Bihari szybko wstaje i otrzępuje *kurta*. Reporterka się z nim wita.

- Tym razem będzie się coś działo, Awadhesh? - pyta. - Wasz ostatni protest był nudny.

Polityk uśmiecha się przebiegle.

- Tylko patrz, Nikita. Teraz poparliśmy Babę Gandhiego. Jagdamba Pal zostanie upokorzony we własnej norze.

Reporterka spogląda na Mohana Kumara, który leży na podium i kiwa głową.

- Podobają mi się poglądy Baby Gandhiego. Możemy to pokazać w wieczornych wiadomościach - mówi głośno do Biharięgo. - A jeśli umrze, zrobimy z tego najważniejszą informację - dodaje szeptem. - Lobo, zaczynaj kręcić - wydaje polecenie kamerzyście.

Bihari kiwa głową.

Baba Gandhi w stanie krytycznym, głoszą następnego ranka nagłówki we wszystkich gazetach. O dziesiątej migającym niebieskim światłem scorpia przyjeżdża poseł. Towarzyszy mu czterech komandosów ze stenami. Jest to olbrzymi mężczyzna o kanciastej głowie, kruczoczarnych włosach i nieprzyjemnym spojrzeniu. Siada na podium przy Mohanie Kumarze i szepcze:

- Dlaczego pan to robi, Babo Gandhi?

- Żeby położyć kres tej perwersji - odpowiada Kumar wciąż jeszcze silnym głosem.

- To, co pan nazywa perwersją, jest naturalnym ludzkim popędem. Seks, choćby pan nie wiedzieć jak bardzo starał się go ukryć, i tak się w jakiejś formie pojawi.

- Nie protestuję przeciw seksowi, lecz przeciw jego wypaczaniu, przeciw traktowaniu kobiet jak towaru.

- Ale w moich filmach nie ma nic naganego, wszystkie przeszły przez cenzurę. Jeśli chce pan zobaczyć, jak się naprawdę robi z kobiety towar, proszę pójść na podziemny Palika Bazaar, to tylko pięćset metrów stąd. Tam za jedyne sto rupii kupi pan dowolny film z trzema iksami. A dziesięć kilometrów dalej, przy GB Road⁹¹, za sto rupii kupi pan dziewczynę. Dlaczego, zamiast pikietować nasze kino, nie próbuje pan położyć kresu tamtemu złu?

⁹¹ GB Road - delhijska dzielnica czerwonych latami.

- Perwersją nie przestaje być perwersją tylko dlatego, że jest mniej perwersyjna. Mój post będzie moralnym ciosem zadany wszystkim handlarzom grzechem.

- Nie chcemy niepotrzebnych kłopotów, Babo Gandhi. Jestem politykiem. Pański protest szkodzi mojej reputacji. Północnoindyjskie

Stowarzyszenie Dystrybutorów upoważniło mnie do zaproponowania panu dwudziestu tysięcy rupii za odwołanie protestu.

Mohan Kumar wybucha śmiechem.

- Nie walczę o pieniądze. Mnie nie można kupić za cztery sztuki srebra.

- W takim razie proponuję dwadzieścia pięć tysięcy.

Kumar kręci głową.

- Panie Pal, jeśli coś postanawiam, to nie ma takiej siły, która by mnie od tego odwiódła.

Poseł zaczyna tracić cierpliwość.

- Za kogo, do diabła, pan się ma? Przychodzę, rozmawiam uprzejmie, a pan się zachowuje, jakby rzeczywiście był Mahatma Gandhim. Dość już tego przedstawienia! Ma pan natychmiast opuścić to miejsce albo każe pana usunąć siłą.

- *Satyagrahi* ma bezgraniczną cierpliwość, dostatek zaufania do innych i obfitość nadziei. Kodeks *satyagrahi* nie dopuszcza ustępowania przed przemocą.

- Ty draniu! - Jagdamba Pal zadaje Mohanowi Kumarowi cios w twarz. Jako były bokser trafia precyzyjnie i z nosa byłego głównego sekretarza tryska fontanna krwi.

- Hej, Ram! - woła Kumar i upada. Przerażona Shanti krzyczy. Jagdamba Pal na moment nieruchomieje, zaskoczony tym, co zrobił, po czym szybko wsiada do samochodu.

- Baba Gandhi uderzony! - Krzyk idzie przez tłum jak pożar przez busz.

- Zabić sukinsyna! - wrzeszczy Awadhesh Bihari. Jego zwolennicy natychmiast rzucają się za odjeżdżającym scorio. - Spalić kino! - krzyczy piskliwie i tłum gna do budynku.

- Czekajcie!... czekajcie! - woła Kumar, lecz nikt go nie słucha. Napierający tłum w kilka sekund wylamuje drzwi i wpada do kina. Dziesięć minut później z okien buchają kłęby czarnego dymu, publiczność ucieka w panice, ryczą syreny ambulansów i wozów strażackich.

Przed kinem z piskiem opon zatrzymuje się policyjny van. Niczym króliki wyskakują zeń policjanci i celują z karabinów w Mohana Kumara. Podchodzą do niego inspektor i towarzyszący mu kierownik kina.

- Czy to ten człowiek? - pyta inspektor.

- Tak, to on! - krzyczy kierownik. - Baba Gandhi. On odpowiada za zniszczenie kina!

Inspektor uderza się trzcinką w dłoń.

- Babo Gandhi, jest pan aresztowany.

- Aresztowany? Za co? - pyta Kumar i silnie przyciska do nosa chusteczkę, którą próbuje zatamować krwotok.

- Paragraf trzysta siedem: usiłowanie morderstwa, paragraf czterysta dwadzieścia pięć: matactwo skutkujące zniszczeniem mienia, paragraf trzysta trzydzieści siedem: spowodowanie zagrożenia dla bezpieczeństwa innych, paragraf sto pięćdziesiąt trzy: wywołanie zamieszek. Mamy z czego wybierać.

- Ale ja się nie nazywam Baba Gandhi. Jestem Mohan Kumar, były główny sekretarz - mówi Kumar wyniośle i prostuje się na całą wysokość.

- Wszystko jedno, jak się pan nazwie. Jest pan aresztowany. Zabierzcie go - mówi do policjantów.

Tihar Jail to składające się z siedmiu budynków więzienie w zachodniej części Delhi. Zbudowane dla siedmiu tysięcy więźniów, teraz mieści ich prawie dwukrotnie więcej, z czego ponad dwie trzecie czeka na proces.

Naczelnik jest otyłym siwiejącym mężczyzną o obwisłych policzkach. Mohan Kumar stoi przed nim w więziennym stroju i z trudem powstrzymuje złość.

- Witam pana. Bardzo rzadko mamy zaszczyt gościć wyższych funkcjonariuszy służby cywilnej. - Naczelnik uśmiecha się przymilnie.

- Pan wie, że nie powinienem się tu znaleźć - mówi wściekłym głosem Kumar. - Sędziogo, który mi dał cztery miesiące aresztu

śledczego, powinien zbadać psychiatrę. Mam nadzieję, że dzwonił do pana mój szkolny kolega komisarz policji.

- Tak, proszę pana. - Naczelnik kiwa głową. - Pan komisarz policji już mi polecił, żebym o pana szczególnie zadbał. Umieszczę pana w specjalnie strzeżonej celi razem z Babloo Tiwarim.

- Z Babloo Tiwarim? Tym słynnym gangsterem?

Naczelnik kiwa głową.

- I to ma być przywilej?

- Sam się pan przekona. Pozory mylą, zwłaszcza w Tiharze. Chodźmy, zaprowadzę pana do celi.

Idą wąskimi korytarzami, w ręku naczelnika pobrzękuje pęk kluczy. Więzienie wygląda na czyste, dobrze utrzymane, ale jest przesiąknięte duszącą wonią - mieszaniną cierpkiego zapachu szpitala i przyprawiającego o mdłości odoru rzeźni. Przechodzą przez dziedziniec, na którym stoją rzędem więźniowie i się gimnastykują.

- W Tiharze bardzo nam zależy na moralnej naprawie więźniów. Wprowadziliśmy medytację *vipassana*⁹² i jogę. Mamy też świetną bibliotekę i czytelnię - chwali się naczelnik.

⁹² *Vipassana* - jedna z najstarszych technik medytacyjnych odkryta 2500 lat temu przez Buddę Gautamę. Jest to sposób przekształcania własnej osobowości dzięki introspekcji.

Cela znajduje się w południowej części więzienia.

- Wszystkie nasze cele mają wymiary dwa na trzy metry - mówi naczelnik i otwiera grubą stalową kratę. - Ta jest większa, właściwie składa się z dwóch połączonych cel. I proszę zobaczyć jej wyposażenie. - Wchodzą do środka i Kumar unosi brwi ze zdziwienia. W celi jest dywan, mały kolorowy telewizor, a nawet minibarek. Na dolnej koi śpi pod brązowym kocem mężczyzna w więziennym stroju. - Witam pana w celi dla VIP-ów - uśmiecha się szeroko naczelnik.

- Mogłoby być gorzej - Kumar pozwala sobie na lekki uśmiech - ale wolałbym być sam. Nie dałoby się przenieść tego Tiwariego do innej celi?

- Widzi pan, to nie jest hotel, w którym mógłbym przydzielać pokoje według uznania - mówi naczelnik z irytacją. - Babloo Tiwari dostał tę celę, bo ma jeszcze lepsze koneksje niż pan. - Delikatnie klepie śpiącego w ramię. - Proszę się obudzić, Tiwariji.

Więzień, niski mężczyzna o okrągłej, gładko ogolonej twarzy i długich, prostych włosach, które mu zakrywają czoło, siada na prycy, trze oczy, przeciąga się i ziewa.

- Co pan tu robi, panie naczelniku? - pyta sennym głosem.

- Przyszedłem przedstawić panu współwięźnia. Oto Mohan Kumar, służba cywilna.

Babloo Tiwari patrzy na Kumara z zaciekawieniem.

- Czy to nie na pana mówią Baba Gandhi? - pyta.

Kumar milczy, ale naczelnik kiwa głową.

- Tak jest, Tiwariji. Mamy zaszczyt gościć w naszym więzieniu ważną osobistość.

- Chyba nie zacznie mnie umoralniać - mruczy Tiwari. - Ale, ale! Przyniósł mi pan nową kartę SIM do komórki, panie naczelniku?

- Cii... - szepcze naczelnik, rozglądając się na boki. - Ściany mają uszy. Przyślę ją jutro.

Żelazna krata zamyka się ze szcękaniem. Kumar słyszy ten dźwięk jeszcze długo po odejściu naczelnika. Babloo Tiwari pociąga nosem i podaje mu rękę.

- Miło mi.

Kumar widzi przedramię wytatuowane w kotwice i węże, zauważa też na wysuszonej skórze sieć popękanych żyłek i ślady po ukłuciach. Krzywi usta i nie reaguje.

- Jak pan sobie chce - mówi Tiwari i wyjmuje z kieszeni nokię. Wystukuje numer, zakłada nogę na nogę i drapiąc się wolną ręką w kroku, zaczyna cichym głosem rozmawiać.

Kumar z niechęcią wspina się na górną prycę. Prześcieradło jest całe w plamach, materac cienki i nierówny. Do celi przez ściany przenika wilgoć, od drzwi ciągnie chłód. Nakrywa się kocem, niemal na wylot przetartym, i natychmiast zaczyna się drapać. Z trudem powstrzymuje płacz.

W południe przynoszą na stalowych tacach lunch: cztery grube *rotis*, duszone warzywa i miskę wodnistego *dhal*⁹³. Wszytko jest mdłe i nieapetyczne, więc Kumar poprzestaje na jednym *roti*. Babloo Tiwari nawet nie dotyka jedzenia.

⁹³ *Dhal* (albo *dal*) - wysuszone, wyluskane i rozłupane nasiona roślin strączkowych. Słowo to oznacza również zrobioną z nich gęstą, pikantną zupę.

Kumar leży na pryczy, udaje, że czyta jakieś czasopismo, i głód skręca mu kiszki. W pewnej chwili zasypia. Śni mu się kurczak pieczony na maśle i butelka whisky. Kiedy otwiera oczy, widzi przed sobą kołyszącą się szklankę pełną złocistego płynu. Obok szklanki pojawia się głowa. To z dołu zagląda Babloo Tiwari.

- Może szklaneczkę?
- A co to jest?
- Szkocka. Dwudziestopięcioletnia.

Bezwiednie oblizuje spieczone wargi.

- Cóż, nie odmówię - zgadza się i czuje wstyd z powodu swej słabości.

- No to zdrowie - mówi Babloo. - *Gandhigiri* możesz pokazywać poza celą. - Stukają się szklankami. Lody zostają przełamane.

O czwartej po południu drzwi celi znów się otwierają.

- Chodź - mówi Babloo. - Potrzebujemy trochę świeżego powietrza.

Po dziedzińcu o wielkości połowy boiska piłkarskiego kręci się prawie pięćdziesięciu więźniów. Są w różnym wieku, od pomarszczonych starców z długimi brodami do chłopców wyglądających na piętnastolatków. Kilku gra w siatkówkę, inni słuchają radia, paru po prostu ze sobą rozmawia. Ze sposobu, w jaki witają Babloo Tiwariego, jasno wynika, że traktują go jak przywódcę. Tylko trójka więźniów siedzących blisko siebie w rogu dziedzińca nie zwraca na niego uwagi.

- Co to za ludzie? - pyta Kumar.

- Nie rozmawiaj z nimi, nawet do nich nie podchodź. To cudzoziemcy, członkowie tego strasznego Lashkar-e-Shahadat, którzy w zeszłym roku uczestniczyli w próbie wysadzenia Czerwonego Fortu.

- Jak to tacy niebezpieczni terroryści, to czemu nie są osobno?

- Bracie - uśmiecha się Babloo - teraz nawet ty należysz do kategorii niebezpiecznych.

Mohan kiwa głową.

- A ty za co tu jesteś?

- Za wszystko. Popeliłem prawie wszystkie przestępstwa z indyjskiego kodeksu karnego i teraz czekam na procesy. Ale niczego mi nie udowodnią. Jestem w Tiharze, bo tak chcę. Tu jest bezpieczniej niż na zewnątrz.

Babloo oddala się, żeby porozmawiać z kilkoma groźnie wyglądającymi więźniami, a do Kumara podchodzi krótkowłosy chłopiec o szarej twarzy i dotyka jego stóp. Jest brudny i śmierzdzący.

- *Arrey*, kto ty jesteś? - Kumar otrząsa się z obrzydzeniem.

- Powiadają, że pan to Baba Gandhi - odzywa się chłopiec niepewnie. - Przychodzę, żeby okazać szacunek i prosić o łaskę. Mam na imię Guddu.

- O co ci chodzi?

- Ukradłem z piekarni bochenek chleba. Siedzę tu już pięć lat. Co dzień mnie biją, każą czyścić ubikacje. Chciałbym zobaczyć matkę, bardzo za nią tęsknię. Wiem, że tylko pan może mnie stąd wydostać - mówi i zaczyna szlochać.

- Odsuń się, odejdz. - Kumar macha ręką. - Nic nie mogę zrobić. Jestem więźniem jak ty. Żebym mógł myśleć o innych, najpierw sam się muszę stąd wydostać. I nie rozpowiadaj tej bzdury, że ja to Baba Gandhi, dobrze?

Przechodzi na drugą stronę dziedzińca. Prawie natychmiast zaczepia go orlonosy starzec o błyszczących szarych oczach.

- *Yada yada hi dharmasya glanirbhavati bharata* - recytuje w sankrycie i od razu tłumaczy: - Gdy sprawiedliwość upada, przybywasz,

żeby zniszczyć siły zła. Chylę przed tobą głowę, o, wielki Mahatmo. Tylko ty możesz uratować ten kraj.

- A pan to kto? - pyta Kumar znużonym głosem.
- Doktor D.K. Tirumurti, do usług. Z Madurai. Sanskrytolog.
- Zapomniałeś dodać, że również zawodowy oszust - odzywa się

Babloo zza jego pleców.

- Chodźmy, Babloo, już mi wystarczy świeżego powietrza. - Mohan ciągnie gangstera za rękaw. - Tamten chce, żebym ratował jego, ten, żebym ratował kraj. To nie więzienie, tylko dom wariatów.

Babloo chichocze.

- Właściwie prawie nie ma różnicy. Jak nie chcesz dołączyć do tej drużyny pomyleńców, trzymaj się mnie.

Na kolację znów przynoszą mdlą strawę, jednak teraz Kumar jest już tak wygłodzony, że zjada wszystkie *rotis* i warzywa. Zauważa, że Babloo je bardzo mało i często pociąga nosem.

- Jak wytrzymujesz prawie bez jedzenia? - pyta gangstera.

Babloo uśmiecha się chytrze. Wyciera nos rękawem, podnosi materac i wyjmuje spod niego strzykawkę.

- To jest moje jedzenie. - Sprawdza strzykawkę i wbija sobie igłę w rękę.

Mohan się krzywi.

- Więc jesteś uzależniony od narkotyków?

- Nie. Nie uzależniony - mówi Babloo i niespodziewanie podnosi głos. - To ja kieruję kokainą, a nie kokaina mną. - Kończy zastrzyk i wydaje głośne westchnienie. - Aach... po prostu raj. Mówię ci, nie ma to jak kop od koki. Chcesz się przekonać? Zapomnisz o szkockiej.

- Nie, dziękuję.
- Biorę tylko raz, wieczorem. I to mnie kręci całą noc i cały następny dzień.
- To jak ty śpisz?
- Łykam pigułki nasenne.

- Na szczęście ja nie potrzebuję pigulek, żeby usnąć - mówi Kumar i naciąga sobie koc na głowę.

- Dobranoc panu! - krzyczy Babloo i bez widocznego powodu wybucha głośnym śmiechem.

Mohan Kumar z ogromnym wysiłkiem rozpoczyna powolny proces przystosowywania się do więziennego życia. Uczy się wstawać o piątej trzydzieści na apel poranny, siedzieć w śmierdzącym ustępie bez zatykania nosa, znosić herbatę bez zapachu i rotis bez smaku, uczestniczyć w zbiorowych modlitwach i ćwiczeniach jogi, a nawet oglądać telenowele, bez których większość więźniów nie może żyć. Poznaje pendzabskich morderców i gudzarackich podpalaczy, nigeryjskich handlarzy narkotyków i uzbeckich fałszerzy, południowoindyjskich oszustów i północnoindyjskich gwałcicieli. Próbuje grać w szachy i w bilard. Wypożycza z więziennej biblioteki trzy książki tygodniowo i zaczyna prowadzić dziennik.

Przez cały ten okres dodają mu sił: szczodrość Babloo z jego szkocką whisky, niezawodne co środowe dostawy baraniego curry i kurczaka biriani od Shanti oraz kojące zapewnienia adwokatów, że wkrótce wyjdzie.

Z Babloo Tiwarim nawiązuje szorstką przyjaźń. Budzi w nim protest jego prostactwo i niezajomość spraw świata, ale jednocześnie zdumiewa władza, jaką gangster ma w więzieniu. Przekupiwszy lub zastraszywszy wszystkich funkcjonariuszy, Babloo jest niekoronowanym królem Tihar. Stąd kieruje też swoim imperium znajdującym się poza murami. Godzinami rozmawia półgłosem przez telefon: organizuje porwania, wymusza okup, przyjmuje kontrabandę - alkohol, kokainę, karty SIM, nagradza uległych policjantów i przekupnych urzędników. Świetnie wyczuwa ich słabości; wie, kogo można skusić prostytutką, a kogo pieniędzmi. Najdobitniej demonstruje swą władzę w przeddzień Nowego Roku, gdy organizuje w więzieniu „prywatny koncert” dla personelu i swych kamratów.

W czytelnicy stoły i krzesła przesunięto w róg, a pod jedną ze ścian ustawiono prowizoryczną scenę. Na środku rozłożono białe prześcierała i poduszki z gąbki. Centralne miejsce zajmują dwie butelki johnny'ego walkera z czarną nalepką. W odpowiednich odstępach stoją metalowe miski z solonymi orzechami.

Babloo Tiwari wspiera się na poduszce, pociąga whisky ze szklanki, wrzuca sobie do ust orzech nerkowca i wlepia wzrok w młodą kobietę na scenie. Ubrana w spódnice do kolan i obcisłą bluzkę, kobieta pracowicie naśladuje ruchy Shabnam Saxeny, przy akompaniamencie odtwarzanej z taśmy składanki jej przebojów filmowych.

Na prawo od Babloo siedzi Mohan, na lewo naczelnik, za nimi reszta personelu, a dalej piętnastu więźniów, których spotkał zaszczyt uczestniczenia w „show”. Kobieta wypina w kierunku widzów obfity biust, a oni patrzą na nią pożądliwie, wołają *jaaneman* i *darling* i wykonują wulgarnie gesty. Alkohol robi swoje i w pewnym momencie wchodzi na scenę i dołącza do tancerki jeden z funkcjonariuszy więziennych. Sugestywnie porusza biodrami, a inni bez powodzenia próbują chwycić rozkloszowaną spódnice kobiety. Na scenę wtacza się też Babloo i obсыpuje tancerkę sturupiówkami. Naczelnik patrzy dobrotliwie i od czasu do czasu zerka na roleksa, którego dostał od niego rano.

- Fantastyczne, panie Babloo! Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego można zobaczyć w więzieniu - chwali gangstera doktor Tirumurti.

- Moją zasadą zawsze było żyj i daj żyć innym - mówi Babloo z zadowoloną miną i spogląda na Mohana. - Jak tam, panie Kumar? Czy Tihar to złe miejsce na świętowanie Nowego Roku?

- Nie takie złe - odpowiada Mohan. - Zdrowie!

Tuż przed północą Mohan czuje, że musi się wysuszać. Wychodzi z sali i zaczyna się trząść, bo w twarz uderza go lodowaty podmuch wiatru. Choć noc jest zimna, niebo rozbłyska barwnymi fajerwerkami. Gdy przecina dziedziniec, słyszy szelest i nagle usta zatyka mu wielka dłoń.

Ze wszystkich sił stara się uwolnić, ale ktoś mu przyciska do krzyża twardy, zimny przedmiot.

- Jeden ruch i przestrzelę ci bebechy, jasne? - słyszy zza pleców. Z mroku wyłaniają się jeszcze dwie postacie. Na widok ich twarzy zasycha mu w ustach. To terroryści z budzącej przerażenie Laskhar-e-Shahadat, Armii Męczeństwa.

Trzech mężczyzn popycha go w kierunku bramy. Dziedziniec jest pusty - strażnicy oglądają widowisko, którego odgłosy wciąż dobiegają z oddali. Przy bramie stoi jeden strażnik. Oparty na karabinie, patrzy w niebo i podziwia fajerwerki. Przywódca grupy podchodzi do niego na palcach, szybkim ruchem chwytając go za kark i przewraca.

- Co... co wy tu robicie, nie w celi? - stęka strażnik, przygnieciony do ziemi.

- Zamknij się! - warczy przywódca, a jeden z jego towarzyszy chwytając karabin i celuje w przerażonego mężczyznę. - Wstawaj i otwieraj bramę!

Trzęsąc się ze strachu, strażnik wyjmując z kieszeni pęk kluczy. Drżącymi palcami przekręca jeden z nich w kłódce i po chwili brama jest otwarta. W tym samym momencie przywódca uderza go kolbą pistoletu w głowę i strażnik bezgłośnie osuwa się na ziemię.

Kumar dygocze.

- Nie zabijajcie mnie - prosi. - Słyszy śmiech przywódcy, a potem głowę rozsada mu ból i wszystko staje się czarne.

Kiedy odzyskuje przytomność, widzi pochylającą się nad nim pielęgniarkę.

- Gdzie ja jestem? - pyta.

- W izbie chorych.

Na stoliku przy łóżku zauważa gazetę. Bierze ją do ręki. Na pierwszej stronie jest jego zdjęcie. *Zuchwała ucieczka z więzienia Tihar - Baba Gandhi ranny*, głosi tytuł. Niżej są szczegóły. *Zakłopotani funkcjonariusze z więzienia o wysokim stopniu zabezpieczenia mieli trudności z wy tłumaczeniem, dlaczego oglądali występy kabaretowe, gdy w tym samym czasie trzem niebezpiecznym zagranicznym terrorystom*

udało się uciec. Nadal nie wiadomo, jak się wydostali z celi i jak do więzienia przemycono pistolet. Władze nakazały przeprowadzenie głębokich zmian organizacyjnych.

Sypią się kary. Naczelnik zostaje zawieszony. Jego miejsce zajmuje twardy, bezwzględny funkcjonariusz. Osiemnastu strażników zostaje w trybie natychmiastowych przeniesionych do innych więzień. Babloo Tiwari i Mohan Kumar trafiają z wygodnej celi do ciasnej zbiorowej klatki.

- Skurwysyny - klnie na uciekinierów gangster. - Teraz będę się musiał męczyć jak wszyscy. Nie mam komórki. Nie mam radia ani telewizora. Jak ja w tej pieprzonej dziurze wytrzymam?

- „Gita” mówi: porzuć pragnienia i poświęć się służbie Bogu i ludziom - recytuje Mohan.

- Kto to jest ta Gita?

- „Gita” to klucz do świętych pism świata. Wprowadza w tajemnicę wyrzeczenia się przemocy, tajemnicę spełnienia się poprzez fizyczne ciało.

- Ale pan pieprzysz, panie Mohan.

- Prawdziwy rozwój polega na sprowadzeniu się do zera.

- Zwariował? - Babloo patrzy na Tirumurtiego.

- Nie, panie Babloo. Wyjawia wiedzę, którą do tej pory przed nami ukrywał.

- To bardzo wygodne. - Babloo uśmiecha się drwiąco. - Dopóki byliśmy w celi dla VIP-ów, bez skrupułów piłem moją whisky. A teraz, w tym okropnym miejscu, robi się z niego Baba Gandhi? Mówię ci, to zwykły oszust.

- Widział pan to, panie Babloo? - Tirumurti trzyma w ręku gazetę. - Piszą, że ogłoszenie wyroku w sprawie Vicky'ego Rai odłożono do piętnastego lutego.

- Co za różnica, kiedy ogłoszą wyrok? Wszyscy i tak już wiedzą, jaki będzie. - Babloo lekceważąco macha ręką.

- Tak, nie ma sprawiedliwości w tym kraju - wzdycha Tirumurti. - Żeby ktoś taki jak Baba Gandhi siedział w więzieniu, a Vicky Rai był na wolności za kaucją!

Na dźwięk słów „Vicky Rai” Mohan Kumar robi się nagle niespokojny. Czoło mu się marszczy, źrenice rozszerzają.

- Vicky Rai... Vicky Rai... Vicky Rai... - mamrocze, jakby mu się przypominało coś niemiłego.

- Stawiam milion do jednego, że Vicky Rai będzie wolny - oznajmia Babloo.

- Też tak myślę - kiwa głową Tirumurti.

- Co to ma znaczyć? - łaje ich Mohan. - Mówicie, jakby Indiani nadal rządzą Brytyjczycy. Wtedy, owszem, w dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawach na sto wyroki były niesprawiedliwe. Ale teraz rządząmy się sami. Jestem pewien, że Vicky Rai dostanie, na co zasłużył. Trzeba ufać władzy sądowniczej.

- Świetnie, Babo Gandhi. Piętnastego lutego zobaczymy, kto miał rację - mówi Babloo i nagle zaczyna lekko drżeć.

- Masz gorączkę? - pyta z niepokojem Mohan.

- Nie, to tylko jakiś chwilowy dreszcz.

Przez następne dwa dni Babloo zachowuje się coraz dziwniej. Denerwuje się byle czym, narzeka na mdłości i że widzi jak przez mgłę, ma napady niepohamowanego drżenia. Ni stąd, ni zowąd zaczyna podejrzewać, że Tirumurti jest donosicielem, i każe mu się trzymać z daleka. Całkowicie przestaje jeść, odmawia wychodzenia z celi. W nocy zwija się w kłębek i tarza po kamiennej podłodze jak człowiek w ataku strasznego bólu.

Tirumurti szybko stawia diagnozę.

- Babloo nie bierze kokainy, więc ma zespół abstynencji. Musimy mu skądś zdobyć działkę, bo inaczej umrze.

- Nie zgadzam się - mówi twardo Kumar. - Lekarz, który się godzi na nałogi pacjenta, poniża i pacjenta, i siebie. Babloo nie potrzebuje narkotyków. On potrzebuje dobroci i miłości.

Pojawienie się Kumara na spotkaniu modlitewnym następnego dnia wywołuje znaczne poruszenie. Kumar wygłasza długi, imponujący monolog na temat niebezpieczeństw narkomanii, doniosłości wiary i pożytku z abstynencji seksualnej; prosi więźniów, żeby się przedstawili,

wypytuje ich o szczegóły z życia; okazuje niezwykłą troskę o ich zdrowie, więźniowi skarżącemu się na kolkę proponuje kilka domowych remediów. Jest zafascynowany biblioteką, sprawdza, czy radiowęzeł nadaje *bhajan*, w porze lunchu prosi kucharza o kozie mleko.

Zaczyna spać na podłodze, upiera się, że sam będzie sprzątał ubikację, i z radością sprząta ubikacje za innych. Przez jeden dzień w tygodniu powstrzymuje się od mówienia i twierdzi, że daje mu to wewnętrzny spokój.

Więzienie to podatny grunt dla narodzin przywódcy. Jest pełne mętów społecznych gotowych chwycić się wszystkiego, co daje choćby promyk nadziei, że ułatwi wytrzymanie rygorów życia za murami. Baba Gandhi szybko zyskuje licznych zwolenników, a jego głównym wyznawcą staje się Babloo Tiwari, prawie wyleczony z nałogu.

- Czy wiesz, Babo Gandhi, co jest najtrudniejsze na świecie? - pyta Kumara pewnego wieczoru.

- Co takiego?

- Rozbudzić wiarę w człowieka, który się wyrzekł religii. Jestem ci dozgonnie wdzięczny, Babo Gandhi, że otworzyłeś mi oczy na dobroć Boga.

- Więc na jutrzejszym spotkaniu modlitewnym zaśpiewasz ze mną „Vaishnav Janato”⁹⁴? - pyta Kumar z błyskiem w oku.

⁹⁴ „Vaishnav Janato” - ulubiona pieśń religijna Mahatmy Gandhiego przedstawiająca cnoty džentelmena.

- Tak, a oprócz tego ogolę głowę i zostanę wegetarianinem.

- Wspaniale. Gdybyś tak jeszcze mógł zaprzestać działalności przestępczej...

- Załatwione, Babo Gandhi. Gangster Babloo Tiwari umarł. Nigdy więcej żadnych spluw.

Za przykładem Babloo Tiwariego wegetarianami zostaje kilku innych więźniów, co zmusza kierownictwo do zmiany planu posiłków.

Kumar zachęca więźniów do malowania i sprzedaje ich obrazy za pomocą strony internetowej założonej przez szwagra Tirumurtiego. Poproszony o wygłoszenie prelekcji w kobiecej części więzienia, namawia więźniarki do rozpoczęcia produkcji przekąsek. Niebawem trafiają one na rynek pod nazwą „Bapu's Choice”.

O reformach Kumara piszą gazety. Dwaj brytyjscy handlarze narkotyków, Mark i Alan, zostają jego zwolennikami i przystępują do pisania jego biografii. Senat Chennai University jednomyślnie podejmuje uchwałę o zgłoszeniu Kumara do pokojowej Nagrody Nobla.

Zbliża się piętnasty lutego. W więzieniu jedynym tematem rozmów jest wyrok w sprawie Vicky'ego Rai. W przeddzień jego ogłoszenia Kumar nie może spać. Chodzi po celi w tę i z powrotem, gdy inni smacznie chrapią.

Na drugi dzień tuż przed lunchem prowadzi grupę więźniów do gabinetu naczelnika.

- O co chodzi? Co wy tu robicie? - pyta ostro naczelnik.
 - Przyszliśmy zobaczyć cyrk - informuje go Tirumurti.
 - Co za cyrk?
 - Sprawę Vicky'ego Rai - mówi Babloo.
 - A proszę bardzo. Sam zamierzałem obejrzeć ogłoszenie wyroku.
- Naczelnik naciska guzik pilota i ekran stojącego na biblioteczce starego telewizora zaczyna migotać.

Relację na żywo z sali sądowej w Delhi prowadzą prawie wszystkie stacje. Naczelnik wybiera ITN i na ekranie pojawia się Barkha Das w błękitnym *salwar kamen* pod oliwkową kamizelką, jaką noszą fotoreporterzy.

- To będzie przełomowy dzień w historii indyjskiego sądownictwa - mówi. - Indie czekają na wyrok w sprawie Vicky'ego Rai, jak Ameryka czekała na wyrok w sprawie OJ. Simpsona.

Sala sądowa za moimi plecami pęka w szwach, ale jest tam nasz reporter Shubhranshu Gupta. Shubhranshu, czy sędzia już ogłosił wyrok?

Przechyliła głowę i słucha informacji przekazywanej jej za pomocą słuchawki, którą ma w uchu, a potem patrzy w kamerę i na jej twarzy pojawia się grymas.

- Właśnie dostaliśmy wiadomość z sali sądowej. Vicky Rai został uniewinniony z zarzutu zamordowania Ruby Gill.

Więźniowie stoją w ciszy. Naczelnik wyłącza telewizor.

- Zadowoleni? - pyta oschle. - No to teraz do cel.

Babloo Tiwari mruga do Tirumurtiego.

- A nie mówiłem?

- Jeśli on jest wolny, to czemu, do diabła, my tu gnijemy? - krzywi się Tirumurti.

- Bo twój ojciec nie jest ministrem spraw wewnętrznych Uttar Pradeś - mówi Babloo.

Kumar czuje, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Wspiera się na ramieniu Babloo.

- Co na to powiesz, Babo Gandhi? - pyta go jednocześnie kilku więźniów. Kumar milczy.

Przez trzy dni nie je, nie mówi, nie wychodzi z celi. Leży na pryczy i tępo patrzy w sufit.

- Postem nie pomścisz Ruby Gill. Zjedz coś, Babo Gandhi - błagalnym tonem prosi Babloo.

- Teraz jest tylko jeden sposób, żeby pomścić Ruby Gill - odzywa się wreszcie Kumar.

- Jaki?

- Vicky Rai musi umrzeć - mówi cichym głosem.

Babloo wsadza sobie palec w ucho, jakby myślał, że coś mu się stało ze słuchem.

- Vicky Rai musi umrzeć - powtarza Kumar.

- Bardzo mnie dziwią takie słowa w twoich ustach, Babo Gandhi - mówi Babloo.

- Zawsze twierdziłem, że jeśli jest do wyboru tylko tchórzostwo albo przemoc, wolę przemoc. Dużo lepiej zabić mordercę, niż pozwolić,

żeby zamordował jeszcze raz. Człowiek, który toleruje niesprawiedliwość, jest tak samo winien, jak ten, kto się jej dopuszcza. Zrobisz coś dla mnie po raz ostatni?

- Dla ciebie jestem gotów oddać życie, Babo Gandhi. Mów.
- Chcę, żebyś zabił Vicky'ego Rai.
- Mam zabić Vicky'ego Rai? - Babloo Tiwari powoli kręci głową. -

Jest wiele spraw, za które mogę oddać życie, ale nie ma ani jednej, za którą byłbym gotów zabić, Babo Gandhi.

- Nie mów do mnie moim własnym tekstem, Babloo.
- To nie jest tylko tekst. Ja naprawdę w to wierzę. Zmieniłeś mnie,

Bapu.

- Jeśli ty nie możesz, będę musiał zrobić to sam.
- Chyba nie mówisz poważnie?
- Śmiertelnie poważnie. Nauczysz mnie używania pistoletu?
- Proszę bardzo. Nie tylko cię nauczę, ale załatwię ci też dobry, jak skończysz odsiadkę i wyjdiesz z Tiharu. Ale może w ciągu tych dwóch miesięcy minie ci gniew?

- Nie zamierzam być tu jeszcze tak długo.
- Co? Planujesz ucieczkę? Kopiesz nocami tunel?
- Nie. Żeby uciec, nie potrzebuję tunelu. Wyjdę główną bramą.
- Jak to zrobisz, Babo Gandhi?
- Zobaczysz, Babloo, zobaczysz. Ale najpierw musisz mi zorganizować spotkanie z wszystkimi więźniami.

Siedem dni później rozpoczyna się w Tiharze akcja biernego oporu. Więźniowie przestają gotować, sprzątać, kąpać się, żądają lepszych warunków zakwaterowania, sprawiedliwego traktowania i zaprzestania wyłudzenia pieniędzy przez personel.

Naczelnik nie jest zachwycony.

- Co pan znowu wymyślił, panie Kumar?
- Gdy państwo staje się niepraworządne bądź skorumpowane, świętym obowiązkiem jest nieposłuszeństwo obywatelskie.

Naczelnik próbuje stosować taktykę silnej ręki, ale więźniowie nie

dają się zastraszyć. Rozpoczyna się dziesiąty dzień akcji. Uprawy w ogrodzie więdną, ubikacje śmierdzą. Na dziedzińcu jest coraz więcej śmieci, w pomieszczeniach coraz więcej kurzu.

Między kierownictwem więzienia i przełożonymi trwają gorączkowe konsultacje. Tydzień później Mohan Kumar zostaje przedterminowo zwolniony z Tiharu. Pod więzieniem czeka na niego Shanti z setkami zwolenników, którzy skandują „Niech żyje Baba Gandhi!”. W drodze do domu towarzyszy mu radosna eskorta złożona z samochodów osobowych, autobusów i rowerów, które trąbią i dzwonią. Dotarwszy na miejsce, Kumar wygłasza długie przemówienie na temat moralnego obowiązku walki z niesprawiedliwością.

Kilka dni później przychodzi do niego nieznamy jednooki mężczyzna z paczką.

- Przysłała mnie Babloo Tiwari. Możemy porozmawiać na osobności? - pyta.

Idą do ogrodu. Jednooki wyjmuje z paczki lśniący pistolet.

- To jest nowusienki Walther PPK .32, najlepszy w swojej klasie. Takiego samego używa James Bond.

- Ile?

- Babloo Bhai powiedział, że nie mogę od pana nic żądać. To prezent od niego.

- A naboje?

- Magazynek jest naładowany do pełna.

Kumar bierze pistolet do ręki i waży go w dłoni.

- Mogę spróbować?

Mężczyzna się rozgląda.

- Tu, w ogrodzie? - pyta niepewnie.

- Czemu nie? - Kumar odbezpiecza broń i celuje w butelkę po coca-coli stojącą na ogrodzeniu altany. Naciska spust, słychać ogłuszający huk i butelka się rozpryskuje. Z uznaniem kiwa głową, dmucha na dym wydobywający się z lufy i chowa pistolet w fałdach *kurta*.

Do ogrodu wbiega z krzykiem Shanti.

- Co się stało? Usłyszałam strzał. Myślałam, że ktoś...

- Za dużo sobie wyobrażasz, Shanti - mówi Kumar spokojnie. - Śmierć jest zawsze błogosławieństwem, lecz dla wojownika, który umiera za sprawę, czyli prawdę - błogosławieństwem podwójnym.

Tego samego wieczoru przychodzi karta ze złożonymi brzegami ozdobiona z jednej strony rysunkiem specjalnie zamówionym u M.F. Husaina⁹⁵. *Vicky Rai zaprasza na uroczystą kolację, która się odbędzie 23 marca w Number Six*, głosi tekst wydrukowany kursywą na odwrocie.

Kumar czyta i na jego ustach pojawia się przebiegły uśmiech.

⁹⁵ M. F. Husain (urodzony w 1915 roku) jest najslawniejszym żyjącym indyjskim malarzem.

9.

MIŁOŚĆ W MEHRAULI

Na szybkie wzbogacenie się są tylko trzy sposoby - spadek, skok na bank i uśmiech losu. Czasem jest to wygrana na loterii, czasem karty nie do pobicia w pokerze. Do mnie los się uśmiechnął dwa dni temu z kubła na śmieci.

Po wyjęciu teczki z kubła wróciłem autobusem do domu. Matka była w kuchni, Champi oglądała telewizję. Poszedłem do pokoju i zacząłem szukać miejsca, gdzie mógłbym schować teczkę. Małe *kholi*⁹⁶ nie zapewnia wielu skrytek. W końcu wsunąłem ją pod materac, na którym zrobiła się od tego duża wypukłość.

⁹⁶ *Kholi* - pokój. Jeśli ktoś mówi, że mieszka w *kholi*, prawdopodobnie mieszka w jednopokojowym domu.

Gdy matka i Champi poszły spać, wyciągnąłem teczkę spod materaca i zacząłem liczyć pieniądze, przyświecając sobie latarką trzymaną między kolanami. Było dwadzieścia plików nowiuteńkich banknotów, prosto z banku, o nominałach tysiąc i pięćset. Zdjąłem opaskę z pierwszego pliku. Tysiąc... dwa tysiące... dziesięć tysięcy... piętnaście tysięcy... pięćdziesiąt tysięcy. Od liczb, z którymi nigdy wcześniej nie miałem do czynienia, zaczęło mi się kręcić w głowie. Kiedy doszedłem do dwunastego pliku, bolały mnie już palce, miałem sucho w ustach i widziałem banknoty jak przez mgłę. W teczce było po prostu więcej pieniędzy, niż byłem w stanie policzyć.

Ogarnęła mnie fala radości, dając mi lepszego kopa niż najlepsza hera. Miałem więcej pieniędzy, niż widziało ich na oczy siedem pokoleń mojej rodziny. Jednak choć cieszyłem się swym szczęściem, zaczęły się we mnie rodzić pierwsze obawy. A jeśli ktoś widział, jak zabierałem teczkę, i dał znać policji? A jeśli ktoś się do nas włamie i ukradnie teczkę? Desperaci są gotowi na wszystko. W pobliskich slumsach Sanjay Gandhi nie brakuje płatnych zabójców, którzy za jedyne pięć patyków chętnie poderzną człowiekowi gardło. Żeby dostać moją teczkę w swe brudne łapy, nie cofną się przed niczym. Bogaci mogą spać spokojnie, bo pieniądze przechowują w banku, a w domu mają całodobową ochronę i alarmy. Jak ma jednak chronić swój zapasik gotówki biedak? Gryzłem się, pociłem, przez całą noc nie zmrużyłem oka.

Dziwna rzecz z tymi pieniędzmi - za dużo może być tak samo kłopotliwe jak za mało.

Kiedy chodziłem do podstawówki, mieliśmy nauczyciela - nazywał się Hari Prasad Saini - który lubił się bawić z uczniami w gry rozwijające inteligencję. Kiedyś nas zapytał, co byśmy zrobili, gdybyśmy nagle dostali po sto tysięcy rupii. Pamiętam, że Lallan powiedział, że kupiłby cały sklep z zabawkami. Inny chłopiec powiedział, że wszystko by wydał na czekoladę. Ja powiedziałem, że dałbym pieniądze bratu. Teraz, kiedy mam dużo więcej niż sto tysięcy, jestem pewien, że nie zrobię jednej rzeczy - nie powiem o tym matce. Ona byłaby zdolna zaciągnąć mnie na posterunek policji i publicznie zażądać: „Panie inspektorze, proszę sprawdzić, gdzie mój syn ukradł te pieniądze!”.

Zamierzałem nie przyznać się nawet Champi, ale nim minęły dwa dni, wiedziałem, że to niemożliwe. Nie mam przed nią tajemnic, a poza tym muszę w końcu komuś o wszystkim powiedzieć. Więc kiedy matka idzie jak co dzień pracować w świątyni, wołam Champi do swojej części pokoju.

- Mam pieniądze na twoją operację.
- Ile?
- Dużo więcej, niż trzeba zapłacić lekarzowi.

- Nie potrzebuję żadnej operacji - mówi Champi. - Dobrze jest, jak jest.

Wiem, że kłamie. Chciałaby operacji choćby ze względu na matkę, która się martwi o jej przyszłość. „Kto zechce moją Champi za żonę, jeśli ona tak wygląda?”, dręczy się bezustannie.

Matka ma rację. Champi jest brzydka jak nieszczęście. Najmilsza dziewczyna na świecie, ale i najbrzydsza. Ma zajęczą wargę, przez co dolna połowa jej twarzy wygląda jak karykatura. Jej lewa ręka jest zupełnie do niczego, a całą twarz ma w dziobach po ospie. Dobrze, że chociaż nie może widzieć swej brzydoty - jest ślepa jak nietoperz. Jednak w całej okolicy nie ma nikogo bardziej znanego. Jej zdjęcie często zamieszczają czasopisma i gazety, a raz nawet wystąpiła w CNN.

Champi jest znana na całym świecie jako Twarz Bhopalu. Ponad dwadzieścia lat temu była w Bhopalu wielka katastrofa przemysłowa. Z zakładów Union Carbide wydostał się trujący izocyjanian metylu i ci, którzy go wdychali, zmarli, oślepli albo zwariowali. Wtedy w Bhopalu mieszkała matka Champi Fatima Bee. Ona też łyknęła gazu, choć o tym nie wiedziała. Pięć lat później urodziła Champi. Kiedy lekarze zobaczyli noworodka, powiedzieli Fatimie Bee, że ślepotę i wszystkie deformacje spowodował gaz. Wciąż się zastanawiam, jak to możliwe, że przez pięć lat gaz był w ciele Fatimy Bee i nic jej nie zrobił, a zaatakował biedną Champi, gdy tylko się urodziła.

Ludziom zatrutym gazem rząd obiecał trochę pieniędzy, ale to nie dotyczyło takich jak Fatima Bee, którzy ucierpieli później. Fatima wstąpiła więc do organizacji Crusaders for Bhopal, która walczy o odszkodowania. Jak to bywa w naszym kraju, sprawa ciągnie się już ponad dwadzieścia lat i końca nie widać. Co trzy miesiące Fatima Bee przyjeżdżała do Delhi, żeby biegać do Sądu Najwyższego i brać udział w wiecach, po czym wracała do Bhopalu. Dziesięć lat temu postanowiła przeprowadzić się na stałe do Delhi, razem z mężem Anwarem Mianem i Champi. Zamieszkali w slumsach Sanjay Gandhi w Mehrauli, gdzie jest pełno uchodźców z Bangladeszu. Anwar Mian znalazł pracę w cementowni

w Mahipalpurze. Słyszałem, że był ponury, pił jak smok, wypalał dwa-
dzieścia *beedi*⁹⁷ dziennie i prawie do nikogo się nie odzywał. Pewnego
pięknego dnia poszedł jak zwykle do pracy, wieczorem wrócił do domu i
w nocy padł trupem. *Bole toh*, niewydolność serca.

⁹⁷ *Beedi* - cienki papieros, często aromatyzowany, zrobiony z tytoniu zawiniętego w
liść hebanowca *Diospyros melanoxyloni*, związany na jednym końcu kolorową nicią.
Jest to papieros głównie warstw niższych.

Dla Fatimy Bee był to wielki cios, bo teraz musiała utrzymać Champi
sama. Zaczęła zarabiać szcieniem i w ten sposób zetknęła się z moja
matką, która zamówiła u niej dla mnie kilka koszul. Była świetną
krawcową. Żadna koszula już nie pasowała na mnie tak dobrze, jak
uszyte wtedy przez nią. Niestety, Fatima Bee też walczyła z chorobą.
Trzy lata temu zmarła na gruźlicę i Champi została sama. Wtedy przyszli
do świątyni ludzie z Crusaders for Bhopal. Szukali rodziny gotowej
przyjąć Champi w zamian za trzysta rupii miesięcznie (później ta kwota
wzrosła do czterystu rupii). Nie było chętnych, dopóki nie zjawiała się
moja matka. Ona jest królową wszystkich uszczęśliwaczy, nakarmiłaby
nawet węża. Matka tylko raz spojrzała na Champi i objęła ją jak własną
córkę. Kierownictwo świątyni nie było zadowolone. Obleśny kapłan,
który ciągnie niezłe zyski z codziennych ofiar, był przeciwny temu, żeby
na terenie należącym do hinduistycznej świątyni udzielono schronienia
muzułmance. Ale matka już się zdecydowała. „Co z ciebie za kapłan?
Czy żeby być człowiekiem, potrzebna jest religia?”, skarciła go i zam-
knęła mu usta. Od tamtej pory Champi mieszka z matką i ze mną na
tyłach świątyni. Chyba mogę powiedzieć, że jest dla mnie kimś w ro-
dzaju siostry. Ci z Crusaders for Bhopal płacą matce regularnie i co roku
trzeciego grudnia zabierają Champi na Bhopal Action Day. Jest to po-
tężny wiec mający na celu zwiększenie wśród ludzi wiedzy o katastrofie.
Często uczestniczą w nim ochotnicy w szokujących kostiumach. W
zeszłym roku byli poprzebierani za szkielety, ale gwiazdą i tak zawsze
jest Champi, która nie potrzebuje żadnej charakteryzacji, żeby przypo-
minać o okropnościach Bhopalu.

Kiedy Champi u nas zamieszkała, matka jej obiecała, że doprowadzi jej twarz do porządku. Nawet byliśmy u chirurga plastycznego. Powiedział, że operacja kosztowałaby astronomiczną sumę: trzysta tysięcy rupii. To nas sprowadziło na ziemię. Od tamtej pory nie rozmawiamy o twarzy Champi, a ona pogodziła się z naszą bezradnością jak my z jej karykaturalnością.

Teraz próbuję odnowić starą nadzieję, ale Champi jest nieugięta.

- Nie chcę korzystać z pieniędzy gangsterów - oświadcza, wysłuchawszy mojej opowieści.

- Skąd wiesz, że należały do gangsterów?

- Kto inny by je zostawił w kubie na śmieci? I co będzie, jeśli trafią z nimi do ciebie?

- Nie trafią. Teraz te pieniądze są moje. I niech mnie szlag, jeśli ich z przyjemnością nie wykorzystam.

- To, co zdobyte nieuczciwie, nie może dać przyjemności. Pomyśl o konsekwencjach.

- Życie jest za krótkie, żeby się martwić o przyszłość.

- Może dla ciebie. Dla mnie i dla matki nie. Ona ciągle się o ciebie martwi.

- To jej powiedz, żeby przestała. Od jutra nawet nie musi pracować. Mam dość pieniędzy, żeby karmić naszą trójkę przez sto lat.

- Uważaj, żeby ci się nie przewróciło w głowie - ostrzega mnie Champi. - Lepiej przez jakiś czas nie zwracać na siebie uwagi, a wielkie plany zostawić na później.

To jest rozsądna rada.

- Masz rację, Champi - kiwam głową. - Nikt nie może o tej teczce wiedzieć. Nie tknę jej przez następny tydzień i jeśli w tym czasie nikt nie przyjdzie jej tu szukać, odetchniemy i zaczniemy po trochu wydawać forsy i myśleć o operacji.

- Nie chcę z twojej zdobyczy ani rupii - mówi Champi twardo. - Ale zanim cokolwiek zrobisz, może byś poszedł po błogosławieństwo Sziwy? Idź i pokłoń się Bogu chociaż dziś.

- Co ma Bóg do tej teczki? Nie muszę mu za nic dziękować. -
Macham lekceważąco ręką.

Champi wzdycha.

- Wstawię się za tobą u Allacha, który wybacza grzechy i obdarza łaskami. *La ilaha illa huwa*, do niego w końcu wrócimy - mówi i wznosi rękę.

Kręcę głową. Wziąwszy pod uwagę to, co się stało z jej oczami i twarzą, wiara Champi w Boga jest naprawdę zdumiewająca.

- Ani słowa matce - mówię i wolnym krokiem idę do głównego wejścia.

Jest poniedziałek, dzień Sziwy, i świątynia zapełnia się wiernymi. W południe kolejka po *darshan*⁹⁸ będzie miała pół kilometra.

⁹⁸ *Darshan* - słowo z sanskrytu, które oznacza widzenie (w sensie zobaczenia, uj-rzenia czegoś), wizję, zjawę, wyobrażenie. Najczęściej jest używane w sensie „widzenia boskości”, czyli boga albo bardzo świątobliwej osoby bądź świętego artefaktu. Można „otrzymać *darshan*” boskości w świątyni albo od świątobliwej osoby, na przykład wielkiego guru.

Świątynia Bhole Nath w Mehrauli to budowla współczesna, najwyżej dwudziestoletnia. Prawdopodobnie zbudowano ją w tym samym celu, w jakim się buduje większość świątyń w tym mieście - żeby zdobyć ziemię. Jednak szybko zyskała rozgłos i teraz jest celem pielgrzymek. Zapaleńcy wierzą, że spełnia życzenia, dlatego przez cały dzień pełno ich w potężnym marmurowym wnętrzu.

Siedzą na podłodze, medytują i monotonna śpiewają. Tam też można zobaczyć matkę, jak starannie myje podłogę, szoruje kafelki i przepłukuje zatkane boczne odpływy.

Na terenie świątyni można robić różne pożyteczne rzeczy, ale mnie interesuje tylko przyglądanie się dziewczętom. Ponieważ panuje przekonanie, że Sziwa zapewnia dobrych małżonków, do świątyni nieprzerwanie płynie strumień panien i młodych żon, które pragną się pomodlić o odpowiedniego męża albo o harmonijne życie rodzinne. Gdyby tak się dało jakoś tym laskom uświadomić, że pierwszorzędnym kandydatem na męża czai się tuż za rogiem, w Kholi 1!

Świątynia stanowi część mojego życia, od kiedy skończyłem sześć lat. Jestem świadkiem jej rozwoju. Widziałem, jak pięknieje świątynny ogród i jak przybywa drzew wokół jej murów. Rosłem, obserwując rosnące ceny kwiatów i słodczy i coraz grubsze brzuchy cukierników i kapłanów.

Na powodzeniu świątyni skorzystaliśmy i my. Zanim matka zaczęła tu pracować, mieszkaliśmy w budzie z blachy falistej w slumsach Sanjay Gandhi. Nie mieliśmy elektryczności ani wody. Matka gotowała na suszonym krowim nawozie spalonym w glinianym palenisku, które zasnuwało wszystko dymem wyciskającym mi łzy z oczu. Teraz mamy *pukka*⁹⁹ półtorapokojowy dom z paleniskiem z cegły, wentylatorem pod sufitem i nawet kablówką (którą podkradam z łącza świątyni). Naturalnie dla trzech osób to nadal straszna ciasnota. Za pomocą drewnianego przepierzenia podzieliliśmy pokój na dwie części. Jedna jest moja, z materacem i drewnianym stolikiem, druga matki i Champi. Swoją część ozdobiłem plakatami z Salimem Ilyasim i Shabnam Saxena, ale zwykle zasłaniają je spodnie i koszule wiszące na przymocowanym do ściany wieszaku. Matka ma na ścianach stare wyblakłe kalendarze z bogami i boginiami. Ubrania trzyma w aluminiowym kufrze. Na nim stoi oprawione w ramkę czarno-białe zdjęcie ojca, w zasuszonej girlandzie z róż. To jest jej najcenniejsza rzecz. Ona widzi na tym zdjęciu męża, ja męczennika.

⁹⁹ *Pukka* - prawdziwy, autentyczny. Tu chodzi o to, że dom jest zbudowany z cegły, a nie ulepiony z gliny.

Matka nigdy o tym nie mówi, ale wiem, że ojciec zginął w wypadku drogowym. Chociaż miałem wtedy tylko sześć lat, ciągle pamiętam leżące przed naszą budą zwłoki zawinięte w białe prześcieradło i matkę łamiącą bransolety i rytmicznie walącą głową w ścianę. Tydzień później przyszedł do niej ze złożonymi rękami tęgi mężczyzna w białej *kurta*. Uronił kilka krokodylich łez i dał matce dwadzieścia pięć tysięcy rupii. Załatwił jej też pracę w świątyni i ten dom. Ojciec dał nam po śmierci to, czego nie mógł dać za życia.

- Już od miesiąca nie pracujesz u Bhusiyów. Szukasz innej pracy? - pyta matka, gdy tylko wraca wieczorem do domu. Ciągłe to teraz powtarza. - Co ci da uniwersytecka edukacja, jeśli zamierzasz próżnować? Arrey, jeśli nie myślisz o starej matce, pomyśl chociaż o siostrze. Jak ją wydam za mąż, skoro nie chcesz zarabiać pieniędzy? Boże, dlaczego musiałam urodzić marnotrawcę?

Uśmiecham się do niej.

- Czekałem, aż będę miał dla ciebie dobrą wiadomość. Właśnie podłapałem nową pracę - kierownik produkcji w fabryce pudełek przy MG Road. Będą mi płacić dziesięć tysięcy miesięcznie.

- Dziesięć tysięcy? - matka szeroko otwiera oczy i patrzy na mnie surowo. - Nie nabierasz mnie?

- Przysięgam na ojca, że to prawda - mówię poważnie.

- Chwała Sziwie, chwała Sziwie. - Matka wznosi oczy do nieba i wybiega z domu. Pewnie zaraz zacznie częstować cukierkami każdego, kogo spotka.

Champi nie jest zachwycona.

- Jak możesz tak bezczelnie kłamać? Współczuję kobiecie, która za ciebie wyjdzie.

- A nie będzie wołała milionera kłamcy od prawdomównego biedaka? - uśmiecham się szeroko.

Do Champi przychodzi młoda kobieta w dżinsach i wzorzystym topie, żeby przeprowadzić z nią wywiad. Jest niebrzydka, ma krótkie włosy i brązowe oczy. Nazywa się Nandita Mishra i twierdzi, że jest dokumentalistką filmową.

- Robię film o tragedii w Bhopalu i sytuacji po dwudziestu ośmiu latach. Chcę się dowiedzieć, jak to widzi Champi - mówi i rozkłada statyw. Champi szybko idzie do kuchni, myje twarz, we włosy wpina kwiat i wraca, gotowa stanąć przed kamerą. Świetnie sobie radzi z wywiadami, w zdania często wplata słowa w rodzaju „skażenie”, „zmowa”, „odszkodowanie”.

Kiedy wywiad jest już sfilmowany, kobieta zwraca się do mnie.

- Czy zna pan kogoś w slumsach Sanjay Gandhi?
- Czemu pani pyta? Czego tam może szukać ktoś taki jak pani?
- Mam w planie film o życiu w slumsach. Coś w rodzaju „Salaam Bombay”¹⁰⁰, ale bardziej realistyczny, ostrzejszy. Widzimy je z daleka, z pociągów i aut, ale czy ktoś z nas odważył się kiedykolwiek tam wejść? Mój dokument pokaże widzom autentyczne życie slumsów.

¹⁰⁰ „Salaam Bombay” - indyjski film z 1988 roku w reżyserii Miry Nair będący zapisem codziennego życia dzieci na ulicach Bombaju.

- Slumsy to nie atrakcja turystyczna, szanowna pani - mówię kpiąco. - Żeby wiedzieć, jak się w nich żyje, trzeba się tam urodzić.

- To nieźle brzmi - spogląda na mnie z błyskiem w oku. - Mógłby pan to powtórzyć do kamery?

Więc teraz ja się przygotowuję do wywiadu, pierwszego w życiu. Dobrze znam Sanjay Gandhi. Slumsy były moim placem zabaw, od kiedy skończyłem trzy lata. O slumsowej rzeczywistości wiele mogę powiedzieć. Na przykład jak sześciuosobowa rodzina mieści się na sześciu metrach kwadratowych. Albo jak skromna dziewczyna kąpie się pod miejskim kranem na oczach setek ludzi. Jak mąż i żona kochają się w ukryciu, gdy ich każdy ruch obserwują podglądacze. Jak dorośli mężczyźni kucają rzędem na skraju torów kolejowych i strają niczym bawoły. Jak biedacy mnożą się jak komary i żyją jak psy, gdy psy bogaczy śpią na materacach Dunlopillo w rezydencjach bez śladu komarów.

Mógłbym mówić o tym wszystkim, ale przed kamerą zapominam języka w gębie. Nandita Mishra stara się mi podpowiadać, ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. W końcu rezygnuje i zaczyna pakować sprzęt.

Po jej odejściu zastanawiam się nad swoim niepowodzeniem. Czy to wina kamery przed moją twarzą, czy teczki pod materacem? Czy to możliwe, że ponieważ jestem teraz bogaty, nie potrafię myśleć jak mieszkaniec slumsów?

Minęło dziesięć dni od kiedy stałem się posiadaczem teczki, i nikt jej u nas nie szukał. Zgodnie z planem moje życie na terenie świątyni nie zmieni się ani trochę. Będę jadł skromnie i wystrzeżę się alkoholu. Ale na zewnątrz mogę sobie pozwolić na to, żeby być kimś zupełnie innym. Mogę po trochu wydawać pieniądze, cieszyć się owocami swojego szczęścia. Postanawiam, że zacznę od taksówki.

Postój jest o dwie ulice od świątyni. Przy krawężniku stoi żółto-czarne auto, kierowca siedzi w środku i czyta gazetę. Pukam w szybę.

- Wolna?

Stary Sikh z potarganą brodą opuszcza szybę i coś wypluwa.

- Kto potrzebuje taksówki?

- Ja.

Patrzy na moje brudne ubranie i szare policzki z nieukrywaną pogardą.

- Jechałeś choć raz w życiu taksówką? Wiesz, ile to kosztuje? - pyta ostrym głosem.

- Jeżdżę taksówkami całe życie, *sardarji*¹⁰¹ - odszczekuję, sam zaskoczony swoim aroganckim tonem. Macham mu przed nosem kilka tysięcy rupiówkami. - Na Ansai Plaza. Szybko.

¹⁰¹ *Sardar* znaczy dowódca albo szef. *Sardarji* to uprzejma forma zwracania się do Sikha w turbanie.

- Tak, proszę pana. - Zachowanie kierowcy natychmiast się zmienia. - Proszę wsiadać. - Rzuca gazetę i włącza taksometr.

Usadawiam się na tylnym siedzeniu, zakładam ręce za głowę i prostuję nogi. Pierwszy raz jadę taksówką. Zaczynam używać życia.

W uniesieniu robię zakupy w ekskluzywnym mallu. Kupuję to, czego zawsze pożałowało moje serce, lecz na co nie mógł sobie pozwolić portfel. Koszulę u Marksa i Spencera, skórzaną kurtkę w Benettonie, lewisy, okulary firmy Guess, perfumy firmy Lacoste' i nike'i. Dziesięć lat oglądania wystaw sprowadzone do godziny szalonych zakupów - za dwadzieścia tysięcy rupii tylko w tych sześciu sklepach. Potem idę do

fikuśnej toalety, myję twarz i się przebieram. Wkładam nowe dzinsy, koszulę i buty, i skórzaną kurtkę. Spryskuję ciało drogimi perfumami i stoję przed lustrem. Patrzy na mnie przystojny nieznajomy, wysoki i szczupły, z gładko ogoloną twarzą i potarganą kędzierzawą czupryną Salima Ilyasiego. Strzelam palcami i przyjmuję pozę Michaela Jacksona. Wpycham stare ubranie i buty do reklamówki i w czarnych okularach na nosie wychodzę z dumną miną z toalety. Modnie ubrana dziewczyna patrzy na mnie z uznaniem. Dziesięć minut wcześniej nawet by mnie nie zauważyła. Uświadamiam sobie, jak bardzo strój może zmienić człowieka. Już wiem, że bogaci sami w sobie niczym się od innych nie różnią. Oni tylko noszą lepsze ubrania.

Mam ochotę zatańczyć jiga i zaśpiewać „Saala main to sahab ban gaya”¹⁰²! Munna Mobile stał się dżentelmenem. Teraz potrzebuje bogatej przyjaciółki.

¹⁰² „Saala main to sahab ban gaya”, czyli „Hej, zostałem sahibem”, to tytuł znanej piosenki filmowej.

Resztę wieczoru spędzam w South Extention Market, na przyglądaniu się szykownym dziewczynom w szykownych ciuchach. Wsiadają z drogich samochodów i idą do drogich sklepów z torbami od znanych projektantów i markowymi butami. Wchodzę za grupką dziewczyn do salonu Reeboka. Ochroniarz wita mnie i przytrzymuje drzwi, kierownik pyta, czy mam ochotę na coś zimnego albo filiżankę herbaty. Ucinam sobie żartobliwą pogawędkę ze sprzedawczyniami. Kokietują mnie. Jest mi dobrze, czuję się szczęśliwy. Wychodzę z klimatyzowanego salonu i postanawiam zajrzeć do Deluxe Indian Restaurant, która jest obok. Zjadam suty posiłek - kurczaka w sosie maślanym, *seekh kebabs*¹⁰³ i chleb *naan* - za osiemset rupii. Znów jestem na ulicy, oglądam pełne zachwycających towarów witryny jasno oświetlonych centrów handlowych. Krzykliwy przepych wielkiego miasta nie wydaje mi się dziś obcy. Ja też już jestem mieszkańcem tego świata ostentacji.

¹⁰³ *Seekh kebabs* robi się z mielonego mięsa z przyprawami i grilluje na szpikulcach.

Teraz do Infra Red, ekskluzywnego klubu nocnego uważanego za najmłodniejsze, najbardziej odlotowe miejsce w stolicy po zmroku. Diino, znajomy ze slumsów, który krótko pracował w nim jako kelner, powiedział mi kiedyś, że przychodzą tam najatrakcyjniejsze dziewczyny, „półnagie też”.

Wysiadam z taksówki przed migoczącym neonami wejściem. Jest dopiero dziewiąta, ale pod rzeźbionymi drewnianymi drzwiami czeka już dość długa kolejka. Dwóch muskularnych bramkarzy w identycznych czarnych garniturach lustruje klientów. Na chodniku stoi kilku żebraków, którzy z nadzieją podchodzą do każdej podjeżdżającej taksówki. Dołączam do kolejki i po kwadransie docieram do drzwi. Jeden z bramkarzy rzuca na mnie okiem i kiwa na kolegę, a ten każe mi bulić trzy tysiące rupii „opłaty od faceta bez pary”. „Trzy tysiące rupii? To skandal!”, chcę krzyknąć, ale milczę i wyciągam ze swojego pliku trzy banknoty. Dostaję bon, bramkarz zdejmuje z haczyka koniec przegradzającej drzwi aksamitnej liny i wpuszcza mnie do środka. Schodzę kilkanaście stopni w dół, do pomieszczenia, które wygląda jak piwnica. Słyszę stłumione dudniące dźwięki muzyki. Zbliżam się do następnych drzwi i dudnienie przybiera na sile. Facet w uniformie sprawdza mój bon i naciska guzik. Drzwi się otwierają, wchodzę do słabo oświetlonej, zatłoczonej sali. Muzyka jest tak głośna, że bolą mnie uszy. Po prawej mam bar w kształcie wyspy otoczony małymi żółtymi sofami, po lewej parkiet do tańca, prawie cały z luster, nad którym wisi niczym żyrandol wielki stroboskop wysyłający zielone, niebieskie i żółte błyski. Parkiet jest pełen podrygujących spoconych ludzi, którzy tańczą z maniacką energią. Didżej siedzi kilka metrów wyżej, na balkonie ze szkła i stali. Od czasu do czasu ze środka parkietu bucha upiorna fontanna białego dymu.

Diino mówił prawdę. Co druga dziewczyna ma na sobie obcisłą sukienkę, głęboko wycięte bluzki bez pleców i rękawów odsłaniają piersi, krótkie T-shirty brzuchy. Mikrominisódniczki ledwie zakrywają bieleżną. Na parkiecie widać więcej gołej skóry niż w Fashion TV.

Dym, światło, muzyka - wszystko to tworzy atmosferę beztroskiego zapamiętania, jakby Indie zostały gdzieś daleko, a tu był zuchwały kraj rządzący się własnymi regułami.

Moje oczy oswajają się z połyskliwym wystrojem sali i przyćmionym oświetleniem i zaczynam rozpoznawać twarze ludzi, którzy siedzą przy barze. Jest gwiazda telenowel Smriti Bakshi, aktorka Simi Takia, były gracz w krykieta Chetan Jadeja. Mężczyzna z wyżełowanymi włosami i pękatymi bicepsami, którego też już chyba gdzieś widziałem, rozmawia z jakimś cudzoziemcem. Jest grupa dziewcząt w drogich dzinsach i szpilkach. Wyglądają jak modelki. Wszyscy sprawiają wrażenie ważnych. Czuję się jak nieproszony gość na przyjęciu dla gwiazd filmowych i znanych osobistości.

Barman, młody chłopak z przylizanymi włosami i muszką, pyta, czy chcę drinka. „A co masz?”, odpowiadam. „Wszystko, proszę pana”. Pokazuje stojącą za nim baterię butelek. Pod słuchuję, co zamawiają modelki. Proszą o mrożoną herbatę Long Island, pinakoladę i truskawkową margarite, o których nigdy nie słyszałem, i niedbałym ruchem wyjmują z torebek karty kredytowe.

Chce mi się sikać, więc idę do męskiej toalety. Otwieram drzwi i słyszę dziwne dźwięki. W środku kilka *firang*¹⁰⁴ białych dziewczyn stoi przy umywalce, chichocze i wciąga kokainę. Patrzę na mnie spode łba, więc czuję się jak intruz. „Spadaj”, mówi któraś.

¹⁰⁴ *Firang* - zagraniczny.

Szybko wychodzę z toalety i idę na parkiet. Didżej, który wcześniej grał angielską muzykę, puszcza remiks z filmu „Dhoom 2”. Rozlegają się głośne wiwaty. Znam tę piosenkę bardzo dobrze, bo film widziałem co najmniej dziesięć razy. Zapamiętałem każdy ruch Hrithika Roshana¹⁰⁵ w jego niesamowitym układzie tanecznym. I nie tylko ja. W slumsach każdy dzieciak to Michael Jackson czekający na swoją chwilę. Zawsze skrycie marzyłem o tym, że kiedyś pójde do klubu, didżej puści mój ulubiony kawałek, a ja pokażę kroki opanowane do perfekcji przez dziesięć lat oglądania w telewizji programów tanecznych. Pokażę *moonwalk* i *shimmy* w miejscu, będę się kręcił na głowie i chodził na

rękach. Tłum się rozstąpi i wszyscy będą mi bili brawo. Jednak teraz, kiedy mam okazję to zrobić, czuję się dziwnie onieśmielony i zdenerwowany, jakby taniec mógł mnie zdemaskować jako oszusta.

¹⁰⁵ Hrithik Rosnan - popularny aktor hollywoodzki.

Jest mi duszno. Parkiet już nie wydaje mi się super. I wtedy dostrzegam w głębi jeszcze jakieś oddzielone od niego miejsce. Przepycham się przez masę potracających się ciał i wchodzę do pomieszczenia, gdzie panuje znacznie spokojniejsza atmosfera. Zamiast sof i taboretów są dywany i poduszki. Jest telewizor z wielkim ekranem i kilka sztucznych roślin. Jest też barek, z ziewającym barmanem za kontuarem. Nie ma tłoku. W rogu siedzi para dzieląca się szeptem jakimiś tajemnicami; znudzona dziewczyna w towarzystwie starszego mężczyzny wysyła komuś SMS-a; grupa długowłosych cudzoziemców pali na zmianę nargile.

Tyłem do mnie siedzi samotna dziewczyna i patrzy w telewizor, który jest nastawiony na NDTV¹⁰⁶. Szczupła, czarnowłosa, chyba jako jedyna w całym klubie ma na sobie hinduski strój, niebieską *salwar kameez*.

¹⁰⁶ NDTV New Delhi Television - popularny całodobowy kanał informacyjny.

Podchodzę bliżej. Ona wyczuwa moją obecność i się odwraca. Widzę owalną twarz, kształtny nos, pełne wargi i ciemne oczy, które wyglądają, jakby się miały za chwilę wypełnić łzami. To jedna z najładniejszych dziewczyn, jakie widziałem w życiu.

- *Hi!* - mówię, bo bogaci mówią tylko po angielsku.

Patrzy na mnie bezradnym wzrokiem i nie odpowiada. Widzę, że przygryza wargi.

Niespodziewanie pojawia się obok niej inna, w obcisłych dżinsach z nabijanym ćwiekami paskiem. Usta ma pomalowane karmazynowa pomadką, która harmonizuje z kolorem pasków na ukazującej piersi wydekoltowanej bluzce.

- Mam nadzieję, że się za bardzo nie nudzisz, Ritu - mówi w hindi.
- *Bas*¹⁰⁷, Tony i ja zatańczymy jeszcze parę razy i idziemy.

¹⁰⁷ *Bas* - dość, wystarczy.

Zauważa mnie i przechodzi na angielski:

- *Hello, mister*, czyżby miał pan zamiar kupić mojej przyjaciółce drinka?

- Wolę mówić w hindi - odpowiadam zmieszany, bo całą swoją angielszczyznę już wykorzystałem.

- Świetnie. - Dziewczyna podaje mi rękę. - Mam na imię Malini, a to moja przyjaciółka Ritu. Ona też mówi tylko czystym hindi.

Malini wraca na parkiet, a ja wyciągam rękę do Ritu, która tym razem się ze mną wita. Dłoń ma miękką, delikatną. Siadam.

- Znasz już moje imię. Jakie jest twoje? - pyta w hindi.

Od razu sobie uświadamiam, że w tym ekskluzywnym klubie Munna Mobile nic nie wskóra. Natychmiast potrzebuję nowego, potężnego imienia. Najpotężniejszym ze znanych mi ludzi jest Rzeźnik z Mehrauli, czyli inspektor Vijay Singh Yadav.

- Vijay Singh, mam na imię Vijay Singh - mówię bez namysłu. Jej twarz się rozpromienia.

- Jesteś thakurem ¹⁰⁸ jak ja?

- Tak - kiwam głową. - Jestem thakurem.

¹⁰⁸ Thakurowie - jedna z wyższych kast. Większość thakurów żyje w północnych Indiach.

- Czym się zajmujesz, Vijay?

Prosta sprawa. Tym, czym pierwszy lepszy handlarz w tym mieście.

- Importem, eksportem...

- A gdzie mieszkasz?

Z tym już gorzej. Nie powiem przecież, że w Kholi 1.

- Tu i ówdzie. - Żeby się uchronić przed dalszymi pytaniami, sam przystępuję do ofensywy. - A ty gdzie?

- Nie jestem z Delhi. Mieszkam w Lucknow. Tu tylko przyjechałam w odwiedziny.

To wyjaśnia sprawę ubioru i języka.

- A co robisz?

- Jestem na ostatnim roku na Lucknow University. Licencjat z *home science*, indywidualny tok studiów. A ty kiedy skończyłeś swoje? - pyta.

- Kilka lat temu.

- Gdzie? - przepytuje mnie dalej.

- Na Delhi University - mówię bez zająknięcia, gładko przeszedłszy do porządku nad tym, że to były studia korespondencyjne, że dyplom robiłem cztery lata i że skończyłem z wynikiem miernym.

Rozmawiamy przez kilka godzin o różnych rzeczach. Pyta mnie, jakie książki czytam, a ja delikatnie zmieniam temat na filmy, które widziałem. Opowiada mi o Lucknow, ja jej o Delhi. Okazuje się, że wiele nas łączy. Oboje nie ufamy politykom, oboje potępiamy arogancję bogatych i oboje jesteśmy fanami Shabnam Saxeny.

Około jedenastej Ritu szykuje się do wyjścia.

- Miło mi się z tobą rozmawiało, Vijay. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy - mówi i podaje mi skrawek papieru. Jest na nim numer jej komórki.

Wychodzę z Ritu i jej przyjaciółką z klubu. Kolejka jeszcze się wydłużyła. Podjeżdża czarne bmw z szoferem, wyskakuje uzbrojony w ak-47 wysoki wąsaty komandos z formacji Black Cats i otwiera tylne drzwi. Dziewczyna starannie omija mnie wzrokiem i razem z Malini wsiadają. Samochód odjeżdża, ja stoję jeszcze chwilę przy krawężniku. Przez cały wieczór Ritu taktownie unikała odpowiedzi na pytania o rodzinę, ale ten umundurowany drańgal daje mi do myślenia. Kim jest ta tajemnicza dziewczyna i dlaczego chce, żebym do niej zatelefonował?

W dłuższym zastanawianiu się nad tą sprawą przeszkadza mi śmierdzący zebrak z krzywą ręką, który czepia się mojej nogi jak pijawka i skutecznie mi przypomina, że znów jestem w Indiach.

- Od trzech dni nic nie jadłem. Proszę o wsparcie! - mówi błagalnym głosem. Przeszukuję kieszenie i znajdują kilka jednorupiówek.

Odchodzi, a ja daję nura w cichą uliczkę i przebieram się w zwykłe ubranie. Vijay Singh się zabawił. Pora, żeby Munna Mobile poszedł spać.

Wracam do świątyni autobusem. Matka śpi, Champi jeszcze nie.

- Pachniesz inaczej niż zwykle - mówi, ledwie wchodzę.

Staję jak wryty. Tak to jest z Champi. Ślepa, ale widzi więcej niż inni parą oczu.

- Tak, trochę się uperfumowałem.

- Tanie te perfumy nie były. Coś mi się zdaje, że zacząłeś szastać pieniędzmi.

- Minęło dziesięć dni.

- Poznałeś dziewczynę?

- Co?

- Jej zapach też przyniosłeś.

Oniemiałem.

Czekam, aż pójdzie spać, a potem wyjmuję i otwieram teczkę. Chcę jeszcze raz poczuć ten szczególny dreszcz i przeliczyć resztę pieniędzy. Jednak i tym razem mi się to nie udaje. Nie dlatego, że nie mogę liczyć, lecz ponieważ chodzi mi po głowie inna liczba - dziesięciocyfrowy numer komórki Ritu.

Bez wątpienia jestem tą dziewczyną oczarowany. Stare, tłumione pragnienie, by uwieść bogatą *memsahib*, budzi się w mym umyśle jak uśpiony wąż. Zastanawiam się, kiedy zadzwonić. Jeśli zadzwonię jutro, może uznać, że za bardzo mi się śpieszy, że brak mi cierpliwości, i mogę stracić szansę. Ale z drugiej strony, jeśli będę zwlekał za długo, może mnie wziąć za aroganta albo dojść do wniosku, że nie jestem nią zainteresowany.

Kiedy tak myślę, co zrobić, uświadamiam sobie, że przecież nie mam telefonu. Następnego ranka idę więc do Delite Phone Mart i żeby nie wzbudzać podejrzeń, kupuję nokię 1110, taką samą tanią komórkę, jakiej używa facet sprzedający papierosy na rogu i prac z sąsiedztwa. Dziwnie się czuję, pierwszy raz w życiu kupując komórkę, i to za własne pieniądze. Bo one teraz są moje, czyż nie?

Choć się staram, nie mogę się powstrzymać. Dziesięć minut po włożeniu karty SIM wystukuję numer Ritu. Odbiera od razu, jakby czekała.

- Halo, Ritu, tu Vijay Singh - mówię trochę niepewnie.

- Halo, Vijay - odpowiada trochę nieśmiało.

Nie wiem, co powiedzieć. Zapada niezręczna cisza. Nigdy jeszcze nie miałem okazji podrywać bogatej dziewczyny przez telefon. Zastanawiam się, co taka dziewczyna może lubić, i jedyna rzecz, jaka mi przychodzi do głowy, to zakupy.

- Chciałabyś pójść na zakupy? - pytam.

Znów przerwa. Ritu myśli, jak zareagować.

- Tak, chętnie. Dokąd?

- A gdzie mieszkasz?

- W Mehrauli - mówi, ku mojemu zaskoczeniu.

- Co za zbieg okoliczności! Ja też mieszkam w Mehrauli. W takim razie może się spotkamy w Amwabacie? Tam są sklepy wszystkich znanych projektantów mody.

- Nie - odpowiada po chwili milczenia. - Wolałabym jakieś miejsce daleko od Mehrauli. Co myślisz o Connaught Place?

- Może być, często tam jestem.

- Dobrze. O trzeciej?

- Gdzie?

- Znam tam tylko Wimpy, Malini kiedyś mnie zawiozła.

- Świetnie. Wiem, gdzie jest Wimpy. Do zobaczenia o trzeciej.

Zdążyłem rozgryźć pannę Ritu i obmyślić taktykę jej uwiedzenia, jeszcze zanim się rozłączyłem. Z naszej rozmowy jasno wynika, że to dziewczyna z małego miasteczka, która w wielkim mieście szuka tanich emocji i nie chce, żeby się o tym dowiedzieli rodzice. Na pewno nie odmówi sobie romansiku z thakurem! Dla takiej ślicznej laski nie pożałuję nawet dwudziestu patyków. Zrobimy szalone zakupy, zaimponuję jej rozrzutnością, a potem zwabię do łóżka!

Zaczynam od kupna w Metropolitan Shopping Mail flanelowej koszuli i sztruksowych spodni. Nie chcę, żeby Ritu mnie widziała drugi raz w tym samym ubraniu. Potem nagle przychodzi mi do głowy, żeby pójść do multipleksu na anglojęzyczny film. Prawie nic nie rozumiem, ale po półtorej godziny oglądania jasnoskórych aktorów mówiących bez przerwy po angielsku ogarnia mnie miłe zadowolenie. Czuję się teraz jakoś lepiej przygotowany do randki z bogatą dziewczyną. Wychodzę z kina, wkładam czarne okulary i macham na riksze.

Docieram na Connaught Place za kwadrans trzecia i czekam na Ritu przed Wimpy. Zjawia się trochę po trzeciej, tym razem w innym samochodzie, eleganckim mercedesie slk 350, ale z przodu siedzi ten sam wąsacz z ak-47.

Wysiada, coś do niego mówi i samochód odjeżdża. Dziś Ritu jest w kremowych spodniach *churidar*¹⁰⁹ i takiej samej *kameez*. Na ramionach ma czerwony *chunni*¹¹⁰. W świetle dnia wygląda jeszcze piękniej niż w klubie. Patrzę z zachwytem na delikatny kontur jej twarzy, łagodny łuk szyi i wierzyć mi się nie chce, że udało mi się poderwać taką ślicznotkę.

Prawie od razu mnie zauważa i na jej twarzy pojawia się ciepły uśmiech.

¹⁰⁹ *Churidar* - dopasowane spodnie noszone zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety.

¹¹⁰ *Chunni* - długi szal noszony przez kobiety, zwykle z *salwar kameez*.

- Cześć, Vijay - mówi na powitanie i rzuca wokół kilka podejrzliwych spojrzeń, jakby chciała sprawdzić, czy w pobliżu nie węszy jakiś krewny.

Pora dowiedzieć się czegoś o jej rodzinie.

- Wczoraj też przyjechałaś z ochroną. Dlaczego?
- Ojciec się uparł. Boi się o moje bezpieczeństwo.
- Pewnie jest wielkim biznesmenem.
- Coś w tym rodzaju - mówi Ritu i stara się zmienić temat. - Co chcesz kupić? Jeszcze nigdy nie robiłam zakupów na Connaught Place.
- Ja niczego nie potrzebuję. To ty masz tu poszaleć - odpowiadam i prowadzę ją do klimatyzowanego butik z drogą markową odzieżą.

Ritu krąży między regalami, patrzy na metki i przewraca oczami.

- Te ceny są absurdalne. Za jeden strój trzeba zapłacić tyle, ile w Lucknow wystarczyłoby mi na dziesięć.

- Ale tu jest Delhi. I delhijskie ceny. Nie martw się, dzisiaj ja płacę za twoje zakupy - uspokajam ją z pewnością siebie człowieka, który ma w kieszeni sto tysięcy rupii.

Patrzy na mnie z dziwną miną.

- *Arrey*, dlaczego miałbyś wydawać na mnie pieniądze? Jesteś moim bratem czy co?

Trochę mnie to wyprowadza z równowagi. Patrę jej w oczy, które się wydają jasne i szczerze, i nie wiem, czy nie oceniłem tej dziewczyny źle, czy nie popełniłem kosztownej pomyłki.

- To może tutaj - pokazuję sąsiedni sklep, którego wystawę przecina napis „Wyprzedaż”.

Ritu kręci głową.

- Te wszystkie wyprzedaże to oszustwo. Lepiej chodźmy na Palika Bazaar. Słyszałam, że tam mają dużo rozsądniejsze ceny.

Mam się kłócić, skoro budżet uwodziciela mogę dzięki temu zmniejszyć o połowę? Prowadzę Ritu na mieszczące się w środku parku podziemne targowisko pełne małych sklepów z ubraniami, błyskotkami i elektroniką, rojące się od kupujących, przeważnie źle ubranych ludzi z klasy średniej i studentów. Od chytrookich sklepikarzy siedzących za stosami płyt kompaktowych i DVD natychmiast słyszę propozycje. „Może coś ostrego, proszę pana? Mamy filmy z trzema iksami, bardzo dobrej jakości”, szepczą, gdy mijam ich klitki. W zatęchłym powietrzu z trudem oddycham, lecz Ritu jest zachwycona. Po szybkim zapoznaniu się z bazarem oznajmia, że co prawda jest tu nieco drożej niż na Aminabad Market w Lucknow, ale wybór większy. Jak na dziewczynę z małego miasta przystało, nie wykazuje zainteresowania T-shirtami ani dzinsami, tylko idzie do handlarzy sprzedających kobiece ubiory prosto z wieszaków w alejce. Pół godziny targuje się o cenę pary strojów *salwar*.

Chce je kupić za trzysta rupii, sprzedawca żąda pięćset. W końcu

godzą się na trzysta siedemdziesiąt pięć. Podają jej pięćsetrupiowy banknot, ale Ritu stanowczo odmawia jego przyjęcia. Wyjmuje z torebki zniszczony portfelik i płaci. Jej skrupuły mi imponują, ale jednocześnie mnie martwią.

W pobliżu wejścia numer trzy zaczepia mnie chudy jak patyk chłopak obwieszony paskami.

- To są importowane markowe paski, proszę pana. Tysiąc rupii na Connaught Place, tutaj tylko dwieście - mówi i podaje mi jeden, z napisem „Lee” na klamrze. Macham ręką, ale nie odchodzi. - Proszę popatrzeć - nalega. Płomieniem zapalniczki próbuje podpalić koniec paska. - Widzi pan, prawdziwa skóra!

- Nie nabieraj mnie - śmieję się. - To tanie paski Rexine.

- Nie, proszę pana. Z prawdziwej skóry. I dla pana obniżę cenę do setki.

- Nie jestem zainteresowany - oznajmiam.

- Niech pan kupi chociaż jeden. Proszę - mówi błagalnie. - Sprzedam za pięćdziesiąt.

- Pięćdziesiąt rupii? Całkiem przyzwoita cena - mówi Ritu.

- Widzi pan? Nawet pani chce, żeby pan taki miał. Proszę kupić, a Bóg sprawi, że zawsze będziecie parą - mówi z werwą zawodowego zebra. -

Ritu spuszcza oczy. Rumieniec na jej twarzy to najlepszy dowód, że jest mną zainteresowana bardziej niż po siostrzanemu. Uśmiecham się i wyjmuję banknot.

- Masz. A pasek sobie zatrzymaj. Na pamiątkę spotkania z bogatym facetem.

Chłopak przyjmuje datek ze zdziwioną twarzą. Ritu klepie mnie w rękę.

- Czy jesteś taki hojny dla każdego napotkanego biedaka?

- Nie. Ale odwołał się do Boga, więc musiałem to uszanować - mówię buńczucznie.

Znów się rumieni, a mnie przenika dreszcz pożądania. Czuję, że jestem na dobrej drodze, że ta wyprawa na zakupy skończy się czymś

niezapomnianym. Ritu wchodzi do następnego sklepu, a ja staram się sobie przypomnieć, gdzie w pobliżu jest hotel, do którego mógłbym ją zabrać.

Kiedy wychodzi, robię pierwszy krok.

- Masz ochotę na kawę?
- Kawę? Tutaj? - Przechyliła głowę i patrzy na mnie ze zdziwieniem.
- Nie, w hotelu niedaleko stąd.

Waha się, patrzy na zegarek.

- O Boże, już za piętnaście piąta! Obiecałam Ramowi Singhowi, że wrócę przed piątą.

- Kto to jest Ram Singh?
- Mój ochroniarz. Przyjedzie po mnie do Wimpy. Muszę już wracać, Vijay.

Dochodzę do wniosku, że Ritu chyba nie jest taka naiwna, na jaką chce wyglądać. Sposób, w jaki nie dała się złapać na przynętę, daje do myślenia. Czy mimo moich ciemnych okularów już mnie przejrzała, domyśliła się, jakie mam zamiary? Staram się zamaskować rozczarowanie ostentacyjną uprzejmością.

- Nic nie szkodzi, odprowadzę cię.

Spuszcza głowę.

- Wolałabym wrócić sama.
- W porządku. - Kiwam głową. - Kiedy się znowu zobaczymy?
- Zadzwoń. Mam twój numer w komórce. Do widzenia, Vijay.

Mija tydzień, Ritu nie dzwoni. Ja za każdym razem słyszę komunikat, że abonent jest niedostępny. Może wróciła z Delhi do Lucknow, myślę, ale umieram z ciekawości, kim jest ta piękna dziewczyna, która podróżuje jak księżniczka, a kupuje jak biedaczka, zaczynam więc przepatrywać okolice świątyni, szukając samochodów Ritu. Chodzę od rezydencji do rezydencji, przyglądam się domom bogaczy, ale przeważnie zasłaniają je wysokie żelazne bramy, a stojąca koło nich ochrona rzadko pozwala na wałęsanie w pobliżu.

Kiedy już niewiele brakuje, żebym stracił nadzieję, że jeszcze kiedyś ją spotkam, Ritu telefonuje.

- Cześć, Vijay - mówi słodkim głosem, a mnie się robi słabo z radości.

- Gdzie byłaś tak długo? Stawałem na głowie, żeby się z tobą skontaktować.

- Pojechałam z matką do Farrukhabadu. Wróciłam wczoraj.

- Stęskniłem się za tobą.

- Ja za tobą też. Chciałbyś zjeść jutro ze mną lunch?

- Lunch? Tak, oczywiście.

- A gdzie?

Gdyby to zależało wyłącznie ode mnie, zabrałbym ją do jakiegoś miłego, skromnego indyjskiego lokalu, jak na przykład Kake da Dhaba¹¹¹, ale wiem, że takie rasowe panny wolą chodzić do fikuśnych restauracji, gdzie jedzą wszystko, tylko nie *dhal roti*. Łamię sobie głowę, ale jedyny lokal z nieindyjską kuchnią, jaki znam, to sklep na rogu niedaleko świątyni, w którym można zjeść tłusty *chow mein*.

¹¹¹ Kake da Dhaba - znana restauracja na Connaught Place w New Delhi, z indyjską kuchnią.

- Może gdzieś, gdzie dają chińszczyznę? - mówię niepewnie.

- Chińszczyznę? Lubisz chińszczyznę?

- To moje ulubione jedzenie.

- Moje też! - piszczy.

- To pójdźmy do najlepszej chińskiej restauracji w Delhi, w jakimś pięciogwiazdkowym hotelu.

- Ale to będzie kosztowało mnóstwo pieniędzy.

- Nie martw się o pieniądze. Ja funduję.

- Dobrze. W takim razie o pierwszej w House of Ming.

- Świetnie. Do zobaczenia o pierwszej.

Żeby się dowiedzieć, gdzie jest ten House of Ming, tracę pół godziny. Dopiero uczynny informator w biurze numerów naprowadza mnie na właściwy trop. Okazuje się, że House of Ming to droga chińska restauracja w Taj Hotel przy Mansingh Road.

Taksówka zatrzymuje się pod dachem portyku pięciogwiazdkowego hotelu. Jest za kwadrans pierwsza. Wsiadam. Mam na sobie koszulę safari od Van Heusena i lewisy. Portier o imponującym wyglądzie - biały uniform ze złotymi guzikami, kolorowy turban - wita mnie i otwiera szklane drzwi. Wchodzę do urządzonego z przepychem holu, z marmurową posadzką ułożoną w kunsztowne wzory. Na sofach siedzą elegancko ubrani mężczyźni i kobiety i rozmawiają przyciszonymi głosami. Słychać łagodne dźwięki muzyki. U sufitu wisi potężny żyrandol. W holu jest nawet sztuczna sadzawka, po której pływają kwiaty lotosu.

Przez kilka minut nie ruszam się z miejsca, onieśmielony widocznym wszędzie luksusem. Hostessa kieruje mnie do restauracji. W środku jest tłoczno i gwarno. Z drewnianego sufitu zwisają mosiężne lampy. Ściany są ozdobione wizerunkami smoków plujących ogniem. Wokół eleganckich prostokątnych stolików o blatach pokrytych miąką stoją czarne krzesła z wysokimi oparciami.

Kelnerka, skośnooka dziewczyna w obcisłej niebieskiej sukience w smoki, z dużym rozcięciem wita mnie wylewnie, w sposób zarezerwowany dla klientów, po których można się spodziewać hojnych napiwków. Prowadzi mnie do stolika w zacisznym kącie i podaje oprawione w skórę grube menu. Zerkam na ceny i oczy wychodzą mi na wierzch.

Ritu zjawia się punktualnie o pierwszej. Do drzwi restauracji odprowadzają ten sam co zwykle uzbrojony komandos, który następnie dyskretnie się wycofuje. Jest ubrana w błękitny salwar kameez ozdobiony delikatnym haftem. Widzę, że budzi zainteresowanie. Od sąsiedniego stolika rzucają w moją stronę zazdrosne spojrzenia jedzący lunch urzędnicy.

Siada naprzeciwko mnie, torebkę kładzie obok.

Przychodzi kelnerka, żeby przyjąć zamówienie.

- Na co masz ochotę? - pyta mnie Ritu.
- Na to, na co ty.
- Jadłeś już tu kiedyś?
- Tak, kilka razy.

- I co ci najbardziej smakowało?

Przez chwilę nie wiem, co powiedzieć, ale na szczęście przypomina mi się nazwa jedynej chińskiej potrawy, jaką znam.

- Kluski z maggi.

Ritu wybuchają śmiechem i zamawia dla nas jakieś zupy i jeszcze kilka potraw o dziwnych nazwach. Kiedy kelnerka odchodzi, zwraca się do mnie.

- Powiedz mi, Vijay, w jakiej branży pracujesz.

- Import, eksport. Już mówiłem.

- Tak, ale o jakie towary chodzi?

- Pudełka.

- Pudełka?

- Tak. Mam przy MG Road fabrykę pudełek.

- Świetnie. A gdzie mieszkasz w Mehrauli?

Na to pytanie jestem przygotowany.

- Przy Ramoji Road. W mieszkaniu z czterema sypialniami.

- A kogo masz tu z rodziny?

- Tylko matkę i siostrę.

- Siostra jest mężatką?

- Nie. Jeszcze nie. Ale dość już o mojej rodzinie. Teraz mi opowiedz o swojej.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko.

Patrzy na mnie na pół z rozpaczą, na pół błagalnie.

- Mogę to zrobić kiedy indziej?

- Czemu nie teraz?

- Bo nie mam ochoty. Ale obiecuję, Vijay, że jak cię poznam lepiej, powiem ci wszystko.

- Okej. - Wzruszam ramionami. - Jeśli tak wolisz.

Ritu dotyka mojej dłoni.

- Dziękuję ci za wyrozumiałość.

Kelnerka przynosi miski z wodnistym wywarem, w którym pływają jakieś oślizgłe woreczki.

- Zupa won-ton - oznajmia.
- To teraz powiedz, jakie są twoje ulubione filmy z Shabnam Saxena - prosi Ritu i zaczyna jeść.

Spokojnie, nie spiesząc się, jemy, rozmawiamy o różnych rzeczach, żartujemy, śmiejemy się, przekomarzamy, właściwie flirtujemy. Wspólnie popołudnie psuje rachunek na dziewięć tysięcy rupii z napiwkami. Najdroższy lunch w moim życiu. Ritu patrzy z uznaniem, jak odliczam dziewięć banknotów z nowego pliku tysiącrupiówek. Mam nadzieję, że w łóżku okaże się tych pieniędzy warta. Ale znowu krzyżuje moje plany. Płacę, a ona zbiera się do wyjścia.

- Muszę już iść, Vijay, bo inaczej rodzina zacznie coś podejrzewać.
- Nic mi nie powiedziałaś o rodzinie. Przyjaciele nie mają przed sobą tajemnic - protestuję.

Znowu dotyka mojej dłoni.

- Obiecuję, że niedługo wszystko ci powiem, Vijay.

Nie całuje mnie, nawet nie podaje mi ręki, ale w jej pożegnalnym spojrzeniu jest pragnienie i obietnica. Już się nie czuję rozczarowany. Wiem, że wcześniej czy później pójdzie ze mną na całość. To tylko kwestia czasu. *Bole toh*, dziewczyna połknęła haczyk!

Nie mogę wyjść ze zdumienia, że Ritu dała się tak łatwo oczarować. Te proste dziewczyny z prowincji są najbardziej łatwowierne. Jak już się odważą wyjść z domu, próbują sprawdzać, gdzie jest granica rodzicielskiej tolerancji. Patrzą na życie przez różowe okulary. Obejrzą na popołudniowym seansie „Miłość w Kanadzie” i od razu chcą własnego romansu w Mehrauli. Wystarczy, że jakiś uliczny Romeo ma hondeę hero, ciemne okulary i skórzaną kurtkę i już może je zdeflorować.

To właśnie mam zamiar zrobić. Na następnym spotkaniu.

Dziś szesnasty lutego. Jestem w slumsach Sanjay Gandhi, gdzie się pojawiła Barkha Das, żeby dla ITN zrobić „relację z terenu”. Takiego ożywienia nie widziałem od czasu, gdy Indie zdobyły Puchar Świata w rozgrywkach w krykieta Twenty20. Świątynia jest przejęta wiadomością

o uniewinnieniu Vicky'ego Rai. Moi znajomi ze slumsów mają takie smętne miny, jakby zamordowana Ruby Gill była ich przybraną siostrą. Na punkcie tej sprawy oszalały też media - każda stacja nadaje dyskusje na temat werdyktu, a pod domem Vicky'ego Rai stoi dziesięć vanów ITN. Droga do Number Six jest od wczoraj zakorkowana samochodami jadącymi jak na paradzie zwycięstwa. Klaksony trąbią, członkowie Ludowej Partii Dobrobytu wymachują czerwono-zielonymi partyjnymi flagami i krzyczą „Niech żyje Jagannath Rai!” i „Niech żyje Vicky Rai!”. Nad wjazdem do posiadłości Vicky'ego Rai zbudowano wielki łuk, a na nim umieszczono plakaty przedstawiające Jagannatha Rai z wyborczym uśmiechem na ustach.

Prawdę mówiąc, nie rozumiem zamieszania wokół uniewinnienia Vicky'ego Rai. Ten kraj zachowuje się tak, jakby był on pierwszym bogatym facetem, któremu morderstwo uszło tu na sucho. Jednak nawet ja nie potrafię sobie odmówić zobaczenia Barkhi Das. Wokół niej tłoczy się kilkaset osób. Gapią się na twarz, którą codziennie widzimy w telewizji. Przyszła nawet matka, zwabiona sławą reporterki. Patrzy z podziwem na jej nieskazitelną cerę i nieodłączną kamizelkę, tym razem włożoną do czarnych spodni i białej bluzki.

Barkha ma w rękę puchaty mikrofon.

- Proszę mi powiedzieć, co państwo myślą o wyroku w sprawie o morderstwo Ruby Gill - mówi, nie zwracając się do nikogo konkretnego, i badawczym wzrokiem lustruje tłum. Pierwszy chętny do odpowiedzi to śniady młody człowiek z wielkim guzem na czole.

- Bardzo źle się stało. Ten wyrok oznacza, że dla biedaków nie ma sprawiedliwości - mówi oficjalnym tonem, jaki ludzie przybierają przed kamerą.

W tłumie stoi również zwariowany Shaka, jeden z moich kolegów, który chwali się, że pełni jakąś funkcję w partii komunistycznej. Nosi długie włosy, a na czole zawsze ma czerwoną bandanę. Barkha chce się zwrócić do kogoś innego, ale on jej wrywa mikrofon.

- Ten kraj zszedł na psy. Bogaci imperialiści bezkarnie łamią prawo. Wystrzelać ich wszystkich! Tylko rewolucja uratuje ten kraj. Tylko rewolucja. *Inquilab zindabad*¹¹²! - wykrzykuje i potrząsa pięściami nad głową.

¹¹² *Inquilab zindabad* - wyrażenie w języku urdu, które znaczy „Niech żyje rewolucja”. Było powszechnie używane przez rewolucjonistów, gdy w Indiach panowali Brytyjczycy.

Barkha Das patrzy na niego przez chwilę i odbiera mu mikrofon.

- Czy myślisz, *maaji*¹¹³, że potrzebujemy rewolucji? - pyta nagle moją matkę. - Matka cofa się, przestraszona, ale Barkha nie ustępuje. - Musisz odpowiedzieć, *maaji*.

¹¹³ *Maaji* - uprzejma forma zwracania się do starszej kobiety; *maa* znaczy w hindi „matka”.

- Rewolucja nie rozwiąże naszych problemów, *beti*¹¹⁴ - mówi matka do mikrofonu chropawym głosem. - Musimy ciężko pracować, robić w tym życiu dobre uczynki, żeby Bóg nam wybaczył nieprawości popełnione w przeszłym. Tylko wtedy odrodzimy się w następnym życiu bogaci.

¹¹⁴ *Beti* - córka.

Kręcę głowę. To zawsze był u nas w domu drażliwy temat. Matka wierzy w dobrą karmę i reinkarnację, ja tylko w przypadkowość narodzin i aktualność terażniejszości. A ten głupek Shaka też się myli. Rewolucji nie będzie. Bogaci mogą spać spokojnie. Nasze rewolucje trwają dopóty, dopóki nie zatęsknimy za następnym posiłkiem.

Właściwie nie powinienem tego wszystkiego mówić. Przecież sam dołączyłem do bogatych imperialistów. Dzięki pewnej teczce!

Ritu dzwoni następnego dnia rano, w jej głosie słychać lekkie zderwienie.

- Możemy się dzisiaj spotkać? W jakimś spokojnym miejscu i daleko stąd.

- Jest takie miejsce. Lodhi Garden. To na przeciwległym końcu miasta.

- Byłam w Lodhi Garden. Dobrze, spotkajmy się o drugiej.

Mam przecucie, że dzisiaj wreszcie zaliczę tę bogatą laskę. W miłym otoczeniu najbardziej znanego parku w Delhi.

Biorę taksówkę, jadę do Lodhi Garden i czekam przy wejściu. Ritu przyjeżdża motorikszą spóźniona o kwadrans. Ma na sobie różowe *salwar kameez*. Podobają mi się kolory, jakie wybiera, ale jeszcze bardziej podoba mi się to, że jest bez samochodu i ochroniarza. Dobry znak!

Lodhi Garden to wielka otwarta przestrzeń pełna grobowców i drzew. Jest znany jako miejsce dobre do dwóch rzeczy: biegania i całowania. Rano park jest pełen entuzjastów joggingu - widać ich wszędzie, jak biegają w przepoconych T-shirtach - popołudniami należy do zakochanych, którzy obściskują się w zakamarkach rozpadających się pomników, całują za krzakami, obmacują na stojących w odpowiednich miejscach parkowych ławkach.

O drugiej po południu park przypomina zoo dla nieszczęśliwie zakochanych. Widzę, że Ritu czuje się trochę nieswojo, patrząc na trwające wszędzie wokół publiczne okazywanie uczuć. W małym Lucknow takie pieszczące się pary trafiłyby pewnie od razu do aresztu.

- Może powinniśmy pójść do innego parku? - pyta, rzucając wokół wystraszone spojrzenia.

- To samo zobaczysz w każdym parku w Delhi - odpowiadam i delikatnie kieruję ją ku narożnej ławce, którą właśnie opuściła jakaś para.

Siadamy obok siebie. Ona jest ciągle podenerwowana, jakby się spodziewała, że zza najbliższego krzaka nagle wyskoczy ojciec. Staram się ją uspokoić.

- Nie martw się. Nie spotkasz tu nikogo z rodziny. O tej porze w parku są tylko zakochani.

Ritu się czerwieni, a ja ją biorę delikatnie za rękę. Nie opiera się ani mnie nie ośmiela. Wątpię, żeby pozwoliła się pocałować w publicznym miejscu, ale pora to sprawdzić. Nachylam się i lekko ją cmokam w

policzek. To właściwie nie jest pocałunek, tylko test. Natychmiast zakrywa twarz dłońmi, ale kiedy je rozchyłam, widzę nieśmiały uśmiech. Patrzę jej w oczy, mrugam do niej i znowu ją całuję, tym razem w usta. Odwzajemnia pocałunek. Czuję smak szminki, zapach perfum na jej skórze i odkrywam, że bogaci nawet całują inaczej. Ciepły, wyważony pocałunek Ritu jest całkiem inny niż ośliniony kaganiec, jakim mnie zwykle obdarzały dziewczyny *mohalla*. Miły dreszcz, który czuję w ustach, rozchodzi się po całym ciele, rozwiewa wszelkie wątpliwości i wywołuje ekscytujące poczucie sukcesu.

- Kocham cię, Ritu - mówię z poważną miną bohatera romantycznego.

- Ja też cię kocham, Vijay - szepcze Ritu, a ja mam ochotę wstać i złożyć jej ukłon. Nie dlatego, że pierwszy raz w życiu mi się zdarza, żeby dziewczyna mi to powiedziała. Słyszałem już mnóstwo czułych słów, ale mówiły je ciemne dziewczyny ze slumsów Sanjay Gandhi pachnące tanim pudrem i bordine¹¹⁵. Jednak usłyszeć takie słowa z ust jasnoskórej, smukłej ślicznotki, która jeździ mercedesem pod ochroną komandosa, to całkiem co innego. Postanawiam zaryzykować.

¹¹⁵ Bordine - tania maść antyseptyczna sprzedawana w Indiach bez recepty.

- Chodźmy w jakieś bardziej ustronne miejsce - mówię i podnoszę się z ławki.

- Dokąd?

- Znam takie jedno.

Nie protestuje, kiedy ją prowadzę na postój taksówek. Stać mnie na to, żeby ją zabrać do któregoś z tych luksusowych pięciogwiazdkowych hoteli, ale tam zadają zbyt wiele pytań i mogłaby się wystraszyć. Lepiej pojechać do jakiegoś taniego, przeciętnego hotelu, gdzie recepcjonista się nie czepia, a pokoje wynajmują na godziny.

- Do Paharganj - mówię kierowcy.

Decent Hotel stoi w jednym z wąskich zaułków Paharganj, niedaleko stacji kolejowej. Jest to szary, wyblakły, czteropiętrowy budynek z popękanym szyldem. Szybko się okazuje, że jedyną rzeczą, jaka może wzbudzać do niego zaufanie, jest jego nazwa¹¹⁶. W recepcji są zapleśniale ściany i panuje atmosfera udawanej wesołości. Gońcy hotelowi lustrują Ritu i mnie od stóp do głów i zaczynają konferować. Rozmawiają szeptem, jakby coś przeciwko nam knuli. Kiedy proszę o pokój, recepcjonista łypie na mnie porozumiewawczo.

¹¹⁶ *Decent* (ang.) - przyzwoity, porządny (przyp. tłum.).

- Godzina czy cały dzień? - pyta.
- Godzina - mówię, a on szybko bierze moje pięćset rupii i wręcza mi ciężki klucz.

- Pokój czterysta czternaście, czwarte piętro. Winda jest za rogiem.

Wprowadzam Ritu do windy i widzę jej rosnące zakłopotanie. Pokój czterysta czternaście to sam koniec korytarza; po wyścielającym go wytartym czerwonym dywanie biegają karaluchy. Zaczynam żałować, że się zdecydowałem na tę norę, ale już za późno, żeby się wycofać. Jednak kiedy otwieram drzwi, czuję się mile zaskoczony - pokój jest skromnie urządzony, lecz schludny. Na dużym podwójnym łóżku leży gładkie białe prześcieradło, a na nim pękate poduszki. Ściany w kolorze pastelowego różu pasującego do sukienki Ritu są ozdobione oprawionymi w ramki zdjęciami przedstawiającymi widoki Delhi. W głębi stoi drewniane biurko i krzesło. Czerwone zasłony na oknach wyglądają na zupełnie nowe i są zrobione z grubego materiału, ale nie tłumią dobiegających z zewnątrz dźwięków ulicznego ruchu i handlu. W powietrzu unosi się nikły zapach różanych perfum, być może używanych przez poprzednich gości albo rozpylonych przez personel hotelu, żeby było romantycznie. Ukoronowaniem wszystkiego jest jednak paczka kondomów Nirodh¹¹⁷ pozostawiona dyskretnie na dolnej półce szafki przy łóżku.

¹¹⁷ Nirodh - marka bardzo tanich kondomów produkowanych przez rząd Indii.

Zamykam za sobą drzwi i biorę Ritu w ramiona. Chętnie pozwala mi się objąć, ale jest trochę sztywna. Kiedy ją całuję w usta, tym razem łapczywiej, lekko się krzywi.

Moje dłonie wślizgują się pod jej *chunni*, wędrują w dół po plecach. Przez cienką tkaninę *kameez* czuję gorącą skórę. Rozpinam guziki i przez głowę ściągam z niej bluzkę. Gdyby nie biały koronkowy stanik, byłaby od pasa w górę naga. Ten widok jeszcze bardziej mnie rozpala. W tym momencie Ritu robi dziwną rzecz. Nie próbuje mnie powstrzymać, nie zasłania wstydliwie piersi, tylko po prostu zaczyna szlochać. Poznałem już dość dziewczyn, żeby podejrzewać, że jej łzy to nie tyle oznaka protestu, ile prośba o ostrożność - bo to pewnie jej pierwszy raz - jednak czuję się poruszony. Wiem, że mogę zignorować tę drobną przeszkodę i kontynuować podbój, ale Ritu wygląda na taką bezbronną, jej twarz jest taka szczerą, że moje rozszalałe pożądanie zaczyna mi się wydawać prymitywne, wulgarne. Gdybym ją wykorzystał, byłoby to tak samo godne potępienia, jak zabranie monety ślepemu żebrakowi. Ścieram więc palcami łzy z jej policzków i podaję *kameez*. Potem, już całkiem ubrani, siadamy na łóżku i tylko trzymamy się za ręce. Nie wiem, jak długo tak siedzimy, ale zaczyna we mnie zachodzić dziwna zmiana. Moje oczy przestają widzieć ostro. Nie widzę łóżka, szafki, ścian, obrazków. Moje uszy nie rejestrują dźwięków. Nie słyszę klaksonów riksz, krzyków sprzedawców owoców, krakania wron. Zegar odmierza sekundy, ale ja czuję tylko lekkie drżenie skóry i walenie serca. Patrzę w wilgotne oczy Ritu i jest mi tak, jakby w ich lśniącej głębi mieścił się cały świat.

Rozlega się natarczywe pukanie i czar pryska.

- Czas minął, proszę pana.

Spoglądam na zegar i nie mogę uwierzyć, że jesteśmy tu już tak długo. Szybko podnoszę się z łóżka i otwieram drzwi. Recepcjonista ma przepaszającą minę, na widok pokojówki ze świeżym prześcieradłem wracam do rzeczywistości. Słyszę windę. Na korytarzu pojawia się para w średnim wieku, prawdopodobnie kolejni potrzebujący pokoju na

godzinę. Mężczyzna, ubrany jak biuralista, szczerzy do mnie zęby w uśmiechu; kobieta, tęga, lecz w modnych spodniach i bluzce, chichocze jak nastolatka. Kiedy ich mijamy, na jej twarzy widać nieskrywane pożądanie.

Spotkanie z tą napaloną parą wywołuje we mnie uczucie wstydu, ale Ritu ściska mi dłoń inaczej niż wcześniej - gorąco i zaborczo.

Gdy wychodzimy z hotelu, zapada zmrok, otulając wszystko szarym, mglistym światłem. Spokojny popołudniowy pomruk ulicy ustępuje miejsca wieczornej kakofonii - hałasowi klaksonów, rykowi silników.

- Jestem spóźniona - niepokoje się Ritu. - Muszę natychmiast wracać, bo inaczej Ram Singh zacznie mnie szukać.

- Kiedy się znowu zobaczymy?
- Nie wiem. Dziś wracam do Lucknow.
- Jak ja tu bez ciebie wytrzymam? - wykrzykuję.
- Miłość się nie kończy tylko dlatego, że się nie można widzieć.
- Powiedz chociaż, kiedy znowu przyjedziesz do Delhi.
- Za trzy tygodnie, akurat na swoje urodziny.
- Urodziny? Kiedy masz urodziny?
- Dziesiątego marca.
- Więc muszę ci dać prezent.
- Już dostałam od ciebie prezent.
- Jak to? - pytam zdziwiony. - Nic ci nie dałem.

Ritu się uśmiecha.

- Dałeś mi najlepszy z prezentów. Szacunek. Do zobaczenia niedługo, Vijay. - Delikatnie ściska mi rękę na pożegnanie i wsiada do rikszy.

Kiedy riksza odjeżdża, ciągnąc za sobą pióropusz spalin, smutek ściska mi serce z taką siłą, że mam ochotę się rozplakać. Uświadamiam sobie, że przyjechałem do Paharganj jako chłopak szukający łatwej przygody, a wyjeżdżam jako zakochany po uszy mężczyzna.

Tej nocy męczą mnie sny o Ritu. Początkowo obiekt pożądania, na pozór nieiszczalne marzenie, z czasem staje się dziewczyną z krwi i kości. Jednak aż za dobrze zdaję sobie sprawę z tego, ile nas dzieli. Jest

córką potentata przemysłowego z wysokiej kasty, a ja niekrzesanym synem świątynnej sprzątaczką. Przepaść między nami jest tak wielka, że przekroczyć ją mogę tylko w snach. Ale budzę się i na myśl o tym, że kocham Ritu z wzajemnością, odzyskuję pewność siebie. Jak mówią piosenki z hinduskich filmów, *pyaar*¹¹⁸ nie zna granic. Nasza miłość pokona przepaść. Przy odrobinie pomocy ze strony pewnej czarnej teczki.

¹¹⁸ *Pyaar* - miłość.

Postanawiam, że trzy tygodnie do powrotu Ritu do Delhi wykorzystam do tego, żeby stać się jej wartym. Zaczynam chodzić na prywatne lekcje do nauczyciela angielskiego. Rozmawiam z agentem handlu nieruchomościami o wynajęciu przy Ramoji Road mieszkania z czterema sypialniami. Odwiedzam fabrykę pudełek przy MG Road, żeby się zapoznać z jej funkcjonowaniem. A potem postanawiam, że kupię jej prezent na urodziny. Pierścionek zaręczynowy z brylantem. To chyba najlepszy sposób, żeby pokazać jej rodzinie, z kim mają do czynienia, i przypieczętować nasz związek.

Idę do eleganckiego salonu jubilerskiego przy Janpath, rozsiadam się w klimatyzowanym komforcie, a ekspedientka w różowym topie pokazuje mi jeden wspaniały pierścionek za drugim. Błyszczące brylanty różnią się kształtem i wielkością, niektóre są jak ziarenko soli, niektóre jak pinezka, ale każdy jest nieprzyzwoicie drogi. Najtańszy w tym sklepie pierścionek z brylantem kosztuje pięćdziesiąt tysięcy rupii. Niepokoi mnie to, że podobnych pierścionków, błyszczących tak samo wspaniale, jest mnóstwo w pobliskich sklepikach i można je kupić już za pięćset rupii.

- To cyrkonie, proszę pana - ekspedientka chichocze - fałszywe brylanty. Pod mikroskopem różnicę widać natychmiast.

Przez chwilę mam ochotę kupić pierścionek z fałszywym brylantem. Bo czy to nie głupota wyrzucać tyle pieniędzy na kawałek kamyka? Ritu przecież nie będzie go badać pod mikroskopem. Ale już w następnym momencie karczę się za to, że myślę jak chłopak ze slumsów, i wybieram jednokaratowy, za sto dwadzieścia tysięcy rupii. Płacę gotówką, każę

go elegancko zapakować jako prezent, a potem dzwonię do Ritu na komórkę.

- Mam dla ciebie w prezencie niespodziankę. Możemy się spotkać dziesiątego marca?

- Wtedy przyjeżdżam do Delhi. Rodzina nie pozwoli mi wyjść w dniu urodzin.

- Strasznie mi zależy, żebyśmy się spotkali. W Parku Nehru o trzeciej?

- Będzie mi bardzo trudno, ale zrobię, co się da.

Dziesiątego marca jadę do Parku Nehru z najkosztowniejszym prezentem, jaki komukolwiek dałem w życiu. Ręce mi się lepią od potu. Ritu zjawia się punktualnie. Jest sama. Siadamy na ławce w zacisznym miejscu pod rozłożystym drzewem.

Z kieszeni koszuli wyjmuję paczuszkę z pierścionkiem i delikatnie wkładam ją Ritu w dłoń.

- Rozpakuj - mówię. Spod złotego papieru ukazują się czerwone aksamitne pudełeczko i Ritu powoli je otwiera. Spodziewam się, że skrzący się brylant ją olśni i na jej twarzy pojawi się wzruszenie i radość, tymczasem widzę ból i smutek.

- To wygląda jak pierścionek zaręczynowy - mówi zaskoczona.

- To jest pierścionek zaręczynowy. Wyjdiesz za mnie, Ritu?

- Ale ja już jestem zaręczona - szepcze.

- Co?

- Tak. Ojciec kazał mi się zaręczyć z Kunwarem Inderem Singhem, następcą tronu z książęcego stanu Pratapgarh. Udało mi się odłożyć ślub do skończenia studiów, ale zaręczynom zapobiec nie mogłam.

- Więc nie chcesz wyjść za tego człowieka?

- Nie cierpię Indera. W Lucknow tak mi się naprzykrzał, że przyjechałam do Delhi do brata. Kocham cię, Vijay, ale nie mogę za ciebie wyjść. Jeśli się sprzeciwię ojcu, on zabije nie tylko mnie, ale także ciebie. Dlatego nie mogę przyjąć pierścionka. - Zamyka aksamitne pudełko i mi je oddaje.

Zaciskam wargi.

- Chyba pora, żebyś mi opowiedziała o rodzime.
- Też tak myślę. - Nabiera głęboko powietrza. - Jestem córką Jagannatha Rai.

Czuję, jak po plecach przebiega mi dreszcz.

- Coś podobnego! Ministra spraw wewnętrznych Urtar Pradeś? Tego strasznego szefa mafii?

- Właśnie jego - mówi cichym głosem.
- To gdzie tu mieszkasz? W jakimś rządowym hotelu?
- U brata w Mehrauli. W Number Six.
- Więc jesteś siostrą Vicky'ego Rai?
- Znasz go?
- Kto go nie zna? Wszyscy wiedzą, że zamordował Ruby Gill i uszło mu to na sucho.

- Pogodziłam się z tym wyrokiem - mówi z goryczą. - Ale nie mogę znieść atmosfery triumfu, jaka panuje w naszym domu. Robi mi się od tego niedobrze. Wstyd mi, że należę do takiej rodziny.

- Wygląda na to, że nie jesteś w dobrych stosunkach z ojcem i bratem.

- Nigdy nie byłam. W naszej rodzinie są dwa obozy. Matka i ja to jeden, ojciec i brat - drugi, i wciąż toczy się między nimi wojna. Oczywiście górą są zawsze mężczyźni. - Zwiesza głowę, z kącika oka wypływa jej łza.

Scałowuję tę łzę z jej policzka.

- Możesz dodać do swojego obozu jeszcze jedną osobę. Zawsze będę za tobą.

- Więc chcesz, żebyśmy pozostali przyjaciółmi, Vijay?

Teraz ja głęboko nabieram powietrza. Po jej wyznaniu czuję, że też się powinienem całkiem przed nią odkryć.

- Muszę ci powiedzieć prawdę, Ritu. A później to ja cię zapytam, czy chcesz się ze mną przyjaźnić.

- Nie mów zagadkami.
- Już nie będę. Oto prawda. Nie jestem Vijay Singh. Mam na imię

Munna. Nie jestem thakurem. Nie mam mieszkania z czterema sypialniami. Mieszkam w klitce na terenie świątyni Bhole Nath, gdzie moja matka jest sprzątaczką. Wcześniej mówiłem ci same kłamstwa. Ale tylko dlatego, że cię kocham do szaleństwa i nie chciałem cię stracić.

Ritu kurczy się w sobie, jakbym jej zadał fizyczny ból. Milczy długą chwilę, a potem podnosi głowę i patrzy mi w oczy.

- Domyślam się, że fabryki pudełek też nie masz. Czym się pan naprawdę zajmuje, panie Munna, oprócz kłamania i oszukiwania? - pyta oskarżycielskim tonem i zaciska pięści.

Zastanawiam się, czy powiedzieć Ritu o swojej karierze złodzieja komórek, i dochodzę do wniosku, że lepiej nie. Miłość może oślepiać, ale nie ogłupia. Muszę powiedzieć prawdę o rodzinie, bo ktoś taki jak Jagannath Rai natychmiast by przejrzał oszustwo, ale nawet on nie wie o teczce. Mam jednak przygnębiające uczucie, że moja przygoda miłosna zaraz się skończy. Żeby Ritu odzyskała do mnie zaufanie, nie wystarczy nawet pełna teczka pieniędzy.

- Jestem kierownikiem w fabryce pudełek - mówię ze spuszczo-nymi oczami.

- To skąd wzięłeś dla mnie pierścionek z brylantem? Ukradłeś?

Skoro postanowiłem nie mówić o teczce, mam tylko jedno wyjście. Żeby udowodnić, że moja miłość jest prawdziwa, muszę sfałszować brylant.

- To nie jest brylant, tylko cyrkonia. Na więcej nie było mnie stać.

Ritu znowu zaciska pięści. Widzę, że wzbierają w niej emocje. W hinduskich filmach w takim momencie bohaterka wstaje i policzkuje nieuczciwego bohatera. Mrużę oczy, spodziewając się, że Ritu zrobi to samo, ale dzieje się coś zupełnie niespodziewanego. Zamiast dać mi w twarz, Ritu chwyta mnie za rękę.

- Poświęciłeś ciężko zarobione pieniądze, żebym była szczęśliwa? I ten lunch w pięciogwiazdkowej restauracji... Żeby zrobić na mnie wrażenie, pewnie wydałeś całą pensję.

Kiwam głową, a w jej oczach znowu pojawiają się łzy.

- Cieszę się, że mi powiedziałeś prawdę, Munna - mówi łamiącym się głosem. - Nie przeszkadza mi, że ktoś jest biedny, ale nie znoszę fałszu. - Patrzy mi w oczy. - A to moja odpowiedź na pytanie, czy chcę, żebyśmy nadal byli przyjaciółmi. - Całuje mnie w policzek i bierze pudełeczko z pierścionkiem.

Nie wiem, czy za taki obrót sprawy mam dziękować Bogu, czy Bollywoodowi. Romans bogatej dziewczyny i ubożego chłopaka to tradycyjny temat hinduskich filmów. Czy Ritu Rai nie jest czasem zafascynowaną gwiazdami filmowymi nierozważną dziewczyną, którą kręci flirt z biedakiem? Przychodzi mi też na myśl, że może robi film dokumentalny o życiu w slumsach, jak Nandita Mishra. Jednak kiedy patrzę jej w oczy, nie dostrzegam ani odrobiny przebiegłości. Jest w nich tylko najprawdziwsza szczerłość. To mi sprawia wielką ulgę, czuję przyływ miłości, która uspokaja moje serce. Odwzajemniam pocałunek i obejmuję Ritu zapamiętałe, jakbyśmy na świecie byli tylko my.

Nasze uściski przerywa ktoś szarpiący mnie gwałtownie za ramię. Podnoszę głowę i widzę, że patrzy na mnie wściekłym wzrokiem wysoki mężczyzna z gęstymi, podkreconymi wąsami. To Ram Singh, ochroniarz Ritu.

- Dziecko! - grzmi stanowczym głosem zaufanego sługi. - Cała rodzina czeka w domu z tortem urodzinowym, a ty się tu zabawiasz? Gdyby cię w takim stanie zobaczył Bhaiyyaji, nie uszłabyś z życiem. Natychmiast ze mną wracaj.

Ritu wrywa mi się z okrzykiem przestachu i wstaje z ławki. Ram Singh łapie ją za rękę i ciągnie na parking. Ona nie ma odwagi nawet się obejrzeć.

Siedzę i się zastanawiam, jak daleko sięga władza jej ojca. Jeśli Ram Singh może wzbudzić taki strach, jak by to było stanąć oko w oko z Jagannathem Rai? Co brzydkiego mi robi, kiedy się dowie, jakie brzydkie rzeczy robiłem z jego córką? Jedyna nadzieja, że skoro gangsterzy, którym ukradłem teczkę, nie mają o mnie pojęcia, to i Jagannath Rai nie zdoła wpaść na mój trop.

Wracam do świątyni. Champi jest na swoim zwykłym miejscu i gawędzi z jakimś ciemnoskórym nieznajomym. Podchodzę do drzewa *gulmohar*. Mężczyzna siedzący na ławce to najdziwniej wyglądający człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałem. Ma najwyżej metr pięćdziesiąt i jest czarny jak węgiel, niczym Murzyni z filmów tańczący z bohaterką w nocnym klubie, ubrani w przepaski z lamparciej skóry, wyśpiewujący jakieś hugu bugu i potrząsający dzidami.

- Kto to był ten obcy, z którym rozmawiałaś? - pytam Champi na drugi dzień rano.

- Mój znajomy. Mieszka tu obok. Jak on wygląda, Munna?

Jej twarz jest pełna oczekiwania, jakby moja odpowiedź miała być potwierdzeniem tego, co Champi już zobaczyła w wyobraźni. Na policzkach ma taki sam rumieniec zawstydzenia, jaki widziałem u Ritu. Nagle sobie uświadamiam, że Champi chyba jest gotowa się w tym autochtonie zakochać. Z powodu jej brzydoty taka możliwość jakoś nigdy mi dotychczas nie przyszła do głowy. Teraz widzę, jaki byłem samolubny i gruboskórny.

- Jak on wygląda? - powtarza Champi.

- Jest wysoki, śniady i bardzo przystojny - odpowiadam, a na twarzy Champi pojawia się uśmiech. Nie powiem, że jej Romeo to czarny karzeł wyglądający jak klaun.

Zaczyna się tydzień największego niepokoju w moim życiu. Ritu nie dzwoni, jej komórka jest wyłączona. Nie mogę spać, wyobraźnia podsuwa mi złowieszcze obrazy. Moje przeczucia okazują się usprawiedliwione. Siedemnastego marca dzwoni rozgorączkowana Malini, przyjaciółka Ritu poznana w klubie.

- Munna, Ritu musi się z tobą spotkać. Ledwie mi się udało ściągnąć ją do siebie. Możesz zaraz przyjechać na West End?

Zapisuję adres i pędzę na postój. Malini mieszka na przedmieściu, w małej willi wśród zieleni. Otwiera drzwi i prowadzi mnie do pokoju. Jestem wstrząśnięty jak nigdy dotąd: Ritu idzie w moją stronę, kulejąc; wygląda jak jedna z tych maltretowanych żon, które pokazują w

telewizji. Na czole, brodzie i pod oczami ma siniaki, na policzkach pręgi.

- Kto ci to zrobił? - krzyczę.

- W dniu moich urodzin w domu była wielka kłótnia. Ram Singh powiedział o naszym romansie. Ojciec groził, że mnie zastrzeli, ale pobił mnie Vicky.

Czuję narastającą wściekłość.

- Jak on śmiał?! - kipię gniewem. - Ja go zabiję.

- Teraz mam zakaz wychodzenia z domu, a komórkę mi skonfiskowali - ciągnie Ritu. - Na szczęście przyjechała do mnie dzisiaj Malini i udało jej się mnie tu zabrać. Chciałam cię ostrzec. Bądź bardzo ostrożny. Twoje życie może być w niebezpieczeństwie.

- A twoje? Ci rzeźnicy są zdolni do tego, żeby cię zabić.

- Los kobiety to cierpienie. Ale przynajmniej podjęłam jedną odważną decyzję. Powiedziałam ojcu, że choćby miał mnie zabić, nie wyjdę za Kunwara Inderà Singha. Ten związek ojciec zaaranżował tylko ze względu na swoje plany polityczne. Nie zostanę pionkiem w jego nieczystej grze.

- Więc wyjdź za mnie.

- Rodzina nigdy mi na to nie pozwoli. - Ritu powoli kręci głową. - Ale powiedziałam im jasno, że za nikogo innego też nie wyjdę.

- To wyjdź za mnie wbrew woli rodziny. Możemy zaraz iść do świątyni. Jak będziemy małżeństwem w świetle prawa, twój ojciec nie na to nie poradzi. Policja nas ochroni.

Ritu śmieje się sarkastycznie.

- Widziałam, jak policjanci się trzęsą na sam dźwięk jego nazwiska. Pierwsi by mnie do niego zaciągnęli.

- Więc jakie mamy wyjście, Ritu?

- Nie mamy żadnego. W książkach piszą, że w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone, jednak na własnej skórze się przekonałam, że nie. Nasza miłość jest zakazana.

- Tylko dlatego, że należysz do wysokiej kasty, a ja nie? Nie zgadzam się z tobą. Czterdzieści lat temu na moją matkę i na mnie mówiono

by niedotykalni i nie wolno by nam było wejść do świątyni. Dzisiaj matka nie tylko tam pracuje, ale nawet mieszka. I nikt się nie odważy nazwać nas niedotykalnymi.

- Zobaczylbyś, co by się stało, gdyby przyszła do naszego domu z twoją propozycją małżeństwa.

- Co by się miało stać? Najwyżej twoja rodzina powiedziała by nie.

- Nie bądź naiwny, Munna. Wiesz, co zrobili temu biednemu chłopakowi muzułmaninowi, który się odważył ożenić z córką przemysłowca z Kalkuty¹¹⁹. Zabili go.

¹¹⁹ Ritu ma na myśli Rizwanura Rahmana, który rzekomo został zamordowany za małżeństwo z Priyaną Todi, córką znanego przemysłowca z Kalkuty.

- Ale ja nie jestem muzułmaninem.

- To przeczytaj tę relację. - Wyjmuje z torebki pognieciony wycinek z hinduskiej gazety.

- Co tam piszą?

- Piszą, że w Urtar Pradeś powieszono dwoje zakochanych, bo należeli do różnych kast. Dziewiętnastoletni Pritam i osiemnastoletnia Sonu zostali po kolei powieszoni pod dachem domu w ich wiosce. On był braminem, ona należała do niższej kasty. Wieszaniu tej pary przyglądały się setki ludzi. A najbardziej makabryczne jest to, że rodzice chłopca i dziewczyny nie tylko zaaprobowali karę, ale patrzyli, jak ich dzieci zawisły na prowizorycznej szubienicy. - Ritu aż dygoce.

- Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobią. I tak chcę się z tobą ożenić.

- Ale mnie obchodzi, Munna. Jeśli Vicky mógł tak potraktować mnie, swoją siostrę, to pomyśl, co mógłby zrobić tobie.

- Przesadzasz. - Macham ręką. - Nie boję się Vicky'ego Rai.

W tej samej chwili dzwoni moja komórka. To mnie dziwi, bo numer zna tylko Ritu. Naciskam guzik i słyszę nieznanomy głos.

- Słuchaj uważnie, skurwysynu. Nazywam się Vicky Rai, a ty się odważyłeś spojrzeć na moją siostrę Ritu. Połamię ci wszystkie kości, zarżnę cię jak świnię i twoim ściervem nakarmię swoje psy. Rozumiesz?

Rozłącza się, a ja czuję, że w pokoju zrobiło się znacznie chłodniej. Ritu nie słyszała, co mówił, ale po mojej minie natychmiast się domyśla, kto dzwonił.

- To był mój brat, prawda?

- Tak - odpowiadam, jeszcze nie otrząsnąwszy się z szoku. - Skąd on wziął mój numer?

- Na pewno z mojej komórki. Co powiedział?

- Że mnie zabije.

- O Boże! - Ritu chowa twarz w dłoniach. Przez kilka minut w pokoju panuje cisza. Potem podnosi głowę, a ja widzę na jej twarzy wyraz determinacji. - Teraz mamy tylko jedną możliwość. Musimy uciec - oznajmia.

- Zgoda - mówię i ściskam jej rękę. - Musimy razem myśleć o naszej przyszłości.

- Ale jak sobie poradzimy? W ogóle nie mam pieniędzy.

- Ja mam dość dla nas obojga.

- Ile?

- Dużo więcej, niż przypuszczasz. Obiecuję, że niczego ci nie zabraknie.

- Dokąd uciekniemy?

- Dokąd zechcesz. Wybierz jakieś miasto.

- Zawsze mnie ciągnęło do Bombaju.

- Mnie też. Chodźmy od razu na dworzec i jedźmy.

- Nie. Jeśli tak zrobimy, Malini będzie miała wielkie kłopoty.

- Więc kiedy?

- Niedługo będzie doskonała okazja. Dwudziestego trzeciego marca Vicky wydaje wielkie przyjęcie, żeby uczcić uniewinnienie. W domu będzie prawie pięćset osób, więc w tym rozgardiaszu na pewno uda mi się wymknąć. Czekaj na mnie przy służbowym wejściu do Number Six. Ono jest przy bocznej drodze prostopadłej do głównej ulicy. Wyjdę punktualnie o jedenastej. Pojedziemy taksówką na dworzec i uciekniemy do Bombaju.

- Świetnie. Kupię wcześniej bilety.

Układ zawarty. Wiem, że wkrótce zacznie się nowy etap mojego życia. Przyszłość, dotąd niepewna, wydaje się nabierać określonego kształtu. Nie mogę się doczekać, kiedy zamieszkać w Bombaju. Mówią, że to jest miasto jak z bajki. Ze z dnia na dzień można tam z bezdomnego stać się gwiazdą filmową albo przemysłowcem. Kto wie, co Bombaj ma w zanadrzu dla mnie.

Po powrocie do świątyni kusi mnie, żeby pójść do sanktuarium i paść na twarz przed Sziwą. To chyba odpowiednia okazja, by zakończyć sprzeczkę z Bogiem i postarać się o jego błogosławieństwo. Nawet wchodzi na marmurowe schody. Miłość Ritu sprawiła, że hollywoodzkie piosenki zaczęły mi się wydawać prawdziwe. Zacząłem wierzyć, że mimo wszystko sprawiedliwość jest na świecie możliwa. Jednak powstrzymuje mnie cichy głos, który słyszę w głowie. Gdzie był Bóg, gdy wieszano tamtych młodych kochanków? Czy nie mógł zapobiec morderstwu? A może sam był milczącym obserwatorem tej okropności?

Idę na dworzec do kasy przedsprzedaży i kupuję dwa bilety pierwszej klasy. Dwudziestego czwartego marca o piątej trzydzieści pociąg Punjab Mail odjedzie z Delhi i zawiezie Ritu i mnie bezpośrednio na główny dworzec Bombaju.

Zastanawiam się, co zrobić z matką i Champi. Champi wydaje się zauroczona autochtonem. Co dzień widzę, jak siedzi na ławce i z ożywieniem z nim gawędzi. I chyba pierwszy raz słyszę, jak się śmieje na całe gardło. Nie będę jej żałował tej chwili szczęścia. Czuję, że czas porozmawiać o moim planie z matką.

- Za trzy dni jadę do Bombaju - mówię.
- Tak nagle? W związku z pracą?
- Nie. Prawdę mówiąc, żenię się.
- Ach! A z kimże to, jeśli mogę spytać?
- Ma na imię Ritu.
- I mieszka w Bombaju?
- Nie, w Delhi. W Mehrauli.

- Więc to jedna ze służących, które żyją w slumsach Sanjay Gandhi?

- To bezwartościowa hołota, nawet bym o nich nie pomyślał. Twoja przyszła synowa pochodzi z jednej z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin w kraju.

- Ty śniesz na jawie, Munna.

- Nie, matko. To prawda. Ritu i ja pobieramy się i przenosimy do Bombaju. Jak tylko się tam zainstalujemy, przyjadę po was. Wtedy Champi będzie mogła zostać zoperowana. A tobie się przyda dobrze zasłużony odpoczynek.

Matka natychmiast nabiera podejrzeń.

- Dlaczego jedziecie do Bombaju, skoro dziewczyna jest z Delhi? Uciekacie?

- Coś w tym rodzaju.

- Wiesz co, ty mi lepiej powiedz wszystko o tej Ritu. Kto jest jej ojcem? Co to za rodzina?

- Jej ojcem jest Jagannath Rai, minister spraw wewnętrznych stanu Uttar Pradeś. Przemysłowiec Vicky Rai to jej brat.

Matka zakrywa ręką usta.

- Nie... nie... nie - mamrocze.

- Zawsze mówiłaś, że jesteśmy biedni z powodu naszych uczynków w przeszłym życiu. Mnie się udało w tym życiu uniknąć losu, który mi przeznaczyła zła karma w poprzednim - chwalebę się, ale matka nie słucha. Teraz rozmawia ze swoimi bogami.

- Jak mogliście zrobić nam taki okrutny żart? - zwraca się do kalendarzy na ścianie.

- Jaki żart? Co ty mówisz, matko? - pytam.

- Ty nic nie wiesz, synu - odpowiada głosem pełnym udręki. - Vicky Rai to człowiek, który ci zabił ojca. Przejechał go, kiedy ojciec spał na chodniku.

Ziemia usuwa mi się spod nóg.

- Co takiego? Jesteś pewna?

- Żona nigdy nie zapomni śmierci męża. Od piętnastu lat mam tę

scenę przed oczami, jakbym oglądała film.

- I trzymałaś to przede mną w tajemnicy? Przecież był moim ojcem.

- Jagannath Rai kazał mi przysiąc, że będę milczała. Za to, że nie oskarżyłam Vicky'ego, dał mi pieniądze na ten dom i na twoją naukę.

Przeszłość ma niemiły zwyczaj - dopada człowieka niespodziewanie. Zawsze podejrzewałem, że za śmierć ojca matka dostała odszkodowanie od kierowcy, który go przejechał. Na szczęście nie wiedziałem, kto to był. Albo może celowo nie próbowałem wnikać w tę sprawę głębiej. Było mi wygodnie tłumaczyć sobie, że nasze życie musi się toczyć dalej, a ojciec nie wróci z tamtego świata. Ale teraz wrócił. Wrócił, a mnie się wydaje, że wybuchła bomba. W głowie mam mętlik. Czuję smutek, gniew, zakłopotanie.

- Może tak nam było pisane, matko - mówię po chwili zastanowienia.

- Co masz na myśli, Munna?

- Nie rozumiesz, że Bóg w ten sposób egzekwuje zemstę? Wiele lat temu Vicky Rai nas czegoś pozbawił, dziś my mu coś zabierzemy.

- Więc jednak masz zamiar się z nią ożenić?

- Ritu nienawidzi swej rodziny nie mniej niż ty. I bardzo się kochamy. Nawet ojciec by zaaprobował moją decyzję.

- Nie waż mi się mieszać do tego ojca. Boże - matka wybucha - pójdę do nich i zapobiegnę temu małżeństwu!

Zagradzam jej drogę.

- Nic takiego nie zrobisz. Jeśli Vicky Rai się dowie o naszych planach, zabije Ritu, a potem mnie. Chcesz naszej śmierci?

Matka przez chwilę patrzy na mnie z gniewem i wybucha płaczem.

W domu panuje nieprzyjemna cisza. Żadne z nas nie je kolacji. Matka siedzi nadąsana w swoim kącie, Champi ją pociesza. Ja leżę w łóżku i próbuję o niczym nie myśleć. Zasypiam dużo później i męczą mnie sny. Śni mi się ojciec w kałuży krwi i Vicky Rai roześmiany nad jego trupem.

Śni mi się Ritu leżąca bez ruchu na zimnej marmurowej podłodze, owinięta białym całunem. Śni mi się Lallan bity w policyjnym areszcie. Śni mi się, że ktoś mnie ciągnie za włosy, aż krzyczę z bólu. Otwieram oczy i widzę, że w pokoju jest trzech mężczyzn. Stoją wokół mnie. Nie wiem, jak zdołali otworzyć drzwi, ale wiem, że to nie jest sen.

- Obudź się, skurwysynu - słyszę głos i jeden z mężczyzn znowu mnie brutalnie szarpie za włosy. Siadam, ktoś zapala światło. Mogę się teraz przyjrzeć napastnikom. Jeden to łysy mężczyzna o potężnym karku ubrany w obcisłe dżinsy i biały T-shirt Reeboka. Drugi, w błyszczącej kremowej koszuli, jest bardzo niski. Trzeci, wysoki i dobrze zbudowany, z kędzierzawymi włosami i kwadratową twarzą, ma na sobie czarne dżinsy i czarną koszulę. Wyglądają na niebezpiecznych.

- Ty jesteś Munna Mobile? - pyta łysy.

To on mnie ciągnął za włosy.

- A bo co? - odpowiadam pytaniem na pytanie.

Łysy zwraca się do wysokiego.

- Powiedz mu, Brijesh.

- Ukradłeś z mojego samochodu komórkę. - Brijesh patrzy na mnie oskarżycielskim wzrokiem, a ja już wiem: to rzeczywiście jest facet, któremu z maruti esteem ukradłem nokię. Przeszłość znowu mnie dopadła.

Łysy uśmiecha się groźnie.

- Masz coś naszego.

- Mylicie się. Co może mieć taki biedak jak ja? - próbuję się wykić blefem.

Łysy strzela palcami i jego dwaj pomocnicy zabierają się do przeszukiwania pokoju. Patrzą na plakaty na ścianie, na metalową latarkę na stoliku, w końcu ich oczy zatrzymują się na materacu. Wypukłość w miejscu, gdzie leży teczka, jest wyraźnie widoczna.

- Wstawaj - mówi rozkazującym tonem niski. Wstaję, a on łapie materac za róg i jednym ruchem unosi do góry. Teczka wygląda jak czarna wyspa na oceanie kurzu.

- Co my tu mamy? - Łysy gwizdże, nachyla się i po nią sięga.

W rękę Brijesha nagle pojawia się pistolet.

W tej samej chwili z za przepierzenia wychodzi matka w swym spranym żółtym sari i kasztanowej bluzce.

- Kim jesteście? Co robicie w moim domu? - pyta groźnym głosem.

Łysy odsuwa ją bezceremonialnie.

- Lepiej nie pytaj, stara.

Matka jednak nie należy do tych, co się łatwo poddają.

- Zaraz dam wam, bandziory, nauczkę - syczy. Chwyta latarkę i wali łysego w pośladek, a jemu teczka wypada z rąk. Mimo swojej postury mężczyzna porusza się zwinnie niczym kot. Błyskawicznie obraca się na piętach i jednym ruchem wytrąca matce latarkę, a potem uderza ją pięścią w twarz i zwała z nóg. Matka unosi głowę i cicho płacze, z ust płynie jej krew. Kiedy próbuje się podnieść, Brijesh wali ją kolbą pistoletu w głowę. Krzyczę przerażony, bo matka pada nieprzytomna, choć to właściwie dobrze, ponieważ tego, co następuje później, by nie zniosła.

Łysy podnosi i otwiera teczkę. Zagląda do środka i sprawdza zawartość.

- Hm... Wygląda na to, że jest większość pieniędzy. Brakuje tylko kilku plików. No, to ci chyba uratowało życie, Munna Mobile. Ale za to, że nas okradłeś, i tak musisz zapłacić swoje.

- Co... co chcecie zrobić? - pytam i cofam się pod ścianę. Mój ochrypły głos brzmi nienaturalnie.

- Coś takiego, żebyśmy byli pewni, że już nigdy nie ukradniesz komórki. - Łysy szczyrzy zęby w uśmiechu i znowu strzela palcami.

Brijesh podaje mu pistolet i chwyta mnie za rękę. Wrywam się, próbuję uwolnić, ale jest za silny. Mały szykuje się do uderzenia, gdy nagle w pokoju dzwoni telefon. Bandyci spoglądają jeden na drugiego pytająco, w końcu łysy wyjmuje z kieszeni dzinsów motorolę, patrzy na ekranik i przyklada ją do ucha.

- Tak, szefie? - mówi i idzie do drzwi. Słyszę strzępy rozmowy. - Znaleźliśmy... Można powiedzieć, że nienaruszona... Teraz?... Okej, okej... Zostawię Brijesha i Natu... Proszę czekać, już jadę.

- To był szef - informuje łysy swych pomocników. - Kazał mi zaraz przywieźć teczkę. Zróbcie tu, co trzeba. Zobaczymy się jutro. - Celuje do mnie z pistoletu i udaje, że strzela. Otwiera drzwi i wychodzi. Po chwili słyszę warkot motocykla.

Brijesh wciąż trzyma mnie jak w imadle, ale przerażeniem napęlnia mnie najmniejszy z trójki, Natu.

- Widziałeś film „Sholay”? - pyta i zbliża twarz do mojej.

Czuję jego cuchnący oddech.

- Tak.

- Pamiętasz tę scenę, kiedy Gabbar¹²⁰ prosi Thakura, żeby mu dał ręce? Thakur odmawia, a Gabbar mu je odcina. Nie mam zamiaru cię prosić o ręce, ale poproszę o palce. O wszystkie dziesięć palców. Dasz mi je? - Uśmiecha się szeroko, ukazując krzywe zęby z plamami od betelu.

¹²⁰ W filmie „Sholay” Gabbar Singh to budzący grozę opryszek, a Thakur jest uczciwym funkcjonariuszem policji.

Po mokrych od potu plecach przebiega mi dreszcz. Natu chwytą mnie za przegub lewej ręki, łapie za palec wskazujący i zaczyna go wyginać do góry. Brijesh szybko wpycha mi do ust chusteczkę, tłumiąc mój krzyk. Skóra i kość naprężają się coraz bardziej, aż wreszcie staw pęka z trzaskiem podobnym do tego, jaki słychać, gdy pęka bąbelek w folii do pakowania. Mój lewy palec wskazujący opada w dół. Natu szczyrzy zęby i zabiera się do środkowego.

Jedyną dobrą stroną cierpienia jest to, że opróżnia mózg ze wszystkiego innego. Wypełnia go tak dokładnie, że uczucia miłości i nienawiści, zawiści i zazdrości nikną i człowiekowi pozostaje tylko męka, która wypełnia każdy por ciała, a potem jej miejsce zajmuje tępy ból. Gdy Natu łamie mój lewy kciuk, jestem już ponad cierpieniem, ale

wtedy zaczyna się strach. Do pokoju wchodzi Champi. Ma na sobie jasnozielone *salwar kameez* bez *chunni*.

- Co się dzieje, Munna? - pyta zaspianym głosem.

Brijesh spogląda na Champi i odwraca głowę. Widzę, że budzi w nim odrazę jej brzydota. Jednak Natu wygląda na zachwyconego.

- Ho, ho, kogo my tutaj mamy! - Patrzy na nią lubieżnie, a ona próbuje dostać się do mnie mimo zmienionej topografii pokoju.

- Kto to jest? Twoja siostra? - warczy Brijesh i wyjmuje mi chusteczkę z ust.

- Tak. Zostawcie ją w spokoju. Macie sprawę do mnie, nie do niej - mówię szybko, łapczywie nabierając powietrza. - A poza tym ona jest niewidoma.

- Niewidoma? - Natu zagląda Champi w oczy. - Coś mi się nie wydaje, żeby była niewidoma.

- Ale jest - mówię, starając się, żeby w moim głosie nie było słychać rozpacz.

- Okej, sprawdzimy - mówi Natu i klepie ją w lewą pierś. Champi wydaje pisk protestu i kręci głową, próbując zlokalizować dręczyciela. Natu klaszcze w dłoń. - A to numer. Ma twarde cycki. Zgadzasz się, Brijesh, żebym się trochę zabawił?

- Nie waż się tknąć mojej siostry. - Patrzę na Natu wściekłym wzrokiem i szarpie się z Brijeshem jak pies na smyczy. - Jak ją dotkniesz, zabiję cię, skurwysynu.

Natu wali mnie w twarz, a Brijesh znowu mnie knebluje, co tamten bierze za zachętę. Zakrywa usta Champi włochatą dłonią, a drugą rękę wsadza jej pod koszulę. Champi się wyrywa jak koza na chwilę przed zarżnięciem.

Przerażenia, podobnie jak bólu zęba, nie da się opisać. Można je tylko poczuć. Trzęsę się w uścisku Brijesha niczym kawał mięsa i patrzę na Champi, która zaraz zostanie zgwałcona.

Chciałbym, żeby ziemia się rozstąpiła i mnie pochłonęła, bo wiem, że za to wszystko ja ponoszę odpowiedzialność. Potrafię sobie wyobrazić, co się stanie z Champi, kiedy Natu jej to zrobi. Już jest ślepa, a teraz

stanie się też głucha i niema. Będzie całymi dniami siedziała w otępieniu na ławce i powoli się wachlowała. W nocy będzie krzyczeć przez sen. Do końca życia będzie miała koszmary. Takiego losu bym nie życzył najgorszemu wrogowi.

Przeżyłem dwadzieścia jeden lat, nie wierząc w Boga, ale w tej chwili stałem się wierzący. Zaczynam się modlić - do wszystkich bogów, jakich znam, i do nieznanych - i proszę tylko o jedno: żeby uratowali moją małą Champi. Pamiętam filmy, w których Bóg odpowiada na modlitwę i czyni cud, ale nie słyszę, żeby były dzwony świątyni, nie czuję, żeby się trzęsła ziemia.

Bezsilni szukają na koniec ratunku w odrzuceniu. Chociaż Natu już gmera przy pasku Champi *salwar*, jakiś głos powtarza mi w kółko w głowie: Ona nie jest moją SIOSTRĄ, ona NIE JEST moją SIOSTRĄ, ONA NIE JEST MOJĄ SIOSTRĄ... To bezwartościowa muzułmańska kurwa.

Nagle przed oczami staje mi obraz chłopaka wiszącego głową w dół w policyjnym areszcie i torturowanego przez Rzeźnika z Mehrauli. To Lallan. Jego też nie mogłem uratować. Ale jeśli on był mi bliższy niż brat, to Champi jest mi bliższa niż siostra. Więzy duchowe są silniejsze niż więzy krwi.

Jak ranny żołnierz, który jeszcze próbuje stawiać opór, zbieram wszystkie siły i kopię Natu w kolano. Zaskoczony, puszcza Champi, która z przeraźliwym wrzaskiem pada na podłogę. Natu wyjmuję z kieszeni łańcuch rowerowy, owija nim pięść i bierze zamach, żeby mnie rąbnąć w twarz. Próbuję się uchylić i żelazo uderza mnie w tył głowy. Wydaje mi się, że się otwierają drzwi, a potem się pogrążam w nieświadomość, która jest czarna, bezdenna i bardzo, bardzo pożądana.

Odzyskuję przytomność w szpitalnej sali. Lewą rękę mam w gipsie, z tyłu głowy czuję pulsujący ból. Sięgam tam ostrożnie, spodziewając się, że dotknę miejsca lepkiego od krwi, lecz pod palcami czuję miękką tkaninę. Widocznie mi to opatrzyli. Na sąsiednim łóżku leży matka, zajmuje się nią Champi, która ma na szyi czarny amulet.

- Co... co się stało? - pytam Champi półprzytomnie.
- Cud - odpowiada tajemniczo.

Przychodzi lekarz i mówi, że mam szczęście, że żyję.

- Doznał pan silnego wstrząsu mózgu. Wszystkie palce u lewej ręki ma pan złamane. Żeby się zrosły, muszą być unieruchomione w gipsie przez co najmniej sześć tygodni.

- Co z matką? - pytam.
- Będzie żyła - mówi i zaczyna czytać kartę wiszącą z boku łóżka.
- Jak długo jestem w szpitalu?
- Dwa dni.
- Ile muszę zapłacić?
- Nic - uśmiecha się. - To jest instytucja charytatywna. Wszystko tu jest bezpłatne, rezonans magnetyczny, rentgen, lekarstwa.
- Dziękuję - mówię. - Czy mogę już stąd wyjść?

Zignorowawszy ostrzeżenia lekarza i ostry ból głowy, wracam ze szpitala Dayawati do świątyni. Mój pokój wygląda, jakby przeszedł przezeń huragan. Nawet drewniany stolik jest w kawałkach. Z kieszeni kurtki od Benettona wydaję dwa bilety kolejowe pierwszej klasy i idę na dworzec, żeby je zwrócić. Już nie jadę do Bombaju. To też jest miasto blichtru, mające mercedesami i rezydencjami jak Delhi. Dobre tylko dla bogatych. W metropoliach nie ma miejsca dla biedaków. Choćbyś zarabiał na życie najuczciwiej na świecie, i tak mogą cię oskarżyć o kradzież i wtrącić do więzienia, tylko dlatego że jesteś biedny i bezsilny. Dopóki miałem teczkę pełną pieniędzy, byłem silny. Wiedziałem, że mogę się zaopiekować Ritu, spełnić marzenia. Nie ma teczek, nie ma marzeń.

Nagle życie wydaje mi się kruche i bezsensowne. Nie czuję specjalnego gniewu do moich dręczycieli, tych, którzy zabrali teczkę. Ostatecznie nie była moja. Za to jestem wściekły na Vicky'ego Rai. To on odważył się uderzyć Ritu. On zabił mi ojca. Miłość może osłepić, rozpacz może odebrać rozwagę. Postanawiam kupić broń.

Największa grupa przestępcza w naszej okolicy to gang Birju Pehelwana. Znam kilku jej członków, którzy paradują po slumsach Sanjay Gandhi z rewolwerami, jakby to były modne dodatki do ubioru. Pappu, od niedawna członek gangu, kieruje mnie do Girdbariego z Mangolpuri, trudniącego się nielegalnym handlem bronią.

Girdbari nie wystawia swojego towaru w klimatyzowanym salonie sprzedaży. Muszę wejść w śmierdzący zaułek i wspiąć się na drugie piętro, do ciemnej, obskurnej klitki, gdzie siedzi przed wielkim stalowym sejfem.

- Potrzebny mi jest tani pistolet - mówię.

On kiwa głową i wyjmuje *desi katta*, prymitywny pistolet miejscowej roboty, z jednym nabojem.

- Kosztuje tylko tysiąc sto rupii - śmieje się szeroko.

- Chcę coś lepszego - mówię.

- Ile masz? - pyta, a ja pokazuję cztery tysiące dwieście rupii, które mi oddał kasjer na dworcu.

Otwiera sejf i wyjmuje coś w białej szmatce. Delikatnieją odwija, ukazuje się czarny metal.

- To też *katta*, ale bardzo dobry. Wygląda dokładnie jak chiński Black Star, ale kosztuje tylko cztery tysiące. Przymierz się. - Podaje mi pistolet kolbą w moją stronę.

Biorę go do ręki, czuję jego ciężar, wypukłości, dotykam długiej, gładkiej lufy. Dostaję gęsiej skórki. Fascynuje mnie tkwiąca w tej broni obietnica gwałtownej, natychmiastowej śmierci.

- Biorę - mówię.

- Niestety, kończą mi się naboje - ubolewa handlarz. - W tej chwili mam do tego pistoletu tylko pięć. Możesz przyjść jutro jeszcze raz?

- Nie ma potrzeby, wystarczy pięć. A właściwie potrzebny mi jest tylko jeden.

10.

OPERACJA MAT

- Halo.
- Halo.
- Czy to rezydencja sekretarza spraw wewnętrznych¹²¹?
- ¹²¹ Chodzi o podsekretarza stanu do spraw wewnętrznych.
- Tak.
- Czy on jest u siebie? Chce z nim rozmawiać minister spraw wewnętrznych Jagannath Rai.
- Sekundę, proszę pana. Łączę z sekretarzem spraw wewnętrznych.
(*Muzyka*)
- Halo, mówi Baglay.
- Sekundę, proszę pana. Łączę z panem ministrem.
Biip, biip, biip.
- Halo, Gopal?
- Dzień dobry, panie ministrze. Przepraszam, że nie zadzwoniłem rano. Mój faks nie działał, ale teraz już mam dane. Od wczoraj mieliśmy siedem morderstw. Z Hardoi i Moradabadu zameldowali o rabunkach z bronią w rękę. Gwałty były cztery: w Azamgarhu, Bahrze...
- Nie interesuje mnie raport o przestępstwach, Gopal. Dzwonię w znacznie ważniejszej sprawie. Słyszałeś o amerykańskim filmie pod tytułem „Donci”?

- „Donci”?
- Może „Vinci”... „Kovinci”?
- Czy nie „Kod da Vinci”, proszę pana?
- Tak, tak. To ten film. Widziałeś go?
- Tak, proszę pana. Niezły.
- Masz natychmiast wydać zakaz jego wyświetlania w Uttar Pra-
deś.
- Zakaz? Ale to jest stary film, proszę pana. Już zszedł z ekranów.
- Nie szkodzi. Ma być zakaz. Powiedziano mi, że ten film obraża
chrześcijańską społeczność państwa. Że są w nim różne szalone wątki,
na przykład romans Jezusa z prostytutką. Jak możemy pozwalać na
pokazywanie takich filmów?
- A może, zanim wydamy zakaz, powinien pan ten film zobaczyć?
- Od kiedy to trzeba oglądać filmy przed ich zakazaniem? Przecież
ciągle zakazujemy rozpowszechniania książek, w ogóle ich nie czytając.
- Ale w grę wchodzi też inne kwestie, proszę pana, jak wolność
słowa. Artykuł dziewiętnasty konstytucji...
- Do diabła z konstytucją, Gopal. W tym państwie prawie nikt nie
czyta. Kto ma czas na czytanie konstytucji? A ty przeczytałeś całą?
- Ee... nie, proszę pana. Czy mogę spytać, kto panu powiedział o
tym filmie?
- Ojciec Sebastian. To dobry człowiek. Lubię chrześcijan. Są tacy
mili, potulni. Zawsze nieskazitelnie ubrani i mówią taką wspianą
angielszczyzną. Powiedział, że jeśli wydamy zakaz, nasza partia zyska w
lokalnych wyborach trochę ich głosów. To nam nie może zaszkodzić.
Ale nie chcę przy okazji stracić innych. Powiedz, jeśli wydamy ten
zakaz, to czy hindusi będą niezadowoleni?
- Nie przypuszczam, proszę pana.
- A muzułmanie?
- To mało prawdopodobne.

- A Sikhowie?
- Nie, proszę pana.
- W takim razie nie widzę problemu. Wydadz zakaz rozpowszechniania tego okropnego filmu. To polecenie.
- Tak jest, proszę pana. Każę go jeszcze dzisiaj opublikować w dzienniku urzędowym.
- Ale, ale... Gopal?
- Tak, proszę pana.
- Wydaje mi się, że nie wykonujesz moich instrukcji co do tego inspektora policji Navneeta Brara. Póki jestem ministrem spraw wewnętrznych, on nie może dostawać żadnych odznaczeń ani nagród.
- Właśnie chciałem to z panem przedyskutować, panie ministrze. Navneet Brar jest wzorowym funkcjonariuszem. Samodzielnie zlikwidował dwie grupy naksalitów na pograniczu Indii i Nepalu. Jeśli w Dniu Republiki nie znajdzie się wśród nagrodzonych za dzielność, może to źle wpłynąć na morale sił policyjnych i...
- Oj, Gopal, Gopal. Kto tu jest ministrem, ty czy ja?
- Oczywiście pan, panie ministrze.
- I kto wydaje polecenia, ty czy ja?
- Pan, panie ministrze.
- Więc w tej chwili je wykonaj. Bo inaczej od jutra nie jesteś sekretarzem spraw wewnętrznych, tylko sekretarzem Rady Opieki nad Dziećmi. Jasne?
- Tak jest, panie ministrze.

- Dzień dobry, Bhaiyyaji. Mówi Alok Agarwal.
- Dzień dobry. Ale mam szczęście, taki wielki przemysłowiec raczy sobie o mnie raz na trzy, cztery miesiące przypomnieć.
- Proszę mnie nie zawstydząć. Zawsze się staram być z panem w kontakcie, ale cóż mogę zrobić? Taką mam pracę, że często muszę odwiedzać zagranicznych partnerów. Wczoraj wieczorem właśnie wróciłem z Japonii.

- Arrey, wy biznesmeni wciąż sobie jeździecie po świecie. Dziś Japonia, jutro Ameryka. A ludzie tacy jak ja tylko siedzą i gniją w tym kraju.

- Proszę tak nie mówić, Bhaiyyaji. Tyle pan robi dla dobra mieszkańców Uttar Prades. Śledzę pańską kampanię wyborczą. Wszędzie przyciąga pan tłumy.

- Miło mi, że pan to zauważył. Gazety ciągle mnie krytykują. Ostatnio przestałem je czytać.

- Co innego nasza telewizja Mashaal. Osobiście im poleciłem, żeby relacjonowali wszystkie wiece z pana udziałem.

- Tak, tak. Mashaal robi świetną robotę. Zgodnie ze swą nazwą, jak na kaganek przystało. Kaganek prawdy. I macie tam doskonałą reporterkę, Jak ona się nazywa, Seema?

- Seema Bisht? Tak, Seema jest niezła. Niewiele brakowało, a zostałaaby reporterem roku.

- Z pewnością na to zasługuje bardziej niż inni. Jest naprawdę śliczna. I ma taką jasną cerę. Może by ją pan poprosił, żeby któregoś dnia przeprowadziła ze mną wywiad? Taki - jak wy to po angielsku mówicie - *one-to-one*.

- Oczywiście, Bhaiyyaji. Poproszę Seemę, żeby się z panem umówiła za pośrednictwem pańskiego sekretariatu.

- Świetnie. Ale nie mieszajmy w to sekretariatu. Niech zadzwoni od razu do mnie na komórkę. A czym ja mogę panu służyć?

- Jak pan wie, Bhaiyyaji, złożyliśmy ofertę na budowę drugiej elektrowni koło Dadri.

- Tak. Wspomniał pan o tym w poprzedniej rozmowie. Macie konkurencję: Tatę i Ambanisa¹²². I jeszcze Singhanię z JP Group.

¹²² Tata i Ambanis - największe korporacje przemysłowe w Indiach.

- Wiem, Bhaiyyaji, i dlatego jest mi pan potrzebny. Obiecał mi pan pierwszą elektrownię w Rewie. Myślałem, że to już załatwione, ale umowę zawarto z JP Group.

- Tak. Mohan Kumar, główny sekretarz, robił, co się dało, ale premier w ostatniej chwili nas przechytrzył. Wszyscy wiedzą, że siedzi

u Singhanii w kieszeni. Teraz Kumar jest na emeryturze, więc walka z konkurencją będzie jeszcze trudniejsza.

- Dowiedziałem się pocztą pantoflową, że Singhania już działa, jakby wygrała ten przetarg. Jeśli i tym razem podpiszecie umowę z JP Group, chyba się z Uttar Pradeś zupełnie wycofam.

- Arrey, czy pan myśli, że premier ma prawo oddać cały ten kraj w lenno? Przecież on nie może zawierać umów tylko ze swoimi ludźmi. Łupy trzeba dzielić sprawiedliwie. Niech się pan nie martwi, ten kontrakt na pewno przypadnie wam, na takich samych warunkach, jak w wypadku pierwszej elektrowni. Rozumiemy się?

- Tak, Bhaiyyaji. Więc mogę już powiedzieć zagranicznym partnerom, żeby zaczęli się przygotowywać do wysyłki urządzeń?

- Jasne. Tylko niech pan nie zapomni o Seemie.

- Spotka się z panem jeszcze w tym tygodniu. Załatwię to.

- Okej.

- Halo, tu Rukshana Afsar. Czy mogę rozmawiać z ministrem spraw wewnętrznych?

- Jagannathji nie ma w domu. Wygłasza przemówienie na spotkaniu wyborczym w Gopiganj. Dziś jest ostatni dzień kampanii.

- Kim pani jest?

- Jestem jego osobistą sekretarką.

- Telefon komórkowy ministra nie odpowiada. Co się stało? Od dwóch tygodni nie mogę się do niego dodzwonić.

- To szanowna pani nie wie, że Bhaiyyaji zmienia przyjaciółki częściej niż kobiety fryzurę? (*Śmiech*) Powinna już pani zrozumieć... Halo?... Halo?

- Tato?

- Tak, Vicky. Poznają po twoim głosie, że coś cię martwi.

- Dostałem dzisiaj list z Maoistowskiego Centrum Rewolucyjnego. To naksalici. Grożą, że jak zacznę tworzyć specjalną strefę ekonomiczną w Dźharkhandzie, to mnie zabiją.

- (*Śmiech*) A ty się od razu zesrałeś w portki? *Arrey*, nigdy nie zapominaj, że jesteś synem Jagannatha Rai, którego się boi cały Uttar Pradeś.

- Ale mój plan dotyczy Dźharkhandu. Co będzie, jak ci cholerni naksalici faktycznie coś mi zrobią?

- Spokojnie. Każę wysłać batalion policji, żeby ci pilnował domu.

- Twoja policja jest do niczego, tato. Mam zamiar zwrócić się do komendanta policji w Delhi, żeby mi dał do ochrony komandosów.

- Przesadzasz. Naksalici jeszcze nie zabili żadnego przedsiębiorcy.

- Nie chcę być pierwszym, tato. Do widzenia.

- Jagannath, widziałeś wyniki lokalnych wyborów?

- Tak, panie premierze. Nie są tak dobre, jak się spodziewaliśmy.

- Dobre? To katastrofa. Nasza partia straciła siedemdziesiąt jeden miejsc. Jak to się stało? Mówiłeś, że wszystko idzie świetnie.

- Muszę to dokładnie zbadać. Czuję, że opozycja przekupiła urzędników. Namęcili również niezależni.

- Mam informację, że opuścili nas muzułmanie. To nas kosztowało przynajmniej pięćdziesiąt miejsc.

- Tyle dla nich zrobiliśmy. Dlaczego mieliby tak postąpić?

- Z powodu niepokojów społecznych, jakie sprowokowałeś w Kanpurze. Powiedziałeś, że to nam ułatwi zdobycie głosów hindusów. No i nie dostaliśmy od nich ani jednego głosu więcej, a muzułmanie porzucili nas zupełnie.

- Proszę się nie martwić, panie premierze. Opracowałem nową strategię, która nam pomoże w następnych wyborach.

- Na czym ona polega?

- Zamierzam pozyskać chrześcijan. Już podjąłem pewne kroki, żeby, jeśli nie będą na nas głosować muzułmanie, zrównoważyć to głosami chrześcijan.

- Czyś ty na głowę upadł, Jagannath? *Arrey*, muzułmanów jest osiemnaście procent, chrześcijan mniej niż jeden.

- Liczy się jakość, nie ilość. Kiedy się spotykam z chrześcijanami, mam wewnętrzne poczucie szczęścia. Oni są uroczy.

- Rób, co chcesz. Tylko się nie mieszaj w sprawy partii. Góra popełniła wielki błąd, robiąc cię odpowiedzialnym za lokalne wybory.

- Proszę nie zrzucać winy na mnie. Jeśli wyborcy na nas nie głosowali, to również przez pana. Przecież to pan jest premierem. Poza tym nigdy nie dal mi pan wolnej ręki. Gdyby pańscy pomagierzy nie odwołali połowy moich decyzji, działałbym cuda.

- Z tobą nie ma sensu rozmawiać, Jagannath.

- Halo, tu Seema Bisht z telewizji Mashaal. Czy mogę mówić z Jagannathji?

- Chwileczkę.

Biip, biip, biip.

- Dzień dobry, Seema. Czy Alok nie dał pani numeru mojej komórki?

- Dał, ale pomyślałam, że nie powinnam dzwonić na komórkę, zanim się nie spotkamy.

- No to się spotkajmy.

- Dobrze. Ale teraz chciałabym usłyszeć, co pan myśli o śmierci posła Lakhana Thakura.

- Co? Lakhan Thakur nie żyje?

- Tak. To wiadomość z ostatniej chwili. Pół godziny temu został zastrzelony, kiedy wychodził z domu.

- To okropne! Czy kogoś aresztowano?

- Nie, ale dyrektor generalny policji powiedział, że za tym morderstwem prawdopodobnie stoi mafia drzewna. Więc możemy się spotkać?

- Tak, oczywiście. W Gomti Nangar mam bardzo ładny dom dla gości. Może pani tam przyjechać dziś wieczorem, powiedzmy o dziesiątej?

- Czy to trochę nie za późno?

- Spotkamy się przy kolacji. Mamy o czym mówić.
- Okej, do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

Biip, biip, biip.

- Bhaiyyaji, chce z panem mówić Prem Kalra.
- Kto?
- Prem Kalra, redaktor z „Daily News”.
- Ta świnią? Dobrze, łącz.

Biip, biip, biip.

- Halo, Prem. Wreszcie sobie o mnie przypomniałeś.
 - Nie zabiorę panu dużo czasu, panie ministrze. Chcę tylko, żeby pan skomentował śmierć Rukhsany Afsar.

- Tak, to bardzo smutne. Była lojalną funkcjonariuszką partii.
- Jak pan myśli, dlaczego popełniła samobójstwo?
- Skąd mam wiedzieć? O to trzeba pytać policję.
- Wie pan, że zostawiła list pożegnalny?

(Cisza)

- I co napisała?
 - „Kochany Jagannath”, a potem jest dwuwiersz Ghaliba. Dobry dwuwiersz:

*Hum ne maanaa ke tagaaful na karoge lekin
 Khaak hojaayenge ham tumko khabar hone tak*

(Wiem, że nie będziesz zwlekał

Lecz umrę, nim się zjawisz)

- Rzeczywiście świetny dwuwiersz. Ale co to ma wspólnego ze mną?

- To smutne, że miał pan z nią romans, a potem ją rzucił.
 - Kłamstwa. To wszystko kłamstwa. Prawie jej nie znałem.
 - Wiele razy widziano ją w pana towarzystwie.
 - Jestem osobą publiczną. A jak się żyje publicznie, spotyka się wiele ludzi, również kobiety. Co nie znaczy, że ze wszystkimi mam romans. Jestem szczęśliwym mężem.

- Jest jeszcze taśma.
- (*Długa cisza*)
- Co za taśma?
- Magnetofonowa.
- I co jest na tej taśmie?
- Różności. Jak pan do niej mówi, recytuje ładne dwuwiersze Ghaliba. Najbardziej mi się podoba fragment z pana opinią o premierze.
- Skąd masz tę taśmę?
- Rukhsana wysłała ją do mnie pocztą tuż przed śmiercią. Musiała pana nagrać, kiedy był pan w jej sypialni.
- Czy policja wie o taśmie?
- Nie. Mam ją u siebie. Puścić panu kilka urywków? (*Cisza*) To jak, panie ministrze?
- Czego chcesz, Prem?
- Prawdy.
- (*Śmiech*) To pierwsza zasada dziennikarstwa. Każdy człowiek ma swoją cenę. Jaka jest twoja?
- Dwa miliony gotówką i przez rok rządowe ogłoszenia w mojej gazecie. Bez targów.
- To pierwsze da się zrobić, to drugie nie. O ogłoszeniach musisz rozmawiać z ministrem informacji.
- W takim razie trzy miliony.
- Dwa i pół.
- Zgoda.

- Mukhtar?
- Tak, szefie.
- Trzeba odebrać transport broni z Nepalu.
- To może być trudne, szefie. Ostatnio policja bardzo pilnuje granicy. Nie chcemy, żeby przechwycili towar, prawda?
- Nie ma problemu. Weź któryś z moich służbowych samochodów. Może ten z niebieskim kogutem. Przewieź broń przez granicę i jedź prosto do naszego składu.

- Świetny pomysł, szefie. Nikt się nie odważy zatrzymać samochodu ministra spraw wewnętrznych.

- Halo, tu Seema.

- Halo, *jaaneman*. Gdzie się podziewałaś? Tydzień cię nie widziałem.

- Byłam zajęta. Musiałam zrobić relację ze święta Awadh i z widowiska w Lucknow, największego, jakie się kiedykolwiek odbyło w tym mieście. Z udziałem aktualnej królowej Bollywoodu.

- *Arrey*, czemu ty się tak uganiaasz za tymi gwiazdami filmowymi? One się nie szanują. Za pieniądze są gotowe tańczyć jak wynajęci eunuchowie na weselu.

- Jednak widowisko oglądało pół Lucknow. Shabnam naprawdę zelektryzowała publiczność.

- Kto to jest ta Shabnam?

- Shabnam Saxena. Obecnie najpopularniejsza aktorka w Indiach.

- W ogóle nie znam tych nowych sław. Ostatni film, jaki widziałem, to „Mother India”. Ale ta Nargis grała!

- Nie znasz nazwisk sław, ale twój syn jest teraz znanym producentem.

- Tak, Vicky to lubi, ale ja się trzymam z daleka. Dla mnie ty jesteś lepsza niż wszystkie gwiazdy filmowe.

- Nie podlizuj się. Powiedz, co z moją sprawą.

- Jaką sprawą?

- Z kontraktem na dostawę alkoholu, dla mojego wuja z Phaphamau¹²³.

¹²³ Phaphamau - bardzo małe miasteczko we wschodniej części Uttar Prades.

- A, tak, tak. Uważaj sprawę za załatwioną. Ale będzie mnie to kosztowało kupę forsy.

- Dlaczego?

- Przetarg na alkohol dla Phaphamau tradycyjnie wygrywa mój człowiek, Shakeel. Żeby pójść na rękę twojemu wujowi, musiałem

Shakeelowi powiedzieć, żeby tym razem nie składał oferty. Teraz będzie mu to musiał zrekompensować.

- A ja tobie zrekompensuję w łóżku.
- Spróbowałaśbyś nie.

(Śmiech)

- Czy mogę mówić z ministrem spraw wewnętrznych Jagannathem Rai?

- Przy telefonie. Kto mówi?
- Inspektor policji Navneet Brar, proszę pana. Dzwonię z Bahraichu.

- Ach, Navneet. Jak się masz? Mam nadzieję, że ten pobyt w Bahraichu nauczył cię rozumu. Dzwonisz, żeby przeprosić za dawny błąd?

- Nie, proszę pana. Dzwonię, żeby pana poinformować, że właśnie skonfiskowałem pana służbowy samochód. Wraciał z Nepalu, został zatrzymany na posterunku kontrolnym w moim rejonie i okazało się, że są w nim ukryte karabinki AK-47. Pana kierowcy udało się uciec. Zarekwirowałem cały ładunek i jestem w trakcie sporządzania nakazu aresztowania pana za udzielanie pomocy w popełnieniu przestępstwa.

- Co? Masz odwagę aresztować ministra spraw wewnętrznych?
- Aresztuję znanego przestępcę, który w rażący sposób nadużywa stanowiska służbowego.

- Navneet, wiesz, jakie są konsekwencje zadzierania z kimś takim jak ja? Nie ludź się, że ochroni cię mundur. Mogę cię rozgnieść jak muchę w ciągu paru minut.

- Co pan zrobi? Powie temu mięczakowi Mauryi, dyrektorowi generalnemu policji, żeby mnie znowu przeniósł? Cóż, tym razem to się nie uda, bo rozmawiałem bezpośrednio z premierem i on osobiście mnie upoważnił do wszczęcia postępowania przeciwko panu. Na szczęście jest jeszcze w tym kraju paru polityków z zasadami.

- To rób, co chcesz. A ja zrobię, co muszę.

- Tato?
- Tak, Vicky.
- Do piętnastego lutego został tylko tydzień.
- Dlaczego tak to przeżywasz? Werdykt załatwiłem już w listopadzie.

- Słyszałem, że pojawiły się jakieś dodatkowe żądania.
- To element gry. Lew musi nakarmić sępy.
- Więc mogę spać spokojnie?
- Możesz. Szkoda, że ja nie.
- Dlaczego? Co cię gryzie?
- Spędza mi sen z powiek pewien szalony oficer policji. Miał czelność wydać nakaz aresztowania mnie. Dwa dni mi zabrało przekonanie premiera, że aresztowanie ministra nie wyjdzie wizerunkowi partii na dobre.

- Musisz coś zrobić z tym premierem, tato.
- Zrobię. Ale najpierw muszę coś zrobić z policjantem. Dałem tę robotę Mukhtarowi.

- Jagannath?
- Tak, panie premierze.
- Śmierć Navneeta Brara od wybuchu miny bardzo mną wstrząsnęła.

- Mną też, panie premierze. To był jeden z najzdolniejszych funkcjonariuszy policji. Całe życie odważnie walczył z terrorystami, ale końcu wpadł w pułapkę.

- Powiedz mi, Jagannath, maczałeś w tym palce?
- Co też pan mówi? Wszyscy wiedzą, że zabili go naksalici działający na pograniczu indyjsko-nepalskim.

- Ale niedawno miałeś z Brarem starcie. Skonfiskował ci samochód i planował twoje aresztowanie.

- Nigdy nie brałem tego do siebie, panie premierze. Przede wszystkim proszę nie zapominać, że to ja kazałem wysłać Brara do Bahraichu.

A samochód w rzeczywistości nie był mój. Przemysłowcy mieli podrobione tablice rejestracyjne i bezprawnie używali koguta. Zatrzymując samochód, Brar wykonał swój obowiązek. Myślę, że byłby to z naszej strony stosowny gest, gdybyśmy go pośmiertnie uhonorowali.

- Co masz na myśli?

- Przedstawienie go do odznaczenia prezydenckim medalem za dzielność, nadobowiązkowe dwa miliony dla rodziny i dobra praca dla wdowy.

- Zgoda. A teraz powiedz, czy jedziesz jutro do Delhi na ogłoszenie wyroku w sprawie syna.

- Nie, będę w Lucknow na pogrzebie Brara. Przynajmniej tyle mogę zrobić jako minister spraw wewnętrznych.

- Muszę powiedzieć, że to bardzo przyzwoicie z twojej strony, Jagannath. Powodzenia.

- Dziękuję, panie premierze.

- Tato?

- Tak, Vicky.

- Chcę ci podziękować. Spadł mi kamień z serca. A wcześniej było już tak, że się bałem, że pójdę do więzienia.

- Bądź wdzięczny nie mnie, tylko Guruji. To wszystko wynik jego błogosławieństw. Od kiedy mnie poprosił, żebym nosił szafir, zdarza się cud za cudem. Wszyscy moi rywale przegrali. Guruji niedawno wrócił z podróży po świecie. Mam zamiar mu osobiście podziękować.

- A ja wydaję przyjęcie! Uniewinnienie trzeba uczcić. To będzie największa balanga w moim życiu. Poradziłem się astrologa, powiedział, że najlepsza data to dwudziesty trzeci marca. Zrobię to w Number Six. Obiecuję, że przyjdiesz.

- To nie jest dobry pomysł, Vicky. Twoja sprawa wciąż budzi za dużo emocji. Niech ucichną protesty, wtedy zobaczymy.

- Ja się nie przejmuję. Sędzia mnie oczyścił z zarzutów i żadne demonstracje tego nie zmienią. Zapisz sobie: dwudziesty trzeci marca.

I obiecuję ci, tato, że na tym przyjęciu nikt nie zostanie zastrzelony. (*Śmiech*) No dobrze, muszę lecieć. Do widzenia.

- Do widzenia.

- Dzwonię z gabinetu premiera. Pan premier chce rozmawiać z ministrem spraw wewnętrznych.

- Więc twój szef też chce pogratulować Bhaiyyaji? Trzy dni za późno.

- Skąd mam wiedzieć? Łącz i już.

- Coś ty zawsze taki skwaszony? Łączę z Bhaiyyaji.

Biip, biip, biip.

- Namaskar, panie premierze.

- Wiesz, jaka jest reakcja na uniewinnienie Vicky'ego?

- Tak. Ale zna pan tych ludzi z mediów, zawsze są niezadowoleni. Chcieliby tylko pokazywać negatywny obraz. Niech sobie piszą, co chcą, i tak to nie zmieni wyroku. Vicky został uniewinniony z zarzutu morderstwa i to się liczy.

- A co z opinią publiczną, Jagannath?

- Nie obchodzi mnie opinia publiczna. Nigdy nie obchodziła.

- Ale mnie obchodzi. I partię obchodzi. W całym kraju panuje poruszenie, Jagannath. Od Amritsaru do Alleppey w proteście przeciwko uniewinnieniu Vicky'ego odbywają się nocne czuwania ze świecami. Organizacje pozarządowe zarządziły w osiemnastu stanach marsze protestacyjne. Studenci uniwersytetu w Lucknow grożą, że się spalą. Związki zawodowe wezwały do bezterminowego strajku. Stacje telewizyjne mają tylko jeden temat. Czasopisma organizują kampanie SMS-owe. Nawet „Daily News” założyła Fundusz Ruby Gill, żeby zebrać pieniądze dla jej rodziny. W historii Indii żadna sprawa nie wywołała takiego rezonansu. Wyrok potępiają wszyscy bez wyjątku. Mówi się nawet o rewizji procesu. To wszystko stawia nas w bardzo niekorzystnej sytuacji.

- To co mam zrobić? Wyrzec się własnego syna?

- No cóż, jeśli syn jest czarną owcą, ojciec musi podjąć twardą decyzję.

- Wierzyć mi się nie chce, że można mówić takie rzeczy. Mój syn został uniewinniony, nie skazany.

- To nie ma znaczenia. Przegrał walkę o opinię publiczną. A w ostatecznym rozrachunku dla polityka liczy się właśnie opinia publiczna.

- Ale media zwariowały, panie premierze. Wie pan, jak one wszystko trywializują. Nie powiedzą o pięćdziesięciu górnikach zasypanych w kopalni, za to natychmiast pokażą relację z akcji ratowania kota, który wpadł do studni.

- Racja, ale to tylko dowodzi potęgi mediów. Narzucają nam, co i kiedy mamy oglądać. To one tworzą i zmieniają opinię publiczną. Nie przetrzymamy powszechnego sprzeciwu, jaki wywołała ta sprawa. Jeśli natychmiast czegoś nie zrobimy, stracimy władzę.

- Więc co mam zrobić?

- Góra podjęła decyzję. Musisz wybrać: albo Vicky, albo stanowisko ministra. Twoje oświadczenie o rezygnacji ma się znaleźć na moim biurku najpóźniej jutro w południe. Jak chcesz, możemy powiedzieć, że zrezygnowałeś z przyczyn zdrowotnych.

- Może pan ma kłopoty ze zdrowiem, ja nie. I ja się nie poddam bez walki. Mówię jasno: jeśli mnie pan zdymisjonuje, najpóźniej jutro w południe pański rząd koalicyjny przestanie istnieć.

- (*Śmiech*) Mógłbyś być szefem mafii, Jagannath, ale w polityce jesteś nowicjuszem. Ustąp z taktem, a może nadejdzie dzień, że znowu będziesz walczył. W polityce wszyscy kiedyś wracają. Jeśli jednak sprzeciwisz się górze, skończy się nie tylko twoja kariera polityczna - możemy być zmuszeni położyć kres także twojej karierze kryminalnej.

- Niech pan sobie tak straszy eunuchów ze swojego gabinetu, panie premierze. W tym stanie nie ma na mnie silnego.

- Zmuszasz mnie do tego, żebym cię zwolnił.

- A pan mnie do tego, żebym został rebeliantem.

- Świetnie. Więc stoimy na linii frontu. Zobaczymy, kto będzie górą.

- Zobaczymy.

- *Pranam*¹²⁴, Guruji.

¹²⁴ *Pranam* znaczy to samo co *namaste*.

- *Jai Shambhu*.

- Kiedy pan wraca z Allahabadu do Mathury?

- Jak się skończy Magh Mela. A co?

- Guruji, potrzebuję błogosławieństwa.

- Po co?

- Żeby wygrać największą bitwę w moim życiu.

- Myślałem, że już ją wygrałeś. Vicky został uniewinniony. Mój pierścień z korałem okazał się bardzo skuteczny.

- Premier ma zamiar mnie zdymisjonować. Postanowiłem stawić mu czoło. To będzie bezpardonowa walka. Albo on, albo ja.

- Masz moje błogosławieństwo, Jagannath. Niedawno widziałem horoskop premiera. Jego gwiazda gaśnie, twoja rozbłyśka.

- Dziękuję, Guruji. Mając w panu oparcie, mogę stanąć do walki z każdym, nawet z premierem.

- *Jai Shambhu*, Jagannath. Życzę ci wygranej.

- *Jai Shambhu*, Guruji.

- Dzień dobry, Tripurari. Ciągłe jesteś w Hardoi?

- Tak. To się nazywa telepatia, Bhaiyyaji, bo właśnie miałem dzwonić, żeby ci pogratulować dzisiejszego wystąpienia w zgromadzeniu. Atak na premiera był wspaniały. Taki subtelny. To się nazywa zagłaskać kogoś na śmierć.

- Teraz już będzie bez białych rękawiczek, Tripurari. On chce mnie zwolnić ze stanowiska ministra. Mówi, że góra się martwi negatywnymi reakcjami na uniewinnienie Vicky'ego.

- Jak on śmie? Jeśli się posunie do tego, żeby cię zdymisjonować, rozmontujemy mu rząd.

- Właśnie dlatego potrzebuję twojej pomocy. Jeśli jutro już nie będę ministrem, do końca tygodnia fotel powinien też stracić premier. Musimy obmyślić jego upadek. Ilu posłów zechce mnie wesprzeć?

- Policzmy, Bhaiyyaji. Żeby obalić rząd, wystarczy, że przejdzie na naszą stronę piętnastu. A już mamy solidny dwudziestoosobowy blok twoich zwolenników. Możemy odciąć premierowi zasilanie szybciej niż następna awaria elektrowni.

- To nie takie proste, Tripurari. Gram o wielką stawkę. Nie chodzi tylko o pokonanie premiera. Chcę mu naprawdę utrzeć nosa. Dlatego postanowiłem sam się ubiegać o to stanowisko.

- O stanowisko premiera?

- A myślisz, że dlaczego spędziłem pięćdziesiąt pięć lat życia w tym piekle? Ze swoimi pieniędzmi mógłbym się przenieść do Delhi, do Bombaju, nawet do Ameryki. Zostałem, bo zawsze chciałem najwyższej wygranej - urzędu premiera.

- (*Milczenie*) No to faktycznie grasz o wielką stawkę, Bhaiyyaji.

- Tak. Myślałem: Kto pamięta jakiegoś tam stanowego ministra? Za dziesięć lat ludzie nie będą nawet wiedzieli, że wchodziłem w skład tego rządu. Ale nawet za dwadzieścia będą pamiętali, kto był premierem. Taki człowiek staje się częścią historii. Na przykład Jagdambika Pal. Był premierem tylko jeden dzień, w 1998 roku, ale jego nazwisko już na zawsze pozostanie w historycznych księgach. Ja też chcę takiej chwały. Wyobraź sobie, że za sto lat w kronikach tego państwa wciąż będę odnotowany jako premier. Czy nie warto o to walczyć?

- Oczywiście, Bhaiyyaji. Ale jak to zrobisz?

- Musimy doprowadzić do podziału. Mamy dwudziestu. Jeszcze pięciu i będzie jedna trzecia. Wtedy podział jest legalny. Nie podlega przepisom o porzuceniu partii.

- Ale jak utworzysz rząd?

- Już rozmawiałem z przywódcami partii opozycyjnych, przede wszystkim z Tiwariji, który rozporządza głosami co najmniej pięćdziesięciu posłów. Są skłonni udzielić mi wsparcia z zewnątrz. A niezależni twardo stoją za mną, zresztą nic dziwnego, połowie z nich pomogłem wygrać. Więc co myślisz? Uda się?

- To genialne, Bhaiyyaji. Co za strategia!

- Nazwałem ją Operacja Mat. Teraz wy ją musicie przeprowadzić.
- Przejdźmy do szczegółów. Najpierw trzeba wydzielić nasz dwudziestoosobowy blok. Potem ustalić tę piątkę potrzebną do rozłamu w partii. A na koniec potrzebne nam będą listy z poparciem od opozycji, akceptujące ciebie jako premiera. Zaczynam jutro.

- Dobrze. Zrób wszystko, żebyśmy odnieśli sukces.
- Niezbędne są pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Operacja Mat będzie kosztowna. Dysponujesz teraz dużą gotówką, Bhaiyyaji?
- Nie martw się o pieniądze.
- Więc mam już kupować teczki? Potrzeba co najmniej dwadzieścia.
- Tak, kupuj. A jak zostanę premierem, zrobię cię dyrektorem państwowej fabryki teczek!

(Śmiech)

- Halo, poproszę z Alokiem Agarwalem.
- Kto mówi?
- Jagannath Rai.
- Arrey, Bhaiyyaji? Przepraszam, nie poznałem pana głosu.
- Gdy tylko przestałem być ministrem, zapomniał pan mój głos?
To nie w stylu wielkiego biznesmena.

- Nie o to chodzi... Ale dlaczego pan sobie przypomniał o mnie?
- Zawsze traktowałem pana jak młodszego brata. Teraz ja mam kłopoty i potrzebuję pomocy.
- Co mogę dla pana zrobić?
- Postanowiłem się ubiegać o stanowisko premiera Uttar Pradeś.
- To odważny krok, Bhaiyyaji.
- Wiem. Podjąłem tę decyzję po rozważeniu wszystkich za i przeciw. Jestem przekonany, że zdobędę potrzebną liczbę. Niektórzy posłowie potrzebują jeszcze jednak pewnej zachęty. I tu jest rola dla pana. Doskonale pan wie, jak się robi takie rzeczy.

- Rozumiem. O jaką kwotę chodzi?
 - Przynajmniej sto dwadzieścia, sto trzydzieści milionów¹²⁵.
- ¹²⁵ 130 milionów rupii to 3,25 miliona dolarów amerykańskich.
- (*Milczenie*) To bardzo dużo, Bhaiyyaji.
 - Nie dla takiego znanego biznesmena jak pan. No i proszę to uznać za pożyczkę. Jak tylko zostanę premierem, zyska pan w dwójnasób.
 - O to się nie martwię, Bhaiyyaji. Tylko że ja nie mam tyle wolnych pieniędzy. Gdybym dostał Dadri, pewnie sytuacja byłaby inna, atak...
 - Wiem, że jest pan rozczarowany, ale cóż mogłem zrobić? Oferta Singhanii była dużo lepsza. Jaką kwotą pan teraz dysponuje?
 - Najwyżej trzydzieści milionów.
 - *Bas?* Niechże się pan nie zachowuje jak skąpy lichwiarz.
 - Mówię świętą prawdę. Interesy idą mi ostatnio kiepsko.
 - To pana ostatnie słowo?
 - Niech mi pan wierzy, Bhaiyyaji, nie mam...
 - Nie musisz mówić nic więcej. To był mój błąd, że okazałem życzliwość człowiekowi bez klasy. Powinienem być pielęgnować znajomość z kimś kalibru Singhanii. A teraz słuchaj, skurwysynu. Od jutra nie masz wstępu do Uttar Pradeś. Możesz zapomnieć o interesach na tym terenie. Jeśli się odważysz pokazać w moim stanie, zarżnę cię jak kurczaka. Jasne?
 - Niech pan zro...
 - Vicky?
 - Tato, mogę oddzwonić później? Jestem w trakcie bardzo ważnego spotkania.
 - Pal diabli spotkanie. Muszę z tobą porozmawiać natychmiast.
 - Przepraszam panów. Na chwilę wyjdę... Tak, tato. O co chodzi?
 - Czemu jesteś rozdrażniony?
 - Nie jestem rozdrażniony. Mów, mam mało czasu.

- Potrzebuję sto milionów.
- Coś takiego! Tato, od kiedy to ty prosisz mnie o pieniądze?
- Vicky, ja też mam mało czasu. Możesz mi przysłać setkę jeszcze w tym tygodniu?

- Nic z tych rzeczy, tato. Straciliśmy płynność finansową. Wszystko wpakowaliśmy w specjalną strefę ekonomiczną w Dżharkhandzie. Ale po co ci ta cała forsa?

- Powiem ci później.
- Tak czy siak, nie mogę ci pomóc, tato. I proszę cię, nie dzwoń przez następne dwie godziny.

- Tak się zachowuje syn wobec ojca?

- Posłuchaj, tato. Nie...

- To ty posłuchaj. Są synowie, którzy się całe życie starają spełniać oczekiwania ojców, i są ojcowie, którzy całe życie naprawiają błędy synów. Od tej chwili nie masz już ojca, który cię będzie wyciągał z kłopotów.

- Niepotrzebnie się unosisz, tato. Pomógłbym ci, gdybym mógł, uwierz mi. A co do wyciągania mnie z kłopotów, to nie musisz się już martwić. Nie zabiję więcej barmanek. (*Śmiech*) Wyłączam komórkę, tato.

- Dzień dobry, Seema.

- Dzień dobry.

- Chłodno mnie witasz. Ty też chcesz mnie opuścić, bo już nie jestem ministrem?

- Nic podobnego.

- To kiedy się teraz zobaczymy, *jaaneman*?

- Na kilka dni jadę do Delhi. Muszę załatwić kilka spraw.

- Na przykład? Powiedz, załatwię je za ciebie. Jeszcze jakiś wujek chce umowy na dostawę alkoholu? (*Śmiech*)

- Nie śmieję się. Tym razem potrzebuję czegoś dla siebie.

- Czego? Mów, i już to masz.

- Nie wiem. Czasem się czuję, jakbym się dusiła. Jakbym popadła w rutynę. A życie mija.

- Każdy się czasem tak czuje. Jak mówi Guruji, ważne, żeby nie tracić ostrości widzenia.

- Zawsze miałam poczucie, że jestem stworzona do wyższych celów. Ta byle jaka posada reporterki to nie dla mnie. Jestem atrakcyjna, młoda. W konkursie teatralnym na uniwersytecie zdobyłam nagrodę dla najlepszej aktorki. Nie sądzisz, że dałabym sobie radę w filmie?

- *Arrey*, film to najgorsza branża, jaką sobie można wyobrazić. Lepiej trzymaj się od tego z daleka.

- A może byś porozmawiał o mnie z Vickym? On ci nie odmówi.

- Nie mogę, a poza tym Vicky by mnie nie posłuchał. Nie upieraj się.

- To ty się uparłeś.

- Posłuchaj, Seem...

- Co nowego, Tripurari?

- To ciężkie zadanie, Bhaiyyaji. Cały dzień telefony, spotkania. Dużo się dowiedziałem o przyjaciółach i wrogach. Żeby poznać prawdziwe oblicze człowieka, nie ma jak kłopoty. Nawet ta dwudziestka, na którą liczyliśmy, okazała się niepewna. Tylko ośmiu było skłonnych nas poprzeć. Musiałem użyć wszystkich możliwych chwytów. Ostatecznie udało się przekonać czteremastu, czyli sześciu za mało. Razem z piątką, jakiej i tak potrzebowaliśmy do podziału partii, brakowało jedenastu. Potem przyjrzeliliśmy się dokładnie tym posłom, których spodziewaliśmy się przeciągnąć na naszą stronę. Dzięki wiedzy o ich słabościach poszło nam nieźle. Pierwszy zgodził się Ramakant Sharma z Chillupuru. To nie było trudne, bo góra miała go na liście podejrzanych, od kiedy jego żona przyłączyła się do opozycji. Ashoka Jaiswala, Prabhę Devi, Champaklala Gupte, Madana Vaishje i Rasa Bihariego kupiliśmy obietnicą ministerialnych stanowisk w twoim rządzie. Ras Bihari prosi o ministerstwo gospodarki hodowlanej. Następnie wzięliśmy na cel Suresha Singha Baghela, który nie rozmawia z premierem, od kiedy został pozbawiony

stanowiska prezesa spółdzielni przetwórstwa trzciny cukrowej. Bardzo chętnie do nas przysłał. Za nim przyszli Rakesh Yadaw i Pappu Singh. I wreszcie Iqbalowi Mianowi udało się przekonać Saleema Mohammada. To razem dziesiątka.

- Dobra robota, Tripurari. Ale brakuje jeszcze jednego.

- Wiem, Bhaiyyaji. Próbowalem wszelkich możliwych sposobów i jestem przekonany, że już nie mamy w partii ani jednego posła, który by się dał przekabacić. Wciąż łamiemy sobie głowy, ale widać, że ten brakujący jest nieuchwytny jak Osama bin Laden. Co teraz, Bhaiyyaji?

- (*Milczenie*) Wiesz, Tripurari, jaka jest różnica między przywódcą a podwładnym? Podwładny trzyma się drogi wytyczonej przez przywódcę. Przywódca wytycza nową drogę. Ty potrafisz patrzeć tylko na wprost. Nie widzisz drogi za zakrętem. Ja widzę za trzema zakrętami. Pamiętasz posła, który nas zaprosił do hotelu Clarks Awadh na przyjęcie z okazji urodzin syna? Trzecich urodzin, jeśli się nie mylę.

- To było dawno, Bhaiyyaji. Niech pomyślę... w styczniu zeszłego roku. Już pamiętam - Gopal Mani Tripathi, prawda?

- Tak, zgadza się. Gopal Mani jest chyba posłem z Bareilly. Rozmawiałeś z nim?

- Co ty mówisz, Bhaiyyaji? Ten facet jest zdecydowanie za premierem. Krążą plotki, że może zostać ministrem leśnictwa. Nie ma mowy, żeby się zgodził zmienić front.

- Miłość do syna może być czasem doskonałym czynnikiem motywującym. (*Milczenie*) Coś ci świta w twojej tępej głowie, Tripurari, czy mam to powiedzieć jaśniej?

- Nic już nie mów, Bhaiyyaji. Faktycznie, dużo się jeszcze muszę nauczyć. Mam poprosić Mukhtara?

- Tak, niech się bierze do roboty. Będziesz miał swoją jedenastkę.

- Dzwonię z Allahabadu. Guruji chce rozmawiać z ministrem spraw wewnętrznych Jagannathem Rai.

- Och, sam Guruji? Natychmiast łączę.

Biip, biip, biip

- To naprawdę ty, Guruji?

- Jagannath, mam straszne kłopoty. Potrzebuję twojej pomocy.

- Co się stało, Guruji? Kiedy usłyszałem o tej bombie, martwiłem się o twoje bezpieczeństwo. Ci terroryści nie uszanowali nawet Magh Mela! Na szczęście Tripurari mnie zapewnił, że wyszedłeś z tego bez szwanku.

- Tak, Jagannath, dzięki Bogu wybuch bomby nie wyrządził mi żadnej szkody. Ale dzisiaj był nalot na moją siedzibę w Mathurze. Ministerstwo zdrowia twierdzi, że leki ziołowe, które dają swoim zwolennikom, zawierają ludzkie i zwierzęce kości.

- Jak to możliwe, Guruji? To musi być manewr międzynarodowych firm farmaceutycznych, które chcą cię oszkalować.

- Tak właśnie myślę, Jagannath. Ale to nie koniec moich kłopotów. Trzy kobiety podające się za moje wyznawczynie - nigdy w życiu ich nie widziałem - oskarżyły mnie o molestowanie. Wiesz, że jestem ascetą i ślubowałem abstynencję seksualną. Coś tak niemoralnego nawet by mi do głowy nie przyszło. Jednak twoja policja wydała nakaz i zamierza mnie aresztować. Ukryłem się w Allahabadzie w domu jednego z wyznawców. Co mam zrobić?

- Wygląda na to, Guruji, że ktoś uknuł przeciw tobie wielki spisek.

- Myślę, że za tym stoi konkurencja. Podejrzewam, że to ta świnia Swami Brahmedo, który, jak wiesz, jest blisko z premierem. To musi być jego sprawka. Tylko ty możesz mnie z tego wyciągnąć.

- Niestety, Guruji, nawet ja nie zdołam zapobiec twojemu aresztowaniu, bo już nie jestem ministrem. Ale mogę ci ułatwić ucieczkę.

- Ucieczkę?

- Tak. Musisz natychmiast uciec do Ameryki czy Europy, bo inaczej wsadzą cię na dziesięć albo piętnaście lat do więzienia. Przez te wszystkie organizacje pozarządowe, który wyrastają w kraju jak grzyby

po deszczu, oskarżenia o molestowanie seksualne są traktowane bardzo poważnie.

- Naprawdę? W takim razie nie mam na co czekać.
- Za godzinę przyjedzie do ciebie jeden z moich ludzi. Zawiezie cię na granicę z Nepalem, a stamtąd możesz się dostać do Katmandu i polecieć do dowolnego kraju, bylebyś tylko miał wizę.

- Dziękuję, Jagannath. Zapamiętam tę przysługę. Mogę prosić o jeszcze jedną?

- Oczywiście, Guruji.
- Najświętszą rzeczą, jaką miałem, był starożytny *shivling*¹²⁶, który dostałem od wyznawcy z Tamil Nadu. Dwa dni temu, w chaosie, jaki zapanował po ataku terrorystów, ktoś go ukradł z mojego namiotu. Dlatego spadły na mnie te wszystkie kłopoty. Koniecznie muszę go odzyskać. Mówiłeś, że dyrektor generalny policji to twój zaufany człowiek. Mógłbyś go poprosić, żeby przeprowadzili śledztwo i odnaleźli *shivling*? On pewnie nadal jest w Allahabadzie. Jak go odnajdą, może go zostawić u ciebie na przechowanie do mojego powrotu. Zrobisz to dla mnie?

¹²⁶ *Shivling* - rodzaj ikony albo ołtarza będący symbolem boga Sziwy. Zwykle jest to niska cylindryczna kolumna o zaokrąglonym wierzchołku, często czarna.

- Zrobiłbym z przyjemnością, Guruji, ale widzę, że nie wiesz, że kiedy premier mnie usunął ze stanowiska, jednocześnie zawiesił Maurycy. Nie mam już wpływu na policję.

- *Arrey*, to bardzo niedobrze. Ale się nie martw, Sziwa wszystko naprawi. Zapamiętaj moje słowa - dni premiera są policzone.

- Oby twoja przepowiednia się spełniła.
- Dobrze, Jagannath, czekam na twójgo człowieka. *Jai Shambhu*.
- *Jai Shambhu*, Guruji.

- Bhaiyyaji, mam dobrą i złą wiadomość.
- Zacznij od dobrej, Tripurari.
- Mamy tylu posłów, ilu potrzeba do podzielenia partii i utworzenia własnej.

- Wspaniale. Przenieś ich natychmiast do naszego domu dla gości w Badaunie i nie pozwalaj im się stamtąd ruszać. Zabierz im komórki. Nikt nie może się z nimi kontaktować. Wypuścimy ich, tylko gdy gubernator zaprosi mnie do swojej rezydencji, żebym zaprezentował posłów.

- Już to zrobiłem, Bhaiyyaji. Zawiózł ich do Badaunu autobus. Zostawiłem im opiekuna.

- No to teraz zła wiadomość.

- Tiwariji przekazał mi informację, że partie opozycyjne postanowiły nie poprzeć twoich starań o stanowisko premiera.

- Co? Z wszystkimi rozmawiałem. Nie mieli do mnie żadnych zastrzeżeń. Sam Tiwari chwalił moją decyzję.

- To nie ma nic wspólnego z tobą, Bhaiyyaji. Chodzi o Vicky'ego.

- To znaczy?

- Cały ten hałas w telewizji, w innych mediach, społeczeństwo poruszone. W rezultacie posłowie się wystraszyli. Uważają, że jak cię poprą, to sami się pobrudzą.

- *Arrey*, wszyscy ci skurwiele mają brudne ręce i nieczyste sumienia. Już bardziej chyba się pobrudzić nie mogą.

- Wiem, Bhaiyyaji, ale to nie jest tylko wykręt. Oni naprawdę myślą, że powinieneś poczekać, aż to się uspokoi, zniknąć z życia publicznego, pozwolić sprawie ucichnąć. Tiwari mówi, że w tej chwili może być za przywróceniem cię na stanowisko ministra spraw wewnętrznych, ale nie za tym, żebyś został premierem. Niezależni, z którymi rozmawiałem, są tego samego zdania. Vicky to twój największy problem.

- To co teraz?

- Tiwari mówi, że pójdziesz do premiera jako twój wysłannik i pomoże wynegocjować kompromis. W zamian chce dziesięć milionów.

- To śmieszne. Dlaczego miałbym mu płacić za odzyskanie stanowiska, które zgodnie z prawem jest moje? Przecież nie zostałem skazany.

- Bhaiyyaji, czasem za grzechy syna cierpi ojciec. Bez teki ministra spraw wewnętrznych jesteśmy słabsi, premier w każdej chwili może kazać policji zacząć cię gnębić. Teraz nie mamy nawet ochrony dyrektora generalnego. Moim zdaniem powinniśmy przyjąć propozycję Tiwariego.

- Dobrze, ale powiedz mu, że na wypłatę musi trochę poczekać.
- W porządku, Bhaiyyaji. Liczy się twoje słowo.

- *Jaaneman*, wciąż jesteś w Delhi?

- Tak. Po Lucknow to ożywcza zmiana. Delhi tętni życiem, w porównaniu z nim Lucknow jest jak cmentarz.

- Nie mów tak, Seema. Przecież ja tu jestem. Strasznie za tobą tęsknię. Nawet Guruji wyjechał, do jakiejś Bolandii.

- Holandii, panie ministrze, Holandii.

- Bola czy hola, co za różnica? Tylko ty mnie obchodzisz. Kiedy wracasz?

- Nieprędko.

- To może ja przyjadę do Delhi? Spotkamy się w jakimś przyjemnym hotelu.

- Nie, nie. Odezwę się, jak tylko skończę pracę.

- Dobrze, *jaaneman*. Teraz daj mi buzi.

(*Odgłos pocałunku*)

- Tu Tripurari. Tiwari się wywiązał. Kompromis zawarty. Góra przywróci cię na stanowisko ministra, pod warunkiem że nie będziesz się domagał premierostwa i publicznie zadeklarujesz poparcie dla premiera.

- Prędzej trupem padnę.

- A masz jakiś wybór, Bhaiyyaji? Już wiadomo, że wprawdzie potrafisz obalić premiera, ale brak ci sił, żebyś mógł sam nim zostać. Proszę, zgódź się na ten drobny warunek. Zredaguj coś, co nie narazi na szwank twojej godności.

- Wolałbym nie dożyć tego dnia.

- Gdybyś nie miał takiego syna, Bhaiyyaji, dziś byś siedział w fotelu premiera. Kto wie, może nawet pewnego dnia mógłbyś zostać premierem kraju? Na razie musimy jednak poskromić swoje ambicje.

- Więc pierwszą rundę wygrał premier.

- Niezupełnie. Powiedziałbym, że Operacja Mat skończyła się patem.

- Nigdy się nie pogodzę z porażką. Jeszcze będzie mat, zobaczysz.

- Gratuluję ci powrotu, tato. Już się martwiłem, jak bez ciebie na tym stanowisku będę jeździł swoim nowym lamborghini dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę po Noidzie. (*Śmiech*)

- Vicky, nie masz pojęcia, jak bardzo mi zaszkodziłeś. Ale dla ciebie byłbym... nieważne. To co, przygotowania do przyjęcia dwudziestego trzeciego marca w toku?

- Oczywiście, tato. Właśnie rozsyłałyśmy zaproszenia. Moja głupia sekretarka popełniła jednak wielką gafę. Użyła starego spisu adresów i w rezultacie wysłała także na przykład do Mohana Kumara i do Singhanii. Może powinienem do nich zadzwonić i cofnąć zaproszenie?

- Vicky, ty zawsze zatrudniasz sekretarki dla urody, nie dla rozumu. Już wysłanego zaproszenia nie można wycofać. To by było wbrew naszej kulturze.

- Ale Mohan Kumar kompletnie oszalał, a Singhania to teraz mój rywal w interesach.

- Znasz stare powiedzenie: bądź z przyjaciółmi blisko, a z wrogami jeszcze bliżej. A poza tym Kumar jako Baba Gandhi może nam dostarczyć niezłej rozrywki.

- Jak wspomniałeś o Gandhim, nasunęło mi się pytanie, czy powinienem się niepokoić tym gadaniem o możliwości rewizji.

- To się wypali, Vicky. Jak zresztą wszystko, nawet synowska miłość do ojca.

- Wciąż jesteś zły, że ci nie mogłem wysłać pieniędzy?

- Nie, Vicky. Nigdy nie rozpamiętuję przeszłości.
- A, tato, znasz dziewczynę, która się nazywa Seema Bisht?
- Tak, bardzo dobrze. Jest reporterką w trzeciorzędnej stacji Mashaal. A ty skąd ją znasz?
- Przyjechała do mnie wczoraj wieczorem, wspomniała o tobie.
- Faktycznie, mówiła, że się wybiera do Delhi. Zrobiła z tobą wywiad?
- Zrobiła znacznie więcej niż wywiad. Starła się zdobyć rolę w moim następnym filmie.
- I co ty na to?
- A jak myślisz? (*Śmiech*) Wyglądała na dobrą w łóżku. I aż przebierała nogami.
- (*Długie milczenie*)
- Tato?

- Cześć, tu Seema. Od dwóch dni próbuję się do ciebie dodzwonić. Gratulacje, panie ministrze.
- Nie waż się do mnie więcej dzwonić, ty tania dziwko!

- Halo, halo...
- Dziękujemy za telefon do hotelu Novotel. Czym mogę służyć?
- Czy to numer 00-31-20-5411123?
- Tak. Czym mogę służyć?
- Proszę z pokojem 567.
- Chwileczkę, łączę.
- Biip, biip, biip*
- Halo, kto mówi?
- Halo, czy mogę mówić z Guruji?
- Guruji jest teraz zajęty. Nie chce, żeby mu przeszkadzano.
- Rozumiem. Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Jagannath Rai z Lucknow. W bardzo pilnej sprawie.
- (*Szept*) Guruji, dzwoni jakiś Jagannath Rai. Mówi, że chce z tobą pilnie rozmawiać.

- Daj mi słuchawkę i idź do łazienki. (*Cisza*) Dzień dobry, Jagannath. Więc wytropiłeś mnie nawet w Amsterdamie? (*Śmiech*) *Jai Shambhu*.

- *Jai Shambhu*, Guruji. Co to za kobieta odebrała telefon?

- To jest... siostra Reena. Koordynatorka działań w Europie. Ale mów o sobie. Jak się miewasz?

- Od kilku dni miewam bardzo złe myśli.

- Nie ma w tym nic niezwykłego. Ci, którzy nie pojęli fundamentalnych prawd istnienia, są skazani na cierpienie z powodu negatywnej energii.

- Czuję, że jestem zwodzony i że tylko ty możesz mi wskazać właściwą drogę. Jak Kriszna Arjunie, który przyszedł do niego po boską radę na polu bitwy pod Kurukszetą¹²⁷. Przychodzę do twojego schronienia, Guruji, choć jestem o tysiące kilometrów od niego.

¹²⁷ Jest to aluzja do hinduskiej epepei „Mahabharata”.

- Dezorientacja umysłu niszczy rozsądek, Jagannath. Umysły są dezorientowane przez złudzenia. Złudzenia biorą się z gniewu. Coś cię złości?

- Złości mnie wiele rzeczy, Guruji. Wiem, że zawsze mi radziłeś unikać napięć. Ale polityka to napięcia. Nic na to nie poradzę.

- Powiedz, jak przebiega twoja kampania o stanowisko premiera. Czytałem w „Times of India”, że masz poparcie wielu posłów.

- To stara wiadomość, Guruji. Zostałem na nowo ministrem spraw wewnętrznych.

- Och, wspaniale. Więc mogę wracać do Indii? Będziesz mógł cofnąć nakaz aresztowania?

- Nie od razu, Guruji. Muszę pokonać pewne trudności. Ale mam plan, dzięki któremu wkrótce zostanę premierem.

- Dobrze. Więc wrócę, jak już będziesz premierem. Jaki to plan?

- Nie chcę się teraz w to zagłębiać, Guruji. Wolę, żebyś ty mi powiedział coś znacznie ważniejszego, coś fundamentalnego. Chcę wiedzieć, jaka jest prawda o istnieniu, o życiu.

- (*Śmiech*) Wszyscy chcemy to wiedzieć.
- Guruji, poznaliśmy się dawno, dużo wcześniej, nim się zająłem polityką. Powiedz, czy zabicie kogoś to najgorsza rzecz, jaką można zrobić?
- (*Śmiech*) Zabicie czego? Ciała? Jagannath, wciąż ci powtarzam, że to ciało, tak jak ten świat, jest *mithya*, fałszywym wyobrażeniem, niczym róg królika czy woda w fatamorganie. Istnieje tylko chwilowo. I tak musi umrzeć.
- To dlaczego rozpaczamy po zmarłych?
- Mądrzy nie oplakują ani żywych, ani umarłych, bo jeśli ktoś się urodził, na pewno umrze, a jeśli umarł, z pewnością się urodzi. Zatem tylko głupcy żałują tego, co jest nieuchronne.
- I choć ciało umiera, dusza nigdy nie umiera?
- Tak, zgadza się. Dusza się nie rodzi, jest wieczna, niezmienna, pierwotna. Ciało ulega zniszczeniu, *atma* nie.
- Więc jeśli ktoś został zabity, w rzeczywistości nie umiera, tylko zyskuje inne ciało, prawda?
- Właśnie. Człowiek, który wie, że *atma* jest niezniszczalna, wieczna, nieurodzona, nikogo nie zabija ani nie powoduje niczyjej śmierci.
- Nawet jeśli zabijana osoba jest bliskim krewnym?
- Nie ma czegoś takiego jak krewny. Zasadą prawdziwego jogina jest dystans, brak przywiązania do syna, żony, rodziny, domu. Jego umysłu nie zakłóca smutek.
- Rozproszyłeś moje wątpliwości, Guruji, rozjaśniłeś mi w głowie.
- Przypomnij sobie, co Kriszna powiedział Arjunie: „Nie smuć się, albowiem uwolnię cię od wszelkiego grzechu”.
- Naprawdę mnie uwolniłeś, Guruji.
- Muszę już iść, Jagannath. Mam prelekcję. Spróbuj coś zrobić z tym nakazem. Nie mogę zostać za granicą na zawsze. Zresztą moja schengenśka wiza wygasa za dwa miesiące. Dowiedziałem się, że ten sukusyn Brahmdeo w wywiadzie dla Kanału Wiary obsypał mnie wszelkimi możliwymi zarzutami. Moje podejrzania były słuszne.

- Nie martw się, Guruji. Jak tylko zostanę premierem, pojawi się nakaz aresztowania Swamiego Brahmdeo. *Jai Shambhu.*

- *Jai Shambhu.*

- Mukhtar?

- Tak, szefie. - Jesteś w Lucknow?

- Tak, szefie.

- Powiedz mi, Mukhtar, jesteś pobożnym muzułmaninem?

- Nie bardzo, szefie. W każdym razie staram się pamiętać o *namaz*¹²⁸ przynajmniej w piątek.

¹²⁸ *Namaz* - codzienna modlitwa muzułmanów; zwykle to słowo oznacza pięć modlitw.

- Ale na pewno znasz pojęcie ofiary. Słyszałeś o Abrahamie?

- Jak każdy muzułmanin, szefie. To był wielki człowiek gotów złożyć syna w ofierze, by zadowolić Allacha.

- To musiało być dla niego bardzo trudne. Tak samo jak dla mnie robota, którą zamierzam ci zlecić.

- *Hukum.* Jestem gotów. Co to za robota?

- Nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon. Możesz zaraz do mnie przyjechać?

- Już jadę, szefie. *Khuda hafiz.*

- *Khuda hafiz.*

11.

LISTOWNE NARZECZEŃSTWO

Samolot United Airlines wylądował na lotnisku w New Delhi dokładnie o trzeciej po południu. Wszyscy pasażerowie tak się spieszyli do wyjścia, jakby na zewnątrz ktoś rozdawał darmowe cukierki. Ja powoli zapakowałem do torby kolorowe firmowe czasopismo i instrukcję o środkach bezpieczeństwa, a nawet skorzystałem z toalety, kiedy już samolot był pusty.

Przy stanowiskach kontroli paszportowej czekały tłumy, a facet w moim okienku był powolniejszy niż zółw o trzech nogach. Co jakieś dziesięć minut pił herbatę albo ucinał sobie pogaduszkę z kolegami. Kiedy przyszła moja kolej, zaczęło mi już brakować cierpliwości.

- Dzień dobry panu - powiedział i otworzył mój paszport. Popatrzył na mnie, na zdjęcie i jeszcze raz na mnie. - Czy to pana paszport?

- Tak - powiedziałem.

- Hm, wygląda pan inaczej niż na zdjęciu.

- To dlatego, że mama powiedziała: wyślij najlepsze zdjęcie. No to wysłałem najlepsze. Tak się składa, że ono jest jeszcze ze szkoły.

- Proszę poczekać - powiedział i poszedł się naradzić z brygadzi-
stą. Wrócił po dziesięciu minutach. - Przykro mi, ale nie możemy pana
wpuścić do Indii. Podejrzewamy, że ma pan fałszywy paszport. Musimy
pana deportować do Stanów Zjednoczonych. - Oddał mi paszport i
pokazał ławkę w kacie. - Proszę tam usiąść.

- Co takiego? - krzyknąłem. - Serio? Nie, pan mnie nabiera. Tu na mnie czeka ślub.

Pokręcił głową.

- Nic na to nie poradzę.

- Proszę tak nie mówić. Przyjechałem aż z Waco, do narzeczonej. Na pewno może pan użyć swoich wpływów - powiedziałem błagalnym tonem.

- Wie pan... - rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy ktoś nie słucha - chyba mógłbym panu pomóc, gdyby pan pomógł mnie.

- Zrobię, co pan powie.

- Kolekcjonuję zagraniczne banknoty - wyszeptał. - Mam wszystkie z Ameryki oprócz studolarowego. Może mi pan dać studolarowy banknot? Proszę go włożyć do paszportu.

Podziękowałem Bogu, że gościowi nie brakowało w kolekcji tysiącdolarówki, bo sam takiego banknotu nie widziałem na oczy, i natychmiast wyciągnąłem z portfela setkę. Włożyłem ją do paszportu i mu go podałem, a on go szybko ostemplował i mi zwrócił.

- Miłego pobytu w Indiach, panie Page - powiedział z uśmiechem. Zajrzałem do paszportu. Zielony zniknął.

Czekałem dwadzieścia minut, aż na karuzeli z bagażem pojawił się mój delsey, następnie dziesięć zabrała mi wymiana dolarów na rupie. Potem, zdenerwowany jak kot z długim ogonem w pokoju pełnym foteli na biegunach, wyszedłem z budynku terminalu.

Indie przywitały mnie falą gorącego powietrza. Paliło bardziej niż paprykowy pudding. Wszędzie było mnóstwo ludzi i wszyscy krzyczeli i machali rękami. Klaksony ryczały, szoferzy w uniformach biegali z plakatami, faceci w brązowych koszulach pytali każdego „Taxi? Taxi?”.

Zacząłem w tłumie szukać Sapny. Choć było tam dużo dziewcząt, żadna nie wyglądała jak ona.

Czekałem na chodniku trzy godziny, ale przyszła panna młoda się nie pojawiła. Pasażerowie się rozeszli, lotnisko prawie opustoszało. Poszedłem na postój taksówek, zastanawiając się, czy ona czasem nie czeka gdzieś na zewnątrz, i wtedy ją zobaczyłem. Stała w czerwonym sari, z

dłońmi złożonymi w *namaste*, z szyją obwieszoną biżuterią i przyklejonym do twarzy szerokim uśmiechem. Obok jej zdjęcia biegły wielkie niebieskie litery: WITAJ W INDIACH.

Nie jestem płaczkliwym facetem. Ostatni raz płakałem w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym, kiedy Mankind (czyli Mick Foley) przegrał z Undertakerem w słynnym meczu „Piekło w klatce” zorganizowanym przez Światową Federację Wrestlingu. Jednak w tym momencie ścisnęło mnie w gardle. Miałem ochotę pobiec do mamy, przytulić się jej do kolan i się wypłakać. Żałowałem, że ten od paszportów nie odesłał mnie z powrotem. Żałowałem, że w ogóle przyleciałem do Indii. Ale jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Zaczynało się ściemniać i musiałem znaleźć miejsce, gdzie bym się mógł zatrzymać. Powoli ruszyłem w stronę żółto-czarnej taksówki.

Kierowcą był gość w turbanie, z gęstymi czarnymi wąsami i wielką brodą.

- Może mnie pan zawieźć do jakiegoś taniego hotelu? - zapytałem.
- Oczywiście, proszę pana. Znam miejsce akurat dla pana. Z jakiego kraju pan przyjechał?
- Z Ameryki - powiedziałem.
- Lubię Amerykanów. - Pokiwał głową. - Połowa mojej wioski mieszka w New Jersey. Pan pierwszy raz w New Delhi?
- W ogóle pierwszy raz w Indiach - odpowiedziałem.
- Więc niech pan wsiada, proszę pana. - Otworzył mi drzwi, walizkę i torbę schował do bagażnika.

Obicia siedzeń były podarte, w taksówce coś dziwnie pachniało. Deskę rozdzielczą zdobiły obrazki przedstawiające starców z siwymi brodami¹²⁹. Kierowca włączył taksometr i ruszyliśmy.

¹²⁹ To mogły być wizerunki sikhijskich guru.

New Delhi wydało mi się większe niż Waco, a ruch na ulicach był niesamowity. Oprócz samochodów osobowych widać było autobusy, motocykle, skutery i jeszcze jakieś dziwne pojazdy - taksówkarz powiedział, że się nazywają riksze - wszystkie jadące tuż obok siebie, a

jednak się niezderzające ani niezabijające ludzi idących po jezdni. Nagle ujrzałem toczącego się w naszym kierunku potężnego szarego słonia.

- Hej, czy ten gość uciekł z zoo? - spytałem zaskoczony.

- Nie, proszę pana - powiedział kierowca ze śmiechem. - My tu nie potrzebujemy zoo. W mieście spotka pan zwierzęta, jakie tylko pan zechce. Tam - wskazał ręką jakiś punkt w oddali - można zobaczyć bawoły i krowy.

Jechaliśmy jak wariaci prawie dwie godziny. W pewnym momencie wydawało mi się, że wróciliśmy na lotnisko. Zacząłem się niepokoić, ale taksówkarz się roześmiał.

- Miasto jest bardzo daleko od lotniska, ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, proszę pana. Niech się pan nie martwi, dojedziemy. W Indiach musi się pan nauczyć cierpliwości.

W końcu zawiózł mnie na targowisko oświetlone żółtymi żarówkami i białymi neonówkami. Zobaczyłem wąskie alejki pełne ludzi i krów. Pokryci kurzem mężczyźni ciągnęli drewniane wózki ze stosami wypełnionych czymś worków. W rozklekotanych rikszach jechały tłuste kobiety. Motoriksze śmigały jak samochodziki do zabawy. Między nimi przemykały we wszystkie strony rowery, metalicznie pobrzękując dzwonekami. Na targowisku znajdowało się mnóstwo sklepików z owocami i innymi artykułami spożywczymi, z telewizorami, książkami. W każdym wolnym miejscu wisiały tablice reklamujące wszelkie możliwe rzeczy - od sufitowych wentylatorów po pachnące olejki. Przekrzywione pod różnymi kątami, wyglądały, jakby za chwilę miały spaść na przechodzących dołem ludzi.

Taksówka stanęła przed rozpadającym się żółtym budynkiem. Na szyldzie było napisane „Pensjonat Ruby'ego, Paharganji” oraz „Przyzwoite luksusowe higieniczne kfatery dla turystów”.

- To pana hotel. Bardzo dobry i za rozsądną cenę - powiedział kierowca i kazał sobie zapłacić tysiąc rupii.

Już miałem wejść do środka, ale zagroziła mi drogę wielka, spasiona krowa.

Sio, powiedziałem, ale ona tylko potrząsnęła łbem. Popchnąłem ją torbą i w tej samej chwili poczułem, że lecę. Z hukiem wylądowałem na rowerze, który ktoś zostawił na ulicy. Krowa znów była przy mnie, parskając i bijąc kopytami. Rozejrzałem się z nadzieją, że ktoś mi pomoże, ale stojący wokół ludzie tylko się roześmiali. Powoli wstałem, otrzepałem spodnie i zrobiłem krok w stronę hotelu, ale krowa mnie nie przepuściła. Polubiła mnie jak sęp padlinę.

Uratował mnie uliczny sprzedawca z wózkiem bananów. Krowa zaryczała i ruszyła za nim. Szybko wszedłem do budynku.

W recepcji stała postrzępiona sofa, na podłodze leżał wytarty dywan, w kącie zdychały kwiatki. Kierownikiem był przymilny młody człowiek z przylizanymi czarnymi włosami.

- Witam pana w naszym pięciogwiazdkowym pensjonacie - powiedział, gdy mnie zobaczył. Kazał mi zapłacić dwa tysiące rupii tygodniowego zadatku i bez żadnych ceregieli przydzielił pokój numer czterysta jedenaście na pierwszym piętrze. Chłopiec ubrany w brudne majtki wziął moją walizkę i po skrzypiących schodach poprowadził mnie na górę.

Pokój był z tych, których lepiej nie opisywać w liście do domu. Klitka z jednoosobowym łóżkiem, stolikiem i krzesłem, szarymi ścianami i lichym dywanem. Do pokoju przylegał kibel, w którym oprócz śmierdzącego sedesu był kran, kubel i kubek.

- Śniadanie od siódmej trzydzieści tam gdzie telewizor - powiedział chłopiec i położył walizkę na stoliku. - Chce pan coś? Jedzenie? Dziewczynę? Kokę? Skręta?

- Mam ochotę na kokę - powiedziałem po namyśle.

- Pięćset rupii - zażądał. Wychodziło ponad dziesięć dolarów za puszkę! Co za ceny mają w tych Indiach, pomyślałem. Rozstałem się z pieniędzmi niechętnie.

Kiedy chłopiec wyszedł, rozsunałem ciemnozielone zasłony i wyjrzałem przez okno. Moje oko powitała wisząca nad ulicą jak dach płatanina przewodów biegnących od budynku do budynku. Dość, żeby porazić prądem cały Teksas. W powietrzu wisiało coś jakby czarny dym.

W radiu leciała hinduska piosenka. Jak ja tu będę spał?, pomyślałem.

Chłopiec wrócił po dziesięciu minutach i wręczył mi zawiniętą w folię paczuszkę z białym proszkiem.

- Co to jest, do diabła? - spytałem. - Prosiłem o kokę.

- To koka. Najwyższego gatunku - odpowiedział i wybiegł z pokoju.

- Czekaj no! - krzyknąłem, ale już nie było po nim śladu. Powąchałem proszek. W ogóle nie pachniał koką. Zacząłem się zastanawiać, czy nie trzeba go rozpuścić w wodzie, gdy z hukiem otworzyły się drzwi i wpadł policjant.

- Niech się pan nie rusza - rozkazał groźnym głosem. - Co pan tam ma?

- Nie wiem. Prosiłem o kokę, a dostałem to - powiedziałem i rozłożyłem ręce.

- Aha! Więc się pan przyznaje, że prosił pan o kokainę?

- O kokainę? Co pan!

- Niech pan nie udaje niewiniątka. Jak w Paharganju cudzoziemiec prosi o skręta, to ma na myśli marihuanę, a jak o kokę, to chodzi o kokainę. Ale w tym kraju posiadanie kokainy to poważne przestępstwo. Pójdzie pan na dziesięć lat do więzienia.

Dziesięć lat w pudle? Za to, że zamówiłem kokę? O mało się nie porzygałem.

- Idziemy. Zabieram pana na komisariat - oznajmił gliniarz i wyjął z kieszeni kajdanki.

Na widok kajdanków aż podskoczyłem i w tym momencie przypomniałem sobie, co się wydarzyło na lotnisku. Błyskawicznie wyciągnąłem z portfela studolarówkę i machnąłem nią gliniarzowi przed nosem.

- Może chce pan taki drobiazg do swojej kolekcji?

Oczy mu się zaświeciły. Chrząknął i wyrwał mi banknot.

- Tym razem panu daruję. Niech pan nie épa w Indiach - powiedział ostrzegawczo, schował paczuszkę z proszkiem do kieszeni i wyszedł. Schodząc po schodach, stukał pałką w poręcz.

Padłem na łóżko, kompletnie tym wszystkim wykończony. Pierwszy raz za granicą, wystawiony do wiatru przez dziewczynę, w której się zakochałem, prawie odesłany z lotniska do domu, ubodzony przez krowę i niemalże aresztowany.

Otworzyłem brązową kartonową teczkę i wyjąłem zdjęcia, które dostałem pocztą. Spojrzałem tej kobiecie - Sapnie, Shabnam - w oczy i spytałem: Czemuś mi to zrobiła?

Rano obudził mnie łopot skrzydeł. Otworzyłem oczy. Obok łóżka dziubdziały się dwa gołębie. Spłoszone, wyfrunęły przez okno. Wychyliłem się, żeby zobaczyć poranek. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale dla ludzi na ulicy dzień już się zaczął. Małe dziewczynki napelniały wodą z kranu dziesiątki plastikowych butelek. Jakiś mężczyzna w majtkach w paski mył się na chodniku. Stał obok plastikowego wiaderka, namydlał się i polewał wodą z kubka.

Trochę później ja też się rozebrałem i wszedłem do łazienki. Odkręciłem kran na cały regulator - pociekła cienka, letnia strużka. Po pięciu minutach przestała ciec. Zdażyłem się umyć do połowy. Teraz już wiedziałem, dlaczego w tym mieście woda jest cenniejsza niż złoto.

Po śniadaniu poszedłem do recepcji.

- Skąd mogę zadzwonić do Ameryki? - zapytałem kierownika.
- Z RP, proszę pana.
- Co to jest?
- Rozmównica publiczna. Pełno ich w okolicy. To najlepsze miejsca do rozmów z zagranicą. I są czynne całą dobę.

Więc wyszedłem na ulicę i okazało się, że RP jest w co drugim sklepie. Paharganj miał więcej budek telefonicznych niż Houston lokali ze striptizem. Wszedłem do pierwszej lepszej i wykręciłem numer mamy. Ucieszyłem się, jak usłyszałem jej głos.

- Larry, kiedy przywieziesz moją śliczną synową do domu? - zapytała podniecona. - I nie zapomnij przysłać zdjęć ze ślubu.

Dzwoniłem, żeby jej powiedzieć, że ślubu nie będzie, ale nagle zabrakło mi odwagi.

- Nie zapomnę, mamó. U mnie wszystko w porządku - wydukałem i się rozłączyłem.

Jak tylko otworzono targowisko, zacząłem się rozglądać za biurem podróży, żeby zarezerwować powrót. Na szczęście w niedalekim kompleksie ciasnych pomieszczeń biurowych szybko znalazłem Lucky Travel and Tours. Sympatyczny właściciel dokładnie obejrzał mój bilet, a potem długo stukał w klawiaturę komputera.

- Przykro mi, panie Page - powiedział w końcu, kręcąc głową. - Pana bilet należy do najtańszych i w tej kategorii nie ma już w najbliższym czasie wolnych miejsc. Jak pan wie, jest właśnie szczyt sezonu turystycznego. Najbliższy termin, na jaki mogę panu zarezerwować miejsce do Chicago, to dwudziesty czwarty listopada.

- Ale to jeszcze tyle czasu! - krzyknąłem. - Chcę wrócić jak najszybciej, najlepiej dzisiaj.

- Więc musi pan kupić nowy bilet, w jedną stronę. Mamy specjalną ofertę Tajikistan Airlines. Lot z Delhi do Nowego Jorku przez Duszanbe będzie pana kosztował trzydzieści tysięcy rupii.

Zajrzałem do portfela.

- Mam tylko trzynaście.

- Przykro mi, ale w takim razie będzie pan musiał poczekać do dwudziestego czwartego listopada. Życzę panu miłego pobytu w naszym kraju.

Wyszedłem wściekły jak osa i wtedy zauważyłem tabliczkę z napisem „Agencja Detektywistyczna Shylock. Specjalność: sprawy małżeńskie”. Oczy mi się zaświeciły. Prywatny detektyw - tego mi było trzeba.

Zapukałem do drzwi i tabliczka prawie odpadła. Kiedy próbowałem ją przykleić, drzwi zaskrzypiały i się otworzyły.

Znalazłem się w pokoju, który wyglądał jak po huraganie. Wszędzie leżały tekturowe pudła, na podłodze były porozrzucane różne rzeczy - zdjęcia w ramkach, segregatory, mnóstwo gazet, nawet młotek i kilka

śrubokrętów. Ściany chyba nie były malowane od lat, śmierdziało, jakby ktoś tam systematycznie sikał. W powietrzu wisiała chmura dymu, przez chwilę nawet myślałem, że to pożar.

- Wchodź, wchodź, przyjacielu - usłyszałem głos.

Poszedłem w jego kierunku. Chmura się rozstąpiła i zobaczyłem starszawego Hindusa w tweedowej marynarce i brązowej czapce. Siedział za biurkiem, jedną ręką dłuwał sobie w ucho, w drugiej trzymał fajkę.

Na mój widok wyrzucił wyjętą z ucha pałeczkę higieniczną, otrzepał marynarkę i wstał.

- Witam w Agencji Detektywistycznej Sherlock. Jestem jej właścicielem, nazywam się Gupta. Czym mogę służyć?

- Mógłby pan kogoś znaleźć? - spytałem.

- To trywialnie proste, drogi Watsonie - powiedział i pyknął z fajki.

- Page.

- Co?

- Nie nazywam się Watson. Jestem Larry Page.

- Ależ tak, oczywiście. - Pyknął jeszcze raz. - Więc któż to jest ta osoba, którą miałbym odszukać, panie Larry?

- Przeprowadzka? - Pokazałem pudła.

- No cóż, to niezupełnie jest Baker Street. A ci tutejsi idioci nie znają angielskiego choćby na tyle, żeby poprawnie napisać nazwę mojej agencji. Ale niech się pan nie niepokoi, nigdzie się nie przeprowadzam. To tylko remont. Zechce pan usiąść?

Przycupnąłem na krześle, które wyglądało, jakby się miało za chwilę pode mną rozpaść.

- Czy mógłby pan znaleźć dziewczynę, która mi przysłała te zdjęcia? - zapytałem i podałem mu brązową teczkę.

Szybko je przejrzał i zmarszczył czoło.

- To nasza sławna aktorka Shabnam Saxena. Dlaczego chce ją pan znaleźć? - spytał.

No więc opowiedziałem mu historię swojej przyjaźni z Sapną Singh i wyjaśniłem, dlaczego przyjechałem do Indii.

- Cy, cy - cmoknął i pokręcił głową. - Ta Sapna faktycznie wystrychnęła pana na dudka, panie Larry. Czego pan ode mnie oczekuje?

- Że pan ją znajdzie. Zanim wrócę do Stanów, chciałbym się z nią chociaż raz spotkać. Odszuka ją pan dla mnie?

- Oczywiście. Mogę nawet znaleźć Osamę bin Ladeną, jeśli mnie rząd poprosi. Ma pan jakieś listy od tej dziewczyny?

- Tak. - Wyjąłem z torby gruby plik. - Mogę panu dać jej adres, ale obawiam się, że listów nie będę mógł pokazać. Są zbyt prywatne.

- A ja jestem prywatnym detektywem. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu i wyrwał mi listy z ręki. - Hm - mruknął, przeczytawszy kilka. - Użyto skrytki pocztowej w Delhi. Bardzo sprytne. Ale ja jestem sprytniejszy. Panie Larry, może pan uważać zlecenie za wykonane. Za kilka dni będę miał dokładne informacje o tej dziewczynie. Naturalnie to będzie pana kosztować.

- Ile?

- Moja normalna stawka wynosi dziesięć tysięcy rupii, ale ponieważ jest pan gościem w naszym kraju, dam panu pięćdziesiąt procent niżki. Więc pięć tysięcy rupii. Połowa z góry, druga, kiedy skończę śledztwo.

Wyjąłem portfel i odliczyłem dwa tysiące pięćset rupii.

- Dobrze. - Kiwnął głową i wypuścił z ust kłęb dymu. - Niech pan przyjdzie w poniedziałek ósmego października.

Wróciłem do hotelu, ale wcześniej sprawdziłem, czy nie spotkam tej złośliwej krowy. Leżała na środku drogi jak wyspa na rzece, na szyi miała girlandę ze świeżych aksamitek. Samochody i skutery trąbiły, rowerzyści kłęli, a ona leżała jak królowa i żuła plastikową torbę. Pokręciłem głową z rozpaczą nad tym krajem, w którym krowy traktuje się jak boginie. U nas już dawno byłyby z niej steki.

W hotelu poszedłem do sali telewizyjnej. Był tam już jakiś człowiek. Siedział w fotelu, na kolanach trzymał poduszkę. Miał jasną cerę, brązowe oczy i rzadką brodę.

Telewizor był włączony na CNN. Pokazywali jakieś gruzy na ulicy, a potem zakrwawionych i obandażowanych ludzi w szpitalu.

- Co się stało? - zapytałem.
- Jeszcze jeden samobójczy zamach bombowy w Bagdadzie. Siedemdziesiąt osób zabitych - odpowiedział krótko. - Larry Page z Ameryki, prawda?

- Tak - kiwnąłem głową. - Skąd pan wie?
- Zauważyłem pana nazwisko w rejestrze gości.
- A pan?
- Bilal Beg, z Kaszmiru.

Nie miałem pojęcia, gdzie jest Kaszmir, ale znowu kiwnąłem głową.

- Niech mi pan powie, panie Page, dlaczego pana kraj nie wychodzi z Iraku? - spytał niespodziewanie.

- Nie wiem. Może dlatego, że musimy złapać tego Saddama, albo coś.

- Ale Saddama dawno powiesili!
- Och, naprawdę? Wie pan, już będzie z rok, jak nie oglądałem CNN.

Spojrzał na mnie, jakbym mu ukradł portfel, i wyszedł.

Wieczorem zrobiłem błąd: poszedłem na kolację do pobliskiej restauracji. Jedzenie - rodzaj podplomyka z ziemniakami i marynowanymi warzywami w środku - było niesamowicie ostre i od razu popsuło mi żołądek. Po powrocie do hotelu musiałem szybko lecieć do kibla.

Piątek i sobotę spędziłem w pokoju, z najgorszym bólem brzucha, jaki miałem w życiu. Czuję się jak dziesięć kilo gówna w za małej torbie. Zaglądał do mnie tylko Bilal. Przyniósł nawet jakiś zielony syrop, który mi pomógł. W niedzielę rano, po dwóch dniach kiszenia się w pokoju z powodu sraczkę, aż się paliłem, żeby wyjść.

Ulice Paharganju były spokojniejsze. Nawet riksarze, którzy normalnie kursują od siódmej, chyba sobie zrobili przerwę. Dwaj spali z nogami na kierownicy. Dziewczynki jak zwykle stały przy miejskim kranie i napełniały butelki i wiaderka wodą.

Większość sklepów była zamknięta, ale małe restauracje działały. Jedna sprzedawała omlety wsadzone między dwie kromki chleba, w innej robili jakieś indyjskie słodczyce w kształcie precli, smażyli je w wielkiej kadzi pełnej oleju, a potem wrzucali do kotła z syropem. Dużo ludzi stało przy kuchenkach, na których wściekle bulgotały czajniki z wodą na herbatę.

Z jakiegoś powodu Hindusi lubią robić różne rzeczy pod gołym niebem. Widziałem uliczne zakłady fryzjerskie, gdzie golarze mydlili i golili klientów na oczach przechodniów, i warsztaty krawieckie składające się z krawca siedzącego na chodniku przy maszynie do szycia. Byli nawet ludzie, którzy na ulicy czyścili innym uszy. Widziałem, jak staruszek w brudnym ubraniu wpychał klientowi do ucha jakiś długi, spiczasty przedmiot. Natychmiast poczułem ból ucha.

Handlarz z wózkiem sprzedawał filmy na DVD. Ceny miał nie z tej ziemi. Za „Spidermana 3”, „Batmana 4” i „Rocky'ego 5” zapłaciłem, po przeliczeniu, po pięćdziesiąt centów!

Idąc dalej na południe, trafiłem na targ z warzywami i owocami, gdzie przy stosach pomidorów, cebul, cytryn i małych papryczek siedziały na jutowych dywanikach kobiety i starały się nawzajem przekrzyczeć. „Pomidory dwadzieścia rupii kilo!... Cytryny pięć za dwie!... Moje ziemniaki najlepsze!”. Miały wagi z pokrzywionymi miedzianymi szalkami i czarne żelazne odważniki. Pieniądze chowały pod dywanikami. Nagle coś mnie smagneło po twarzy. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie ta wstrętna krowa. Zanim zdążyła się ruszyć, zacząłem uciekać. Dziesięć minut później znalazłem się koło delhijskiego dworca kolejowego.

Na dworcu był inny świat. Indyjska bieda dzieliła mnie obuchem w łeb. Zobaczyłem całe rodziny żyjące na betonie w namiotach skleconych z plastikowej folii, i takie, które nie miały nawet tego. Jakiś człowiek leżał rozciągnięty na środku drogi jak pijak przed knajpą. Inny siedział na chodniku całkiem goły, oblepiony błotem, i się drapał.

Podeszła do mnie wymizerowana kobieta w zielonym sari i żółtej bluzce. Była chuda jak patyk, jej włosy wyglądały, jakby je uczesała trzepaczką. Prowadziła chłopczyka, który chyba od roku nic nie jadł - skóra i kości, zapadnięte oczy. Nic nie powiedziała, tylko złożyła dłonie w miseczkę i podniosła je od brzucha do ust. To wystarczyło, żebym wyjął portfel i dał jej pięćset rupii.

Ledwie zdążyłem to zrobić, otoczyła mnie gromada żebraków. Wzięli mnie na cel jak martwi faceci z „Nocy żywych trupów”. Żebracy bez kończyn i żebracy bez oczu, żebracy na deskorolkach odpychający się rękami i żebracy chodzący na rękach. Niczym sprzedawcy owoców chwalcący się swymi pomarańczami i jabłkami, pokazywali mi otwarte rany i wrzody pełne ropy, zniekształcone ręce i nogi i krzywe plecy, i wyciągali do mnie blaszane żebracze miseczki pogięte jak ich ciała. Nie mogłem iść dalej. Odwróciłem się i pobiegłem do hotelu. Zamknąłem się w pokoju i ukryłem twarz w poduszce.

W ciągu zaledwie trzech dni Delhi złamało mi serce, zważyło mnie z nóg i zepsuło mi żołądek.

W poniedziałek prywatny detektyw Gupta czekał na mnie ubrany identycznie jak przedtem, ale tym razem bez fajki. Większość pudeł zniknęła, pokój wydawał się pusty jak kościół w poniedziałek rano.

- Zgodnie z obietnicą znalazłem dziewczynę, która przysłała panu te listy - oznajmił, kiedy usiadłem.

- Kto to jest?

- Będzie pan zaskoczony. Listy napisała sama Shabnam Saxena.

- To znaczy ta aktorka?

- Właśnie.

- Skąd pan wie? Jest pan pewien?

- Zauważył pan, że używa swych inicjałów - S i S - również w fałszywym podpisie?

- A niech mnie! Nigdy bym na to nie wpadł.

- Dla wykwalifikowanego detektywa, takiego jak ja, to było oczywiste. Jednak dla pewności porównałem jej charakter pisma z tym, którym napisano listy do pana. Idealnie się zgadzają.

- Skąd pan wziął jej pismo?

- My Hindusi jesteśmy bardzo nowocześni. Zbudowaliśmy bomby atomowe, których nawet wasze CIA nie mogło znaleźć. Mamy też świetne bazy danych i jedna jest z próbkami pisma każdego Hindusa, który potrafi pisać. Zapewniam pana, panie Larry, że autorką tych listów jest Shabnam Saxena.

- Więc dlaczego nie czekała na mnie na lotnisku?

- To już jest trudniejsze pytanie. Sądzę, że najlepiej będzie, jak sam ją pan o to zapyta.

- Ale...

- Wiem, o czym pan myśli. Zastanawia się pan, dlaczego sławna aktorka mogłaby się chcieć zaprzyjaźnić ze zwyczajnym Amerykaninem, prawda?

- Tak. Dlaczego?

- Bo miłość nie zna przeszkód, panie Larry. Zrozumie pan to, kiedy panu opowiem historię życia Shabnam. Była małomiasteczkową dziewczyną o wielkomięjskich ambicjach. Urodziła się i wychowała w Azamgarhu w północnych Indiach, miasteczku słynącym z gangsterów. Jej ojciec był urzędnikiem bankowym, matka nauczycielką. Średnia z trzech córek, najładniejsza. Wciąż słyszała lamentsy rodziców nad losem, jaki je czeka. Martwili się, jak je wydadzą za mąż. Martwili się, bo nie wiedzieli, skąd wezmą pieniądze na posagi. Do dwunastej klasy Shabnam uczyła się w miejscowej szkole dla dziewcząt, a potem skończyła filozofię na uniwersytecie w Lucknow. Kiedy wróciła do Azamgarhu, miasteczko wydało jej się obskurne, brudne. Rodzice chcieli, żeby wyszła za mąż, ale propozycje małżeństwa składali chyba tylko miejscowi mafiozi. Kiedy Shabnam odrzuciła zaloty pewnego szczególnie brutalnego gangstera, który kursował między Azamgarhem i Dubajem, rodzicom zaczęto grozić śmiercią. Ponieważ wiedziała, że jeśli zostanie w

miasteczku, nieuchronnie czeka ją los dziewczyny, a w najlepszym razie żony gangstera, pewnej ciemnej nocy zabrała pieniądze z ojcowskiego portfela i uciekła do Bombaju, żeby spróbować szczęścia w filmie. Przez jakiś czas jej się nie wiodło, ale wreszcie dał jej szansę producent Deepak Hirani. Odniosła sukces, ale nie przyznaje się do swojego pochodzenia. Rodzice się jej wyrzekli, nie utrzymuje kontaktów z nikim z rodziny. Mieszka samotnie w Bombaju. Co z tego wynika?

- Nie mam pojęcia.

- Że jest spragniona miłości. Mi-ło-ści. Dlatego do pana napisała. Chce się z panem zaprzyjaźnić.

- Ale czemu w takim razie nie użyła prawdziwego nazwiska? I czemu wzięła ode mnie pieniądze? Przecież na pewno jest nieprzyzwoicie bogata.

- Bo chce pana sprawdzić. Gdyby pan wiedział, że jest sławną aktorką, pan też mógłby ją traktować jak Hindusi. Mężczyźni jej pożądają, ale ona chce, żeby pan ją kochał i szanował, panie Larry.

- No tak - pokiwałem głową - to zaczyna mieć sens.

- Być może próbuje przekazać panu w ten sposób jakąś informację. Może ma kłopoty. Może znów ją prześladowają jakieś typy z mafii. Dlatego jest zmuszona używać fałszywej tożsamości. Ona prosi pana o pomoc.

- Rany boskie! Pan chyba ma rację. Więc to ja mam się z nią skontaktować?

- Pewnie, że tak. Może właśnie na to czeka? Ma pan komórkę?

- Nie, jeszcze sobie nie kupiłem.

- To niech pan to zrobi, bo wyjątkowo mam dla pana numer telefonu Shabnam Saxeny. To jej prywatny numer, którego nikomu nie daje.

- Ściszył głos do szeptu. - Żeby go poznać, niektórzy byliby gotowi zabić.

- Naprawdę?

- Tak. Ale to jest płatne oddzielnie, drugie dwa tysiące pięćset rupii. Więc jeśli go pan chce, będzie mi pan musiał zapłacić teraz w sumie pięć tysięcy.

Zastanawiałem się najwyżej minutę. Wyjąłem z portfela pięć tysięcy, detektyw policzył banknoty i schował je do kieszeni.

- Niech pan zapisze - powiedział i zaczął czytać z kartki. - 9-8-3-3-8-1-2-3-4. Już? Zdobyłem ten numer z wielkim trudem, więc proszę go używać rozważnie.

- A mogę od razu spróbować zadzwonić z RP?

- Naturalnie, ale się pan nie połączy. Dowiedziałem się, że Shabnam wyjechała do Cape Town kręcić film. Kiedy wróci do Indii, jej komórka znowu będzie działać. - Splótl dłonie. - To chyba wszystko?

- Tak. Dziękuję za pomoc. - Wstałem.

- Życzę panu wszystkiego najlepszego, panie Larry - powiedział i energicznie potrząsnął moją ręką. - Pana przyjaciółka to dziewczyna marzeń każdego Hindusa. Bardzo panu zazdrości. Bardzo.

Wyszedłem z jego biura zadowolony jak świnia w gnoju. Wyglądało na to, że sprawy wreszcie mają się lepiej.

Jeszcze tego popołudnia kupiłem drogą nokię i kartę prepaid. W pokoju drżącymi palcami wystukałem numer. Słyszałem sygnał, ale nikt nie odbierał. Po chwili nagrany głos powiedział „Abonent jest obecnie niedostępny. Proszę spróbować jeszcze raz później”.

Rozłączyłem się rozczarowany. Detektyw miał rację. Muszę spróbować później. Cały tydzień później. Skrawek papieru z numerem Shabnam włożyłem do portfela i wtedy odkryłem, że już mam niewiele pieniędzy. Zostało mi tysiąc rupii i dwieście dolarów, a musiałem przeżyć w tym mieście jeszcze czterdzieści dni. Wieczorem zaczęłem przed telewizorem Bilala.

- Jak myślisz, nie szuka tu ktoś operatora wózka widłowego? Potrzebuję szybko pieniędzy.

- W Indiach nie musisz jeździć wózkiem widłowym. Więcej zarobisz jako nauczyciel angielskiego - powiedział. - Zaraz ci coś znajdę. - Wziął ze stolika gazetę i zaczął przeglądać. - O, może to. - Pokazał mi ogłoszenie w dziale „Dam pracę”:

„Dla czołowych firm OPB poszukujemy trenerów głosu i akcentu. Obowiązki: prowadzenie szkolenia doskonalącego z fonetyki, w razie

potrzeby także z gramatyki i kultury; codzienne obserwowanie postępów i ocenianie szkolonych. Kwalifikacje: doświadczenie ani przygotowanie zawodowe nie są wymagane, jedyny warunek to dobra znajomość amerykańskiej angielszczyzny. Oczekujemy CV i referencji. Praca dostępna od zaraz”. Prawie nic z tego nie rozumiałem.

- Co to, do diabła, jest OPB? - spytałem.

- Outsourcing procesu biznesowego. Dziwaczna nazwa tego, czym się zajmuje centrum telefonicznej obsługi klientów - powiedział Bilal. - Powinieneś dostać tę pracę bez trudu, musisz tylko mówić jak Amerykanin. - Powiedział też, że bym sobie nie zawracał głowy CV i referencjami, tylko po prostu poszedł na rozmowę.

Resztę tygodnia spędziłem na czekaniu na koniec tygodnia. Codziennie jakieś pięćdziesiąt razy dzwoniłem na numer Shabnam i za każdym razem słyszałem tę samą nagrany informację. W końcu straciłem cierpliwość i pomaszerowałem do Agencji Detektywistycznej Shylock. Na drzwiach wisiała kartka: „Pierwszorządne pomieszczenie biurowe do wynajęcia/sprzedania. Kontakt: Navneet Properties 9833345371”. Zadzwoiłem na ten numer i dowiedziałem się, że pan Gupta opuścił wynajmowany lokal i nie zostawił nowego adresu.

Po raz pierwszy zaświtało mi w głowie, że detektyw był oszustem i że pewnie wpuścił mnie w maliny. Ale Bóg nigdy nie zamyka jednych drzwi, nie otworzywszy drugich. W drodze powrotnej zauważyłem na stoisku z książkami czasopismo „Filmfare” ze zdjęciem Shabnam na okładce i je kupiłem.

Pani Henrietta Loretta, nasza nauczycielka w trzeciej klasie, uczyła nas o jednym zwariowanym facecie, który się nazywał Archicośtam i żył w kraju, który się nazywał Gracja. Ten gość dał nura do wanny i jako pierwszy odkrył, że jak się naleje za dużo wody, to ona się zacznie przelewać. Tak się tym podniecił, że wyskoczył z wanny goły jak go pan Bóg stworzył i zaczął krzyczeć „Eureka! Eureka!”. To właśnie miałem ochotę zrobić, kiedy przeczytałem artykuł o Shabnam Saxenie. Czasopismo w ogóle okazało się kopalnią cennych informacji. Była w nim

historia życia aktorki, słowo w słowo taka, jaką już znałem. Mój szacunek dla pana Gupty wzrósł o parę punktów. Co za dokładny facet. I były dwie informacje, których pan Gupta mi nie dał - adres Shabnam w Bombaju i data jej urodzin, siedemnasty marca, właśnie taka, jaką mi podała Sapna Singh. To mnie ostatecznie przekonało, że Sapna i Shabnam to jedna i ta sama osoba. Poczuję się taki szczęśliwy, że wyłopałem cztery puszki koki!

Wieczorem usiadłem przy stoliku, wziąłem kartkę papieru i zabrałem się do układania listu do Shabnam. Zacząłem tak: „Moja najdroższa, kochana Shabnam, myślę, że miłość jak nasza zdarza się tak rzadko jak kura z zębami”, i nim się obejrzałem, zapełniłem dwadzieścia stron. Włożyłem list do koperty, na kopercie napisałem „Bardzo poufne” i adres i rano od razu wysłałem.

Na drugi dzień napisałem następny list. To było już bardzo łatwe. Przez tydzień wydałem na znaczki więcej niż na jedzenie i musiałem pożyczyć pieniądze od Bilala.

- Lepiej weź tę robotę dla OPB - powiedział.

No więc dwudziestego piątego października włożyłem najlepsze ubranie i udałem się na Connaught Place na rozmowę. Znalazłem się w bajeranckim biurze z bardzo kolorowymi obrazami na ścianach, luksusowymi skórzanymi fotelami i ładną recepcjonistką.

Rozmowę prowadził łysiejący facet koło czterdziestki, Bill Bakshi. Siedział za błyszczącym stalowym stołem, miał na sobie dżinsy, bluzę Buffalo Bills i bejsbolówkę Yankees. Patrzył na mnie zdziwionym wzrokiem.

- Pan Larry Page... Spodziewałem się indyjskiego chrześcijanina z Goa, a pan jest chyba Amerykaninem. Mam rację? - Mówił jak ci cholerni jankesi z Nowego Jorku.

- Zgadza się. Jestem Amerykaninem. Od zawsze. To niedobrze?

- Nie... nie... wcale nie - powiedział szybko. - Kto lepiej nauczy amerykańskiego akcentu niż Amerykanin? Zakładam, że jest pan prawdziwym Amerykaninem, takim, który rzeczywiście mieszka w Ameryce.

- Tak, Indie tylko zwiedzam. Mieszkam w Waco w Teksasie. Uśmiechnął się, wyprostował nogi i założył ręce za głowę.
- Jak pan widzi, jestem kibicem Buffalo Bills. A pan, Larry? Interesuje się pan amerykańskim futbolem?
- No jasne! Jako facet ze wspaniałego stanu Teksas jestem kibicem Dallas Cowboys, jedynej drużyny w historii ligi, która zdobyła trzy superpuchary w cztery lata.
- A co pan myśli o Huston Texans?
- Przepraszam, ale to główniana drużyna.
- Dlaczego?
- Bo zawsze przegrywają. Mogli coś zdziałać w sezonie dwa tysiące cztery, ale przegrana dwadzieścia dwa do czternastu z Cleveland Browns przypieczętowała ich los. Od tamtej pory właściwie tylko tracą szansę. A to, że zamiast Reggiego Busha i Vince'a Younga wzięli Maria Williamsa, to największy błąd w historii naboru w lidze. Ten facet by nie trafił we wrota stodoły!
- No, no! Pan chyba zna historię ligi na pamięć. Ma pan jakieś doświadczenie zawodowe?
- Robiło się to i owo. Od prawie pięciu lat pracuję w Walmarcie.
- W Walmarcie? Jest pan przyjęty, panie Page. Witamy w firmie. - Wstał i uściśnął mi rękę.
- Rany, dziękuję. Ale co mam robić? To znaczy mógłby mi pan trochę powiedzieć o firmie?
- Oczywiście. Rai IT Solutions to firma OPB. Robimy różne rzeczy dla klientów z zagranicy. Sprzedajemy usługi telefoniczne, przyjmujemy skargi konsumentów, badamy rynek, rezerwujemy bilety lotnicze, obliczamy podatek dochodowy, załatwiamy roszczenia ubezpieczeniowe. Ale główna dziedzina naszej działalności to systemy informacji geograficznych. Naszym największym klientem jest ARA - American Roadside Assistance. Słyszał pan o nich?
- Tak, ale moja firma ma umowę z AAA.

- ARA jest bardzo podobna. Założmy, że jest pan klientem ARA. I przypuśćmy, że pana samochód się popsuł albo abonament wygasa, albo pan pobłądził w drodze.

- Mniej więcej gdzie?

- Wszystko jedno. Może pan się zgubić na Alasce czy na Hawajach. Mamy wszystkie atlasy samochodowe. Co pan robi, jak zabłądzi? Wykręca numer 1-800 i w ten sposób łączy się z naszym centrum w Gurgaonie. A my pomagamy amerykańskiemu klientowi. Chodzi o to, żeby nie wiedział, że rozmawia z Indianami. Klient powinien myśleć, że jego telefon odebrał Amerykanin w Ameryce. I tu jest zadanie dla pana.

- Cholera, szczerze mówiąc, nie jestem zbyt dobry we wskazywaniu drogi. Sam się zawsze gubię na 1-35. Kiedyś pomyliłem się o jeden zjazd i wylądowałem w Nowym Meksyku.

- Ale my nie chcemy, żeby pan dołączył do personelu obsługującego klientów. Chcemy, żeby pan uczył dobrego akcentu. Nowych pracowników ma pan uczyć wszystkiego o Ameryce - jak Amerykanie mówią, jak się bawią, co jedzą, co oglądają. Żeby jak Deepak z Moradabadu powie, że jest Derkiem z Milwaukee, amerykański klient w to nie wątpił. Sądzi pan, że może nam pan pomóc?

- Jasne. To małe piwo.

- Doskonale. No i proszę, Hindus nigdy by nie użył wyrażenia w rodzaju „małe piwo”. - Klepnął się w udo. - Biały Amerykanin jako nasz szkoleniowiec... Wygraliśmy los na loterii! - Nachylił się do mnie. - Mam nadzieję, że pan wie, że wszystkie centra obsługi klienta w Indiach pracują na nocną zmianę, od ósmej wieczorem do ósmej rano. Czy to nie będzie panu przeszkadzało?

- Nie. Mogę spać w dzień. Ile forsy zarobię na tej posadzie?

- Naszym hinduskim szkoleniowcom płacimy dwadzieścia tysięcy rupii miesięcznie. Panu możemy dać trzydzieści. Czy to panu odpowiada?

Trzydzieści patyków! To znaczy, że będę miał dość pieniędzy, żeby za miesiąc wrócić do domu.

- Kiedy zaczynam? - spytałem.

Zacząłem pracować w Rai IT Solutions następnego dnia. Firmowy van zabierał mnie o siódmej wieczorem z Paharganju i wiózł godzinę, mijając po drodze międzynarodowy port lotniczy, do biurowca w tętniącym życiem, pełnym malli i wysokościowców Gurgaonie, który bardziej przypominał Dallas niż Delhi.

Biurowiec, cały z przyciemnionego szkła i marmuru, też robił wrażenie. W centrum telefonicznym było jak w hali Wallmartu - wielka klimatyzowana przestrzeń podzielona na boksy, w każdym boksie komputer. Przy komputerach siedziały na obrotowych krzesłach setki młodych Hindusów ze słuchawkami na uszach i mikrofonami przy ustach. Szum był jak w gigantycznym ulu, chyba głośniejszy niż w wieczór kawalerski w lokalu ze striptizem.

Moja praca polegała na uczeniu bystrych młodych chłopaków i dziewczyn mówić jak Amerykanie. Od razu przystąpiłem do rzeczy.

- Są trzy rodzaje uczniów - powiedziałem. - Pierwsi się uczą, czytając, drudzy się uczą, obserwując. Reszta musi sama siusiać na elektryczny płot.

Śliczna mała w obcisłym T-shircie podniosła rękę.

- Przepraszam, panie profesorze. Co to znaczy siusiać na elektryczny płot?

Panie profesorze? Aż mi się w głowie zakręciło. Szkoda, że mama nie może słyszeć, jak jej syna nazywają profesorem, pomyślałem.

- To znaczy, że wszystko, co jest coś w życiu warte, przychodzi z trudem. Jasne? Więc ćwiczcie i ani się obejrzycie, a będziecie mówić jak ja. No dobra, czas sobie pomalować tyłki na biało i ścigać się z antylopą¹³⁰.

¹³⁰ Dość gadania, róbcie, co się wam mówi.

Prawda, że to było łatwe? Najłatwiej zarobione pieniądze w moim życiu. Reszta roboty polegała na siedzeniu ze słuchawkami na uszach w pokoju na antresoli, słuchaniu paplaniny, stawianiu krzyżyków przy nazwiskach tych, których angielski i zachowanie nie były na odpowiednim poziomie.

Muszę powiedzieć, że takie centrum telefoniczne to zadziwiająca rzecz - miejsce, gdzie chłopaki i dziewczyny o czysto hinduskich imionach stają się w nocy Robertami i Susan, Jasonami i Jane. Było nawet zarządzenie, ściśle przestrzegane, że należy używać amerykańskich imion również w czasie przerw na herbatę i na kolację.

- I to jest problem - powiedział mi pan Devdutt, kierownik, niski facet koło pięćdziesiątki, ostrzyżony na jeża, w okularach w drucianej oprawie. - Te dzieciaki myślą, że naprawdę stały się Amerykanami. Nie tylko mówią i ubierają się jak Amerykanie, ale teraz nawet chodzą na randki jak Amerykanie. Pracuję w tej branży, panie Page, ale nigdy bym na to nie pozwolił swojej córce.

- Dlaczego?

- Bo centra telefoniczne stały się jaskiniami rozpusty i zepsucia. Pan nie wie, z czym się muszę codziennie użerać. Jak mogę utrzymać dyscyplinę, skoro mam tu dziewczyny, które przychodzą ubrane jak prostytutki? Noszą wydekoltowane, obciste bluzki ukazujące piersi. Jedna nosi dzinsy tak nisko na biodrach, że jej widać bieliznę. Przeszukałem na chybił trafił torebki kilku z nich i obok szminek znalazłem kondomy. Podejrzewam, że w czasie przerwy na kolację niektórzy nasi pracownicy uprawiają w toaletach seks.

- To nic takiego - powiedziałem. - W szkole w Richfield widziałem, jak chłopaki i dziewczyny robili to w klasach.

- Ha! Może takie rzeczy są dopuszczalne w pańskiej zdemoralizowanej Ameryce, ale ja nie mogę pozwolić na coś, co jest absolutnie niezgodnie z hinduską kulturą i tradycją. - Z dumną miną wskazał plakat na ścianie. „Seks zakazany, jesteście Hindusami”, głosił znajdujący się na nim napis.

Pokręciłem głową. Facet miał tak wąskie horyzonty, że mógłby patrzeć przez dziurkę od klucza obydwoma oczami jednocześnie.

- Więc co pan zamierza zrobić? - spytałem.

Uśmiechnął się chytrze.

- Właśnie w toaletach są instalowane kamery. W ten sposób zamkniemy wrota stajni, zanim konie poniosą.

- Taa... Tylko niech pan uważa, bo sam pan ma otwarte wrota.
 - Co?
 - Pański rozporek jest rozpięty.
- Spojrzał w dół i zrobił się czerwony jak burak.

Sam nie wiedziałem, kiedy minęły cztery tygodnie. Moje życie toczyło się spokojnie, według stałego porządku. Całą noc pracowałem w centrum, rano wracałem do hotelu i większość dnia przesypiałem. Wieczorem pisałem i dzwoniłem do Shabnam. Ani jedno, ani drugie nic nie dawało, ale nie traciłem nadziei.

W centrum nauczyłem się miejscowego żargonu i zaprzyjaźniłem z wieloma pracownikami. Wszyscy byli młodziakami świeżo po college'u, pierwszy raz na etacie. Chcieli chodzić na imprezy, robić zakupy, dobrze się bawić. Vincent (czyli Venkat) miał takie gadane, że mógłby tonącemu sprzedać szklankę wody. AJ (Ajay) nigdy niczego nie zrobił porządnie ani na czas. Penelope (Priya) miała najlepszą statystykę w firmie - nikt tak szybko jak ona nie wykonywał tygodniowych zadań, a na Ginę (Geetę) miała ochotę większość chłopaków. Reggie (Raghvendra) był taki niski, że żeby kopnąć kaczkę w kuper, musiałby stanąć na cegle! A czegoś tak dobrego jak *sambar vada*¹³¹ zrobione przez Kelly (Kamalę) w życiu nie miałem w ustach.

¹³¹ *Sambar vada* - potrawa popularna w południowych Indiach; robi się ją z niki indyjskiej.

Nauczyłem się oglądać z facetami mecze krykieta, co było tak samo podniecające jak obserwowanie, jak rośnie trawa (ale za to przy strzelaniu z petard na Diwali było więcej uciechy niż u nas czwartego lipca). Dziewczyny dzieliły się ze mną sekretami i drugim śniadaniem. Panny opowiadały o facetach, którzy im się podobali, mężatki narzekały na teściowe. Wszyscy wciąż próbowali mnie wyswatać, nie wiedząc, że to strata czasu.

Zanim się obejrzałem, nadszedł dwudziesty trzeci listopada. Następnego dnia miałem wracać do Ameryki. I wtedy poczułem, że nie

chcę wyjeżdżać. To było szaleństwo, ale nagle owo zatłoczone miasto, w którym po ulicach wałęsają się krowy, a żebracy śpią nago, wydało mi się najbardziej podniecającym miejscem na świecie. Obskurny hotel, w którym się roilo od komarów, zaczął być jak dom. Praca w centrum telefonicznym - jak posada z roczną pensją milion dolarów. Indie porobiły ze mną dziwne rzeczy. Zacząłem maczać herbatniki w herbacie. Zacząłem jeść *masala dosa* rękami. Cieszyła mnie kąpiel za pomocą kubła i kubka. Bez oporów szedłem do fryzjera strzygącego na chodniku. Czasem nawet wychodziłem na ulice Paharganju w piżamie, czego w domu bym nie zrobił za żadne skarby. Poczulem się w Indiach jak na długim urlopie. Bez rachunków do zapłacenia, bez jeżdżenia po 1-35, bez gotowania, bez sprzeczek z Johnnym Blizną. No i w Ameryce nie czekało na mnie wielu przyjaciół. Nawet mama, kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem, sprawiała wrażenie bardziej podkreślonej swoim czwartym rozwodem niż moim pierwszym małżeństwem. Ale prawdziwym powodem, dla którego nie chciałem wracać, była Shabnam. Nieśmiały głos w sercu wciąż mi mówił, że może nadal kręci film w tym Cape Town, że może nie docierają do niej moje listy. Postanowiłem, że dam sobie jeszcze dwa tygodnie - przebukowałem bilet na piątego grudnia - i że jeśli się do tej pory nie odezwie, powiem żegnaj, wykreślę ją z pamięci i wrócę do domu.

Przez następnych dziesięć dni Shabnam nie dała znaku życia, ale piątego grudnia i tak bym nie mógł polecieć, bo trzeciego przydarzyła mi się bardzo dziwna rzecz. Szedłem do banku wymienić rupie na dolary. Portfel zostawiłem w hotelu, gotówkę, komórkę i paszport schowałem w specjalnym pasie na pieniądze. Właśnie miałem przejść na drugą stronę ulicy, kiedy zobaczyłem idący w moim kierunku wielki tłum. Na czele szła przerażająca dziewczyna. Twarz miała brzydką jak noc, była ślepa i pomagała sobie laską. Za nią szły trzy całe w bieli. Wyglądały jak duchy. Dalej maszerował facet przebrany za szkielet, a jeszcze dalej była grupa młodych ludzi wyglądających na studentów. Ci nieśli plakaty ze słowami

CRUSADERS FOR BHOPAL i wznosili okrzyki „Żądamy rekompensaty!” i „Nie ma na co czekać!”.

Pochód zatrzymał się bardzo blisko miejsca, gdzie stałem. Ubrani na biało położyli się na środku ulicy, udając martwych, a szkielet zaczął tańczyć.

- To wasze Halloween? - zapytałem młodą damę w dzinsach i kapciach, ze szmacianą torbą przewieszoną przez ramię i czerwoną kropą na czole.

Spojrzała na mnie, jakbym był śmieciem.

- Słucham?

- Pytam, czy to jest hinduska wersja Halloween. Bo w Stanach obchodzimy to święto trzydziestego pierwszego października. No i dlaczego prosicie o rekompensatę w taki sposób. Nie dają wam czekoladek, cukierków?

Dziewczyna się wściekła.

- Uważasz, że nasz protest w związku z największą katastrofą przemysłową na świecie jest śmieszny?

- Hej, hej, hej, złość piękności szkodzi - próbowałem ją uspokoić.

- I jeszcze chcesz mnie obrazić, ty świnię? Ile ci płaci Dow Chemicals¹³²? - wrzasnęła.

¹³² Dow Chemicals kupiła firmę Union Carbide, odpowiedzialną za katastrofę w Bhopalu.

- Nie wiem, o czym pani mówi. - Podniosłem ręce. - Nie znam żadnego Dowa. Szczeka pani nie na to drzewo, co trzeba.

Student z kozią bródką klepnął mnie w ramię.

- Coś ty powiedział? Uważasz, że moja koleżanka to pies? Następny, dziwnie uczesany, syknął na mnie jak wąż.

- Amerykanin?

- Tak, Amerykanin - odpowiedziałem.

- Hej! Chyba mamy tu syna tego drania Warrena Andersona¹³³! - krzyknął i złapał mnie za kark.

¹³³ Warren Anderson był prezesem zarządu Union Carbide, gdy się wydarzyła katastrofa w Bhopalu. W Indiach jest uważany za ukrywającego się przed wymiarem sprawiedliwości.

- Dawaj nasze pieniądze - zażądał mężczyzna w brudnej *kurta*.
- Tak jest, dość już mamy czekania - warknął ten z kozią bródką.
- Nic z tego, chłopaki - pokręciłem głową. - Nie ma mowy o pieniądzach. Czym innym się częstuje w Halloween.

- Ten skurwysyn Amerykanin nie ma zamiaru się rozstać ze swoją forszą. Dajmy łobuzowi nauczkę! - ryknął dziwnie uczesany i tłum rzucił się na mnie jak psy na świeże mięso. Mężczyźni zaczęli mnie bić, kobiety zdierały ze mnie ubranie. Próbowałem się bronić, ale nie miałem szans. Zanim się obejrzałem, zostałem bez swetra. Dwie minuty później podarły mi koszulę, poszedł w strzępy podkoszulek, gdzieś się podziała jedna tenisówka, a ja walczyłem z grubaską z kucykami, która ze wszystkich sił starała się ściągnąć ze mnie dzinsy. I w tym momencie zauważyłem, że mój pas na pieniądze zniknął.

Pani Henrietta Loretta uczyła nas o dziwnych obyczajach obcych plemion. Pamiętam, jak opowiadała o Aztekach z Argentyny, którzy jedzą ludzkie czaszki, i o Maorysach z Meksyku, którzy sprzedają swoje córki. Ale nie wiedziałem, że Hindusi też mają niezwykle obyczaje, jak bicie Amerykanów, którzy nie chcą rozdawać czekoladek w Halloween.

Włókłem się do hotelu, powłócząc nogami jak Shawn Michaels rozgromiony przez Undertakera w słynnym meczu „Piekło w klatce” z dziewięćdziesiątego siódmego.

- Co się stało? - krzyknął na mój widok Bilal.
- Pobiła mnie gromada wariatów. Wszystkie moje pieniądze zniknęły. Paszport też. Co ja ma teraz zrobić, do cholery?
- Powinieneś iść po nowy paszport do ambasady amerykańskiej - poradził.

Ambasada mieściła się w ładnym budynku w Chanakyapuri. Nad wielkim trawnikiem z fontannami górował złoty orzeł. Marines przy bramie nie wyglądali na uszczęśliwionych widokiem rodaka. Powiedzieli,

żebym poszedł do innego budynku, w którym załatwiano sprawy wizowe i paszportowe.

Stały tam dwie kolejki, jedna dla Hindusów, druga dla Amerykanów. Kolejka dla Hindusów była długa na kilometr. Wyglądało to tak, jakby przed ambasadą koczowały całe grupy znajomych, z walizkami i kapciami. Jakaś sikhijska rodzina się modliła. Zmęczona matka karmiła dzieci. Kilku mężczyzn grało w karty. Na szczęście nie było Amerykanów potrzebujących wizy i już po dziesięciu minutach udało mi się wejść do środka.

Obszukali mnie jak nowego więźnia w kiciu. Po czterech kontrolach wreszcie znalazłem się w pomieszczeniu dla interesantów.

- Jestem Larry Page, zgubiłem paszport - oznajmiłem recepcjonistce.

- Proszę siadać! - powiedziała i do kogoś zadzwoniła. Dokładnie po trzech minutach otworzyły się szklane drzwi i weszła wysoka blondynka w czarnych szpilkach. W szarej spódnicy i szarym żakiecie ze złotymi guzikami wyglądała niesamowicie seksownie.

- Witam, panie Page. - Przywitała mnie szerokim uśmiechem i serdecznie uściśnęła mi rękę. - Wiedzieliśmy, że ma pan przylecieć do Indii na konferencję Nasscom¹³⁴. To dla nas zaszczyt, że odwiedził pan ambasadę. Jestem wielką wielbicielką pańskiego dzieła. Proszę tędy.

¹³⁴ Nasscom - National Association of Software and Services Companies, najważniejsza organizacja zrzeszająca hinduskie firmy softwarowe i wyznaczająca standardy w tej dziedzinie.

Poprowadziła mnie korytarzami, biodra jej się kołysały jak dwa gryzące się koty niesione w torbie. Gabinet miała w głębi budynku. Otworzyła drzwi kartą magnetyczną i zaprosiła mnie do środka.

Usiadłem na beżowej sofie i się rozejrzałem. Pokój był w miarę duży i ładnie umeblowany. Na ścianach wisiały przeróżne mapy, na biurku stało pełno urządzeń z długimi antenami.

Blondynka usiadła obok mnie.

- Nazywam się Elizabeth Brookner - powiedziała i założyła nogę na nogę. - Jestem kierowniczką działu konsularnego. Przykro mi, że pan zgubił paszport, panie Page. Postaramy się wyrobić panu nowy do jutra.

- Byłoby świetnie - powiedziałem. - Wtedy bym zdążył na samolot.

- No, co pan - powiedziała i klepnęła mnie w ramię. - Ludzie podróżujący prywatnymi siedem-sześć-siedem nie muszą się przejmować rozkładem lotów.

Nie miałem pojęcia, co to jest siedem-sześć-siedem, więc siedziałem cicho.

- Czym się teraz zajmuje Sergey Brin?

W życiu nie słyszałem o Sergeju Brinie, więc siedziałem cicho.

- Nie jest pan zbyt rozmowny, panie Page.

- A tak. Mama zawsze powtarzała: niech ci gęba nie przeważa tyłka.

Spojrzała na mnie jakoś tak dziwnie.

- Wierzyć mi się nie chce, że jest u mnie Larry Page. Używam Google'a od zawsze. Powiem panu, że nawet mam kilka akcji z pierwszej oferty w dwa tysiące czwartym roku... Czy tu nie jest trochę za gorąco? - powiedziała i odpięła dwa górne guziki zakietu. - Gdzie się pan zatrzymał? W Sheratonie? - Zatrzepotała powiekami i uśmiechnęła się zalotnie.

- Widzi pani, ja nie...

- Znajomi mówią do mnie Lizzie. A to jest numer mojej komórki. Może pan dzwonić w każdej chwili, w dzień i w nocy. - Napisała numer na kawałku papieru. Wsunąłem go do portfela, który był pusty jak grób Jezusa w wielkanocny ranek. - Więc mówił pan, gdzie się pan zatrzymał. A czy nie zdobył pan niedawno nagrody dla najlepszego innowatora roku?

- Nie, proszę pani. Ale w zeszłym roku o mało nie zdobyłem nagrody w rodeo wózków widłowych w Cisco. Z moim Hysterem H130F byłem najlepszy w załadunku i rozładunku przyczepy, w układaniu palet w stosy i w umieszczaniu ich na półkach, ale nie za dobrze mi poszło

na egzaminie pisemnym, bo były podchwytliwe pytania, jak na przykład po przejechaniu ilu metrów zatrzyma się na suchej nawierzchni wózek widłowy jadący z prędkością trzydzieści kilometrów na godzinę, jeśli jadący piętnaście kilometrów na godzinę zatrzymuje się po przejechaniu siedmiu metrów. Napisałem siedem razy dwa równa się czternaście metrów, ale powiedzieli, że trzeba było odpowiedzieć, że wózek widłowy nie ma prawa jechać tak szybko.

- Pan naprawdę ma wspaniałe poczucie humoru, panie Page - a może mogę zwracać się do pana po imieniu? Skąd wiesz tyle o wózkach widłowych, Larry?

- Bo jestem operatorem wózka widłowego w Walmarcie w Round Rock w Teksasie. Zna pani? Zjazd 251 z 1-35.

- To znaczy, że pan nie jest Larry Page ze słynnego Google'a?

- No właśnie, proszę pani. Nazywam się Larry Page, ale nie jestem tym facetem od Google'a. Ja tylko przyjechałem na trochę do Indii, ale teraz nie mogę wyjechać, bo zgubiłem paszport.

- Och! - powiedziała i szybko zapięła żakiet. Wstała z sofy i zrobiła minę jak Johnny Blizna, kiedy chce przywołać pracownika do porządku.

- No cóż, panie Page, przepraszam za nieporozumienie. Musi pan wypełnić formularze DS-11 i DS-64, są przy wejściu. Musi pan też przedstawić kopię protokołu policyjnego, dowieść swojego obywatelstwa, wpłacić dziewięćdziesiąt siedem dolarów i umówić się na rozmowę z pracownikiem sekcji konsularnej.

- Ale nowy paszport dostanę jutro, prawda?

- Nie, panie Page. Procedura przyspieszona przysługuje tylko wybitnym Amerykanom, do których pan oczywiście nie należy. Odprowdzi pana moja sekretarka.

Wyszedłem z ambasady, przeklinając swojego pecha. Trzeba było nie otwierać gęby. Dostałem nauczkę. Jak ktoś chce myśleć, że jestem pan Google, to niech sobie myśli.

Poszedłem do Lucky Travel and Tours i jeszcze raz przebukowałem bilet. Wolne miejsce było najwcześniej piętnastego stycznia.

Nie miałem wyboru - musiałem zostać w Indiach jeszcze przez czterdzieści dni.

Nie przestałem pisać do Shabnam, ale ponieważ nie odpisywała, moje listy robiły się coraz krótsze. Dalej próbowałem się do niej dozwonić, ale też bez powodzenia. Jedyną dobrą wiadomość usłyszałem w centrum telefonicznym: piętnastego grudnia zwolnili pana Devdutta. W jego komputerze odkryto mnóstwo zdjęć gołych dziewczyn i okazało się, że od dwóch lat rozmawiał ze służbowego telefonu z jakąś panią Sexy Sam z Las Vegas.

Dni znowu szybko mijały i nim się obejrzałem, nadszedł trzydziesty pierwszy grudnia. Vincent, Reggie i Gina wzięli sobie wolne i wszyscy mnie zapraszali na przyjęcia noworoczne, ale po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie miałem ochoty na świętowanie. Wtedy właśnie dostałem propozycję od kierownictwa. Potrzebowali ochotników do centrum w przeddzień Nowego Roku i płacili potrójnie. Ponieważ nie miałem nic innego do roboty, zgłosiłem się na nocną zmianę i pierwszy raz w życiu usiadłem na „gorącym miejscu”, jak to nazywała Priya.

Załatwianie spraw przez telefon w takim centrum nie jest wcale proste, choć może się takie wydawać. Jak mawiał Vincent, to jedna wielka loteria. Nigdy nie wiadomo, kto się człowiekowi trafi. Tej nocy był spokój, pierwszą rozmowę miałem dopiero po dwóch godzinach. Dzwonił pan Jim Bolton.

Poprawiłem słuchawki i odczytałem tekst z ekranu:

- Dziękujemy za telefon do American Roadside Assistance. Nazywam się Larry Page. Czym mogę służyć?

- Dziękuję, synu. Jesteśmy z San Francisco. Byliśmy u znajomych w Nowym Jorku, stamtąd jechaliśmy na przyjęcie noworoczne do Filadelfii, ale złapała nas śnieżyca i trochę się zgubiliśmy. Wygląda na to, że minęliśmy Dallas¹³⁵ i teraz jesteśmy w White Heaven na 1-476. Możesz nam powiedzieć, jak się stąd dostać do Filadelfii? I pośpiesz się, bo bateria w mojej komórce niedługo się rozładuje.

¹³⁵ Dallas nazywa się także małe miasto w Pensylwanii!

- Tak, oczywiście, proszę pana. Z Dallas potrafię wskazać drogę nawet na księżyc. Mogę prosić o pański numer klienta?

Gość podał mi numer, a ja znalazłem w komputerze trasę z Dallas w Teksasie do Filadelfii w stanie Nowy Jork. Okazało się, że zoczyli o blisko dwa i pół tysiąca kilometrów. Na dodatek nie mogłem znaleźć na mapie White Heaven. Wstukałem wszystkie inne kolory, nawet Black Hell, ale rezultat był taki sam. Nic. Zero. To miejsce po prostu nie istniało. Poczulem się skołowany jak krowa na boisku.

Rozmowa powinna trwać najwyżej trzy minuty, ja nie potrafiłem zlokalizować pana Boltona nawet po dziesięciu, a on się coraz bardziej niecierpliwił.

- Chyba nie mogę znaleźć drogi do Filadelfii, proszę pana. Nie chciałby pan pojechać do Waco? - spytałem z nadzieją.

Facet się wściekł.

- Słuchaj, skurwysynu - wycodził. - Gadamy tak już pół godziny. Czemu się nie przyznasz, że gównu wiesz o drogach w Stanach Zjednoczonych? Nie jesteś żaden Larry Page, tylko jakiś zasrany Hindus, który siedzi w śmierdzącej norze w pieprzonym Bangalurze i próbuje robić w konia niczego niepodejrzewających Amerykanów, prawda? No dobra, przyznaj się, to może mimo wszystko ci wybaczę.

- Nie, proszę pana. Nazywam się Larry Page i jestem Amerykaninem jak pan.

- Uparłeś się przy tym Amerykaninie, co? Myślisz, że się dam nabrać? Dobrze wiem, jak działają te wasze mikroskopijne centra telefoniczne. Zaraz udowodnię, że łiesz. Powiedz mi, panie Page, ile ludności mają Stany Zjednoczone.

- Nie wiem. Miliard?

- Nieprawda. Wymień dziesięć poprawek do amerykańskiej konstytucji.

- O, kurczę, to trudniejsze niż chińska arytmetyka. A co to jest konstytucja?

- Nie słyszałeś o Karcie praw? Więc już chyba nie ma sensu cię pytać, kto napisał amerykański hymn.

- Mogę zgadywać?

- Proszę bardzo.

- Stevie Wonder?

- Też nieprawda. Może chociaż znasz słowa „Gwiazdzistego sztandaru”?

- Rany, śpiewałem to w szkole, ale tak dawno. Pamiętam tylko, że było tam coś o raketach wybuchających w powietrzu i bombach wpadających do domów bohaterów.

- Wystarczy. Dłużej tego nie wytrzymam. Obrażasz amerykański naród.

- Przykro mi, ale nie chodziłem na żaden słynny uniwersytet jak pan.

- Ty nie potrzebujesz wykształcenia, synu. Nic ci już nie pomoże. A teraz powiedz, jak się naprawdę nazywasz.

- Już mówiłem, proszę pana. Larry Page.

- Nie ma sensu dłużej udawać. Udowodniłem, że nie jesteś Amerykaninem. Jakie jest twoje hinduskie imię? Sitaram? Venkatswamy?

- Proszę pana, może pan włożyć buty do piekarnika, ale ciasteczek z nich nie będzie. Powiedziałem: jestem Larry Page z wielkiego stanu Teksas.

- Pytam po raz ostatni: Jakie jest twoje prawdziwe imię? Hinduskie imię, do cholery.

- A ja mówię po raz ostatni: Nazywam się Larry Page i nie jestem Hindusem. Jestem Amerykaninem.

- Wy pieprzeni Hindusi! Zabieracie stąd miejsca pracy i jeszcze macie czelność nazywać się Amerykanami. Powinniście się wstydzić.

- Pan też się powinien wstydzić - takiego języka. Mama mówi, że ładny ten, kto się ładnie zachowuje.

- Słuchaj, dupku, pora, żebyś wrócił do swojej czarnej hinduskiej mamy. Więcej już nie będziesz siedział w tej śmierdzącej hinduskiej

dziurze, żeby marnować cenny czas Amerykanów. Chcę rozmawiać z twoim przełożonym.

- Kazanie skończone, teraz się pan wtrąca w nie swoje sprawy?
- Ja ci pokażę, gówniarzu, co to jest wtrącanie się. Należę do Teamstersów¹³⁶, jestem szefem lokalnej komórki i mam zamiar cię wykończyć. A jeśli twoja firma cię nie zwolni, wykończę tę zasraną firmę. Żądam rozmowy z twoim przełożonym. A jak...

¹³⁶ Teamstersi (Teamsters) - potężny związek zawodowy reprezentujący pracowników transportu i związanych z nim branż.

Rozmowa nagle się urwała. Chyba mu padła bateria. Potarłem ręką twarz. Czulem ulgę, że mam już tego nieprzyjemnego klienta z głowy. Nagle na ekranie komputera pojawiła się migająca wiadomość: „Proszę natychmiast do mnie przyjść - MK”.

To był Madhavan Kutty, kierownik kierowników, konkretny facet o siwych włosach i paskudnym charakterze. Kiedy wszedłem do jego pokoju na antresoli, stał koło biurka, a na jego miejscu siedział jakiś inny gość, ubrany w czarną skórzaną marynarkę i szpiczaste białe buty. Pomyślałem, że może jest ślepy, bo o pierwszej w nocy miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Jego przystojną twarz szpeciła długa blizna biegnąca od lewego oka przez policzek. Miał wygląd przebiegłego sprzedawcy używanych samochodów.

Madhavan wyglądał, jakby mu spadł ser z krakersa.

- To jest pan Vicky Rai, właściciel naszej firmy. Był w pobliżu i postanowił sprawdzić, jak sobie radzimy. Skontrolował losowo jedną rozmowę, trzeba trafu, że akurat tę, którą prowadził pan. Ustanowił pan nowy wzorzec, jak tego nie należy robić.

- Słuchajcie, ja to mogę wyjaśnić. Facet był pomyłony. Nawet ślepy na koniu w galopie by to zauważył - zacząłem, ale elegancik mi przerwał.

- Nie ma co dyskutować z tym idiotą, MK. Jesteś zwolniony, Larry Page - powiedział i wyszedł. Jego wspaniałe białe buty stuknęły na posadzce.

Dwa dni później, kiedy z nudów kopałem przed hotelem puszkę po piwie, przyszedł do mnie Bilal.

- Wiesz co, Larry, jak już nie pracujesz w tym centrum telefonicznym, to może byś się wybrał ze mną na parę dni do Kaszmiru? Jadę tam dzisiaj z kilkoma znajomymi.

Nie miałem nic lepszego do roboty, za to miałem dwa tygodnie wolnego czasu.

- Dobra - powiedziałem i wkopałem puszkę do rynsztoka.

Na drugi dzień wieczorem przyjechaliśmy do Srinagaru. Kiedy wysiadłem z autobusu, wiało, jakby się ktoś powiesił, i było cholernie zimno. Od podmuchu lodowatego powietrza o mało nie zemdlałem. Bilal przyniósł mi koc i szybko poszliśmy do domu w pobliżu, gdzie od razu zasnąłem.

Następnego dnia trochę pozwiedzaliśmy. Dzień był bardzo zimny, ale Brilal dał mi strój w sam raz dla mnie - *phiran*, czyli coś w rodzaju długiego, luźnego szlafroka z szerokimi rękawami, w których mogłem trzymać naczynie z ogniem, taki osobisty piecyk. Było mi ciepło.

Srinagar wyglądał jak z obrazka, a ludzie na ulicach wydawali się bardzo przyjaźni. Dzieci w kolorowych szalikach do mnie machały, gromady uczennic o bystrych oczach i głowach okrytych chustami wstydliwie chichotały, spod domów patrzyły kobiety obwieszone srebrną biżuterią, mężczyźni w burkach i czarnych czapkach cicho pozdrawiali Brilala. Wszyscy się uśmiechali.

Zaczęliśmy od jeziora Dal, najwspanialszego jeziora, jakie kiedykolwiek widziałem. Było okolone wysokimi drzewami, usiane kwiatami lotosu i pełne domów na łodziach z bajecznie rzeźbionymi balustradami. W wodzie było gęsto od wodorostów, nad wodą śmigały przepiękne ptaki. Między kwiatami lotosu przemykały wiosłowe łódki. Kiedy mgła się podniosła, zobaczyłem pokryte śniegiem góry, wyższe niż Mount Livermore¹³⁷.

¹³⁷ Mount Livermore - piąta pod względem wysokości góra w Teksasie.

Po drugiej stronie jeziora był meczet z białą kopułą - świątynia Hazratbal - skąd przez głośniki dudniły wezwania do modlitwy. Bilal powiedział, że to bardzo święte miejsce i że jest tam włos proroka Mahometa. Nawet żebracy byli sympatyczni - zanim poprosili o pieniądze, dali mi kwiatek.

Potem poszliśmy do meczetu Jama Masjid w Nowhatcie, sercu starego miasta. Bilal się modlił, a ja w tym czasie włóczyłem się po bazarze, Mory był zaraz obok.

Na lunch Bilal zabrał mnie na Lal Chowk, główną ulicę, gdzie w jakiejś restauracji jedliśmy kaszmirskie potrawy: palce lizać.

Wieczorem na dworcu autobusowym wybuchła bomba i wprowadzono godzinę policyjną od jedenastej, ale właściwie nie miało to znaczenia, bo miasto i tak szło spać tuż po szóstej.

W środku nocy Bilal mnie nagle obudził.

- Wstawaj, Larry, będzie nalot. Musimy iść.
- Co się stało?
- Ktoś doniósł, że jesteś podejrzanym osobnikiem. Może przyjąć wojsko, żeby cię aresztować. Musimy iść do kryjówki.

Ledwie widziałem na oczy, ale wstałem, włożyłem *phiran* i poczłapałem do wyjścia. Na ulicy było cicho jak na cmentarzu. Tu i ówdzie paliły się śmiecie, na rogu kilku mężczyzn grzało sobie ręce przy węglowym piecyku. Gdzieś wyły bezpańskie psy. Bilal znał miasto jak własną kieszeń. Szliśmy przez labirynt zaułków, przecięliśmy kilka ulic, ominęliśmy posterunek przy moście i w końcu dotarliśmy do na wpół zrujnowanego domku z zielonymi drzwiami.

W środku było trzech najdziwniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałem. Ich szef, przysadzisty facet z czarną falistą brodą i w czarnym turbanie, miał ostre rysy twarzy i zagadkowy ciemny znak na czole. Drugi, młodszy, ubrany w spodnie, koszulę i wełnianą marynarkę, był mojego wzrostu i miał tak wystające zęby, że mógłby jeść kukurydzę przez płot. Obok niego stał wysoki, dobrze zbudowany, długowłosy chłopak o przystojnej, brudnej twarzy. Ten miał na sobie kremowe workowate spodnie od piżamy i długą czarną koszulę.

Bilal wyraźnie chciał szybko wracać.

- *Bas*, moje zadanie na tym się kończy. To są przyjaciele. Zabiorą cię do kryjówki. Muszę już iść, Larry. Wszystkiego najlepszego - powiedział i zanim się zdążyłem odezwać, wybiegł, jakby go gonili psy.

Trzej faceci patrzyli na mnie jak Mike „Wściekły Pies” Benson, szef ochrony w Walmarcie, patrzy na złodziei sklepowych. Bilal nazwał tę trójkę przyjaciółmi. Mnie się wydawali przyjaźni jak szerszenie.

- Zdejmuj *phiran* - rozkazał ten w turbanie.

- Dlaczego? - spytałem.

- Chcemy sprawdzić, czy nie masz broni.

- Jak sobie życzyacie - powiedziałem.

Facet z wystającymi zębami obmacał mi bluzę i dżinsy.

- Czysty - powiedział. Napięcie trochę zelzało.

- Siemasz! - powiedziałem i wyciągnąłem do niego rękę. - Jestem

Larry Page.

Zębaty poweselał.

- Rzeczywiście jesteś Larry Page, który wynalazł Google'a? Bilal mówił, jak się nazywasz, ale mu nie uwierzyłem.

Przekląłem tatę za imię Larry (wiedziałem od mamy, że to był jego pomysł), ale skoro ściagało mnie hinduskie wojsko i jedyną szansą ucieczki byli ci trzej, to doszedłem do wniosku, że trzeba grać dalej. Jeśli pan Zębaty myślał, że jestem ten od Google'a, to mnie to zupełnie nie przeszkadzało. Ani trochę.

- Dlaczego? Uważasz, że nie potrafię nic wymyślić?

Oczy mu wyszły na wierzch ze zdziwienia.

- Czyli jesteś prawdziwy Larry Page?

- A żabia dupa jest wodoszczelna?

- To znaczy?

- To znaczy, że tak. Że jestem tym facetem, co wynalazł Google'a.

Zębaty wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

- Nazywam się Rizvan, panie Page, ale wszyscy mówią na mnie Abu Teknikal. To dla mnie wielki zaszczyt, że mogę pana poznać. Jestem wielbicielem Google'a. Ciągle z niego korzystam - wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Tak. - Pokiwałem głową. - Ludzie uważają, że to fantastyczna rzecz. Dlaczego masz przezwisko Teknikal?

- Bo jest jak komputer - powiedział facet w piżamie. - Wie wszystko o wszystkim.

- Naprawdę?

- Pokaż mu, Teknikal.

- Prawdopodobnie wiem o panu więcej niż ktokolwiek inny, panie Page - pochwalił się Teknikal.

- Żartujesz.

- Nie. Mogę to udowodnić. Urodził się pan dwudziestego szóstego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku w Lansing w stanie Michigan. Pańscy rodzice to Carl Victor Page i Gloria Page. Podczas studiów doktoranckich z dziedziny informatyki na Stanford University poznał pan Sergeya Brina. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku stworzyliście wyszukiwarkę Google. World Economic Forum nadało panu tytuł Światowego Lidera Przyszłości. Obecnie jest pan prezesem do spraw produktów w firmie Google Inc. Z majątkiem wynoszącym około szesnastu miliardów sześciuset milionów dolarów zajmuje pan dwudzieste szóste miejsce na liście najbogatszych ludzi świata. Co pan na to?

Dwudziesty szósty na liście najbogatszych! Ten gość całkiem zwaśniował. Mama zawsze mówiła, że lepiej trzymać gębę zamkniętą i niech ludzie myślą, że się jest idiotą, niż się odezwać i rozwiać wątpliwości. Mimo wszystko udałem, że jest świetny.

- A niech mnie! To faktycznie robi wrażenie.

- Zafascynowała mnie opracowana przez pana metoda Page Rank. Jak, u licha, wpadł pan na pomysł wykorzystania algorytmu iteracyjnego, który odpowiada głównemu wektorowi własnemu znormalizowanej macierzy linków sieci, do określania pozycji pojedynczej strony?

Nie miałem pojęcia, o czym bredzi, ale powiedziałem:

- Taa... taa... - i kilka razy kiwnąłem głową. - Page Rank. Rzeczywiście, to był doskonały pomysł - dodałem.

Facet chciał wiedzieć więcej.

- A co było przełomowym momentem, panie Page?
- Masz na myśli moment, kiedy to się przelamało?
- Mam na myśli moment, kiedy pan i Sergey wiedzieliście, że odnieśliście sukces.

- To był chyba kwiecień. Tak, w kwietniu wiedzieliśmy, że odnieśliśmy sukces.

Tym mu zamknąłem gębę.

- Przedstawisz mi kolegów? - spytałem.
- Och, przepraszam, panie Page. To jest Abu Khaled. - Wskazał gościa w turbanie. - Nasz emir, lider, nasz *zimmedar*.

- A on? - Pokazałem tego w piżamie.

- Abu Omar.

- To wy wszyscy jesteście braćmi? Bo każdy jest Abu.

- Jesteśmy towarzyszami broni, panie Page - uśmiechnął się - ale niespokrewnionymi. Nawet pochodzimy z innych krajów. Ja jestem z Pakistanu, z Rawalpindi. Abu Khaled z Egiptu, a Abu Omar z Afganistanu. Ja mówię w urdu, Abu Khaled po arabsku, a Abu Omar w paszto. Rozmawiamy ze sobą po angielsku.

- To mam szczęście. A co robicie w Kaszmirze?

- Pomagamy przyjaciółom, jak Bilal, walczyć z niewiernymi. Cieszę się, że pan podziela nasz punkt widzenia, panie Page. Wspaniale mieć poparcie kogoś tak wpływowego.

- A ja się cieszę, że mogę być pomocny, ale kiedy wrócę do Delhi? Muszę zdążyć na samolot, znaczy mój prywatny siedem-sześć-siedem - mrugnąłem.

- Wkrótce, panie Page, wkrótce. Najpierw zabierzemy pana w bezpieczne miejsce. A teraz musi pan odpocząć, bo jutro czeka nas bardzo długa podróż.

Spaliśmy w niedużym pokoju, który niestety nie był nawet w części tak przytulny jak pokój w domu Bilala. Na dodatek po lewej stronie miałem Abu Teknikala, a po prawej Abu Omara, którzy przez pół nocy zamęczali mnie pytaniami.

- Wie pan - powiedział Teknikal - już jako siedmiolatek marzyłem o tym, żeby pojechać do Ameryki, tego centrum Internetu, ojczyzny Xboksu 360, Blue Gene'a¹³⁸, BigDoga¹³⁹. Kiedy w szkole zobaczyłem zdjęcie Craya X-MP¹⁴⁰, to się rozplakałem. Ale pana osiągnięcie przyćmiło nawet to, co zrobili Vinton Cerf i Robert Kann¹⁴¹. Jeśli Internet jest niebem, to Google jest Bogiem. Kim w takim razie jest pan, panie Page?

¹³⁸ Blue Gene - przedsięwzięcie badawcze firmy IBM w dziedzinie superkomputerów.

¹³⁹ BigDog - najnowocześniejszy na świecie czworonożny robot zbudowany w firmie Boston Dynamics.

¹⁴⁰ Cray X-MP - jeden z pierwszych superkomputerów na świecie, zaprojektowany i sprzedawany przez firmę Cray Research.

¹⁴¹ Vinton Cerf i Robert Kahn stworzyli protokoły komunikacyjne TCP/IP będące podstawą Internetu.

- Kim?

- Ojcem Boga¹⁴² - powiedział i się zaśmiał.

¹⁴² W oryginale *Godfather* (*God - Bóg, father - ojciec*), co jednak nie znaczy ojciec Boga, tylko ojciec chrzestny albo przywódca rodziny mafijnej (przyp. tłum.).

Abu Omar miał inne zainteresowania.

- To ile dziewczyn pan przeleciał, panie Page? - zapytał.

- Słucham?

- No z iloma pan uprawiał seks. Abu Khaled mówi, że w Ameryce dziewczyny zaczynają uprawiać seks, już jak mają dziesięć, jedenaście lat. Czy to prawda?

- Nie wiem. Musiałbym zapytać moją siostrzenicę Sandy. Ma dziesięć lat i jest dziewczyną.

- Wiem, że islam tego zabrania, ale wciąż mam takie nieczyste myśli. Wszystko przez tę hinduską aktorkę.

- Co to za jedna?

- Nazywa się Shabnam Saxena. Dziwka jest taka seksowna, że wariuję z pożądania.

Miałem chęć przyłożyć zboczeńcowi, ale się powstrzymałem.

- Widziałeś jakieś filmy z tą Shabnam?
- Nie wolno mi oglądać filmów. Są nieislamskie.
- Masz szczęście - mruknąłem pod nosem i opiekuńczym gestem położyłem rękę na portfelu, w którym było jej zdjęcie i numer komórki.
- Niech pan nic nie mówi szefowi - wyszeptał - ale raz obejrzałem amerykański film w salonie wideo w Kabulu. Pod tytułem „Debbie i Dallas”. Widział go pan?

- Nie. Nawet o nim nie słyszałem. To o atrakcjach turystycznych w Dallas? Mam nadzieję, że pokazali park w Arlington i...

- Nie, nie, panie Page. W filmie było pełno nagich kobiet. Dzięki Bogu talibowie zamknęli ten salon, bo inaczej bym oślepl. - Gość był napalony jak cap z dwoma kutasami. - Mówią, że w Ameryce takie filmy można kupić nawet w sklepach spożywczych. To prawda? - ciągnął.

- Nie wiem. Ja w Quik-Paku¹⁴³ kupuję tylko mleko i chleb - powiedziałem i odwróciłem się do niego plecami.

¹⁴³ Quik-Pak - sieć spożywczych hipermarketów w Teksasie.

Teknikal tylko na to czekał.

- Jakie jest pana zdanie na temat anonimowych sieci *peer-to-peer*? „PC Mag”¹⁴⁴ mówi, że ich rozwój zwiększa niebezpieczeństwo niszczylielskiego ataku na infrastrukturę informatyczną. Czy pan się z tym zgadza?

¹⁴⁴ „PC Mag” - „PC Magazine”.

Facet miał słowną biegunkę i myślowe zatwardzenie.

- Z całym szacunkiem dla pana Maga muszę stwierdzić, że jakby mózg był prochem, to on by sobie nawet kapelusza nie mógł wysadzić w powietrze! - powiedziałem i naciągnąłem koc na głowę. - A teraz bardzo was przepraszam, ale mam zamiar trochę się zdrzemnąć!

Leżałem wciśnięty między dwóch pomyleńców pierwszej klasy. Jeden nie ustępował drugiemu. Nie pamiętam, kiedy w końcu usnąłem. Śniła mi się Shabnam w zaśnieżonej dolinie.

Na drugi dzień wyruszyliśmy koło dziewiątej. Po kilku minutach znaleźliśmy się na ulicy pełnej zrujnowanych domów i spalonych świątyń.

- Co tu się, do cholery, stało? - zapytałem.

- Wyrzuciliśmy hinduskich mędrców - powiedział z uśmiechem Teknikal.

Moi opiekunowie znali miasto bardzo dobrze. Jak Bilal ominęli wszystkie posterunki i po godzinie szybkiego marszu dotarliśmy na targ z owocami i warzywami.

Wsadzili mnie na ciężarówkę z niebieską plandeką, między worki z pszenicą. Ciężarówka zawiozła nas do jakiejś pipidówki wśród gór i lasów.

Noc spędziliśmy w starej chacie, koło której bez przerwy był wściekły pies. Tym razem umieścili mnie w pokoju z Abu Khaledem. Facet nie odezwał się do mnie ani słowem, ale i tak nie mogłem spać, bo albo wstawał, żeby pójść do toalety, albo żeby się pomodlić. Wstał na modlitwę nawet o czwartej rano.

- Co to za modlitwa? - spytałem, trąc oczy.

- Nazywa się Tahajjud. Nie jest obowiązkowa, ale naprawdę pobożny muzułmanin jej nie opuszcza. - Ukląkł i dotknął czołem podłogi.

Już wiedziałem, skąd ma ciemny znak na czole. Przez to całe modlenie.

Następnego dnia rano ruszyliśmy dalej, tym razem dżipem, którego skądś wytrasował Teknikal. Gęsty las po obu stronach drogi pędził nam na spotkanie jak gigantyczna fala. Chmury wisiały nisko, wydawało mi się, że mógłbym sięgnąć i ich dotknąć. Na szczęście nie wiało, bo inaczej nawet *phiran* by mi się przydał jak kozie wycieraczka samochodowa na tyłku.

Kłopot był tylko z drogami. W tak złym stanie i tak krętych jeszcze nie widziałem. Wiele razy mało brakowało, żebyśmy wpadli w dziurę albo w przepaść. Na zakrętach o sto osiemdziesiąt stopni aż zamykałem oczy.

Prawie nie widzieliśmy ludzi. Czasem trafił się jakiś rolnik na polu albo pastuch pilnujący stada. Nagle dżip się zatrzymał. Staliśmy koło meczetu, Khaled kazał mi wysiąść. Teknikal powiedział, że niedaleko jest obóz wojskowy i dżip mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Przez następnych kilka godzin szliśmy pod górę stromą ścieżką. Omar prowadził.

Wreszcie dotarliśmy w poblize miejsca o nazwie Tregham. Kiedyśmy weszli na szczyt wzgórze, Omar wziął mnie na bok i pokazał wioskę w oddali. Zobaczyłem skupisko domów z dachami z blachy falistej.

- Widzi pan ten parterowy dom z dachem pomalowanym na zielono? Tam mieszka z matką moja *zerrgay*, ukochana - powiedział.

- To dlaczego nie zejdiesz na dół i jej nie odwiedzisz? Na pewno by się bardzo ucieszyła.

- Czy pan zwariował? Niedaleko jest dowództwo brygady i wojsko ma ten dom na oku. Od razu by mnie aresztowali. Nie boję się schwytania, jestem przygotowany na śmierć, ale nie chcę, żeby mnie torturowali.

Nie zatrzymaliśmy się w Treghamie. Khaled kazał nam się wspinać na jeszcze jedną górę. Już prawie mdlałem ze zmęczenia, kiedy nagle wyszliśmy na polankę.

Pod kilkoma wysokimi drzewami znajdowała się kryjówka. Była to prymitywna chata, ale nie na ziemi, tylko w ziemi. W rogach głębokiej na niecałe dwa metry prostokątnej jamy umieszczono pnie drzew, a na nich oparto blaszany dach, który zamaskowano gałęziami, liśćmi i krzakami, tak że dla kogoś, kto by tu nadszedł z dołu, wyglądałoby to jak kępa roślinności. Ziemianka miała tylko jedno wejście. Opuściłem się w dół. W środku było już czterech mężczyzn, wszyscy młodzi i brodaci. Jeden nachylał się nad czymś, co przypominało radio, drugi czytał książkę, pozostali dwaj coś gotowali. W ziemiance był duży zapas jedzenia, kuchenka gazowa, a nawet szybkar. Na ścianach wisały koce. W różnych miejscach leżało dużo broni, magazynki i skrzynie z amunicją. Dość, żeby zdobyć bank Fidelity w Teksasie, pomyślałem.

- Proszę się rozgościć, panie Page - powiedział Teknikal. - Trochę tu pan z nami pomieszka.

Miejsca do spania było w ziemiance najwyżej dla sześciu osób, nie dla ośmiu. Wolałbym wleźć boso do wiadra z jeżozwierzami, niż zostać w tej norze. Błyskawicznie wyskoczyłem na zewnątrz.

- Przykro mi, koledzy, ale to chyba nie jest najlepszy pomysł.
- Nie mamy innego miejsca - zaprotestował Teknikal.
- A ja zaraz idę do tej wsi. Na pewno jest tam jakiś hotel.
- Wojsko pana złapie.

Spojrzałem Teknikalowi w oczy.

- Coś mi tu nie pasuje. Niby czemu miałoby mnie ścigać hinduskie wojsko? Nie zrobiłem nic złego.

Długo nic nie mówił, w końcu pokiwał głową.

- Ma pan rację. Wojsko nie ściga pana, tylko nas.
- Dlaczego?

- Och, zrobiliśmy parę rzeczy. Wyszliśmy w powietrze dworzec autobusowy w Srinagarze, targowisko w Delhi, świątynię w Akshardhamie, giełdę w Bombaju. A niedawno uciekliśmy z więzienia Tihar.

- Ludzie! Toż wy jesteście terroryści! W takim razie nie chcę mieć z wami nic wspólnego. A myślałem, że znalazłem się wśród przyjaciół.

Abu Khaled, który stał obok mnie, położył mi rękę na ramieniu.

- Nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi, kretynie. Jesteśmy porywaczami.

- Porywaczami?
- Tak. Zostałeś porwany.

Roześmiałem się.

- Nieżli z was żartownisie. To jest prawie takie śmieszne jak pierdnięcie w kościele.

- Nie, panie Page. My wcale nie żartujemy. Został pan porwany. Za pana uwolnienie zażądamy trzech miliardów dolarów okupu. Zamierzamy też zmusić George'a Busha do opuszczenia Iraku i nakłonienia

Izraela do opuszczenia Palestyny. Zmusimy go, żeby przestał mieszać w Somalii. Poprosimy, żeby usunął nieislamski reżim z Arabii Saudyjskiej. Nakłonimy do wypłacenia odszkodowania...

- Hola, hola! Nie tak prędko! - Należało wyjaśnić nieścisłości, żeby ci wariaci nie zaczęli prosić prezydenta, żeby wysłał człowieka na księżyc. - Macie, chłopaki, nie tego gościa, co trzeba. Ja nie jestem ten Larry Page.

- Co?

- Tak. Dobrzeście usłyszeli. Nie jestem ten Lany Page. Nie mam nic wspólnego z facetem od Google'a. Nie jestem nadziany. Więc jak się spodziewacie, że będę jadł szpinak i srał zielonymi, to się grubo mylicie - zaśmiałem się.

Dostali jak obuchem w łeb.

- Jak to? - spytał Teknikal.

- Nie jestem bogaty. Nabierałem was. Gdyby za pięć centów można było objechać świat, nie dotarłbym nawet na drugą stronę ulicy. - Spojrzałem na Abu Khaleda. - Kumasze?

Okazało się, że ten wielki facet potrafi się ruszać z szybkością błyskawicy. Bez żadnych wstępów wziął zamach i nim zdążyłem się uchylić, wałnął mnie pięścią w twarz. Zatoczyłem się na drzewo i padłem jak długi. Kiedy się podniosłem, w ustach miałem krew i dzwoniło mi w lewym uchu. Rozcięte wargi piekły.

Abu Khaled wciąż patrzył na mnie wzrokiem rozwścieczonego grzechotnika.

- E... Co powiecie na Visę? - spytałem z wahaniem.

Teknikal, choć trochę słaby na umyśle, w końcu przejrzał na oczy.

- Więc ty naprawdę nie jesteś ten słynny Larry Page? Od początku miałem wątpliwości. To kim, kurwa, jesteś?

- Operatorem wózka widłowego w Walmarcie.

- Pieprzony kierowca bombowca! Pewnie nie zarabia nawet czterysta pięćdziesiąt tygodniowo. A myśmy go wzięli za miliardera! W

dotadku zapłaciliśmy temu kanciarzowi Bilalowi milion rupii za to, że go do nas przywiózł. - Zaczął się śmiać jak hiena po gazie rozweselającym.

Abu Khaled spojrział na niego surowo.

- Abu Teknikal, jak ty się zachowujesz? Dopilnuj, żeby ten niewierny nie uciekł.

Wiedziałem teraz dwie rzeczy. Że Bilal był zwyczajnym podłym śmieciem i że wpadłem jak śliwka w kompot.

Związali mi ręce i nogi i rzucili mnie w kąt ziemianki niczym worek starych szmat. Młodzi popatrzyli na mnie z zaciekawieniem, a potem wzięli broń i wyszli. Słyszałem, że się modlili, a później biegali jak na obozie dla rekrutów.

Zbliżał się wieczór. Przyszli Teknikal i Abu Khaled. Teknikal posmarował mi rozcięte wargi jakąś maścią.

- A wy kim właściwie jesteście? - spytałem.

- Ja jestem Abu al-Khaled al-Hamza - odpowiedział wielki. - Numer cztery w hierarchii Lashkar-e-Shahadat, Armii Męczeństwa. Należymy do Al-Kaidy. Naszym dowódcą jest Abu Abdullah Osama bin Muhammad bin Laden. Pewnie o nim słyszałeś.

- Tak. Czy to ten, co wysadził dwa wieżowce w Nowym Jorku?

- Zgadza się.

- I prezydent chciał go wykurzyć z tego... no... Kabulu?

- Myślisz o Afganistanie. Prawda, tylko że to my wygraliśmy tę wojnę. W waszych krajach teraz panuje przerażenie, strach, panika, a my wciąż jesteśmy silni. Abu Teknikal, powiedz mu, jaką nagrodę wyznaczył jego prezydent za moją głowę.

- Całe piętnaście milionów dolarów! - oznajmił Teknikal.

Piętnaście milionów? Gówno prawda. Jakby bzdury były muzyką, ten gość miałby orkiestrę dętą.

- A co robicie?

- Dążymy do rewolucji, walczymy o stworzenie Nizam-i-Islami, kalifatu islamskiego - powiedział Abu Khaled. - W naszym królestwie będzie obowiązywał szariat, prawo oparte na Koranie i Sunnie. Odpowiadamy na wezwania Allacha i jego proroka do dżihadu.

- A pan Allach to właściwie kto?

Khaled dał mi w twarz.

- Nigdy nie mów o naszym Bogu w ten sposób.

Potarłem policzek.

- A czego ode mnie chcecie?

- Żebyś powiedział temu diabłu Bushowi, że ma nawrócić wszystkich Amerykanów na islam. Że ma zlikwidować lichwiarskie banki. Zamknąć w więzieniach te świny homoseksualistów. Zakazać kobietom ponizania się zdjęciami w plugawych czasopismach. Chronić środowisko. Że ma...

- Rozumiem, do czego pan zmierza, panie Khaled. I mogę panu powiedzieć, że zrobię, co w mojej mocy, żeby prezydent się zgodził na wasze żądania. Ale nie mogę tego zrobić, siedząc tu w kącie, w egipskich ciemnościach.

Khaled się schylił i znowu uderzył mnie w twarz, ale już dwa razy.

- Za co?

- Raz za to, że mi przerwałeś, a drugi raz, bo obraziłeś mój kraj.

- Co ze mną zrobicie?

- Nie zrezygnujemy z okupu. Możesz nie być miliarderem, ale jesteś Amerykaninem. Teknikal, napisz oświadczenie dla CNN. Wyślemy je jutro razem z wideo. Damy panu Bushowi nauczkę, której nie zapomni.

- Ale ja jestem dla was bezużyteczny - zwróciłem się do Teknikala. - Prezydent mnie nie wysłucha. Może mnie wypuścicie? Obiecuję, że nie puszczę pary z gęby. Wszystko zostanie między nami.

- Nie. I słuchaj uważnie, panie Page. - Spojrzał na mnie, oczy mu się świeciły jak żarówki. - Jesteśmy Armią Męczeństwa. Nie boimy się śmierci. Nie boimy się też zabijać. - Przejechał mi palcem po szyi. - Więc nawet nie myśl o ucieczce.

Choć teraz już wiedziałem, że Teknikal jest tak samo niebezpieczny jak Abu Khaled, nie mogłem się powstrzymać, żeby jeszcze czegoś nie powiedzieć.

- A ja myślałem, że lubisz Amerykę.
 - Bo lubię. Tylko nienawidzę Amerykanów.
- Tym mi zamknął gębę.

Wieczorem w ziemiance zrobiły się faktycznie egipskie ciemności, a ja się zrobiłem taki głodny, że czułem, jak mi pępek przyrasta do kręgosłupa. Jeden z chłopaków zapalił lampę i w jej żółtym świetle pierwszy raz przyjrzałem się dokładniej współmieszkańcom. Młodzi nazywali się Altaf, Rashid, Sikandar i Munir. Byli chudzi, mieli od szesnastu do dwudziestu dwóch lat. Altaf powiedział, że jest z Naupury w Kaszmirze, a pozostali z Gujranwali w Pakistanie. Wyglądali jak chłopaki z centrum telefonicznego - młode twarze, zapal w oczach. Różnica była taka, że zamiast komputerami i telefonami posługiwali się karabinami i granatami.

W ziemiance było ciepło, ale spało się bardzo niewygodnie. Z braku miejsca trzeba było leżeć cały czas w tej samej pozycji. Tym razem znalazłem się między Sikandarem i Munirem. Całe szczęście, bo po tym, co mi zrobił, Teknikalowi wolałem nie patrzeć w oczy.

Następnego dnia zabrali mnie na polanę, na oczy założyli opaskę, kazali uklęknąć i złożyć ręce.

- Teraz błagaj o życie, świniu - warknął Abu Khaled, a Teknikal skierował na mnie kamerę.

- Porwali mnie faceci z Al-Kaidy. Jakbym miał za mało kłopotów! Wyciągnij mnie stąd, mamu - powiedziałem i w nagrodę dostałem kopa w tyłek.

- To jest wideo dla prezydenta, nie dla twojej matki, kretynie - wrzasnął Khaled.

Spędziłem w ziemiance blisko pięćdziesiąt dni. To było nudne jak czekanie, aż wyschnie farba. Z wielką przyjemnością korzystałem z każdej okazji, żeby wyjść na zewnątrz. Słuchanie co rano świergotu

ptaków i obserwowanie, jak mgła wznosi się powoli ku chmurom, pozwalało mi na chwilę zapomnieć, że jestem zakładnikiem. Zawsze jednak ktoś mnie pilnował, nawet kiedy robiłem kupę.

Jedzenie było okropne. Ciągłe *roti*, *dhal*, ryż i warzywa gotowane przez chłopaków. Smakowała mi tylko pyszna maślanka. Kiedy czasem Omar dostał od któregoś z pastuchów trochę wołowiny, mieliśmy ucztę.

Omar i Teknikal codziennie szkolili młodych rekrutów w posługiwaniu się bronią. Po wieczornej modlitwie Abu Khaled siadał pod drzewem i nauczał.

- Bóg nagradza męczennika za poświęcenie życia dla kraju - mówił, gładząc się po brodzie. - Jeśli zostaniesz męczennikiem, Bóg ci da siedemdziesiąt dwie dziewice, osiemnaście tysięcy sług i nieustające szczęście.

- Jestem gotów zostać dla Allacha męczennikiem! - krzyknął Sikandar. - Zrobię ze swojego ciała bombę, która uczyni wśród niewiernych spustoszenie.

Rashid nie chciał być gorszy.

- Zniszczę ciała tych świńskich i małych synów, sprawię im ból, jakiego jeszcze nie zaznali.

Słuchałem, jak chłopcy mówili, że się zabijają, i włosy stawały mi dęba, ale Abu Khaled z uznaniem kiwał głową.

- Wasze fotografie zawisną w szkołach i meczetach - powiedział. - Gdy stracie życie, w tej samej chwili rozpoczniecie w niebie drugie, na które tak długo czekaliście. Życie w nieustającym szczęściu. Niech dziewice dadzą wam radość.

- Allah akbar! - krzyknęli w odpowiedzi słuchacze. - Bóg jest wszechmocny.

Tylko Omar miał niezbyt szczęśliwą minę.

- Ja też chcę umrzeć jako męczennik, ale *zimmedar* wybrał do tego zadania Sikandara i Rashida.

- Do jakiego zadania?

- Nie mogę o tym mówić.

- A czemu chcesz się zabić?

- Żeby dostać w niebie siedemdziesiąt dwie dziewice. Jako mężczyzna będę też mógł zarekomendować do nieba siedemdziesięciu krewnych.

- Ale skąd wiesz, że jest jakieś niebo?

- Zawsze to mówią nasi mędrcy.

- A czy mędrcy byli w niebie?

- Nie, bo najpierw trzeba umrzeć.

- No to ja bym nie ryzykował. Wcale nie jestem pewien, czy to niebo to takie wystrzałowe miejsce.

- Ale Las Vegas podobno tak. Kuzyn mi powiedział, że w Chicken Ranch w Nevadzie można mieć więcej niż siedemdziesiąt dwie dziewczyny. Byłeś kiedyś w Las Vegas? - spytał wyczekująco.

Moja noga nie powstała nawet o tysiąc kilometrów od Las Vegas, ale chciałem mu zrobić na złość.

- Byłem też w Chicken Ranch. Są tam specjalne dni ze zniżką. Można wtedy mieć sześć dziewczyn za cenę dwóch.

Omar wyglądał jak kupa nieszczęścia, ja byłem uśmiechnięty od ucha do ucha.

Teknikal nie okazywał specjalnego zainteresowania ani dziewczycami, ani Vegas.

- Jak to się stało, że się spiknąłeś z kimś takim jak Abu Khaled? - spytałem go któregoś dnia, kiedy był w dobrym nastroju.

- Byłem wyróżniającym się studentem College'u Mechaniki i Elektrotechniki w Pindi, panie Page, ale pański kraj zabrał mi ojca - został internowany w Guantanamo. Nie jest terrorystą. Za to Ameryka zrobiła terrorystę ze mnie.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć.

Z każdym dniem martwiłem się coraz bardziej, bo prezydent nie reagował. Żadna gazeta nie pisała, że zaginałem, żadna stacja telewizyjna nie informowała o moim porwaniu. Po prostu zniknąłem z powierzchni ziemi.

Abu Khaleda bardzo to zdenerwowało.

- Jakie wy tam macie władze? - krzyknął. - Nikogo nie obchodzisz. Nie reagują na nasze groźby, nawet nie potwierdzili, że dostali wiadomość. Ale dwudziestego pierwszego lutego pokażemy światu, do czego jesteśmy zdolni.

- Dlaczego akurat dwudziestego pierwszego lutego?
- Wtedy jest wielkie hinduskie święto. To także dzień naszego najbardziej spektakularnego ataku na niewiernych.
- Co zrobicie?
- Wkrótce się dowiesz.

Wciąż myślałem o ich planie, ale nie potrafiłem wykombinować, co knują. Dopiero Sikandar mnie naprowadził. Tydzień przed dwudziestym pierwszym lutego zauważyłem, że przymierza wielki skórzany pas, podobny do tych, jakie dostają zwycięzcy w walkach Światowej Federacji Wrestlingu.

- Hej, fajna rzecz - powiedziałem. - Skąd to masz?
- Abu Teknikal mi zrobił.
- No, no. Dwudziestego szóstego będzie mecz? Randy Orton¹⁴⁵ wystąpi?

¹⁴⁵ Randy Orton - wrestler, były mistrz wagi ciężkiej.

Sikandar nie miał pojęcia, kto to jest Randy Orton, więc postanowiłem go nauczyć kilku chwytów. Złapałem pas i już miałem go sobie założyć, kiedy Sikandar wyrwał mi go z rąk.

- Ty głupku, przecież byś nas wszystkich zabił!
- Zabił? Jak? - spytałem zdziwiony.
- To nie jest po prostu pas, idioto, tylko UW, urządzenie wybuchowe - wtrącił się Teknikal. - Może zabić pięćdziesięciu ludzi, kiedy się naciśnie detonator, czyli klamrę.

Już wiedziałem, jakie zadanie dostali Sikandar i Rashid. Założą pasy, pójdą do miasta i wyzwą Hindusów na walkę zespołową, a potem naciśną klamry i rozerwą na strzępy siebie i Bóg wie ilu niewinnych ludzi.

Tej nocy Sikandar leżał koło mnie.

- Lubisz zabijać ludzi? - zapytałem.
- Nie ja zabijam, tylko bomba - odpowiedział bezbarwnym głosem.
- Ale ty naciśniesz guzik.
- To jest wojna, a ja jestem żołnierzem. Żołnierze muszą zabijać innych ludzi, bo inaczej sami zostaną zabici.

- Masz rodzinę? Matkę? Pomyślałeś, co się z nią stanie, jak się dowie, że zginąłeś?

- Odszedłem z domu matki dawno temu.
- Zupełnie go zapomniałeś?
- Miał kwadratowe okna, przez które zagładało słońce. Drzwi wejściowe były od ulicy. Wąskimi schodami szło się do pokoju, w którym wisiało zdjęcie dziadka. Więcej nie pamiętam.

Za kilka dni te wspomnienia z utraconego domu miały zostać pogrzebane razem z Sikandarem. Spojrzałem w jego zimne oczy i przeszedł mnie dreszcz. Ciekawe, czy serce ma takie samo, pomyślałem.

Nie mogłem usnąć. Na świecie trwały wojny, o których nie miałem pojęcia. Ludzie umierali, dzieciaki z mlekiem pod nosem były gotowe wysadzać się w powietrze, a ja nawet nie wiedziałem, o co walczą. To było straszne, ale prawdziwe.

Rano Sikandar i Rashid opuścili ziemiankę, zabierając dużo jedzenia. Najwidoczniej czekała ich długa droga.

- Pozostaje nam tylko czekać. - Abu Khaled zatarł ręce.

Następnego dnia Omar poszedł po prowiant i nie wrócił. W nocy Teknikal i Khaled nie zasnęli - zastanawiali się, czy go nie złapało wojsko.

- Nie powinieneś wysłać Omara - powiedziałem Khaledowi. - Jest głupi jak but.

Omar wrócił o świcie pijany jak świnia. Wczołgał się do ziemianki i zarzygał koc. Po kilku godzinach wytrzeźwiał.

- Zrobiłem to, Larry - oznajmił i wyszczerzył zęby. - Teraz jestem prawdziwym mężczyzną.

Miai pecha, bo usłyszał to Khaled. Była wielka awantura. Teknikal powiedział mi później, że Omar przespał się z trzynastoletnią pastuszką i za karę dostał trzydzieści dni *roza*¹⁴⁶, więc od rana do wieczora nie wolno mu jeść. Przy okazji ucierpiałem i ja, bo z jakiegoś powodu Khaled uznał, że byłem z Omarem w zмовie, i też mi kazał pościć.

¹⁴⁶ *Roza* - muzułmański post.

Nadszedł dwudziesty pierwszy lutego. Moi porywacze włączyli telefon satelitarny i bez przerwy przy nim siedzieli. W południe dostali wiadomość, na którą czekali. Sikandar i Rashid wysadzili się w powietrze, zginęło trzydziestu niewiernych.

Munir i Altaf zarznęli krowę i wieczorem było wielka uczta. Nie zjadłem ani kęsa. Nie mogłem, pamiętałem oczy Sikandara. Tej nocy ziemianka wydawała mi się przeraźliwie zimna.

O czwartej Abu Khaled się pomodlił i od razu opuściliśmy kryjówkę. Teknikal wyjaśnił mi powód nagłych przenosin.

- Przed zachodem słońca wojsko otoczy i przeszuka teren. Musimy natychmiast stąd odejść.

Khaled, Teknikal, Omar i ja ruszyliśmy na północ, Munir i Altaf zostali z tyłu, żeby zatrzeć ślady. Teknikal niósł telefon satelitarny, Khaled i Omar karabinki AK-47.

Droga była trudna. Szliśmy przez strome góry i zimne wąwozy. Późnym wieczorem dotarliśmy do cichej doliny. Noc spędziliśmy w pustej drewnianej chacie.

Następnego dnia wyruszyliśmy w kolejną podróż, bez wątpienia najniebezpieczniejszą w moim życiu - z Kaszmiru indyjskiego do pakietańskiego. Wędrowaliśmy tylko nocą, w dzień siedzieliśmy gdzieś ukryci. Prowadził Teknikal, który miał noktowizor. Szliśmy za nim ślepo przez góry i łąki, pagórki i rowy, lodowate rzeki i śliski śnieg. Musieliśmy strzec się min, rakiet oświatlających i patroli granicznych. Na szczęście dali mi kalosze, nieprzemakalną kurtkę, a nawet wełniane szmaty, żebym sobie owinął tydki dla ochrony przed odmrożeniem.

Tydzień później znalazłem się na wielkiej zielonej łące na odludziu. Na skraju łąki stał stary piętrowy dom z drewna, z czarnym kominem. Farba na ścianach była złuszczone, belki splekane, ale i tak ta kryjówka wydawała się o niebo lepsza od ziemi.

- Tu teraz zamieszkamy - powiedział Abu Khaled. - Dotarliśmy do Pakistanu. Już się nie musimy ukrywać ani niepokoić.

Ja jednak miałem wielki powód do niepokoju. Prezydent wciąż nie reagował na moje porwanie, a porywacze byli coraz bardziej źli i zniecierpliwieni.

- Postawmy Amerykanom ultimatum - powiedział Khaled do Teknikala. - Wybierzmy datę.

- Co powiecie na dwudziestego marca, Milad-al-Nabi? - odezwał się Omar.

Teknikal spojrzał na mnie.

- A może pan wybierze datę, panie Page?
- Siedemnastego marca - powiedziałem bez zastanowienia.
- Ma pan jakiś szczególny powód, że akurat tę?
- Wtedy są urodziny kogoś wyjątkowego.
- To też za późno. Wybieram dwunastego - powiedział Khaled.
- Dlaczego?
- Bo to moje urodziny.

Kaszmir pakistański był dokładnie taki jak indyjski - tacy sami pasterze koczownicy, takie same drewniane domy, takie samo jedzenie, taka sama pogoda. Dni mi upływały na czekaniu na wiadomość od prezydenta i marzeniu o Shabnam.

Nim się obejrzałem, nadszedł dziesiąty marca. Spytałem Omara o ultimatum.

- Co będzie, jak w ciągu dwóch najbliższych dni nie dostaniecie odpowiedzi od prezydenta?

- To proste - odpowiedział. - Zabijemy cię.

Facet był delikatny jak końskie gówno w śmietanie.

Przez następne dwie noce prawie nie spałem. Kiedy tylko próbowałem się na czymś skupić, stawała mi przed oczami zakapturzona postać z kosą i zaczynałem się trząść jak galareta.

Na dobitkę jedenastego marca zaczęły się bardzo zimne północne wiatry, które jednego dnia przyniosły więcej deszczu, niż widziałem przez poprzednich pięć miesięcy. To było istne oberwanie chmury, z grzmotami i błyskawicami. Strugi wody waliły w dom, a ja myślałem o mamie. O pani Henriecie Loretcie. O Undertakerze¹⁴⁷. O tym dziwnym kwietniowym śniegu w Waco. Nawet o tacie. Ale przede wszystkim o kobiecie, której nie widziałem na oczy.

¹⁴⁷ Undertaker - słynny wrestler.

Dwunastego marca rano Teknikal powiedział, że wciąż nie ma ani słowa od prezydenta. Dał mi smaczne śniadanie - nawet go nie tknąłem - i zaprowadził mnie do Abu Khaleda.

- Panie Page, wygląda na to, że pańscy rodacy postanowili pana poświęcić. Teraz pan wie, dlaczego mówię, że Amerykanie są bez serca. Radzę się panu pomodlić.

- Pozwól mi go zabić, szefie - poprosił Omar z błyskiem w oku. Od kiedy przeleciał tę dziewczynę, całkiem mu odbiło.
- Nie, szefie, ja to zrobię - powiedział Teknikal spokojnie.

Wyprowadzili mnie na łąkę, śliską po deszczu jak sowie gównu. Omar dał mi łopatę.

- Masz, wykop sobie grób, amerykańska świni - warknął.

Przez półtorej godziny harowałem, kopiąc w ziemi dziurę, która miała być miejscem mojego ostatniego spoczynku. W końcu grób był gotów. Słońce przebyło już pół swej drogi po niebie, w jego blasku świergotały gdzieś ptaki. Nic nie wskazywało na to, że ktoś tu niedługo umrze.

Teknikal wyjął z kieszeni kawałek czarnego materiału.

- Zawiązać ci oczy?
- Nie. Chcę widzieć, co robicie - powiedziałem.

- Odważny. Jak Saddam - mruknął. Jego ak-47 otarł mi się o nogi. Udawałem odważnego, ale w środku trząsałem się jak osika.

Mówi się, że jak człowiek ma umrzeć, przed oczami przelatuje mu całe życie. Nieprawda. Przed moimi przeleciała tylko wrona, w dodatku paskudna.

- No już, zrób to - ponaglił Abu Teknikala Omar, patrząc w kamerę.

Abu Khaled odmówił po arabsku modlitwę. Nie wiedziałem, czy za siebie, czy za mnie.

- Masz jakieś ostatnie życzenie? - spytał Teknikal cichym głosem. Wiedziałem, że mnie polubił, tak jak rodzina lubi psa. Ale nawet psy się usypia, kiedy trzeba.

- Ostatnie życzenie? - powtórzył.

Chwilę się zastanowiłem. Czekoladowych ciasteczek na pewno się tu nie znajdzie. I wtedy zauważyłem, że Teknikal ma w kieszeni telefon satelitarny.

- Mogę zadzwonić? - spytałem.

- Do kogo?

Najpierw pomyślałem, że do mamy, ale to by ją okropnie zdenerwowało, a nie chciałem jej psuć kolacji.

- Jest tylko jedna osoba, do której bym chciał zadzwonić przed śmiercią - kobieta, którą kocham.

- Kto to jest?

- Nazywa się Shabnam Saxena.

- Shabnam Saxena? Aktorka? - zainteresował się nagle Omar.

- Tak. To moja narzeczona. Mieliśmy się pobrać.

- Ten skurwysyn kłamie, Abu Teknikal - powiedział Omar. - Nie ma mowy, żeby mógł znać Shabnam Saxenę.

- W portfelu mam jej zdjęcie i numer komórki - powiedziałem.

- Sprawdź. - Omar podbiegł i wyjął mi portfel z kieszeni. Zagwizdał. - Nie kłamał. Naprawdę ma jej zdjęcie.

- Pokaż, pokaż - powiedział Teknikal i wyrwał mu zdjęcie z ręki. Też zagwizdał. - O, Boże! Takiej pięknej kobiety jeszcze nie widziałem!

- Abu Teknikal, mogę z nią ostatni raz porozmawiać? - spytałem.
- Szefie - Omar zwrócił się do Abu Khaleda - ta dziwka występuje w filmach prawie gola. Bardzo nie po islamsku. Mogę zorganizować jej porwanie?

- Nie chcę mieć z tą kobietą nic wspólnego. - Abu Khaled pokręcił głową.

- Daj mi jej numer - powiedział Teknikal. - Mam thurayę¹⁴⁸, puszczyć rozmowę na głośnik.

¹⁴⁸ Thuraya - telefon satelitarny wyprodukowany przez firmę o tej samej nazwie (przyp. tłum.).

- Nie, ja będę z nią rozmawiał - powiedział Omar, wyszarpnął telefon Teknikalowi, a z swojego portfela wyjął skrawek papieru. - Tu jest numer tej dziwki.

Wybrał numer i uzyskał połączenie.

Przypuszczałem, że jak zwykle usłyszę nagraną informację, ale niespodziewanie ktoś podniósł słuchawkę.

- Kto mówi? - spytał kobiecy głos. Serce zabiło mi mocniej.

- Tu komendant Abu Omar, dziwko. Numer pięć w Lashkar-e-Shahadat.

- Słucham?

- Lepiej uważaj, dziwko. Grasz w nieprzyzwoitych filmach iosisz skąpe stroje. Mamy zamiar cię porwać. Czekaają cię tortury i śmierć.

- To jakiś kawał?

- Nie, Shabbo, to nie kawał.

- Shabbo? To pomyłka.

- Pomyłka? Nie jesteś Shabnam Saxena?

- Jestem Elizabeth Brookner z ambasady Stanów Zjednoczonych.

- Elizabeth Brookner? - spytał Omar.

- Kto to jest Elizabeth Brookner? - spytał Khaled.

- Szefie - wtrącił się Teknikal - Elizabeth Brookner od 2006 roku kieruje placówką CIA w Indiach. Prymuska na Stanford University, do CIA wstąpiła w 1988, pracowała na Ukrainie, w Jordanii i w Kuwejcie.

Specjalistka od Al-Kaidy. Kurwa!

- To znaczy, że ten sukinsyn nas oszukał. - Khaled pogroził mi palcem.

- Zabić go! - wrzasnął Omar.

- Nie, najpierw musimy się dowiedzieć, co go łączy z CIA - powiedział Khaled.

Przez następne dziesięć minut wyjaśniałem, skąd się wziął w moim portfelu numer telefonu Elizabeth Brookner. Potem Khaled dał znak i Teknikal przystawił mi lufę ak-47 do głowy. Odwracał oczy, starał się na mnie nie patrzeć.

- Nie martw się - szepnął. - Nic nie poczujesz. W sekundę będzie po wszystkim.

Nagle usłyszałem głośny huk.

- Co to jest, na Allacha? - spytał Abu Khaled i pokazał dziwny obiekt, który się wylaniał zza wzgórza jak wznosząca się chmura.

- Obawiam się, szefie, że to może być MQ-1 Predator, czyli bezzałogowy, zdalnie sterowany bojowy aparat latający wyposażony w dwa pociski rakietowe AGM-114 Hellfire kierowane laserowo - wychrypiął Teknikal. - Ta dziwka Brookner nas namierzyła. A pociski właśnie...

Błysnął ogień, rozległ się potężny wybuch. Łąka się zatrzęsła, coś ostrego uderzyło mnie w nogę i wpadłem do grobu. Posypała się na mnie ziemia, którą wcześniej wykopałem.

Wyrzebanie się z grobu zabrało mi chyba z kwadrans. Krztusiłem się i sapałem. Miałem błoto w uszach, błoto w oczach, błoto w ustach. Moja lewa noga wyglądała, jakby ktoś po niej przejechał piłą łańcuchową. Tuż pod kolanem ziała krwawiąca rana głęboka na dwa centymetry.

Łąka była jak po wizycie Terminatora¹⁴⁹. Eksplozje przeorały teren, pozostawiając krater wielkości ubikacji.

¹⁴⁹ Aluzja do filmu z Arnoldem Schwarzeneggerem.

Abu Khaleda i Abu Omara rozerwało na strzępy. W jednym miejscu widziałem poharataną rękę, w innym złamaną nogę.

Pokuśtykałem na drugą stronę grobu, gdzie leżał zakrwawiony Teknikal. Wziąłem jego głowę na kolana. Z trudem łapał oddech. Spojrzał na mnie.

- Myśli pan, że w niebie mają szerokopasmowy Internet, panie Page? - spytał. Zamknął oczy, głowa przechyliła mu się bezwładnie na bok. Wyglądał jak nieżywy.

Uciekałem stamtąd tak szybko, jak tylko się dało z poranioną nogą. Wiatr wokół jęczał i stękał niczym rodząca kobieta. Mijałem domy i zaskoczonych wieśniaków. Płoszyłem stada kóz i gołębi. Zszedłem ze wzgórza, wskoczyłem do rzeki, na drugim brzegu biegła żwirowa droga. To już było coś. Droga zaprowadziła mnie do miejsca, które wyglądało jak skład. Na zardzewiałym szyldzie przy wejściu było napisane „Hafiz - Eksport Drewna, Keram”. Pchnąłem żelazne drzwi, okazały się otwarte. W środku były stosy desek i ani żywego ducha. „Jest tu kto?”, krzyknąłem, ale usłyszałem tylko echo. Dalej znalazłem piły i maczety, siekiery i rębarki. Podłogę pokrywały zaschnięte plamy ze smarów i oleju. Poszedłem po śladach oleju i zobaczyłem wspaniały widok. W kącie składu stał wózek widłowy. To był Nissan Nomad AF30, w baku miał paliwo. Zapaliłem silnik - działał! Nastrój mi skoczył jak po paru głębszych. Dwie minuty później jechałem po żwirowce, kwicząc z radości i bijąc wszelkie wózkowe rekordy. Szkoda, że mnie nie widzieli ci idioci z rodeo w Cisco. Przekonaliby się, że wózkiem o maksymalnej prędkości jazdy siedemnaście kilometrów na godzinę można gnać dwa razy szybciej i nie zatrzeć silnika.

Noga wciąż mi krwawiła, ale z podniecenia całkiem o tym zapomniałem. Jechałem i jechałem, aż dojechałem do rozwidlenia dróg. Musiałem wybrać: w prawo albo w lewo. Wybrałem w prawo i po pięciu minutach wpadłem na wojsko. Piętnastu pakistańskich żołnierzy otoczyło wózek, wzięli mnie na muszkę i kazali wysiadać.

- Spokojnie, chłopaki, poddaję się - powiedziałem. Podniosłem ręce do góry, stanąłem na drodze i zemdlałem.

Później się dowiedziałem, że zawieźli mnie do miasta Muzaffarabad i umieścili w szpitalu wojskowym. Tydzień wracałem do siebie. W tym

czasie zadzwoniła mama i coś plotła o rozmowie z prezydentem, ale bardziej ją kręciło to, że może za darmo nosić buty, jakie tylko chce, bo właśnie wyszła za pana Hinsona, który jest właścicielem sklepu obuwniczego Bajeczny But w śródmieściu Waco.

Z ambasady amerykańskiej w Islamabadzie przyjechał John Smith, gość w ciemnym garniturze i w ciemnych okularach.

- Wszystko o panu wiemy, panie Page - powiedział. - Szukamy pana od dwóch miesięcy.

- No to jestem - powiedziałem. - Co teraz zrobicie? Wsadzicie mnie do pudła?

- Nie, proszę pana. Poleci pan amerykańskim samolotem wojskowym do New Delhi. Pana sprawą zajmuje się Elizabeth Brookner. Ona pana przesłucha.

Dwa dni później, dwudziestego drugiego marca, wylądowałem w New Delhi.

Był chłodny poranek, ale pani Brookner czekała na mnie na płycie lotniska. Obok stała długa limuzyna.

- To dla mnie zaszczyt, że znowu mogę pana powitać w New Delhi, panie Page - powiedziała. - Wygląda pan inaczej.

Miała zupełną rację. Od kiedy mnie widziała, schudłem trzydzieści kilo. Byłem szczuplejszy, sprawniejszy, silniejszy.

- A pani mówi inaczej - odpowiedziałem.

- Mam dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć?

- Wystarczy mi złych wiadomości. Od dobrej.

- W uznaniu pana wyjątkowej roli w zlikwidowaniu trzech niebezpiecznych terrorystów, w tym jednego z naszej listy najbardziej poszukiwanych, na wniosek sekretarza stanu i prokuratora generalnego, w ramach programu Nagrody za Sprawiedliwość, przyznano panu nagrodę w wysokości piętnastu milionów dolarów. Pieniądze czekają w ambasadzie. Są wolne od podatku. Gratulacje!

Trwało dobrą minutę, zanim to sobie ułożyłem w głowie.

- Piętnaście milionów! - Nie wierzyłem własnym uszom. - A jaka jest zła?

- Międzyresortowy zespół stwierdził, że pana życiu może grozić stałe niebezpieczeństwo ze strony Al-Kaidy i innych ugrupowań terrorystycznych. Dlatego jest pan proszony o zgodę na objęcie programem ochrony świadków i zmianę miejsca zamieszkania.

- Tak jak w tym filmie „Eraser”?

- Mniej więcej. Będzie pan musiał przyjąć nową tożsamość, nowe nazwisko - nawet nową twarz, jeśli będzie pan sobie tego życzył.

- Żaden problem. Prawdę mówiąc, nigdy za bardzo nie lubiłem swojego nazwiska. Mogę wyglądać jak Arnie Schwarzenegger?

- To by wymagało trochę wysiłku - uśmiechnęła się. - Ma pan jakiś pomysł na nową karierę zawodową? Teraz jest szansa, żeby zacząć robić coś, na co się od dawna miało ochotę. Z piętnastoma milionami może pan nawet już tylko odpoczywać na ranchu w Teksasie.

- Powiem pani, że zawsze mi imponowali faceci z Fibi.

- Fibi? Ach, ma pan na myśli FBI?

- Tak. Byłem pod Mount Carmel w dziewięćdziesiątym trzecim, kiedy faceci z Fibi prowadzili oblężenie wariatów na farmie.

- A, tych z Gałęzi Dawidowej. Co pan tam robił?

- Mama myślała, że może tata się przyłączył do Koresha¹⁵⁰, ale go tam nie było.

¹⁵⁰ Chodzi o Davida Koresha, przywódcę sekty religijnej Gałąź Dawidowa.

- Więc chce pan być agentem FBI?

- Tak.

- Przykro mi, panie Page, ale to nie wchodzi w rachubę. Żeby zostać agentem FBI, trzeba mieć wyższe studia i co najmniej trzy lata doświadczenia w podobnym zawodzie.

- A żeby zostać producentem w Hollywood, też muszę mieć studia?

- Producentem w Hollywood?

- Tak. Takim, co robi filmy.

- Nie sądzę.

- To mogę być producentem?

Lizzie chwilę się zastanowiła.

- Myślę, że to by się dało zrobić. I to pewnie w tydzień.
- Byłoby super. Wtedy bym poznał Arniego Schwarzeneggera i Harrisona Forda, i...

Lizzie mi przerwała.

- Porozmawiamy na ten temat, kiedy pan przyjdzie na przesłuchanie. Ma być dzisiaj o piętnastej. A teraz proszę wsiadać do samochodu.

Po południu poszedłem do ambasady i dostałem piętnaście milionów w nowiusieńkiej walizce od Samsonite'a i list z podziękowaniem od prezydenta. Myślałem, że on mieszka w Waszyngtonie, ale okazało się, że w White House.

- Pana życzenie zostało spełnione - powiedziała Lizzie. - W ramach programu ochrony świadków przeprowadzimy pana do Los Angeles. Na pana nazwisko została zarejestrowana wytwórnia filmowa Sizzling Films¹⁵¹. Nad pana bezpieczeństwem będzie przez całą dobę czuwało dwóch tajnych agentów FBI.

¹⁵¹ Sizzling Films - Pikantne Filmy (przyp. tłum.).

- A niech mnie! To kiedy zaczną się spotykać z Bradem Pittem i Julią Roberts?

- Właściwie nigdy.
- Nigdy? Czemu?
- Bo Julia Roberts i Brad Pitt liczą sobie za film dwadzieścia milionów dolarów, więc z piętnastoma może pan zapomnieć o produkcji hollywoodzkich hitów. Dlatego robimy z pana producenta filmów, hm, dla dorosłych.
- Znaczący filmów tylko z dorosłymi aktorami?
- Nie, to jest łagodne określenie filmów porno.
- Mowy nie ma! Co będzie, jak się dowie moja mama?
- Ona się nie dowie. Dajemy panu zupełnie nową tożsamość. A teraz proszę mi powiedzieć, w jakim stopniu jest pan obeznany z tą branżą.

- Nie mam o niej zielonego pojęcia. Mama by mnie zabiła, jakby mnie przyłapała na oglądaniu tych świństw.

- Tak myślałam. Dlatego mam dla pana aktualny spis. To jest najobszerniejsza baza danych o aktorach i aktorkach pracujących w Stanach Zjednoczonych w branży porno. Niech się pan z nią dokładnie zapozna, bo inaczej się pan zdemaskuje. - Lizzie wręczyła mi grubą czerwoną księgę.

Zacząłem przerzucać kartki i nagle aż mnie zatkało. Między Busty Dusty i Honey Bunny był wciśnięty przystojny mężczyzna, który za cały strój miał kapelusz kowbojski.

- O, mój Boże! - powiedziałem.

Lizzie zerknęła na zdjęcie.

- Tu piszą, że to jest Harry Big Dick, w branży od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego. Pan go zna?

- Taa... - powiedziałem, wijąc się ze wstydu. - To mój tatuś. - Jest pan pewien?

- Na pewno wygląda jak tatuś, tylko jest odrobinę starszy.

- Zaraz uruchomię Langley. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin będziemy mieli jego pełne dane. A tu jest pana nowy paszport.

- Podala mi kopertę.

Zajrzałem do środka. Okazało się, że paszport należy do dzentelmena nazwiskiem Myers.

- Hej! To zły paszport! - wykrzyknąłem.

- Nie. Pan się teraz nazywa Rick Myers - powiedziała Lizzie.

- Prywatny odrzutowiec może w każdej chwili odlecieć z panem do Stanów. Czy chciałby pan zrobić jeszcze coś w Indiach przed wyjazdem?

- Jest jedna rzecz... - zawahałem się.

- Proszę powiedzieć, panie Myers.

- Może mógłbym się chociaż raz spotkać z aktorką Shabnam Saxena?

- To się da załatwić.

- Mieszka w Bombaju.

- Jutro będzie w Delhi.

- Skąd pani wie?

- Panie Myers, rozmawia pan z szefem placówki CIA, wiedzieć to mój obowiązek. A naprawdę, to znajomy przedsiębiorca Vicky Rai zaprosił mnie na przyjęcie, które ma się odbyć jutro wieczorem w jego domu w Mehrauli, i powiedziano mi, że ma tam też być ta aktorka. Nie interesuje mnie Bollywood i na przyjęcie się nie wybieram, ale mogę załatwić zaproszenie dla pana.

- To by było świetnie.

- Dobrze, ale musi pan być bardzo ostrożny. Al-Kaida ma też Indie na celowniku. A dopóki pan jest w Indiach, jestem za pana odpowiedzialna. Nie chcę stracić swoich przyszłych medali, bo pan nie będzie CWD - chronił własnej dupy, tak mówimy w firmie. Więc ma pan tu broń. - Otworzyła szufladę i wyjęła pistolet. - To jest glock 23 z tytanowym tłumikiem Abraxas. Standardowe wyposażenie funkcjonariuszy FBI. Niezła zabawka. - Odwróciła go kolbą w moją stronę i mi podała. - Przypuszczam, że jako Teksaszczyk umie się pan obchodzić z bronią.

- O, tak. - Machnąłem ręką. - Mam do czynienia z bronią, od kiedy skończyłem siedem lat.

Lizzie miała coś powiedzieć, ale zadzwoniła jej komórka. Posłuchała, rozłączyła się i zaklęła:

- Cholera!

- Co się stało? - zapytałem.

- Proszę to zachować dla siebie. Do pewnej nielegalnej operacji zwerbowałem w Tybecie miejscowego, ale wszystko wzięło w łeb i teraz muszę facetowi załatwić plan emerytalny.

- Co to za plan?

- Taki, do którego raczej nie trzeba się śpieszyć - zaśmiała się. - Muszę już iść. Poproszę kogoś, żeby pana odprowadził.

Prawie wybiegła. Czekałem, ale nikt po mnie nie przychodził. Kiedy minęło pół godziny, wyszedłem sam. Znalazłem się w pięknym ogrodzie. Nigdzie nie było ani żywej duszy. Z piętnastoma milionami w jednej ręce i pistoletem w drugiej byłem jak świnia w koniczynie. Już jako siedmiolatek miałem kowbojskie zabawki, ale prawdziwej broni

dotykałem pierwszy raz. To była wielka spluwa z lufą długą jak psi ogon. Zacząłem dłubać przy magazynku, nagle usłyszałem trzask i ten cholerny gnat szarpnął mi się w rękę jak mangusta, a z lufy wyleciało kilka smużek dymu. Widać robił, co chciał, więc wsadziłem go do samsonite'a i pomaszerowałem do wyjścia.

Przy schodach stała wielka czarna limuzyna, koło niej leżał twarzą do ziemi jakiś siwy gość w granatowym garniturze. Wokół niego kręciło się pełno marines, jak muchy przy gównie.

- Co się stało? - zapytałem jednego.

- Snajper chciał zastrzelić ambasadora! - wrzasnął. - Na ziemię, na ziemię!

Zdenerwowałem się jak mrówka na gorącej patelni. Poleciałem do głównego wejścia, oddałem wartownikowi plakietkę gościa i wyszedłem.

Na ulicy poklepałem samsonite'a. Dobrze, że mam coś do obrony, skoro po tym mieście krążą wariaci, którzy strzelają do ludzi. Z pistoletem od Lizzie mogę powiedzieć facetom z Al-Kaidy, żeby mnie PWD - to w żargonie Page'ów znaczy pocałowali w dupę!

12.

KLĄTWA ONKOBOWKWE

Autochton z Małego Andamanu siedział w tramwaju numer trzydzieści kursującym między Kalighatem a mostem Howrah. Na twarzy czuł miły powiew wiatru.

Był dziewiętnasty października, godzina wpół do dziesiątej. Poranny smog zniknął, błękitny bezmiar nieba zakłócały jedynie postrzępione kontury wieżowców. Łagodne światło słoneczne przyjemnie łaskotało skórę Eketiego. Nabrał w płuca powietrza o mocnym, ostrym zapachu miasta, przeciągnął się, odrzucił głowę do tyłu - przepelniała go radość życia. Jak na zawołanie przefrunęła mu nad głową, wesoło trzepocząc skrzydłami, para szarych gołębi.

Był na Esplanade, w tętniącym życiem centrum metropolii. Gdzie spojrzął, widział tłumy ludzi. Dzieci w podnieceniu pokazywały go palcami, mężczyźni się gapili, kobiety nagle wstrzymywały oddech i zakrywały sobie usta; on się śmiał i do nich machał. Wokół tramwaju wrzał ruch - we wszystkie strony pędziły taksówki, riksze, skutery, motocykle. Ryczały, trąbiły, buczały, piszczały klaksony. Z poobijanych prywatnych autobusów wychylali się umundurowani konduktorzy i co sił w płucach krzyczeli, dokąd jada. Na ogromnych billboardach domagały się uwagi jaskrawe reklamy past do zębów i szamponów. Rozpasane budynki piętrzyły się nad ulicą jak góry. Eketiemu się wydawało, że to jakiś wspaniały sen.

Niedawno minęły dwa tygodnie od owego doniosłego dnia, kiedy się podjął odzyskania świętego kamienia skradzionego przez Banerjuego.

Ashok Rajput, urzędnik z biura pomocy społecznej, podsłuchał i zaskoczył starszych plemienia, kiedy się naradzali. Jeszcze bardziej ich zaskoczyła jego chęć zabrania Eketiego do Indii i udzielenia mu pomocy w odzyskaniu *ingetayi*. Ponieważ odkrył ich plany i tylko on znał adres Banerjeego, z konieczności przyjęli jego propozycję, Eketiemu powiedzieli jednak, żeby mu nie ufał. Ashok Rajput miał być wykorzystany do odszukania świętego kamienia, a potem należało się go pozbyć jak natrętnej muchy.

Przygotowania do podróży trwały ponad tydzień. Ashok musiał uzyskać w swoim biurze urlop. W tym czasie szaman Nokai skompletował dla Eketiego „zestaw pierwszej potrzeby”: suszoną niedźwiedzinę i bulwy do jedzenia, gałki do leczenia, bryłki czerwonej i białej gliny do malowania ciała, woreczek świńskiego sadła do rozrabiania gliny i rzecz najważniejszą - *chauga-ta*, czyli amulet odpędzający choroby, zrobiony z kości samego wielkiego Tomitego. Eketi schował to wszystko na dno czarnej brezentowej torby - podróbki Adidasa kupionej w Hut Bay¹⁵² - a na wierzchu położył stare ubrania. Po nocy spędzonej na ucztowaniu i świętowaniu został pożegnany jak bohater. Następnego dnia rządowym ślizgaczem odpłynął z Ashokiem z Małego Andamanu do Port Blair, gdzie w nocy został przeszmulgowany na pokład motorowca Jahangir, dużego statku pasażerskiego kursującego trzy razy w miesiącu do Kalkuty, którego kapitana znał Ashok. Ashok dostał luksusową kabinę, Eketi koję trzeciej klasy tuż obok maszynowni, z dała od wścibskich oczu.

¹⁵² Hut Bay - ważna portowa osada na Małym Andamanie.

- I pamiętaj - pouczył go Ashok - że nikt nie może wiedzieć, że jesteś Onge z Małego Andamanu. Dlatego musisz zawsze mieć włosy zakryte czapką, a kość, którą nosisz na szyi, chować pod T-shirtem. Kiedy ktoś cię zapyta, kto jesteś, mów, że *adivasi*, autochton, Jiba Korwa z Dźharkhandu. Dźharkhand to stan w Indiach, w którym jest wiele prymitywnych plemion jak twoje. Jasne? Teraz powiedz, jak się nazywasz.

- Eketi jest Jiba Koba z Dźharkhandu.
- Idiota! - Ashok uderzył go pięścią w głowę. - Masz powiedzieć „Jestem Jiba Korwa z Dźharkhandu”. Włóż czapkę i powtórz to dwadzieścia razy.

Eketi włożył więc czerwoną czapkę od Gapa i powtarzał nowe nazwisko, aż je zapamiętał.

Statek przebył swą prawie tysiãctrzystukilometrową trasę w trzy dni. Do Kidderpore Dock w Kalkucie zawinął wieczorem. Ashok i Eketi czekali, aż zapadnie noc. Potem wysiedli i wzięli taksówkę.

Gdy tylko wyjechali z portu, niebo ożywił wspaniały pokaz sztucznych ogni, a ziemia się zatrzęsa od wybuchów petard.

- To mnie tak witają? - spytał podekscytowany Eketi, ale Ashok kazał mu być cicho i klepnął taksówkarza w ramię.

- Dlaczego obchodzicie tu Diwali dwadzieścia dni przed terminem?

Taksówkarz się roześmiał.

- To wy nawet nie wiecie, że zjawiliście się w Kalkucie podczas naszego największego święta? Dziś jest Saptami, jutro Mahashtami¹⁵³.

¹⁵³ Chodzi o Durga Puja, największe bengalskie święto, które trwa pięć dni. Saptami przypada na drugi dzień Durga Puja, Mahashtami na trzeci.

- Niech to szlag - mruknął Ashok pod nosem. - Nie zdawałem sobie sprawy, że trafimy tu akurat w środku Durga Puja.

W mieście rzeczywiście panowała atmosfera *puja*. Prawie na każdym rogu stały wspaniałe *pandal*¹⁵⁴, skrzące się w nocy jak oświetlone pałace. Eketi siedział z przodu i nie mógł się napatrzeć tym świątyniom z tkaniny i bambusu konkurującym ze sobą krzykliwością wystroju. Niektóre miały kopuły, inne minarety. Ta przypominała wieżę świątynną z południa Indii, tamta tybetańską pagodę. Była *pandal* o kształcie greckiego amfiteatru i *pandal* jak włoskie *palazzo*. Szło się do nich po rzęsiście oświetlonych czerwonych dywanach.

¹⁵⁴ *Pandal* - tymczasowa konstrukcja wznoszona podczas Durga Puja dla uczczenia bogini Durgi.

Na ulicach było mnóstwo ludzi, więcej, niż Eketi widział w życiu. Miasto tonęło w dźwiękach. Z każdej *pandal* huczały głośniki. Z każdego rogu ulicy rozbrzmiewało bicie w bębny, pierwotny sygnał dla członków plemienia, że się mają zebrać. I zbierali się milionami, w nakrochmalonych sari i starannie wyprasowanych koszulach i spodniach, nadając miastu atmosferę wielkiego festynu. Taksówkarz musiał kilka razy jechać okrężną drogą, bo wiele ulic było zamkniętych przez policję, która przez megafony ogłaszała komunikaty dla pieszych.

Po godzinie i dziesięciu minutach taksówka zatrzymała się na Sudder Street, popularnej wśród turystów podróżujących z plecakami, pełnej zapleśniałych hoteli i rozpadających się sklepików sprzedających jedzenie, pamiątki i dostęp do Internetu. Ashok wybrał hotel Milton, w którym panowała dziwna ponura atmosfera. Kierownik spojrzał podejrzliwie na Eketiego i chciał zobaczyć jego paszport. Dla uniknięcia kłopotliwych pytań Ashok pokazał mu legitymację służbową.

Przez słabo oświetlone korytarze dotarli do pokoju, który za całe wyposażenie miał dwa łóżka oddzielone od siebie stolikiem. W ostrym świetle gołej żarówki Eketi zauważył wilgotne plamy na ścianach i pajęczyny we wszystkich kątach. Z ubikacji było słychać kapanie.

- Eketiemu się ten hotel nie podoba - powiedział i zmarszczył nos. Ashok wybuchnął gniewem.

- A czego się spodziewałeś, czarny? Że to będzie Oberoi? Ta nora i tak jest lepsza niż wasze nędzne chaty. Zamknij się i kładź się na podłodze.

Eketi z posępną miną dalej się rozglądał, Ashok tymczasem jadł z apetytem curry z kurczaka i *naan*, które wcześniej zamówił w recepcji. Potem zapalił papierosa.

Autochton nie odrywał oczu od paczki na stoliku.

- Czy Eketi też dostanie jednego? - zapytał wreszcie.

Ashok podniósł brwi ze zdziwienia.

- Myślałem, że ślubowałaś, że nie tkniesz tytoniu, dopóki nie odzyskasz *ingetayi*.

- Tak, ale nie jestem na swojej wyspie. Tu mogę robić, co zechcę.

- Nie, czarny - uśmiechnął się szyderczo Ashok. - Tu będziesz robił, co ja zechcę. Kładź się spać.

Eketi ułożył się na zimnej podłodze, oparł głowę na torbie i zaczął żuć pasek suszonej niedźwiedziny. Szybko usłyszał głośnie chrapanie Ashoka, lecz sam nie mógł zasnąć. Bicie w bębny wydawało się przybliżać, drewniana podłoga drżała. Wstał i usiadł przy otwartym oknie. Patrzył na błyszczącą w oddali *pandal*, przyglądał się narkomanom i psom skulonym pod markizami, wdychał powietrze ogromnego, tajemniczego miasta i sprawiało mu to grzeszną przyjemność.

Rano przyłączył się do Ashoka, który wyruszył na pieszą wycieczkę po okolicach hotelu. W ciągu dwóch godzin zobaczył białą kopułę Planetarium Birli, niezdobyty ośmiobok Fortu Williama i soczystozielony Maidan, pełen ogrodów, fontann i pomników. Widział mężczyzn podnoszących ciężary, biegających, skaczących i spacerujących z psami. Uśmiechnął się na widok grupki, która stała w kręgu i po prostu się śmiała¹⁵⁵, zamilkł, gdy zobaczył imponujący budynek zwany Pomnikiem Wiktorii, cały z białego marmuru, który w promieniach wznoszącego się słońca przybierał różowy odcień. Tak wielkiej i tak pięknej budowli jeszcze nie widział. Przeszył go dreszcz, jaki czuje odkrywca.

¹⁵⁵ W indyjskich miastach dość popularne są grupy uprawiające śmiechoterapię.

Szli dalej. Minęli kolumnę Shaheed Minar stojącą na północnym krańcu Maidanu i dotarli do Esplanade. Wysokościowce, pędzące gdzieś nieustannie tysiące ludzi, kakofonia dźwięków - wszystko to podniecało i zadziwiała Eketiego. Szczególnie duże wrażenie zrobiły na nim hałaśliwe tramwaje sunące z wolna środkiem ulicy.

- Czy Eketi może pojechać? - Ashok niechętnie się zgodził.

Wsiedli do najbliższego. Nie był specjalnie zatłoczony, lecz na następnym przystanku czekała gromada dojeżdżających do pracy, którzy wypełnili tramwaj do granic możliwości. Eketi stracił kontakt z Ashokiem. Stał wciśnięty między dwóch kierowników z teczkami. Tłok zrobił się nie do wytrzymania. Eketi poczuł, że się dusi. Opadł na czworaki i zaczął się przepychać między nogami pasażerów w kierunku tylnego wyjścia. W końcu dotarł do drzwi, wdrapał się na metalową poręcz, stanął na brzegu otwartego okna i zwinnie podciągnął się do góry. Siedział teraz na dachu tramwaju tuż pod przewodami elektrycznymi, z brezentową torbą u boku, i czuł przyływ energii jak ptak wypuszczony z klatki.

Tramwaj wjechał na Dalhousie Square, obecnie zwany BBD Bagh, czyli do administracyjnego centrum miasta, i tu podróż Eketiego dobiegła końca. Funkcjonariusz policji drogowej najpierw otworzył usta ze zdumienia, a potem wbiegł przed tramwaj, zmuszając motorniczego do gwałtownego hamowania.

Ashok Rajput wreszcie zdołał znaleźć w zatłoczonym tramwaju miejsce do siedzenia. Otarł pot i brud z czoła, popatrzył z niesmakiem na kotłującą się wokół masę ludzką i pomyślał, że to pewnie jego ostatnia podróż publicznym środkiem transportu. Doszedł do wniosku, że Kalkuta mu nie odpowiada. To było coś w tutejszym powietrzu - coś jak flegma zastygająca głęboko w gardle. A wściekły ruch, schorowani zebracy, zarośnięte brudem ulice tylko pogarszały sprawę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, jeszcze tego wieczoru będę miał święty kamień, pomyślał.

Wcześniej zebrał na temat *ingetayi* sporo informacji. Miał to być kawał czarnego piaskowca o wysokości około osiemdziesięciu centymetrów i kształcie fallusa, pokryty niezrozumiałymi hieroglifami, mający co najmniej siedemdziesiąt tysięcy lat. Każe Eketiemu wykraść go z domu Banerjeeego, znajomy rzeźbiarz z Jaisalmeru zrobi kopię, Eketi wróci z nią do swojej okropnej dziury na Małym Andamanie, a on sprzeda oryginał w antykwariacie Khosla Antiques, gdzie już powiedzieli,

że za najstarszy na świecie grawerowany *shivling* zapłacą mu milion osiemset tysięcy rupii.

Myślał, co zrobi, jak dostanie pieniądze. Przede wszystkim odwiedzi Gulabo. Na ciężką pracę w biurze opieki społecznej na dalekiej wyspie zdecydował się tylko po to, żeby jej zrobić na złość za to, że go odrzuciła. Nie widział jej od pięciu lat, lecz co miesiąc posyłał dwa tysiące rupii na szkołę Rahula. Nie potrafił jej zapomnieć. Rwał się do niej poprzez tysiące kilometrów łądu i morza między Radżasthanem a Andamanami, wciąż widział ją w snach, płonął i szalał z tęsknoty.

Pojedzie do Jaisalmeru, zasypie ją tysiącrupiówkami, spyta „Zawsze mówiłaś, że jestem nic nie wart, co powiesz teraz?” i znowu się oświadczy. W głębi duszy był przekonany, że tym razem Gulabo nie odmówi. A potem rzuci marną pracę, w miejscu gdzie diabeł mówi dobranoc, i zamieszka w Radżasthanie. *Ingetayi* był najlepszym taliżmanem, który odmienił jego życie na zawsze.

Z marzeń wyrwał go zgrzyt hamulców tramwaju.

- Co ty kombinujesz? - warknął policjant i pokazał Eketiemu gestem, że ma zejść z dachu.

- *Namun dada namun.*

Gdy tylko Eketi stanął na ziemi, podbiegł do niego konduktor.

- Chcesz popełnić samobójstwo? Gdzie masz bilet?

Pasażerowie wyciągali szyje, żeby mu się przyjrzeć.

- *Nam ki?*¹⁵⁶ - ostrym głosem zapytał policjant.

¹⁵⁶ *Nam ki?* - Jak się nazywasz?

Eketi pokręcił głową.

- Ten facet to nie Hindus - oznajmił konduktor. - Widzicie, jaki jest czarny. Dla mnie wygląda na Afrykańczyka. Pewnie handluje narkotykami. Trzeba mu sprawdzić torbę. - Spróbował zdjąć mu torbę z ramienia.

- Nie! - krzyknął Eketi i się cofnął.

Policjant złapał go za ucho.

- Masz bilet?

- Tak.
- Gdzie on jest?
- U pana Ashoka.
- A gdzie jest pan Ashok?

Eketi wskazał tramwaj.

- Nie widzę żadnego Ashoka - powiedział policjant i chwycił go za kark. - Idziemy na posterunek. Zobaczmy, co masz w torbie.

Już miał pociągnąć Eketiego na drugą stronę ulicy, gdy podbiegł do niego Ashok, który zdołał się wreszcie wydostać z tramwaju.

- Przepraszam pana - wysapał. - On jest ze mną. Mam jego bilet. - Wyjął z kieszeni dwa bilety.

Policjant wyrwał mu bilety z ręki i dokładnie im się przyjrzał, po czym z ociąganiem puścił Eketiego.

Kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem wzroku policjanta, Ashok wymierzył autochtonowi siarczysty policzek.

- Słuchaj, czarna świnió - pienił się ze złości - jeszcze jeden taki numer i będziesz do końca życia gnić w więzieniu. To są Indie, nie dżungla, gdzie możesz robić, co chcesz.

Eketi spojrział na niego złym wzrokiem i nic nie powiedział.

Wrócili do hotelu i zjedli lekki lunch. Około szóstej wieczorem Ashok zdecydował, że pojedą zobaczyć dom Banerjeego. Przywołali rikszę, Ashok wyjął z portfela skrawek papieru.

- Do Tollygunge. Róg Indrani Park i JM Road.

Rikszarz wiozł ich spokojnymi bocznymi uliczkami dla uniknięcia wściekłego ruchu w centrum. Wysiedli przy Indrani Park i prawie natychmiast zauważyli staw, którego szukali. Było to właściwie niewiele więcej niż wgłębienie w ziemi wypełnione brudną monsunową deszczówką, z gnijącymi trzcinami na brzegu. Wokół stało pięć domów. Ostatni po prawej stronie miał jasnozielony dach.

- Dom Banerjeego! - wykrzyknął Eketi.

Był to dom typowy dla klasy średniej, skromny i niczym się niewyróżniający - ceglany, z małym ogrodem za drewnianym płotem. Na

tabliczce na krzywej furtce było napisane „S.K. Banerjee”.

- Czy Eketi ma wejść i zabrać *ingetayi*? - spytał autochton.
- Myślisz, że możesz po prostu wejść do domu i poprosić Banerjeego o kamień? - spytał Ashok kpiąco. - On ci go ukradł, teraz ty go musisz ukraść jemu.

- Jak Eketi to zrobi?
- Muszę coś wymyślić.

Przez godzinę ostrożnie oglądali dom ze wszystkich stron, szukając otwartego okna albo tylnego wejścia. Ashok niczego nie zauważył.

- Eketi wie, jak wejść do środka - oznajmił nagle autochton. - Jak?
- Przez to. - Eketi pokazał szarozielony komin na dachu.
- Zwariowałeś? Nie zdołasz nawet wdrapać się na dach, a co dopiero wcisnąć do wąskiego komina.

- Eketi potrafi - oświadczył pewnym głosem. - Zaraz pokażę. - Już miał przeskoczyć przez płot, ale Ashok złapał go za ramię.

- Przestań, idioto. Nie możesz się włamać do czyjegoś domu w biały dzień. Musisz poczekać, aż Banerjee i jego sąsiedzi pójną spać.

Dla zabicia czasu zajrzeli do straganów, które w czasie *puja* powyrastały w Tollygunge jak grzyby po deszczu. Po kolacji, na którą zjedli rybne curry z ryżem, wrócili nad staw.

Wokół panowała cisza. Światła w sąsiednich domach były pogaśzone, tylko w domu Banerjeego jeszcze jarzyła się gdzieś pojedyncza świetlówka.

Pod daszkiem budki mleczarza przeczekali, aż krótko po północy zgasła. Eketi natychmiast wyjął z torby czerwoną i białą glinę i woreczek świńskiego sadła, zdjął czapkę i zaczął się rozbierać.

- Co ty robisz? - spytał z niepokojem Ashok.
- Eketi się przygotowuje do zabrania *ingetayi*. Onge musi okazać *ingetayi* należny szacunek - powiedział i schował się za budkę. Wrócił po półgodzinie, mając na sobie tylko woreczek na genitalia i wiszącą na szyi żuchwę. Twarz sobie pomalował w poziome białe

i czerwone paski, na środku piersi i brzucha zrobił delikatną białą jodełkę. Wyglądał jak zjawa.

- Mam nadzieję, że nikt cię nie zobaczy. Nawet ja dostałem gęsiej skórki. - Ashok udał, że drży, i zerknął na zegarek. - Prawie pierwsza. Pora, żebyś się wspiął na dach.

Eketi bez słowa popędził wielkimi susami w stronę domu Banerjego.

Bez trudu przeskoczył przez płot i zwinnie jak małpa wdrapał się na dach, nie czyniąc bosymi stopami najmniejszego hałasu. Komin był wąski, ale wyginając ciało, zdołał się wcisnąć do środka. Osypująca się sadza była jak talk. Sprytnie umieszczając ręce i nogi, opuścił się w dół i z głuchym łomotem wylądował na kuchennej płycie.

Wystarczyło mu kilka sekund, by się przyzwyczaić do ciemności. Wyszedł z kuchni na korytarz. Po lewej stronie zobaczył troje drzwi. Otworzył pierwsze. To była pusta łazienka, w środku nie zauważył ani śladu świętego kamienia. Wycofał się na palcach i nacisnął klamkę drugich drzwi. Otworzyły się, ale kiedy zrobił krok, pstryknął przełącznik i oślepiło go światło. Ujrzał siedzącego na łóżku starego mężczyznę w okularach i jasnoniebieskiej piżamie.

- Wejdz, spodziewałem się ciebie - powiedział Banerjee spokojnie w języku onge.

- Gdzie jest nasz *ingetayi*? - spytał ostro Eketi.

- Powiem ci, ale najpierw powiedz, kim jesteś. Wiem, że potraficie wędrować poza ciałem. Jesteś z krwi i kości czy tylko jesteś cieniem?

- A jaka to różnica?

- Masz rację - powiedział posępnie. - Nawet sny mogą zabić. Więc zamierzasz mnie zabić, bo ukradłem wasz święty kamień?

- Lud Onge nie jest jak Jarawasi¹⁵⁷. Eketi przyszedł tylko po kamień. Gdzie on jest?

¹⁵⁷ Jarawasi - jedno z rdzennych plemion Andamanów, obecnie zamieszkujące ich zachodnie wybrzeża. Inne plemiona uważają ich za bardzo niebezpiecznych.

- Już go nie mam. Pozbyłem się go dziesięć dni temu.
- Dlaczego?
- Bo jest przeklęty. Powinienem był wiedzieć. Zabrał mi syna, jedyne go syna. - Głos mu się załamał.

- Co się stało?
- Studiował w Ameryce. Dwa tygodnie temu zginął w dziwnym wypadku drogowym. Wiem, że to moja wina. Gdybym nie zabrał waszego *ingetayi*, Ananda by żył. - Banerjee załkał.

- Kto teraz ma kamień?
- Powiem ci, ale pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Musisz mi powiedzieć, jak przywrócić umarłego do życia.

Eketi pokręcił głową.

- Nawet Nokai tego nie potrafi. Nikt się nie może przeciwstawić woli Pulugi.

- Błagam cię. Moja żona z żalu za synem traci rozum. Już nie mogę tak dłużej... - Banerjee złożył dłonie i zapłakał.

- To jest klątwa *onkobowkwe*. Sam ją na siebie sprowadziłeś. - Eketi wzruszył ramionami. - Teraz powiedz, kto ma *ingetayi*.

- Nie - z niespodziewaną złością powiedział Banerjee. - Jeśli nie możesz wskrzesić mi syna, nie będziesz miał *ingetayi*. - Zerwał się z łóżka, szybko jak kot rzucił się do drzwi i zamknął się w łazience.

- Otwieraj! - Eketi uderzył pięścią w drzwi, ale Banerjee nie otworzył.

Kipiąc niezadowoleniem, autochton dokładnie przeszukał resztę pokoi. Zniszczył przy tym kilka szaf i rozbił kilka porcelanowych posążków, ale świętego kamienia nie znalazł. W sypialni Banerjeeego zauważył na stoliku przy łóżku czarny skórzany portfel. Zabrał go, poszedł do drzwi frontowych, odsunął zasuwkę i wyszedł do ogrodu.

Dwie minuty później był z powrotem za budką mleczarza.

- Co się stało? Widziałem, jak się zapaliło światło. Wszystko w porządku? - spytał Ashok niespokojnie.

- Tak.
- Ale gdzie jest święty kamień?
- Nie ma go w tym domu.
- Nie ma? To znaczy, że Banerjee musiał go sprzedać. Coś powiedział?

- Nie. Ale przyniosłem to. - Eketi podał mu portfel.

Ashok go otworzył. W środku było bardzo mało pieniędzy, ale kiedy wyjął wizytówkę, aż zagwizdał.

- Calcutta Antiques - przeczytał - właściciel Sanjeev Kaul, Park Street 18B. - Założę się, że to jemu Banerjee sprzedał *ingetayi*.

- Jak mu go odbierzemy?

- Jutro tam pójde.

- A jak wrócimy do hotelu? Znajdziemy teraz taksówkę?

Ledwie Eketi to powiedział, z pobliskiego zaułka dobiegł ich odgłos zapalanej silnika motoru. Rzucili się w tym kierunku.

- Zawiezie nas pan na Sudder Street? - zapytał Ashok kierowcę, od którego zalatywało alkoholem.

Mężczyzna zrobił zaskoczoną minę, potem spojrzął na Eketiego i z krzykiem uciekł ze swojego pojazdu.

Park Street była nowoczesnym miejscem do kupowania ekskluzywnych rzeczy, pełnym firmowych sklepów znanych projektantów mody i eleganckich butików. Calcutta Antiques okazał się dość dużym sklepem sąsiadującym z modną restauracją Continental. Ashok Rajput otworzył ozdobne drzwi z brązu i zobaczył, że w środku trwa remont. Sufit pokrywała sadza, w powietrzu czuć było spaleniznę. Wysoki mężczyzna o jasnej skórze i zbyt długim nosie spojrzął na niego zmęczonym oczami.

- Co tu się stało? - spytał Ashok.

- Trzy dni temu mieliśmy pożar. Spaliło się pół sklepu. Straciliśmy wiele antyków, ale na szczęście nikt nie odniósł obrażeń.

- Czy pan Sanjeev Kaul?

- Tak. Czym mogę służyć?

- Nazywam się Ashok Rajput, pracuję w Agencji Pomocy Autochtonom na Andamanach - powiedział oficjalnym tonem i wyjął z portfela legitymację służbową. - Przychodzę w związku z kradzieżą starożytnego kamiennego artefaktu należącego do plemienia Onge. Czy pan S.K. Banerjee sprzedał panu *shivling*?

- Tak, około dziesięciu dni temu.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, panie Kaul, że naruszył pan przepisy ustawy o antykach i przedmiotach sztuki z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku?

- Banerjee mi nie powiedział, że to był antyk z Andamanów - zmarszczył brwi Kaul. - Nie wiedziałem, że łamię jakieś przepisy. Myślałem, że to tylko stary kamień.

- Chciałbym go zobaczyć.

- Przykro mi, ale już go nie mam. W poniedziałek sprzedałem jednemu z klientów z Chennai.

- Z Chennai?

- Tak.

- O, nie! - Ashok zacisnął pięści. - Proszę mi podać dane tej osoby.

Dziesięć minut później wyszedł z antykwariatu z kawałkiem papieru, na którym był zapisany kolejny adres. Kiedy wrócił do hotelu, Eketi jeszcze spał.

- Wstawaj, draniu, i się pakuj - powiedział.

- Dokąd jedziemy?

- Do Chennai. Spotkać się z niejakim S.P. Rajagopalem.

- Czym się tam dostaniemy?

- Pociągiem.

Z powodu święta ruch na dworcu Howrah był większy niż zwykle. Eketi z zaciekawieniem patrzył na chaos na peronach, rzędy pasażerów leżących na zimnej podłodze, hałaśliwych sprzedawców czasopism i napojów, a zwłaszcza ubranych na czerwono bagażowych z walizkami i pudłami na głowach. Zauważył pot płynący po ich twarzach i zwrócił się do Ashoka:

- Dlaczego wy tak ciężko pracujecie?
- Bo niczego nie dostajemy za darmo jak twoje plemię - odparł Ashok z pogardą. - Wiesz, ile mnie kosztowały bilety do Chennai? Ta podróż to koszmar.

- Ale Eketiemu bardzo się podoba!

Kiedy pociąg wjechał z łoskotem na peron, Eketi zeszywniał. Na kilka chwil skulił się za Ashokiem, a potem nieufnie wszedł do przedziału. Kobiety się wzdrygnęły i nerwowo chwyciły torebki, dzieci spojrzwały z przestachem i przytuliły się do ojców. Pociąg ruszył.

Eketi usiadł przy oknie i nie wstał z miejsca przez dwadzieścia siedem godzin. Czuł słońce i wiatr na twarzy, obserwował zmieniające się kolory, gdy ciemny brąz pól kukurydzy ustępował bujnej zieleni ryżowisk. Nie mógł się nadziwić ogromowi tego kraju, gdzie się jechało godzinami, mijano wioskę za wioską i wciąż było daleko od celu podróży. Kiedy zapadła noc, monotonny stukot kół uspił go jak kołysanka.

W Chennai wszystko było inne niż w Kalkucie. Było goręcej i wilgotniej. Mężczyźni mieli wąsy i ciemniejsze twarze. Kobiety chodziły w różnokolorowych sari, z kwiatami we włosach. Nikt nie mówił w hindi.

Kiedy wyszli ze zbudowanego z czerwonej cegły gotyckiego dworca głównego, autochton wciągnął nosem powietrze. Wciąż wiał północno-wschodni monsun i pachniało deszczem.

- Tu jest morze, prawda?
- Tak. Skąd wiesz?
- Eketi czuje.

Wsiedli do jednej z wszechobecnych żółto-czarnych motoriksz i Ashok powiedział kierowcy, żeby ich zawiózł na Sterling Road w Nungambakkamie, do domu Rajagopala. Włączyli się w wir pojazdów przed dworcem i Eketi patrzył ze zdumieniem na imponujące budynki i eleganckie sklepy przy zatłoczonym bulwarze. Miasto roilo się od billboardów z reklamami najnowszych tamilskich filmów, ale na Eketim

największe wrażenie zrobiły wykonane ze sklejk gigantyczne podobi-
zny polityków i gwiazd filmowych, niektóre wysokie jak piętrowy bu-
dynek. Chennai było miastem wielkich drewnianych sylwetek. Ogromna
uśmiechnięta kobieta w sari walczyła o głosy wyborców ze starym
mężczyzną w ciemnych okularach¹⁵⁸. Postaci filmowych heroin z po-
żądaniem w oczach i herosów z wąsami piętrzyły się nad ulicami.

¹⁵⁸ Chodzi o Jayalalithę i Karunanidiego, głównych rywali politycznych w stanie
Tamilnadu.

Sterling Road była ruchliwą arterią pełną banków i biurowców,
między którymi stały duże domy mieszkalne. Wysiedli z motoriksiży
przed pomalowaną na żółto i zielono elegancką willą Rajagopala. Przy
wysokiej żelaznej bramie, która z jakiegoś powodu była otwarta, stali
dwaj umundurowani ochroniarze.

- Przyjechał pan na spotkanie modlitewne? - spytał jeden z nich.
Ashok spokojnie kiwnął głową. - Proszę wejść. Spotkanie odbywa się w
dużym salonie.

- Czekaj tutaj - polecił Ashok Eketiemu i wszedł za bramę. Do
wejścia prowadził łukowaty podjazd z dobrze utrzymanymi trawnikami
po obu stronach. Masywne drzwi zrobione z drewna tekowego również
były otwarte. Ashok znalazł się w dużym pokoju, z którego usunięto
wszystkie meble. Na podłodze przykrytej białymi prześcieradłami sie-
działo około pięćdziesięciu osób, przeważnie w jasnych kolorowych
strojach, mężczyźni po jednej stronie, kobiety po drugiej. W głębi stała
duża fotografia w ramce przedstawiająca krótko ostrzyżonego młodego
mężczyznę z gęstymi wąsami, udekorowana girlandą z czerwonych róż.
Przed fotografią paliły się kadzidła, nad którymi unosiły się smużki
dymu. Obok siedziała ładna, około trzydziestoletnia kobieta z lekką
nadwagą, w białym bawełnianym sari bez żadnych ozdób. Wyglądała,
jak powinna wyglądać pogrążona w smutku wdowa.

Ashok usadowił się w ostatnim rzędzie po stronie dla mężczyzn i
przybrał stosowną minę. Dyskretnie wypytał innych żałobników,

dowiedział się, że było to spotkanie kondolencyjne w związku ze śmiercią przedsiębiorcy Selvama Palaniego Rajagopala - przez przyjaciół zwanego SP - który zmarł na zawał serca z powodu nagłego i niespodziewanego niepowodzenia w interesach.

Spotkanie trwało dwie godziny. Kiedy ostatni żałobnicy wyszli, podszedł do wdowy i złożył dłonie.

- Nazywam się Amit Arora. Bardzo mi przykro z powodu śmierci SP, Bhabhiji - powiedział. - Aż trudno uwierzyć, że trzydziestopięcioletni mężczyzna może dostać zawału. Jeszcze dziesięć dni temu widzieliśmy się w Kalkucie.

- Tak, Raja często bywał w Kalkucie - odpowiedziała. - Skąd go pan znał? - Mówiła zduszonym głosem, który wydał mu się dziwnie podniecający.

- Z IIT w Madrasie¹⁵⁹.

¹⁵⁹ IIT - Indian Institute of Technology; Madras - dawna nazwa miasta Chennai.

- Ach, więc pan też jest absolwentem IIT? Dziwne, że Raja nigdy o panu nie wspominał.

- Po studiach straciliśmy kontakt. Wie pani, jak to bywa. - Rozłożył ręce i umilkł. Gdzieś w głębi domu zagwizdał szybkar.

- Pan też mieszka w Chennai? - spytała pani Rajagopal. - Nie ma tu zbyt wielu Hindusów z północnych Indii.

- Nie. Mieszkam w Kalkucie. Wyjechałem z Chennai wkrótce po dyplomie.

Służąca przyniosła mu herbatę w porcelanowej filiżance.

- Jeśli pani pozwoli, chciałbym o coś zapytać, Bhabhiji. - Ashok mówił przymilnym tonem kogoś pragnącego poruszyć delikatny temat.

- Słucham. - W jej głosie zabrzmiała nieufność.

- SP mi powiedział, że od handlarza antyków z Kalkuty kupił *shivling*. Czy mógłbym go zobaczyć?

- Ach, ten *shivling*? *Adu Poyiduthu*! Nie ma go. Teraz jest u Guruji.

- Guruji? Kto to taki?
- Swami Haridas. Od sześciu lat Raja był jego uczniem. Guruji przyjechał wczoraj na pogrzeb. Zobaczył *shivling* i zapytał, czy mógłby go dostać, więc mu go dałam. Teraz, kiedy Raja odszedł, co bym z nim zrobiła?

- Może mi pani powiedzieć, gdzie Guruji mieszka? Gdzieś blisko?
- W Mathurze.
- W Mathurze? Ma pani na myśli Mathurę w Uttar Pradeś?
- Tak. Ma tam aśramę, ale ma też inne, w całych Indiach.

Ashok opuścił ręce.

- Więc teraz muszę jechać aż do Uttar Pradeś?
- Dlaczego? Czemu pana tak interesuje ten *shivling*?
- To skomplikowana sprawa... Da mi pani numer telefonu Swamiji w Mathurze?

- Ale Guruji tam teraz nie ma.
- To gdzie jest?
- Jeździ po świecie. Wczoraj wyjechał z Chennai do Singapuru. Stamtąd wybiera się do Ameryki, a potem do Europy.

- A kiedy wróci do Mathury?
- Dopiero za dwa, trzy miesiące.
- Trzy miesiące?
- Tak. Może pan spróbować spotkać się z nim na Magh Mela w Allahabadzie w styczniu przyszłego roku. Powiedział mi, że będzie tam prowadził dyskusje.

- Dziękuję, Bhabhiji. Proszę na siebie uważać. Będziemy w kontakcie - powiedział Ashok, starając się ukryć rozczarowanie, i wyszedł.

Gdy znalazł się przed bramą, Eketi wciąż siedział na krawężniku.

- Co tak długo trwało? - Spojrzał pytająco na Ashoka.
- Kamień z morza jeszcze raz nam się wymknął. Co gorsza, opuścił kraj - powiedział Ashok z przygnębieniem. - Wróci za trzy miesiące. Więc zabieram cię z powrotem na wyspę.

- Na wyspę? - Eketi poderwał się z przestrachem. - Mieliliśmy wrócić z *ingetayi*.

- Wiem, ale co z tobą zrobię przez trzy miesiące? Nie chcę mieć kłopotów w Departamencie Pomocy.

- Ale Eketi nie chce wracać na wyspę.

Ashok spojrzał na niego z gniewem.

- Na głowę upadłeś? Dlaczego nie chcesz wracać?

- Bo nie ma do czego. Eketi był na tej wyspie uwięziony, uduszony - wykrzyknął. - Patrzyłem na obrazki z Indii w książce, którą dostaliśmy w szkole, i marzyłem. Obserwowałem wielkie statki na oceanie i zastanawiałem się, dokąd płyną. Widziałem cudzoziemców z kamerami, którzy przyjeżdżali, żeby się na nas gapić, i czułem, że wariuję. Miałem chęć wskoczyć do któregoś jachtu i gdzieś popłynąć. Gdziekolwiek. Dlatego tu jestem. Żeby uciec z wyspy. Eketi nie wraca.

- To dlatego zgłosiłeś się na ochotnika?

- Tak. Eketi chciał pojechać do Indii.

- I nie obchodzi cię, co się stanie z twoim plemieniem, jeśli nie dostanie świętego kamienia?

- Eketi ci pomoże odzyskać *ingetayi*. Wtedy będziesz mógł z nim wrócić, a Eketi zostanie w twoim wspaniałym kraju.

- Więc ty to wszystko przebiegle zaplanowałeś, tak? A myślałeś o tym, co będziesz tu robił?

- Eketi się ożeni. U nas starzy biorą za żony wszystkie młode dziewczyny. Nie miałem nadziei, że sobie znajdę jakąś na wyspie. Tutaj mogę mieć nowe życie, żonę...

- Co ty powiesz? - Ashok zaśmiał się szyderczo. - Naprawdę uważasz, że taki skończony idiota znajdzie tutaj żonę? Spójrz na siebie w lustrze. Kto zechce czarnego karła?

- Zostawmy to Puludze - powiedział Eketi z nadąsaną miną.

Zachowanie Ashoka nagle się zmieniło.

- Nie zabrałem cię na wycieczkę, sukinsynu. Przyjechałeś tu po *ingetayi*, nie znaleźliśmy go, więc musisz wrócić na Mały Andaman.

Jutro stąd do Port Blair odpływa Nancowry¹⁶⁰ i będziemy na nim obaj. Mam już dość twoich bzdur. A teraz chodź, musimy znaleźć nocleg.

¹⁶⁰ Nancowry - pasażerski motorowiec pływający między Chennai i Andamanami.

Ashok zatrzymał motoriksę, lecz autochton nie chciał wsiąść.

- Eketi nie pojedzie - powiedział stanowczo.
- Nie zmuszaj mnie, żebym cię uderzył, czarny. - Ashok podniósł rękę.

- Eketi nie pojedzie, nawet jak go uderzysz.
- To mam wezwać policję? Wiesz, że autochtona złapanego poza rezerwatem mogą natychmiast wsadzić do więzienia?

Eketi zamrugał nerwowo ze strachu, a Ashok natychmiast to wykorzystał.

- Wsiadaj, draniu - powiedział przez zaciśnięte zęby i wepchnął autochtona do rikszy.

- Do Egmore¹⁶¹ - rzucił do kierowcy.

¹⁶¹ Egmore - rejon Chennai, w którym jest wiele hoteli.

Na ulicach panował popołudniowy ruch. Autochton siedział skulony i czekał w napięciu jak sprinter na linii startu. Gdy riksza zaczęła się zbliżać do zatłoczonego skrzyżowania, serce zabiło mu mocniej. Ledwie zdążyła się zatrzymać na czerwonym świetle, wyskoczył z torbą w rękę. Oślupiały Ashok mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak gnał wśród samochodów, skuterów i rikszy i po chwili zniknął mu z oczu.

Biegł, uskakując przed autami i krowami, przecinając puste place zabaw, mijając zatłoczone kina. W końcu zatrzymał się przed warsztatem naprawy rowerów, żeby złapać oddech. Przykucnął, nabrał powietrza i rozejrzał się dookoła. Warsztat znajdował się na środku ruchliwego targowiska. W oddali było widać wielki posąg. Eketi długo stał na skraju jezdni, wdychał trujące spaliny, słuchał hałasu dobiegającego ze skrzyżowania i czuł się coraz bardziej zagubiony. Na dodatek zaczynał być głodny. W tym momencie zauważył po drugiej stronie ulicy wysokiego mężczyznę w ciemnych okularach, luźnej płóciennej koszuli i szarych spodniach. Mężczyzna był swobodnie oparty o metalową

balustradę przystanku autobusowego i palił papierosa. Włosy miał jak on, poskręcane w drobne spiralki. Jednak Eketi zwrócił na niego uwagę z powodu koloru skóry, która była niemal tak czarna jak jego.

Przeszedł przez ulicę i ruszył w stronę przystanku. Mężczyzna prawie od razu go zauważył i szybko rozdeptał papieros obcasem.

- Kogo my tu mamy? Afrykańczyka! - wykrzyknął. - Eketi posłał mu nerwowy uśmiech. - I skąd to jesteś, bracie? Z Senegalu? Z Togo? *Parlez-vous français?* - Eketi wzruszył ramionami, więc nieznajomy próbował dalej. - To pewnie z Kenii. *Ninaweza kusema Kiswahili*¹⁶².

¹⁶² Mówię w języku suahili.

Eketi pokręcił głową.

- Jestem Jiba Korwa z Dżharkhandu - powiedział.
- Ach! Więc Hindus? Wspaniale. - Mężczyzna klasnął w ręce.
- Mówisz w hindi? - Eketi kiwnął głową. - Ja znam osiem języków, jednym z nich jest twój - powiedział tamten czystym hindi. - Studiowałem na uniwersytecie w Patnie - wyjaśnił.
- Jak się nazywasz? - spytał Eketi.
- Michael Busari, do usług, z wielkiego miasta Abudża w Nigerii.
Przyjaciele mówią do mnie Mike.

W tej samej chwili ulicą przejechał na motocyklu policjant i Eketi instynktownie dał nura za przystanek. Stał tam skulony, nawet gdy motocykl już zniknął za skrzyżowaniem.

Mike klepnął go w ramię.

- Widzę, że masz kłopoty, przyjacielu. Świat nie jest dobrym miejscem, szczególnie dla czarnych ludzi. Ale nic się nie bój, ja cię obronię.

W zachowaniu Nigeryjczyka było coś, co się Eketiemu od razu spodobało.

- Dobrze znasz to miasto? - spytał.
- Nie za bardzo, bracie. Mieszkałem głównie w północnych Indiach. Ale wiem o Chennai dość, żeby ci je pokazać.

- Jestem głodny - powiedział Eketi. - Możesz mi dać coś do jedzenia?

- Też zamierzałem pójść na lunch. Co chciałbyś zjeść?

- Czy tu mają świńskie mięso?

- Wieprzowinę? Tego poszukamy na obiad, a na lunch chodźmy do McDonalda.

- Co to jest?

- Nigdy nie próbowałeś big maka? No to pozwól, bracie, że cię wprowadzę we wspaniały świat niezdrowej żywności.

W najbliższym McDonaldzie Mike kupił Eketiemu duży posiłek i loda w waflu. Gdy autochton uporał się z soczystym hamburgerem, Mike oparł mu rękę na ramieniu i zapytał:

- No to co zrobiłeś, przyjacielu? Zabiłeś kogoś?

- Nie - odparł Eketi, żując frytki.

- To pewnie obrabowałeś?

- Nie - odparł Eketi, siorbiąc colę. - Ja tylko uciekłem od Ashoka.

- Od Ashoka? A kto to taki?

- *Kujelli!* - powiedział Eketi i przygryzł wargi. - To zły człowiek, który mnie dręczył.

- Więc u niego pracowałeś i miałeś go dość, i uciekłeś z wioski?

- Tak, tak - przytaknął Eketi skwapliwie i zaczął lizać loda.

- Ale jak się znalazłeś w Chennai, bracie? To daleko od Dźharkhandu.

- Ashok przywiózł mnie tu do jakiejś pracy. Nie wiem, co to miało być - powiedział Eketi i z zadowoleniem czknął.

- Skoro uciekasz, przypuszczam, że nie masz się gdzie zatrzymać, prawda?

- Tak. Nie mam tu domu.

- Żaden problem. Tym się też zajmę. Zabieram cię do siebie.

Jaskrawozielonym autobusem miejskim pojechali do T. Nagaru, gdzie Nigeryjczyk wynajmował skromny dwupokojowy dom. W jednym z pokoi stała duża kanapa.

- Możesz tu spać. Teraz trochę odpocznij, a ja pójde kupić coś na obiad.

Mike zdjął ciemne okulary i Eketi po raz pierwszy zobaczył jego oczy. Były zimne i bez wyrazu, ale w autochtonie wzbudzał zaufanie jego przyjazny uśmiech. Mike umiał też świetnie gotować i przyrządzony przez niego obiad składający się z zupy soczewicowej i pikantnych wieprzowych kielbasek bardzo Eketiemu smakował.

Leżąc tej nocy na miękkiej kanapie, czując się bezpieczny i najedzony, autochton dziękował Puludze za dobroć nieznajomych i smakowitość wieprzowiny.

Michael Busari kochał mówić. I chociaż mówiąc, zwracał się do Eketiego, ten czuł, że Nigeryjczyk mówi do siebie. Z jego monologów Eketi się dowiedział, że Mike mieszka w Indiach od siedmiu lat, że jest biznesmenem realizującym kilka przedsięwzięć i że przed tygodniem przyjechał do Chennai sfinalizować pewną transakcję z jubilerem nazwiskiem Munusamy.

- I tu mogę potrzebować twojej pomocy, przyjacielu - powiedział i klepnął Eketiego w kolano.

- Jakiej pomocy?

- Namówiłem pana Munusamy'ego, żeby zainwestował w nigeryjski przemysł naftowy. To jest przedsięwzięcie, które mu przyniesie ogromny zysk. Jako pośrednikowi przysługuje mi prowizja. Munusamy miał przelać sto tysięcy dolarów na moje konto, ale w ostatniej chwili powiedział, że dostanę gotówkę. Chcę, żebyś w moim imieniu zabrał te pieniądze z jego domu. Możesz mi oddać tę drobną przysługę, bracie?

- Dla ciebie mogę nawet oddać życie - powiedział Eketi i objął Mike'a.

- Dobrze. W takim razie spotkasz się z panem Munusamym o dziewiątej wieczorem dwudziestego szóstego października, za dwa dni. A teraz odpoczywaj, jedz, pij.

Eketi wziął to sobie do serca. Przez resztę dnia obijał się po domu, objadał wieprzowymi kiełbaskami i oglądał telewizję. Wieczorem poprosił Mike'a, żeby go zawiózł na plażę.

Jechali zatłoczoną Mount Road, wśród błyszczących drapaczy chmur i jasno oświetlonych centrów handlowych. Gdy autobus wjechał w pełne starych domów i świątyń wąskie uliczki Triplicane i poczuli w nozdrzach ostry zapach soli, Eketi stracił zainteresowanie imponującymi posągami i budowlami stojącymi wzdłuż promenady i tylko wykręcał szyję, żeby dostrzec choć skrawek morza.

Kiedy autobus się zatrzymał przy Marina Beach, wyskoczył pierwszy. Mimo późnej pory na plaży był tłok. Na piasku siedziało kilka rodzin i jadło kolację. Dzieci jeździły konno, piszcząc z radości, matki szukały błyskotek w oświetlonych lampami sklepach. Latarnia morska omiała powierzchnię morza, zostawiając na wodzie połyskliwy ślad. W oddali migotały światła przepływającego statku, pienne fale wtańczyły się łagodnie na brzeg. Eketi wciągnął w płuca pachnące solą i rybami orzeźwiające morskie powietrze i jego zapach przypominał mu wyspę. Pomachał do Mike'a, który został o kilkadziesiąt metrów w tyle, i w ubraniu wszedł w wodę.

- Jiba! Jiba! Wracaj! - krzychał Mike, lecz autochton szedł dalej i w końcu zaczął płynąć.

Wyszedł z morza po dwudziestu minutach, z wodorostami na ubraniu i perełkami wody błyszczącymi na skórze. Z dziury w czapce wypływał mu strumyczek mokrego piasku.

- Strasznie się niepokoiłem - powiedział z pretensją w głosie Mike.
- Myślałem, że mogę się wykapać - odparł ze śmiechem Eketi.
- A co tam chowasz?

Eketi wyjął zza pleców prawą rękę.

- Kolację! - oznajmił i podniósł do góry dużą trzepoczącą się rybę. Mike kupił dwie puszki coli, Eketi rozpałił ognisko i zjedli smaczną pieczoną rybę.

- To jak ci się podoba Chennai, bracie? - spytał Mike.

- Kocham to miasto! - wykrzyknął z zachwytem Eketi. - Kocham światła, kolory, dźwięki tego wspaniałego świata. - Wypił haust coli, pogrzebał patykiem w dogasającym ognisku i spojrzął na Nigeryjczyka z przejęciem. - Jesteś najmilszym, najlepszym człowiekiem, jakiego spotkałem.

- Jesteśmy braćmi, przyjacielu, ty i ja.
- A pomożesz mi też znaleźć żonę?
- Żonę? Oczywiście. Jak już mi oddasz tę drobną przysługę, będziesz mógł wybierać z tuzina dziewczyn.

Obietnica Mike'a wystarczyła, żeby Eketi zaczął oczekiwać operacji zabrania pieniędzy z domu jubilera z taką samą przyjemnością, z jaką na wyspie czekał na polowanie na świnie. Gdy Mike zabrał go do Guindy w południowo-zachodniej części miasta, był we wspaniałym humorze.

Dom Munusamy'ego stał w głębi dzielnicy mieszkaniowej. W porównaniu z gwarem i ruchem w centrum tu panowały cisza i bezruch. Białe światło latarni ledwie rozpraszało intrygujące cienie na piętrowych budynkach po obu stronach ulicy.

Mike pokazał Eketiemu dom numer trzydzieści sześć, z rzeźbionymi drewnianymi drzwiami.

- Będę na ciebie czekał za rogiem - szepnęła i wręczył mu kopertę. - Daj ją Munusamy'emu. Wszystko w tym liście wyjaśniam, więc w ogóle nie musisz otwierać ust. Powodzenia.

Nigeryjczyk cofnął się w mrok, a Eketi poszedł do drzwi, gdzie już czekał służący, który poprowadził go do pokoju na piętrze. Siedział tam na sofie łysawy mężczyzna w średnim wieku ubrany w białą koszulę i kremowe *veshti*¹⁶³. Pan Munusamy miał okrągłą twarz, na której rzucały się w oczy trzy poziome linie namalowane żółtą gliną na czole¹⁶⁴, i prostokątny wąsik wyglądający jak kępka włosów stercząca z nosa.

¹⁶³ *Veshti* - południowoindyjski odpowiednik *dhoti*.

¹⁶⁴ Trzy poziome linie namalowane gliną na czole są oznaką kasty.

- Witam, witam - odezwał się do Eketiego.

Eketi się uklonił i podał mu kopertę.

Munusamy szybko przeczytał list Mike'a i spojrzał na autochtona smutnym wzrokiem.

- Oczekiwałem spotkania z wielkim Michael'em Busarim. Ty jesteś tylko jego agentem.

- Daj mi pieniądze - powiedział Eketi.

- Proszę - powiedział Munusamy i popchnął w jego stronę niewielką teczkę, którą miał ukrytą za nogami.

Gdy Eketi chciał się schylić, żeby ją podnieść, oślepiło go światło lampy błyskowej. Niemal w tej samej chwili rzuciło się na niego pięciu policjantów, którzy wpadli do pokoju różnymi drzwiami.

- Jesteś aresztowany - oznajmił jeden z nich.

Zanim Eketi pojął, co się dzieje, zakuli go w kajdanki i wpakowali do policyjnego samochodu.

Na posterunku policji, który się mieścił w budynku wyglądającym, jakby się miał zaraz zawalić, wrzucili go do dużej celi. Protestował łamaną angielszczyzną, próbował przekonać policjantów o swej niewinności, ale tylko grozili mu pałką, więc się zwinął w kłębek na betonowej podłodze i czekał na Mike'a. Był pewien, że przyjaciel wszystko wyjaśni i niedługo go zwolnią.

Do południa następnego dnia Mike się nie zjawiał, za to przyszedł inspektor Satya Prakash Pandey z biharskiej policji. Był brzuchaty i ciągle żuł betel, miał surową twarz, podkreślone wąsy i sprawiał wrażenie człowieka niecierpliwego i rozdrażnionego niczym dzikie zwierzę na smyczy. Na szczęście mówił w hindi.

- Przyjechałem, żeby cię zabrać do Patny - poinformował Eketiego. - Michael Busari jest tam poszukiwany za morderstwo.

- Morderstwo?

- Tak. Oszukał pewnego biznesmena, a on popełnił samobójstwo. Teraz ty, skurwielu, będziesz najważniejszym świadkiem w procesie przeciwko Busariemu.

- Ale Mike jest dobrym człowiekiem.

- Dobrym człowiekiem? - Inspektor ryknął śmiechem. - Twój szef pan Michael Busari zwany Jastrzębiem jest poszukiwany w siedmiu stanach w związku z czternastoma przypadkami oszustw. Okradł wielu biznesmenów, którzy dali się nabrać na inwestycje w przemysł naftowy. W Chennai zastawiliśmy na niego pułapkę. Pan Munusamy był przynętą, a Busari miał być naszą zdobyczą. Zamiast niego mamy ciebie. Też jesteś Nigeryjczykiem?

- Nie. Jestem Jiba Korwa z Dźharkhandu.
- Z Dźharkhandu? A skąd w Dźharkhandzie?
- ...Nie pamiętam.
- Nie pamiętasz? Nie martw się, ta ręka przywróciła pamięć niejednemu zatwardziałemu gangsterowi. Ty jesteś żółtodziobem. - Inspektor uśmiechnął się z pogardą.

Następnego dnia po południu skuty Eketi został zawieszony na dworzec kolejowy i wsadzony do pociągu do Patny. Oprócz niego w przedziale pierwszej klasy był tylko inspektor Pandey.

Pociąg wyruszył w trzydniową podróż o trzeciej dwadzieścia pięć. Godzinę później inspektor rozpoczął przesłuchanie.

- No dobrze, skurwielu, chcę wiedzieć o tobie wszystko - powiedział i splunął przez żelazną kratę w oknie strumieniem czerwonego jak krew betelowego soku.

- Już mówiłem, jestem Jiba Korwa z Dźharkhandu - odparł autochton.

- A co robiłeś w Chennai?

- Przyjechałem na wycieczkę.

Inspektor bez ostrzeżenia uderzył go otwartą dłonią w twarz. Eketi się zachwiał i skrzywił z bólu.

- Masz mi mówić prawdę, skurwielu. Jeszcze raz cię pytam: skąd jesteś? - warknął inspektor.

- Z Dźharkhandu.

- Z jakiej wsi?

- Nie wiem - odpowiedział Eketi i w nagrodę dostał następny siarczysty policzek.

- Pytam po raz ostatni. Powiedz prawdę albo nie wyjdiesz z tego pociągu żywy.

Inspektor męczył go cały wieczór i całą noc. W połowie następnego dnia, nie mogąc dłużej wytrzymać bicia, Eketi się poddał. Szlochając i ciągnąc nosem, wyjawiał wszystko o swojej podróży z Małego Andamanu, o Ashoku i o spotkaniu z Busarim.

Policjant słuchał cierpliwie. Włożył sobie do ust kolejną porcję *paan* i chrząknął z zadowoleniem.

- Wreszcie powiedziałaś prawdę, skurwielu. Mówią, że mam rękę jak żelazne kleszcze - zawsze potrafi wydobyc z podejrzanego fakty.

Eketi pogładził się po policzku.

- Lubisz bić ludzi?

Pandey wzruszył ramionami.

- Nie uderzysz, nie przekonasz. Jesteśmy zmuszeni tak pracować. A potem się z tego robi złe przyzwyczajenie, jak żucie betelu.

- Więc bijesz ludzi, żeby pokazać siłę?

- Właściwie nie chodzi o pokazanie siły, lecz o ukrycie słabości. - Inspektor był zaskakująco szczerzy. - Czepiamy się tylko ubogich i słabych, bo nie mogą się odwzajemnić.

Przez kilka następnych godzin nie zamienili ani słowa. Pociąg pędził z hukiem, inspektor leżał, pograżony w myślach. Eketi siedział przy otwartym oknie, zimne powietrze chłodziło mu policzki jak kojący balsam. Nagle inspektor klepnął go w ramię.

- Postanowiłem, że zrobię coś głupiego. - Westchnął i sięgnął po kaburę.

Eketiego przeszył strach.

- Chcesz... chcesz mnie zabić? - zapytał ze ściśniętym gardłem.

- To by było za łatwe. - Inspektor pierwszy raz się uśmiechnął i wyjął z kabury klucz.

- Więc co zrobisz?

- Mam zamiar cię wypuścić.

Eketi spojrzał mu w oczy.

- To taka zabawa?

- Nie, Eketi, to nie jest zabawa. - Pandey wolno pokręcił głową. - To twoje życie. Które nie tak bardzo się różni od mojego. Ja też się czasem duszę w tej pracy, mając codziennie do czynienia z mętami społecznymi. Czasem jednak udaje mi się osuszyć łzy na twarzy wdowy czy zwrócić zaginione dziecko matce. Dla tych chwil żyję.

Eketi patrzył przez okno. W niewielkiej odległości jego oczy napotykały tylko świszczącą, aksamitną ciemność, lecz bliżej horyzontu widział jasne światła jakiegoś dalekiego miasta.

- Mam dwóch młodych synów - ciągnął inspektor. - Myślę, że ich ojciec jest bohaterem, który walczy z przestępcami, ale ja jestem zwykłym człowiekiem, który się boryka z systemem i zwykle przegrywa. Wiem, że jesteś niewinny, dlatego puszczenie cię wolno będzie małą wygraną. - Spojrzał na zegarek. - Powinniśmy już być na przedmieściach Varanasi. Pociągniesz za to - pokazał mu hamulec bezpieczeństwa - pociąg się zatrzyma i wtedy wyskoczysz z wagonu i znikniesz w ciemnościach. Powiem wszystkim, że uciekłeś, kiedy spałem.

- Dlaczego to robisz?

- Żeby uratować twoje marzenie. Żeby uratować marzenie moich dzieci. Gdybyś przyjechał ze mną do Patny, w oczekiwaniu na proces gnąłbyś w więzieniu przez co najmniej pięć lat. Więc uciekaj, skoro masz szansę.

- Ale dokąd?

- Najlepiej do Varanasi. Ludzie przyjeżdżają tam, żeby umrzeć, ja cię wysyłam, żebyś żył. - Zdjął Eketiemu kajdanki. - Ale pamiętaj - podniósł palec - nasz kraj jest dziwny, wyjątkowy. Spotkasz tu najlepszych ludzi na świecie, ale i najgorszych. Doznasz niezrównanej życzliwości i będziesz świadkiem niezwykłego okrucieństwa. Żeby tu przetrwać, musisz zmienić sposób myślenia. Nie ufaj nikomu. Na nikogo nie licz. Tu jesteś zdany tylko na siebie.

- W takim razie może powinienem wrócić na wyspę - mruknął Eketi, masując sobie nadgarstki.

- Decyzja należy do ciebie. Życie może być paskudne albo piękne. Wszystko zależy od tego, jak je wykorzystasz. W każdym razie

cokolwiek zrobisz, trzymaj się z daleka od policji. Nie wszyscy inspektorzy są tacy jak ja.

- Będziesz miał kłopoty przez to, że mnie wypuściłeś?
- W departamencie prawdopodobnie po raz kolejny oskarżą mnie o niekompetencję i niedopełnienie obowiązków. Już mnie to nie obchodzi. Wycofuję się z wyścigu szczurów. Ty pewnie zaraz się do niego włączysz. Powodzenia. Nie zapomnij zabrać torby. - Eketi powiesił sobie podrobionego adidasa na ramieniu, Pandey tymczasem wyjął z kieszeni kilka banknotów. - Weź to. Łatwiej sobie poradzisz przez pierwsze dni.
- Nigdy cię nie zapomnę - powiedział Eketi i oczy napęłniły mu się łzami.

Inspektor uśmiechnął się blado i szybko uściśnął mu rękę.

- Przestań się mazać, skurwielu. Łap za hamulec - powiedział szorstko i naciągnął sobie koc na głowę.

Eketiego bolały nogi. Ponad dwie godziny biegł bez przerwy przez pola trzciny cukrowej i pogrążone we śnie wioski, w pogoni za błyszczącymi światłami miasta. Teraz był w Chowku, w centrum Varanasi, lecz światła były pogaszone, a ulice puste. Wokół panowała niesamowita cisza, od czasu do czasu przerywana jedynie szczekaniem bezdomnego psa czy warkotem samochodu. Na chodnikach koło sklepów z zamkniętymi okiennicami spali żebracy. Przed starożytną świątynią stała na straży grupka policjantów.

Jedynym jasno oświetlonym miejscem była tu o tej porze całonocna apteka. Eketi zakradł się za stojącego przy krawężniku dżipa i obserwował mężczyznę drzemającego za drewnianą ladą, wśród szklanych półek pełnych pudełek i buteleczek.

Przyszła jakaś kobieta i wytrąciła aptekarza z drzemki. Po kilku minutach wyszła, ściskając w ręku paczuszkę w brązowym papierze, i Eketi ujrzał jej twarz. Tak dziwnie wyglądającej kobiety jeszcze nie widział. Była wzrostu Ashoka, powieki miała pomalowane na ciemny kolor, policzki oblepione tanim różem, usta uszminkowane na jaskrawoczerwono,

ale kwadratowa szczęka nadawała jej twarzy męski wyraz. Miała na sobie czerwono-zielone sari i niedopasowaną żółtą bluzkę. Jej dłonie były duże i owłosione. Eketi zauważył nawet wąski pasek włosów, który się zaczynał koło jej pępka i nikł pod bluzką.

Zaintrygowany, zaczął ją śledzić. Szła zaśmieconymi, cichymi bocznymi uliczkami, ciemnymi zaułkami i krętymi brukowanymi ścieżkami, aż dotarła do wylotu zatłoczonej, tętniącej życiem ulicy. Po jej obu stronach stały stare jednopiętrowe domy z kunsztownie rzeźbionymi balkonami, które rozbrzmiewały muzyką i dźwiękiem dzwonek noszonych przez tancerki u kostek. Niżej, we wpół-otwartych drzwiach, stały kobiety o zmęczonych twarzach i nieobecnych oczach, niektóre tylko w krótkich bluzkach i halkach, i prowokacyjnymi uśmiechami wabiły przechodniów. W sklepie na rogu sprzedawano *paan*, na straganie bułki, był nawet sklep z kartami telefonicznymi. W wilgotnym powietrzu aromat jaśminowych perfum mieszał się z zapachem smażonego jedzenia. Gdy reszta miasta spała, mieszkańcy tej ulicy się bawili.

- Witaj w Dal Mandi¹⁶⁵ - zaczął Eketiego mężczyzna w *lungi*¹⁶⁶ i podkoszulku. - Chcesz spróbować naszego towaru? - Stojąca za jego plecami dziewczyna w różowym sari zachichotała, lecz Eketi jej nie zauważył, pochłonięty śledzeniem kobiety, która zdecydowanym krokiem szła na koniec ulicy, a gdy tam dotarła, skręciła w przecznicę biegnącą w prawo. Eketi podążył za nią.

¹⁶⁵ Dal Mandi - dzielnica czerwonych latarni w Varanasi.

¹⁶⁶ *Lungi* - męski strój z jednego kawałka materiału, który się owija wokół pasa i nog, jak sarong.

Niespodziewanie raptownie się odwróciła i chwyciła Eketiego za rękę.

- Dlaczego za mną idziesz? Myślisz, że jestem prostytutką?

Zaskoczony Eketi próbował się wyrwać, ale jej uścisk był silny jak mężczyzny.

- Puść mnie! - krzyknął.

Przyjrzała mu się dokładnie.

- Kto ty jesteś, mały czarny diable?
- Najpierw ty powiedz, kim jesteś.
- Co to za pytanie?
- To znaczy mężczyzną czy kobietą?
- Każdy chce to wiedzieć - zachichotała. - Niektórzy nawet są gotowi zapłacić, żeby móc sprawdzić.

- Nie... nie rozumiem.
- Mam na imię Dolly. Jestem przywódczynią *hinjra*.
- Co to takiego?
- Nie słyszałeś o eunuchach? Z jakiej ty jesteś planety?
- Naprawdę nic nie wiem o eunuchach.
- Jesteśmy trzecią płcią. Między mężczyzną i kobietą.

Eketi spojrział na nią zdumiony.

- Ani mężczyzną, ani kobietą? Jak to możliwe?
- W naszym kraju wszystko jest możliwe. - Dolly machnęła ręką. - Powiedz coś o sobie. Kim jesteś? Skąd?

- Jestem Jiba Korwa z Dżharkhandu.
- Dżharkhand? Miałam kiedyś koleżankę Monę. Też z Dżharkhandu, ale nie była taka czarna. Teraz szuka szczęścia w Bombaju.

- Gdzie mieszkasz?
- Niedaleko od Dal Mandi.
- A co to jest? - Eketi pokazał palcem brązową paczuszkę.
- To? Lekarstwo, które na szczęście udało mi się kupić. O tej porze jest czynna tylko jedna apteka. Dla mojej koleżanki Rekhi. Jej córka jest ciężko chora.

- Co jej jest?
- Ma malarię. Od dziesięciu dni bardzo gorączkuje.
- Malaria? Umieć leczyć malarię.
- Ty? - Zlustrowała go od stóp do głów. - Półtorametrowy żartowniś miałby być lekarzem?

- I to dobrym. Na mojej wyspie uratowałem kiedyś chłopca, który umierał na malarię.

- Na wyspie? Jaka to wyspa?
- *Kujelli!* - wykrzyknął Eketi i żeby zatuszować swą niezręczność, otworzył torbę i wyjął pęczek wysuszonych liści. - Ta roślina może wyleczyć malarię. Jeśli mnie zabierzesz do koleżanki, będę leczył jej córkę.

- Naprawdę? - Dolly zastanowiła się chwilę i kiwnęła głową. - Zgoda. Co nam szkodzi spróbować. Chodź.

Znowu szedł za nią krętymi bocznymi uliczkami. Przeszli kilka zaułków, minęli śmierdzący otwarty ściek i nagle znaleźli się w enklawie eunuchów. Jej mieszkańcy, ubrani w sari i *salwar kameez*, z pomalowanymi twarzami i ekstrawaganckimi fryzurami, byli mimo późnej pory na nogach. Pozdrowili Dolly i z ciekawością, bardziej przyjaźnie niż wrogo, przyglądali się Eketiemu.

Ich domy były małe i skromne, przeważnie jednopokojowe, zbudowane z cegieł. Dolly zatrzymała się przed domem z żółtymi drzwiami. Za chwilę wybiegła z nich *hinjra* w pomarańczowo-błękitnym sari, z kwiatami jaśminu wplecionymi we włosy, kurczowo objęła Dolly i zaczęła szlochać.

- Tina umiera. Moja biedna Tina - zawodziła.

Dolly porozmawiała z kilkoma innymi eunuchami, a potem zwróciła się do Eketiego.

- Niedawno był u Tiny lekarz. Powiedział, że nie można jej uratować, bo gorączka dotarła do mózgu. Moja wyprawa do apteki była niepotrzebna. - Wypuściła z rąk paczuszkę i zakryła twarz rękami.

Eketi otworzył żółte drzwi.

Znalazł się w małym pokoju. W jednym kącie stały garnki i patelnie, w innym wisiały ubrania. Na materacu na podłodze leżała w koszuli dziewczynka. Miała najwyżej osiem albo dziewięć lat, okrągłą buzię i oczy w kształcie migdałów. Chuda i wymizerowana, sprawiała wrażenie pozbawionej sił witalnych. Była blada, na szyi miała duże czerwone pęcherze. Spała. Od czasu do czasu mamrotała coś niezrozumiale.

Eketi otworzył torbę i przystąpił do pracy. Wyjął pęczek liści i poprosił

matkę dziewczynki, żeby je utarła i ogrzała. Potem zmieszał czerwoną glinę ze świńskim sadłem i namalował na czole dziewczynki kilka poziomych pasków. Dolly patrzyła sceptycznie, jak nakładał odrobinę żółtej gliny na jej górną wargę i gorącą miazgą z liści nacierał brzuch. Na koniec wyjął z torby naszyjnik z kości.

- To jest *chauga-ta* zrobiony z kości wielkiego Tomitego. Wyleczy ciało i odpędzi *eeka* - oznajmił i założył naszyjnik na szyję dziewczynki.

- Jesteś czarownikiem? - spytała Dolly z niepokojem w oczach.

- Ja tylko staram się pomóc.

- Co mamy teraz robić?

- Czekać do rana - odpowiedział i ziewnął. - Bardzo mi się chce spać. Mogę się tu gdzieś położyć?

- Nie masz własnego domu?

- Nie.

- Tak myślałam - westchnęła Dolly. - Chodź, zabiorę cię do siebie.

Jej dom, z dwoma pokojami i małą kuchnią, był największy w okolicy. Na pomalowanych ścianach wisiały oprawione w ramki podobizny bogów i bogiń. W jednym z pokoi był wytarty dywan, w kuchni stał nawet mały rozkładany stół i metalowe krzesła. Eketi położył się na podłodze i w ciągu paru minut głęboko zasnął.

Kiedy się rano obudził, Dolly już była na nogach.

- Sprawileś cud - uśmiechnęła się promiennie. - Gorączka zniknęła. Tina czuje się dużo lepiej.

Trochę później przybiegła matka dziewczynki i padła mu do nóg.

- Jesteś aniołem, niebo mi cię zesłało - krzyczała, ściskając mu ręce. - Moja córka i ja będziemy do końca życia twoimi dłużniczkami.

Za nią przyszedł inny eunuch i mrugając kokieteryjnie, wyciągnął do Eketiego rękę.

- O, tu mi się zrobiły bąble. Na to też masz lekarstwo?

- Nie, nie. Nie jestem lekarzem - mruknął Eketi.

- Pewnie chce ci się jeść - odezwała się Dolly. - Zrobię śniadanie.
Gdy później siedziała przy stole i siekała warzywa, Eketi podszedł do niej nieśmiało.

- Umieram z ciekawości.

- Co masz na myśli? - uniosła brwi.

- Wciąż nie rozumiem tego, co mi wczoraj powiedziałaś. Jak możesz nie być ani mężczyzną, ani kobietą?

Dolly się skrzywiła, rzuciła nóż, wstała i podniosła sari.

- Sam zobacz.

Eketiemu ze zgrozy zabrakło powietrza.

- Taka... taka się urodziłaś?

- Nie. Urodziłam się mężczyzną jak ty, ale zawsze się czułam kobietą uwięzioną w męskim ciele. Z pięciorga dzieci - trzech braci i dwóch siostr - byłam najmłodsza. Mój ojciec był zamożnym kupcem tekstylnym, mieszkaliśmy w Bareilly. W okresie dorastania przeżywałam męki. Bracia i siostry wciąż się ze mnie wyśmiewali. Nawet rodzice drwili ze mnie i mną pogardzali. Zdawali sobie sprawę, że jestem inna, ale mimo to chcieli, żebym się zachowywała jak chłopiec. Więc kiedy skończyłam siedemnaście lat, ukradłam ojcu pieniądze i uciekłam do Lucknow, gdzie poznałam mojego guru i przeszłam operację.

- Jaką operację?

- Przez parę dni dostaje się opium, żeby ból był trochę mniejszy.

Potem się odbywa ceremonia nirwany.

- Co to jest?

- Nirwana znaczy odrodzenie. Kapłan obcina genitalia. Jedno pociągnięcie nożem i zostałam bez członka. - Dolly zrobiła odpowiedni gest. Eketi z trudem łąpał powietrze. - Po operacji uznano mnie za kobietę i wtedy guru wziął mnie pod opiekę i zabrał do Benares. Tu znalazłam całą społeczność eunuchów i mieszkam wśród nich od siedemnastu lat. Traktuję ich jak rodzinę, tu jest moje miejsce.

- Więc w gruncie rzeczy jesteś mężczyzną?

- Tylko z urodzenia.
- Nie czujesz się dziwnie bez... no... bez kutasa? - spytał Eketi z wahaniem.

Dolly się zaśmiała.

- Żeby przetrwać w tym kraju, kutas nie jest potrzebny. Trzeba mieć pieniądze i rozum.

- W jaki sposób zarabiacie pieniądze?

- Śpiewamy na weselach i uroczystościach z okazji narodzin dzieci, na zasiedlinach. Udzielamy błogosławieństw. Ludzie wierzą, że *hinjra* mają moc chronienia przed pechem i niepowodzeniami. Czasem pracuję też dla banku.

- Co to za praca?

- Ludzie pożyczają w banku pieniądze, a potem nie oddają. Wtedy bank prosi nas, żebyśmy się zjawiły pod drzwiami dłużnika. Śpiewamy nieprzyzwoite piosenki i robimy tyle zamieszania, że woli oddać dług.

- To musi być niezła zabawa! Jesteś szczęśliwa jako eunuch?

- Tu nie chodzi o szczęście, Jiba - powiedziała z posępną miną. - Chodzi o wolność. Ale dość już o mnie. Powiedz, co cię przyгнаło z Dżharkhandu do Urtar Pradeś?

- Uciekłem ze swojej wioski. Tu przyjechałem, żeby się ożenić.

- Wspaniale! To mamy nowy powód migracji. I znalazłeś dziewczynę?

- Nie - Eketi uśmiechnął się nieśmiało - ale ciągle szukam.

- Wiesz już, gdzie się zatrzymasz?

- Nie mógłbym tutaj, z tobą? Masz dużo miejsca.

- Nie prowadzę przytułku - odparła ostro. - Jak tu zostaniesz, będziesz mi musiał płacić komorne. Masz pieniądze?

- O, tak, dużo - powiedział i wyjął banknoty, które dostał od inspektora Pandeya.

Dolly je przeliczyła.

- Tylko czterysta. Niech to będzie za miesiąc. - Łypnęła na niego spod oka i wsunęła banknoty w tajemnicze zakamarki bluzki. - Potrzebne

ci też będą pieniądze na jedzenie. Nie mogę cię codziennie karmić za darmo.

- Więc co mam zrobić?
- Musisz mieć pracę.
- Pomożesz mi ją znaleźć?
- Tak. Budują nowy pięciogwiazdkowy hotel. Jutro cię tam zaprowadzę.

- To może dzisiaj pokażesz mi trochę swojego miasta?

- Jasne. Chodź, zaprowadzę cię na *ghats*¹⁶⁷ w Kashi¹⁶⁸.

¹⁶⁷ *Ghats* - schody prowadzące ku wodzie.

¹⁶⁸ Kashi - starożytna nazwa Varanasi. Jeszcze inna nazwa Varanasi to Benares.

W dzień Chowk wyglądał całkiem inaczej. Był to rejon pełen sklepów z sari, książkami, sztuczkami, jadłodajni sprzedających słodycze i *lassi*¹⁶⁹. Na ulicach były tłumy ludzi. Riksze walczyły o miejsce z rowerami, samochody ocierały się o krowy.

¹⁶⁹ *Lassi* - napój orzeźwiający z jogurtu, wody i przypraw. Może być słodki bądź słony.

Eketi myślał, że ludzie gapią się na niego, dopóki nie zauważył, że interesuje ich Dolly. Kobiety wzdrygały się na jej widok, mężczyźni marszczyli brwi i omijali ją z daleka. Dzieci się z niej naśmiewały, gwizdały za jej plecami, niektóre szydziły, klaszcząc grzbietami dłoni. Nie zwracając na nie uwagi, szła przez rojną arterię do zaułka wiodącego ku kamiennym stopniom schodzącym do Gangesu, i Eketi pierwszy raz zobaczył *ghats*.

Rzeka połyskiwała jak roztopione srebro, małe łódki podskakiwały na wodzie niczym kaczki. Nadbrzeża zapelniali pielgrzymi. Niektórzy pod parasolami z liści palmowych zasięgali porad astrologów, inni kupowali ozdoby, jeszcze inni szli się kąpać. Kapłani o wygolonych głowach śpiewali mantry, brodaci sadhu bili pokłony słońcu, przysadziści zapaśnicy doskonalili umiejętności kulturystyczne. *Ghats* ciągnęły się wzdłuż rzeki jak okiem sięgnąć. W oddali unosiły się w zamglonym powietrzu pióropusze dymu ze stosów pogrzebowych.

- Rzeka jednoczy pielgrzymów i żałobników - powiedziała Dolly. - Nasze miasto czci żywych i umarłych.

- Wiem od pewnego człowieka, że ludzie tu przyjeżdżają, żeby umrzeć. Dlaczego? - spytał Eketi.

- Bo jest powiedziane, że kto umrze w Kashi, ten od razu pójdzie do nieba - odparła Dolly.

- Więc jak ty umrzesz, to też pójdiesz prosto do nieba?

- Niebo nie jest jedno, Jiba. - Spojrzała na niego łagodnie. - Są różne nieba dla różnych ludzi. My eunuchowie nawet palimy zmarłych potajemnie.

Dzień później, pierwszego listopada, Eketi zaczął swą pierwszą prawdziwą pracę. Dolly zaprowadziła go w miejsce, które wyglądało jak brzeg olbrzymiego krateru. Znajdujący się w nim plac budowy przypominał odrażające trzewia jakiejś potężnej bestii. Środkiem jej brzucha poruszał się łańcuszek kobiet z ciężarami na głowach, mężczyźni kilofami kawałkowali jej kiszkę. Wszędzie wznoszono drewniane rusztowania wyglądające jak wielkie skrzydła, monstrialne dźwigi wyprężonymi językami sięgały nieba. W powietrzu czuło się odór potu i słyszało brzęk metalu uderzającego o metal.

Dolly знаła kierownika robót. Nazywał się Babban i zawsze miał groźną minę. Rzucił okiem na wyrobione muskuły Eketiego i natychmiast go zatrudnił. Eketi dostał łopatę i kazano mu dołączyć do grupy robotników kopiących rów.

Szło mu ciężko. Łopata wyslizgiwała mu się ze spoconych rąk, żółty pył wpadał do oczu. W wykopie było jak w piecu i nawet miękkie grudki ziemi parzyły mu gołe stopy jak rozżarzone węgle.

O drugiej zawyła syrena, ogłaszając przerwę na lunch, i Eketi odczłapał z ulgą. Dostał tylko gęsty ryż i wodniste warzywa, ale ponieważ jadł je w cieniu, w chwili wytchnienia, wydawały mu się nawet smaczne.

Robotnicy siedzieli razem i jedli w ciszy.

- Kto jest właścicielem tego hotelu? - zapytał Eketi ciągle zgarbionego wychudzonego mężczyznę, który siedział w kucki obok.

Mężczyzna miał na imię Suraj, jego ubranie było podarte i śmierdziało starym potem.

- Skąd mam wiedzieć? - wzruszył ramionami. - To pewnie jakiś wielki *seth*¹⁷⁰. Zresztą jakie to ma znaczenie? I tak nie będziemy w tym hotelu mieszkać. - Przyjrzał się Eketiemu uważnie. - Ty chyba nie jesteś tutejszy. Pracowałeś już kiedyś na budowie?

¹⁷⁰ *Seth* - bardzo bogaty człowiek.

- Nie - odpowiedział Eketi.

- Widać. Ale się nie przejmuj. Robię to już trzy lata i ciągle popełniam błędy. Musisz uważać na kręgosłup, bo inaczej będziesz zgięty do końca życia jak ja. I nie wdychaj kurzu, bo ci zatka wszystkie pory. Czasem wychodzi ze mnie nawet w gównie. Popatrz, co się od tej roboty stało z moimi rękami i nogami. - Suraj wyciągnął przed siebie szorstkie jak orzech kokosowy, pełne odcisków dłonie. Na piętach miał pęcherze, na popękanych podeszwach strużki zakrzepłej krwi.

- To dlaczego tu pracujesz?

- Mam pięć gęb do wykarmienia. Potrzebuję pieniędzy.

- A ile ci płacą?

- Wystarcza, żeby jakoś przeżyć.

Syrena znów zawyła i robotnicy niechętnie wstali. Przez całe popołudnie nosili cegły, ładowali zaprawę, rozbijali kamienie, mieszały cement, kopali - gołymi rękami budowali hotel.

Kiedy o szóstej wieczorem kierownik ogłosił wreszcie koniec pracy na ten dzień, umęczeni mężczyźni wzięli na ramiona kilofy i łopaty, wyczerpane kobiety podniosły koszyki i wzięły na ręce dzieci i wszyscy ustawili się w kolejce po pieniądze.

Eketi też odebrał zapłatę, pięć szeleszczących banknotów dziesięciopięciowych, i ruszył w drogę powrotną do domu Dolly.

Gdy mijał eleganckie centrum handlowe, jego uwagę przyciągnął plakat dekorujący wystawę biura podróży. Na plakacie była wspaniała wyspa z gęstwą pięknej zieleni otoczona turkusowymi wodami oceanu. Eketi stał przed wystawą kilka minut, a potem śmiało otworzył drzwi.

Za ladą siedziała młoda kobieta i malowała sobie paznokcie. Na ścianie za jej plecami wisiała wielka mapa świata, na ladzie leżał stos broszur. Kobieta spojrzała z niesmakiem na zakurzone ubranie i brudną twarz Eketiego.

- Czego chcesz? - spytała ostro.
- Chcę pojechać na wyspę, której fotografia jest na wystawie.
- To Andamany - uśmiechnęła się szyderczo.
- Wiem. Ile trzeba zapłacić, żeby tam popłynąć statkiem?

Podmuchała sobie na paznokcie i wzięła do ręki broszurę z takim samym zdjęciem wyspy na okładce.

- Mamy pięciodniową wycieczkę z Kalkuty. Całkowita cena najtańszego pakietu wynosi dziewięć tysięcy rupii. A teraz już idź i nie zabieraj mi czasu.

- Mogę sobie to wziąć? - Pokazał broszurę.

Dziewczyzna szybko mu ją dała i wyprosiła go za drzwi.

- Jak ci się podoba ta praca? - zapytała Dolly, gdy tylko wszedł do domu.

- Nie po to wyjechałem z mojej wioski - odpowiedział i potarł sobie plecy. Wyjął z kieszeni pięćdziesiąt rupii i podał Dolly. - Możesz mi to przechować?

- Proszę bardzo - powiedziała.

- A możesz mi powiedzieć, ile dni będę musiał pracować, żeby zarobić dziewięć tysięcy?

Zmarszczyła czoło i szybko policzyła.

- Sto osiemdziesiąt dni. Powiedzmy sześć miesięcy. A co?

- Chcę pojechać na tę wyspę - powiedział i podniósł broszurę do góry, jakby była trofeum myśliwskim.

Kusząca obietnica zawarta w tym błyszczącym kawałku papieru pozwoliła Eketiemu zapomnieć o bólu kręgosłupa i zmęczonych nogach. Po kolacji położył się na podłodze, patrzył na fotografię wyspy i czuł wiatr szeleszczący wśród wysokich palm, słyszał cykady dzwoniące w gęstej zielonej dżungli, delectował się smakiem żółwiego mięsa.

Następnego dnia znowu był na budowie i robił to co przedtem. Wkrótce jego ręce nauczyły się rytmu i pod koniec tygodnia nie musiał już patrzeć w dół, gdy kopał. Choć jednak praca stała się łatwiejsza, Eketi nadal jej nienawdził. Siebie nienawdził za to, że ją wykonywał.

Jego świat kręcił się teraz wokół domu eunucha i placu budowy. Eketi nie miał czasu na poznawanie reszty miasta ani ochoty na zawieranie znajomości z innymi mieszkańcami kolonii, której przewodziła Dolly. Nawet odłożył na później plan znalezienia żony. Niedziela, poniedziałek, Diwali, Nowy Rok znaczyły dla niego to samo - pięć banknotów dziesięciurupiiowych, które skrupulatnie oddawał Dolly na przechowanie.

Minęło dwa i pół miesiąca. Hotel rósł, zaczęła też rosnąć nadzieja Eketiego.

- Ile się już uzbierało pieniędzy, Dolly? - spytał pewnego wieczoru.
- Całe trzy tysiące - odparła.
- To znaczy, że na podróż potrzebuję jeszcze sześć - powiedział.

Zaskoczył ją zarówno tęsknotą w głosie, jak i nowo nabytą znajomością matematyki.

Posłała mu zagadkowe spojrzenie, ale nic nie powiedziała. W nocy po cichu dołożyła do jego funduszy tysiąc rupii z własnych zasobów.

Dwa dni później, gdy Eketi wrzucił kamienie do kruszarki, rozległ się głośny huk i z rogu wykopu uniosła się w powietrze wielka chmura pyłu. Pobiegł w tamtą stronę i zobaczył, że ze znacznej wysokości spadał część bambusowego rusztowania. Na ziemi leżał twarzą w dół pokryty pyłem robotnik, ręce i nogi miał dziwnie powykrzywiane. Inny robotnik przewrócił go na plecy i wtedy Eketi krzyknął rozpaczliwie. To był Suraj.

Śmierć Suraja spowodowała dwudniową przerwę w pracy na budowie, więc Dolly poprosiła Eketiego, żeby jej towarzyszył w wykonywaniu

zadania w imieniu „ludzi z banku”. Wraz z czwórką innych eunuchów udali się na zatłoczone targowisko w Bhelapurze. Dolly pokazała im sklep elektrotechniczny.

- Naszym celem jest Rajneesh Gupta, właściciel tego sklepu - powiedziała Eketiemu. - Ty masz go tylko wyciągnąć, a my zrobimy resztę.

Eketi wszedł więc do sklepu i powiedział nieśmiało z wyglądu właścicielowi, że ktoś czeka na niego na ulicy. Kiedy nieco zaskoczony pan Rajneesh Gupta znalazł się na zewnątrz, rzucili się na niego *hinjra*. Towarzysze Dolly go otoczyli i zaczęli się z niego wyśmiewać, śpiewając, tańcząc i klaszcząc. Dolly stała wśród nich, głaaskała go po policzkach, laskotała pod pachami i mu złorzeczyła.

- Niech twoim dzieciom się nie wiedzie, niech twój sklep upadnie, niech ci ciało zaatakują robaki, aż zdechniesz jak pies.

Żądni zabawy, wyszli ze sklepów inni sklepikarze. Śmiali się i szydzili, a Eketi się dziwił, że obiektem ich drwin nie są eunuchowie, tylko bezradny Gupta.

- Jak nie oddasz długu w ciągu dziesięciu dni, złożymy ci następną wizytę. - Dolly dźgnęła go palcem, po czym dumnie machnęła warkoczem i wezwała swój oddział do odwrotu.

Eketi mimo wszystko odrobinę współczuł panu Gupcie, który stał na środku targowiska czerwony na twarzy i starał się powstrzymać płacz.

Następnego dnia praca w wykopie zaczęła się na nowo, ale wszystko już było inaczej. Duch Suraja prześladował plac budowy - sprawiał, że dzień wydawał się Eketiemu dłuższy, jedzenie bardziej mdłe, łopata cięższa. Nigdy nie miał do tej pracy serca, ale teraz nawet ręce zaczynały mu się buntować.

Kiedy wieczorem wrócił z pracy, zastał dom w kompletnym nieładzie. Kredens ktoś splądrował, podłoga lepiała się od krwi, Dolly nie było. Co się wydarzyło, dowiedział się od zapłakanej Rekhy. Tego dnia po południu przyszedł do kolonii Rajneesh Gupta w towarzystwie trzech

wynajętych bandytów uzbrojonych w kije hokejowe. Weszli siłą do domu Dolly i pobili ją do nieprzytomności. Bardzo krwawiła i trzeba jej było założyć trzydzieści szwów.

- Teraz jest w szpitalu okręgowym w Kabir Chaurze¹⁷¹ i jej życie wisi na włosku.

¹⁷¹ Kabir Chaura - rejon Varanasi położony w pobliżu Chowku.

- Nie! Nie! - krzyknął Eketi i pobiegł jak szalony. Dotarł do bramy szpitala w momencie, gdy wychodziła z niej grupa eunuchów. Czterej nieśli wysoko w górze bambusowe nosze ze zwłokami owiniętymi białym całunem, z tyłu szli trzej inni i śpiewali *Ram Nam Satya Hai*¹⁷². Od razu wiedział, że to Dolly, którą zabierają w jej ostatnią drogę. Pieśń śmierci dźwięczała mu w uszach jak odgłos młotka uderzającego w metal. Powietrze uszło mu z płuc, jakby go ktoś zdzielił pięścią w brzuch. Upadł bezwładnie na ziemię niczym zepsuta marionetka.

¹⁷² *Ram Nam Satya Hai* znaczy Rama jest prawdą. W Indiach słowa te są zwykle śpiewane podczas przenoszenia zwłok na miejsce kremacji.

Wrócił ze szpitala oszołomiony i ciężkim krokiem wszedł do domu Dolly. Rozpaczliwe przeszukiwanie splądrowanego kredensu nic nie dało - z oszczędności nie została ani rupia. Przez chwilę stał na środku pokoju, patrząc na krew zakrzepłą na podłodze, i w wyobraźni widział brutalne sceny, które się tu rozegrały. Potem nagle chwycił torbę i opuścił kolonię eunuchów.

Szedł przez Chowk. W pewnym momencie w powietrzu zabrzmiał śpiew i dźwięk dzwonów. Spojrzał na ciemniejące niebo. Słońce zaszło i na Dasashwamedh Ghat rozpoczęły się wieczorne modły. Dziś jednak nie czuł pokusy, żeby zejść nad rzekę. Dolly poszła do specjalnego nieba dla eunuchów. Miasto ją wykończyło. On skończył z miastem.

Na przedmieściu Varanasi, w pobliżu autostrady, natknął się na stojącą na poboczu ciężarówkę pełną pielgrzymów; mówili, że jadą na Magh Melę. Kierowca, Sikh w turbanie i z długą czarną brodą, naprawiał przebitą dętkę. Na błagalną prośbę Eketiego zgodził się go zabrać.

Dwudziestego drugiego stycznia tuż przed wschodem ciężarówka zostawiła swój ładunek na betonowym moście nad Gangesem. Eketi znalazł się w nowym mieście.

Nad świętym miastem Prayag leniwie wstawał świt. Powietrze było zimne, orzeźwiająca. Piaszczysty brzeg rzeki łagodnie omywały fale. Karmazynowe promienie słońca zostawiały na wodzie tęcze błyski. Przy brzegu kołysały się drewniane łodzie. W powietrzu unosiły się przesłaniające krajobraz opary dymu o różnych odcieniach szarości. Wiatr trzepotał setkami różnokolorowych chorągwi i szafranowych proporców. W oddali z łoskotem budził się do życia żelazny most Naini, na który właśnie wjechał pociąg. Nad horyzontem górował Czerwony Fort Akbara, przy którym nikły prowizoryczne budynki i namioty tymczasowego miasteczka.

Eketi już wiedział, że trwa tu doroczne święto kąpieli zwane Magh Mela. Kiedy zszedł na piaszczysty brzeg, pojawiła się procesja tancerzy i grajków. Na czele podążał mężczyzna niosący w górze turban na długiej tyczce. Grajkowie walili w bębny i gongi, dęli w muszle i trąbki, tworząc kakofonię dźwięków oznajmującą nadejście grupy sadhu Naga. Umazani popiołem mnisi, mający na sobie tylko girlandy z aksamitek, pobiegli do wody, potrząsając mieczami i żelaznymi trójzębami i krzycząc „Chwała Mahadevowi!”¹⁷³. Niektórzy ze zgromadzonych wiernych odsunęli się z przestrachem, inni złożyli im pełen szacunku ukłon. Eketi patrzył oniemiały, jak sadhu opryskują się wodą, a na piasku stają na rękach i robią gwiazdę. Zdziwiła go ich długie splecione włosy i przeorażające czerwone oczy, lecz najbardziej był zdumiony ich całkowitą pogardą dla odzieży.

Mahadev - jedno z imion Sziwy.

Po sadhu pojawili się przywódcy grup religijnych. Odziani w szafranowe stroje, przybywali różnymi środkami transportu - terkoczącym traktorem, na srebrnym tronie w przyczepie samochodowej, w ozdobionym klejnotami palankinie wysłanym lamparcią skórą, w złożonych

rydwanach z jedwabnymi parasolami ciągniętych przez setki wyznawców wyśpiewujących pochwalne strofy i *bhajan*.

Wszyscy zmierzali do miejsca zwanego *sangam*, pasemka wody wyznaczającego linię zetknięcia się północy z zachodem, gdzie żółto-brązowy nurt Gangi mieszał się z ciemnoniebieską Yamuną. Na płyciźnie kłębili się dygoczący wierni: mniej lub bardziej rozebrani mężczyźni ukazujący wszelkie możliwe rodzaje bielizny, kobiety starające się zachować skromność podczas modlitwy z użyciem obu rąk, mali chłopcy pluskający się w mulistej wodzie, na której kołysały się pomarańczowe kwiaty aksamitek, kartonowe pudełka Tetra Pack, przezroczyste plastikowe śmiecie. Raz po raz powietrze rozdzierały śpiewne okrzyki na cześć Sziwy i Matki Gangi.

Eketi też na chwilę wskoczył do zimnej rzeki, a potem się szwendał po brzegu i zjadał ze smakiem *puri*¹⁷⁴ i *jalebi*¹⁷⁵ rozdawane przez bogatych wiernych. Kiedy się zrobiło za gorąco, postanowił się rozejrzeć po okolicy. Zaczął od prowizorycznego bazaru pachnącego kadzidłem i przyprawami. Kobiety przymierzały tu miliony kolorowych szklanych ozdób i kupowały mnóstwo cynobrowego proszku, małe dzieci oblegały stragany z zabawkami i błagały ojców, żeby im kupili plastikowe pistolety i szklane zwierzątka. Uliczni astrologowie wabili klientów talizmanami zapewniającymi szczęście we wszystkim. W stoiskach z książkami powodzeniem cieszyły się tanie broszury o tematyce religijnej, wokół leżały na ziemi krzykliwe plakaty - starzy bogowie i boginie: Kriszna, Lakszmi, Siwa i Durga, konkurowali z nowymi: Sachinem Tendulkarem, Salimem Ilyasim, Shabnam Saxena i Shilpą Shetty. Sprzedawca fletów w kółko wygrywał tę samą monotonną melodię, inny niestrudzenie namawiał gospodynie domowe do wypróbowania aluminiowej tarki „siedem w jednym”, wygadany domokrążca oferował olej wężowy jako lek na impotencję.

¹⁷⁴ *Puri* - prażony chlebek z ciasta z pełnoziarnistej mąki z pszenicy twardej, wody i soli, rozwałkowany na placki wielkości dłoni, który się smaży w głębokim tłuszczu - klarowanym maśle lub oleju roślinnym.

¹⁷⁵ *Jalebi* - nasączone syropem ciastko z ciasta naleśnikowego smażone w głębokim tłuszczu, bardzo popularne w północnych Indiach.

W miasteczku było kilka dużych namiotów z atrakcjami dla całej rodziny. Z Salonu Krzywych Zwierciadeł było słycać śmiechy, z Wystawy Osobliwości chwalać się męczyzną bez zoładka i kobietą wszczepioną w ciało węża - piski. Był nawet diabelski młyn, zakład fotograficzny i pokaz sztuk magicznych. Jednak najdluższa kolejka stała przed namiotem reklamującym się jako Rangeela Disco Dhamaka. Męczyźni pożerali wzrokiem umieszczony nad wejściem kilkumetrowy billboard z postaciami dwóch dziewcząt w biustonoszach i obcisłych szortach, stojących w prowokacyjnych pozach. Z wnętrza namiotu dobiegały głośne dźwięki muzyki.

- Chcesz popatrzeć? - Sprzedawca biletów puścił oko. - Tylko dwadzieścia rupii.

- Nie - zaśmiał się Eketi. - Po co tracić pieniądze na oglądanie kobiecych piersi?

Znacznie bardziej go zainteresowało stoisko, w którym można było wygrać pluszowego misia, jeśli się trafiło z łuku w któryś z baloników przymocowanych do kwadratowej tablicy. Przyjrzał się kilku nieudanym próbom, a potem podszedł do właściciela i dał mu jeden z pięciu dziesięciurupiiowych banknotów, które miał w kieszeni. Dzieci zebrane wokół stoiska zaczęły go dopingować. Kiedy wycelował, napięły mu się wszystkie mięśnie. Natychmiast powróciły wspomnienia z ostatniego polowania na wyspie, poczuł nawet ślad tamtego podniecenia. Puścił cięciwę i strzała trafiła w balonik na środku tablicy. Dzieci zaczęły krzyczeć i podskakiwać z radości, właściciel się skrzywił i podał mu misia. Eketi dał go małej dziewczynce i wziął następną strzałę. Kiedy stamtąd odchodził, dzieci się bawiły dwudziestoma misiami, a bliski płaczu właściciel zabierał się do zamknięcia stoiska.

Podniesiony na duchu swoim łuczniczym sukcesem, dziarskim krokiem przeszedł na drugą stronę zwirowej drogi i znalazł się w całkowicie odmiennym rejonie miasteczka Magh Meli, gdzie powietrze rozbrzmiewało mantrami i dźwiękiem dzwonów. Znajdowały się tam tymczasowe siedziby różnych grup religijnych, których przywódcy otwarcie ze sobą konkurowali, starając się za pomocą skomplikowanych

systemów nagłaśniających przyciągnąć uwagę publiczności.

Tu Eketi jeszcze raz spotkał sadhu Naga. Nadzy mężczyźni siedzieli wokół dziedzińca i palili *chillum*¹⁷⁶ albo się gimnastykowali. Na środku dziedzińca była góra popiołu, którym sobie oblepiali ciała. Po pewnym czasie sadhu przenieśli się do dużego namiotu i Eketi nieśmiało wszedł na dziedziniec. Zdjął ubranie, schował je do torby i dał nura w popiół, jakby to była woda. Turlał się w nim jak bawół tarzający się w błocie, wysmarował sobie twarz, ciało, nawet włosy, rozkoszując się tym, że znów jest nagi.

¹⁷⁶ *Chillum* - fajka do palenia marihuany, opium, tytoniu itd. używana przez hinduskich świętych mężów, rastafarian i osoby próbujące narkotyków dla przyjemności, nienalogowo.

Już miał odejść, gdy z namiotu wyszedł sadhu. Eketi skulił się na ziemi niczym zwierzę w pułapce, lecz tamten spojrział na niego szklanym wzrokiem, uśmiechnął się i podał mu *chillum*. Eketi odwzajemnił uśmiech i głęboko się zaciągnął. Chociaż na wyspie nalogowo żuł tytoń *zarda*, nie był przygotowany na działanie marihuany. Poczul euforię, jakby mu się w mózgu otwierały okna, czyniąc kolory jaskrawszymi, a dźwięki ostrzejszymi. Zachwiał się i chwycił sadhu za rękę. Mężczyznę się zaśmiał i krzyknął *Alakh niranjan!* - chwała temu, którego nie można ujrzeć ani zbrukać!

W tym momencie Eketi stał się jednym z nich, a oni przyjęli go jak swojego. Popiół zniósł wszelką odmienność, każdy był takim samym szarym cieniem, psychodeliczny trans eliminował różnice klasowe czy kastowe.

Eketi rozkoszował się swą nagością, wędrował po miasteczku jak swobodny duch. Życie na wzór sadhu Naga miało jeszcze inne zalety. Wierni dawali mu jałmużnę, restauratorzy go bezpłatnie żywili, strażnicy świątyni Hanumana nie protestowali, gdy chciał spędzić noc na jej zakrytej werandzie. Wystarczył tydzień, by się nauczył mówić *alakh niranjan*, udzielać błogosławieństwa, trzymać trójżab i tańczyć z innymi sadhu wokół świętego ognia.

Szczególną przyjemność dawało mu palenie *chillum*. Dzięki marihuanie zapominał o tym, co mu sprawiało ból. Zapominał o Dolly, Ashoku i Mike'u, nie zastanawiał się, co będzie robił, dokąd pójdzie później. Żył chwilą i to mu wystarczało.

Tak minęły cztery tygodnie. Nadszedł *Maghi Purnima*, dzień pełni księżyca w miesiącu Magh, ostatni z głównych dni kąpieli przed Mahashivratri i końcem Magh Meli. Eketi siedział na brzegu rzeki i patrzył, jak w *sangam* wciąż się zanurzają pielgrzymi. Nagle ziemia zadrżała i rozległ się potężny wybuch. Podmuch był tak silny, że Eketi się przewrócił. Za sobą ujrzał kłęby czarnego dymu, a za chwilę usłyszał przeraźliwe krzyki. Kiedy się podniósł, wszędzie leżeli zakrwawieni, jęczący ludzie. Ujrzał chłopca bez nogi, czyjeś ciało bez głowy. Piasek pokrywały poplamione krwią ubrania, kaptcie, bransoletki, paski, potłuczone szkło. Z herbaciarni zbudowanej z blachy falistej został stos poszarpanego metalu. Dookoła z błędnym wzrokiem biegali ludzie o pokrwawionych twarzach i rozpaczliwie wykrzykiwali imiona bliskich. W kilku miejscach wybuchł pożar.

Szybkość - wszystko stało się w mgnieniu oka - i okrucieństwo ataku poraziły Eketiego. W miasteczku zapanował chaos. Pielgrzymi w popłochu uciekali znad rzeki, popychali się, przewracali jedni na drugich. Wyły policyjne syreny. Eketi włożył T-shirt i szorty i podążył za pędzącym tłumem. Kiedy znalazł się na ulicy, podszedł do riksarza stojącego na chodniku i klepnął go w ramię.

- Którędy na dworzec kolejowy, bracie? - zapytał.

Na allahabadzkim dworcu nic nie wskazywało na to, że w innej części miasta doszło do masakry. Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały. Pasażerowie wsiadali i wysiadali. Tragarze się śpieszyli. Wszystko było jak zwykle.

Eketi stał oparty o automat z zimną wodą i się zastanawiał, dokąd pojechać. Nie znał indyjskich miast, nie miał pieniędzy. I wtedy zauważył szczupłego, gładko ogolonego mężczyznę z krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami, który siedział niedaleko na ławce i palił papierosa.

Obok jego nóg stała szara walizka. Aż podskoczył, kiedy zdał sobie sprawę, że to Ashok Rajput.

Choć mógł się odwrócić i odejść niezauważony, podszedł do niego i złożył dłonie.

- Dzień dobry, panie Ashok.

Ashok spojrzał i zaniemówił.

- Ty tutaj?! - wykrzyknął po chwili.

- Eketi zrobił wielki błąd, że cię opuścił - powiedział autochton ze skruchą. - Możesz mnie teraz odesłać na wyspę? Nie chcę tu być nawet o dzień dłużej.

Zmieszanie Ashoka szybko się skończyło i jego twarz przybrała dawny wyraz pogardy połączonej z arogancją. Rzucił papierosa.

- Szukam cię od czterech miesięcy, czarna świnió, a ty myślisz, że po prostu przyjdiesz i poprosisz, żebym cię odesłał? Czy ja jestem biuro podróży?

Autochton klęknął.

- Eketi prosi o przebaczenie. Teraz zrobię, co zechcesz, tylko mnie odesłaj na Gaubolambe.

- Najpierw przysięgnij, że wykonasz każde moje polecenie.

- Eketi przysięga na duchy przodków.

- Dobrze. - Ashok zmiękł. - Pod tym warunkiem zabiorę cię na Mały Andaman. Ale nie od razu. Jeszcze mam tu coś do załatwienia. Do tego czasu będziesz moim służącym. Jasne? - Autochton kiwnął głową. - A teraz powiedz, co robiłeś w Allahabadzie.

- Nic. Po prostu spędziłem tu trochę czasu.

- Byłeś na Magh Meli?

- Tak. Właśnie stamtąd wracam.

- Masz szczęście, że żyjesz. Tam był atak terrorystyczny, jeden z najgroźniejszych. Od wybuchu bomby zginęło podobno co najmniej trzydzieści osób.

- Też tam byłeś?

- Tak. Bardziej się troszczę o twoje plemię niż ty. Przyjechałem na Magh Melę w poszukiwaniu świętego kamienia.

- Znalazłeś go?
- Nie - powiedział Ashok z zalem. - W zamieszaniu po wybuchu ktoś go ukradł z namiotu swamiego Haridasa.
- Więc przepadł na zawsze?
- Nie wiem. Mam nadzieję, że trafię na jego ślad, gdy złodziej spróbuje go komuś sprzedać.
- To gdzie teraz jedziesz?
- Do Jaisalmeru, mojego miasta rodzinnego. Nawiasem mówiąc, ty też.

Pociąg dotarł do Jaisalmeru następnego dnia rano. Stacja kolejowa przypominała targ rybny. Rikszarze i taksówkarze wykrzykiwali nazwy hoteli, mężczyźni z plakatami reklamowali wszelkiego rodzaju domy noclegowe, odpędzani przez policję natrętni agenci zaczepiali pasażerów i proponowali tanie safari na wielbłądach i taksówki dżipy.

Ashok zmrużył oczy od słońca i chusteczką otarł sobie pot z czoła. Ostatni tydzień lutego, a powietrze takie suche i gorące, pomyślał.

Można było odnieść wrażenie, że w Jaisalmerze zna każdego.

- *Pao lagu*¹⁷⁷, Shekhawatji - pozdrowił kierownika stacji.
- *Khammaghani*¹⁷⁸, Jaggu - przywitał właściciela jadłodajni na rogu ulicy, który go przyjaźnie objął i zaproponował mu coś zimnego do picia. - To jest moje miasto - pogroził Eketiemu palcem. - Spróbujesz zrobić jakiś numer, a ja za chwilę będę o tym wiedział. Jasne?

¹⁷⁷ *Pao lagu* - dotykam twoich stóp (oznaka szacunku dla starszych).

¹⁷⁸ *Khamma ghani* - pozdrowienie używane w Radzasthanie, odpowiednik *namaste*.

Autochton kiwnął głową.

- Skoro Eketi przysiągł, musi przysięgi dotrzymać. Onge, który złamie przyrzeczenie, sprowadza na siebie gniew *onkobowkwe*. Po śmierci staje się *eeka*, skazany na życie pod ziemią.

- Na pewno nie chcesz takiego strasznego losu - powiedział Ashok.

Wsiedli do rozklekotanej motorikszy, która z hałasem powiozła ich wąskimi ulicami miasta. Eketi przyglądał się rzadko stojącym domom, krowom leżącym gdzieniegdzie na chodniku, kobiecie niosącej na głowie dzban wody. Nagle wrzasnął:

- Stop!
- O co chodzi? - spytał z irytacją Ashok.
- Spójrz! - Eketi pokazał coś palcem przed nimi. Ulicą wlokły się trzy wielbłądy.

- Nigdy ich nie widziałeś, ale to są zupełnie nieszkodliwe zwierzęta - zaśmiał się Ashok i kazał kierowcy jechać dalej.

Po kilku minutach znaleźli się na targowisku. Radżasthanki w jaskrawych czerwono-pomarańczowych *odhni*¹⁷⁹, z mnóstwem bransolet na rękach, tłoczyły się wokół straganów z odzieżą i sprzedawców owoców, mężczyźni z imponującymi podkreślonymi wąsami paradowali w kolorowych turbanach.

¹⁷⁹ *Odhni* - duży woal noszony przez kobiety. Zwykle okrywa głowę i prawe ramię, lewy koniec jest wtedy wetknięty za pas.

I wtedy przez zapyłone gorące powietrze ujrzeni w oddali drżący jak fatamorgana wspaniały fort z żółtego piaskowca. Ze swoimi majestatycznymi wałami obronnymi, delikatnie rzeźbionymi wieżami świątyni i mnóstwem bastionów zalanych miodowym światłem cytadela wyglądała, jakby wyszła wprost ze średniowiecznej baśni.

Eketi przetarł oczy, żeby sprawdzić, czy mu nie płątają figli.

- Co to jest? - spytał Ashoka wylęknionym głosem.
- Fort Jaisalmer. Właśnie do niego jedziemy.

Motoriksza z trudem wspinała się na wzgórze Trikuta, na którego szczycie rozsiadł się złocisty fort. Gdy się do niego zbliżyli, Eketi zobaczył, że bastiony były półwieżami otoczonymi wysokimi wieżyczkami i połączonymi grubym murem.

Do środka fortu wjechali przez gigantyczną bramę, za którą znajdował się brukowany dziedziniec. Od niego odchodziły we wszystkich kierunkach wąskie uliczki. Dziedziniec wypełniały stragany z kolorowymi kołdrami, wyrobami z kamienia, lalkami. Mężczyzna w turbanie

grał na *sarangi*¹⁸⁰, jego podobnie ubrany towarzysz uderzał w *manjira*¹⁸¹, ku zadowoleniu gromady zagranicznych turystów, którzy kręcili się wokół nich i robili zdjęcia.

¹⁸⁰ *Sarangi* - smyczkowy instrument strunowy podobny do skrzypiec.

¹⁸¹ *Manjira* - para małych ręcznych czyneli.

Riksza wjechała głębiej i fort stał się pełnym okazałych domów miastem w mieście. Wiele z owych starych *haveli* szpeciły szyldy, plakaty i przewody elektryczne, lecz kunsztowne rzeźby zdobiące ich boniowane fasady były jak poezja w kamieniu. Tajemnicze, kręte zaułki tętniły życiem. W małych sklepikach można było kupić wszystko, od mydła do gwoździ. Uliczni sprzedawcy owoców siedzieli obok gór jabłek i pomarańczy. Przy akompaniamencie beczenia kóz brodaci krawcy pedałowali na maszynach do szycia. Muzyka dobiegająca z restauracji mieszała się ze śpiewami z pobliskich świątyn Jain. Dzieci stały na dachach i puszczały latawce, na środku drogi krowy coś leniwie żuły.

Minęli rząd krytych strzechą glinianych chałup i Ashok wskazał kierowcy drogę do swego domu rodzinnego, dużego, zaniedbanego piętrowego *haveli* z wielodzielnymi oknami i rzeźbionymi drewnianymi drzwiami nabijanymi żelaznymi ćwiekami. Drzwi były otwarte. Weszli na odkryty dziedziniec.

Z werandy wyszedł chudy, na oko trzynastoletni chłopiec w białej *kurta*.

- *Chachu*¹⁸²! - krzyknął radośnie i podbiegł do Ashoka, który go objął z zaskakującą czułością.

¹⁸² *Chachu* - wujek.

- Ale urosłeś, Rahul! - powiedział.

- Nie widziałeś mnie pięć lat, wujku - odparł chłopiec. - *Bhabhisa*¹⁸³ w domu?

¹⁸³ *Bhabhisa* - żona starszego brata.

- Tak. Jest w kuchni. Zaraz ją zawołam.

- Nie, też chcę jej zrobić niespodziankę.

- Kto to jest? - Chłopiec wskazał Eketiego.
- To służący przywieziony z wyspy. Teraz będzie pracował tutaj.
- Świetnie! Lalit, nasz ostatni służący, uciekł w zeszłym tygodniu.

Ale dlaczego on jest taki czarny?

- Nie widziałeś zdjęć, które ci wysłałem? Tacy są wszyscy autochtoni na Andamanach. Będzie dobrze pracował. Może mu pokażesz pomieszczenia dla służby? - powiedział Ashok i ruszył ku werandzie.

Chłopiec spojrzał podejrzliwie na Eketiego. - Jesteś kanibalem?

- Kto to jest kanibal? - spytał Eketi.
- Człowiek, który zjada innych ludzi. Wujek mówi, że na Andamanach jest pełno kanibali.
- Tacy są tylko Jarawasi, ale nigdy żadnego nie spotkałem.
- Jakbyś spotkał, to by cię tu dzisiaj nie było - zaśmiał się chłopiec.
- Mam na imię Rahul, chodź ze mną.

Poprowadził Eketiego do wyjścia, a potem boczną ścieżką równoległą do domu. Na ścieżce stał nastolatek w kamizelce i szortach, z dużym wilczurem, który zaczął warczeć.

- Cześć, Rahul, kto to jest ten czarnuch? - krzyknął nastolatek i pociągnął za smycz.

- Nasz nowy służący.
- Skąd go wzięliście? Z Afryki?

Rahul nie odpowiedział.

- *Jungli*¹⁸⁴! *Habshi*¹⁸⁵! - krzyknął nastolatek, kiedy go mijali. Pies szarpał się na smyczy.

¹⁸⁴ *Jungli* - ktoś żyjący w dżungli; barbarzyńca.

¹⁸⁵ *Habshi* - Afrykanin; czarnuch (przyp. tłum.).

- Nie przejmuj się Bittu, on zawsze żartuje z innych - powiedział Rahul na pół usprawiedliwiająco.

Pomieszczenia dla służby znajdowały się na tyłach domu. Były to dwa obskurne pokoje bez okien, z łózkami bez materacy, podzielone wspólną toaletą. *Haveli* stał w pobliżu jednego z dziewięćdziesięciu

dziewięciu bastionów fortu i zaraz za pomieszczeniami dla służby był mur z piaskowca, przy którym leżała uwiązana na postronku krowa. Wygrzewała się w słońcu, żuła trawę, od czasu do czasu machała ogonem, żeby odpędzić muchy. Eketi przechylił się przez mur i ujrzał ścianę fortu, a niżej strome skaliste zbocze. W oddali, niczym brązowszary gobelin, rozciągało się miasto Jaisalmer. Przypadkowo rozrzucone prostokątne domy o płaskich dachach wyglądały z tej wysokości jak pudełka zapalek. Blisko horyzontu dostrzegł nawet przypominające zastryglę fale wydmy na pustyni Thar. Powąchał powietrze i się zdziwił, że w pobliżu tego morza piasku nie czuć zapachu wody.

Nagle tuż za plecami usłyszał warczenie. Odwrócił się i zobaczył wykrzywiony wściekłością pysk atakującego go wilczura.

- Bittu, coś ty zrobił! - krzyknął Rahul, ale po Eketim w ogóle nie było widać strachu. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął grzbietu psa, a ten od razu się uspokoił i zaczął mu lizać dłoń i piszczeć z radości.

- Jak to zrobiłeś? - spytał zdumiony Rahul.

- Zwierzęta są naszymi przyjaciółmi - odparł Eketi. - Bać się trzeba *inene*.

- Kto to są *inene*?

- Ludzie jak twój kolega. - Kiwnął głową w stronę Bittu.

W tej samej chwili powietrze przeszył głęboki ryk i zadrżała ziemia. Eketi podniósł głowę i zobaczył dwa odrzutowce kreślące smugi na niebie. Skręciły w lewo i zniknęły w chmurach.

- Samoloty! - wykrzyknął w podnieceniu.

- Nie samoloty, tylko myśliwce odrzutowe - łagodnym głosem poprawił go Rahul. - W Jaisalmerze jest wielka baza lotnicza. Codziennie można zobaczyć przelatujące MiG-i. One mają bomby.

- Widziałem wybuch bomby w Allahabadzie. Zabiła trzydzieści osób.

- Trzydzieści? - powiedział drwiąco Rahul. - Te odrzutowce mają bomby, które mogą w jednej chwili zabić ponad tysiąc ludzi.

Rozległ się świst i przeleciał następny samolot.

- Zrzuci na nas bombę? - spytał z przestraszeniem Eketi.
- Nie - zaśmiał się Rahul. - Chodź już, matka na pewno chce cię zobaczyć.

Salon, nieduży prostokątny pokój, był zagracony starymi meblami z Shekhawati¹⁸⁶ - rzeźbionym ławami, wyściełanymi krzesłami, niskimi taboretami. Bawełniane dywany wydzielały zapach stęchlizny właściwy nieużywanym pomieszczeniom. Nad kominkiem wisiała stara tygrysia skóra ze spreparowaną głową, która miała szklane oczy, sztuczny język i widoczne w otwartym pysku zęby. Na ścianach wisiały fotografie wysokiego, barczystego mężczyzny z wydatną brodą i imponującymi, podkreślonymi na końcach wąsami. Pokój był poświęconym mu sanktuarium. Zdjęcia przedstawiały go w różnych pozach, przeważnie ze strzelbą w rękach.

¹⁸⁶ Shekhawati - historyczny stepowy region na północnym wschodzie Radżasthanu.

- Kto to jest? - spytał Eketi.
- Mój ojciec - powiedział z dumą Rahul. - Najodważniejszy człowiek na świecie. Widzisz skórę na ścianie? Ojciec zabił tego tygrysa gołymi rękami.
- Kiedyś zabiłem gołymi rękami świnie. Gdzie jest teraz twój ojciec?
- W niebie.
- Och! W jaki sposób umarł?

Zanim Rahul zdążył odpowiedzieć, do pokoju weszła jego matka, a za nią Ashok. Gulabo była robiącą wrażenie trzydziestokilkuletnią kobietą o owalnej twarzy, orlim nosie, ciemnych oczach, pięknych brwiach i wąskich wargach. Usta miała wyniosłe wygięte, w jej oczach krył się głęboki smutek.

Była ubrana w białą *kanchi*, długą, luźną bluzkę bez pleców, włożoną na czerwoną plisowaną suknię. Głowę okryła pomarańczowym *odhni*. Nie miała na sobie żadnej biżuterii. Promienie popołudniowego słońca

przefiltrowane przez okienne szybki tworzyły na stiukowych ścianach kunsztowne ornamenty ze światła i cienia. W pewnej chwili oświetliły wyrażającą nieugiętą wolę, surową twarz Gulabo. Tej kobiety nie można było nie traktować poważnie. Usiadła na sofie i przyjrzała się Eketiemu.

- *Tharo naam kain hai?*¹⁸⁷

¹⁸⁷ Jak się nazywasz? (w dialekcie radzasthańskim).

- Lepiej mów w hindi, *bhabhisa* - poradził Ashok. - Powiedz, jak się nazywasz - zwrócił się do Eketiego.

- Jestem Jiba Korwa z Dżharkhandu - powiedział jak automat Eketi.

- Myślałam, że on jest z Andamanów. - Gulabo uniosła brwi.

- Bo jest, *bhabhisa*, ale nikt nie musi o tym wiedzieć. Dlatego dałem mu nowe nazwisko.

- Co potrafisz robić? - spytała Gulabo Eketiego.

- Będzie robił, co mu każesz, *bhabhisa* - wtrącił się Ashok.

- Nie pytam ciebie, *devarsa*¹⁸⁸, tylko jego.

¹⁸⁸ *Devarsa* - młodszy brat męża.

- Co pani zechce - odpowiedział Eketi.

Szczegółowo wyjaśniła mu obowiązki, a potem lekceważącym gestem wskazała jego T-shirt i szorty.

- Co to za śmieszny strój? Od jutra masz się ubierać, jak należy, i nosić turban. Wtedy będziesz przynajmniej wyglądał jak Radzasthańczyk.

Nowy strój Eketiego składał się z zapinanej na guziki białej koszuli, szerokich w biodrach i zwężających się ku kostkom spodni o wysokim pasie i czerwonego turbanu w pomarańczowe cętki, który mu ciasno opinał głowę. Stał przed lustrem i zrobił kilka min.

Kiedy wziął miotłę do rąk, przypomniała mu się wyspa. Tam nie cierpiał domowej harówki, do której go zmuszali pracownicy biura pomocy. Jednak praca na budowie go zmieniła. Teraz miał ręce robotnika, które nie potrafiły być bezczynne, więc zamiatał podłogi, zmywał

naczynia, prasował ubrania, słał łózka. O piątej po południu kończył domowe prace i siadał z Rahulem przed telewizorem. Chłopca interesowały głównie krwawe, brutalne filmy, które dla niego były obrzydliwe. Gdy czasem się zdarzyło, że mógł oglądać telewizję sam, bezustannie zmieniał kanały. Przeskakiwał z Doordarshanu na HBO, z Discovery na National Geographic i chłonał ulotne obrazy z dalekiego świata. Widział pokryte śniegiem góry Szwajcarii i zwierzęta w Afryce, weneckie gondole i egipskie piramidy, ale nie to, na czym mu najbardziej zależało - swą wyspę na Andamanach.

Członkowie rodziny Ashoka byli wegetarianami, a Gulabo dobrze gotowała. Jej potrawy miały charakterystyczny radzasthański smak, były pikantne i pożywne. Chociaż Eketi tęsknił za wieprzowiną i rybami, po pewnym czasie zaczęły mu smakować *dhal*, *bati* i *churma*¹⁸⁹ stanowiące tu podstawę pożywienia. Do *missi rotis*¹⁹⁰ Gulabo nie żałowała klarowanego masła i zawsze pamiętała, żeby do każdego posiłku dać Eketiemu szklankę maślanki. On szczególnie polubił jej desery.

¹⁸⁹ *Dhal* - soczewica, *bati*. - galka upieczona z pszenicznej mąki, *churma* - słodka papka ze zmielonego zboża.

¹⁹⁰ *Missi rotis* - praśne pieczywo z perłowego prosa, kukurydzy i mąki soczewicowej.

Życie w *haveli* toczyło się według ustalonego schematu. Rahul przez pół dnia był w szkole. Ashok większość czasu spędzał w domu, rozmawiając w zamknięciu z Gulabo. Eketi co wieczór stawał pod murem fortu, opierał się o balustradę, patrzył w ciemniejącą dal, przysłuchując się szeptom wiatru wiejącego nad blankami, i zastanawiał się, kiedy Ashok odwiezie go na wyspę.

Któregoś szczególnie gorącego dnia na początku marca, gdy Rahul był w szkole i nic nie zakłócało ciszy sennego popołudnia, Eketi mył podłogę koło drzwi pokoju Gulabo. W środku był z nią Ashok i Eketi usłyszał fragment ich rozmowy.

- Ten autochton to najlepszy służący, jakiego kiedykolwiek miałam. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak pilnie pracował. Nie mógłby tu zostać na stałe?

- On chce wrócić na swoją wyspę, idiota.
- Myślałam, że masz zamiar rzucić pracę.
- Tak, już jej nie potrzebuję. Będę miał dużo pieniędzy.
- Skąd?
- To tajemnica.
- Powiedz coś jeszcze o autochtonie.
- Nie rozmawiajmy o nim, tylko o nas. Wiesz, że cię kocham,

Gulabo.

- Wiem.
- To wyjdź za mnie.
- Najpierw pokaż, że jesteś mężczyzną. Twój brat gołymi rękami zabił tygrysa ludojada. Czego ty dokonałeś?
- Moja miłość nie wystarczy?
- Dla kobiety z Rajputów honor jest ważniejszy niż miłość.
- Nie bądź taka nieczuła.
- Nie bądź takim tchórzem.
- Czy to jest twoja ostateczna odpowiedź?
- Tak, to moja ostateczna odpowiedź.

Trochę później Ashok wyszedł z domu z posępną miną. Wrócił późnym wieczorem.

- Chyba niedługo wyruszysz na swoją wyspę - powiedział Eketiemu. - Właśnie się dowiedziałem, gdzie jest *ingetayi*.
- Gdzie?
- W Delhi, u biznesmena, który się nazywa Vicky Rai. Pakuj się. Jutro tam jedziemy.

Dziesiątego marca rano wysiedli z pociągu na dworcu w New Delhi, Ashok z walizką, Eketi z czarną brezentową torbą, i miejskim autobusem pojechali do Mehrauli.

Autobus mijał najważniejsze miejsca stolicy, a Ashok mówił o nich Eketiemu, jednak jego New Delhi nie ekscytowało. Wiktoriański przepych Connaught Place, okazała India Gate, majestatyczny zespół budynków siedziby prezydenta na Raisina Hill ledwie wzbudziły jego

zainteresowanie. W oczach Eketiego ciągnąca się bez końca metropolia była tylko kolejną bezduszną dżunglą ze szkła i betonu, z takim samym bezładnym ruchem ulicznym i taką samą kakofonią dźwięków jak gdzie indziej.

Wysiedli przed świątynią Bhole Nath w Mehrauli.

- Tutaj się zatrzymamy - powiedział Ashok. - Dzięki uprzejmości pana Singhanii, bardzo bogatego biznesmena, który jest w radzie świątyni.

Kompleks świątynny zrobił na Eketim wrażenie. Jeszcze większe wrażenie wywarł na nim apartament Ashoka, z którego zwykle korzystali odwiedzający to miejsce święci mężowie. Był przestronny i bogato umeblowany, z marmurową podłogą i połączoną armaturą w łazience. Eketi nie miał takich luksusów. Dostał pokój bez łóżka w pustej chacie obok domku sprzątaczk.

Postawił torbę na podłodze. Przez otwarte drzwi napłynął zapach jedzenia i Eketi poczuł się głodny. W sąsiedniej *koli* ktoś robił śniadanie.

Wyszedł na zewnątrz i znalazł się w ogrodzie. Świątynia dopiero budziła się do życia, ale już zauważył kilku wiernych. Na ławce pod pięknym drzewem siedziała samotna dziewczyna. Chociaż była odwrócona plecami, natychmiast wyczuła jego obecność i zaczęła się podnosić.

- Proszę, nie odchódź - powiedział Eketi pośpiesznie.

Usiadła i zakryła twarz dłonią. Między palcami było widać tylko jej czarne oczy.

- Dlaczego chowasz twarz? - spytał.

- Bo nie lubię rozmawiać z ludźmi.

Usiadł obok niej.

- Ja też nie.

Zapadła niezręczna cisza, którą po chwili przerwała dziewczyna.

- Czemu nie odchodzisz jak inni?

- A dlaczego miałbym odejść?

- Bo tak wyglądam. - Odwróciła się nagle w jego stronę i odsunęła dłoń.

Eketi zobaczył, że ma ospowate policzki, a dolną część twarzy szpeci jej zajęcza warga. Zrozumiał jej grę. Chciała go odstraszyć swą brzydota. - I co z tego? - Zaśmiał się głośno.

- Dziwny jesteś. Jak ci na imię?

- Różnie na mnie mówią. Czarnuch, kanibal, sukinsyn...

- Dlaczego?

- Bo się od nich różnię.

- Aha - powiedziała i zamilkła. Światło słoneczne przesączające się przez gęste listowie melonowców okalających ogród upstrzyło go jasnymi plamkami. W pobliże ławki przyfrunął piękny pomarańczowy ptak. Eketi z głębi gardła wydał dźwięk naśladujący gruchanie i ptak wskoczył mu na wyciągniętą rękę. Przytrzymał go i ostrożnie postawił na kolanach dziewczyny.

- To jakaś sztuczka? - zapytała.

- Nie. Ptaki są naszymi przyjaciółmi.

- Skąd jesteś? - zapytała i puściła ptaka.

- Jestem Jiba Korwa z Dżharkhandu.

- Dżharkhand? Czy to nie ten nowy stan gdzieś bardzo daleko?

- Prawdę mówiąc mam do domu jeszcze dalej. Ale to długa historia. Jak ci na imię?

- Champi - odpowiedziała.

- Champi. Ładne imię. Co ono znaczy?

- Nie wiem. To tylko imię.

- W takim razie powinnaś je zmienić na Chilome.

- Dlaczego?

- W naszym języku *chilome* znaczy księżyc. Jesteś piękna jak księżyc.

- *Ja hut*¹⁹¹ - powiedziała Champi i się zaczerwieniła. - Wiesz, jesteś pierwszym nieznanym od roku, który ze mną rozmawia - dodała po chwili.

¹⁹¹ *Ja hut* - daj spokój, a idź ty.

- A ty pierwszą dziewczyną, z jaką rozmawiam, od kiedy wyjechałem z mojej wyspy.

- Z jakiej wyspy?

- *Kujelli!* - Eketi rąbnął się pięścią w głowę. W tym momencie usłyszeli przenikliwy głos:

- Champi! *Beti*¹⁹², śniadanie gotowe!

¹⁹² *Beti* - córka.

- Matka mnie woła - powiedziała Champi i wstała. Szła z wyciągniętą prawą ręką, drogą utrwaloną w mózgu przez bezustanne powtarzanie. Dopiero wtedy Eketi zdał sobie sprawę, że dziewczyna jest ślepa.

Po lunchu Ashok go zabrał, żeby mu pokazać dom Vicky'ego Rai. Szli przez slumsy Sanjay Gandhi, labirynt wąskich, ciemnych uliczek ze skupiskiem małych, nędznych chat z bambusowych tyczek i podartych jutowych worków, z dachami będącymi mozaiką kawałków plandek, plastikowej folii, metalu i starych ubrań - wszystkiego, co mogło wpaść w ręce właścicielom - obciążonych kamieniami, żeby ich nie zwiął wiatr. Grupki mężczyzn w strojach *pathan*¹⁹³ stały beczynnie na ulicy, kobiety siekały warzywa albo napełniały dzbanki wodą z miejskiego kranu. Oblepione kurzem nagie dzieci bawiły się z wyliniałymi psami. Na ziemi leżały sterty śmieci i zwierzęce odchody. W powietrzu unosił się zapach dymu z płonącego drewna i swąd z kuchni opalanych krowim nawozem.

Eketi pociągnął Ashoka za rękaw.

¹⁹³ Strój *pathan* - ubiór pierwotnie kojarzony z Pathanami z Afganistanu, składający się z koszuli do kolan noszonej na luźnym *salvar*.

- Czy w tych budach naprawdę mieszkają ludzie?

Ashok spojrzał na niego ze złością.

- Oczywiście. Nigdy nie byłeś w slumsach?

Eketi wolno pokręcił głową.

- Na naszej wyspie nawet ptaki mają lepsze gniazda.

Number Six stał za wysoką żelazną bramą, prawie naprzeciwko slumsów. Była to dwupiętrowa marmurowa rezydencja górująca nad sąsiedztwem jak symbol drwiny. Za nią, w odległości nie większej niż

kilometr, strzelał w niebo żłobkowany piaskowcowy minaret Qutub Minar.

Żeby się bliżej przyjrzeć domowi, Ashok i Eketi przeszli przez ulicę i stanęli pod rdzawym czterometrowym murem zwieńczonym drutem kolczastym.

- Czy my się w ogóle zdołamy tam dostać? - mruknął autochton. - Nawet Eketi nie potrafi się wspiąć na taki mur.

- Nie martw się, damy sobie radę - zapewnił go Ashok. Minęli bramę, której strzegło sześciu strażników w policyjnych mundurach, i na rogu skręcili ku północnemu krańcowi posiadłości. Po paru minutach dotarli do wejścia służbowego, którego nikt nie pilnował. Ashok pchnął bramę, lecz okazała się zamknięta. Przeszli wzdłuż muru jeszcze pięćset metrów, ale nie znaleźli żadnych wnęk, przerw czy pęknięć, które można by wykorzystać. Dopiero gdy skręcili na tyły posiadłości, Ashok coś zauważył. Była to wpuszczona w mur mała pomalowana na brązowo żelazna furtka, prawdopodobnie wejście dla pieszych. Wyglądała na nieużywaną, gdyż farba się na niej łuszczyła, a brzegi pokrywała rdza. Ashok nacisnął zardzewiałą klamkę, ale furtka nie tylko się nie otworzyła, ale nie ustąpiła nawet na milimetr, z czego wynikało, że jest zablokowana od środka. Cofnął się i rozejrzał. Za sobą miał kępę eukaliptusów, dalej była akacyjowa dżungla. Z powodu kolczastej gęstwiny cały teren za Number Six był niedostępny.

- Gdyby się nam jakoś udało otworzyć tę furtkę... - powiedział smętnie.

- Eketi może wejść za mur i ją otworzyć.
- Jak tam wejdiesz?
- Po tym - Eketi poklepał pień eukaliptusa.
- Ale gałęzie nie sięgają za mur, więc jak to zrobisz?
- Zaraz pokażę - odparł Eketi i zaczął się wspinać na drzewo.

Po kilku sekundach był na czubku. Chwyciwszy się za solidną gałąź, zgął ją swym ciężarem w dół, aż się naprężyła jak katapulta. Potem odepchnął się nogami od pnia i poszybował jak strzała w kierunku

sterczącej zza muru gęstej korony *drzewa jamun*¹⁹⁴. Przerażony Ashok patrzył, jak Eketi leci w powietrzu i ląduje na czubku drzewa. Dostać się stamtąd na ziemię to była już dla niego dziecinnie sztuczka. Minutę później zardzewiała żelazna furtka skrzypnęła i się otworzyła.

¹⁹⁴ *Jamun* - wiecznie zielone drzewo tropikalne z rodziny mirtowatych występujące naturalnie w Indiach, Pakistanie i Indonezji.

- Wiesz, że jesteś szalony, prawda? - Ashok pokręcił głową i wszedł za mur. Nie zważając na liczne zadrapania i skaleczenia, autochton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Zrobiwszy kilka pierwszych kroków na terenie Number Six, Ashok wpadł w łagodną euforię. Nie mógł uwierzyć, że już w parę godzin po przyjeździe do Delhi znalazł się wewnątrz posiadłości. Nagle usłyszał plusk wody i pomruk kosiarki. W odległości około trzydziestu metrów dostrzegł ogrodnika koszącego trawę. Już się miał ukryć za najbliższym drzewem, gdy zdał sobie sprawę, że dzięki panującej wokół nich naturalnej leśnej ciemności nikt stojący na trawniku nie może go zobaczyć, za to on wyraźnie widzi prawie wszystko. Gdy ogrodnik poszedł dalej, Ashok pokazał Eketiemu widoczną w oddali dwupiętrową rezydencję, basen o wymiarach olimpijskich, altanę i niewielką świątynię w rogu trawnika.

- Tam jest *ingetayi*. Jestem pewien - powiedział Eketiemu.
- To idźmy i go zabierzmy.
- Ty się chyba przez te pięć miesięcy niczego nie nauczyłeś. Nie widziałeś ogrodnika? A w domu jest jeszcze dwudziestu innych służących i ochroniarzy. Od razu by nas złapali.
- To zrobmy to w nocy, pod osłoną ciemności.
- Widzisz te słupy rozmieszczone w równych odstępach na trawniku? Na nich są silne reflektory. Założę się, że w nocy będzie tu jasno jak w dzień.
- W takim razie jak to zrobimy?
- Cierpliwości. Coś wymyślę.

Przez kwadrans penetrowali zadrzewiony teren i natknęli się na dwa wspaniałe pawie i sztuczny wodospad. Woda spływała kaskadami z

kilku dużych bloków skalnych do wąskiego kanału, który biegł wzdłuż brukowanej ścieżki prowadzącej do garaży i bramy wjazdowej. Ashok poszedł ostrożnie w stronę garaży, dokładnie się rozejrzył i szybko wrócił do Eketiego.

- Mam plan - powiedział podniecony. - Zapamiętaj położenie tych dwóch garaży.

Opuścili posiadłość przez furtkę w murze i wrócili do świątyni.

Champi znowu siedziała na ławce w ogrodzie na tyłach. Czuła, że przyciąga go jak magnes. Kiedy usiadł obok niej, uśmiechnęła się.

- O, wróciłeś.

- Siedzisz tu bez przerwy? - zapytał.

- Lubię to miejsce - odpowiedziała. - Tu jest spokój. Wszyscy wolą ogród z frontu.

- Nie wiedziałem, że jesteś niewidoma. Twoje oczy wyglądają jak oczy wszystkich innych. Jak to się stało?

- Taka się urodziłam.

- To musi być bardzo przykre nie widzieć ludzi, z którymi się rozmawia.

- Przyzwyczyłam się do kompletnych ciemności.

- Może Nokai znajdzie lekarstwo na twoją ślepotę.

- Kto to jest Nokai?

- Nasz *torale*, szaman.

- Naprawdę może sprawić, że będę widziała?

- Oprócz przywrócenia zmarłego do życia może zrobić wszystko.

- Więc zabierzesz mnie do niego? Do Dźharkhandu?

- On nie mieszka w Dźharkhandzie. Mieszka na wyspie.

- Co to za wyspa, o której ciągle mówisz?

Eketi ściszył głos.

- Powiem ci, jak obiecasz, że zachowasz to w sekrecie.

- Przysięgam na Allacha. Obiecuję. - Champi uszczypnęła się w szyję.

- Nie jestem Jiba Korwa z Dżharkhandu, tylko Eketi Onge z Gaubolambe - powiedział konspiracyjnym szeptem.

- Gdzie to jest?

- Na Małym Andamanie.

- A to gdzie?

- Na środku oceanu. Płynie się tam wielkim statkiem.

- To dlaczego tu przyjechałeś?

- Żeby odebrać święty kamień, który nam ukradziono.

- A jak go już będziesz miał, to co zrobisz?

- Wrócę na swoją wyspę.

- Och! - powiedziała Champi i zamilkła.

- Początkowo chciałem zostać - ciągnął Eketi. - Myślałem, że rozpocznę tu nowe życie, znajdę żonę. Jednak chcę wrócić. Tutejsi ludzie zachowują się, jakby byli panami świata, a mnie traktują, jakbym był zwierzęciem.

- Ja tak nie myślę - powiedziała Champi.

- Bo nie możesz mnie zobaczyć. Nie jestem jak wy. Jestem inny. Za każdym razem, jak ktoś mnie nazywa czarnuchem, mam ochotę zapaść się pod ziemię. Czuję się, jakbym popełnił przestępstwo. Ale moja skóra jest, jaka jest. Nic na to nie poradzę.

- Masz rację. Tak jak ja nic nie mogę zrobić ze swoją twarzą. To jest wola Boga. - Champi podniosła prawą rękę i palcem wskazującym przejechała mu wolno po twarzy, zapamiętując każdy zakamarek, każde zaokrąglenie, każde wklęsnięcie. - Teraz cię widzę.

Eketi zadrżał od jej dotyku.

- Masz męża? - Spojrzał w jej niewidzące oczy.

- Też pytanie! - Champi zachichotała. - Oczywiście, że nie.

- A ja nie mam żony. Pojedziesz ze mną na wyspę?

- I co tam będę miała?

- Mnóstwo ryb i owoców. Żadnych kłopotów. I nie będziesz musiała pracować!

- Z przyjemnością odwiedzę kiedyś twoją wyspę, ale nie teraz.

- Dlaczego?
- Tu mam rodzinę. Matkę i Munnę. Miałabym ich zostawić?
- Masz rację. Ja też ciągle myślę o ojcu i matce.
- Ale musisz porozmawiać o mnie z Nokai.
- Porozmawiam. A skoro nie możesz pojechać ze mną do Nokai, wyślę Nokai do ciebie.

- Jak to?
- Nokai potrafi wyfrunąć z ciała i polecieć, dokąd zechce.
- *Ja hut!* Mówisz jak Aladyn z serialu telewizyjnego.
- Poważnie, przysięgam na Pulugę. Nokai nawet mnie tej sztuczki nauczył, ale jeszcze jej nie wypróbowałem.

- Opowiadasz! - Champi się zaśmiała i poszła do domu.

Eketi już jej tego dnia nie zobaczył, ale miał ją przed oczami, czuł jej sprawiającą radość obecność, która nadała jego krokom sprężystość, wywołała marzenia. W nocy położył się na kamiennej podłodze, wyjął z torby bryłkę czerwonej gliny, zmieszał ją ze świńskim sadłem i zaczął malować palcem na ścianie delikatny wzór. Ashok rozpoznałby w nim deseń ślubny.

Cztery dni później Ashok Rajput nerwowo przemierzał swój pokój gościnny. Był podniecony plotką usłyszaną w pobliskiej herbaciarni. Dwudziestego trzeciego marca, za tydzień, Vicky Rai miał wydać wielkie przyjęcie. Ashok był przekonany, że lepsza okazja się nie nadarzy. Muszę tylko wytłumaczyć Eketiemu kilka podstawowych rzeczy o elektryczności, pomyślał. Jego plan powoli nabierał kształtu.

Po południu do domku Eketiego weszło bez pytania dwóch mężczyzn - rudy czterdziestolatek z niechlujną brodą i młodszy, atletycznie zbudowany, z nastroszoną czarną czupryną. Byli ubrani w bure koszule i spodnie, obaj mieli przewieszzone przez ramię identyczne jutowe torby.

- Słyszeliśmy, że jesteś z Dźharkhandu. Czy to prawda? - zapytał starszy.

- Tak - odpowiedział trochę przestraszony Eketi. - Jestem Jiba Korwa z Dżharkhandu.

- Witaj, towarzyszu Jiba. Jestem towarzysz Babuli, a to jest towarzysz Uday. - Eketi nerwowo miał w rękach czapkę. - Należymy do Maoistowskiego Centrum Rewolucyjnego, w skrócie MCR, najbardziej postępowego rewolucyjnego ugrupowania w kraju. Słyszałeś o nas?

- Nie.

- Jak można być z Dżharkhandu i nie słyszeć o MCR? Jesteśmy największą organizacją naksalitowską w całym regionie. Walczymy o przebudzenie takich ludzi jak ty.

- Ale ja już jestem przebudzony!

- Ty to nazywasz przebudzeniem? Ha! Waszym życiem sterują bogaci imperialiści. Pracujecie dla nich za psie pieniądze. Zabierają wam ziemię, gwałcą wasze kobiety. My to wszystko zmienimy.

- Tak jest - włączył się młodszy. - Zniszczymy to zepsute, puste, burżuazyjne społeczeństwo i jego instytucje i zastąpimy je kompletnie nową strukturą. Stworzymy nowe Indie. Chcemy, żebyś nam w tym pomógł.

- Ja? Jak?

- Uczestnicząc w naszej zbrojnej rewolucji.

- Więc przyszlście, żeby mi zaproponować pracę?

- Towarzyszu Jiba, nie jesteśmy rządowym ministerstwem. Nie proponujemy ci pracy. Proponujemy sposób życia. Szansę, by być bohaterem.

- Co będę musiał zrobić?

- Zostać partyzantem rewolucjonistą. Wziąć udział w naszej ludowej wojnie. Nawet damy ci pistolet.

- Nie lubię pistoletów. - Eketi pokręcił głową. - Zabijają ludzi.

- Zrozum, towarzyszu Jiba - zniecierpliwił się towarzysz Babuli. - Walczymy o to, żebyś miał lepsze życie. Powiedz, na czym ci w życiu najbardziej zależy?

- Żeby mieć żonę.

- Żonę? - Towarzysz Uday spojrział na Eketiego piorunującym wzrokiem, jakby ten popełnił herezję. - To my się tu staramy propagować rewolucję, a ty nie potrafisz myśleć o niczym innym, tylko o jakiejś cholernej żonie?

Starszy towarzysz próbował sprawę załagodzić.

- W porządku, towarzyszu Jiba, rozumiemy twoje potrzeby. Mamy w organizacji dużo dziewcząt. Same młode rewolucjonistki. Znajdziemy ci żonę. W tej chwili chcemy tylko, żebyś rozważył naszą propozycję. Zostawimy ci trochę literatury. Zajrzyj do niej. Niedługo skontaktuje się z tobą jeden z naszych. Towarzyszu Uday... - Dał znak młodszemu koledze.

Towarzysz Uday sięgnął do jutowej torby i wręczył Eketiemu gruby plik ulotek.

Eketi dotknął papieru. Był przyjemnie gładki, jak folder z biura podróży w Varanasi, ale wydrukowano na nim przerażające zdjęcia odciętych głów i ludzi w kajdanach.

- Nie podobają mi się te zdjęcia. - Wzdrygnął się. - Będę miał od nich złe sny.

Towarzysz Babuli westchnął.

- Czyżby tu nikt nie wierzył w naszą sprawę? Jesteś dziesiątą osobą, która nam dzisiaj odmówiła. Myśleliśmy, że skoro jesteś z Dźharkhandu, przynajmniej ty nas wesprzesz.

Towarzysz Uday nie był jednak skłonny przyznać się do porażki.

- Słuchaj, czarny draniu - warknął. - Albo się dogadamy, albo pożałujesz. W dystrykcie Gumla właśnie zabiliśmy stu policjantów. Jeśli nie będziesz z nami współpracował, przyjdziemy do twojej wsi i załatwimy ci wszystkich członków rodziny, co do jednego. Jasne?

Eketi kiwnął głową ze strachem.

- Więc przemyśl naszą propozycję. Skontaktujemy się z tobą za dwa tygodnie. Jasne?

Eketi jeszcze raz kiwnął głową.

- Dobrze. I jeszcze jedna rada. - Towarzysz Babuli ściszył głos. - Lepiej nikomu nie mów o naszych odwiedzinach.

- Bo inaczej twoja rodzina... - Towarzysz Uday wykonał gest podrzynania gardła.

- Czerwony salut - powiedział towarzysz Babuli, podniósł zaciśniętą pięść i wyszedł.

- Czerwony salut - powiedział towarzysz Uday i wznosił dłoń z palcami rozwartymi w kształt litery V.

- *Kujelli!* - powiedział Eketi i zamknął drzwi. Postanowił, że nikomu o tych dziwnych gościach nie powie.

Nadal codziennie spotykał się z Champi. Siadali na ławce, Eketi opowiadał zabawne historie o wyspie, a Champi się śmiała jak nigdy przedtem. Najczęściej jednak spędzali czas w milczeniu, ciesząc się łączącą ich więzią duchową. Ich przyjaźń nie wymagała słów.

Dwudziestego marca wieczorem Ashok wezwał Eketiego do siebie.

- Mam plan, jak wynieść stamtąd święty kamień. Słuchaj uważnie. Za trzy dni u Vicky'ego Rai będzie przyjęcie. Wtedy wykonasz swoje zadanie.

- Co Eketi ma zrobić?

- Mam dla ciebie eleganckie czarne spodnie i białą koszulę. Ubierzesz się w nie i około dziesiątej wieczorem wejdiesz przez boczną furtkę na teren posiadłości. Przez mniej więcej godzinę pokręcisz się po zalesionej części ogrodu, obserwując, czy wszystko jest w porządku. Dokładnie o wpół do dwunastej pójdziesz do garaży, które ci pokazałem.

- Nie złapią mnie?

- Wątpię. Będzie tam tyle gości, kucharzy i kelnerów, że najpewniej nikt cię nie zauważy. Gdyby jednak ktoś cię zaczepił, powiesz, że jesteś kierowcą pana Sharma.

- Kto to jest pan Sharma?

- Nieważne. To bardzo popularne nazwisko, więc na przyjęciu na pewno się znajdzie jakiś pan Sharma. Na ścianie między garażami jest tablica rozdzielcza. Wyjmiesz z niej bezpiecznik. Cała posiadłość zostanie wtedy pozbawiona prądu i przez co najmniej trzy albo cztery minuty wszędzie będzie ciemno. Wtedy pobiegiesz do świątyni, zabierzesz *ingetayi* i wyjdiesz przez furtkę. To wszystko. Myślisz, że sobie poradzisz?

- Nie. Eketi nic nie wie o bezpiecznikach.

- Spokojnie. Pokażę ci, jak to zrobić. Chodź - powiedział Ashok i poprowadził Eketiego na tyły świątyni, gdzie na bocznej ścianie wisiała szara metalowa szafka z tablicą rozdzielczą. Ashok otworzył szafkę i Eketi zobaczył rzędy błyszczących wyłączników.

- Musisz zrobić tak - Ashok pokazał pierwszy bezpiecznik - złapiesz tę białą rzecz i ją wyjmiesz.

Eketi ostrożnie dotknął bezpiecznika.

- Nie bój się, prąd cię nie porazi. No, ciągnij.

Eketi wyjął bezpiecznik i wszystkie światła w świątyni nagle zgasły.

- Proszę bardzo - zaśmiał się Ashok. Wyjął Eketiemu bezpiecznik z ręki i wcisnął go na miejsce, przywracając dopływ prądu.

- Czy Eketi może spróbować jeszcze raz? - spytał autochton i szarpnął bezpiecznik. Klasnął w ręce, gdy świątynia znowu się pograżała w ciemności, i włożył go z powrotem.

- To nie jest zabawa, głupku - skarcił go Ashok.

Kiedy wrócili do pokoju Ashoka, Eketiemu przyszła do głowy jeszcze jedna wątpliwość.

- Eketi ma wyjąć bezpiecznik o wpół do dwunastej. Skąd będzie wiedział, że jest wpół do dwunastej? My nie mamy zegarków.

- Ale ja mam - powiedział Ashok i wyjął z walizki mały budzik. - Już jest nastawiony na wpół do dwunastej. Kiedy zaczniesz dzwonić, będziesz wiedział, że pora zacząć. Weź go.

Autochton schował budzik do kieszeni.

- Gdzie będziesz, kiedy Eketi będzie w lesie? Na przyjęciu?

- Tutaj, w tym pokoju. Będę czekał, aż wrócisz z kamieniem.

- Co? Posyłasz tam Eketiego samego?
- Tak. To twój święty kamień, twoja inicjacja. Całe zadanie wykonujesz zupełnie sam. Jeśli ktoś zapyta, nie znasz mnie ani ja nie znam ciebie. Obiecuj, że jeśli coś się nie uda i cię złapią, nie podasz mojego nazwiska.

- Eketi przysięga na duchy przodków. A ty obiecujesz, że wyślesz Eketiego z powrotem na wyspę, jak przyniesie *ingetayi*?

- Oczywiście. Osobiście cię odwiozę.

Autochton dotknął palcami brody.

- Czy Eketi będzie mógł kogoś ze sobą zabrać?

- Zabrać? Kogo?

- Champi.

- Tę ślełą kalekę?

- Ona nie jest ślepa. To wy jesteście ślepi.

- Nie widzisz, że ona jest najbrzydsza w całym mieście?

- Jest lepsza niż wy wszyscy razem. Eketi chce się z nią ożenić.

- Poważnie? Wiesz, jak ludzie będą mówić na taką parę? Państwo Dziwołagowie! - powiedział Ashok i zaczął się śmiać. Przestał, gdy zobaczył w oczach Eketiego dziwne ostrzegawcze błyski. Tego wieczoru w autochtonie było coś tajemniczego, mrocznego i Ashok postanowił poprawić mu humor. - Dobrze. Kupię dla niej bilet. Teraz idź spać. Dwudziesty trzeci marca już za trzy dni, a ty masz zadanie do wykonania.

Ta noc była magiczna, nierzeczywista. Eketi leżał na podłodze i myślał o Champi i o wyspie. Zastanawiał się, czy po powrocie na Gaubolambe nie zostać szamanem. Wszystko zależało od tego, czy Nokai ma lekarstwo na ślepotę Champi. Gdyby nie miał, Eketi musiałby znaleźć je sam.

Nagle usłyszał chrzęst liści pod czyimiś stopami i zaczął nasłuchiwać. Chwilę później z sąsiedniego domu dobiegły go niewyraźne głosy. Coś się tam musiało dziać.

I wtedy rozległ się przeszywający krzyk. Od razu wiedział, że to

Champi. Jak szalony rzucił się do wyjścia i z hukiem wpadł do jej domu tylnymi drzwiami. Pokój wyglądał jak po huraganie. Materac był wywrócony do góry nogami, brat Champi Munna i jej matka leżeli bez ruchu na podłodze. Champi, w zielonym *salwar kameez*, młóciła rękami powietrze, próbując się obronić przed niskim mężczyzną w błyszczącej kremowej koszuli. Z boku stał drugi, w czarnych spodniach, wysoki i umięśniony, i patrzył.

Rycząc dziko, Eketi rzucił się na pomoc Champi. Chwycił napastnika za szyję, uniósł go nad ziemię i zacisnął dłonie, aż tamtemu oczy zaczęły wychodzić z orbit. Jego towarzysz jednym ruchem ręki otworzył nóż rampurski¹⁹⁵ i zaczął nim wymachiwać w powietrzu. Eketi rzucił niskiego na drewniany stół, który się rozpadł na kawałki, i z wargami wykrzywionymi wściekłością ruszył ku wysokiemu, jakby nóż w jego ręce był tępym kawałkiem drewna. Mężczyzna ciął zajadle i na podkoszulku Eketiego pojawiła się cienka krwawa kreska, jednak to go nie powstrzymało. Nie zważając na ranę, wytrącił tamtemu nóż z ręki i otworzył usta, ukazując idealnie białe zęby, po czym zatopił je w ramieniu przeciwnika. Mężczyzna wrzasnął z bólu, a niski, sapiąc i rżąc, stanął na nogach i rąbnął Eketiego głową w plecy. Eketi stracił na chwilę równowagę, lecz napastnicy, zamiast to wykorzystać, rzucili się do ucieczki, nim zdążył się podnieść z podłogi.

¹⁹⁵ Nóż rampurski (*Jtampuri knife*) - mający złą sławę hinduski nóż grawitacyjny [czyli otwierający się pod ciężarem ostrza lub wskutek wyrzutu ręki (przyp. tłum.)] mający ostrze o długości od dwudziestu do trzydziestu centymetrów.

Wziął na ręce wciąż skuloną ze strachu Champi i wyszedł z nią w chłód nocy. Usiadł na ławce pod drzewem *gulmohar* i szeptał jej uspokajające słowa, a ona tuliła się do niego i drżała jak liść.

- Zabierz mnie stąd, Eketi. Chcę z tobą pojechać. Chcę za ciebie wyjść. Nie chcę tu dłużej być - szlochała.

- Cii.... nic nie mów.

- Wszystko jedno, czy Nokai mnie wyleczy, czy nie. Chcę żyć z tobą na wyspie. Już zawsze.

- Zabiorę cię. Za dwa dni. A tymczasem noś to. - Rozwiązał czarny sznurek, zdjął z szyi kość i zawiesił ją na szyi Champi. - Od tej chwili Puluga nie pozwoli ci zrobić krzywdy.

- A co będzie z tobą?

- Nie martw się. Ochroni mnie *ingetayi*. Niedługo go zabiorę.

- Skąd?

- Z domu należącego do człowieka, który się nazywa Vicky Rai.

13.

PLAN KOPCIUSZEK

8 sierpnia

Posłałam Bholę do Patny po Ram Dulari, mojego sobowtóra, i nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę.

9 sierpnia

Dziś Rosie Mascarenhas poinformowała media, że „Celebrity House”, klon „Big Brothera”, zaprosił mnie do udziału w następnej edycji, która się zaczyna za sześć miesięcy. Nalegała, żebym się zgodziła.

- Widziałaś, jak nabrała rozmachu kariera Shilpy Shetty, kiedy wygrała w „Big Brotherze”. Teraz pije herbatkę z królową Anglii, spotyka się z premierami, dostaje doktoraty honoris causa. Mówi się nawet, że będzie o niej film biograficzny.

- Moja kariera nie potrzebuje nowego impulsu.

- Jednak więcej zainteresowania nam nie zaszkodzi. Każda aktorka w Bollywood marzy o tym, żeby się dostać do „Celebrity House”, a tobie podają to na talerzu. Scenariusz wygląda całkiem dobrze. Chcą, żebyś się wdała w wielką awanturę z inną uczestniczką, a potem się obraziła i odeszła. Będziesz tam tylko tydzień, za to publicity wystarczy na miesiące.

- Ale czy to przypadkiem nie ma być program reality? - spytałam.
- Ma być - odparła moja rzeczniczka z zażenowaniem. - Dlatego nikt się o niczym nie dowie.

- Czyż życie nie jest tysiąc razy za krótkie, żebyśmy się sami skazywali na nudę? - powiedziałam i kazałam jej odrzucić propozycję.

Reality TV okrzyknięto wielką nadzieją ery cyfrowej. Nowy gatunek przedstawiający rzeczywistych ludzi w rzeczywistych sytuacjach, śmiejących się naprawdę i roniących prawdziwe łzy. Jednak padł on ofiarą pokusy spreparowania programu, zdegenerował się, przerodził w farsę według scenariusza sterowaną spoza kadru, której uczestnicy udają, że płaczą, i pozorują napady złości, żeby tylko wycisnąć ze zblazowanych widzów choć odrobinę zainteresowania. Lecz czy można potępiać widzów? Dziś każde widowisko jest wcześniej przygotowane. Nawet wojna. Nic dziwnego, że również śmierć już nas nie porusza.

Dlatego czekam na Ram Dulari z zapartym tchem. W świecie, w którym wszystko jest zmanipulowane i przewidywalne, być może jedynie ona potrafi mnie zaskoczyć.

10 sierpnia

Dziś przyjechała z Patny Ram Dulari.

Bhola, która ją przywiózł pociągiem, był oszołomiony. Powiedział, że musiał się szczytać, żeby nie myśleć, że to ja. Ochroniarz na dole ją pozdrowił, bo ją wziął za mnie wracającą z planu.

Podobieństwo jest faktycznie uderzające. Ona jest szczupła, ma trochę węższe biodra, ale wzrost identyczny jak ja: sto sześćdziesiąt trzy centymetry. Czułam się, jakbym patrzyła w lustro.

Tylko raz miałam podwójną rolę - grałam bliźniaczki jednojajowe - ale stojąc przed Ram Dulari, nie widziałam, czy to sztuka naśladuje życie, czy życie naśladuje sztukę. Oto byliśmy razem, w jednym kadrze:

Seeta i Geeta, Anju i Manju, Ram i Shyam¹⁹⁶. Moją bliźniaczkę mogłam uderzyć, pociągnąć za włosy, wziąć za rękę, mogłam jej uszminkować usta - bez potrzeby stosowania efektów specjalnych.

¹⁹⁶ Są to imiona postaci ze znanych indyjskich filmów o bliźniaczkach jednojajowych.

Biedaczka cała drżała. Nie wiedziałam, czy ze zmęczenia, czy ze strachu. Przyjechała w podartym zielonym sari, pewnie tym samym, w którym była na fotografiach, a za cały dobytek miała zniszczoną jasnobrązową walizkę, bez wątpienia z podobnymi łachami w środku. Zaprowadziłam ją do wolnej małej sypialni przylegającej do mojej, dałam jej kilka swoich starych sari i powiedziałam, że zostanie ze mną. Na widok luksusowego wyposażenia pokoju zrobiła wielkie oczy, upadła mi do stóp i rozplakała się z wdzięczności.

Wieczorem niespodziewanie przyszła do mojej sypialni, usiadła na dywanie i zaczęła mi masować nogi. Powiedziałam, że to zbytęczne, ale nie posłuchała. Rozcierała mi stopy przez godzinę, aż w końcu musiałam kazać jej przestać. Wtedy zaczęła myć posadzkę w łazience.

Kiedy trochę później poszłam z kolacją do jej pokoju, spała zwinęta w kłębek na podłodze. Na widok jej po dziecięcemu niewinnej postaci wezbrało we mnie jakieś trudne do określenia uczucie, czulość połączona z litością. Siadłam koło niej na dywanie, delikatnie pogłaskałam jej włosy - wróciłam do zakurzonych uliczek Azamgarhu, do kojącej niewinności własnego dzieciństwa.

Zastanawiam się, co z nią zrobić.

12 sierpnia

Wciąż nie wiedziałam, co zrobić z Ram Dulari, gdy problem rozwiązał się sam. Shanti Bai, od trzech lat moja bramińska kucharka, zaszła w ciążę i bez uprzedzenia rzuciła pracę. Ram Dulari bez trudu

natychmiast ją zastąpiła. Na lunch zrobiła mi trochę *kadhi*¹⁹⁷ i *sooji ka halwa*. Jadłam te prawie zapomniane potrawy z przyjemnością. Były pyszne i przypomniały mi kuchnię mojej mamy, prawdziwy smak Uttar Pradeś i Bihar.

Ram Dulari jest wegetarianką jak ja. Wygląda na to, że miałam szczęście, że na nią trafiłam.

¹⁹⁷ *Kadhi* - kwaskowa potrawa z soczewicowej mąki i jogurtu.

24 sierpnia

Minęły dwa tygodnie, od kiedy Ram Dulari się u mnie zjawiła, i jestem nią kompletnie oczarowana. Aż trudno uwierzyć, że są jeszcze tacy ludzie na świecie. Nie tylko świetnie gotuje, ale jest bardzo pracowita, oddana, uczciwa, przywiązana do tradycyjnych wartości wierności i obowiązków. Jednak martwi mnie jej wielka naiwność i ślepe zaufanie do każdego. Miasto ją poźre.

Bardzo mi przypomina moją młodszą siostrę Sapnę. Nic dla niej nie mogę zrobić, ale przynajmniej mogę coś zrobić dla Ram Dulari. Jest sierotą; zostanie jej przybraną siostrą.

26 sierpnia

Długo myślałam nad tym, co bym mogła zrobić dla Ram Dulari, i podjęłam decyzję. Przemienię tę niezręczną wiejską piękność w czarującą, wyrafinowaną kobietę. Nigdy się nie stanie Shabnam Saxena, ale może chociaż mówić i ruszać się jak ja. Wtedy znajdę dla niej stosownego pana młodego, wyprawię jej wspaniałe wesele.

Wiem, że to nie lada wyzwanie. Ona jest tylko niewykształconą wiejską dziewczyną. Można w niej jednak dostrzec pewną nieśmiałą wytworność. Ostatecznie jest jasnoskórą braminką, a nie ordynarną babą z niskiej kasty. Jeśli się o nią odpowiednio zadba, wszystko można zmienić. Głos ma ostry, trochę ochrypły. Jeśli poćwiczy, może mieć

aksamitny, melodyjny. Jest nieobyta, niewyrobiona. Mając dobry przykład, nabierze ogłady.

Dla swojego zadania przekształcenia młodej naiwnej w damę znalazłam doskonałą nazwę - Plan Kopciuszek.

27 sierpnia

Zawołałam Ram Dulari do sypialni i powiedziałam jej o swoim planie.

- Mam zamiar zmienić cię w nową osobę. Spójrz na mnie. Daję ci szansę, żebyś się stała taka jak ja. Co o tym myślisz?

- Ale po co, *didi*¹⁹⁸? W jaki sposób służąca może się stać jak jej pani? Tak nie powinno być. Wystarczy mi, że jestem, jaka jestem.

- Ale mnie nie wystarczy - skrzywiłam się. - Jestem twoją panią, więc musisz mnie słuchać.

- *Ji*¹⁹⁹, *didi* - skłoniła głowę. - Zrobię, co każesz.

- Dobrze. W takim razie zaczynamy jutro.

¹⁹⁸ *Didi* - starsza siostra.

¹⁹⁹ *Ji* - tak.

28 sierpnia

Dzisiaj się rozpoczął pierwszy etap transformacji.

Zacęłam od włosów. Obciąłam Ram Dulari jej długie, czarne loki i zastąpiłam je czymś, co moja chińska fryzjerka Lori nazwałaby naturalną, lekko niedbałą fryzurą do ramion dla brunetki.

Potem dałam jej obcisłą różową sukienkę, tę, którą noszę w filmie „International Moll”, i kazałam iść do łazienki i się przebrać. To jest jeden z moich najseksowniejszych strojów, z gorsetem, przodem sznurowanym wstążkami, rozcięciami na udach.

Kiedy minął kwadrans, a Ram Dulari się nie pokazywała, zapukałam, weszłam do łazienki i omal nie umarłam ze śmiechu. Próbowала włożyć sukienkę na bluzkę i halkę. Kosztowało mnie dużo wysiłku, żeby

zrozumiała, że wążiutkie ramiączka, głęboko wycięty przód i odkryte plecy oznaczają, że pod spodem nie może mieć nawet stanika.

- No to zdejmuj to wszystko. - Pstryknęłam palcami.

Zdjęła bluzkę i spuściła oczy. Pokazałam jej gestem, że kolej na stanik. Kiedy go rozpiniała, drżała na całym ciele. Był to jeden z tych tan-detnych staników za dziesięć rupii, które sprzedają na chodnikach. Starała się zakryć nagie piersi, ale pociągnęłam jej ręce w dół.

Piersi ma duże i jędrne, sutki brązowe i sterczące, z małymi ob-wódkami. Rozmiar chyba 36C.

- Teraz zdejmij halkę.

Rozpłakała się.

- Proszę, nie każ mi tego robić, *didi* - błagała.

Zaczęłam sobie zdawać sprawę, że to dziwna sytuacja. Dla kogoś patrzącego z zewnątrz byłaby to scena jak z filmu o lesbijkach. Ustąpi-łam.

- Dobrze, w porządku. Nie musisz nosić zachodnich strojów.

Ram Dulari chwyciła sari i bluzkę i pobiegła do swojej sypialni, jakby ją ktoś przed chwilą zgwałcił. Słyszałam jej stłumiony płacz.

Nie miałam wątpliwości, że jest dziewicą. Pierwszy raz się przed kimś rozebrała, pozbywszy się na chwilę zahamowań tylko ze względu na bezwarunkowe posłuszeństwo wobec mnie.

Co ja zrobiłam? Po co wyrwałam to niewinne dziewczę z wioski? Po co je sprowadziłam pod złe niebo wielkiego miasta?

Ale popatrzmy na to z drugiej strony. Ram Dulari to dziewiczy teren - umysł jeszcze nierozbudzony, ciało nietknięte. Tabula rasa czekająca, żebym ją zapisała według własnego uznania. Może to zrobić matka z córką - ukształtować jej umysł i ciało na swoje podobieństwo - ale mo-zolnie, przez dziesięć, dwanaście lat. Plan Kopciuszek przewiduje na to zaledwie dziesięć miesięcy.

Nawet jeśli etap pierwszy skończył się totalną katastrofą, nie wszystko stracone. Po prostu przyjęłam niewłaściwą kolejność. Zanim przekształcę ciało Ram Dulari, muszę zmienić jej umysł.

30 sierpnia

Rozpoczęłam od podstaw angielskiego. Dzięki Bogu ona ma za sobą trochę nauki, więc nie musiałam zaczynać od R-A-T i C-A-T. Od razu przeszłam do budowy zdania, składni, gramatyki.

Jest pilną, dociekliwą uczennicą, ma intuicję.

- Uważam, że jesteś bardzo zdolna - pochwaliłam ją. - Codziennie siądziemy sobie na godzinę i będziesz ćwiczyła pod moim kierunkiem. A teraz powiedz jakieś pełne zdanie po angielsku, jakie ci przyjdzie do głowy.

- Ja lubię uczyć się angielski - powiedziała z wahaniem, a ja kłaśniełam w ręce.

Wygląda na to, że etap drugi może się zakończyć sukcesem.

14 września

W „Filmfanie” uważają, że jestem próżna. Zacytuję tę wredną Devyani, która przeprowadziła ze mną wywiad do ostatniego wydania: „Shabnam jest zakochana we własnej urodzie, olśniona swą jasną, brzoskwińową cerą”. I co w tym złego? Jestem piękna, wiem o tym i świat to potwierdza. Cała ta gadanina o pięknym kobiecym wnętrzu to bujda na resorach, którą pewnie wymyśliła jakaś szara mysz, żeby odwrócić uwagę od własnej brzydoty. Zapytajcie zwykłą kobietę, jak się czuje w środku. Żaden wewnętrzny blask nie ogrzeje serca ciemnej dziewczyny, która znosi trudy życia jedynie dzięki temu, co jej obiecuje krem marki Fair and Lovely.

23 września

Ram Dulari przeczytała dziś całe opowiadanie, trzy pełne strony. Hura!

11 października

Wpływy ze sprzedaży biletów na „Hello, Partner”, mój ostatni film z udziałem wielu gwiazd, są kiepskie. Jak twierdzi „Trade Guide”, obraz pewnie pójdzie niedługo w zapomnienie. Nie czuję się z tego powodu specjalnie nieszczęśliwa. To miała być szansa dla Rabii, kolejnej pozabawionej talentu aktorskiej córki, a reżyserował okropny palant, który teraz ponosi koszty usunięcia moich trzech najważniejszych scen podczas ostatecznego montażu.

Za to Plan Kopciuszek idzie jak z płatka. Ram Dulari zna już angielski na tyle, że potrafi odbierać telefony.

Czuję, że trafiłam w dziesiątkę.

25 października

Przyszedł długi list, na kopercie słowa „Bardzo poufne”. Napisany dziecinny charakterem, zaczynał się tak: „Moja najdroższa kochana Shabnam, myślę, że miłość jak nasza zdarza się tak rzadko jak kura z zębami”.

Tak się śmiałam, że wysunął mi się z rąk i wyfrunął przez okno. Szkoda mi było czasu, żeby iść go szukać.

24 listopada

Wiem, że aktorka hollywoodzka, zwłaszcza seksowna, musi zgrzywać idiotkę. Nie powinna straszyć mężczyzn intelektem. Jednak wczoraj w KTV, w durnym programie na temat sławy (wciąż nie rozumiem, czemu Rosie zgodziła się mnie tam wysłać), złamałam tę żelazną zasadę.

Prowadzący, szurkowaty facet w średnim wieku, próbował zaatakować moją kampanię na rzecz PETA²⁰⁰.

200 PETA - People for the Ethical Treatment of Animals - Ludzie za Etycznym Traktowaniem Zwierząt.

- Ludzie jak pani organizują te kampanie tylko dla zdobycia takiego rozgłosu. Sama sprawa w gruncie rzeczy ich nie obchodzi albo nic o niej nie wiedzą - oświadczył. A potem ni stąd, ni zowąd zapytał: - Słyszała pani o Guantanamo?

- Tak. To więzienie wojskowe gdzieś w USA.

- Nieprawda. Na południowo-wschodnim krańcu Kuby. To dowód na to, że mam rację. Wy bezmózgie słodkie idiotki z Bollywood nic nie wiecie o aktualnych sprawach. Obchodzi was tylko moda i nowe fryzury.

Nie mogłam znieść jego protekcyjnego, aroganckiego tonu, choć się domyślałam, że stara się mnie sprowokować. Więc na niego napadłam.

- Ciekawe, czy szanowny pan wie, jaki film zdobył w tym roku Złotą Palmę w Cannes.

- Eee... nie - odpowiedział, nie spodziewając się riposty.

- Czy mam więc wyciągnąć z tego wnioski, że wszyscy prowadzący to zadowoleni z siebie egocentryczni idioci, którzy nic nie wiedzą o kulturze?

- Co ma piernik do wiatraka? - zaprotestował. - My korzystamy z naszych umiejętności, wy tylko z pięknych twarzy.

- Gdyby tak było, każda dziewczyna z rozkładówki w „Playboyu” powinna trafić do Hollywood - odparowałam. - Kino czei nie urodę, tylko talent. - Następnie przystąpiłam do przepytywania go z filozofii Martina Heideggera (o którym nie słyszał), poezji Osipa Mandelsztama (o którym też nie słyszał), powieści Bernarda Malamuda (jak wyżej) i filmów Kima Kiduka (ditto). Kiedy skończyłam się nad nim znęcać, dupek chętnie by się schował w mysią dziurę.

Rosie nie była zachwycona.

- Możesz się spodziewać, że „Stardust” nada ci teraz przezwisko dr Shabnam - powiedziała z ponurą miną i się wzdygnęła.

Czy to nie dziwne, że dowód uznania w sferach akademickich jest w kolorowych czasopismach obelgą?

Dziś jestem w Lucknow, mieście, gdzie spędziłam trzy najlepsze lata życia. Przyjechałam z zespołem muzycznym Annu Sira, żeby wziąć udział w występie charytatywnym na rzecz fundacji opiekującej się dziećmi ulicy.

Kiedy sześć lat temu przyjechałam do Lucknow pierwszy raz, prosto z Azamgarhu, stolica Uttar Pradeś wydała mi się najwspanialszym miastem na świecie. Miała świetne księgarnie, urocze targowiska, piękne parki, a przede wszystkim atmosferę elegancji i kultury. Zakochałam się w lucknowskich *adab i tehzeeb*²⁰¹, które były miłą odmianą po wsiowym grubiaństwie Azamgarhu. Od tamtej pory noszę w pamięci miłe wspomnienie dekadentckiego wdzięku tego miasta.

²⁰¹ *Adab i tehzeeb* - kulturalny wykwint; uprzejmość i dobre maniery.

Dziś patrzę na Lucknow przez pryzmat swoich podróży po świecie. Nawet w porównaniu z Bombajem wydaje się ono tylko trochę lepszą prowincją, biedną i zaniedbaną jak całe Indie małych miasteczek. Jednak w moim sercu zawsze będzie zajmowało specjalne miejsce. To miasto mnie uformowało. Azamgarh był cmentarzem moich ambicji, Lucknow kolebką moich marzeń. Tutaj nauczyłam się wierzyć w siebie, mieć aspiracje, wysoko mierzyć.

Sala widowiskowa Natya Kala Mandir pękała w szwach. Kiedy konferansjer zapowiedział mnie jako ukształtowaną w Lucknow córkę Uttar Pradeś, na widowni podniósł się ryk. Jakaś dziewczyna złapała mnie za rękę i nie chciała puścić, inna na mój widok zemdlała. Przypomniałam sobie wieczór w Lucknow przed laty, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Mathuri Dixit²⁰², i jak mnie poraziła jej niezemska uroda.

²⁰² Mathuri Dixit - aktorka, bardzo sławna w latach dziewięćdziesiątych, słynąca z urody i umiejętności tanecznych.

Dziś ja byłam Mathuri Dixit, we mnie były wpatrzone wszystkie oczy. Sala podziwiała mój taniec, ale ja byłam zdenerwowana, nie mogłam się skupić. Przez cały występ wracałam spojrzeniem do pierwszych rzędów i szukałam znajomych twarzy, nasłuchiwałam znajomych głosów. Z Azamgarhu do Lucknow było przecież tylko dwieście dwadzieścia kilometrów, dlatego miałam nadzieję, że zauważę ojca albo matkę, albo Sapnę, która mogła usłyszeć o moim występie i przyjechać, żeby mnie zobaczyć. W morzu twarzy nie było jednak żadnej z dawnych lat, widziałam tylko takie same lubieżne uśmiechy i pełne żądzы oczy, jakie oglądałam na całym świecie, od Agry po Amsterdam.

Tego wieczoru zwróciłam miastu dług. Nie przypuszczam, żebym tam kiedyś wróciła.

31 grudnia

Dziś, w ostatnim dniu roku, Rosie przyniosła mi plik listów od jakiegoś nieudacznika, który się nazywa Larry Page. Od października wysyła do mnie pięć listów tygodniowo. Co ciekawe, jest Amerykaninem (tak przynajmniej utrzymuje).

Facetowi całkiem odbiło. Twierdzi, że pisałam do niego, udając jakąś Sapnę Singh, i że mu nawet obiecałam małżeństwo. Nie pojmuję, dlaczego sławna aktorka miałaby się zakochać w takim głupku. Biedak wyznaje mi miłość zdaniem w rodzaju: „Dla ciebie przeszedłbym w benzynowych majtkach przez piekło”.

Próbuje mnie też pouczać. Oto przykład: „Jak ci życie daje cytryny, rób lemoniadę”. Inna perełka: „Życie jest jak kanapka z gównem - tym mniej musisz go zjeść, im więcej masz chleba”.

Ale mówiąc poważnie, Rosie się boi, że ten facet to psychol i że kto wie, czy nie będę musiała udać się do sądu, żeby zakazał panu Larry'emu Page'owi zbliżania się do mnie. Na razie poleciłam Bahadurowi²⁰³, żeby się dokładnie przyglądał wszystkim gościom.

²⁰³ Nepalscy Gurkhowie pracujący jako ochroniarze są często nazywani Bahadur, Odważny.

Każdy choć trochę przypominający Amerykanina ma być natychmiast odstawiony na posterunek policji. Bholi powiem, żeby sprawdził, czy ten świr nie figuruje w policyjnych kartotekach. Taka jest cena sławy!

7 stycznia

Ram Dulari dowiodła swoich zdolności. Mówi po angielsku jak wygadana przewodniczka wycieczek. Nożem i widelcem posługuje się z finezją dostojnej matrony. Potrafi robić piruety w piętnastocentymetrowych szpilkach i jeść *chop suey* pałeczkami.

Spodziewałam się, że Plan Kopciuszek zrealizujemy w dziesięć miesięcy. Ram Dulari wykonała go celująco w pięć.

Trzeba to uczcić.

13 stycznia

Katastrofa. Kiedy po długiej, relaksującej kąpieli wychodziłam z wanny, poślizgnęłam się i mocno skręciłam nogę w kostce. Nie ma mowy o chodzeniu, nawet kuśtykać nie mogę.

Ram Dulari od rana smaruje mi lewą nogę balsamem i przykładają gorące kompresy, żeby zmniejszyć opuchliznę. Doktor Gupte mówi, że leczenie potrwa co najmniej dziesięć dni. Na szczęście produkcja, do której zostałam zaangażowana dziesiątego stycznia, została na razie wstrzymana, więc nie muszę niczego odwoływać, ale na premierze mojego najnowszego filmu „Love in Canada”, która ma się odbyć jutro w Imaksie, nie będę. Producentem jest Deepak Hirani, mój sponsor, którego darzę ogromnym szacunkiem, i nieobecność odtwórczyni głównej roli kobiecej sprawi mu wielką przykrość. Gdyby nie to, że aktorka absolutnie nie może się pokazać z opatrunkiem, zawlokłabym się do Wadali²⁰⁴ bez względu na wszystko.

²⁰⁴ Wadala - rejon Bombaju, w którym znajduje się kino IMAX.

Już miałam dzwonić do pana Deepaka, żeby się usprawiedliwić i przeprosić, gdy powstrzymał mnie Bhola.

- Mam pomysł, *didi*.
- Jaki?
- Wyślijmy na premierę Ram Dulari.
- Co to da?
- Wyślijmy ją za ciebie, jako Shabnam Saxenę.

Spojrzałam na Bholę, jak patrzę na producentów, którzy próbują po swojemu interpretować moją klauzulę „bez nagości”.

- Kompletnie zwariowałaś? Jak Ram Dulari może zostać mną?
- Pomyśl chwilę, *didi*. Wygląda jak ty. Ten sam wzrost, ta sama budowa, ten sam kolor skóry. Założę się, że kiedy się umaluje i ubierze w twoje rzeczy, nikt nie zauważy różnicy.
- Ale wszyscy wiedzą, że jest tylko kucharką.
- Kto wie, *didi*? Nikt. Ram Dulari nigdy nie wychodzi z domu. Nawet ochroniarz jej nie widział. - Miał rację. Rzeczywiście trzymaliśmy Ram Dulari w czterech ścianach niczym rodzinną tajemnicę. - Mówię ci, *didi*, że to świetny plan. Na premierę pojedzie Ram Dulari, ale wszyscy będą myśleli, że to ty. Ekipa będzie zadowolona. Pan Deepak będzie zadowolony. Nikt się o niczym nie dowie.

Bhola mówił przekonująco, ale ja się nie czułam przekonana.

- Skąd ta pewność?
- Bo ja z nią pojedę, *didi*, i będę przy niej cały czas. Niewiele musi robić. Żeby uniknąć fanów, wejdziemy od tyłu. Pokaże się na scenie, zapali lampkę i popozuje z ekipą do zdjęć. Po filmie wyjdziemy tą samą drogą.
- A jak ją ktoś o coś zapyta?
- Nawet nie otworzy ust. Będę wszystkim mówił, że cię boli gardło. To się musi udać, *didi*.

Nadal miałam wątpliwości.

- A jeśli się nie uda? Jeśli będzie wpadka? Jeśli Salman albo Akshay²⁰⁵ dowie się, że ona jest tylko sobowtórem?

²⁰⁵ Salman Khan i Akshay Kumar - bardzo popularni aktorzy hollywoodzcy.

- Wtedy udamy, że to chwyt reklamowy. Film tylko zyska większy rozgłos, a pan Deepak na pewno nie będzie niezadowolony.

To było szaleństwo, ale dałam się wciągnąć.

- No dobrze - westchnęłam. - Zgoda. Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Muszę to wszystko zobaczyć na wideo.

- Załatwione. Dostaniesz taśmę.

14 stycznia

Była świetna. Nie zrobiłabym tego lepiej. Śmiała się, kiedy się powinna śmiać, zapaliła lampkę z odpowiednią dozą czci, pozowała nieruchoma jak głaz, ani drgnęła, gdy flesze błyskały jej prosto w twarz, podawała rękę z powściągliwością księżniczki i przyjmowała obecność bollywoodzkich gwiazd wokół siebie z zimną krwią takiej samej gwiazdy.

Chwała Bogu, Ram Dulari nie widziała żadnego hinduskiego filmu. Każda inna w zasięgu pocałunku Salmana albo Akshaya natychmiast zaczęłaby mdleć. Jej oni nie onieśmielali. To ona jest gwiazdą. Wykreowaną przez Plan Kopciuszek.

Na premierze był też Azim Bhai, szef dublerów. Miałam ochotę do niego zadzwonić i powiedzieć, że takiego wyczynu dublerskiego jeszcze nie widział. Nawet kamerzysta niczego nie zauważył!

16 stycznia

Bhola zrobił się jak tygrys, który spróbował krwi. Dziś przyszedł z inną szokującą propozycją. B.R. Virmani, potentat tekstylny, poprosił mnie, żebym została ambasadorem marki dla nowego modelu džinsów wprowadzanych na rynek przez jego firmę. Zaproponował mi pół miliona rupii za pokazanie się przez pięć minut na otwarciu butiku Liquid Jeans w piątek, za dwa dni.

- PR-owcem Virmaniego jest Rakesh Dattani. Bardzo dobrze się znamy. Powiedział mi w zaufaniu, że jeśli się nie zgodzisz, zaproponują to Priyance, twojej głównej konkurentce. Tego byśmy chyba nie chcieli, prawda?

- Ale przecież ja nie mogę, mam na nodze opatrunek.

- Nieprawda, *didi*, możesz. - Mrugnął i wskazał Ram Dulari.

- To szaleństwo. Jak miałyby sobie poradzić z tymi wszystkimi fanami, którzy się wepchną do sklepu?

- Bardzo łatwo. Powiemy Virmaniemu, żeby wzmocnił ochronę i nie pozwolił fanom się zbliżyć.

- A nie będzie musiała czegoś powiedzieć, kiedy przetnie wstęgę?

- Tak, trzy krótkie zdania. Ram Dulami. - Kiwnął ręką w jej stronę.

- Cieszę się, że tu jestem. Bardzo lubię Liquid Jeans. Wy je też polubicie - wyrecytowała. Stała sztywno jak manekin, ale dykcję miała całkiem dobrą.

- Więc wszystko już jest przygotowane. Razem spiskujecie za moimi plecami - poskarżyłam się.

- Nie, *didi*, nie obwiniaj Ram Dulari. Powiedziałem jej, że ją uczę według twoich zaleceń - przyznał się Bholi ze skruczą. - Jeśli nie chcesz, żeby tam poszła, to nie pójdzcie. Twoje zaufanie jest dla nas warte dużo więcej niż pięćset tysięcy rupii.

Ustąpiłam.

- Niech idzie. Możemy wykorzystać te pieniądze na jej wesele. Ale pamiętajcie o taśmie.

18 stycznia

Dziś wieczorem obejrzałam wideo. Ram Dulari znów wypadła świetnie. W sklepie znajdowało się co najmniej trzysta osób, przeważali studenci. Ubrana w dzinsy, przyjęła oznaki podziwu, okrzyki, oklaski jak konferansjer w cyrku, i niczym modelka na wybiegu ruszyła posuwistym

krokiem ku podium. Zauważyłam, że kiedy ją poproszono o kilka słów, na moment się zawahała, lekko zadrżała, ale się nie zająknęła. Jej głos był uderzająco podobny do mojego. Przecięła wstęgę z wprawą zawodowego polityka i w sali rozległy się ogłuszające oklaski.

Widząc masową histerię, jaką wywołała Ram Dulari, musiałam sama sobie przypomnieć, że Shabnam Saxena to ja, a ona jest tylko uzurpatorką. Liczyłam się ja, ona była podróbką.

Jedynę potknięcie zdarzyło się jej wtedy, gdy nagle przez ochronę przedarła się gromada nastolatków. „Proszę o autograf, Shabnamji!”, piszczwały i podtykały jej pod nos notatniki i skrawki papieru. Ram Dulari na moment zamarła i kamera uchwyciła jej minę. To było zakłopotanie połączone z dezorientacją, jak u uczennicy, która nie zna odpowiedzi na pytanie nauczyciela. W tej samej chwili Bholā chwycił ją za rękę i pociągnął do wyjścia, wywołując krzyki moich zawiedzionych fanek.

20 stycznia

- Co to jest autograf, *didi*? - spytała mnie Ram Dulari, kiedy jadłam lunch.

- To broń, którą zapomniałam umieścić w twoim arsenale - przyznałam.

- Nauczysz mnie, jak się robi autograf?

Pokazałam jej więc, jak ma pisać swoje imię, a potem moje - zawijasy w „S”, prawie symetryczne „habna” i mały ozdobnik na końcu „m”. Uczyła się bardzo szybko i jeszcze tego samego dnia składała ćwiczebne podpisy tak zgrabnie, że kusilo mnie, żeby jej powierzyć podpisywanie odpowiedzi przygotowywanych przez Rosie Mascarenhas.

- Dlaczego każesz mi udawać ciebie, *didi*?- zapytała, kiedy już miałam zamiar iść spać.

- To zabawa, Ram Dulari, tylko zabawa - odpowiedziałam ze znużeniem.

Przez sekundę miałam wrażenie, że dostrzegam u niej nowy wyraz twarzy - niezadowolenie połączone z urazą, ale potem się uśmiechnęła i wyszła z mojej sypialni.

21 stycznia

Moja kostka już prawie wyleczona. Doktor Gupte mówi, że nie powinnam zdejmować opatrunku jeszcze przez trzy dni. To znaczy, że ominie mnie również Wieczór Nagród Cine Blitz, gdzie za rolę w filmie „A Woman's Revenge” mam dostać nagrodę dla najlepszej aktorki grającej negatywną postać.

Tym razem sama postanowiłam posłać tam Ram Dulari. To będzie ostateczny sprawdzian. Jeśli sobie z tym poradzi, poradzi sobie ze wszystkim.

Osobiście ją nauczę, co ma mówić i robić, a potem wszystko zobaczę w telewizji, bo wieczór nagród jest transmitowany na żywo.

24 stycznia

Usadawiłam się na łóżku i włączyłam plazmowy telewizor. Rozpoczęła się transmisja. Pokazywali, jak do Adheri Sports Complex przyjeżdżają gwiazdy, wysiadają z samochodów i pozują przed kamerami.

Pięć minut później pojawił się mój srebrny mercedes E500 i wysiadła z niego Ram Dulari w białym sari obszytym na brzegach cekinami. Rozległ się ryk tłumu.

Siedziałam jak zaczarowana i patrzyłam, jak idę dumnie po czerwonym dywanie. Kiedy machnęłam ręką i tysiące fanów zaczęły wyśpiewywać moje imię, dostałam gęsiej skórki. Oślepiąca przez flesze, uśmiechałam się do skierowanych na mnie obiektywów.

Ram Dulari dała bezbłędne przedstawienie. Bez najmniejszego zdenerwowania stanęła przed dwudziestoma tysiącami rozkrzyczanych fanów. Patrząc, jak odbiera moją nagrodę, byłam dumna, jak Michał

Anioł musiał być dumny z Dawida, Leonardo da Vinci z Mony Lizy, Nabokow z Lolity. To było podniecenie artysty, który widzi, jak jego dzieło nabiera życia. Lecz ja czułam się podniecona bardziej niż jakikolwiek malarz czy pisarz, ponieważ moje dzieło było czymś znacznie więcej niż jałową kolekcją słów albo kolorowych plam na płótnie. To było ciało, nie martwy marmur - myśląca, oddychająca, poruszająca się protoplazma. Przepelnione witalnością, umiejętnością życia, do których daży wszelka sztuka, lecz których nigdy nie zdoła powielić.

- Widać, kto jest największą gwiazdą - powiedziała spikerka, gdy kamera pokazała tysiące fanów krzyczących „Shabnam, Shabnam”.

- Mamy rok Shabnam Saxeny, która wygląda młodziej i piękniej niż kiedykolwiek - ciągnęła. - Dowiodła swej wszechstronności, zdobywszy nagrodę dla najlepszej aktorki grającej negatywną postać. Z pewnością sięgnie po następne laury i podbije jeszcze więcej serc. - Gdy Ram Dulari złożyła autograf na piersi nastolatka w T-shircie z nadrukiem „I ♥ Shabbo”, fanów ogarnął szal, a obraz na ekranie na chwilę zastęgl w stop-klatce.

Mistrz powiedział: „Doświadczenie jako pragnienie doświadczenia się nie zużywa. Nie wolno nam się analizować, gdy czegoś doświadczamy”. Patrząc na siebie zatrzymaną w kadrze, zrozumiałam, co miał na myśli.

Niespodziewanie zostałam uwolniona od maski sławnej osoby, tej maski, „która się wżera w twarz”. Po raz pierwszy mogłam się obserwować bez psychologicznego ciężaru obserwowania się. Rozkoszowałam się oglądaniem swej popularności niejako z zewnątrz. To było przeżycie szczególnego rodzaju, jak wrażenie opuszczenia własnego ciała bez opuszczania ciała.

Tego wieczoru Ram Dulari wyzwoliła Shabnam Saxenę.

Ram Dulari i Bhola wrócili o pierwszej.

- Dobrze się spisałaś, Ram Dulari, ani jednego fałszywego kroku. Byłaś doskonała. Jestem z ciebie dumna. - Posłałam jej promienny uśmiech.

Wlepiała we mnie oczy.

- Kiedy mnie nauczysz aktorstwa, *didi*? - zapytała.

Nie wierzyłam własnym uszom. Zwariowała? Natychmiast przybrałam wyraz twarzy rozzłoszczonej nauczycielki, którego używam, gdy mam do czynienia z fanami nieznanymi umiaru.

- To, że wyglądasz jak ja, nie znaczy, że możesz grać jak ja, Ram Dulari - powiedziałam tonem, który by zmroził płomień.

- Ale ja mogę, *didi*. O, posłuchaj tego - powiedziała i bez zająknięcia wyrecytowała jedną z moich kwestii z „International Moll”.

Musiała spędzać całe godziny na oglądaniu moich filmów na wideo, bo to był brawurowy występ. Dykcja bezbłędna. Uczucia dokładnie tyle, ile trzeba. Byłaby z niej cholernie dobra aktorka, pomyślałam. Serce ścisnęła mi zazdrość.

- Dość już zabawy na dzisiaj. Teraz idź i namocz na jutro *rajma*²⁰⁶.
²⁰⁶ *Rajma* - czerwona fasola.

Kiedy wyszła, spojrzałam ze złością na Bhołę.

- *Bas*. Wystarczy. Ram Dulari więcej nie będzie mnie udawać. Myślę, że te wszystkie zachwyty uderzyły jej do głowy.

- Tak, *didi* - zgodził się potulnie. - Koniec publicznych występów.

Uznałam, że trzeba przypomnieć Ram Dulari, gdzie jest jej miejsce. Była tylko kucharką, Kopciuszką została na moje życzenie. Miłe chwile Kopciuszka skończyły się, gdy wybiła północ. Z Ram Dulari nie może być inaczej.

Gdy piszę te słowa, zastanawiam się, co powinnam z nią zrobić. Ona jest zabawką, którą sobie stworzyłam dla rozrywki. Co się robi z zabawką, kiedy się znudzi? Gdzie można wyrzucić myślącą, oddychającą, poruszającą się masę protoplazmy?

Spróbowałam sobie przypomnieć, co Geppetto zrobił z Pinokiem, i wtedy sobie uświadomiłam, że w oryginalnej wersji Pinokio umiera makabryczną śmiercią - powieszony za swe niezliczone winy.

15 lutego

Dzisiaj kręciliśmy w Mehboob Studios ujęcia do jeszcze niezatytułowanej produkcji Srirama Raghavana. Nikt się nie mógł skoncentrować. Coś było w powietrzu. Pomyślałam, że wszyscy czekają na wyrok w sprawie Vicky'ego Rai.

W przerwie na lunch cała ekipa zebrała się w sali projekcyjnej, gdzie do kabłówki podłączono rzutnik. Kiedy przyszedłam tam z charakteryzatorkami, na wielkim ekranie była wykrzywiona grymasem twarz Barkhi Das.

- Właśnie dostaliśmy wiadomość z sali sądowej. Vicky Rai został uniewinniony z zarzutu zamordowania Ruby Gill - powiedziała.

W studiu zapadła głucha cisza. Wszyscy osłupieli. To było nie do uwierzenia. Przez chwilę nawet dziennikarce brakowało słów.

- Cóż tu można powiedzieć? To jest wyrok wstrząsający, lecz nie całkiem niespodziewany. W Indiach od lat ludzie bogaci i sławni mogą manipulować prawem i bezkarnie mordować. Dziś dołączył do nich Vicky Rai. Przeciężny człowiek może sobie o sprawiedliwości tylko pomarzyć. To smutny dzień nie tylko dla rodziny Ruby Gill, ale dla każdego zwyczajnego Hindusa.

Nigdy nie spotkałam Ruby Gill, ale z jakiegoś powodu ten wyrok nappełnił mnie dziwnym smutkiem. Takim, jaki się czuje, kiedy się słyszy o katastrofie samolotowej w jakimś dalekim kraju.

16 lutego

Jay Chatterjee, właśnie on, wydaje w Athena Bar przyjęcie dla uczczenia uniewinnienia Vicky'ego Rai i przysłał mi zaproszenie. To jest po prostu wstrętne. Nie wiem, co mnie bardziej niepokoi - to, że kogoś cieszy ta parodia sprawiedliwości, czy że artysta, człowiek tak inteligentny jak Jay Chatterjee, może się przyjaźnić z przestępcą. To było odkrycie. Bollywoodzki Steven Spielberg to chyba kolos na glinianych nogach.

Uprzejmie odmówiłam, chociaż doskonale wiem, że to może zmniejszyć moje szanse na rolę w następnym filmie Chatterjeego, tym, do którego wciąż szuka kopii Salima Ilyasiego. Mam jednak swoje zasady.

Mam też niestety ograniczenia. Po południu, w czasie sesji zdjęciowej w Lonavali, podeszła do mnie grupka studentów.

- Wysyłamy do prezydenta Indii petycję z prośbą o rewizję procesu Vicky'ego Rai. Chcemy zebrać dziesięć milionów podpisów. Podpisze pani, Shabnamji?

- Nie - powiedziałam, trochę zawstydzona. - Nie mieszam się do polityki.

- Tu nie chodzi o politykę, proszę pani - powiedział z poważną miną jeden z nich. - Chodzi o sprawiedliwość. Dzisiaj Ruby, jutro to może być pani albo ja.

- Solidaryzuję się z wami, ale nie mogę was oficjalnie poprzeć. Przykro mi - powiedziałam. Przygnębeni studenci odeszli.

Postąpiłam zgodnie z radą mojej sekretarki Rakeshji - nie dać się wciągnąć w żadne krytykowanie władz. Z tego są potem kłopoty, bo władze zawsze mogą się zemścić. Kto by chciał kontroli podatkowej albo zatrzymania paszportu?

Poza tym wątpię, żeby mnie kiedyś spotkał los Ruby Gill. Jak powiedziała Barkha, bogaci i sławni bezkarnie mordują, a nie są mordowani.

17 lutego

Jadę na trzy tygodnie do Australii nakręcić z Hirthikiem trzy sekwencje z piosenkami do filmu pana Mahesha „Metro”. To będzie mój pierwszy pobyt w krainie kangurów i już się nie mogę doczekać, kiedy zobaczą te wszystkie miejsca, o których tyle słyszałam.

Ram Dulari zostanie sama, więc poleciłam Bholi, żeby miał oko na dom i na nią.

20 lutego

Sydney to chyba najwspanialsze miasto. Gdy zobaczyłam Opera House i Harbour Bridge, zaparło mi dech w piersiach. Na plaży Bondi było pewnie więcej opalonych ciał niż na jakiegokolwiek innej na świecie. A Australijczycy to bardzo fajni, weseli ludzie.

Mam tu niezłą zabawę.

Najbardziej mnie bawi widok tych wszystkich niebieskookich australijskich blondynek, które razem ze mną kołyszą biodrami w takt hinduskiej ścieżki dźwiękowej. W Bollywood to prawie obowiązek mieć co najmniej jedną piosenkę z *firang* białymi tancerkami, które kręcą biodrami na życzenie naszych *desi*²⁰⁷ brązowoskórych aktorów. W jednej z piosenek, któreśmy dziś filmowali, blond Australijki musiały pełzać u stóp Hirthika, chodzić za nim na czworakach, sapiąc i dysząc jak suki w rui, błagać go o pocałunek.

Czy to się nazywa kolonializm *à rebours*?

²⁰⁷ *Desi* - miejscowy.

4 marca

Dziś wydarzyło się coś ciekawego. Do mojego apartamentu w hotelu przyszedł siwowłosy mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy. Przedstawił się jako Lucio Lombardi, mówił doskonałą angielszczyzną i twierdził, że kieruje interesami jakiegoś arabskiego księcia, którego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć.

Spytałam, co go sprowadza do Sydney. Powiedział, że księżę widział mnie na zdjęciach, że jest mną oczarowany i że jest gotów zapłacić mi sto tysięcy dolarów za noc spędzoną z nim piętnastego marca, kiedy ma urodziny. Poleciałabym do Londynu jego prywatnym odrzutowcem, spędziła z księciem noc w hotelu Dorchester, a potem tym samym odrzutowcem wróciła szesnastego marca do Bombaju.

Pan Lombardi powiedział to wszystko zwyczajnym tonem, jakby był reżyserem streszczającym aktorce scenariusz. Sprawiał wrażenie człowieka z pieniędzmi i koneksjami, ale nie wziął pod uwagę charakteru indyjskiej diwy.

- Czuję się tą propozycją bardzo dotknięta - powiedziałam ostro. - Co ten pański książę sobie wyobraża, że jestem tanią prostytutką?

W rzeczywistości tylko udawałam urażoną prostactwem Lombardiego. Wiem, że w świadomości mężczyzn zajmuję owo nieokreślone miejsce gdzieś pomiędzy dziwką a żoną. Żonę można uwieść, dziwkę - kupić. Aktorce jak ja można tylko czynić propozycje. I to właśnie zrobił Lombardi.

Włoch nie potrafił uznać słowa „nie” za odpowiedź. Był uparty. Podniósł kwotę do dwustu tysięcy dolarów, potem do trzystu, wreszcie do pół miliona i na zachętę dodał, że połowa byłaby wypłacona natychmiast, w gotówce.

Na koniec wyciągnął asa z rękawa - pokazał mi zdjęcie księcia. Wyobraźnia podsuwała mi obraz brzydkiego kaleki cierpiącego na chorobę weneryczną, lecz zdjęcie przedstawiało rosnącego młodego mężczyznę w luźnej szacie do kostek, jakie noszą Arabowie, i w kratkowanej chuście na głowie. Miał szczupłą, jasną twarz, na której rzucały się w oczy gęste ciemne wąsy.

Musiałam przyznać, że książę był przystojny (choć nieco po kobiecemu), a pół miliona dolarów stanowiło niezłą sumkę. Szybko policzyłam. Lombardi kusił mnie dwudziestoma milionami rupii za jedną noc.

Mam w banku blisko sześćdziesiąt milionów rupii, ale gromadziłam je trzy i pół roku. Teraz zaproponowano mi jedną trzecią tej kwoty za pracę przez jedną noc.

A co znaczy „jedna noc”? W zasadzie dwie rundy seksu (nawet księciu nie starczy sił na trzecią), czyli maksimum dwadzieścia dwie minuty. Z tego wynika, że dostałabym dwadzieścia dwa tysiące siedemset dwadzieścia siedem dolarów za minutę, czyli trzysta siedemdziesiąt

osiem dolarów za sekundę. Jej! W przeliczeniu na sekundy pewnie tylko Mohammad Ali zarabiał więcej, ale on na dodatek schodził z ringu zmaltretowany i posiniaczony. Może nawet by mi się to podobało.

Jednak powiedziałam nie.

Lombardi wyglądał na zmartwionego.

- Robi pani błąd, pani Saxena, nie przyjmując tej hojnej propozycji. Boi się pani plotek? Zapewniam panią, że jesteśmy dyskretni.

- Nie - powiedziałam.

- Więc to jakaś staroświecka moralność? Zna pani włoskie przysłowie „Poniżej pępka nie ma religii ani prawdy”?

- Nie jestem na sprzedaż, panie Lombardi. Może to pan powiedziec swojemu księciu - zakończyłam rozmowę.

Jeśli nawet poniżej pępka nie ma religii ani prawdy, to w głowie jest rozum. Odmówiwszy dziś księciu, tylko zwiększam jego pożądanie. Jestem pewna, że gdy nadejdą jego następne urodziny, zaproponuje mi milion dolarów!

Wtedy to naprawdę będzie „Niemoralna propozycja”²⁰⁸.

Ciekawe, czemu jeszcze nie ma hinduskiej wersji.

²⁰⁸ Chodzi o film z 1993 roku, z Robertem Redfordem i Demi Moore, w którym Redford proponuje Demi Moore milion dolarów za jedną noc.

8 marca

Jak mam zacząć opis najgorszego dnia w życiu?

Czułam, że coś się stało, od momentu gdy o ósmej wieczorem przyjechałam z Singapuru, a Bholi na mnie nie czekał. Był tylko Kundan z mercedesem.

- Gdzie jest Bholi? - zapytałam.

- Nie wiem, proszę pani. Nie widziałem go od tygodnia. To pan Rakesh mi powiedział, żebym przyjechał na lotnisko.

Pół godziny później dotarliśmy na miejsce. W mieszkaniu było ciemno. Zapaliłam światło i zdrętwiałam. Wszędzie był straszny bałagan,

kanapy przewracane, mój piękny kryształowy wazon od Waterforda rozbity. Z salonu rozchodził się smród zepsutego mięsa - na stole stały pudelka z niedokończonym chili z kurczaka i wieprzowiną na kwaśno w otoczeniu cienkich nitek makaronu. W kuchni przywitała mnie piramida brudnych garnków, żelazną patelnię ktoś cisnął w kąt.

Największe spustoszenie zastałam w sypialni. Prześcieradła ściągnięte na podłogę, materac pocięty, szuflady powysuwane, wszystkie *almirah*²⁰⁹ otwarte. Na dywanie gazety, klamry do włosów, ubrania. Toaletka ogołocona, po perfumach i kosmetykach ani śladu. Wpadłam do przyległej garderoby, gdzie był podłogowy sejf. Mogłam to sobie darować. Ciężkie stalowe drzwiczki zostały rozprute palnikiem, w podłodze ziała czarna dziura. Na szczęście większość gotówki i cięższą biżuterię trzymam w banku HSBC, ale i tak straciłam prawie sto tysięcy rupii, około trzech tysięcy dolarów, pięćset funtów i trochę euro, szmaragdowy naszyjnik i zegarek Breitling. Jeszcze boleśniesz było odkrycie, że z szafy ktoś zabrał całą moją kolekcję butów i torebek. Wszystkie blahniki, loubotinsy, balenciagi i choosy zniknęły.

209 Almirah - szafa.

Spojrzałam na pobjowisko w garderobie i zdałam sobie sprawę, że rabusie weszli do mieszkania, po barbarzyńsku je splądrowali, spokojnie zjedli chińską kolację i zabili Bholę i Ram Dulari. Poczulałam się, jakby mnie ktoś rąbnął w żołądek.

Stałam w przyprowadzającej o dreszcze ciszy i próbowałam znaleźć w sobie odwagę, żeby szarpnąć drzwi łazienki i zobaczyć dwa posiniaczone, opuchnięte ciała pływające w karmazynowej wannie. Mojej wannie!

Nie potrafiłam tego zrobić. Wróciłam do sypialni i wzięłam do ręki słuchawkę, żeby zadzwonić na policję. Wtedy zauważyłam przyklejoną do słuchawki karteczkę, a na niej słowa napisane jakby nieco znajomym charakterem: „Zanim zadzwonisz na policję, obejrzyj wideo, które jest w prawej dolnej szufladzie toaletki”.

Rzuciłam się do toaletki i wysunęłam prawą dolną szufladę. Leżała w niej czarna kasetka VHS bez pudełka i bez nalepki. Już sama jej anonimowość sprawiła mi lekkie przerażenie.

Rabusie z jakiegoś powodu nie zabrali nic z elektronicznego wyposażenia mieszkania. Telewizor plazmowy, wieża, odtwarzacze DVD były nienaruszone. Drżącymi rękami włożyłam kasetę do odtwarzacza i włączyłam telewizor. Prawie miałam pewność, że ujrzę trupa Ram Dulari w wannie, ale zobaczyłam coś, czego się zupełnie nie spodziewałam. Owszem, była tam wanna, ale w wannie siedziałam ja, kompletnie naga.

Dwudziestominutowe wideo pokazywało, jak się moczę w wannie, bawię prysznicem, splukując pianę z ciała, robię rzeczy, jakie samotna dziewczyna robi w łazience.

Byłam zaszokowana, że zostałam potajemnie sfilmowana, co gorsza w swoim własnym domu.

Otworzyłam drzwi i zajrzałam do łazienki. W marmurowej wannie nie było trupów. Nieprzyjemną ciszę przerywało tylko miarowe kapanie wody. Spojrzałam na lampy wpuszczone w sufit. Na pierwszy rzut oka wszystkie wyglądały jednakowo, ale w umieszczonej pośrodku, bezpośrednio nad wanną, zauważyłam błysk obiektywu.

Poszłam do sypialni, jeszcze raz przeczytałam wiadomość na karteczce i nagle rozpoznałam charakter pisma. Należał do Bholi. Próbował go zmienić, ale charakterystyczne pochyłe litery „t” nie pozostawiały wątpliwości.

Wszystko stało się jasne. Bholi zainstalował kamery w sypialni i w łazience, prawie przez dziewięć miesięcy mnie potajemnie filmował i ma teraz Bóg wie ile kaset. Korzystając z mojej nieobecności, splądrował mieszkanie w taki sposób, żeby to wyglądało na robotę włamywaczy, a teraz mi groził, że jeśli pójdę na policję, ujawni kasety.

Człowiek, który nazywał mnie siostrą, stał się szantażystą. Obiekt wybrał sobie mądrze. Nikt nie mógł zrozumieć mojego kłopotliwego położenia lepiej ode mnie. Atrakcyjność seksbomby polega na tym, że seks pozostaje w ukryciu. Kobieta w bieliznie jest uważana za bardziej

sexy niż naga; kiedy przyjemne podniecenie przeradza się w pornografię, magia znika. Na koncepcji niewinnego podniecenia opiera się cały indyjski przemysł filmowy. Można pokazać tu trochę dekoltu, tam na moment udo, lecz nigdy nie wszystko na raz. Aktorki bollywoodzkie mogą być seksowne, ale zawsze muszą być przyzwoite.

Wiedziałam, że jeśli kasetka zostanie ujawniona, może mi zniszczyć reputację, spowodować załamanie się kariery, z którego już się mogę nie podnieść. Nie mogłam pójść na policję.

Próbowałam się do Bhola dodzwonić, ale słyszałam tylko „Wybrany numer już nie jest dostępny”. Prawdopodobnie kupił nową komórkę. Mogło go nawet nie być w Indiach.

Jak mogłam popełnić taki błąd, dać pracę zdradzieckiemu wężowi? Ale co się stało, to się nie odstanie. Jak powiada mistrz, zamiast się poddawać poczuciu winy, trzeba sobie powiedzieć, że byłby to po prostu drugi głupi postępek na dodatek do pierwszego.

Nie daje mi spokoju jedno pytanie. Co Bhola zrobił nieszczęsnej Ram Dulari?

12 marca

Od porwania Ram Dulari minęły cztery dni. Myślę, że nie żyje. Podpowiada mi to intuicja. Bhola ją zabił, ciało pociął na drobne kawałki, kawałki wrzucił do worka, worek obciążył kamieniami i utopił w morzu. Teraz Ram Dulari pewnie zajmują się ryby.

Jak się można dowiedzieć od policjantów, jest pewien okres, w którym można liczyć na odnalezienie zaginionego. Kiedy się skończy, szanse gwałtownie maleją. Żal mi rodziców, którzy po miesiącach, a nawet latach wciąż mają nadzieję, że ich porwane dzieci wrócą.

W życiu chodzi o to, żeby iść naprzód, ponosząc jak najmniejsze straty. Jak to robię ja.

Niech Ram Dulari spoczywa w pokoju. Niech Bhola smaży się w piekle.

Spotkałam dzisiaj producenta „Jugsa” Luthrę, hollywoodzkiego króla soft pornu. Ten korpulentny pan, który kiedy mówi, dostaje zadyszki, zrobił jeden za drugim cztery hity.

- To co, Shabnam, zaczynamy kręcić piętnastego kwietnia? - zapytał i sapnął.

- Kręcić co?

- Mój nowy film, „Sexy Number One”.

- Panie Luthra, już pół roku temu mówiłam, że nie mogę zagrać w pańskim filmie. Nie odpowiadają mi te wszystkie sceny z całowaniem i w wannie.

- Ale później zmieniłaś zdanie. Już ci zapłaciłem pięć milionów zaliczki. Gotówką.

- Pięć milionów zaliczki?

- Tak. Twój sekretarz Bhola poinformował mnie w zeszłym miesiącu, że się zgadzasz, i powiedział, że pieniądze musisz mieć natychmiast. Nawet mi podał terminy w kwietniu i maju. Zaczynamy za miesiąc. Poproszę Jatin, żeby porozmawiała z tobą o kostiumach. Jak wiesz, będą odrobinę kuse, ale scenariusz wymaga, żeby pokazać trochę skóry. Zapewniam cię, że wszystkie ujęcia z tobą będą bardzo estetyczne.

Zaczęło mi się kręcić w głowie. Bhola wziął w moim imieniu pięć milionów i wrobił mnie w jakiś podejrzany film klasy B?

- Przykro mi, ale to musi być jakieś nieporozumienie. Nigdy nie upoważniłam Bholi do wyrażenia zgody na pana propozycję. A moje terminy zawsze ustala Rakeshji, nie Bhola.

- Co ty mówisz, Shabnam? Przecież to ty podpisałaś umowę, na podstawie której wypłaciłem zaliczkę.

- Umowę?

- Tak, oto ona. - Otworzył teczkę i podał mi dokument napisany na maszynie. To była moja typowa umowa, z której usunięto klauzulę „bez nagości”. Na końcu był mój podpis i data - 17 stycznia, dzień, kiedy poleciałam do Australii.

Spojrzałam na podpis. Nigdy takiej umowy nie podpisywałam, ale wydawał się prawdziwy. I wtedy zrozumiałam. Bholu kazał ją podpisać Ram Dulari. Skoro potrafiła bezbłędnie składać autografy, równie dobrze mogła podrobić mój podpis pod umową.

- Nie ma mowy, żebym zagrała w pańskim filmie, panie Luthra - powiedziałam twardo.

Producent wpadł w złość.

- W takim razie wytoczę ci proces o złamanie umowy - wysapał.

- Na pewno uda się nam to rozwiązać polubownie. Jestem gotowa oddać panu pieniądze, jeśli pan się zgodzi zniszczyć umowę. A w geście dobrej woli pojawię się w pana filmie gościnnie na dwie minuty, za darmo.

Chwilę pomyślał.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Że oddasz pieniądze już jutro. Całe pięć milionów, w gotówce.

- Obiecuję. Od rano pójdę do banku.

Odetchnęłam, uwolniwszy się od tej umowy. Nie przypuszczałam, że Jugs się tak łatwo zgodzi. Ale on wie, że znajdzie mnóstwo dziewcząt, które chętnie zagrają w *chhote kapde* - małych strojach - to eufemistyczne określenie nagości, na użytek cenzury - za jedną dziesiątą mojej gaży. W przemyśle filmowym pracuje masa nastolatków gotowych się obnażać na każde zawołanie. Ubiorą się we wszystko, co im da producent, zatańczą na rurze tak, że striptizerki w Las Vegas pękłyby z zadości, zgodzą się chodzić na czworakach w cielistych majtkach.

14 marca

Dyrektor banku, elegancki pan, przywitał mnie wyraźnie mniej serdecznie niż zwykle. Poprosiłam, żeby mi wypłacił pięć milionów gotówką. Uśmiechnął się chłodno i powiedział, że tak wysoki debet jest niemożliwy.

- Debet? Skąd debet, jeśli mam w banku tyle pieniędzy?
- Zapomniała pani, Shabnamji, że szesnastego lutego przyszła pani do nas i podjęła wszystko, nawet wkłady terminowe. Powiedziała pani, że się przenosi do innego banku.

- Ale... ale ja tego nie mogłam zrobić. Nie byłam w banku od miesiący.

- Przyszła pani ze swoim sekretarzem panem Bholą Srivastawą. Nie pamięta pani, że siedzieliśmy w tym samym pokoju i tłumaczyłem, że straci pani oprocentowanie wkładów terminowych? Podpisała pani wszystkie formularze i wzięła pieniądze. Potem poszła pani do skarbcza i zabrała wszystkie rzeczy.

Każde jego słowo było jak cios obuchem w łeb. Sześćdziesiąt milionów rupii przepadło. Cała złota biżuteria przepadła. Dwudziestoczworokaratowe monety z Dubaju przepadły. Platynowy wisior przepadł.

- Ja... ja... ja nie wiem, jak... jak to się stało.

Dyrektor popatrzył na mnie ze współczuciem, jak się patrzy na kogoś, komu nieuchronnie grozi pobyt w domu wariatów.

Wróciłam do domu półprzytomna. Powiedziałam Rakeshji, żeby odwołała wszystkie spotkania tego dnia, i padłam na łóżko.

Od ilu jeszcze producentów wziął Bholą pieniądze w moim imieniu? Ilu podał terminy? Popatrzyłam na meble, które udało mi się poustawiać na miejscu. Kiedy dostanę zawiadomienie o eksmisji? Kiedy to wszystko zostanie zlicytowane na poczet moich długów?

Życie to w istocie wojna. Nie mogę beczynnie patrzeć na swoją finansową ruinę, na systematyczne niszczenie mojej kariery. Pójdę na policję i powiem im o Bholi wszystko. Że mnie oszuka!, że mnie okradł, że zmusił Ram Dulari, by mnie udawała, a później prawdopodobnie ją zabił.

Poradzę sobie z kasetą, kiedy wyjdzie na jaw. To oczywiście będzie kłopotliwe, ale mnie nie zniszczy. A co mnie nie niszczy, to mnie wzmacnia.

Postanowiłam złożyć wizytę zastępcy komendanta policji Godbole, ale dopiero osiemnastego marca. Nie pozwolę, żeby perfidia Bholi zepsuła mi urodziny.

17 marca

Skończyłam dwadzieścia trzy lata. Przez cały dzień dzwonili producenci i reżyserzy i życzyli mi wszystkiego najlepszego. Dostałam dziesiątki bukietów; cały dom pachnie różami i liliami.

Rosie Mascarenhas mówi, że zasypuje nas lawina kartek. Do dziś przyszło trzydzieści tysięcy. To nowy rekord.

Wieczorem pan Deepak urządza dla mnie w Sheratonie urodzinową balangę.

Pomimo tej świątecznej atmosfery czuję smutek, bo nikt nie zadzwoni z Azamgarhu. W pierwszym roku pobytu w Bombaju czekałam siedemnastego marca przy telefonie od rana do późnej nocy, czepiałam się nadziei, że zadzwonią tata i mama. Nie zadzwonili. Rodzina odcięła się ode mnie tak dokładnie, że pewnie nawet nie pamiętają, że to dzień moich urodzin.

18 marca

Wieczorem kurier DHL przywiózł przesyłkę. Otworzyłam, w środku była nieduża paczka, starannie zapakowana, owiązana wstążeczką.

Rozerwałam złoty papier i przeżyłam szok. Miałam w ręku kolejną kasetę wideo, czarną, bez pudełka i bez nalepki. Do kasety była przyczepiona karteczka. „Spóźnione wszystkiego najlepszego. Jeśli wciąż myślisz o pójściu na policję, to sobie to obejrzyj”, wykaligrafował Bholi swym pochyłym pismem.

Włożyłam kasetę do odtwarzacza. Spodziewałam się, że zobaczę następny odcinek „Przygód samotnej dziewczyny”, lecz to, co ujrzałam na ekranie, poraziło mnie jak prąd elektryczny.

Kaseta pokazywała, jak na różne sposoby uprawiam seks z jakimś mężczyzną. Jego twarzy nie było widać, ale po jasnej skórze i pękatym brzuchu poznałam, że to Bhola. Materiał był drastyczny. Siedziałam jak sparaliżowana. Nagranie z łazienki wyglądało przy nim jak film Disneya.

Teraz już wiedziałam, że Ram Dulari żyje. Mało tego - wiedziałam, że ochoczo pomaga Bholi we wszystkich przestępstwach. Wciąż jednak nie mogłam pojąć, jak skromna dziewica przeobraziła się w rozszalałą nimfomankę. Jej zdrada bolała mnie najbardziej.

Bhola i Ram Dulari. Co za para! Byli jak współcześni Bonnie i Clyde, jak żywi Bunt i Babli²¹⁰, nieposkromieni, szaleni, kantujący, pierdolący się - zdobywcy sześćdziesięciu milionów rupii - za których ja mam płacić rachunki.

²¹⁰ „Bunt i Babli” - hinduski przebój filmowy z 2005 roku wzorowany na „Bonnie i Clyde”.

Przez długi czas siedziałam na łóżku jak sparaliżowana. Potem zaczęłam się zastanawiać, co mogę zrobić. Na taśmie z łazienki byłam ja, ale tu w roli głównej wystąpiła Ram Dulari. Nie mogłam ponosić odpowiedzialności za czyny swojego sobowtóra. Co by się stało, gdybym poszła na policję? W najgorszym razie nagranie wędrowałoby po świecie jako internetowy wideoklip i w końcu utknęło gdzieś w cyberraju pornomaniaków.

Przypomniały mi się Pamela Anderson i Paris Hilton. Hektary przestrzeni reklamowej za darmo, rekordowa oglądalność. Stałabym się najślawniejszą indyjską aktorką świata, zdobyła pierwsze miejsce za cenę tego jednego paskudnego hitu. A potem, naturalnie, jak gdyby nigdy nic zvaliła wszystko na Ram Dulari!

Nie, nie, nie. To wszystko nieprawda. Co ja wymyśliłam? Tu są Indie. Tu pokazanie pępka uważają za gorszą nagość. Tu kobieta w bikini wywołuje protesty uliczne. I jak bym udowodniła, zwłaszcza po ujawnieniu „autentycznego” nagrania z łazienki, że ta na taśmie to nie ja?

Muszę pomyśleć. Wziąć pod uwagę sąd. Więzienie. Zamieszki wywołane przez Towarzystwo Odnowy Moralnej. Palenie mojej kukły. Zdzieranie plakatów. Bojkot ze strony branży. Koniec kariery.

Cholera!

Myśl, do diabła. MYŚL.

20 marca

Dziś wieczorem o dziewiętej dwadzieścia dostałam telefon, na który czekałam cztery lata.

Podniosłam słuchawkę, telefonistka znudzonym głosem zapytała, czy to Shabnam Saxena.

- Tak, to ja - odpowiedziałam.

- Proszę mówić - powiedziała obojętnym tonem, kompletnie nieświadoma, że właśnie rozmawia z jedną z najbardziej znanych kobiet w Indiach.

- *Beti*, tu mama. Dzwonię z automatu. - Usłyszałam cichy głos matki i serce podskoczyło mi do gardła.

Słyszalność była kiepska, ale od razu wyczułam, że matka nie dzwoni z życzeniami urodzinowymi. To było wołanie o pomoc.

Matka prosiła, żebym natychmiast przyjechała do Azamgarhu.

- Wydarzyła się wielka tragedia. Ojciec jest w szpitalu, walczy o życie. Nie mogę o tym mówić przez telefon. Przyjedź, córko.

- Tak, mam - powiedziałam, łykając łzy. - Już jadę.

21 marca

Wróciłam do Azamgarhu, miasta, gdzie się urodziłam. Z Bombaju do Varanasi poleciałam samolotem, ostatnie dziewięćdziesiąt kilometrów przejechałam taksówką. Żeby nikt mnie nie rozpoznał i nie zaczął, na dżinsy włożyłam *burqa*²¹¹.

²¹¹ *Burqa* - strój noszony przez kobiety w niektórych społecznościach muzułmańskich, okrywający całe ciało.

Lucknow bardzo się zmieniło przez trzy lata, Azamgarh prawie się nie zmienił przez siedem. Jest takim samym zatłoczonym bagnem upstrzonym rozsypującymi się domami i śmierdzącymi slumsami. Jezdnie pełne dziur. Na każdym rogu kupy śmieci. Ścieki przepelnione. Po ulicach swobodnie wałęsają się krowy. W każdym wolnym miejscu plakaty przedstawiające polityków ze złożonymi rękami i przyklejonym do ust uśmiechem.

Kurmitola, gdzie jest dom mojej rodziny, to szkaradzieństwo, w którym można się nabawić klaustrofobii. Wąskie uliczki, dawniej rojące się od rikszy i rowerów, teraz rozbrzmiewają rykiem klaksonów i piskiem opon. Na balkonach malowniczo zrujnowanych domów z trzepotem siadają gołębie. Na zniszczonych billboardach wiszą krzykliwe plakaty filmowe i reklamy poradni seksuologicznych. W wałących się warsztatach pracują zręczni rzemieślnicy w sfatygowanych ubraniach. Na brudnych chodnikach pomarszczeni mężczyźni palą przedpotopowe nargile. Wyglądają jak pozostałość zapomnianego świata.

Bez trudu odnalazłam dom stojący na skraju pustego placu, który dzieci wykorzystywały do gry w futbol i krykieta. Zapukałam do zniszczonych drzwi. Otworzyła postarzała i posiwiiała mama. Objęłyśmy się, uroniłyśmy kilka łez. Zaprosiła mnie na ośmiokątny dziedziniec, gdzie Sapna i ja grywałyśmy kiedyś w klasy, i powiedziała, dlaczego mnie wezwała do Azamgarhu.

Dwa dni wcześniej Sapna została porwana, kiedy wracała ze szkoły. Porywacz zawiózł ją do domu pod miastem, w rejonie Sarai Meer, znanym jako ostoja gangsterów. Tam próbował ją zgwałcić, ale zdołała chwycić jego pistolet i go zastrzeliła.

Wróciła już w kilka godzin po porwaniu, ale tata, usłyszawszy o wszystkim, dostał zawału. Teraz jest w szpitalu, a Sapna ukryła się w domu, ze strachu, że w każdej chwili może przyjść policja i aresztować ją za morderstwo. Zrozpaczona mama zwróciła się do mnie - byłam dla niej ostatnią deską ratunku.

Ścisłałam jej ręce, a ona łamiącym się głosem opowiadała.

- Twoja siostra drżała jak liść. Nie miałam siły spojrzeć w jej pełne bólu oczy. Bezprawie tak się w tym mieście rozpanoszyło, że żadna dziewczyna nie jest bezpieczna. Czego jednak można się spodziewać, gdy sam minister spraw wewnętrznych to znany przestępca? Twój ojciec wciąż jeszcze ci tego nie powie, ale ja uważam, *beti*, że dobrze zrobiłaś, wyjechawszy do Bombaju. Szkoda tylko, że nie wzięłaś ze sobą młodszej siostry. Wtedy by do tego nie doszło.

- Między dobrem a złem jest przypadek, mamó, ani dobry, ani zły, nad którym nie mamy kontroli.

- Masz rację, *beti*. Co ma być, to będzie.

- Gdzie jest Sapna?

- Ukryła się w schowku na walizki i nie chce wyjść. Biedaczka od dwóch dni nic nie jadła. Może ciebie posłucha.

Pamiętałam schowek na walizki jako najbardziej ponure miejsce w domu. Nie miał okien, w środku było ciemno, cicho i pachniało stęchlizną. Kiedy Sapna i ja bawiłyśmy się w chowanego, to była najlepsza kryjówka, ale żadna z nas nie mogła wytrzymać w tym niesamowitym pomieszczeniu dłużej niż dziesięć minut. Teraz Sapna siedziała tam zaszyta od czterdziestu ośmiu godzin.

Pobiegłam na górę i zapukałam w zniszczone drewniane drzwi, z których płatami schodziła farba.

- Sapna, to ja. Otwórz.

Po krótkiej chwili otworzyła i padłyśmy sobie w objęcia. Była wymizerowana, pod oczami miała ciemne kręgi. Przycisnęła mnie mocno, szukając czubkami palców pamiętanych z dzieciństwa wgłębień na moich plecach, a potem wybuchnęła płaczem. Jej wątłym ciałem wstrząsało łkanie. Płakała, dopóki jej nie zabrakło łez. Głaskałam ją po głowie i w milczeniu dzieliłam z nią jej ból.

Za moją namową zjadła posiłek, a później, obie w czarnych *burqa*, poszłyśmy do szpitala odwiedzić tatę.

W sali na OIOM-ie było mroczno i cicho. Na krześle siedziała moja starsza siostra Saria, z tym samym udręczonym wyrazem twarzy, jaki miała, kiedy ją widziałam ostatnio - kobiety nieszczęśliwej w

małżeństwie, z trojgiem niezdolnych dzieci. Uścisnęła mnie serdeczniej, niż się spodziewałam. Nigdy nie byliśmy ze sobą zbyt blisko, ale być może moja sława zmniejszyła dystans.

Tata leżał na metalowym łóżku z zielonym prześcieradłem i oddychał przez rurkę. Wydawało mi się, że zmałał. Wiek pogłębił mu zmarszczki na twarzy i uwypuklił żyły na rękach, choroba jeszcze bardziej je uwidoczniła. Włosy mu się przerzedziły. Pojękiwał przez sen.

W filmach nieraz występowałam w podobnych scenach - dobra córka przy łóżku chorego ojca - ale prawie zapomniałam, jak pachnie lizol w prawdziwym szpitalu. Pisk monitora brzmiał jak sygnał radiowy z kosmosu. Spojrzałam na zielone piki, posłuchałam szumu wentylatora i poczułam ulgę.

Do sali wszedł lekarz w białym kitlu i zaczął czytać kartę wiszącą w nogach łóżka.

- Czy jest poprawa? - spytałam.

Pytanie zadane po angielsku przez kobietę w *burqa* wyraźnie go zaskoczyło.

- Tak, wraca do zdrowia, ale musi być pod ścisłą obserwacją jeszcze przez trzy dni.

- Proszę mu zapewnić jak najlepszą opiekę. Pieniądze nie grają roli.

Dziwnie się poczułam, mówiąc te słowa, bo pieniądze bez wątpienia grają rolę. Tonę w długach, mam puste konto w banku. Kiedy jednak ma się do czynienia z czymś takim jak morderstwo, niepokój o pieniądze zaczyna się wydawać bez znaczenia.

Gdy lekarz wyszedł, chwyciłam Sapnę za rękę

- Tata wyzdrowieje. Teraz jedziemy do Sarai Meer, do domu, do którego cię zabrał ten człowiek.

Sapna wyrwała dłoń.

- Nie, *didi*, nie jestem w stanie tam wrócić.

- Ale musisz. Trzeba usunąć wszystkie ślady twojego pobytu w tym domu.

- Nie zniosę widoku tego człowieka, nawet jeśli to już tylko trup.

- Obiecuje, że to potrwa najwyżej dziesięć minut.

Po długich namowach Sapna zgodziła się pojechać ze mną do Sarai Meer. Gdy motoriksza mijala miejsca, które pamiętałam od dzieciństwa, napłynęły wspomnienia. Ssanie słodkiego kruszonego lodu kupowanego na ulicy przed Inter College, wagary w Delight Cinema, oglądanie wystaw w Asif Ganj, ostre samosy w Nathu Sweets przy MG Road.

Sapna poprosiła kierowcę, żeby się zatrzymał przed głównym targowiskiem w Sarai Meer. Dalej poszliśmy piechotą.

Ten rejon zamieszkiwali głównie muzułmanie, ale nie spotkałyśmy wielu kobiet w *burqa*. Domy były zaniedbane. Na krzywych balkonach łopotało suszące się pranie, z dachów zwisały kable telewizyjne. Zagładałam do mrocznych sklepów spożywczych i jasno oświetlonych aptek, mikroskopijnych wypożyczalni wideo i rozmównic telefonicznych. Z budek z jedzeniem płynął zapach świeżo przyrządzonego mięsa.

Sapna trzymała się mojej ręki jak tonący koła ratunkowego. Czułam, jak mi wbija paznokcie w skórę. Moja młodsza siostra nie była już prostoduszną dziewczyną. Swojski świat Azamgarhu nagle stał się dla niej obcy i zły i u mnie szukała schronienia.

To, co mi zrobił Bholā, było niczym w porównaniu z tym, co się przydarzyło Sapnie. Ja zapłaciłam za sławę, ona - za to, że dojrzała; że w mieście pełnym lubieżnych mężczyzn była po prostu kobietą.

Jak powiedziała mama, w tym mieście żadna dziewczyna nie jest bezpieczna. Zboczeńcy, którzy się swobodnie włóczą po ulicach, potrafią zgwałcić i okaleczyć trzylatkę. Przeklinałam drani, którzy pozbawili moją siostrę nawet kobiecej przyjemności pójścia na targ.

Sapna zatrzymała się na początku długiej brukowanej uliczki prowadzącej do widocznego w oddali meczetu z zieloną kopułą i samotnym minaretem i ukradkiem rozejrzała się na wszystkie strony. Nagle powietrze rozdarł przenikliwy *azaan*²¹² wzywający do modlitwy i z balustrady minaretu wleciało w szare niebo stadko gołębi. W stronę meczetu ruszył tłum brodatych wiernych.

²¹² *Azaan* - wezwanie do modlitwy rozlegające się z meczetów.

Poczekaliśmy, aż się przerzedził, i Sapna zaprowadziła mnie do parterowego domu. Drzwi były otwarte, przecięliśmy dziedziniec z uschniętą gwajawą pośrodku i stanęliśmy przed drugimi drzwiami, które miały metalową klamkę. Gdy ją nacisnęłam, Sapna zasłoniła sobie oczy. Usłyszałam brzęczenie much i poczułam smród rozkładającego się ciała.

Weszłam do małego pokoju, w którym był wentylator, przykryte zieloną narzutą drewniane łóżko z baldachimem, szafa i biurko. Na biurku stały gliniany dzbanek na wodę i nienaruszona butelka rumu Triple X. Na ścianach nie było nic - żadnych kalendarzy, fotografii, plakatów. To był pokój bez pamięci, bezosobowe miejsce schadzek.

Mężczyzna, w białej *kurta*, leżał na kamiennej podłodze twarzą w dół. Był wysoki, dobrze zbudowany i niewątpliwie martwy. Obok niego leżał matowy czarny pistolet.

Widzieć trupa z bliska, zwłaszcza w stanie rozkładu, to nic przyjemnego. Zdjęłam z twarzy zasłonę, zatkałam sobie nos i podniosłam pistolet. Beretta 3032 Tomcat, niewielka i lekka.

- Z tego go zastrzeliłaś?

Sapna kiwnęła głową i zadrżała.

- Powiedział, że wie, że jestem twoją siostrą. Powtarzał: „Nikt nie może mieć Shabnam, ale ja przynajmniej będę mógł powiedzieć, że miałem jej siostrę”. - Z piersi wyrwał jej się szloch, znowu chwyciłam ją za rękę. Więc ja też ponosiłam winę, byłam współsprawczynią jego przestępstwa.

- Muszę zobaczyć jego twarz - powiedziałam.

- Ja nie - zaniósła się płaczem Sapna.

- Chodź i mi pomóż. - Objęłam mężczyznę w pasie i spróbowałam go przekręcić na plecy. Był jak wielki głaz, udało mi się dopiero wtedy, gdy oparłam mu nogę na biodrze i ze wszystkich sił pchnęłam.

Zobaczyłam jego opuchnięte ciało i zrobiło mi się niedobrze. Brzuch mu sterczał jak balon, ręce i nogi miał całkiem sztywne. Z ust, nosa, oczu

i uszu wypływała mu jakaś ciecz i zastygała w śluzowatą masę. Skóra zrobiła się zielononiebieska. Groteskowo opuchnięta twarz z zapadniętymi oczami była prawie nie do rozpoznania. Zauważyłam tylko, że jego gładko ogolone policzki szpeciły liczne drobne blizny, które pewnie pozostawiła w dzieciństwie choroba. Na lewym uchu miał bliznę jak po cięciu nożem, pośrodku czoła otwór od kuli. Krwi było zadziwiająco mało.

- Kto to może być? - spytałam Sapnę, starając się oddychać ustami.
- Nie wiem, *didi*, nigdy wcześniej go nie widziałam. Złapał mnie od tyłu, kiedy wyszłam ze szkoły, i wepchnął do taksówki. Widziało to co najmniej dwudziestu uczniów, ale żaden się nie odważył choćby krzyknąć.

- Czy ktoś widział, jak cię tu przywiózł?
- Nie wiem. Związał mi ręce i mnie zakneblował. Jak tu przyjechaliliśmy, chyba byłam nieprzytomna.

- Była potem jakaś szamotanina?
- Tak. Kazał mi się rozebrać, a jak odmówiłam, rzucił się na mnie, szarpnął za *kameez* i rozdarł je na pół. Wtedy zauważyłam pod poduszką pistolet i go chwyciłam. Wystrzelił, kiedy ten człowiek rzucił się na mnie jak rozwścieczony byk. Przysięgam, *didi*, że nie miałam zamiaru go zabić. Chciałam tylko stąd uciec.

- Sąsiedzi słyszeli strzał?
- Na pewno, ale strzały słyszy się w Sarai Meer tak często, że nikt na nie nie zwraca uwagi.

- A jak wróciłaś do domu w podartym *kameez*?
- Wzięłam z szafy jego *kurta*, pobiegłam na główną ulicę i złapałam motoriksę.

Wyobraziłam sobie te sceny, a potem podeszłam do szafy. Na cienkich metalowych wieszakach wisiało w niej kilka koszul i kilka par spodni. Półki były puste, ale na samym dole zauważyłam czarną brezentową torbę. Wyjęłam ją i otworzyłam. Była pełna nowych sturupowych banknotów.

Sapna wytrzeszczyła oczy.

- Och, *didi*, jak myślisz, ile jest tych pieniędzy?

- Co najmniej siedemset albo osiemset tysięcy rupii. Ale zobaczmy, z kim mamy do czynienia. - Przeszukałam kieszenie *kurta* porywacza i odkryłam wytarty portfel i toporną nokię. W portfelu było trzy tysiące trzysta dwadzieścia pięć rupii i trochę monet, ale nie znalazłam nic, na podstawie czego można by go zidentyfikować. Włączyłam komórkę. Też była martwa. Prawdopodobnie się rozładowała.

- No to zaczynamy usuwać ślady naszej wizyty - powiedziałam i przez następne pół godziny wycierałam chusteczką każdy centymetr pokoju, żeby mieć pewność, że nigdzie nie zostaną odciski palców. Oczyściłam też pistolet i włożyłam go do torby. Kiedy ją podniosłam, poczułam jej ciężar.

- Co ty robisz, *didi*? - krzyknęła Sapna. - Kradniesz pieniądze?

- Są bardziej potrzebne nam niż jemu - powiedziałam i wrzuciłam do torby także portfel.

Zamknęliśmy drzwi, wytarliśmy klamkę, przecięliśmy dziedziniec i wyszliśmy z domu. Gdy tylko znaleźliśmy się na ulicy, jakiś brodacz w szarym stroju *pathan* wyciągnął ku mnie brudny palec.

- Czy to nie jest Shabnam Saxena? - spytał swego podobnie ubranego towarzysza, który patrzył na mnie z otwartymi ustami.

- Tak, to Shabnam. Tu jest Shabnam! - wrzasnął tamten na całe gardło.

- Cholera! - zakląłam cicho i zasłoniłam twarz, ale ludzie mimo to się na mnie gapili. Złapałam Sapnę za rękę i pobiegłam z ciężką torbą w stronę wylotu ulicy. Na szczęście akurat mijała nas pusta motorusza, więc do niej wskoczyłam, ciągnąc Sapnę za sobą. Zdziwiony kierowca o mało nie spadł z siodełka.

- Do Kurmitoli. Szybko. Płacę pięćset rupii.

Jeszcze bardziej zdziwiony, rozpedził skuter, jakby to był pojazd Jamesa Bonda.

Wieczorem policzyliśmy pieniądze. Milion rupii. Dałam wszystko mamie. Potrzebuje ich bardziej niż ja. Sapna była jednak nadal niepokieszona.

- Teraz i ciebie w to wplątałam, *didi* - lamentowała. - Policja cię złapie. - Spałyśmy w pokoju taty. Przytuliła się do mnie jak córka, ale kiedy później wstałam, żeby się napić wody, Sapny nie było. Znalazłam ją w łazience. Siedziała na mokrej podłodze i brzytwą taty próbowała sobie podciąć żyły.

- Co ty robisz, Sapna? - krzyknęłam i wyrwałam brzytwę z jej drżących palców. Trzęsła się jak w gorączce. Zaprowadziłam ją do łóżka, położyłam się przy niej i nakryłam nas obie z głowami grubym wełnianym kocem - dla ochrony przed zimnem i żeby mama nie usłyszała mojego szlochu.

I wtedy, opatulona kocem, wsłuchując się w ciche bicie serca siostry, doznałam objawienia. Z przerażającą jasnością uświadomiłam sobie przemijalność życia, tymczasowość sławy i prawdziwe znaczenie rodziny. Zrozumiałam powagę sytuacji Sapny i co było przyczyną trawiącego ją lęku i postanowiłam za wszelką cenę ją ochronić. Nawet gdybym miała wziąć to morderstwo na siebie.

Przypomniały mi się słowa Barkhi Das - że bogaci i sławni manipulują prawem i morderstwa uchodzą im na sucho - i pomyślałam, że szkoda, że nie mam jakiegoś wysoko postawionego sprzymierzeńca, który by sprawił, że trup by zniknął, a cała sprawa ucichła. Nagle zdałam sobie sprawę, że przecież znam takiego człowieka - który bywa producentem, czasem morduje, zawsze chętnie flirtuje. A najważniejsze, że jest synem ministra spraw wewnętrznych Uttar Pradeś, który ma pod swoim nadzorem całą stanową policję. Ten człowiek nazywa się Vicky Rai.

22 marca

Zadzwoniłam do niego na komórkę. Na szczęście numer nie był zajęty.

- To naprawdę ty, Shabnam? Mam nadzieję, że telefon nie robi mi kawałów.

- Vicky, potrzebuję twojej pomocy.
- Więc jednak chcesz dostać nagrodę państwową.
- Nie. To dużo poważniejsza sprawa.
- Naprawdę? Zamordowałaś kogoś? Żartuję.
- Nie mogę o tym mówić przez telefon. Musimy się spotkać.
- O dawna niczego bardziej nie pragnę.
- Mogę przyjść dzisiaj?
- Dzisiaj? Nie, to nie jest odpowiedni dzień. Może jutro? Przyjedź

od razu do Number Six.

- Number Six?

- Tak. To moja posiadłość w Mehrauli. W Delhi każdy taksówkarz zna ten adres. Jutro wieczorem wydaję przyjęcie, jakiego świat nie widział. Świątuję uniewinnienie.

- Muszę się z tobą spotkać prywatnie, nie na przyjęciu.
- Spotkamy się prywatnie, kochanie. Po przyjęciu.
- Musisz obiecać, że mi pomożesz.
- Oczywiście. Obiecuję. Co zechcesz. Ale moja pomoc ma swoją

cenę.

- Chętnie ją zapłacę.
- Tu nie chodzi o twoją rolę w „Plan B”.
- Wiem, co masz na myśli, Vicky.
- Dobrze. W takim razie do zobaczenia jutro, dwudziestego trzeciego marca, o ósmej wieczorem, w Number Six.

- Do zobaczenia.

- Jeszcze jedno, Shabnam.

- Słucham.

- Włóż coś seksownego, okej?

Kości zostały rzucone. Nie zgodziłam się iść do łóżka z księciem, ale właśnie się zgodziłam iść z mordercą. Siostrzana miłość uzyskała najwyższą cenę. Zapłacę ją z ochotą.

Sięgnęłam do czarnej torby po beretę. W filmach tyle razy miałam do czynienia z pistoletami, że znam je na wylot. Wyjęłam magazynek - było w nim jeszcze siedem nabojów. Wsunęłam go na miejsce i włożyłam pistolet do torebki.

Idę do domu mordercy, więc muszę mieć wsparcie. Mój własny plan B.

DOWODY

Nie istnieją fakty, tylko interpretacje.

Friedrich Nietzsche, „Jutrzenka”

14.

POWRÓT

Mohan Kumar spogląda na zegarek, wkłada rękę do kieszeni *kurta* i czuje zimny metal pistoletu. Przypomina mu to o zadaniu, które ma tu do wykonania.

Bramę Number Six przekroczył ponad godzinę temu. Zdziwiło go, że w pobliżu posiadłości kręciło się tylu policjantów. Posiadacze zaproszeń nie musieli na szczęście przechodzić przez bramkę z wykrywaczem metalu.

Vicky Rai stał przy wejściu z napuszoną miną.

- Witam, Kumar. A może powinienem zwracać się do ciebie Baba Gandhi? Cieszę się, że jesteś. - Wrogość między nimi wisiała w powietrzu jak mgła. Kumar zastanawiał się przez chwilę, czy go od razu nie zastrzelić, ale nagle dłonie mu się zrobiły lepkie, serce zaczęło niepokojąco kołatać, więc się wymknął do ogrodu.

Przez cały wieczór umysł płała mu figle. Raz wzmacnia jego determinację, raz osłabia. Kumar miota się między pewnością a zwątpieniem. Sytuacji nie poprawia obecność nieznajomych, którzy go doprowadzają do szału. Co kilka minut zastępują mu drogę, żeby albo go pochwalić za wyczyny Baby Gandhiego, albo poprosić o przysługę.

- Zasłużył pan na Pokojową Nagrodę Nobla, Baba Gandhi - mówi jeden.

- Czy zechce pan wygłosić w lipcu przemówienie na spotkaniu przywódców świata? - pyta drugi. Kumar się uśmiecha, ale jego niepokój rośnie. Chce to mieć szybko za sobą.

Żeby przestać myśleć o morderstwie, próbuje się skupić na kwestiach technicznych. Gości jest znacznie więcej, niż się spodziewał - przynajmniej czterystu na rozległych trawnikach, stu w domu - więc będzie musiał zastrzelić Vicky'ego Rai na oczach tłumu. To go jednak nie zbija z tropu. Przeciwnie, z przyjemnością myśli o publicznej egzekucji, która będzie dobrą nauką dla wszystkich przyszłych Vicky'ch. Dotyka kolby walthera PPK i czuje w dłoni jego moc.

Rusza w stronę altany, mając nadzieję, że po drodze znajdzie dobry punkt obserwacyjny. Basen jest jasno oświetlony, niebieska płaszczyzna migocze w światłach reflektorów jak szkło. Do basenu niespodziewanie wskakuje dziewczyna w błękitnym bikini i opryskuje go wodą. Kiedy strzepuje krople z kamizelki, prosto w twarz błyska mu flesz i na moment go oślepia. Traci równowagę, ale w ostatniej chwili ktoś go przytrzymuje za ramię. Gdy po kilku sekundach ciemność znika mu sprzed oczu, widzi, dzięki komu nie wpadł do basenu. Jest to brodaty kelner w czerwono-czarnym stroju.

- Dziękuję - mamrocze zdenerwowany. Muszę być ostrożniejszy, myśli.

Wokół basenu stoi wiele ludzi. Popijają wino i kołyszą się w takt muzyki. Mają nie więcej niż po dwadzieścia pięć lat, on się czuje przy nich staro i obco. Już ma zamiar odejść, gdy podchodzi do niego posągowa blondynka w obcisłej sukience poruszająca się jak modelka na wybiegu.

- Jakże się cieszę, że pana widzę, Baba Gandhi - mówi, przeciągając słowa, i robi przed nim uwodzicielski piruet. Jej oddech pachnie wypitymi drinkami. - Mam na imię Lisa. Przyjechałam do Indii na sesję zdjęciową na temat „Kamasutry”. Mogę pana nauczyć kilku ciekawych pozycji. - Wybucha śmiechem i próbuje go pocałować.

- Ram, Ram - mówi Kumar i szybko się cofa. Zderza się przy tym z kelnerem, który na tacy niesie do baru sześć butelek whisky. Kelner wypuszcza tacę z rąk, butelki spadają na kamienne obrzeże basenu i się tłuką. W powietrzu rozchodzi się odór alkoholu, tak mocny, że Kumarowi

zaczyna się kręcić w głowie. Czuje mdłości i oszołomienie. Biegnie chwiejnie po trawniku, coraz dalej i dalej od tłumu.

Nagle sobie uświadamia, że się zapuścił w głąb drzew, gdzie światła z ogrodu już nie docierają. Na niebie wisi wielki kredowobiały księżyc i tylko on rozjaśnia ponury leśny mrok. Z daleka dobiega go jednostajny bulgot wodospadu, bliżej słyszy tylko własny ciężki oddech. W jego mózgu coś się dzieje, zachodzi jakaś reakcja. W głowie ma kalejdoskop myśli i obrazów. Odzywają wszystkie stłumione wspomnienia, mgła się podnosi, lecz nie do końca.

Pod stopą słyszy chrzęst. Po chwili oprócz skrzypienia i trzasku pękającej gałązki do jego uszu dociera cichy syk. Spogląda w dół i widzi węża. Po kształcie jego wielkiej głowy natychmiast poznaje, że to kobra. Gad wije się tuż obok jego prawej nogi, wystawia i chowa śliski, drgający język. Kumar zastyga w bezruchu, strach ścina mu krew w żyłach.

Kobra cofa głowę, za chwilę zaatakuje. Umrę, myśli Kumar. W tej samej chwili znów słyszy skrzypienie i nagle czyjaś ręka chwytą kobrę za głowę i podnosi z ziemi. Gad rzuca się wściekle w powietrzu, po sekundzie tajemnicza ręka ciska go daleko między drzewa.

- Kto... kto ty jesteś? - pyta Kumar, wyężając wzrok.

Ze srebrnej ciemności wyłania się dziwny młody człowiek. Ma na sobie białą koszulę, czarne spodnie i czerwoną czapkę firmy Gap. Na ramieniu wisi mu czarna torba. Jego skóra jest tak czarna, że zlewa się z ciemnością, lecz białka oczu błyskają mu jak latarki.

- Jestem Jiba Korwa z Dżharkhandu - mówi.

- Co tu robisz?

- Czekam.

- Uratowałeś mi życie. Dziękuję.

- A ty kto?

- Mohan... Mohandas... Karam... Kumar. Nie, nie, to nieprawda...

Powiem jeszcze raz. Jestem... Mohan Kumar. Tak. I nie znoszę węży.

- Wyrzuciłem węża, ale ty wciąż jesteś wystraszony.
- Skąd wiesz?
- Czuję twój strach. Czy to z powodu cienia?
- Jakiego cienia?
- Cienia, który cię prześladowuje. *Embekte*.
- *Embekte*? Co to jest?
- W każdym człowieku są dwie dusze - *eeka* i *embekte*. Kiedy człowiek umiera z przyczyn naturalnych, staje się *eeka* i idzie żyć pod ziemię. Kiedy umiera nagle, na przykład zostaje zabity, druga dusza, *embekte*, wychodzi i chroni się w napotkanym żywym ciele. Wy to nazywacie duchem. I właśnie twoje ciało opanował duch.
- O, mój Boże. I ty go widzisz?
- Nie. Nie mogę go widzieć. Widzę tylko cień. To dusza dobra czy zła?
- Bardzo zła. Każe mi robić różne dziwne rzeczy. Mógłbyś... mógłbyś coś na to poradzić?
- Mógłbym.
- Lekarze mówią, że mam rozdwojenie jaźni, ale ja wiem, że to jest opętanie. Potrzebny mi jest egzorcysta, nie psychoterapeuta. Potrafisz usunąć duszę?
- Tak. Prawie jestem *torale*. Umiem się pozbyć duszy.
- To zrób to. Chcę odzyskać moje życie. W zamian dam ci, co zechcesz.
- Możesz mi dać trochę pieniędzy?
- Ile?
- Dwa razy dziewięć tysięcy.
- Czyli osiemnaście. To dużo. Po co ci tyle?
- Żeby kupić bilety i pojechać do mojej wioski.
- Zawrzyjmy umowę. Dostaniesz pieniądze, jeśli mnie wyleczysz.
- Więc się kładź.
- Tutaj, na ziemi?
- Tak. I zdejmij koszulę. Muszę ci nałożyć na twarz i pierś trochę czerwonej gliny.

- No cóż, skoro mi uratowałeś życie, jakżebym mógł nie wykonać twoich poleceń. - Kumar zdejmuje *kurta* i kamizelkę i kładzie się na twardej ziemi, nie zważając na mrówki, które mu wpełzają na nogi, i na gałązki wbijające mu się w plecy.

Autochton otwiera torbę, wyjmuje bryłkę czerwonej gliny i miesza ją ze świńskim sadłem. Na piersi Kumara maluje delikatną jodełkę, na twarzy kilka poziomych linii.

- Co ty robisz? - niepokoi się Kumar.

- Wzywam dusze, które odciągną *embekte*. Teraz zamknij oczy i nic nie mów.

Wyjmuje z torby naszyjnik i zawiesza na szyi Kumara, a potem kładzie mu lewą rękę na głowie, w prawą bierze małą białą kość i zaczyna monotonicznie śpiewać, kołysząc się przy tym okrężnym ruchem, coraz szybciej i szybciej.

Kumar czuje przenikliwy ból, jakby mu ktoś wkręcał w mózg korkociąg. Jęczy, bo ktoś zdiera z niego skórę. Potem traci przytomność.

Gdy otwiera oczy, autochton wciąż siedzi obok i się w niego wpatruje.

- Już po wszystkim?

- Tak. Zabrałem *embekte* z twojego ciała.

Kumar naciska skronie - ból minął. Czuje się oczyszczony, zdrowy. Siada i zaczyna się ubierać.

- Zrobiłeś coś, czego nikt nie potrafił. Ta dusza sprawiała mi mnóstwo kłopotu, chociaż należała do bardzo sławnego mężczyzny.

- Do mężczyzny?

- Tak. Dusza, który mnie opętała, należała do Mohandasa Karamchanda Gandhiego. Na pewno słyszałeś o Mahatmie Gandhim.

- Mylisz się. Opętała cię kobieta.

- Kobieta? Skąd wiesz?

- Rozmawiałem z nią. Była bardzo uparta.

- Jak się nazywa?

- Ruby Gill.

- Ruby Gill! - Kumar wkłada rękę do kieszeni i dotyka pistoletu. -
Więc cały czas kierowała mną Ruby Gill, udając Mahatmę Gandhiego...
To zaczyna mieć sens.

Autochton ciągnie go za rękaw.

- Dasz mi pieniądze?

- Tak, tak, oczywiście. - Kumar otwiera czarny skórzany portfel i
wyjmuje plik tysiącrupiowych banknotów. - Prosiłeś o osiemnaście, dając
ci dwadzieścia. Za to kupisz bilet choćby do Londynu!

Autochton przyjmuje pieniądze i kłania się z wdzięcznością.

- Jesteś bardzo dobry.

Mohan Kumar chusteczką ściera sobie z twarzy resztki gliny. Wstaje,
otrzepuje *dhoti*.

- Ostatni raz mam na sobie to idiotyczne ubranie.

Wychodzi z gęstwiny na trawnik i spogląda na zegarek. Jest kwadrans po jedenastej. Wygląda na to, że przyjęcie się rozkręciło na całego.
W basenie pływa kilka dziewcząt, w okolicach baru tłok. Szybkim krokiem idzie w kierunku altany.

- Masz chivasa? - pyta barmana, ten kiwa głową. - To daj dużego, bez lodu.

Wypija whisky jednym haustem, ociera usta rękawem i każe sobie nalać jeszcze. Zauważa prezesa Rai Textile Mill i klepie go jowialnie po plecach.

- Jak leci, Raha?

Raha się odwraca, poprawia okulary w drucianej oprawce i robi zdziwioną minę.

- Nie spodziewałem się, że pana tu spotkam, panie Kumar - mówi chłodno.

- Nie wracajmy do przeszłości, Raha. Miałem pewne problemy zdrowotne, ale już jestem zupełnie wyleczony. Wytłumaczę wszystko Vicky'emu. Nie widziałeś go tu gdzieś?

- Właśnie wszedł do domu z Shabnam Saxena.

Kumar opróżnia drugą szklaneczkę i rusza w kierunku domu. Po drodze natyka się na blond modelkę, która go wcześniej próbowała

pocałować. Dziewczyna pije truskawkowe daiquiri.

- Och, Baba Gandhi wrócił! - mówi przymilnym tonem.

Kumar się uśmiecha.

- Tak, wróciłem. I mam wielką ochotę trochę poeksperymentować.

Kiedy zaczynamy?

Dziewczyna podchodzi bliżej.

- Może zaraz?

- Najpierw muszę załatwić kilka spraw. Ale cierpliwość popłaca. -

Puszczą oko i szczypie ją w siedzenie.

Dziewczyna piszczy.

15.

ZDOBYCZ

- Cześć! Jestem Rick Myers - przedstawiłem się. W garniturze od Armaniego kupionym na Connaught Place czułem się jak słoń w majtkach.

Gospodarz, w tak samo szykownym czarnym garniturze i czerwonym krawacie, zrobił mi niedźwiedzia, jakbym był jego dawno niewidzianym bratem. Zdenerwowałem się, bo mógł wyczuć glocka, którego miałem w wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Witam w Number Six - powiedział. - Lizzie mówiła, że pan przyjdzie. - Rzucił na mnie okiem i klepnął się w policzek. - Czy myśmy się gdzieś nie spotkali, panie Myers?

Ja go poznałem natychmiast, po bliźnie na twarzy. To był gość, który mnie wywalił z roboty w centrum telefonicznym.

- Wątpię - powiedziałem. - Tak się nazywam dopiero od wczoraj.

- Od wczoraj? Co pan ma na myśli?

- Chciałem powiedzieć, że przyjechałem do pana kraju wczoraj - poprawiłem się. - Więc szansa, że się spotkaliśmy, jest zerowa, a zero właśnie wstało i wyszło.

- Podoba mi się pana poczucie humoru, panie Myers. Pracuję w tej samej branży co pan - w kinematografii. Kto wie, może moglibyśmy razem robić interesy. Pozwoli pan, że przedstawię pana swojemu ojcu Jagannathowi Rai, ministrowi spraw wewnętrznych Uttar Pradeś.

Tatuś, przysadzisty i włochaty, miał okrągłą twarz i gęste podkreśnione wąsy. Na powitanie złożył ręce. Wydawał się obslizgły jak smalec na patelni.

Poszedłem do ogrodu. Posiadłość była ogromna i muszę przyznać, że piękna. Dwupiętrowy dom cały z marmuru, trawnik jak trzy boiska do bejsbolu, basen wielki jak jezioro Waco, świątynia, altana oświetlona jak na czwartego lipca. Dalej zauważyłem coś jakby dżunglę. Tak duża nie była nawet siedziba gubernatora w Austin.

Na trawniku roili się ludzie. W swoich drogich ciuchach wszyscy wyglądali na grube ryby. Z wielkich głośników płynęła muzyka. Kelnerzy roznosili różne pyszne rzeczy. Przypomniało mi się ostrzeżenie Lizzy, więc postanowiłem najpierw sprawdzić, czy gdzieś się nie chowają faceci z Al-Kaidy. Poszedłem do lasu, zacząłem się kręcić między drzewami i wtedy zobaczyłem mężczyznę w niebieskim garniturze, który z paczką w ręku przemykał się przez trawnik w pobliżu muru. Nagle poczułem się jak prawdziwy funkcjonariusz FBI. Zacząłem go śledzić jak Mei Gibson czarne charaktery w „Zabójczej broni”. Już miałem zamiar wyjąć pistolet i go zatrzymać, ale wszedł do świątyni, która stała w rogu trawnika. Widziałem, jak składa ręce i kłania się swoim hinduskim bogom. Widocznie chciał się pomodlić.

Byłem rozczarowany. Postanowiłem się napić. Ruszyłem w stronę altany, w której był urządzony bar. Koło basenu uwijali się fotoreporterzy z aparatami i fleszami i pstrykali fotki paru ładnym dziewczuskom, które pozowały jak gwiazdy filmowe na czerwonym dywanie. Od razu zacząłem się rozglądać za Shabnam. Podszedł jakiś patykowaty gość z kamerą w ręce i tikiem w oku.

- Przepraszam, czy pan Michael J. Fox?
- Nie, jestem Rick Myers, producent z Hollywood.

Ledwie to powiedziałem, obstały mnie dziewczyny i zaczęły bombardować pytaniami.

- Kręci pan w Indiach film?
- Może mi pan dać rolę?
- Zabierze mnie pan do Hollywood?

Ostatni raz otaczało mnie tyle dziewczyn w trzeciej klasie podstawówki, gdy gapiły się na mojego wacka. Pani Henrietta Loretta wymyśliła nam nowy egzamin, nazywał się sprawdzian IQ, i ja jak ten idiota założyłem się z Betsy Walton, że będę od niej lepszy. Oboje byliśmy w klasie gdzieś na szarym końcu, ale myślałem, że ja jestem bardziej rozbudowany. Okazało się, że chociaż zdobyłem aż czterdzieści osiem punktów, ona mnie pobiła, bo miała pięćdziesiąt, więc musiałem przed wszystkimi ściągnąć majtki. W życiu się tak jak wtedy nie wstydziłem.

Zacząłem się zastanawiać, jak się pozbyć tych zwariowanych pańienek, i wtedy usłyszałem raban koło baru. Kelner upuścił tacę pełną butelek, a wysoki zataczający się facet w hinduskim stroju nagle dostał bzik i jak oparzony popędził przez trawnik.

Któraś podfruwajka klepnęła mnie w ramię.

- Zna pan jakieś hollywoodzkie gwiazdy?
- Tak. Mój najlepszy kumpel to Arnie Schwarzenegger.

O mało nie zemdląła. Inna niespodzianie pocałowała mnie w policzek i szepnęła:

- Mogę przyjść do ciebie do hotelu?

Nawet się nie popsikałem dezodorantem, a te dziewczyny były bardziej napalone niż koty w marcu. Przeprosilem i pomaszerowałem prosto do domu, w nadziei, że znajdę tam Shabnam. Na dole znajdowała się okrągła sala z marmurową posadzką gładszą niż dupa noworodka. W rogach stały sofy, przez okna było widać z jednej strony trawnik, z drugiej podjazd. W sali kręciło się mnóstwo ludzi, rozmawiali i pili przy drewnianym barze zastawionym butelkami. Rozejrzałem się, ale Shabnam nie zauważyłem, więc wróciłem do ogrodu i znalazłem spokojne miejsce z dala od tych stukniętych dziewczyn.

Koło jedenastej na trawniku nagle zrobiło się gwarno i wszyscy zaczęli iść w stronę domu.

- Co się dzieje? - zapytałem kelnera.
- Podobno jest tu Shabnam Saxena - odpowiedział, a ja w jednej

chwili znalazłem się z powrotem w okrągłej sali. Pięć minut później wkroczyła do niej kobieta moich marzeń, jeszcze ładniejsza niż na fotografiach, w obcisłej sukience, z torebką z wężowej skóry. Zapach jej perfum czułem z odległości piętnastu metrów.

Shabnam usiadła na pustej sofie, za chwilę przysiadł się do niej Vicky Rai. Po tym, jak się wzdrygnęła, kiedy otarł się ręką o jej ramię, zorientowałem się, że go nie lubi. Miałem chęć wyciągnąć glocka i strzelić mu w łeb. Rozmawiali i Shabnam kilka razy pokręciła głową. Przyszedł kelner z tacą drinków. Shabnam wzięła sok pomarańczowy, Vicky Rai poprosił o tequile. Podeszedłem bliżej, miałem nadzieję, że Shabnam na mnie spojrzy. Upłynęło piętnaście minut, a Vicky Rai nie ruszał się z miejsca. Już się zacząłem zastanawiać, czy mu tyłek nie przyrósł do sofy, kiedy się pojawił tatuś Rai.

- Przyszedł Iqbal Mian. Chce się z tobą zobaczyć - powiedział.

Vicky się skrzywił i niechętnie wstał. Skorzystałem z okazji. Rzuciłem się na sofę szybciej, niż Undertaker zadaje cios przeciwnikowi.

Shabnam spojrzała na mnie jak u nas kontroler magazynu, kiedy sprawdza nowy towar. Wyciągnąłem do niej rękę.

- Cześć, Shabnam! Jestem Rick Myers, producent z Hollywood. Szykowałem się na to spotkanie od wieków. Niedawno widziałem w telewizji „Love in Canada”.

Serdecznie ścisnęła mi dłoń.

- Co pan robi w Indiach, panie Myers?

- Możesz nie wierzyć, ale przyjechałem, żeby się z tobą spotkać.

- Żeby mi zaproponować rolę w amerykańskim filmie?

- Tak.

- Jaki będzie miał tytuł?

- Ee... Może „Miłość w Waco”.

Uśmiechnęła się. Przysunąłem się do niej bliżej i ściszyłem głos.

- Słuchaj, Shabnam, wiem, że masz masę kłopotów.

Zdenerwowała się bardziej niż mucha w słoju z klejem.

- Co pan ma na myśli?
- Że wszystko wiem o Sapnie.

Kiedy tylko usłyszała to imię, spuściła z tonu. Bojowość uszła z niej jak powietrze z przekłutego balonu.

- Skąd pan wie?
- Od niejakiego Gupty, prywatnego detektywa. Facet jest bystrzejszy niż stado sów.
- Faktycznie mam wielkie kłopoty - powiedziała i załamała ręce. - Przyszłam do Vicky'ego Rai, żeby w moim imieniu poprosił ojca o pomoc, ale żąda wysokiej ceny.

- Ja bym mu nie ufał. To podejrzany typ.
- Więc co mam robić?
- Przyjmij moją pomoc.
- Jak mi może pomóc producent z Hollywood?

Rozejrzałem się na boki i nachyliłem w jej stronę.

- Nie jestem producentem z Hollywood, tylko operatorem wózka widłowego w Walmarcie, ale FBI objęło mnie programem ochrony świadków.

Szeroko otworzyła oczy.

- Dlaczego FBI to zrobiło?
- Bo załatwiłem paru drani w Pakistanie. Od FBI dostałem w nagrodę piętnaście milionów dolarów, a od prezydenta bardzo miły list.

Shabnam zasłoniła sobie oczy.

- No, nie. Teraz to już mnie pan nabiera.
- Nie wierzysz? Mam ci to udowodnić?

Kiwnęła głową, więc wyjąłem z kieszeni list od prezydenta. Przeczytała i spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Ale ten list jest zaadresowany do Larry'ego Page'a. - Zmarszczyła czoło. - Skąd ja znam to nazwisko?
- Larry Page to moje prawdziwe nazwisko. FBI dało mi nowe - Rick Myers. Jeszcze się do niego nie przyzwyczailem.

Shabnam już mnie nie słuchała. Strzeliła palcami.

- Larry Page... Amerykanin, który napisał do mnie te wszystkie listy, prawda?

- Tak - powiedziałem i spojrzałem jej w oczy. - Kocham cię do szaleństwa!

To było jak grom z jasnego nieba. Shabnam zerwała się z sofy, jakby ją osa ugryzła, i zaczęła mi grozić palcem.

- Proszę się trzymać ode mnie z daleka, panie Page. Nie chcę mieć z panem nic wspólnego.

Wkurzyłem się jak jednonogi na konkursie kopania w tyłek.

16.

OFIARA

- Halo, Tripurari?
- Tak, Bhaiyyayi. Skąd dzwonisz? Miałeś być na przyjęciu u Vicky'ego.
- Tak, tak. Dzwonię z Number Six. Masz jakieś wiadomości od Mukhtara?
- Od Mukhtara? Nie, Bhaiyyayi. Nie rozmawiałem z nim od ponad dwóch tygodni. A o co chodzi? Słyszę, że jesteś zdenerwowany.
- Tydzień temu, siedemnastego marca, dałem Mukhtarowi zadanie. Czy przypadkiem nie przyszedł do ciebie po pieniądze?
- Nie, Bhaiyyayi. A co to za zadanie? Nic mi nie mówiłeś.
- Powiem ci później. Na razie spróbuj go znaleźć. Niech do mnie zadzwoni. Ja do niego dzwonię od trzech dni, ale chyba ma wyłączoną komórkę.
- Pewnie leży gdzieś z dziewczyną, pijany.
- Nieważne, gdzie jest. Znajdź go. Okej? I daj mi znać.
- Dobrze, Bhaiyyayi.

17.

ZEMSTA

Bogaci żyją inaczej niż biedni, ale umierają podobnie. Dla pocisku nie ma różnicy między królem a nędzarzem, przemysłowcem a robotnikiem. Stoję przed kutą bramą Number Six, patrzę na błyszczący światłami dom, obserwuję wjeżdżające na elegancki podjazd drogie importowane samochody i zazdroszczę pistoletowi pewności siebie. Wystarczy jeden pocisk i koniec z nadęciem i popisami Vicky'ego Rai. Jeden pocisk i *khallas*²¹³.

213 Khallas - w bombajskim slangu: „Po wszystkim”.

Widzę policjantów z radiotelefonami stojących za barierką i przyspieszam kroku. Na ulicy stoi tłum gapiów wyężających wzrok, żeby choć przelotnie zobaczyć znakomitych gości. Krąży plotka, że niebawem przyjedzie Shabnam Saxena.

Skręcam w lewo, w boczną uliczkę, staję dyskretnie niedaleko bramy służbowej, i czekam na Ritu. W porównaniu z harmidrem na głównej ulicy tu jest spokojnie i cicho, choć wszędzie stoją zaparkowane samochody.

Za pięć jedenasta słychać skrzypienie, żelazna brama się otwiera i wychodzi Ritu. Niesie błękitną torbę, jest w czerwonym *salwar kameez*. Jej obrażenia jeszcze nie są całkiem wyleczone, oczy ma czerwone i podpuchnięte. Wygląda, jakby niedawno płakała. Obejmujemy się bez słowa. Na wszelki wypadek trzymam lewą rękę pod kurtką.

- Chodźmy, Munna. - Chwyta mnie za ramię i ciągnie w kierunku głównej ulicy. Delikatnie ją zatrzymuję.

- Mam ci coś do powiedzenia, Ritu.

- Zrobisz to na dworcu. Nie mamy czasu.
- Nie idę na dworzec.
- Co?
- Przyszedłem, żeby ci to powiedzieć. Nie jadę do Bombaju.
- Dlaczego?
- Wejdźmy za bramę, tam ci powiem.

Patrzy na mnie zaskoczona i wraca do bramy. Otwiera ją, rozgląda się i wciąga mnie do środka.

W oddali widzę wypielegnowany trawnik i śmiejących się i gawędzących ludzi. Jest nawet basen, w którym baraszkują kilka dziewcząt. Wokół altany krążą kelnerzy w czerwono-czarnych strojach.

Ritu wpycha mnie pod wielkie drzewo *jamun*. Jego liście zasłaniają nas przed wzrokiem ludzi na trawniku. Na prawo od nas stoi namiot, w którym kucharze przygotowują jedzenie.

- Lepiej, żebyś miał przekonujące wyjaśnienie dla tej wolty, Munna. Nie masz pojęcia, jak ryzykowałam, wykradając się z domu - karcie mnie Ritu. - Vicky mnie zabije, jeśli się o tym dowie.

Jestem na jej gniew przygotowany.

- Wiem Ritu. Przyszedłem, żeby cię uwolnić od strachu.
- Co to znaczy?
- Niedługo się dowiesz.
- Znowu zaczynasz mówić zagadkami. Powiedz jasno, dlaczego nie chcesz jechać do Bombaju. Coś się stało?
- Tak, Ritu. - Spuszczam głowę, boję się jej spojrzeć w oczy. - Znalazłem inną dziewczynę. Mam zamiar się z nią ożenić.

Patrzy na mnie nieszczęśliwym wzrokiem.

- Dlaczego mi to mówisz, Munna? Mało już mam zmartwień?
- Każde moje słowo jest prawdziwe.
- Więc teraz powiesz, że już mnie nie kochasz?
- Tak. - Kiwam głową i rozpoczynam pożegnalny monolog.
- *Bole toh*, miłość jest wredna. Takim jak my daje marzenia, które się nigdy nie spełnią. Być może biedacy nawet nie powinni mieć prawa

do miłości. Teraz wiem, że miałaś rację - nasza miłość jest zakazana. Możemy stąd uciec, ale nie uciekniemy od rzeczywistości. Więc zapomnij, że mnie spotkałaś, Ritu. Wykreśl mnie ze swojego życia na zawsze.

Słucha spokojnie, a kiedy kończę, rzuca mi oskarżycielskie spojrzenie.

- Więc to tak? Uważasz, że mogę cię wymazać z życia, jak nauczyciel wymazuje zrobione kredą znaki na tablicy? Jakby nic między nami nie zaszło? - Przysuwa się bliżej. - Wiesz, Munna, dlaczego miłość jest uważana za najwspanialszy dar? Bo z dwojga robi jedno. Bo łączą się ciałem i duszą. Stałam się tobą, a ty mną. I teraz znam cię lepiej niż ty sam. Jestem przekonana, że to, co mówisz, to nieprawda.

Znów staram się unikać jej wzroku.

- Ty i ja nigdy nie będziemy jednym. Dzieli nas przepaść.

- Kłamiesz. Spójrz mi w oczy, Munna, i przysięgnij na moje życie, że mnie nie kochasz - mówi z pasją. Kiedy milczę, ciągnie mnie za rękę i spostrzega plaster na przegubie. - Co to jest? - pyta z niepokojem. - Co się stało?

- Nic wielkiego. Przewróciłem się - mówię, ale Ritu mi nie wierzy. Dotyka mojej twarzy, szuka, jej palce natrafiają na opatrunek z tyłu głowy. - Ach! - syczę z bólu.

- Boże, co oni ci zrobili?

- Nic poważnego, naprawdę. Nie masz się czym martwić.

- To mój brat, prawda? Nie wystarczyło mu, że pobił mnie, musiał jeszcze ciebie. Teraz rozumiem, czemu chciałeś ze mną zerwać. - Jej głos twardnieje. Zamiast smutku słyszę w nim gniew.

- Nie wiem, kim oni byli, Ritu.

- Za to ja wiem doskonale. I nigdy mu tego nie wybaczę. Nie ma takiej siły, która by mi cię teraz odebrała - oznajmia. W jej spojrzeniu widzę nieustraszonność. - Chodźmy, Munna. Ogłoszę przed tymi wszystkimi ludźmi, że za ciebie wychodzę.

- I myślisz, że dostaniesz brawa, bo chcesz być żoną syna sprzątaczkę? To nie film, Ritu, to życie. A w życiu nie ma happy endów.

- Ale to moje życie. I od dziś będę żyła według swoich zasad. Nie pozwolę się zastraszyć dwóm przestępcom, którzy się podają za mojego ojca i brata.

- W takim razie zawrzyjmy porozumienie. Obiecuję, że niczego nie zrobisz pochopnie. A ja obiecuję, że cię stąd zabiorę, jak tylko się zagoją moje rany.

- Będę czekała na ten dzień, Munna.

Zrywa się lekki wiatr i wicherzy włosy Ritu. Kilka ciemnych pasemek spada jej na twarz. Czuję się, jakby stał przede mną anioł, którzy zszedł z nieba, żeby mi dać szczęście, uszlachetnić moje obrzydliwe życie swą czystością i niewinnością. I wiem, że nie mogę bez niej żyć, choć może potrafię dla niej umrzeć.

Na trawniku poruszenie.

- O, chyba przyjechała Shabnam Saxena - mówi Ritu.

- Mogę ją zobaczyć?

- Nie bądź niemądry. Musisz stąd odejść, zanim cię ktoś spostrzeże. Uważaj na siebie, Munna. Kocham cię. - Szybko całuje mnie w usta i wraca do domu. Cofam się w mrok i wyjmuję pistolet. Chcę jeszcze raz poczuć jego siłę, umocnić się w swym postanowieniu, że zabiję Vicky'ego Rai.

- Na twoim miejscu nie użyłbym tego pistoletu - mówi za mną jakiś głos.

Jestem tak zaskoczony, że wypuszczam broń z ręki. Z cienia wyłania się wysoki mężczyzna z czarną brodą ubrany w kremową *kurta*. Na ramiona ma zarzucony płowy szal.

- Nie martw się, przyjacielu, nie jestem policjantem. Nie mogłem się jednak powstrzymać, żeby nie podsłuchać twojej rozmowy z uroczą Ritu.

Pośpiesznie podnoszę pistolet i chowam go do kieszeni.

- Nigdy w życiu nie słyszałem tak poruszającego dialogu - ciągnie, gładząc nastroszoną brodę. - Jesteś urodzonym aktorem. Pozwól, że ci

się dokładniej przyjrzę. Mógłbyś stanąć w świetle, o, tutaj? Tak, doskonale. Ach, mój Boże, jesteś wspaniała. Nareszcie znalazłem swojego bohatera.

- Kim pan jest?

- Jestem Jay Chatterjee, reżyser. I właśnie postanowiłem dać ci bez żadnych zdjęć próbnych główną rolę w swoim następnym filmie. Do głównej roli kobiecej miałem zamiar zaangażować Shabnam Saxenę, ale przy tobie wyglądałaby za staro, więc muszę poszukać kogoś na jej miejsce.

- Główna rola? Shabnam Saxena? Czy to czasem nie jeden z tych kawałów z ukrytą kamerą?

- Jay Chatterjee nie robi kawałów - mówi mężczyzna kategorycznym tonem. - Czeką cię natychmiastowa sława. Zaczynasz nowe życie. Potrzebujesz tylko innego imienia.

- Dlaczego?

- Z imieniem Munna w naszej branży daleko nie zajdziesz. Od dzisiaj będziesz się nazywał... Chirag. Lampa. Świetnie! - Wyjmuje portfel i wyciąga z niego kilka banknotów. - Dwadzieścia tysięcy. Potraktuj to jako zaliczkę.

Drżącymi rękami biorę pieniądze.

- Wciąż trudno mi w to uwierzyć.

- Takie jest życie. Nigdy nie wiesz, co cię jutro czeka.

- Ale ja jestem synem sprzątaczk.

- No to co? Johnny Walker był konduktorem, Raaj Kumar policjantem, Mehmood²¹⁴ kierowcą. Kiedy pani Fortuna puka do drzwi, nie widzi, kto się za nimi kryje.

²¹⁴ Johnny Walker, Raaj Kumar, Mehmood - sławni indyjscy aktorzy z dawnych lat.

Jay Chatterjee zapisuje numer mojej komórki i wraca na trawnik, poruszając w powietrzu palcami, jakby grał na fortepianie. Ja jeszcze długo stoję pod drzewem i trzęsę się z podniecenia.

Wyobraźnia podsuwa mi nowe scenariusze. Widzę się w Bombaju, siedzę z Ritu w mercedesie, dookoła tysiące rozkrzyczanych fanów,

głównie dziewczęta. Błagają o autograf, wyznają mi dozgonną miłość, nagle atakuje je palkami policja. Wsiadam z samochodu, podnoszę rękę, policjanci się cofają. „Chirag! Chirag! Chirag!”, skanduje tłum, w niebo z wizgiem wzlatają piętnaście rakiet.

Otwieram oczy i widzę, że nadal jestem w Delhi, ale nad głową rzeczywiście lecą mi rakiety.

Dla Vicky'ego Rai czy dla mnie? *Kya bole?*²¹⁵

²¹⁵ *Kya bole?* - w bombajskim slangu: Jak myślisz?

18.

ODKUPIENIE

Eketi przycupnął za drzewem *kadam*²¹⁶ i czekał, aż zadzwoni budzik. Nie wiedział, ile czasu minęło, ale był cierpliwy. Od kiedy wszedł tylną furtką na teren posiadłości, wiele się wydarzyło. Zabił węża i z powodzeniem dokonał rytualnego egzorcyzmu, z czego byłby dumny nawet sam wielki Nokai. Najważniejsze jednak, że w sprawie powrotu na wyspę nie był już zdany na Ashoka - miał dość pieniędzy, żeby kupić bilety dla siebie i Champi.

216 Kadam - kadamba (Neolamarckia cadamba) - wiecznie zielone drzewo tropikalne. Uważane za święte, związane z hinduskim bogiem Kryszną.

Na myśl o Champi na twarzy pojawił mu się uśmiech, a w sercu ból. Nie mógł się doczekać, kiedy popędzi do niej ze świętym kamieniem. Jutro pojedą do Kalkuty, tam wsiądą na statek i popłyną na Mały Andaman, gdzie zostaną powitani jak bohaterowie. Poklepał brezentową torbę, teraz jedyne ogniwo łączące go z wyspą. Gлина, kości, gałki - wszystko to przypominało mu Gaubolambe, która z każdym upływającym dniem stawała się w jego wyobraźni większa.

Nagle z torby zaczęły się wydobywać ciche piski. Eketi natychmiast wstał, wyłączył budzik, otrzepał spodnie, powiesił sobie torbę na ramieniu i ruszył wykonać zadanie.

Dotarł do brukowanej ścieżki prowadzącej do garaży i się zatrzymał. Na ścieżce stał namiot, a w nim siekali, gotowali, smażyli kucharze.

Na gazowych kuchenkach parkotały aluminiowe garnki. Nad glinianym *tandoor*²¹⁷ nachylał się spocony mężczyzna w podkoszulku i na długi żelazny szpikulec nabijał świeżo upieczone *roti*. Eketi ominął namiot i dalej poszedł ścieżką. Do garaży dotarł bez przeszkód. Pod ścianą między dwoma garażami stało plastikowe krzesło, nad nim wisiała niebieska metalowa szafka. Już miał ją otworzyć, gdy na ramię spadła mu czyjaś ciężka ręka.

²¹⁷ *Tandoor* - piec.

- Stój! - usłyszał zza pleców dudniący głos. Odwrócił się raptownie i zobaczył ponurego mężczyznę w białej koszuli i szarych spodniach, z kijem hokejowym w ręku. - Kto ty jesteś?

- Jestem kierowcą pana Sharmy - odpowiedział Eketi i z trudem przełknął ślinę.

- To czego tu szukasz? Kierowcy jedzą w namiocie na zewnątrz. Tam. - Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Tak - odpowiedział Eketi i pół poszedł, pół pobiegł we wskazanym kierunku. Za zakrętem oparł się o ścianę - ze zdenerwowania poczuł niemoc w całym ciele.

Na frontowym podjeździe stał rząd samochodów, lecz nie było ani jednego kierowcy, gdyż wszyscy jedli kolację w namiocie koło bramy. W portyku panowała grobowa cisza, jaskrawo kontrastująca z hałasami w ogrodzie.

Eketi ukrył się za marmurową kolumną i spojrzał w kierunku garaży. Mężczyzna w szarych spodniach siedział na krześle pod tablicą rozdzielczą i chusteczką wycierał sobie kark, kij hokejowy oparł o nogę. Nie wyglądał na normalnego strażnika, najwyraźniej kazano mu tam siedzieć specjalnie po to, żeby nikt nie majstrował przy tablicy rozdzielczej. Eketi nie wiedział, co ma robić. Może powinien wrócić do świątyni Bhole Nath i zapytać Ashoka? A może po prostu, nie zważając na niewyłączone światło, iść po *ingetayi*? Gdzieś wysoko rozległ się świst. Podniósł głowę i ujrzał rozkwitający na niebie wielki zielony kwiat. Rozpoczął się pokaz fajerwerków.

Idąc ostrożnie portykiem, natrafił na otwarte okno. Za oknem była duża sala pełna ludzi, którzy rozmawiali i coś pili. Nagle powietrze rozdarł basowy skowyt głośnika i do mikrofonu stojącego tuż przy oknie podszedł wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze i fioletowym krawacie. Odwrócił się twarzą do zebranych, postukał w mikrofon i zaczął mówić.

- Przyjaciele, spotkaliśmy się, żeby uczcić moje uniewinnienie. Od początku twierdziłem, że jestem niewinny. Cieszę się, że sąd też był tego zdania. Jestem wdzięczny tym wszystkim spośród was, którzy swym wsparciem pomogli mi się nie załamać w czasie ponurych dni i nocy, gdy nie wiedziałem, czy nie spędzę reszty życia w śmierdzącej celi. Dziękuję wam. Jednak największe podziękowanie składam swojemu ojcu, człowiekowi, któremu zawdzięczam to, kim dzisiaj jestem. Tato, czy możesz tu podejść i powiedzieć kilka słów?

Do mikrofonu podszedł starszy mężczyzna w białej *kurta*. Objął tego w garniturze, a on przywarł doń kurczowo, jakby to było ich ostatnie spotkanie. Eketi zauważył nawet, że młodszemu po policzku popłynęła łza. Potem starszy zaczął mówić.

- Dopuścić polityka do mikrofonu to zawsze błąd - powiedział i w sali rozległo się kilka chichotów. - Ale dziś stoję tutaj nie jako minister spraw wewnętrznych Uttar Pradeś, tylko jako ojciec. A dla ojca nie ma większego szczęścia, niż gdy widzi, że jego dzieciom dobrze się wiedzie, nic zaś nie sprawia mu takiego bólu, jak wplątanie syna w całkowicie sfabrykowaną sprawę. Cieszę się, że ta długa, ciemna noc już się skończyła i mój syn może żyć jako wolny człowiek. To jest zwycięstwo tych wszystkich, którzy wierzą w sądy i sprawiedliwość. Swojemu synowi życzę bardzo długiego życia. Niech was Siwa błogosławi.

W sali rozległ się pomruk aprobaty. Na trawniku z hukiem strzeliła petarda i niebo rozświetliła błyszcząca pomarańczowa dynia.

Eketi wrócił na swój punkt obserwacyjny. Spojrzał w kierunku garaży, mając nadzieję, że mężczyzna w szarych spodniach odszedł, on jednak był tam nadal, lecz teraz stał i rozglądał się na prawo i lewo, jakby

sprawdzał, czy kogoś nie ma w pobliżu. Po chwili odwrócił się do tablicy rozdzielczej, otworzył szafkę i za moment cała posiadłość pogrążyła się w ciemnościach.

Dla Eketiego było to jak sygnał do działania. Zadygotał z podniecenia, bezgłośnie pobiegł brukowaną ścieżką i wpadł na ciemny trawnik. Gdy minął połowę jego długości, uderzył nogą w stół i upadł jak długi na ziemię. Z wnętrza domu dobiegły głośny huk, jakby strzelił silnik samochodu, i Eketi miał wrażenie, że na trawnik wbiegła jakaś postać. Lewa noga bardzo go bolała, ale oczy już mu się przyzwyczyły do ciemności i dystans dzielący go jeszcze od świątyni pokonał kilkoma susami. Rzucił torbę na podłogę i zaczął obmacywać ściany, w których były wnęki z wyobrażeniami różnych bóstw. *Ingetayi* odnalazł po trzydziestu sekundach. Dotknął gładkiej powierzchni, wyczuł znaki na wierzchołku i palce zaczęły mu drżeć. Bez trudu wyjął święty kamień z wnęki, wsunął go do torby, zarzucił ją sobie na ramię i popędził przez trawnik. Serce mu śpiewało. Wracał do domu. Do Champi. Na Gaubolambe.

Dotarł już prawie do skraju lasu, gdy światła się zapaliły.

- Stój! - krzyknął ktoś za jego plecami. Odwrócił się i zobaczył, że przez trawnik biegnie w jego stronę policjant z pałką w ręku.

Gwałtownym zrywem rzucił się w kierunku bezpiecznej gęstwiny, lecz obolała lewa noga odmówiła mu posłuszeństwa. Osunął się na ziemię, za sekundę policjant był przy nim.

- Co zrobiłeś, sukinsynu? - wysapał.

- Nic - odpowiedział Eketi, krzywiąc się z bólu.

- Dawaj to. - Policjant zdzielił go pałką w lewą nogę.

Eketi krzyknął i puścił torbę. Tamten ją podniósł i zrobił zdziwioną minę, zaskoczony ciężarem.

- Zobaczmy, co tam masz - mruknął, rozsunał suwak i zaczął po kolei wyjmować zawartość - bryłki czerwonej i białej gliny, woreczek ze świnińskim sadłem, kościany naszyjnik i na koniec święty kamień.

- O, to wygląda na *shivling*! Skąd go ukradłeś? - Zanim Eketi zdążył odpowiedzieć, policjant jeszcze raz pogmerał w torbie.

Pod palcami poczuł jakiś twardy metalowy przedmiot. Zmarszczył brwi i wyciągnął srebrzysty rewolwer. Był to *katta*, lokalna prowizorka.

- A to co, skurwielu?
- Nie wiem. To nie moje - odpowiedział kompletnie zaskoczony Eketi.
- To skąd się wziął w twojej torbie?
- Nie wiem, jak się tam znalazł.
- Nie martw się, już my się dowiemy - powiedział policjant i wyjął kajdanki. - Chodź, czarnuchu, jesteś aresztowany.

19.

EWAKUACJA

Zostałam aresztowana. Za zamordowanie Vicky'ego Rai.

To nie początek scenariusza czy powieści. Piszę, siedząc na chwiejącej się ławce w archiwum komisariatu w Mehrauli, gdzie mnie zamknięto razem z pięcioma innymi podejrzanymi. Jest to duży pokój z wysokimi na pięć metrów metalowymi półkami pełnymi skoroszytów. Każdy kąt ozdabiają pajęczyny, pod drewnianym sufitem wisi staroświecki wentylator. Panuje tu stęchły zapach biblioteki zmieszany z odorem kostnicy, więc z ulgą przyjmuję każdy podmuch wiatru wpadający od czasu do czasu przez małe zakratowane okno. Słyszę ciche bębnienie deszczu. Pada od dwóch godzin.

Zjawiłam się na przyjęciu po jedenastej, celowo późno, jak to jest w modzie. Na trawniku roili się ludzie. Miałam wrażenie, że uniewinnienie Vicky'ego Rai świętuje całe delhijskie „Who's Who”. Był tam też Jagannath Rai, stale w otoczeniu gromady pasożytów w nakrochmalonych *kurta*. Cała ta ordynarna manifestacja władzy, ta zniewaga dla sprawiedliwości napawała mnie obrzydzeniem. Jeszcze większe obrzydzenie wywoływał we mnie Vicky Rai. Patrząc na niego z bliska - na łuszczącą się bliznę na policzku, na ślinę pryskającą mu z ust, gdy mówił w podnieceniu - czułam wstręt do samej siebie za to, że szukałam u niego pomocy. Za uratowanie siostry miałam zapłacić rzeczywiście bardzo wysoką cenę.

Zaraz na początku spotkałam tam najdziwniejszego Amerykanina na świecie. Był przystojny, bardzo podobny do Michaela J. Foksa; bogaty,

właśnie dostał piętnaście milionów dolarów, i zakochany we mnie do szaleństwa. Ale okazał się psycholem, przed którym wcześniej ostrzegła mnie Rosie. Pozbyłam się pana Larry'ego Page'a i Ricka Myersa w jednej osobie szybciej, niż zdążył powiedzieć „Cześć”.

Kiedy wybiła północ, w ogrodzie rozpoczął się pokaz fajerwerków, a w salonie zaczęły się przemowy. Vicky Rai i jego ojciec mówili, jakby należeli do towarzystwa wzajemnej adoracji. Od ich łzawych panegiryków rozboleł mnie brzuch. Później Vicky podszedł do baru i zaczął sobie mieszać drinka i wtedy zgasło światło i w całym domu zrobiło się ciemno. Mieszkając w Bombaju, prawie zapomniałam, jak w Azamgarhu nękały nas przerwy w dopływie prądu. Jednak ta nagła ciemność w Number Six nie wyglądała na niezapowiedziane wyłączenie z powodu przeciążenia sieci energetycznej. To raczej pachniało kawałem.

- *Arrey*, co się stało? - krzyknęłam.

- Włączcie agregat! - ktoś zawołał.

Wtedy rozległ się strzał.

- Nieee! - wrzasnął Jagannath Rai. Za chwilę na zewnątrz wybuchła petarda, z takim hukiem, jakby to się stało w sali. Myślałam, że mi popękają bębenki.

Przez mniej więcej trzy minuty kompletnych ciemności w domu panował nieopisany harmider. Gdy światła się zapaliły, oślepiając mnie na moment, i gdy zaczęłam normalnie widzieć, pierwszą rzeczą, jaką spostrzegłam, było ciało Vick'ego Rai leżące pod oknem obok baru. Krew sącząca się na białą koszulę plamiła ją na purpurowo. Usłyszałam następny przenikliwy krzyk i uświadomiłam sobie, że krzyczę ja. W tej samej chwili do sali wpadli policjanci z wąsatym inspektorem na czele.

- Nie ruszać się! - wrzasnął inspektor, jakby to był kolejny odcinek „CID”²¹⁸. Zobaczył ciało Vicky'ego Rai, nachylił się, sprawdził puls, zajrzał pod powieki.

²¹⁸ „CID” - popularny serial policyjny wyświetlany w indyjskiej telewizji.

- Gotowy - oznajmił i utkwiał wzrok w zebranych. - Wiem, że zrobił to jeden z was. Kazałem otoczyć posiadłość. Policja wszystkich

sprawdzi. Wcześniej nikomu nie wolno opuszczać Number Six. Rozpoczynamy przeszukiwanie gości.

Poczułam, że robi mi się zimno. Pierwszy został przeszukany Amerykanin. Policjant kazał mu stanąć w rozkroku i rozłożyć ręce. Wyglądał jak strach na wróble z wyszczerzonymi zębami. Policjant zaczął go obmacywać i nagle spod marynarki wyciągnął eleganckiego glocka z tłumikiem.

- Co to jest? - krzyknął i pomajtał pistoletem zawieszonym na palcu.

- Coś takiego! - zdziwił się Amerykanin. - Nie mam pojęcia, jak ten gnat się tam znalazł. Nawet bym nie potrafił z tego cholerstwa wystrzelić.

- Zabierz go na przesłuchanie - polecił inspektor policjantowi i zwrócił się do mnie.

- Pozwoli pani, Shabnamji, że sprawdzę pani torebkę. - Zanim zdążyłam zaprotestować, wyrwał mi torebkę z ręki i zaczął w niej myszkować z wprawą celnika. Znalazł berettę.

- O, to pani też ma broń? - powiedział, zdziwiony jak ksiądz, który spotkał w burdelu zakonnice. - A mogę wiedzieć, dlaczego ją pani zabrała na przyjęcie?

- Noszę ją dla własnej obrony - odparłam lodowatym tonem, mając nadzieję, że nie słyszy, jak mi wali serce.

Wyjął magazynek, dokładnie obejrzał, powąchał.

- Hm... Jeden pocisk wystrzelony. Czy jest pani pewna, że nie do Vicky'ego Rai?

- Oczywiście, że nie - odparłam pogardliwym tonem, jakiego używam w stosunku do służących, którzy sobie za dużo pozwalają.

- Jednak będzie pani musiała pojechać na komisariat. Zabierz ją, Meeta. - Gestem przywołał zaniedbaną policjantkę.

Kiedy Meeta mnie wyprowadzała, zobaczyłam pana Mohana Kumara, ostatnio bardziej znanego jako Baba Gandhi, który chyba dostał ataku epilepsji. Toczył pianę z ust i rozpaczliwe próbował coś wypluć.

Obok stał policjant z waltherem PPK znalezionym w kieszeni jego *kurta*. Ciekawe, jak ten wielki przeciwnik przemocy się z tego wytłumaczy, pomyślałam. Czyżby wypróbował nową wersję *gandhigiri*?

Pan Jagannath Rai miał najwyraźniej podobne kłopoty.

- Powtarzam: to jest zarejestrowany webley & scott, którego mam od dwudziestu lat - tłumaczył policjantowi oglądającemu szary rewolwer z drewnianą kolbą. Gdy się okazało, że tamten jest głuchy na jego wyjaśnienia, zwrócił się do inspektora: - Ktoś zabił mojego jedyne go syna, a wy, zamiast chwytać mordercę, próbujecie oskarżyć mnie, ojca? Jestem ministrem spraw wewnętrznych Uttar Pradeś. Każę was aresztować.

Inspektor spojrział na niego wilkiem.

- Panie Rai, to nie Uttar Pradeś, gdzie może pan robić, co się panu podoba. To jest Delhi i tu będzie pan robił, co się nam podoba. Każdy, kto jest na tym terenie z bronią, jest podejrzany o morderstwo. Nie wyłączając pana. Aresztuj go, Preetam Singh.

Wpakowali nas do niebieskiego vana z drucianą siatką w oknach i zawieźli do Mehrauli na komisariat. Archiwum było tu chyba najobszerniejszym pomieszczeniem, ale i tak o niebo lepszym niż areszt. Tu poznałam dwóch pozostałych podejrzanych, bez wątplenia najbardziej intrygujących z całego towarzystwa. Jednym był autochton z Dźharkhandu, niskiego wzrostu, o najczarniejszej skórze, jaką kiedykolwiek widziałam. Nie zwracał na mnie uwagi, tylko siedział na podłodze i usychał z tęsknoty za jakąś Champi. Każdego przechodzącego policjanta pytał, czy nie ma od niej wiadomości, a oni na niego klęli i mu wygrazali.

Drugi to Munna Mobile, chudy młody człowiek z długimi kręconymi włosami. Był przystojny i wyglądał na zawiadaczkę - trochę mi przypominał Salima Ilysięgo - ale miał też w sobie jakąś niepokojącą arogancję. Powiedział mi, że kiedy zgasło światło, był w ogrodzie, nie potrafił jednak przekonująco wytłumaczyć, co tam robił z chińskim pistoletem Black Star w kieszeni.

Do archiwum bezustannie wchodzili policjanci. Udawali, że czytają akta, ale głównie gapili się poządlwym wzrokiem na mnie, najbardziej znaną osobę, jaka kiedykolwiek zaszczyliła swą obecnością ich okropny komisariat.

Mohan Kumar, albo Baba Gandhi, krążył po pokoju jak zagubione dziecko, a w końcu usiadł koło mnie i łypnął dziwnym wzrokiem.

- To co, Shabnam, zdecydowałaś się wreszcie zagrać w „Planie B”?

Jego głos był tak niesamowicie podobny do głosu Vicky'ego Rai, że aż się wzdrygnęłam. Facet naprawdę mnie przestraszył.

Natychmiast przeniosłam się na inną ławkę, gdzie siedział zamyślony Larry Page. Przypomniały mi się słowa Mistrza: „Ze wszystkich ludzkich strapien najbardziej bolesne jest to: tyle wiedzieć i nad niczym nie panować”. Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, z czym musi się zmierzyć więzień czekający na egzekucję, jak musi się czuć bezsilny wobec potęgi państwa. Nieokrzesani policjanci rozbierali mnie wzrokiem, a mnie strach ścisnął gardło. Byłam przekonana, że wcześniej czy później policja znajdzie ciało w Azamgarhu, odkryje, że ten człowiek został zastrzelony z pistoletu, który miałam w torebce, i oskarży mnie o morderstwo. Znajdę się na łasce gliniarzy z żądzą w oczach, którzy już się ślinili na myśl, że będą mnie przesłuchiwać. Na pewno rozbiorą mnie do naga, całkiem możliwe, że zgwałcą.

A jeśli nawet uda mi się przeżyć mimo oskarżenia o morderstwo, nie zdołam uniknąć bankructwa. Dziś rano się dowiedziałam, że Bhola wziął pieniądze nie tylko od Jugsa Luthra, lecz także od co najmniej czterech innych producentów.

Jagannath Rai stał w kącie i rozmawiał z adwokatem. Mnie by się przydał specjalista od sytuacji bez wyjścia.

Możliwości działania miałam coraz mniej. Jeszcze raz przemyślałam to, co wiedziałam o Amerykaninie, który siedział obok. Twierdził, że jest zwyczajnym operatorem wózka widłowego, ale znaleziono przy nim glocka, więc nos mi podpowiadał, że jest tajnym agentem. Żeby dostać

piętnaście milionów dolarów nagrody i list pochwalny od prezydenta Stanów Zjednoczonych, musiał być wielkim bystrzakiem, a tylko doskonale grał głupka i naśladował nieudolnych detektywów z filmów i powieści. Mógł być moją szansą. Przysunęłam się do niego bliżej.

- Larry, mówiłeś, że jesteś w jakimś programie ochrony świadków. Mogłabym do ciebie dołączyć?

O mało nie spadł z ławki.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Pomyślałam, że może mogłabym pojechać z tobą do Stanów.

- Czytasz mi w myślach. Zaraz się dowiem - zaszczebiotał, wyjął komórkę i wystukał numer.

Po dziesięciu minutach znał odpowiedź.

- Rozmawiałem z Lizzie, szefową placówki CIA. Powiedziała, że pociągnie za sznurki, żeby cię włączyli do programu. I jak to się u nas mówi, już pracuje nad tym, żeby nas stąd wydostać. Wojskowy boeing 757 czeka, żeby nas odstawić do Stanów. Ale jest jedna komplikacja.

- Jaka?

- Lizzie powiedziała, że mogą cię włączyć do programu tylko jako moją ślubną żonę. - Padł na kolana i złożył ręce. - Wyjdiesz za mnie, Shabnam?

Spojrzałam w jego zakochane oczy i wstałam z ławki. Podeszłam do zakratowanego okna. Deszcz przestał padać, w powietrzu wisiała biaława mgła. Ziemia się budziła, na nowo żywna, pachnąca błotem i trawą, rześka i świeża. Noc się skończyła, zza horyzontu zaczynało się wyłaniać słońce, obwieszczając nowy dzień. Poczułam wzruszenie.

- Tak - głęboko odetchnęłam. - Wyjdę za ciebie, Larry.

- Czuję się szczęśliwszy niż świnia w słońcu - powiedział i zbladł, aż myślałam, że zemdleje z radości. - To rzucisz dla mnie film?

Uśmiechnęłam się.

- Dla ciebie rzucę nawet Indie. - Polubiłam tego człowieka. Kto wie, może z czasem go pokocham.

Larry zaczął robić taneczne podskoki, nagle przestał, jakby mu się coś przypomniało.

- Lizzie powiedziała, że jest jeszcze jedna rzecz.
- Co takiego?
- Nie możesz już być Shabnam. Każdy włączony do programu musi mieć zupełnie nową tożsamość. Masz sobie wymyślić inne nazwisko, a Lizzie ci raz dwa załatwi nowy paszport.

To powinno być coś zgrabnego i prostego, pomyślałam, ale żeby oznaczało całkowite zerwanie z przeszłością *filmi*. Przeciwnieństwo Shabnam Saxeny. I nagle, w ułamku sekundy, wiedziałam.

- Już mam. - Strzeliłam palcami.
- Powiedz, powiedz.
- Ram Dulari - oznajmiłam triumfalnie.

ROZWIĄZANIE

*Jeśli chcesz żyć w mieście,
musisz przewidywać,
co jest za trzecim zakrętem,
doszukiwać się prawdy w kłamstwie,
a potem kłamstwa w tej prawdzie.*

Vikram Chandra, „Sacred Games”

NAGA PRAWDA

Rubryka Aruna Advaniego, 27 marca

Morderstwo, seks i kasety magnetofonowe

Kiedyś wyjaśnianie morderstw było łatwe. Mieściły się w przewidywalnych schematach przyczynowo-skutkowych, były elegancko poszufladkowane według motywów, na przykład *jar*, *joru*, *jameen*. Pieniądze, kobieta, ziemia.

Dziś po ulicach naszych miast grasują seryjni mordercy, maniacy seksualni, ćpuni i psychopaci. Chorzy ludzie, którzy zabijają dla zabawy. A liczby ciągle rosną. Przepięstwo z użyciem przemocy zdarza się w Indiach co trzy minuty, morderstwo co szesnaście. Co gorsza, z rejestrowanych codziennie dziewięćdziesięciu morderstw większość nigdy nie zostaje wyjaśniona.

Na szczęście morderstwa Viveka „Vicky'ego” Rai nie spotka ten los, gdyż zgodnie z poczynioną tu wcześniej obietnicą, rozwiązałem tę sprawę, odkryłem nagą prawdę.

Muszę jednak przyznać, że do jej ujawnienia przyczyniła się opatrność. Ludzie zwykle myślą, że dziennikarze śledczy posługują się przede wszystkim ukrytymi mikrofonami i miniaturowymi urządzeniami do nagrywania, ale to nieprawda. W naszej pracy najbardziej

pomocny jest nie sprzęt elektroniczny, tylko wsparcie ze strony społeczeństwa, współpraca z ludźmi. To od nich dostajemy anonimowe informacje, które nas naprowadzają na ślad. To często dzięki ich spostrzegawczym oczom i czujnym uszom dochodzi do ujęcia podejrzanego. Ujawnić prawdę o najgłośniejszym morderstwie w Indiach pomogła mi czujność i staranność zaniepokojonego obywatela.

Wczoraj rano dostałem grubą kopertę. Zwyczajną, żółtą, z nalepką, na której na maszynie napisano moje nazwisko i adres. W środku było osiem kaset magnetofonowych owiniętych folią. Cały wczorajszy dzień i większość nocy spędziłem na słuchaniu i zapisywaniu ich zawartości.

Pełny zapis ukaże się w jutrzejszym numerze. Proszę sobie już dzisiaj zamówić egzemplarz, bo treść kaset - nazwałem je kasetami Jagannatha Rai - jest bez przesady wstrząsająca.

W sprawie o morderstwo Vicky'ego Rai było sześcioro podejrzanych, lecz tylko jeden morderca. Kiedy piszę te słowa, nie podano jeszcze wyników badań balistycznych, ale teraz już nie są one potrzebne. Mogę ogłosić nazwisko mordercy: to Mukhtar Ansari, znany płatny zabójca działający głównie w Uttar Pradeś. Wynajął go ni mniej, ni więcej, tylko Jagannath Rai, minister spraw wewnętrznych Uttar Pradeś, tatuś Vicky'ego Rai.

Kasety Jagannatha Rai są nie tylko kroniką ostatecznego upadku ojca. Dowodzą one również, jak nisko upadło nasze państwo. Obnażają cyniczne machinacje i bezczelne intrygi, które degenerują demokrację w naszym najludniejszym stanie. Pokazują cały brud Uttar Pradeś, gdzie dziennikarstwo śledcze albo jeszcze nie dotarło, albo się wypaczyło i przerodziło w brukowe. Z kaset wyłania się ponury obraz. Nie ma herosów w błyszczących zbrojach. Wszyscy jesteśmy jednakowo nadzy. Cała odpowiedzialność spada na nas, obywateli, wyborców. To przez naszą apatię i obojętność nastąpiła kryminalizacja polityki, gangsterzy jak Jagannath Rai wygrywają wybory, zostają posłami i ministrami

i rządzą stanem jak panowie feudalni, bezkarnie łamiąc prawo. Związek ministra spraw wewnętrznych ze śmiercią Vicky'ego Rai to tylko wierzchołek góry lodowej. Obszerniejszą listę jego zbrodniczych (i erotycznych) dokonań znajda Państwo w jutrzejszym numerze.

Przedstawię teraz na podstawie taśm hipotetyczny przebieg wydarzeń owej feralnej nocy dwudziestego trzeciego marca. Jagannath Rai postanowił pozbyć się krnąbrnego syna, żeby sobie zapewnić poparcie krnąbrnych posłów i zostać premierem. Zlecił to zadanie zaufanemu płatnemu zabójcy Mukhtarowi Ansariemu. Plan był prosty. Jagannath Rai zostawił służbowe wejście na teren posiadłości Vicky'ego Rai otwarte i Mukhtar Ansari wszedł tamtędy niezauważony. Pięć minut po północy człowiek Jagannatha wyłączył prąd i Mukhtar wykonał zadanie. Zanim policja zdążyła otoczyć posiadłość, uciekł tą samą drogą, którą się tam dostał.

Co robiła szóstka uzbrojonych podejrzanych, mogę się tylko domyślać. Z absolutną pewnością mogę jednak powiedzieć, że Vicky'ego Rai nie zabił żaden z nich. Zabójca - Mukhtar Ansari - jest na wolności. Trzeba go schwytać, zanim znowu kogoś zabije.

Dobremu samarytaninowi, który mi przysłał kasety, mówię „Dziękuję”. Jagannathowi Rai mówię „Przepadnij”. Opublikowanie treści kaset powinno oznaczać koniec jego kariery - politycznej i kryminalnej. Powinno zamknąć żalony rozdział w historii stanu, który ma najwięcej przedstawicieli w parlamencie.

Mam również głęboką nadzieję, że treść kaset poruszy przywódców i wszystkich obywateli naszego kraju. Oczyszcmy system polityczny z elementów przestępczych, sprawmy, by łamiący prawo nie stawali się jego twórcami. Tylko w taki sposób można ochronić i wzmocnić naszą demokrację. Tylko tak można zapewnić naszym dzieciom godną przyszłość.

21.

NAJNOWSZE WIADOMOŚCI

Nadane 28 marca o 10.07

TRANSKRYPT SPORZĄDZONY W POŚPIECHU. TO NIE MUSI BYĆ JEGO OSTATECZNA WERSJA, MOŻE ZOSTAĆ POPRAWIONY

BARKHA DAS: Opublikowanie treści kaset Jagannatha Rai przez Aruna Advaniego było jak wybuch bomby. Politycy z Lucknow, których nazwiska znalazły się w tym drastycznym zapisie, chętnie by się schowali w mysią dziurę... Jagannath Rai, minister spraw wewnętrznych Uttar Pradeś, został aresztowany za zamordowanie Vicky'ego Rai, Pra-deepa Dubeya, Lakhana Thakura, Navneeta Brara i Rukshany Afsar oraz za uprowadzenie syna Gopala Tripathiego... Mamy połączenie z Anantem Rastogim, naszym korespondentem w Lucknow. Anant...

ANANT RASTOGI: Wygląda na to, że Jagannath Rai dotarł do końca swej drogi. Posługując się terrorem, przez dwadzieścia lat trzymał stan w żelaznym uścisku, lecz wreszcie prawo go dopadło. Myślę, że Ludowa Partia Dobrobytu płaci teraz cenę trzymania przestępców w swych szeregach.

BARKHA DAS: Ale Jagannath Rai twierdzi, że wszystko zostało sfabrykowane, że nie ma dowodów i że to jest spisek uknuty przez premiera.

ANANT RASTOGI: Nie może podważyć dowodów z kaset. Eksperci potwierdzili, że to jego głos. Dlatego premier działał szybko - żeby opinia rządu nie ucierpiała jeszcze bardziej.

BARKHA DAS: Masz rację, Anant. Tak się składa, że niedawno udało nam się przeprowadzić rozmowę z premierem. Oto co miał do powiedzenia:

PREMIER UTTAR PRADEŚ: Moja partia, Ludowa Partia Dobrobytu, jest głęboko poruszona oskarżeniami przeciwko Jagannathowi Rai. Jeśli okażą się prawdziwe, będzie zasługiwał na najsurowszą karę. Jagannath Rai nie tylko został usunięty ze stanowiska ministra, lecz także pozbawiony członkostwa w LPD. Wejście przestępców do polityki to smutna rzeczywistość i wszystkie partie są temu jednakowo winne. Korzystając z okazji, apeluję do partii politycznych, by przeprowadziły rachunek sumienia. Jako pierwszy krok w kierunku oczyszczenia życia publicznego moja partia, LPD, podjęła decyzję, że od tej pory żaden poseł, który był karany, nie zostanie ministrem.

BARKHA DAS: Słowa premiera cieszą. Mamy nadzieję, że inne partie polityczne pójdą w ślady LPD. Tymczasem trwają poszukiwania Mukhtara Ansariego, płatnego zabójcy wynajętego przez Jagannatha Rai. Podobno grupa specjalna policji wpadła już na jakiś trop. O dalszym rozwoju wydarzeń będziemy państwa informowali na bieżąco. Na tym na razie kończymy. Barkha Das, ITN Live.

NAJNOWSZE WIADOMOŚCI

Nadane 28 marca o 14.35

TRANSKRYPT SPORZĄDZONY W POŚPIECHU. TO NIE MUSI BYĆ JEGO OSTATECZNA WERSJA, MOŻE ZOSTAĆ POPRAWIONY

BARKHA DAS: W sprawie morderstwa Vicky'ego Rai sytuacja uległa poważnej zmianie. Policja poinformowała o przełomie w poszukiwaniach Mukhtara Ansariego. Dziś w jednym z domów w Sarai Meer na przedmieściach Azamgarhu znaleziono jego ciało w stanie daleko posuniętego rozkładu. Specjaliści od medycyny sądowej stwierdzili, że zmarł od rany postrzałowej i że ciało leżało tam co najmniej od tygodnia. Jeśli mają rację, Mukhtar Ansari nie mógł być dwudziestego trzeciego marca w posiadłości Vicky'ego Rai. Kto go w takim razie zabił? Żeby uzyskać odpowiedź na to pytanie, połączyliśmy się z panem K.D. Sahayem, komendantem policji w Delhi. Witam pana. Jakie nowe informacje w sprawie morderstwa Vicky'ego Rai ma pan do przekazania?

K.D. SAHAY: Przede wszystkim chcę ostrzec telewidzów, żeby nie wierzyli we wszystko, co przeczytają w gazetach. Słynna hipoteza znanego dziennikarza śledczego Aruna Advaniego okazała się stekiem kłamstw.

BARKHA DAS: Z całym szacunkiem, panie komendancie - Arun Advani nie mógł wiedzieć o tym, że Mukhtar Ansari został zamordowany. Czy policja wpadła jeszcze na jakiś trop?

K.D. SAHAY: Trop? Myśmy tę sprawę rozgryźli! Mogę już powiedzieć telewidzom, kto zabił Vicky'ego Rai. Jak wiadomo, mieliśmy sześcioro podejrzanych, wszyscy tamtej nocy byli uzbrojeni. Odnaleźliśmy też pocisk, który przeszył ciało Vicky'ego Rai i utkwił w drewnianym barze. Zgodnie z końcowym sprawozdaniem z badań balistycznych, które ogłoszono wczoraj, Vicky Rai został zabity pociskiem kalibru trzydzieści dwie setne cala, a broń pasującą do tego pocisku, prymitywny rewolwer miejscowej produkcji *zwany katta*, znaleziono u Jiby Korwy, autochtona z Dżharkhandu. Nie ma wątpliwości, że morderstwo popełniono za pomocą tej broni. Jibę Korwę widziano w pobliżu głównej tablicy rozdzielczej. To on wyłączył oświetlenie, a potem pobiegł do sali, gdzie był Vicky Rai, i go zastrzelił.

BARKHA DAS: A jak Jiba Korwa tłumaczy swoją obecność tamtej nocy w posiadłości Vicky'ego Rai?

K.D. SAHAY: Zafundował nam bajeczkę, że wszedł na teren posiadłości, żeby ukraść *shivling*, święty kamień, który należy do jego plemienia, ale trzeba zacząć od tego, że Vicky Rai nigdy takiego kamienia nie miał. Od policji z innych stanów wiemy, że historia karalności Korwy jest długa na kilometr. Teraz go poszukują w Tamil Nadu za oszustwo i w Biharze z morderstwo. W dodatku w jego kwaterze znaleziono znaczną ilość literatury naksalickiej. Przypuszczamy, że jest jednym z przywódców Maoistowskiego Centrum Rewolucyjnego, ugrupowania naksalitów, które w samym Dżharkhandzie zamordowało ponad stu policjantów.

BARKHA DAS: Ale dlaczego naksalicy mieliby obrać sobie za cel Vicky'ego Rai?

K.D. SAHAY: Ponieważ Vicky inwestował w projekt specjalnej strefy ekonomicznej w Dźharkhandzie. Naksalicy grozili mu śmiercią, a w końcu go dopadli. Ale myśmy dopadli mordercę - przywódcę naksalitów Jibę Korwę.

BARKHA DAS: Dziękuję, panie komendancie, i gratuluję rozwikłania tej sprawy. To był komendant policji K.D. Sahay. Wydaje się więc, że ostatni rozdział historii morderstwa Vicky'ego Rai został zamknięty. Czy na pewno? Barkha Das dla ITN Live.

23.

NAJNOWSZE WIADOMOŚCI

Nadane 31 marca o 13.21

TRANSKRYPT SPORZĄDZONY W POŚPIECHU. TO NIE MUSI BYĆ JEGO OSTATECZNA WERSJA, MOŻE ZOSTAĆ POPRAWIONY

BARKHA DAS: Sprawa śmierci Mukhtara Ansariego przybrała dziś sensacyjny obrót. Za jego zamordowanie aresztowano w mieszkaniu w Bombaju znaną aktorkę Shabnam Saxenę i jej sekretarza Bholę Srivastave. Znaleziono u nich kilka kompromitujących kaset wideo. Mamy połączenie z naszym bombajskim korespondentem Rakeshem Vaidya. Co masz dla nas, Rakesh?

RAKESH VAIDYA: Jeśli nie liczyć skazania Sanjaya Dutta²¹⁹ w sprawie z 1993 roku o spowodowanie w Bombaju serii wybuchów, to jest bez wątpienia największy skandal w dziejach indyjskiego przemysłu filmowego. Cała branża jest w szoku. Producenci, którzy zapłacili Shabnam miliony, drżą z niepokoju.

²¹⁹ Sanjay Dutt - sławny hollywoodzki aktor skazany za przechowywanie w swym domu broni należącej do przestępców. Obecnie trwa w jego sprawie postępowanie odwoławcze.

BARKHA DAS: Czy policja się domyśla, co mogło skłonić sławną aktorkę do popełnienia takiego czynu?

RAKESH VAIDYA: Policja sprawdza kilka tropów. Dowiedziałem się, że Shabnam miała romans ze swoim sekretarzem Bholą Srivastavą, który nagrał z nią kilka drastycznych kaset. Te kasety w jakiś sposób dostały się w ręce Mukhtara Ansariego, który zaczął ją szantażować, więc Shabnam pojechała do Azamgarhu, żeby mu zapłacić i je odebrać. Policja nie wie, co się tam dokładnie stało, ale są świadkowie, którzy widzieli, jak wychodziła z domu, gdzie potem znaleziono zwłoki. Jak wiadomo, Shabnam Saxena była również jedną z podejrzanych w sprawie o morderstwo Vicky'ego Rai, ale ją zwolniono, kiedy badania balistyczne dowiodły, że broń, którą przy niej znaleziono, nie była narzędziem zbrodni. Teraz policja ma niezbity dowód, że z tej właśnie broni zabito Mukhtara Ansariego. Kasety znaleziono w mieszkaniu Bholi Srivastavy, więc wszystko wydaje się do siebie pasować.

BARKHA DAS: A jak zareagowała na te zarzuty Shabnam Saxena? Czy znamy jakąś jej wypowiedź?

RAKESH VAIDYA: Dziwna rzecz, ale Shabnam Saxena teraz twierdzi, że wcale nie jest Shabnam Saxena, tylko Ram Dulari ze wsi w Biharze. Mówi, że Azamgarhu nie widziała na oczy i że tylko była dublerką Shabnam. Oczywiście nikt się na to nie dał nabrać. Mnie się wydaje, że chce się wywinąć pod pretekstem niepoczytalności. Mogę...

BARKHA DAS: Sekundę, Rakesh. Właśnie dostałam informację, że niedawno policja zastrzeliła przywódcę naksalitów Jibę Korwę, gdy próbował uciec z aresztu komisariatu w Mehrauli. Maoistowskie Centrum Rewolucyjne potępiło akcję policji i poprzysięgło zemstę. A wracając do historii Shabnam Saxeny, Rakesh, to chyba będzie ona z każdym dniem coraz ciekawsza.

RAKESH VAIDYA: Z pewnością, Barkha. W tej chwili tylko jedno jest pewne: długo nie zobaczymy Shabnam w nowej roli.

BARAKHA DAS: Dziękuję, Rakesh. Tak więc Shabnam Saxena i jej sekretarz i kochanek Bholu Srivastava zostali aresztowani pod zarzutem zamordowania groźnego gangstera Mukhtara Ansariego. Nie wiemy, jak to się ostatecznie skończy, ale ta historia ma wszelkie cechy filmowego hitu. O jej dalszym rozwoju będziemy państwa informować na bieżąco, w miarę napływania nowych materiałów. O 19.00 zapraszamy na specjalne wydanie programu „Insight”. Dziś będzie on poświęcony związkowi Bollywood z przestępczością. Żegnam państwa. Barkha Das, ITN Live.

24.

NAGA PRAWDA

Rubryka Aruna Advaniego, 1 kwietnia

J'accuse!

Szanowna Pani Prezydent, piszę ten list jako zaniepokojony obywatel naszego wielkiego demokratycznego państwa. Jest Pani strażnikiem konstytucji, czuję się przeto w obowiązku poinformować Panią, że wczoraj obywatela Indii Jibę Korwę pozbawiono „prawa do życia i wolności”, jakie zapewnia artykuł 21.

Kto to taki, spyta Pani. Jak twierdzi policja, Jiba Korwa był groźnym terrorystą należącym do nielegalnego Maoistycznego Centrum Rewolucyjnego i wczoraj po południu został zastrzelony przez inspektora Vijaya Yadava podczas próby ucieczki z aresztu komisariatu w Mehrauli, gdzie się znalazł w związku z morderstwem biznesmena Vicky'ego Rai. Badania balistyczne dowiodły niezbicie, że pocisk, który zabił Vicky'ego Rai, wystrzelono z broni znalezionej przy Korwie tej nocy, gdy popełniono morderstwo. Podobno zanim Jiba Korwa został zabity, przyznał się do winy i podpisał stosowne oświadczenie. Gdy piszę te słowa, policjanci pewnie poklepują się po plecach, zadowoleni, że rozwiązali sprawę głośnego morderstwa bez żmudnej procedury sądowej. Bohaterski inspektor Vijay Yadav i jego ludzie, którzy uwolnili naszą stolicę od groźnego przestępcy, dzięki czemu stała się bezpieczniejsza,

prawdopodobnie zostaną odznaczeni medalami za dzielność. Media zajęły się już innymi tematami. Kogo zresztą obchodzi życie jakiegoś wstrętnego naksality z brudnej wioski w Dżharkhandzie? Śmierć terrorysty stała się rzeczą tak banalną, tak powszechną, że zastanawiamy się nad nią najwyżej kilka chwil, po czym przechodzimy do spraw znacznie bardziej interesujących, jak sztuczki Shabnam Saxeny czy plotki na temat ostatnich przetasowań w rządzie.

Parafrazując Szekspira, powiem: przychodzę chować Jibę, nie chwalić. A gdybym Pani powiedział, że człowiek zabity przez policję to wcale nie Jiba Korwa? Że bynajmniej nie był naksalickim terrorystą, lecz strażnikiem spuścizny niemal wymarłej cywilizacji, jednym z ostatnich pierwszych ludzi naszej planety? Jak sądzę, wreszcie wzbudziłem Pani zainteresowanie.

Jiba Korwa naprawdę nazywał się Eketi. Nie pochodził z Dżharkhandu, lecz z wyspy zwanej Małym Andamanem leżącej w Zatoce Bengalskiej. Należał do plemienia Onge o prymitywnej kulturze łowiecko-zbierackiej, które do dziś posługuje się łukiem i strzałami. Według ostatniego spisu plemię to liczyło już tylko dziewięćdziesiąt siedem osób. Teraz liczy dziewięćdziesiąt sześć.

Skąd to wszystko wiem, spyta Pani. Otóż spotkałem Eketiego dzień przed tym, jak został zabity. Trzydziestego marca o godzinie piętnastej przyszedłem na komisariat w Mehrauli i okazałem dokument, z którego wynikało, że się nazywam Akhilesh Mishta i jestem dyrektorem w Biurze Wywiadu odpowiedzialnym za bezpieczeństwo wewnętrzne, ze szczególnym uwzględnieniem działalności naksalitów. Oficer dyżurny komisariatu Rajbir Singh elegancko zasalutował i zaprowadził mnie do aresztu, gdzie trzymali Jibę Korwę.

Było to pomieszczenie o wymiarach trzy na dwa i pół metra, z pokrytymi pleśnią ścianami i zakratowanym okienkiem ukazującym skrawek niebieskiego nieba. W środku stało żelazne łóżko z podartym materacem, gliniany dzbanek na wodę i zarośnięty brudem plastikowy kubek. Dzień był niezwykle upalny i w celi można się było udusić z gorąca, ale bardziej niż gorąco przeszkadzał mi mdły odór zaniedbania.

- Sukinsyn nie chce się ubierać i się nie myje, a tam, skąd pochodzi, dezodorantów nie używają - wyjaśnił inspektor Singh.

Aresztant leżał w pozycji embrionalnej na ziemi pod oknem, plecami do wejścia, więc nie widziałem jego twarzy. Miał bardzo ciemną, hebanową skórę i krótkie, mocno kręcone włosy. Był ubrany tylko w przepaskę, chyba zrobioną z resztek T-shirtu. Naszej obecności jakby nie zauważył i nie poruszył się, nawet kiedy inspektor szturchnął go trzcinką.

- Wstawaj, draniu! - rozkazał i kilkakrotnie kopnął go w plecy. Wzdrygnąłem się. Ciosy jednak nie zrobiły na aresztancie najmniejszego wrażenia. Leżał jak w katatonicznym osłupieniu.

- Po co zaraz stosować siłę - powiedziałem i delikatnie poklepałem aresztanta po ramieniu.

To podziałało jak zakłęcie. Zareagował od razu. Odwrócił się i żwawo usiadł. Wyglądał zaskakująco młodo. Był niski, miał owalną twarz o wyrazistych rysach i pełnych wargach. Na jego ciele, w którym nie było ani grama zbędnego tłuszczu, zauważyłem pręgi po uderzeniach. Miał szczupłą, sprężystą sylwetkę zawodowego boksera i równe, olśniewająco białe zęby, lecz moją uwagę przykuły jego oczy. Otoczone czystą bielą małe, czarne źrenice emanowały jakąś pierwotną siłą. Wwierciły się we mnie, jakby były dwoma laserami, wytrąciły mnie z równowagi. Poczulem się w jego obecności obnażony, bezbronny.

Dopiero wtedy zauważyłem, że był przykuty za nogę łańcuchem do łóżka, a na rękach miał kajdanki.

- To dla naszej ochrony, proszę pana. Ten gość jest bardzo niebezpieczny, to jeden z hersztów naksalitów - powiedział inspektor i zostawił mnie z aresztantem samego.

Nie przedstawiałem się. Wziąłem jego dłoń w swoją, spojrzałem mu w oczy i powiedziałem:

- Wiem, że nie jesteś naksalitą. Wiem, że nie zabiłeś Vicky'ego Rai. - Przyjrzał mi się z nieukrywaną ciekawością. - Opowiedz mi o sobie, a ja obiecuję, że cię stąd wydostanę.

W pierwszej chwili był nieufny, powściągliwy, lecz delikatnie

zachęcony, prędko się przede mną otworzył. Ponieważ traktowałem go jak człowieka, w trzy godziny powiedział mi to, czego mimo trzech dni męki nie powiedział policji. Nie znał dobrze hindi, lecz kiedy już zaczął swą opowieść, mówił bez ustanku. Był to oczyszczający strumień długo powstrzymywanych emocji, które w nim buzowały, od kiedy sześć miesięcy wcześniej dotarł do brzegów naszego półwyspu. Mówił o ludziach, których spotkał, i o tym, co przeżył. Mówił o swych marzeniach i pragnieniach, krzywdach i upokorzeniach, rozpacz i bezradności. Najwięcej mówił o tęsknocie za swą wyspą i o miłości do ślepej, oszpeconej dziewczyny imieniem Champi, bardziej znanej jako Twarz Bhopalu.

Czy Pani wie, że słowo „Onge” znaczy „Człowiek”? Eketi był prawdziwym człowiekiem, jednym z tych, których już tak niewiele zostało.

Świadomie zapuścił się na ziemię *kwentale*, cudzoziemców. Początkowo olśnił go blask naszej cywilizacji, oczarowały kuszące pułapki nowoczesności, lecz bardzo szybko pod blichtrzem naszego życia dostrzegł ciemną stronę naszych miast i serc. Z przerażeniem patrzył, jak potrafimy być wobec siebie okrutni w imię polityki i religii. Był wstrząśnięty tym, że traktujemy kobiety jak przedmioty i je gwałcimy. Przez sześć miesięcy dość się napatrzył. Chciał wrócić do prymitywnego życia, na swoją wyspę, gdzie jest bieda, ale nie ma wojny, gdzie są choroby, ale nie ma deprawacji.

Był żywym memento, niedostrzeżonym prorokiem podtykającym nam przed oczy lustro. Chciał nas naprawić, myśmy go chcieli zepsuć. Wyciągał przyjazną dłoń, myśmy go zakuli w kajdany. Szukał u nas zrozumienia, myśmy go zabili. Jego śmierć jest kwintesencją naszej kultury, miażdżącym świadectwem tego, co się z nami stało. Taka jest naga prawda, Pani Prezydent. Prawda wstrząsająca.

Jeszcze bardziej wstrząsające jest to, że on nie miał nic wspólnego z morderstwem Vicky'ego Rai. Eketi przybył do Indii kontynentalnych na poszukiwanie, ponieważ przyrzekł, że odzyska starożytny kamień w kształcie fallusa, od wieków chroniący jego plemię, który padł łupem

indyjskiego pracownika biura pomocy społecznej na Małym Andamanie. Inny pracownik tego biura, Ashok Rajput, zaofiarował plemieniu pomoc w odzyskaniu świętego kamienia i przemycił Eketiego do Indii. W poszukiwaniu *ingetayi* Eketi trafił z Kalkuty do Chennai, do *ghats* Varanasi i na Magh Melę w Allahabadzie, później na piaski Jaisalmeru i wreszcie do naszej stolicy. Po raz ostatni widziano święty kamień u okrytego dziś niesławą guru Swamiego Haridasa, w Allahabadzie. Tam ukradł go Ashok Rajput, który miał co do niego własne plany, o czym Eketi nie wiedział.

Ashok Rajput był bratem strażnika w rezerwacie w Radżasthanie, Kishore Rajputa, który dwanaście lat temu został zlikwidowany, ponieważ widział, jak Vicky Rai zabił dwie garny. Ashok Rajput kochał się w żonie swego brata, energicznej kobiecie o imieniu Gulabo, i ta zgodziła się za niego wyjść, lecz pod warunkiem, że wcześniej pomści śmierć brata - zabije Vicky'ego Rai. Pewnie Pani wie więcej o kobietach z Radżasthanu, ja za to wiem coś o zemście. Ona nie ma daty ważności.

Tak więc Ashok Rajput powiedział Eketiemu, że święty kamień jest w posiadłości Vicky'ego Rai, i obaj przyjechali do Delhi. Eketi zamieszkał niedaleko posiadłości, w świątyni Bhole Nath w Mehrauli, gdzie się zaprzyjaźnił z Champi. Feralnej nocy Ashok Rajput ubrany w niebieski garnitur wszedł na teren posiadłości nieużywaną furtką jakiś czas przed Eketim, umieścił *shivling* w małej świątyni w ogrodzie i wmieszał się w tłum gości. Wcześniej kazał Eketiemu wejść do ogrodu o dziesiątej, tuż po północy wyłączyć prąd, zabrać święty kamień i szybko uciec przez furtkę. Światła zgasły dokładnie pięć minut po północy i wtedy Ashok Rajput strzelił z bliska do Vicky'ego Rai, wybiegł z sali, zakradł się do świątyni, gdzie już był Eketi, i wsunął narzędzie zbrodni do jego otwartej torby. Gdy Eketi opuścił świątynię, niosąc torbę ze świętym kamieniem, miał więc też w niej, nie wiedząc o tym, pistolet. Ashok Rajput spodziewał się, że uda mu się wynieść go z posiadłości, lecz autochtona złapała policja, a później wrobiła go w morderstwo.

Mimo trzydniowych tortur Eketi nie wyspał Rajputa, wierny kodeksowi honorowemu, o którym myśmy dawno zapomnieli.

Jak twierdzi policja, wczoraj Eketi zdarł z rąk kajdanki, zerwał łańcuch, przegryzł żelazne pręty w oknie i wyślizgnął się na zewnątrz. Inspektor Yadav, który akurat stał koło komisariatu, zauważył uciekającego Eketiego. Wezwany do zatrzymania się, autochton go zaatakował i Yadav był zmuszony go zastrzelić.

Ciekaw jestem, Pani Prezydent, czy widziała Pani opublikowane zdjęcia roześmianego inspektora Yadava i jego zespołu przy opuchniętym ciele Eketiego. Jego noga jest wykrzywiona pod nieprawdopodobnym kątem, co świadczy o tym, że nie mógł uciekać. Grymas zastygły na jego twarzy to oskarżenie wymiaru sprawiedliwości.

Za śmierć Eketiego jesteśmy w pewnym sensie odpowiedzialni wszyscy. Przyczyniliśmy się do niej złą złą, tolerancją dla bezprawia. W naszym kraju panuje epidemia apatii. Jeśli nie odbudujemy szkieletu moralnego społeczeństwa, spowoduje ona śmierć jeszcze wielu Eketich.

Ten list robi się zbyt długi, Pani Prezydent, czas go skończyć.

Oskarżam emerytowanego pracownika pomocy społecznej S.K. Banerjeeego o kradzież świętego kamienia, co zmusiło Eketiego do podjęcia niebezpiecznej podróży do Indii kontynentalnych, gdzie znalazł śmierć.

Oskarżam inspektora Vijaya Singha Yadava o torturowanie i zabicie Eketiego. Ten funkcjonariusz policji jest znany ze swych sadystycznych skłonności, które doprowadziły do kilku przypadków śmierci w areszcie. Pora pozbawić go munduru i wytoczyć mu proces o zabójstwo.

Oskarżam komendanta policji K.D. Sahaya o przyczynienie się do śmierci Eketiego przez niezapewnienie mu bezpieczeństwa w policyjnym areszcie i o przyjęcie jego „podpisanego” przyznania się do winy, choć Eketi nie umiał pisać.

Oskarżam inspektora Rajbira Singha o bezpodstawne uznanie Eketiego za naksalite, bez sprawdzenia jego przeszłości. Nikt nie wymaga

od policjantów, żeby byli antropologami, ale każdy, kto ma choć odrobinę zdrowego rozsądku, powinien wiedzieć, że w Dżharkhandzie nie żyją czarni jak smoła *adivasis*²²⁰ z kręconymi jak u Murzynów włosami.

²²⁰ *Adivasis* - autochtoni.

Oskarżam specjalistów badających miejsce zbrodni o to, że nie wykazali należytej staranności i nie wykryli powiązania między Eketim i Ashokiem Rajputem.

Na koniec oskarżam Ashoka Rajputa o zamordowanie Vicky'ego Rai i zrzucenie odpowiedzialności na niewinnego autochtona.

Zdaję sobie sprawę, że stawiając te oskarżenia, narażam się na procesy o zniesławienie. Przyznaję, że złamałem prawo, podszywając się pod funkcjonariusza państwowego. Związane z tym ryzyko przyjmuję na siebie w interesie sprawiedliwości.

Niech przyjdzie policja i mnie aresztuje. Czekam. Ale mój głos nie ucichnie. Bez względu na wszystko nie zabraknie mi odwagi, żeby mówić nagą prawdę.

Pozostaję z najgłębszym szacunkiem,
Pani współobywatel i lojalny Hindus,
Arun Advani.

NAJNOWSZE WIADOMOŚCI

Nadane 2 kwietnia o 15.37

TRANSKRYPT SPORZĄDZONY W POŚPIECHU. TO NIE MUSI BYĆ JEGO OSTATECZNA WERSJA, MOŻE ZOSTAĆ POPRAWIONY

BARKHA DAS: 13 stycznia 1898 roku słynny list otwarty pisarza Emila Zoli do prezydenta Francji ujawnił prawdę o sprawie Dreyfusa i wywołał wielkie poruszenie. List otwarty dziennikarza śledczego Aruna Advaniego do prezydenta Indii - pełna pasji obrona autochtona Eketiego, który został bezpodstawnie zabity za zamordowanie Vicky'ego Rai - również zelektryzował kraj. Rząd został zmuszony do działania. Inspektora Vijaya Yadava aresztowano i oskarżono o zamordowanie Eketiego. Inspektor Rajbir Singh i komendant K.D. Sahay zostali zawieszoni w obowiązkach. Ashok Rajput jest poszukiwany na terenie całego kraju. Przed komisariatem w Mehrauli jest nasz korespondent Jatin Mahajan. Jatin, podobno w okolicy komisariatu doszło do zamieszek. Co tam się dzieje?

JATIN MAHAJAN: To wprost niewiarygodne, Barkha. Jesteśmy świadkami niezwyklej scen. Chyba wszyscy mieszkańcy slumsów Sanjay Gandhi wyszli na ulice i otoczyli komisariat. Wznoszą okrzyki przeciw policji i inspektorowi Vijayowi Yadavowi.

BARKHA DAS: Kto stoi na czele demonstrantów?

JATIN MAHAJAN: Munna Mobile, który, jak pamiętasz, sam był podejrzany w sprawie o morderstwo Vicky'ego Rai. Do mieszkańców slumsów przyłączyło się też wielu studentów. Śmierć Eketiego wywołała gniew. Ostatni tekst Aruna Advaniego wstrząsnął społeczeństwem. Ludzie mówią - dość. Nie będą dłużej tolerować brutalności i arogancji policji. Nie zgodzą się na inną sprawiedliwość dla bogatych, a inną dla biednych.

BARKHA DAS: Z pewnością, Jatin. W reakcji na nastroje społeczeństwa rząd już ogłosił, że zostanie wznowionych mnóstwo głośnych spraw, w których bogaci i sławni nie ponieśli kary. Powstaje komisja, która ma się zastanowić nad reformą policji i systemu zbierania dowodów.

JATIN MAHAJAN: Nie zapominaj, Barkha, że rząd też ogłosił, że jeszcze raz przeanalizuje sprawę rekompensat dla ofiar tragedii w Bhopalu.

BARKHA DAS: Tak, śmierć Eketiego spowodowała również, że w centrum zainteresowania znalazła się Champi Bhopali, Twarz Bhopalu. Autochton był w niej zakochany i obiecał wyleczyć ją ze ślepoty. Jak ona przyjęła jego śmierć?

JATIN MAHAJAN: Champi nie wierzy, że Eketi nie żyje. Twierdzi, że ją co noc odwiedza i z nią rozmawia.

BARKHA DAS: Czy to nie jest jeden z wielkich paradoksów naszych czasów, że gdy Champi Bhopali latami zwracała uwagę społeczeństwa na los pozostawionych samym sobie ofiar tragedii w Bhopalu, nikt się nie zainteresował jej losem?

JATIN MAHAJAN: No właśnie. Wszyscy ją pamiętamy jako Twarz Bhopalu, ale nikt nie pomyślał, żeby coś dla tej twarzy zrobić. Dopiero teraz, w ślad za falą społecznego oburzenia wywołanego zamordowaniem Eketiego, zaoferowały jej pomoc liczne osoby prywatne i organizacje pozarządowe. Zebranych pieniędzy wystarczy na operację plastyczną. Mówi się nawet o przeszczepie siatkówki, który mógłby jej przywrócić wzrok. Może się okazać, że swoją śmiercią Eketi zrobił dla niej więcej, niż kiedykolwiek zamierzaliśmy zrobić my, żyjący.

BARKHA DAS: Śmierć Eketiego była najwyraźniej tak nam wszystkim potrzebnym dzwonkiem alarmowym. Czy jesteśmy świadkami narodzin nowych Indii? To pytanie postawię w programie „Pałaca sprawa” zaraz po wiadomościach o dziewiątej. Zapraszam. Barkha Das, ITN Live.

PROWOKACJA

- Witaj, witaj, Singhania. Chodź, poczęstuj się słodyczami. Dziś jest jeden z najlepszych dni w moim życiu. Lepszy był tylko ten, kiedy zostałem premierem.

- Wiem, Netaji²²¹. Właśnie słyszałem w radiu.

²²¹ *Netaji* - tytuł używany w odniesieniu do wszystkich polityków, pochodzący od słowa „neta”, „przywódca”.

- Tak. Jagannath Rai został oskarżony o zamordowanie Pradeepa Dubeya, Lakhana Tahura i Navneeta Brara i uprowadzenie syna Gopala Maniego Tripathiego. Nie możemy go obarczyć winą za samobójstwo Rukhsany Asfar, ale to nie ma znaczenia. Z Tripurarim Sharanem jako skruszonym świadkiem zbierze się dość, żeby trafił na szubienicę. Teraz wszyscy posłowie z naszej partii, którzy się do niego przyłączyli, są w tarapatkach. Od każdego, który chce wrócić, żądam dwudziestu milionów rupii. Muszą zapłacić za swoją głupotę.

- Więc pański fotel premiera jest do następnych wyborów bezpieczny.

- Dlaczego tylko do następnych? Nie widziałeś wyników ankiety w „Daily News”? Dzięki decyzji o pozbyciu się wszystkich ministrów o brudnych rękach mój wskaźnik aprobaty wzrósł do sześćdziesięciu siedmiu procent. Góra dała mi całkowitą swobodę działania. Uważam, że następną kadencję mam w kieszeni.

- Upadek Jagannatha Rai był naprawdę błyskawiczny.

- Ten sukinsyn uważał się za wielkiego cwaniaka, bo całą brudną robotę odwaliał za niego Mukhtar. Ale gangsterzy nigdy nie pobiją nas,

zawodowych polityków. Myślał głupek, że jako minister spraw wewnętrznych jest ponad prawem. Nie miał pojęcia, że już trzy lata temu kazałem mu założyć podsłuch. A ludzie rozmawiający przez telefon bywają tak niedyskretni...

- Czy dlatego nigdy pan nie rozmawia ze mną o ważnych sprawach przez telefon?

- Ostrożność nie zawadzi, Singhania. Choć nikt się nie odważy podsłuchiwać premiera. (*Śmiech*)

- Więc to pan posłał kasety Advaniemu?

- A któż by inny, Singhania? Niech wąż zabije węża. Advani szybko opublikował treść kaset, dzięki czemu kariera polityczna Jagannatha się skończyła i zniknęło największe zagrożenie dla mojego stanowiska. Szkoda tylko, że Mukhtar nie mógł zabić Vicky'ego Rai. To by było ukoronowanie wszystkiego. Dlaczego Shabnam Saxena postąpiła tak idiotycznie?

- Nie mam czasu na Shabnam Saxenę. Mój największy kłopot to Ashok Rajput.

- Ashok Rajput? Ten facet, który zamordował Vicky'ego Rai? Co cię z nim łączy?

- Jest synem Vinaya Rajputa, który był masażystą mojego ojca - my się wywodzimy z Radżasthanu. Dorastałem w Jaisalmerze razem z Kishore i Ashokiem. Kiedy Kishore zginął, załatwiłem Ashokowi pracę w Departamencie Pomocy Społecznej.

- Czy to prawda, że on się chce ożenić z wdową po bracie?

- Tak, Netaji. Gulabo zawsze była trochę dziwna. To pod jej wpływem Ashok postanowił zabić Vicky'ego Rai.

- Aha! Więc Rajput już ci się przyznał?

- Tak. Powiedział, że to była druga próba. Sześć lat temu udało mu się dostać na teren posiadłości z bronią, ale w ostatniej chwili nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Tym razem postanowił wykorzystać tego autochtona Eketiego. Widziałem Ashoka na przyjęciu, w eleganckim niebieskim garniturze. Zdziwiłem się, że został zaproszony do Number

Six, ale nawet ja nie wpadłem na to, że chce zabić Vicky'ego Rai. Potem zaszył się w hotelu w Meerucie²²². Kiedy policja aresztowała Eketiego, myślał, że morderstwo ujdzie mu na sucho, ale ten Arun Advani jest za sprytny. To po prostu nie do uwierzenia, jak on wszystko potrafi wywęszyć.

²²² Meerut - miasto w Uttar Pradeś, niedaleko Delhi.

- Co zamierzasz zrobić z Rajputem?
- Radziłem mu, żeby poszedł na policję i się ze wszystkiego wyświadał, ale on ciągle liczy na cud. Poprosił mnie, żebym panu przekazał wiadomość.
- Wiadomość?
- Ashok Rajput jest gotów dać panu ten przepiękny *shivling* (*dźwięk rozpakowywania*), jeśli pan go w jakiś sposób uratuje od szubienicy.
- *Arrey*, czy to nie jest *shivling*, który autochton próbował ukraść tamtej nocy? (*Śmiech*)
- Nie, Netaji. W świątyni w ogrodzie Vicky'ego Rai Ashok Rajput umieścił kopię zrobioną przez rzeźbiarza z Jaisalmeru. To jest oryginał, który ukraść Swamiemu Haridasowi w Allahabadzie.
- *Wah!* Co za wspaniała rzecz, taki gładki. A co znaczą te dziwne litery?
- Legenda plemienia Onge mówi, że wyrzył je pierwszy człowiek. Panie premierze, ten *shivling* to najrzadszy i najstarszy antyk w naszym kraju. Jest bezcenny.
- Chcę go, Singhania. W zamian spróbuję uratować twojego przyjaciela. Bo wiem, że jest niewinny.
- Na jakiej podstawie pan to mówi, Netaji?
- Na podstawie tego, co mi powiedział w zaufaniu - my się od dawna przyjaźnimy - komendant K.D. Sahay. W ogrodzie w posiadłości Vicky'ego Rai policja znalazła jeszcze jeden pocisk kalibru trzydzieści dwie setne cala.
- Przecież Rajput strzelił tylko raz.

- Zgadza się. Ale tej nocy strzelał do Vicky'ego Rai ktoś jeszcze.
- To ma sens... Wydawało mi się wtedy, że zaraz po pierwszym strzale słyszałem drugi, ale inni mówili, że to petarda.
- I właśnie od tego drugiego strzału zginął Vicky Rai. Pocisk przeszedł gładko przez ciało i wpadł do ogrodu.
- W takim razie policja powinna znaleźć drugi pistolet!
- I o to właśnie chodzi! K.D, mówi, że policja otoczyła posiadłość natychmiast po pierwszym strzale, więc morderca nie mógł uciec. Wewnątrz wszystkich przeszukali, sprawdzili każdy samochód, ale oprócz sześciu sztuk broni należących do sześciorga podejrzanych nie znaleźli nic. Dlatego zdecydowali się na jedyne rozwiązanie możliwe z ich punktu widzenia: oskarżyli o morderstwo Eketiego i zataili istnienie drugiego pocisku.
- O mój Boże! Więc kto jest prawdziwym zabójcą?
- Singhanian, masz majątek, ale nie masz rozumu. No dobrze, powiem ci, kto naprawdę zabił Vicky'ego Rai.
- Kto, Netaji?
- Ritu, córka Jagannatha.
- Ritu Rai? Ale dlaczego? I skąd pan o tym wie?
- Od mojego nowego najlepszego przyjaciela Tripurariiego Sharana. Zanim jednak przedstawię ci jego teorię, muszę ci opowiedzieć pewną historyjkę. Od czasu do czasu pracuje dla mnie człowiek, który się nazywa Chhotu Lochan...
- Och, ten osławiony gangster?
- Cóż zrobić? Polityka wymaga zarówno pieniędzy, jak i siły. Nawet premierzy muszą mieć swoje pieski. Jagannath miał Mukhtara, ja mam Lochana. Kilka razy go wykorzystałem.
- Słucham pilnie. To się zaczyna robić coraz bardziej interesujące.
- Lochan mi powiedział, że dwudziestego stycznia porwał w No-idzie dziecko, siedmioletniego syna przemysłowca, właściciela czterech fabryk. Okup ustalono na siedem i pół miliona rupii. Ojciec dostarczył pieniądze dwudziestego szóstego stycznia, w Dniu Republiki. Włożył je do czarnej teczki i zostawił w kuble na śmieci w uliczce na tyłach

Goenka Public School w Mehrauli. Stamtąd miał je zabrać człowiek Lochana Brijesh, ale Munna Mobile ukradł Brijeshowi komórkę, więc kiedy Lochan zadzwonił i powiedział, gdzie jest teczka, usłyszał to Munna i teczkę ukradł.

- Nie do wiary! Drobny złodziejaszek zwiął z siedmioma milionami?

- Tak. Dzięki tym pieniądzom zaprzyjaźnił się z Ritu Rai i nawiązał z nią romans.

- Co się stało potem?

- To co zawsze w podobnych przypadkach. Lochan w końcu wytropił Munnę - ci ludzie sięgają swoimi mackami wszędzie. Posłał trzech bandziorów, którzy go okropnie pobili, nawet mu połamali palce, i zabrali teczkę.

- Przykra sprawa. To mi się właśnie nie podoba u gangsterów. Brzydzą się przemocą.

- W każdym razie Munna nigdy nie powiedział Ritu o teczce, ale Ritu powiedziała rodzinie, że chce wyjść za Munnę. I Vicky, i Jagannath byli temu zdecydowanie przeciwni. Tripurari mówi, że między bratem i siostrą codziennie dochodziło do starć, a kiedy Ritu się dowiedziała, co spotkało Munnę, pomyślała, że Vicky nasłał na niego bandziorów, żeby mu dali nauczkę, i wpadła we wściekłość. Ritu świetnie włada bronią. Wiedziałaś, że jest mistrzynią stanu w strzelaniu z pistoletu pneumatycznego? Na przyjęciu ona też była uzbrojona i to na jej polecenie ktoś o określonej godzinie wyłączył prąd. Kiedy zgasło światło, zastrzeliła brata z pistoletu kalibru trzydzieści dwie setne cala i potem ukryła go w jakimś zakamarku, którego policja do tej pory nie zdołała odnaleźć.

- Zdumiewające! I Ritu uszło to na sucho?

- A nie dość się wycierpiała jako córka Jagannatha? Teraz wychodzi za Munnę, a on z kolei ma grać główną rolę w filmie, więc zanoszą się na to, że będzie chociaż jeden happy end.

- To co mam powiedzieć Ashokowi Rajputowi?

- Powiedz mu, żeby się nigdzie stamtąd nie ruszał, dopóki nie

obmyślę strategii. I podziękuj mu za *shivling*, który od dziś będzie zajmował w tym domu honorowe miejsce.

- To podobno jest najlepszy talizman.
 - Już czuję dobre wibracje. Z błogosławieństwem Sziwy będę premierem do końca życia.
 - Czy znajdzie pan teraz czas, Netaji, żebyśmy porozmawiali o cementowni w Badaunie?
 - Znajdę czas nawet na rozmowę o szwalni. Cały stan jest twój, Singhania. Skoro Jagannath nam już nie bruździ, zbierajmy plony razem.
- (*Śmiech*)

WYZNANIE

Nic na tym świecie nie jest trudniejsze, niż mówić prawdę.

Fiodor Michajłowicz Dostojewski, „Zbrodnia i kara”

PRAWDA

Nazwisko, jakie podałem policji, nic wam nie powie. Lepszą wskazówką może być strój, jaki miałem na sobie: czerwona kamizelka z mosiężnymi guzikami, biała koszula, czarne spodnie z zakładkami i lakierki. Zapamiętajcie te lakierki.

Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Brali mnie za jednego z owych anonimowych ludzi, dzięki których dyskretnej obecności gładko się toczy wielkie przyjęcie. Równie dobrze mógłbym być członkiem zgrai, która zapełnia ulice podczas wiecu lub procesji religijnej, punktem w rozmazanej kolorowej plamie, gdy kamera omiata trybuny na meczu krykieta, jednym ze stojących w kolejce przed kabiną do głosowania w dniu wyborów.

A konkretnie?, zapytacie. Dobrze, byłem brodatym kelnerem obsługującym przyjęcie. Stałem obok Vicky'ego Rai, gdy zgasło światło. I to ja go zastrzeliłem.

Przepraszam, jeśli was to zaszokowało. Morderstwo, odebranie komuś życia przemocą ma to do siebie, że kłóci się z naszym sumieniem i kodeksem karnym. „Nie zabijaj”, nakazuje Biblia. Są jednak sytuacje, gdy morderstwo jest usprawiedliwione, a nawet konieczne. Nie mam tu na myśli morderstwa usankcjonowanego prawem: gdy państwo wykonuje egzekucję na terrorystce albo kiedy na wojnie zostaje zabity żołnierz wroga. Mówię o morderstwie jako świętym rytuale. W „Mahabharacie” Ardżuna ma obowiązek, jako kszatrija²²³, walczyć ze złymi Kaurawami pod Kurukszetą. Też jestem wojownikiem. Toczę świętą

wojnę z siłami zła w społeczeństwie. Zabiwszy Vicky'ego Rai, po prostu spełniłem obowiązek, postąpiłem zgodnie ze swoją dharmą²²⁴.

²²³ Kszatrija - członek klasy wojowników.

²²⁴ Słowo *dharma* jest często tłumaczone jako właściwe postępowanie lub właściwy sposób życia. W szerszym sensie jest to porządek będący podstawą świata i dążenie do pozostawania z tym porządkiem w harmonii. Tu *dharma* oznacza posłannictwo.

Wierzcie mi, nie miałem z Vickym Rai osobistych porachunków. Nie jestem krewnym żadnego z sześciu bezdomnych, których przejechał jako nastolatek. Nie widziałem na oczy Kishore'a Rajputa, strażnika, który zginął na jego polecenie. Ruby Gill nie była ani moją koleżanką, ani siostrą, ani kochanką. Nie znałem jej, nigdy się nie spotkaliśmy.

Przypuszczam, że mój czyn zostanie uznany za samowolne wymierzenie sprawiedliwości, za postępek obywatela, który bierze prawo w swoje ręce, gdy działania władz są niewystarczające.

A działania władz były bez wątpienia niewystarczające. Vicky Rai łamał paragraf za paragrafem i za każdym razem go uniewinniano. Miarka się przebrała, gdy został uwolniony nawet od zarzutu zamordowania Ruby Gill.

Nasz wielki epos mówi, że kiedy zaczyna się szerzyć zło, Bóg zstępuje na ziemię, żeby przywrócić dobro. Z całej szacunkiem, to jest nonsens. Nikt nie zejdzie z nieba, żeby uporządkować ziemski bałagan. Sprzątać nasz bajzel musimy sami. Trzeba zdjąć buty, podwinąć nogawki i brnąć w ten gnój.

To właśnie zrobiłem. Sumienie nie dało mi wyboru.

Klasa średnia powinna być sumieniem narodu, etycznym drogowskazem chroniącym przed wybrykami klasy wyższej i defetyzmem niższej. To klasa średnia rzuca wyzwanie status quo, co dało początek wielkim rewolucjom - we Francji, w Chinach i Rosji, w Meksyku, Algierii i Wietnamie. Nie w Indiach. Nasza klasa średnia opowiada się stanowczo za utrzymaniem status quo.

Nie przejmuje się coraz niższymi standardami życia publicznego, jest obojętna wobec losu biedoty, oddaje się rozpasanej konsumpcji. Staliśmy się narodem podglądaczy uzależnionym od głupich telenowel o

spiskujących teściowych i cierpiących gospodyniach domowych, karmiącym się cudzym nieszczęściem, podniecającym rozpadem czyjś małżeństwa, zahipnotyzowanym migającymi obrazami przedstawiającymi polityków przyłapanych przez kamerę na przyjmowaniu łapówki.

Nic nie mam przeciw podglądaczom. Przyznaję, kiedy byłem młodszy, nawet mnie czasem kusiło, żeby zajrzeć ukradkiem do domu sąsiadów, w nadziei, że uda mi się zerknąć na ich kąpiącą się córkę. A jeśli zobaczycie, że sąsiad dusi żonę? Co wtedy zrobicie? Położycie się do łóżka czy wedrzecie do domu sąsiada i zapobiegniecie zbrodni?

To był mój dylemat, kiedy słuchałem kaset z nagranyimi rozmowami Vicky'ego Rai. Dwa lata temu założyłem mu podsłuch, tak jak premier Jagannathowi Rai.

Kiedy zrobiłem coś takiego pierwszy raz, nie miałem pojęcia, w co się pakuję. Wydawało mi się, że to jest nieszkodliwy sposób uzyskiwania informacji. No i to było łatwe. Dla podsłuchiowaczy Indie są rajem. Nikogo nie obchodzą swobody obywatelskie, prawo do prywatności, ochrona danych. Wystarczy urządzenie elektroniczne, które można bez trudu kupić na Palika Bazaar, i kontakt w centrali, i już można być podsłuchiowaczem. Obecnie mam siedem całodziennych podsłuchów, od Jammu po Jabalpur.

Słuchałem głosu Vicky'ego Rai dzień w dzień przez dwa lata. Słuchałem, jak mówiono o wzajemnych przysługach, wręczanych łapówkach, popełnianych oszustwach, uwodzonych dziewczętach. Słuchałem opowieści o łamaniu prawa i korumpowaniu prawników, fałszowaniu dowodów, deptaniu i gwałceniu sprawiedliwości, wystawianiu jej na przetarg. Czuję się, jakby mi ktoś żelazną obręczą ścisnął serce, wbijał gwoździe w ciało.

Siedemnastego marca usłyszałem rozmowę, od której zapłonął we mnie ogień. Odtworzę wam jej fragment. Słuchajcie uważnie.

- Dzień dobry, panie Vicky. Poznaje mnie pan?
- Mukhtar?

- Tak, panie Vicky. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale...
- Co się stało? Słyszę, że jesteś bardzo zdenerwowany.
- Pamięta pan, jak się bawiliśmy w Lucknow? Brałem pana na plecy i biegłem do drzewa *peepul*²²⁵, a potem pan mówił „Teraz mnie zawieź do...”.

²²⁵ *Peepul* - duże drzewo zrzucające liście w porze suchej albo wiecznie zielone, o wysokości do trzydziestu metrów i średnicy pnia do trzech metrów.

- Na pewno nie po to dzwoniś o pierwszej w nocy, żeby wspominać moje dzieciństwo. Do rzeczy, Mukhtar. Znowu masz kłopoty?
- Nie, panie Vicky, to pan ma kłopoty.
- Co masz na myśli?
- Godzinę temu wezwał mnie do siebie szef.
- I co? Kogo ci kazał tym razem załatwić?
- Pana, panie Vicky. Dał mi zlecenie na pana.
- Zwariowałeś?
- Nie, panie Vicky. Przysięgam na duszę ojca.

(Długa cisza)

- Nie mogę w to uwierzyć.
- Też nie mogłem. Dorastał pan na moich oczach, panie Vicky. Jak bym mógł odebrać panu życie?
- Kiedy miałbyś to zrobić?
- Dwudziestego trzeciego marca, kiedy w Number Six będzie jakieś wielkie przyjęcie.
- Aha.

(Długa cisza)

- Nie wiem, co się szefowi stało. To nie ten sam człowiek co kiedyś. Walka o fotel premiera zamąciła mu w głowie.
- Mukhtar, zrobisz coś dla mnie?
- *Hukum*, panie Vicky.
- Chcę, żebyś zabił pana Jagannatha Rai. Właśnie wtedy i tam. Zapłacę ci dziesięć razy więcej niż tato. Przyjmiesz to zlecenie?
- Panie Vicky, jak bym mógł...

- Milion pošlę ci od razu, a resztę, jak wykonasz robotę. Potem już nie będziesz musiał nikogo zabijać. Umowa stoi?

- Nie wiem, co powiedzieć, panie Vicky.

- To będzie twoje najłatwiejsze zadanie, Mukhtar. Zostawię wejście służbowe otwarte. Wejdiesz tamtędy z bronią. Będę przy barze w dużej sali i postaram się, żeby tato stał w drugim rogu, obok okna wychodzącego na podjazd. Dokładnie pięć minut po północy mój zaufany służący Shankar wyłączy prąd. Wtedy już będzie trwał pokaz sztucznych ogni. Jak tylko zgaśnie światło, zrobisz swoje i uciekniesz przez służbową bramę. Czy może być coś prostszego? (*Długa cisza*) Umowa stoi, Mukhtar?

- Tak, szefie.

- Dobrze. Radzę ci teraz zniknąć na jakiś czas. Nie odbieraj telefonów od taty.

- Tak, szefie. Zaszycę się w Sarai Meer, a dwudziestego trzeciego przyjadę do Number Six.

- Świetnie. Każę wysłać zaliczkę do Azamgarhu.

- *Meherbani*²²⁶. *Khuda hafiz*.

²²⁶ *Meherbani* - to uprzejmość.

Kiedy wysłuchałem tej taśmy, coś we mnie pękło. Jak długo można widzieć, co się dzieje dookoła, i być obojętnym? Jak długo można udawać, że się nie jest obywatelem tego kraju, myślącym, czującym człowiekiem? Dość już tego, pomyślałem, i postanowiłem zabić Vicky'ego Rai, własnoręcznie wymierzyć mu sprawiedliwość. Jeśli miał umrzeć skorumpowany ojciec, umrze też zdeprawowany syn.

Żeby zabić człowieka, trzeba mieć trzy rzeczy. Silny motyw, silne nerwy i dobrą broń. Miałem motyw i byłem spokojny, potrzebowałem tylko odpowiedniej broni. Zdecydowałem się na mały, półautomatyczny pistolet kalibru trzydzieści dwie setne cala, z Bamhauru²²⁷ - tani, niezawodny i nigdzie nierejestrowany. Później odwiedziłem Akrama Bhai, starego, pomarszczonego szewca, który ma mały warsztat za Jama Masjid, gdzie robi buty na zamówienie. Mnie zrobił parę lakierków, które

miały w obcasach, pod wkładkami, puste miejsca, gdzie można było schować na przykład plik banknotów. Albo sztabkę złota. Albo mały pistolet.

²²⁷ Bamhaur leży 25 kilometrów od Azamgarhu. Słynie z kowali, którzy robią jedne z najlepszych nielegalnych rewolwerów i pistoletów w Indiach.

Tak więc dwudziestego trzeciego marca ja też byłem w Number Six z pistoletem w kieszeni. Dostać się na teren posiadłości było dziecinnie łatwo. Wśliznąłem się przez niezamknięte wejście służbowe, z przyczepioną sztuczną brodą, w czerwono-czarnym uniformie kelnera z firmy Elite Tent House, która, jak wiedziałem z wcześniej podsłuchanej rozmowy, zajmowała się na przyjęciu cateringiem. Wziąłem tacę i zacząłem się kręcić po ogrodzie, patrząc, jak płynie alkohol i bawią się goście. To było typowe przyjęcie delhijskich bogaczy, z cmokaniem się na odległość i bezsensownym obejmowaniem, rytualną wymianą wizytówek i drapieżnym krążeniem wokół kobiet pyszniących się swymi ciałami.

Kilka minut przed północą rozpoczął się pokaz fajerwerków. Dla uczczenia uniewinnienia Vicky'ego Rai świszczały rakiety, strzelały petardy. Z wybiciem północy poszedłem do dużej sali. Vicky Rai właśnie mówił do mikrofonu. Potem zastąpił go ojciec, a on poszedł do baru na drugi koniec sali. Gdy zaczął sobie robić drinka, podszedłem bliżej. W sali było pełno ludzi, wśród nich Shabnam Saxena. Zastrzelić go teraz i niepostrzeżenie uciec byłoby niemożliwe. Mięśnie mi się napięły, żołądek ścisnął. Czekałem, aż zgaśnie światło. Dokładnie pięć minut po północy w sali zrobiło się ciemno, a ja błyskawicznie wyjąłem pistolet. Rozległ się strzał i krzyk Jagannatha Rai. Myśląc, że to Mukhtar wykonał zadanie, od razu strzeliłem z bliska do Vicky'ego Rai, który stał tuż przed otwartym oknem, więc pocisk musiał przeszyć mu ciało i wylecieć na zewnątrz. Przypadkiem w tej samej chwili wybuchła kolejna petarda i zagłuszyła huk strzału.

Zastrzelić człowieka jest łatwo, za to trudno potem utrzymać nerwy na wodzy. Ręce zaczęły mi się trząść, serce waliło, jakbym miał dostać

zawału. Drżącymi palcami zdjąłem lewy but, podniosłem wkładkę i schowałem pistolet. Ledwie zdążyłem zawiązać sznurowadło, światło się zapaliło i wpadła policja. Gdy zapytali mnie o nazwisko i adres, pokazałem podrobioną legitymację kelnera. Zrewidowali mnie od stóp do głów, niczego nie znaleźli i puścili mnie wolno.

Czy zrobiłbym coś inaczej, gdybym wiedział, że Mukhtar Ansari się nie pojawi? Nie potrafię powiedzieć. Kiedy światło się zapaliło, zobaczyłem, że Jagannath Rai jest cały i zdrowy. Teraz oczywiście jest jasne, że pierwszy strzelił do Vicky'ego Rai Ashok Rajput, że minimalnie chybił i że pocisk, także kalibru trzydzieści dwie setne cala, utkwiał w drewnianym barze. Vicky zginął od drugiego pocisku - mojego. Gdyby policja dokładnie przeszukała teren, znalazłaby go w ogrodzie.

Mam nadzieję, że dostrzegacie kryjący się w tym paradoks - w sprawie o morderstwo Ruby Gill Vicky Rai został uniewinniony, bo policja stwierdziła, że wystrzelono dwa pociski z dwóch różnych pistoletów, natomiast Ashok Rajput został aresztowany, bo tym razem policja nie ma ochoty przyjąć założeń o dwóch pistoletach! Gdyby się nie przyznał, sprytny adwokat pewnie by go wybronił.

Przed laty widziałem pewien film - tytułu nie pamiętam. To był jeden z tych pretensjonalnych filmów, w których ludzie mówią niewiele, a poruszająca się wolno kamera zatrzymuje się na drobnych szczegółach codziennego życia i na przykład przez dwie minuty pokazuje skrzypiącą pustą huśtawkę. Film był o wsi, w której mieszkali biedacy wyzyskiwani przez pana feudalnego. Prawie mi się zatarł w pamięci, ale nadal mam przed oczami ostatnią scenę: mały chłopiec rzuca kamieniem w jego dom i wybija szybę. Byłem za młody, żeby zrozumieć, co znaczył ten kamień. Teraz już wiem. Żeby wzniecić wielką rewolucję, wystarczyła iskra.

Ja tę iskrę skrzesalem. Rewolucja trwa. Jej żołnierze to młodzi ludzie jak Munna Mobile. Hałaśliwie domagają się swych praw. Dłużej nie będą tolerować niesprawiedliwości.

Każda rewolucja ma bohatera, ale powoduje też straty. Trochę mi żal Ashoka Rajputa. Szczerze ubolewam nad śmiercią Eketiego.

Próbowałem mu pomóc, lecz za późno i nieskutecznie. Ta śmierć na zawsze obciąża moje sumienie, muszę dźwigać ten krzyż. Ofiara życia Eketiego nie poszła jednak na marne. Vicky Rai nie żyje. Jagannath Rai właściwie też. Sprawiedliwości stało się zadość. Od tej pory bogaci przestępcy nie mogą już spać spokojnie. Wiedzą, że kary mogą się spodziewać w każdej chwili.

Myślę, że morderstwo doskonale to pewien powód do dumy. Nikt nie ma najmniejszego pojęcia, co zrobiłem - ani żona, ani koledzy z gazety. Przychodzę do redakcji o zwykłej porze, pracuję do późna. Jem lunch razem ze wszystkimi, śmieję się z ich oklepanych dowcipów, uczestniczę w głupich dyskusjach o polityce i awansach. Ich małostkowe plotkarstwo i płytkość zainteresowań przyprawiają mnie o mdłości. Ich zadowolenie z siebie mnie zadziwia. Czy tylko ja wiem, co to znaczy być zaangażowanym dziennikarzem śledczym? Czy tylko ja mam poczucie misji?

Wiem, że jestem tylko jeden. Ale nie zrezygnuję. Brudu wokół wciąż nie brak. Nadal słucham rozmów telefonicznych, od których krew się we mnie burzy i huczy mi w głowie.

A poza tym mordowanie może uzależnić.

Podziękowania

„Sześcioro podejrzanych” pisało mi się trudno, nie tylko dlatego, że to moja druga książka. Już sam zamysł twórczy - opowiedzieć zązębiające się historie sześciorga całkowicie różnych postaci wtłoczonych w ciasny schemat - mógł onieśmielać. Zdołałem dotrzeć do tej strony w dużej mierze dzięki wsparciu przyjaciół i kolegów oraz cierpliwości rodziny - mojej żony Aparny, której ta książka jest zadedykowana, i synów Adityi i Varuna.

Mój pomysł od początku entuzjastycznie popierali i zachęcali mnie do pracy Jane Lawson, która redagowała „Q & A”²²⁸, i mój agent Peter Buckman. Później z wielką energią i godnym podziwu zaangażowaniem towarzyszyli mi nowa redaktorka Rochelle Venables (szczęśliwa Jane poszła na urlop macierzyński) i zespół z Transworldu. Szczególne podziękowanie składam skrupulatnej adiustatorce Kate Samano.

²²⁸ „Q & A” to tytuł pierwszej książki Vikasa Swarupa, którą w przekładzie Łukasza Praskiego dwukrotnie wydało wydawnictwo Prószyński i S-ka - pod tytułem „Kto wygrał miliard?” (2006) i pod tytułem „Slumdog. Milioner z ulicy” (2009) (przyp. tłum.).

W poznaniu dziejów plemienia Onge bardzo mi pomogła napisana klarownym stylem książka Madhusreego Mukerjeeego „The Land of the Naked People. Encounters with Stone Age Islanders” (Penguin India, 2003). Przydatnym źródłem informacji były też etnograficzna praca Vishvajita Pandyi na temat andamańskich rytuałów i zwyczajów „Above the Forest” (OUP, 1993) i książka Badala Kumara Basu „The Onge” (Seagull Books, 1990). Tym, którzy by chcieli pogłębić znajomość tematu, gorąco polecam stronę internetową George'a Webera www.andaman.org, która jest prawdziwą skarbnicą informacji o plemionach Andamanów.

Za liczne cenne sugestie jestem wdzięczny kolegom Navdeepowi Suriemu i J.S. Parmarowi. Pragnę tu również złożyć podziękowanie Damonowi Galgutowi, Chrisowi Copassowi, Avinashowi Mohnany'emu, Manojowi Malaviyi, Sarvagyi Ramie Mishrze, kapitanowi Subhashowi Gouniyalowi, R.K. Rathieemu, Lopie Banerjeemu, Umie Dhyaniemu, Ratiemu Bhanowi Tnpathiemu, Véronique Cardi i Rolandowi Galahargue. Bezcennym narzędziem była jak zwykle wyszukiwarka Google.

Na koniec dziękuję wspaniałym ludziom Afryki Południowej, tej płodnej ziemi, gdzie podczas weekendów i świąt powstała niniejsza książka.

Spis treści

| | |
|----------------------------|-----|
| Morderstwo | |
| 1. Naga prawda | 9 |
| | |
| Podejrzani | |
| 2. Urzędnik | 17 |
| 3. Aktorka | 31 |
| 4. Autochton | 45 |
| 5. Złodziej | 55 |
| 6. Polityk | 68 |
| 7. Amerykanin | 82 |
| | |
| Motywy | |
| 8. Opętanie Mohana Kumara | 91 |
| 9. Miłość w Mehrauli | 149 |
| 10. Operacja Mat | 201 |
| 11. Listowne narzeczeństwo | 232 |
| 12. Klątwa onkobowkwe | 296 |
| 13. Plan Kopciuszek | 368 |
| | |
| Dowody | |
| 14. Powrót | 413 |
| 15. Zdobywcz | 420 |
| 16. Ofiara | 426 |
| 17. Zemsta | 427 |
| 18. Odkupienie | 433 |
| 19. Ewakuacja | 438 |

| | |
|--------------------------|-----|
| Rozwiązanie | |
| 20. Naga prawda | 447 |
| 21. Najnowsze wiadomości | 450 |
| 22. Najnowsze wiadomości | 452 |
| 23. Najnowsze wiadomości | 455 |
| 24. Naga prawda | 458 |
| 25. Najnowsze wiadomości | 465 |
| 26. Prowokacja | 468 |
| | |
| Wyznanie | |
| 27. Prawda | 477 |
| | |
| Podziękowania | 485 |